

MARGARET
ATWOOD

ROK
POTOPU



TIAGORON
OLGIEDU
BOZA
AT
SŁAW
WSKIKIR
AIJOHN
ILLEJUDY
TZZADIE
HISMAIL
REJOHN
HALLMIKO
ŁAJŁOZIŃSKI
LYDIESALVAYRE
ZBIGNIEWMEN
TZELTATIANA
TOŁSTOJANDR
IEJKURKOWWIL
HELMDICHTER
ANDREWNAGO
RSKIGENEBRE
WERBOHUMIL
HRABALMICHAŁ
OLSZEWSKIALE
KSANDERJURE
WICZDONWIN
SLOWJESÚSDÍAZ
JHUMPALAHIRI
PAWEŁHUELLE
JOYCECAROL
OATESANNELA
MOTTOMASZ
JURASZRYSZARD
SADAJJUNOT
DIAZRICHARD
LOURIEMOHA
MMEDHANIF

PROZA

MARGARET
ATWOOD
ROK
POTOPU

przekład Marcin Michalski

Wydawnictwo Znak
Kraków 2010

Dla Graeme'a i Jess

Ogród

Kto pielęgnuje Ogród,
Ten Ogród tak zielony?

Był to cudowny Ogród,
W krasie nieprześcigniony.

W nim Bóg umieścił wszystko,
Co fruwa, biega i pływa,

Lecz Jego Stworzenia wybiła
Szkodników ręka chciwa.

I wszystkie darzące nas niegdyś
Kwieciami i owocem drzewa

Z pniami, z gałęzmi, z listowiem
Dziś piasek suchy zawiewa.

I wszystkie lśniące wody
Są dzisiaj mułem i błotem,

A piękne, pierzaste ptaki
Zniknęły ze swym szczebiotem.

Ogrodzie mój, porząd będzie
Los twój boleśnie mnie smucić,

Aż Ogrodnicy zdołają
Dawne Życie ci wrócić.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok Potopu

1

Rok dwudziesty piąty, Rok Potopu

Toby

Wczesnym rankiem Toby wspina się schodami na taras na dachu, żeby obejrzeć wschód słońca. Kij od mopa służy jej do utrzymywania równowagi. Winda nie działa już od dłuższego czasu. Schody są wilgotne i śliskie, a jeśli Toby się poślizgnie i upadnie, nikt jej nie podniesie.

Z pierwszymi promieniami ciepła znad pasa drzew dzielącego ją od opustoszałego miasta wznoszą się mgły. W powietrzu czuć lekki zapach spalenizny, karmelu, smoły i zjełczałego grilla, popielisty, tłusty swąd tłącego się wysypiska zlanego deszczem. Opuszczone wieże w oddali wyglądają jak szkielety dawnej rafy – wyblakłe, bezbarwne, bez życia.

Życie jednak istnieje. Ćwierkają ptaki, na pewno wróble. Ich głosy brzmią czysto i ostro, jak paznokcie stukające w szkło, nie toną już jak dawniej w zgiełku samochodów. Czy ptaki zauważają tę ciszę, brak silników? Jeśli tak, to czy są szczęśliwsze? Toby nie ma o tym pojęcia. W odróżnieniu od paru innych Ogrodników – tych z pewnym obłędem w oczach, tych, co chyba przedawkowali – nigdy nie miała złudzenia, że może rozmawiać z ptakami.

Na wschodzie coraz mocniej jaśnieje słońce, czerwieniąc siną mgiełkę nad odległym oceanem. Rozsiadłe po słupach hydroelektrycznych sępy suszą skrzydła, wachlując nimi i otwierając je niczym czarne parasole. Jeden po drugim szybują w górę unoszone

prądami powietrza. Kiedy z nagła nurkują w dół, to znak, że wypatrzyły padlinę.

Sępy są naszymi przyjaciółmi – tak nauczali niegdyś Ogrodnicy. – Oczyszczają ziemię. To niezbędne mroczne Boże Anioły cielesnego rozkładu. Pomyśl, jak byłoby strasznie, gdyby nie było śmierci!

Czy ja w to jeszcze wierzę? – zastanawia się Toby.

Jeśli się przyjrzeć z bliska, wszystko wygląda inaczej.

Na dachu stoi kilka kwietników ze zdziczałymi roślinami ozdobnymi, kilka ławek ze sztucznego drewna. Niegdyś było tu zadaszenie chroniące przed słońcem, rozkładane późnymi popołudniami, ale porwał je wiatr. Toby siedzi na ławce, obserwując teren. Podnosi lornetkę do oczu, lustruje okolicę z lewa na prawo. Droga obsadzona po bokach różoświatlikami, zaniedbanymi i przypominającymi wystrzępione szczotki do włosów, ich fioletowe lśnienie blednie we wzmagającym się świetle dnia. Wjazd od zachodu spowity w różową powłokę solarną imitującą suszoną cegłę. Za bramą bezładna płatanina samochodów.

Grządki kwiatowe stłamszone przez mlecz i łopian, nad którymi fruwać ogromne akwamarynowe ćmy kudzu. Fontanny z basenami w formie muszli świętego Jakuba wypełnionymi stojącą deszczówką. Na parkingu różowy wózek golfowy i dwa różowe minivany z NowyTy, na każdym z nich logo w kształcie mrugającego oka. W oddali na drodze kolejny minivan – po zderzeniu z drzewem. Kiedyś z jego okna zwieszało się ludzkie ramię, ale zniknęło.

Na szerokich trawnikach wybujało zielsko. Niskie, nieregularne kopczyki porosły trojeścią, przymiotnem i szczawiem. Tu i ówdzie strzęp tkaniny, połysk kości. To miejsca, gdzie padli ludzie, jedni przecinając trawnik w biegu, inni powoli, ślaniając się. Toby patrzyła wówczas z dachu przykucnięta za kwietnikiem, ale nie obserwowała ich długo. Niektórzy z tych ludzi wzywali pomocy, jakby wiedzieli, że ona tam jest. Jak jednak mogła im pomóc?

Basen kąpielowy pokrywa plamisty kożuch glonów. Pojawiły się już żaby. Na płytszym końcu polują na nie siwe i białe czaple oraz pawiape. Przez chwilę Toby próbuje wyłowić drobne zwierzęta, które wpadły do wody i utonęły. Świetliste zielone króliki, szcury, szopunksy z pasiastymi ogonami i złodziejskimi maskami szopów pracy. Ostatecznie decyduje się je zostawić. Może dzięki nim jakoś zalęgną się ryby, ale to jak basen się bardziej zabagni.

Czy zamierza zjeść te przyszłe ryby? Na pewno nie.

Na pewno jeszcze nie teraz.

Obraca się ku wznoszącej się dokoła ciemnej ścianie drzew, pnączy, liściastych i krzaczastych zarośli i lustruje ją przez lornetkę. To tam może się czaić zagrożenie. Jakie zagrożenie? Tego nie potrafi powiedzieć.

Nocą słyhać zwyczajne dźwięki: psy szczekają w oddali, chichoczą myszy, świerszcze grają jak nargile, z rzadka skrzeknie żaba. Krew huczy Toby w uszach: tu-tusz! tu-tusz! tu-tusz! Ciężka miotła zmiatająca suche liście.

„Idź spać” – mówi na głos. Nie sypia jednak dobrze, odkąd została w tym budynku sama. Czasem słyszy głosy – ludzkie głosy, wołające do niej w bólu. Albo głosy kobiet – tych, które kiedyś tu pracowały, i tych, które przyjeżdżały tu, spragnione odpoczynku i odmłodnienia. Pluskających się w basenie, spacerujących po trawnikach. Słyszy te ich różowo brzmiące głosy, kojone i kojące.

Słyszy też głosy Ogrodników, nucących coś lub śpiewających, głosy śmiejących się dzieci w Ogrodzie na budynku Edencliff. Głos Adama Pierwszego, Nuali, Burta. Starej Pilar, otoczonej obłokiem swoich pszczół. I Zeba. Jeśli ktokolwiek z nich pozostał przy życiu, to na pewno Zeb. Zjawi się lada dzień, nadejdzie ścieżką lub wyłoni się spomiędzy drzew.

Pewnie jednak już nie żyje. Lepiej się z tym pogodzić i na próżno się nie łudzić.

Ktoś jeszcze musiał jednak ocaleć. Niemożliwe, żeby została sama jedna na świecie. Muszą być jeszcze inni. Czy będą przyjaciółmi, czy wrogami? Jeśli kogoś zobaczy, po czym to poznać?

Przygotowała się. Drzwi pozamykała na klucz, okna zaabiła gwoździ. Ale takie blokady nie stanowią dostatecznego zabezpieczenia. Każda szczelina kusi intruza.

Nawet śpiąc, nasłuchuje niczym zwierzę, czy nie odkryje czegoś odbiegającego od normy, nieznanego dźwięku lub ciszy, która otworzy się jak rozpadlina w skale.

Adam Pierwszy mawiał, że kiedy małe stworzonka przerywają swój śpiew, to znak, że się boją. Trzeba szukać dźwięku, który je przeraził.

2

Rok dwudziesty piąty, Rok Potopu

Ren

Strzeż się słów. Uważaj, co piszesz. Nie pozostawiaj po sobie śladów.

Tak uczyli nas Ogrodnicy, kiedy mieszkałam z nimi jako dziecko. Mówili, że powinniśmy polegać na pamięci, bo nic, co zapisane, nie jest wiarygodne. Duch przechodzi z ust do ust, nie z rzeczy do rzeczy. Książki można spalić, papier kruszeje, komputery można zniszczyć. Tylko Duch żyje wiecznie, a Duch nie jest rzeczą.

Pismo, jak mówili Adamowie i Ewy, jest niebezpieczne, bo po nim piszącego mogą wysledzić wrogowie, mogą go wytropić i skazać na podstawie jego słów.

Teraz jednak, gdy przez świat przetoczył się Bezwodny Potop, cokolwiek napiszę, nie może mi zagrozić, bo ci, co mogliby użyć tego przeciwko mnie, najprawdopodobniej nie żyją. Mogę pisać, co mi się podoba.

Kredką do brwi na ścianie obok lustra piszę swoje imię, „Ren”. Pisałam je wiele razy, „Renrenren”, jak pieśń. Kiedy za długo jest się samym, można zapomnieć, kim się jest. Tak powiedziała mi Amanda.

Nie mogę wyrzeć przez okno, bo jest z luksferów. Nie mogę wyjść na dwór, bo drzwi są zamknięte od zewnątrz. Ale dopóki nie wysiądzie bateria słoneczna, mam jeszcze powietrze i wodę. Mam jeszcze co jeść.

Miałam szczęście. Miałam naprawdę niesamowite szczęście. Amanda zawsze mówiła: „Pamiętaj o szczęściu, które cię spotkało”.

Tak też robię. Miałam szczęście między innymi dlatego, że kiedy zaczął się Potop, pracowałam tutaj, w Łuskach. A jeszcze większym szczęściem było to, że byłam w bezpiecznym miejscu, bo zamknęli mnie w Śliskiej Strefie. Pękł mi ciałochron z biofilmu – jednego klienta poniosło i ugryzł mnie tak, że przebił się przez zielone cekiny – zrobili mi więc testy i czekałam na wyniki. To nie było pęknięcie na mokro, takie z wydzielinami i błonami. Zwykle suche pęknięcie pod łokciem, więc niczym się nie przejmowałam. Ale w Łuskach sprawdzali wszystko. Dbali o swoją reputację, bo w kwestii czystości byłyśmy znane jako najprzystwoitsze z nieprzystwoitych dziewczynek w mieście.

Jeśli dziewczyna miała talent, dostawała w Łuskach i Ogonach dobrą opiekę. Były tu dobre jedzenie, lekarz, jeśli zaszła potrzeba, i ogromne napiwki, gdyż do Łusek przychodzili mężczyźni z najpotężniejszych Korporacji. Klub był dobrze zarządzany, choć jak wszystkie inne znajdował się w dosyć zakazanej okolicy. Chodziło o *image*. Jak mawiał Mordis, szemrany klimat służy temu interesowi, bo bez czegoś ostrzejszego, czegoś krzykliwego albo sprośnego, bez odrobiny oblesności cóż różniłoby nas od przeciętnego produktu, jaki każdy facet może dostać w domu, z kremem do twarzy i białymi majtkami z bawełny?

Mordis wyrażał się bez ozdobników. Był w branży od dziecka, a kiedy zdelegalizowano stręczycielstwo i szukanie klienta na ulicy – rzekomo w trosce o zdrowie publiczne i bezpieczeństwo kobiet – i wszystko podpięto pod EroTarg, kontrolowany przez KorpuSOKorp, dzięki doświadczeniu awansował. „Wszystko zależy od tego, jakich zna się ludzi – mówił – i co się o nich wie”. Zwykle potem wyszczerzał się i klepał nas po tyłku. Ale to były tylko przyjacielskie klepnięcia. Nigdy nie brał od nas gratisów. Miał zasady.

Był zylastym facetem z wygoloną głową i czarnymi błyszczącymi ruchliwymi oczami, podobnymi do mrówczych łebków. Dopóki wszystko było okej, był wyluzowany. Ale kiedy klient stawał się nachalny, zawsze się za nami wstawiał. „Nie pozwolę krzywdzić moich najlepszych dziewczyn” – mówił. Traktował to jako punkt honoru.

Nie lubił też marnotrawstwa. Mówił, że jesteśmy drogocennym skarbem, śmietanką towarzystwa. Odkąd wszystko podłączo-

no pod EroTarg, każdy, kto został poza systemem, nie tylko łamał prawo, lecz był także pośmiewiskiem – jak te parę wyniszczonych, chorych staruch, które włóczyły się alejami, wprost zebrząc. Żaden mężczyzna, któremu została choćby odrobina mózgu, nawet by do nich nie podszedł. My, dziewczyny z Łusek, mówiłyśmy na nie „niebezpieczne odpady”. Nie powinnyśmy były tak nimi gardzić, należało im raczej współczuć. Jednak żeby umieć współczuć, trzeba się napracować, a my byłyśmy jeszcze młode.

Tamtej nocy, kiedy uderzył Bezwodny Potop, czekałam na wyniki testu. Dziewczyny w sytuacji takiej jak moja przez parę tygodni trzymano pod kluczem w Śliskiej Strefie, gdyż istniało podejrzenie, że mogły złapać coś zaraźliwego. Jedzenie dostarczano przez szczelnie izolowane podajniki, a oprócz tego była jeszcze minilodówka z przekąskami. Płyny, przychodzące i wychodzące, filtrowano. Było tam wszystko, co potrzebne, ale doskwierała mi nuda. Miałam do dyspozycji przyrządy gimnastyczne i bardzo często na nich ćwiczyłam, wszak tancerka trapezowa nie powinna wyjść z wprawy.

Można też było oglądać telewizję, stare filmy, słuchać własnej muzyki, rozmawiać przez telefon albo odwiedzać inne pokoje w Łuskach na ekranie interkomu. Czasami kiedy wykonywałyśmy numer z bzykankiem, puszczałyśmy oko do kamer w samym środku pojękiwań, żeby dodać otuchy tym, które siedziały w Śliskiej Strefie. Wiedziałyśmy, że w węzowej skórze i w piórach pod sufitem ukryte są kamery. W Łuskach wszyscy byliśmy jedną wielką rodziną i Mordis życzył sobie, żeby nawet gdy któraś trafiała do Śliskiej Strefy, zachowywała się tak, jakby wciąż we wszystkim brała udział.

Dzięki Mordisowi czułam się bezpieczna. Wiedziałam, że jeśli znajdę się w poważnych tarapatkach, mogę na niego liczyć. W moim życiu było tylko kilkoro takich ludzi: Amanda – przez większość czasu, Zeb – czasami. I Toby. Nie sądziłam, że będę wymieniać pośród nich Toby, która była taka ostra i surowa. Jednak kiedy człowiek tonie, nie powinien chwycić się czegoś, co miękkie i rozmądlane. Wtedy potrzebuje czegoś twardszego.

Święto Stworzenia Świata

Święto Stworzenia Świata

Rok piąty

O Stworzeniu i Nazywaniu Zwierząt

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współtworzenia, Drogie Współssaki!

W Święto Stworzenia Świata pięć lat temu nasz Ogród na Dachu Edenciliff był spalonym słońcem pustkowiec pośród zgniłych slumsów i siedlisk występku. Teraz jednak rozkwitł naszym róża.

Pokrywając takie bezużyteczne dachy zielenią, w drobnej mierze przyczyniamy się do odkupienia Bożego Dzieła Stworzenia z otaczającego nas rozkładu i nieurodzaju, a jednocześnie możemy żywić się nieskażonym pokarmem. Niektórzy nazwą nasz wysiłek daremnym, lecz gdyby wszyscy poszli za naszym przykładem – jaka zmiana dokonałaby się na naszej drodze Planecie! Przed nami jeszcze ogrom ciężkiej pracy, lecz nie lękajcie się, Przyjaciele! – albowiem nieustraszenie będziemy podążać naprzód.

Cieszę się, że wszyscy przyszli w kapeluszach przeciwsłonecznych.

Zwróćmy teraz myśli ku naszemu corocznemu nabożeństwu z okazji Święta Stworzenia Świata.

Człowiecze Słowa Boga mówią o Dziale Stworzenia za pośrednictwem pojęć, które miały być zrozumiałe dla ludzi z odległej przeszłości. Nie ma tam mowy o galaktykach ani genach, wyrażenia takie wywołałyby bowiem wielki zamęt w ówczesnych umysłach! Lecz czyż z tego powodu mamy za naukowy fakt uznać opowieść, że świat został stworzony w ciągu sześciu dni, a dane

obserwacyjne nazwać bzdurą? Boga nie da się zamknąć w wąskich, dosłownych i materialistycznych interpretacjach ani mierzyć Go Ludzką miarą, albowiem Jego dni to eony, a tysiąc wieków naszego czasu to dla Niego jeden wieczór. W odróżnieniu od innych religii, my nigdy nie twierdziliśmy, że dla jakichś szczytnych celów trzeba uczyć dzieci zafalszowanej geologii.

Przypomnijcie sobie, jak brzmi początek owych Człowieczych Słów Boga: Ziemia jest bezładem i pustkowiem, a Bóg słowem powołuje do istnienia Światłość. Nauka określa ten moment mianem „Wielkiego Bum!”, jakby to była seksualna orgia. W zasadzie obie te relacje są ze sobą zbieżne: Ciemność, a potem w jednej chwili Światłość. Nie ma jednak wątpliwości, że Stworzenie dokonuje się nieustannie, bo czyż z każdą chwilą nie powstają nowe gwiazdy? Przyjaciele, dni Boże nie następują jeden po drugim, lecz biegają równoległe do siebie, pierwszy obok trzeciego, czwarty obok szóstego. Powiada się nam: „Stwarzasz je, gdy ślesz swego Ducha i odnawiasz oblicze Ziemi”.

Powłada się nam również, że piątego dnia Bożego Dzieła Stworzenia wody wydały z siebie Istoty żywe, a dnia szóstego suchy ląd zapełnił się Zwierzętami, Drzewami i innymi Roślinami. Wszystkie je Bóg pobłogosławił i wszystkim polecił się mnożyć. Na końcu został stworzony Adam, czyli Ludzkość. Według Nauki to właśnie w takiej kolejności na planecie pojawiły się gatunki: Człowiek na samym końcu. Mniej więcej w takiej właśnie kolejności, a w każdym razie w dość podobnej.

Co dzieje się dalej? Bóg przyprowadza Zwierzęta przed Człowieka, „aby zobaczyć, jak je nazwie”. Dlaczego Bóg już wtedy nie wiedział, jakie nazwy wybierze Adam? Jedyna sensowna odpowiedź jest taka, że Bóg dał Adamowi wolną wolę i dlatego Adam może zrobić coś, czego Sam Bóg nie potrafi z góry przewidzieć. Pomyślcie o tym, kiedy następnym razem odczujecie pokusę mięsożerstwa lub materialnego dostatku! Nawet Bóg czasem nie wie, co zamierzacie uczynić!

Aby zebrać wszystkie Zwierzęta, Bóg musiał do nich przemówić. W jakim języku to uczynił? Moi Drodzy, to nie był hebraj-

ang. *Big Bang*
może oznaczać
zarówno „Wielki
Wybuch”, jak
i „wielkie różnice”
(przyp.
tłum.)

ski. Nie była to łacina ani greka, ani język angielski, ani francuski, ani hiszpański, ani arabski, ani chiński. Nie. Bóg zwołał Zwierzęta w ich własnych językach. Do Renifera mówił po reniferzemu, do Pająka po pajęczemu, do Słonia w języku słoniowym, do Pchły w języku pchlim. Do Stonogi przemawiał po stonożemu, do Mrówki po mrówczemu. Tak to musiało wyglądać.

A co się tyczy samego Adama, Nazwy, które nadał on Zwierzętom, były pierwszymi wypowiedzianymi przezeń słowami, zaczątkiem Ludzkiej mowy. W tym momencie o kosmicznym znaczeniu Adam sięgnął po swą Człowieczą duszę. Dla nas wypowiedzenie Imienia jest pozdrowieniem, przybliżeniem innego ku sobie. Wyobraźmy sobie Adama, który czule i radośnie wywołuje Nazwy Zwierząt, jak gdyby mówił: Tu jesteś, moje najdroższe! Witaj! Tak więc pierwsze zetknięcie Adama ze Zwierzętami naznaczone było czułością, miłością i bliskością, albowiem przed swym upadkiem Człowiek nie był mięsożercą. Zwierzęta wiedziały o tym i nie uciekały przed nim. Tak zapewne wyglądał ów niepowtarzalny Dzień: przepojone pokojem zgromadzenie, w którym Człowiek otoczył miłością wszystkie żywe Istoty na Ziemi.

Ileż od tamtego czasu utraciliśmy, Drogie Współssaki, Drodzy Współmiertelnicy! Ileż świadomie zniszczyliśmy! Ileż musimy przywrócić do istnienia, również w nas samych!

Przyjaciele, czas Nazywania jeszcze się nie zakończył. Być może mierząc Bożą miarą, wciąż jeszcze mamy dzień szósty. W ramach Medytacji wyobraźcie sobie, że doświadczacie pełni spokoju w owej kojącej chwili. Wyciągnijcie ręce ku tym łagodnym oczom, które patrzą na was z taką ufnością – ufnością niezbrukaną rozlewem krwi, chciwością, pychą, pogardą.

Wypowiedzcie ich Nazwy.

Zaśpiewajmy.

Gdy w pięknym siedlisku

Gdy w pięknym siedlisku w Adama
Dusza została tchnięta,
Żył, spoglądając na Boże oblicze,
Z nim – w zgodzie wszystkie Zwierzęta.

Duch Ludzki dobył się z mową,
By nazwać Boże Stworzenia –
Bóg wezwał je wszystkie pospołu
I przyszły bez lęku ni drzenia.

Hasając, śpiewając, skacząc,
Głosiły wszystkie chwałę
Stworzenia, co wypełniło
Te pierwsze dni wspaniałe.

Lecz Człowiek blask siewu Bożego
Zadusił dziś i osłabił,
Bo z żądzzy zniszczył Wspólnotę,
Udręczył ją i ograbił.

Jak dawną przywrócić miłość?
Stworzenia, cierpiące tak wiele –
Nazwiemy was w naszych sercach,
Powieśmy znów: „Przyjaciele!”

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

3

Rok dwudziesty piąty

Toby. Dzień Podokarpa

Świta. Jest przełom nocy i dnia. Toby odmienia słowo na różne sposoby: przełom, przełamać, przełamany. Co przełamuje się o świcie? Noc? Czy może słońce, rozcięte horyzontem na dwie połówki niczym jajko, z którego wycieka światłość?

Toby podnosi lornetkę do oczu. Drzewa wyglądają niewinnie jak zawsze, ale Toby ma wrażenie, że jest obserwowana, jak gdyby jej obecność wyczuwały nawet martwe kamienie i pnie i nie życzyły jej dobrze.

Takie są efekty przebywania w samotności. Zaznajomiła się z nimi podczas Czuwań i Rekolekcji u Bożych Ogrodników. Falujący pomarańczowy trójkąt, gadające świerszcze, drgające kolumny roślinności, oczy wśród liści. Jak jednak odróżnić miraż od rzeczywistości?

Słońce, mniejsze, lecz silniej przygrzewające, stoi już w zenicie. Toby schodzi z dachu, odziewa się w swój różowy kombinezon, spryskuje się odstraszającym owady SuperD i poprawia różowy przeciwsłoneczny kapelusz z szerokim rondem. Odblokowuje drzwi wejściowe i wychodzi zająć się ogrodem. Kiedyś uprawiano tu ekologiczne sałatki dla klientek, które spożywały je w przynależnym do ośrodka barku. Specjalnie dla nich rosły tu garnirunki, egzotyczne kompozyty jarzyn i herbatki ziołowe. Nad głową

zwiesza się siatka chroniąca przed ptakami. Druciane ogrodzenie ma utrudnić zadanie zielonym królikom, kotrysiom i szopunksom, które chciałyby przedostać się tu z Parku. Przed Potopem nie były zbyt liczne, teraz mnożą się jednak w zadziwiająco szybkim tempie.

Toby pokłada w tym ogrodzie nadzieje, wyczerpuje się bowiem zawartość jej magazynu. W ciągu lat zgromadziła zapasy, które jej zdaniem powinny wystarczyć w podobnej sytuacji – lecz przeliczyła się i oto kończą się wiórki sojowe i sojdynki. Na szczęście w ogrodzie wszystko jest jak należy: kokorzyca dostaje strąków, zakwitły bóbanany, krzaki polirzeczkowe okryły się brązowymi gronkami różnych kształtów i wielkości. Toby zrywa nieco szpinaku, strąca z niego opalizujące zielone żuczki i rozdeptuje je. Poczawszy wyrzut sumienia, kciukiem wyciska dla nich grób w ziemi i wypowiada prośbę o oswobodzenie duszy i przebaczenie. Nikt wprawdzie na nią nie patrzy, lecz głęboko wpojonych nawyków niełatwo się pozbyć.

Translokuje parę ślimaków, wrywa kilka chwastów. Portulakę zostawia, kiedyś będzie można ugotować ją na parze. Na młodej naci marchwi znajduje dwie jasnobłękitne gąsienice ciem kudzu. Wygenerowano je po to, by w sposób biologiczny ograniczyć pleńiące się pnącza kudzu, ale najwyraźniej ogrodowe warzywa smakują im lepiej. Ich projektant dla żartu – w pierwszych latach stosowania kompozycji genów było to dość częste – umieścił im na łebkach dziecięce twarzyczki z wielkimi oczami i radosnym uśmiechem, przez co trudniej było je zabijać. Toby ściąga je z marchwi – ich żuchwy poniżej masek słodkich dzieciątek nie przerywają łapczywego żucia – rozwiera siatkę na złożeniu i wyrzuca je poza ogrodzenie. Na pewno przyjdą tu z powrotem.

Wracając do budynku, Toby znajduje przy ścieżce ogon psa, zdaje się setera irlandzkiego. Długa sierść upstrzona jest rzepami i gałązkami. Pewnie zgubił go jakiś sęp, one bez przerwy coś gubią. Toby stara się nie myśleć o innych rzeczach, które sępy gubiły przez pierwsze tygodnie po Potopie. Najgorsze były palce od rąk.

Jej dłonie stały się grubsze, sztywne i brunatne jak korzenie. Za dużo kopie w ziemi.

Rok dwudziesty piąty

Dzień świętego Bashira Alouse'a

Kąpiel bierze wczesnym rankiem, kiedy słońce nie grzeje zbyt mocno. Na dachu trzyma wiadra i miski, do których zbiera deszczówkę z popołudniowych burz. Spa ma własną studnię, lecz odkąd wysiadło zasilanie słoneczne, nie działają pompy. Pranie również robi na dachu, rzeczy suszy rozłożone na ławkach. Brudną wodą spłukuje toaletę.

Namydla się – zostało jeszcze mnóstwo różowego mydła – i szoruje gąbką. Zmniejsza mi się ciało, myśli. Marszczę się. I kurczę. Tylko patrzeć, jak zostanie ze mnie skórka przy paznokciu. Tak naprawdę zawsze była raczej chuda: „Tobiatho – zazdrościły jej kobiety – chciałabym mieć taką figurę jak ty!”

Wyciera się, wkłada różowy fartuch z napisem „Melody”. Teraz, gdy nie ma już kto czytać etykietek, nie ma sensu się nimi przejmować, więc zaczęła nosić fartuchy innych: Anity, Quintany, Ren, Carmel, Symphony. Dziewczyn, które były takie wesołe, takie pełne nadziei. Z wyjątkiem Ren. Ren była smutna. Ale Ren odeszła wcześniej.

Gdy zaczęły się te problemy, odeszły wszystkie. Wróciły do domów, żeby być z bliskimi. Wierzyły, że miłość je ocali. „Idźcie – powiedziała im Toby – ja pozamykam”. I pozamykała, zostając w środku.

Myje swoje długie ciemne włosy, które upina potem w mokry kok. Koniecznie musi je skrócić, są gęste i przez to jej za gorąco. Na dodatek śmierdzą jak baranina.

Gdy suszy włosy, słyszy dziwny odgłos. Ostrożnie podchodzi do obiegającej dach balustrady. Wokół basenu ryją trzy ogromne świnie – dwie lochy i knur. Światło poranka oświetla ich krągłe sinoróżowe kadłuby, błyszczące jak ciała zapaśników. Są zbyt duże i pulchne, by były normalne. Widziała już takie świnie na łące, ale tak blisko nigdy nie podchodziły. Pewnie uciekły z jakiejś hodowli doświadczalnej.

Stały przy płytszym końcu basenu, gapią się weń jakby w zamysłeniu, potrząsając ryjami. Być może wietrzą martwego szopunksa unoszącego się na powierzchni pokrytej szumowiną wody. Będą próbowały go wyłowić? Pochrzążają między sobą, potem się wycofują. Widocznie uznały, że nawet na ich gust szopunks za bardzo się już rozłożył. Zatrzymują się, by po raz ostatni wciągnąć zapach, i truchtając, znikają za załomem budynku.

Toby śledzi je, idąc wzdłuż balustrady. Natrafiły na płot otaczający ogród, zaglądają do środka. Jedna ze świń zaczyna ryc. Chcą przekopać się dołem.

– Wynocha mi stąd! – woła do nich. Patrzą na nią z lekceważeniem.

Toby rzuca się ku schodom. Zbiega co sił w nogach, uważając, by się nie poślizgnąć. Idiotka! Nie powinna się nigdzie ruszać bez karabinu. Wyciąga go spod łóżka, pędzi z powrotem na dach. Bierze na cel jedną ze świń. To knur. Łatwo trafić, ustawił się bokiem, ale Toby się waha. To Stworzenia Boże. Adam Pierwszy mówił: „Nigdy nie zabijaj bez słusznego powodu”.

– Ostrzegam! – wrzeszczy Toby. O dziwo, świnie jakby ją rozumiały. Pewnie widziały już broń, miotacz albo paralizator. Wydawszy kwik przerażenia, odwracają się i rzucają do ucieczki.

Gdy przebiegły ćwierć długości łąki, Toby zdała sobie sprawę, że kiedyś wróca. Przekopią się w nocy i w mig zryją jej ogród tak, że nic z niego nie zostanie. A to będzie oznaczać, że zniknie źródło zaopatrzenia w żywność. Musi je zastrzelić, to obrona konieczna. Wypala raz. Pudłuje. Próbuje ponownie. Pada knur. Samice nie przerywają ucieczki. Dopiero gdy dobiegają do skraju lasu, odwracają się i spoglądają. W końcu wtapiają się w gąszcz i znikają.

Toby trzęsą się ręce. Zgasiłaś życie, mówi do siebie. Postąpiłaś nierozważnie, pod wpływem gniewu. Powinnaś czuć się winna. Mimo to zastanawia się, czy nie wziąć kuchennego noża i pójść oderznąć szynkę. Po przyłączeniu się do Ogrodników złożyła Śluby Wegańskie, ale w tej chwili perspektywa kanapki z bekonem to silna pokusa. Powstrzymuje się jednak: białko zwierzęce jest wyjściem ostatecznym.

Szepce zwyczajową formułkę Ogrodniczych przeprosin, choć nie czuje się skruszona. Nie dość skruszona.

Powinna poćwiczyć strzelanie do celu. Mierzyła, spudłowała; pozwoliła uciec maciorom – niezdara.

Przez ostatnie tygodnie nie zwracała sobie głowy karabinem. Teraz jednak obiecuje sobie, że będzie go targać ze sobą wszędzie, nawet do kąpieli na dachu, nawet do toalety. I do ogrodu – zwłaszcza do ogrodu. Świnie są inteligentne, zapamiętają ją, nie przepuszczą jej. Czy wychodząc, powinna zamykać drzwi na klucz? A jeśli do budynku będzie trzeba wracać biegiem? Jednakże, jeśli zostawi drzwi otwarte i pójdzie pracować w ogrodzie, ktoś lub coś może się przez nie wślizgnąć i czekać na nią w środku.

Musi brać pod uwagę każdą możliwość. „Araratu, którego mur nie grodzi, Araratem zwać się nie godzi – jak chętnie śpiewali Ogrodnicy. – Mur niezdatny do obrony runie, nim będzie ukończony”. Ogrodnicy uwielbiali pouczające rymowanki.

Toby wybrała się po karabin kilka dni po pojawieniu się pierwszych ognisk. Było to w nocy po tym, jak dziewczyny, zrzuciwszy różowe fartuchy, uciekły z NowyTy.

To nie była zwyczajna pandemia, dająca się opanować po paruset tysiącach zgonów i zlikwidować za pomocą bionarzędzi i środków dezynfekujących. To był Bezwodny Potop, przed którym tylekroć przestrzegali Ogrodnicy. Potwierdzały to wszystkie oznaki: rozprzestrzeniał się z wiatrem jak na skrzydłach, przepalał miasta niczym ogień, pozostawiał po sobie tłumy zainfekowanych, przerażenie i jatki. W coraz to nowych miejscach gasły światła, coraz trudniej było o jakiegokolwiek wiadomości: sieci ulegały awariom, bo wymierały obsługujące je załogi. Wszystko wskazywało na totalną katastrofę, dlatego Toby potrzebowała karabinu – którego posiadanie było zabronione. Jeszcze tydzień wcześniej ktoś złapany z taką bronią poniósłby tragiczne konsekwencje, teraz jednak przepisy były bez znaczenia.

Wyprawa wiązała się ze sporym ryzykiem. Będzie musiała przejść pieszo do swojej dawnej plebsopolii – komunikacja nie będzie działać – i odnaleźć szpetny dwupoziomowy domek, który przez krótki czas należał do jej rodziców. Wtedy będzie trzeba wykopać karabin, licząc na to, że nikt jej przy tym nie zobaczy.

Samo przebycie drogi nie powinno sprawić jej problemu, nadal była w formie. Problemem będą ludzie. Według wiadomości,

które z przerwami docierały do niej przez telefon, wszędzie wybuchały zamieszki.

Wyszła z budynku spa o zmierzchu, zamykając za sobą drzwi na klucz. Przeciwny rozległy trawnik, skierowała się ku bramie północnej. Szła leśną ścieżką, którą niegdyś klientki chadzały na spacer w cieniu. Tu nie była zanadto widoczna, choć przy dróżce nadal świeciło się parę lampek. Nie trafiła na nikogo. Tylko zielony królik pokicał między krzewy, a drogę przeciął jej kotryś spoglądający na nią pelgającymi oczami.

Brama wjazdowa była uchylona. Przepchnęła się przez nią niepewnie, obawiając się zagrożenia. Ruszyła przez Park Dziedzictwa. Pojedynczo i w grupach mijali ją śpieszący się ludzie, którzy chcieli wydostać się z miasta, w nadziei że uda im się przejść przez moloch plebsopolii i schronić na wsi. Tędy posłyszła kaszel, kwilenie dziecka. Niemal potknęła się o kogoś leżącego na ziemi.

Nim dotarła na skraj Parku, zrobiło się ciemno choć oko wykol. Szła od drzewa do drzewa, nie wychylając się z mroku. Na bulwarze tłoczyły się samochody, ciężarówki, motocykle solarne i autobusy, których kierowcy trąbili i wrzeszczeli bez ustanku. Niektóre pojazdy leżały wywrócone i płonęły. W sklepach pełną parą szło plądrowanie. Próżno było szukać ludzi z KorpuSOKorpu. Pewnie ratując własną skórę, ulotnili się pierwsi i schronili w szczelnie odgradzonych twierdzach Korporacji, gdzie – jak miała nadzieję – zanieśli śmiertelnego wirusa.

Gdzieś rozległy się strzały. A więc ludzie już rozkopali ogródki, pomyślała Tędy. Nie ona jedna miała karabin.

Na końcu ulicy stała barykada z ciasno ustawionych samochodów, która miała też swoich obrońców, nie wiadomo w co uzbrojonych. O ile Tędy była w stanie dostrzec, były to metalowe rurki. Rozwścieczony tłum wrzeszczał w ich kierunku, miotając cegły i kamienie: ludzie chcieli przejść, chcieli uciec z miasta. Czego chciała załoga barykady? Zapewne chciała plądrować i gwałcić, chciała pieniędzy i innych bezużytecznych rzeczy.

Adam Pierwszy mówił, że gdy uderzy Bezwodny Potop, ludzie będą próbowali ratować się przed utonięciem. Będą się

chwycić ostatniej deski ratunku. Przyjaciele, strzeżcie się, byście nie byli tą deską, bo jeśli się was chwycą lub choćby dotkną, wy również utoniecie!

Toby oddaliła się od barykady. Będzie musiała ją okrążyć. Wycofała się w mrok, przekradając się za listowiem, idąc obrzeżami Parku. Dotarła do otwartej przestrzeni, gdzie Ogrodnicy urządzali swoje targi i gdzie stał gliniany domek, w którym niegdyś bawiły się dzieci. Ukryła się za nim, czekając, aż coś odwróci uwagę innych. Wkrótce zdarzyła się jakaś kolizja, zaraz potem dał się słyszeć wybuch i korzystając z tego, że wszystkie głowy były zwrócone w tamtym kierunku, powolutku przeszła przez zaporę. Zeb nauczał, że najlepiej nie uciekać biegiem. Jeśli uciekasz i biegiesz, jako ofiara polegiesz.

Boczne ulice do tego stopnia były zapchane ludźmi, że Toby musiała robić uniki, by na nikogo nie wpaść. Miała na sobie rękawice chirurgiczne, kamizelkę kuloodporną z jedwabiu wytwarzanego przez pająka skrzyżowanego z kozą – zwędziła ją jakiś rok temu ochronie NowyTy – i czarny filtr na nos. Z ogrodowej szopy zabrała łopatę i łom – jeśli machnąć nimi zdecydowanie, mogły być śmiertcionośnym orężem. W kieszeni miała buteleczkę sprayu do włosów „Blask Absolutny NowyTy”, którym można było dotkliwie razić w oczy. Na zajęciach z minimalizacji rozlewu krwi w mieście Zeb nauczył ją wielu przydatnych rzeczy. Uczył, że przede wszystkim należy dążyć do zminimalizowania rozlewu własnej krwi.

Kierowała się na północny wschód, przecinając ekskluzywną dzielnicę Fernside, następnie Pudło, odznaczające się małymi, byle jak zbudowanymi domami. Przemykała się najwęższymi zaułkami, tymi, które były słabo oświetlone i mniej zatłoczone. Minęło ją kilka osób zajętych własnymi sprawami. Gdy opodal zatrzymało się dwóch nastolatków chcących najwyraźniej podjąć próbę rabunku, Toby zaczęła kaszleć i wychrypiała: „Pomocy!”, a wtedy dali nogę.

Około północy, skręciwszy kilkakrotnie w niewłaściwą ulicę – wszystkie drogi w Pudle były do siebie podobne – dotarła do

dawnego domu rodziców. Nie paliło się w nim światło, brama garażu stała otwarta, okno frontowe było wybite, uznała więc, że jest pusty. Obecni właściciele albo byli martwi, albo przebywali gdzieś indziej. To samo dotyczyło domu sąsiedniego, tego, przy którym zakopany był karabin.

Przystanąła na chwilę, by się uspokoić, wsłuchując się w pulsowanie krwi w głowie: tu-tusz! tu-tusz! tu-tusz! Karabin albo tu nadal jest, albo go nie ma. Jeżeli jest, Toby zdobędzie karabin. Jeżeli go nie ma, Toby nie zdobędzie karabinu. Nie ma powodu do paniki.

Ukradkiem, niczym złodziej, otworzyła furtkę do ogródka sąsiadów. Ciemność i bezruch. Woń kwiatów nocnych, lilii i tytoniu mieszała się z zapachem czegoś, co płonęło kilka przecznic dalej. Widać było łunę pożaru. Znienacka w twarz Toby pacnęła ćma kudzu.

Wetknęła łom pod płytę, podważyła ją, ujęła za krawędź i odchyliła. Potem drugą i trzecią. Trzy płyty. Zaczęła pracować łopatą.

Łomotanie serca. Jedno za drugim.

Jest.

„Nie płacz – powiedziała do siebie. – Rozedrzyj folię, bierz karabin, naboje i wiesz stąd”.

Powrót do NowyTy zabrał jej trzy dni – musiała omijać co gwałtowniejsze zamieszki. Na schodach wejściowych zobaczyła błotniste odciski stóp, ale do środka nikt się nie włamał.

6

Jej karabin to prymitywna broń: ruger 99/44 deerfield. Był własnością jej ojca, który nauczył ją strzelać, gdy miała dwanaście lat – dawno temu, w czasach, które dziś zdają się chwilą technikolorowego odlotu wywołanego określonymi grzybkami. „Celuj w środek ciała – uczył. – Nie marnuj czasu na głowę”. Mówił, że ma na myśli zwierzęta.

Mieszkali prawie na wsi, zanim rozrastające się miasto nie zagarnęło i tego kawałka przestrzeni. Wokół ich białego domu o drewnianej konstrukcji rosło nieco ponad trzy hektary drzew, wśród których żyły wiewiórki i pierwsze zielone króliki. Szopunksów wtedy jeszcze nie było, zmontowano je później. Było też całe mnóstwo jeleni, które wchodziły matce do warzywniaka. Toby strzelała do nich czasem i pomagała przy ich oprawianiu. Wciąż jeszcze pamięta zapach i śliskość połyskujących wnętrzości. Potem jedli duszoną jeleninę, z kości matka gotowała zupę. Zazwyczaj jednak Toby strzelała z ojcem do puszek i szczurów na wysypisku – wtedy jeszcze istniało wysypisko. Dużo trenowała i ojcu się to podobało. „Świetny strzał, kolego!” – chwalił ją.

Czy chciał mieć syna? Być może. Tak czy owak, twierdził, że każdy powinien umieć strzelać. Ludzie z jego pokolenia uważali, że w razie problemów wystarczyło kogoś zastrzelić i sprawa załatwiona.

Z czasem KorpuSOKorp zakazał posiadania broni palnej w trosce o bezpieczeństwo publiczne, zastrzegając sobie prawo używania świeżo opracowanych miotaczy. W ten sposób z dnia na dzień ludność stała się oficjalnie bezbronna. Ojciec Toby zakaupał wówczas karabin i zapas amunicji pod stosem starych sztachel i pokazał jej miejsce, by wiedziała, gdzie szukać, kiedy go będzie potrzebować. KorpuSOKorp mógł znaleźć broń, posługując się wykrywaczami metalu – krążyły plotki, że robił naloty na prywatne domy – ale wszędzie zajrzeć nie mógł. Zresztą ojciec z punktu widzenia KorpuSOKorpu był nieszkodliwy. Sprzedawał instalacje klimatyzacyjne. Był szarym żuczkiem.

Jakiś czas potem ich ziemią zainteresował się deweloper. Złożył korzystną ofertę kupna, ale ojciec Toby nie chciał sprzedać domu. Mówił, że dobrze mu się mieszka w tym miejscu. To samo powiedziała matka, która w pobliskiej galerii handlowej prowadziła sklep franczyzowy z suplementami diety ZdrowoTechu. Odrzucili drugą ofertę, potem trzecią. „Zabudujemy was” – groził deweloper. Ojciec Toby odparł, że jak dla niego, nie ma problemu. Na tym etapie chodziło już o zasady.

Wydawało mu się, że świat wciąż jest taki jak pięćdziesiąt lat wcześniej, myśli Toby. Nie powinien był aż tak się upierać. Już wtedy KorpuSOKorp konsolidował swoją władzę. Zaczęli jako prywatna firma ochroniarska świadcząca usługi Korporacjom, później przejęli funkcje lokalnej policji, która upadła z braku funduszy. Z początku ludziom to się podobało, bo Korporacje płaciły. Teraz jednak macki KorpuSOKorpu sięgały wszędzie. Ojciec źle zrobił, że nie ustąpił.

Najpierw stracił pracę w korporacji produkującej klimatyzację. Znalazł drugą – sprzedawał okna dwuszybowe, ale za to płacili mniej. Tymczasem matka Toby zapadła na jakąś dziwną chorobę. Było to zupełnie niezrozumiałe, bo zawsze niezmiernie dbała o zdrowie: robiła gimnastykę, jadła dużo warzyw, codziennie na wzmocnienie tężyzny zażywała dawkę suplementów VitalVita ze ZdrowoTechu. Jak wszyscy właściciele francyz dostawała przydział suplementów w postaci pakietu o składzie dopasowanym do

indywidualnych potrzeb. Nie różnił się on od pakietów dla pracowników ZdrowoTechu z wyższych szczebli.

Choć zwiększyła dawkę suplementów, słabła, mąciło się jej w głowie, szybko traciła na wadze. Wyglądało to tak, jakby jej ciało zwróciło się przeciwko niej. Lekarze nie potrafili postawić diagnozy mimo licznych testów, którym poddano ją w klinice ZdrowoTechu. Tam zainteresowali się nią jako lojalną konsumentką ich produktów. Zapewnili jej specjalną opiekę, przydzielili własnych lekarzy. Za to trzeba było jednak zapłacić i nawet ze zniżką dla członków Francyzowej Rodziny ZdrowoTechu było to sporo pieniędzy. A ponieważ przypadłość nie została nazwana, odmówiono jej pokrycia kosztów ze skromnego ubezpieczenia zdrowotnego. Nikt, kto nie był bez grosza przy duszy, nie dostawał zwrotu kosztów leczenia z pieniędzy publicznych.

Co wcale nie oznacza, że ludzie lubili chodzić do tych śmieciarni, wspomina Toby. Jedyna rzecz, jaką tam z człowiekiem robiono, to przyciskano mu język palcem, przekazywano parę zarasków i wirusów, których dotąd nie miał, i odsyłano do domu.

Ojciec Toby zaciągnął drugi kredyt hipoteczny i łądował forszę w lekarzy, leki, wynajęte pielęgniarki i szpitale. Mimo to matka nikła w oczach.

Musiał więc sprzedać biały dom z drewnianą konstrukcją za cenę o wiele niższą od oferowanej na początku. Dzień po transakcji buldożery zrównały wszystko z ziemią. Ojciec kupił nowy dom, malutki dwupoziomowiec na nowym osiedlu, które ludzie nazywali Pudłem, bo ze wszystkich stron otaczały je ściany wielkich sklepów. Wykopał spod sztachet karabin, przemycił go do nowego domu i tam go zakopał na nowo, tym razem pod płytami w zapuszczonym ogródku z tyłu budynku.

Stracił pracę sprzedawcy okien, bo brał za dużo wolnego z powodu choroby żony. Musiał sprzedać samochód solarny. Następnie, jeden po drugim, znikły meble. Wiele za nie nie dostał. „Ludzie potrafią wywąchać, że ktoś jest w tarapatkach – powiedział Toby. – I wykorzystują to”.

Rozmowa ta odbyła się przez telefon, bowiem pomimo pustek w rodzinnym budżecie Toby udało się dostać na studia. Otrzymała marne stypendium z Akademii imienia Marthy Graham, do którego dorabiała, pracując jako kelnerka w studenckiej kafeterii. Wolałaby wrócić do domu i pomagać przy matce, którą odesłano ze szpitala i która nie będąc w stanie chodzić po schodach, musiała spać na kanapie na dole, ale ojciec się nie zgodził: Toby powinna zostać na studiach, bo w niczym nie mogła pomóc.

W końcu trzeba było wystawić na sprzedaż nawet ten tandetny domek w Pudle. Kiedy Toby przyjechała do domu na pogrzeb matki, na trawniku widniała tabliczka ze stosownym ogłoszeniem. Z ojca został już tylko wrak. Upokorzenia, cierpienie i niepowodzenia gnębiły go tak długo, aż niemal doszczętnie go zniszczyły.

Pogrzeb matki był krótki i przygnębiający. Po ceremonii Toby usiadła z ojcem w ogołoconej kuchni. Wypili na spółkę sześciopak. Toby dwie, ojciec cztery puszki. Kiedy Toby położyła się spać, ojciec poszedł do pustego garażu, wetknął sobie w usta lufę rugera i pociągnął za spust.

Usłyszawszy strzał, Toby wiedziała, co się stało. Widziała, że karabin stał w kuchni za drzwiami. Ojciec musiał mieć jakiś powód, by go wykopać, lecz wolała nie wyobrażać sobie jaki.

Nie miała siły, by zmierzyć się ze sceną w garażu. Leżała w łóżku, wybiegając myślami w przyszłość. Co robić? Jeśli powiadomi odpowiednie instytucje, choćby lekarza czy pogotowie, zobaczą ranę od postrzału i spytają o karabin. Jako córka kogoś, kto posiadając zakazaną broń, był bezspornie przestępcą, Toby znajdzie się w biedzie. To wersja najłagodniejsza. Bo mogą ją oskarżyć o zabójstwo.

Po upływie kilku – jak jej się zdawało – godzin zmusiła się do wstania. Kiedy weszła do garażu, starała się zbytnio nie przyglądać. To, co zostało z ojca, zawięła w koc, następnie w mocne plastikowe worki na śmieci, okleiła taśmą izolacyjną i pogrzebała pod płytami na podwórku. Czuła się przy tym strasznie, ojciec jednak zrozumiałby tę decyzję. Był człowiekiem praktycznym, choć w głębi też sentymentalnym – szopę miał pełną narzędzi elektrycznych, ale

na urodziny przynosił róże. Gdyby był tylko praktyczny, pomazszerowałby do szpitala z dokumentami rozwodowymi pod pachą, jak wielu mężczyzn, których żony dotyka zbyt wycieńczająca i zbyt kosztowna choroba. Pozwoliliby, żeby jej matkę wyrzucono na bruk. Pozostałby wypłacalny. Ale nie zrobił tak. Wydał na nią wszystkie pieniądze.

Toby nie przykładała specjalnej wagi do tradycyjnej religii, tak jak zresztą pozostali członkowie jej rodziny. Chodzili do pobliskiego kościoła, bo chodzili do niego sąsiedzi, a niechodzenie mogłoby zaszkodzić interesom. Słyszała jednak, jak ojciec prywatnie i po paru głębszych mówił, że na ambonach jest za dużo oszustów, a w ławach za dużo frajerów. Mimo to szeptem zmówiła nad płytami krótką modlitwę: *Z prochu w proch*. Po czym wypełniła szczeliny piaskiem.

Owinęła karabin folią i zakopała go w ogródku sąsiedniego domu, który sprawiał wrażenie opuszczonego: okna były ciemne, ani śladu samochodu. Może zajął go komornik. Uznała, że tak właśnie jest, i zdecydowała się wtargnąć na cudzą posesję, wiedziała bowiem, że jeśli na miejscu pochówku ojca osiadzie ziemia, mogliby przekopać podwórze i znaleźliby karabin. A nie chciała go stracić. „Nigdy nie wiadomo, kiedy ci się przyda” – mawiał ojciec. I miał rację: nigdy nie wiadomo.

Być może któryś z sąsiadów widział ją, jak kopie w ciemności, lecz była spokojna o to, że się nie wygada. Nikt nie zechce ściągać gromów na własne podwórko, zapewne także kryjące w sobie broń.

Wodą z węża zmyła krew z garażowej posadzki, potem wzięła przysnic. Położyła się spać. Leżała w ciemnym pokoju, chciało jej się płakać, lecz nie czuła nic oprócz zimna. Choć wcale nie było zimno.

Żeby sprzedać dom, musiałaby ogłosić, że stała się jego właścicielką wskutek śmierci ojca, i w ten sposób zwalić sobie na głowę całą górę uciążliwych nieprzyjemności. Na przykład pytań o to, gdzie są zwłoki i skąd się one wzięły. Toteż nad ranem po skromnym śniadaniu włożyła naczynia do zlewu i wyszła z domu. Nie wzięła ze sobą walizki. Cóż miałyby w niej zabrać?

KorpuSOKorp najprawdopodobniej nie zada sobie trudu poszukiwania jej. W całej sprawie nie było dla nich nic ciekawego: tak czy owak, dom przypadnie jednemu z korporacyjnych banków. Jeżeli jej zniknięcie kogoś by zainteresowało, na przykład uczelnię – gdzie jest? czy zachorowała? miała wypadek? – KorpuSOKorp rozgłosi, że ostatni raz widziano ją z jakimś objazdowym alfonsem, szukającym świeżego narybku. Tylko tego można się spodziewać po kimś w jej sytuacji, po młodej kobiecie w beznadziejnych tarapatach finansowych, bez prominentnych krewnych, bez oszczędności na czarną godzinę, bez funduszu powierniczego, bez jakiegokolwiek zabezpieczenia. Ludzie pokręcą głowami – to wstyd, ale co zrobić – przynajmniej posiada coś, co ma jakąś wartość rynkową, a mianowicie swoją młodą dupcię, z głodu więc nie umrze, a zatem nikt nie musi się czuć winny. Jeśli z działaniem wiązały się wydatki, KorpuSOKorp zastępował działanie plotką. Wyznawał zasadę minimalizacji kosztów.

Co do ojca, wszyscy przyjmą wersję, że zmienił nazwisko i zniknął w którejś z obskurniejszych plebsopolii, żeby nie musieć wydawać na pogrzeb żony pieniędzy, których nie posiadał. Takie rzeczy działy się na okrągło.

Okres, który nastąpił po tym wszystkim, nie był dla Toby niczym przyjemnym. Choć zatarła ślady i udało jej się zniknąć, wciąż pozostawała możliwość, że KorpuSOKorp zechce ją odnaleźć, by ściągnąć długi ojca. Nie miała pieniędzy, które mogliby jej odebrać, lecz doszły do niej opowieści o dłużniczkach sprzedawanych do usług seksualnych. Jeśli ma zarabiać na życie, leżąc na plecach, to chce przynajmniej zatrzymywać utarg dla siebie.

Dowód osobisty spaliła, ale nie miała pieniędzy, by kupić sobie nową tożsamość, choćby tanią, niewymagającą zastrzyków z DNA ani zmiany koloru skóry. Nie mogła więc dostać legalnej pracy – większość legalnych posad kontrolowały Korporacje. Mogła jednak zejść głębiej, tam gdzie znikają nazwiska i nie ma prawdziwych historii. Tam KorpuSOKorpowi będzie już wszystko jedno.

Oszczędności z pracy w kafeterii pozwoliły jej na wynajęcie małego pokoiku – własnego kąta, który mógł pomóc jej ustrzec niewielki dobytek przed kradzieżą ze strony podejrzanych współlokatorów. Pokoik znajdował się na najwyższym piętrze budynku przemysłowego, typowej pułapki ogniowej, leżącej w jednej z najbliższych plebsopolii. Nosiła ona miano Wierzbowych Łąk, lecz mieszkańcy nazywali ją Laguną Ścieków, bo zatrzymywało się w niej mnóstwo gówna. Łazienkę dzieliła z szóstką tajskich imigrantów, zachowujących się bardzo cicho. Podobno KorpuSOKorp uznał, że

wydalanie nielegalnych imigrantów jest zbyt kosztowne, i zamiast tego stosował metody praktykowane przez farmerów, którzy znajdują w stadzie chorą krowę: zastrzelić, zakopać, zatuszować.

Piętro niżej znajdował się zakład luksusowego krawiectwa o nazwie Mizdrzyk, gdzie szyto ze skór zagrożonych gatunków. By oszukać obrońców praw zwierząt, oficjalnie sprzedawano tam kostiumy na Halloween – a na zapleczu wyprawiano skóry. Wyziewy uchodziły przez system wentylacyjny i choć Toby wpychała w wywietrzniki poduszki, i tak cały jej pokój cuchnął chemikaliami i zjełczałym tłuszczem. Czasami słyszała ryki albo beczenie – zwierzęta ubijano na miejscu, bo klienci nie życzyli sobie kóz przerobionych na oryksenki ani wilków farbowanych na rosomaki. Chcieli, żeby ich szpan opierał się na prawdziwych przesłankach.

Oskórowane zwłoki sprzedawano sieci restauracji dla smakoszy działających pod szyldem „Mamy To we Krwi”. W salach ogólnie dostępnych serwowano befsztyk, baraninę, sarninę, bawołu, wszystko miało certyfikat zdrowej żywności, tak więc mogło być przyrządzane na krwisto – to właśnie miało znaczyć hasło „Mamy To we Krwi”. W prywatnych pomieszczeniach bankietowych, do których wchodziło się za okazaniem bramkarzowi karty klubowicza, można było raczyć się zagrożonymi gatunkami. Zyski były ogromne – jedna butelka wina z tygrysiich kości warta była tyle co diamentowa kolia.

Handel zagrożonymi gatunkami był prawnie zakazany i obłożony wysokimi grzywnami, ale za to bardzo lukratywny. Ludzie w okolicy wiedzieli, co się tu dzieje, lecz mieli własne zmartwienia. Komu zresztą mogliby o tym powiedzieć bez ryzyka? Tu ręka rękę myła, a każdą rękę trzymała łapa KorpuSOKorpu.

Toby znalazła pracę jako futronosz. Marnie płatną pracę na dniówki, niewymagającą tożsamości. Robota futronosza polegała na wkładaniu kostiumu ze sztucznego futra, tekturowej głowy, zawieszaniu na szyi tablic z reklamami i obchodzeniu co lepszych centrów handlowych i ulic z butikami. Wewnątrz takiego kostiumu było gorąco i duszno, a zasięg widzenia był ograniczony. W pierwszym tygodniu pracy Toby trzykrotnie padła ofiarą fetyszystów, którzy

przewrócili ją, odwrócili kartonowy łeb tyłem do przodu, tak że nic nie widziała, i jęli ocierać się miednicami o jej futro, wydając przy tym dziwne odgłosy, pośród których najbardziej rozpoznawalne były miauki. To nie był gwałt – wszak żadna część jej prawdziwego ciała nie została nawet tknięta – lecz wszystko to było jakieś odrażające. Na dodatek uznała, że przebieranie się za niedźwiedzia, tygrysa, lwa i inne zagrożone gatunki, których głosy słyszała piętro niżej, gdzie je mordowano, jest niesmaczne. Rzuciła więc tę robotę.

Pokażną sumkę szybkiej forsy zarobiła, sprzedając swoje włosy. Rynek na włosy nie został jeszcze opanowany przez hodowców owiec megarunosów – to nastąpiło kilka lat później. Wciąż jeszcze łatwo było o „perukarza”, który kupował od kogo popadło i nie zadawał pytań. Toby miała długie włosy i chociaż były średnio-brązowe – czyli nie w najlepszym kolorze, najlepiej szedł blond – przyniosły jej niezły zarobek.

Kiedy skończyły się pieniądze z włosów, sprzedawała na czarnym rynku komórki jajowe. Młode kobiety mogły zarobić masę pieniędzy, oddając komórki jajowe parom, których nie było stać na obowiązkową łapówkę albo do tego stopnia nie spełniały warunków, że i tak żaden urzędnik nie sprzedałby im zezwolenia na rodzicielstwo. Jednak akcję z komórkami udało jej się zrobić tylko dwa razy, ponieważ po drugim okazało się, że igła ekstrakcyjna była zainfekowana. W tamtych czasach dilerzy komórek jajowych opłacali koszty leczenia w wypadku błędu – nim jednak wróciła do zdrowia, minął cały miesiąc. Gdy spróbowała po raz trzeci, powiedziano jej, że nastąpiły powikłania i że nie może już oddawać komórek, a być może także mieć dzieci.

Dotychczas Toby nie zdawała sobie sprawy z tego, że mogłaby chcieć mieć dzieci. Wcześniej, w Marcie Graham, miała chłopaka imieniem Stan, który wspominał jej o ślubie i rodzinie. Odpowiadała mu jednak, że są o wiele za młodzi i zbyt biedni, żeby o tym myśleć. Studiowała leczenie holistyczne, kierunek, który studenci przechrzcili na „wywary i napary”, a Stan – problematykę i czteropozycyjne kreatywne planowanie aktywów, przy czym nauka szła mu bardzo dobrze. Nie pochodził z bogatej rodziny, inaczej nie studio-

wałby na takiej trzeciorzędnej uczelni jak Martha Graham, ale był ambitny i zamierzał być bogaty. Podczas wspólnych sielankowych wieczorów Toby nacierała go swoimi kwiatowymi preparatami i samodzielnie otrzymanymi wyciągami ziołowymi, po czym przechodzili do soczystego, pachnącego botaniczną apteką seksu. Na koniec brali przysnć i robili prażoną kukurydzę, bez soli i bez tłuszczu.

Jednak kiedy rodzina Toby znalazła się w dołku, dziewczyna uznała, że nie stać jej na Stana. Zrozumiała też, że jej dni na uczelni są policzone. Zerwała więc z nim kontakt. Nie odpowiadała nawet na jego pełne wyrzutów esemesy, nie odnajdywała w nich bowiem żadnych widoków na przyszłość. Stan chciał małżeństwa dwojga profesjonalistów, a ona nie miała już na to szans. Lepiej przepłakać to teraz niż potem, powiedziała sobie.

Chyba jednak chciała mieć dzieci, bo gdy poinformowano ją, że uległa przypadkowej sterylizacji, poczuła, że wycieka z niej całe światło.

Gdy otrzymała tę wiadomość, cały zarobek z komórek przepuściła na narkotycznie wspomagane wakacje od rzeczywistości. Lecz budzenie się w towarzystwie mężczyzn, których wcześniej nigdy nie widziała na oczy, bardzo szybko przestało być atrakcyjne, zwłaszcza po tym jak odkryła, że mają oni zwyczaj przywłaszczania sobie jej drobnych oszczędności. Po czwartym czy piątym razie zrozumiała, że musi podjąć decyzję: chce żyć czy umrzeć? Jeśli chce umrzeć, to są na to szybsze sposoby. Jeśli żyć – musi żyć inaczej.

Poprzez którąś ze swoich znajomości na jedną noc – mężczyznę o dobrym, jak na Lagunę Ścieków, sercu – dostała pracę w pewnej firmie plebsomasowej. W zakładach tego rodzaju nie pytano nikogo, kim jest, nie żądano referencji. Jeśli ktoś podbierał pieniądze z kasy, po prostu ucinano mu palce.

Sieć, dla której zaczęła pracować Toby, nosiła nazwę SekretBurger. Sekret sekretburgerów polegał na tym, że nie wiadomo było, jakie białko zwierzęce się w nich znajdowało. Ekspedientki ubrane były w koszulki i czapeczki z hasłem: „SekretBurger – Bo Wszyscy Lubimy Sekrety!”. Za tę robotę dostawało się psie pieniądze, ale

dodatkowo dwa sekretburgery dziennie. Kiedy Toby znalazła się wśród Ogrodników i złożyła Śluby Węgańskie, wyparła z pamięci, że kiedyś jadła sekretburgery; cóż, jak mawiał Adam Pierwszy, głód potrafi gruntownie zreformować człowiekowi sumienie. Maszynki do mięsa nie były stuprocentowo skuteczne – w burgerach można było trafić na strzęp kociej sierści lub kawałek mysiego ogona. A czy ktoś kiedyś nie znalazł w jednym ludzkiego paznokcia?

Możliwe. Miejscowe plebsomasy płaciły KorpuSOKorpowi za to, że patrzył na wszystko przez palce. W zamian KorpuSOKorp pozwalał im zawiadywać pomniejszych porwaniami i zamachami, prowadzić plantacje marihuany, wytwórnice kraku, detaliczny handel na ulicy i bajzle, w których się wręcz specjalizowały. Ponadto plebsomasy zajmowały się usuwaniem zwłok, co polegało na odzyskiwaniu organów na przeszczepy i przepuszczaniu wypatroszonych trupów przez maszynkę w SekretBurgerze. Tak przedstawiały to najczarniejsze plotki. W okresie świetności SekretBurgera na niezabudowanych parcelach rzadko znajdowano trupy.

Kiedy ta czy inna reality TV dokonywała tak zwanego ujawnienia, KorpuSOKorp pozorował, że prowadzi śledztwo. Następnie odfajkował sprawę jako „niewyjaśnioną” i wyrzucał do śmieci. Żeby podtrzymać swój pozytywny wizerunek wśród tych obywateli, którzy wciąż jeszcze wyznawali dawne ideały, udawał, że jest gwarantem pokoju, pilnuje porządku publicznego i zapewnia bezpieczeństwo na ulicy. Już wtedy była to farsa, ale większość ludzi miała wrażenie, że KorpuSOKorp jest lepszy niż totalna anarchia. Takie wrażenie miała nawet Toby.

Rok wcześniej SekretBurger przeholował. KorpuSOKorp zamknął firmę po tym, jak jeden z jego wysoko postawionych oficjeli zaszwendął się do Laguny Ścieków, a jego buty znaleziono jakiś czas potem na nogach jednego z operatorów maszynek do mięsa w SekretBurgerze. Tak więc przez pewien czas bezdomne koty cieszyły się spokojnymi nocami. Ale po paru miesiącach ze znajomych budek z grillem na nowo rozlegały się skwierczące dźwięki. Krótż bowiem mógł przeciwstawić się biznesowi, który w tak niekosztowny sposób radził sobie z zaopatrzeniem?

Toby ucieszyła się z pracy w SekretBurgerze. Teraz mogła opłacić czynsz, nie będzie musiała głodować. Jednak prędko odkryła haczyk.

Haczykiem był szef. Miał na imię Blanco, choć za plecami dziewczyny z SekretBurgera nazywały go Wzdymkiem. Rebecca Eckler, która pracowała z Toby na jednej zmianie, powiedziała jej o nim wszystko już na samym początku.

– Jak się postarasz nie napatoczyć mu przed oczy – przestrzegła – to może ci się uda. Teraz obrabia taką jedną, Dorę, a zazwyczaj obrabia jedną naraz. Ty w dodatku jesteś dosyć koścista, a on lubi okrągłe tyłki. Ale uważaj, jak ci powie, żebyś przyszła do niego do biura. On nie odpuści, rozerwałby dziewczynę na kawałki.

– Czy tobie kazał przyjść...? – spytała Toby. – Przyjść do biura?

– Chwalmy Pana i odpukać! – odpowiedziała Rebecca. – Jestem dla niego zbyt czarna i zbyt paskudna. Zresztą on lubi kociaki, nie stare kocury. Może powinnaś się jakoś pomarszczyć, kochanie, wybić sobie parę zębów...

– Nie jesteś paskudna – powiedziała Toby. Istotnie, brązowa skóra, rude włosy i egipski nos sprawiały, że Rebecca była całkiem urodziwa.

– Nie o taką paskudność mi chodzi. Paskudnie ze mną zadzierać. My, Żyrzyni, to rodzaj ludzi, którym lepiej się nie narażać.

On dobrze wie, że mogą na niego nasłać Poczerniane Korwiny Czerwone. To już jedna nieciekawa banda, a do tego, jeśli będzie trzeba, Izajaszowców Wilczych. A to już byłoby dla niego za wiele!

Toby nie miała tego rodzaju wsparcia. Gdy Blanco był w pobliżu, starała się być niewidoczna. Poznała jego historię. Według Rebekki, był kiedyś bramkarzem w Łuskach, najbardziej stylowym klubie w całej Lagunie. Bramkarze mieli prestiż. Paradowali w czarnych garniturach i ciemnych okularach, nosili się elegancko, choć jak twardziele. Wokół nich wręcz roїło się od kobiet. Ale Blanco – opowiadała Rebecca – zaszalał. Pokroił dziewczynę z Łusek. Nie jakiś tam obcy, nielegalny najemny towar z przemytu, te były krojone bez przerwy, lecz jedną z najbardziej utalentowanych, gwiazdę tańca na rurze. Kogoś takiego jak on, kto schrzania robotę, bo nie umie się opanować, nie sposób było dłużej trzymać, więc wyrzucili go z pracy. Miał szczęście, że znał ludzi w KorpuSOKorpie – inaczej skończyłby w kuble na ropośmieci, uszczuplony o parę organów. Posadzili go na fotelu kierownika punktu sprzedaży sekretburgerów w Lagunie Ścieków. Była to dla niego poważna degradacja. Blanco był bardzo rozgoryczony – niby dla czego miał znosić nieprzyjemności z powodu jakiejś zdiry? – i nienawidził tej pracy. Wykombinował sobie jednak, że dostaje dodatki w postaci dziewczyn. Miał dwóch kumpli, tak jak on dwóch eksbramkarzy, którzy byli jego ochroniarzami. Oddawał im resztki. O ile zostawały.

Blanco zachował posturę bramkarza, prostokątną i zwalistą, choć trochę się roztył. Zdaniem Rebekki, od nadmiaru piwa. Zostawił sobie też charakterystyczny znak bramkarzy – kucyk zwisający z tyłu łysiejącej głowy. Afiszował się ze swoimi tatuażami. Były to węże okalające ramiona, bransoletki z czaszek wokół przegubów, żyły i tętnice na grzbietach dłoni sprawiające wrażenie, że ręce są obdarte ze skóry. Wokół szyi miał wytatuowany łańcuch spięty czerwonym sercem, tonącym wśród owłosienia eksponowanego spod rozchyłonej koszuli. Chodziły plotki, że łańcuch ten ciągnął się w dół jego pleców i owijał wokół nagiej, przedstawionej do góry nogami kobiety, której głowa wetknięta była w jego tyłek.

Toby obserwowała Dorę, która przychodziła zastąpić ją w budce z grillem, gdy jej zmiana dobiegała końca. Dziewczyna zaczynała jako pulchniutka optymistka, lecz w miarę jak mijały tygodnie, kurczyła się i zapadała w sobie. Na białej skórze jej ramion na zmianę wykwitwały i więdły siniaki. Rebecca szepnęła do Toby:

– Chciałaby uciec, jednak się boi. Może i ty powinnaś stąd wiać. Przyglądał ci się.

– Wszystko będzie w porządku – odpowiedziała dziewczyna. Ale nic nie było w porządku, była przerażona. Nie mogła jednak pójść gdzie indziej. Żyła od wypłaty do wypłaty. Nie miała pieniędzy.

Następnego ranka Rebecca przywołała Toby skinieniem ręki i powiedziała:

– Dora nie żyje. Próbowала uciec. Właśnie się dowiedziałam. Znaleźli ją na pustej parceli ze złamanym karkiem, pokrojoną na kawałki. Ludzie mówią, że zrobił to jakiś wariat.

– To był on? – spytała Toby.

– No jasne, że on – prychnęła Rebecca. – Jeszcze się przechwała.

Tego samego dnia w południe Blanco nakazał Toby przyjść do swego biura. Polecenie przekazał przez swoich dwóch koleśi. Prowadzili ją, idąc po obu stronach, na wypadek gdyby chciała się stawiać. Gdy tak szli ulicą, ludzie zwracali ku nim głowy. Toby czuła, że zmierza na swoją egzekucję. Czemu nie uciekła, kiedy było to jeszcze możliwe?

Biuro mieściło się za brudnymi drzwiami ukrytymi za kubłem na ropyśmeci. Było to małe pomieszczenie z biurkiem, szafką na dokumenty i sfatygowaną kanapą ze skóry. Blanco dźwignął się z obrotowego fotela, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Dostajesz awans, chuda suko – powiedział. – Podziękuj.

Toby nie była w stanie wydać z siebie nic prócz szeptu. Czuła, że się dusi.

– Widzisz to serce? – zapytał Blanco, wskazując na tatuaż.

– Znaczy ono, że cię kocham. Teraz ty też będziesz mnie kochać, zgadza się?

Toby zmusiła się do skinięcia głową.

– Mądra dziewczynka – rzekł Blanco. – Chodź tu. Ściągnij mi koszulę.

Tatuaż na plecach Blanca był dokładnie taki, jak opisywała go Rebecca: spowita w łańcuchy naga kobieta z niewidoczną głową. Jej długie włosy falowały niczym płomienie.

Blanco objął szyję Toby swoimi obdartymi ze skórą rękoma i powiedział:

– Spróbuj mnie wykiwać, a złamię cię jak patyk.

Odkąd w tak smutnych okolicznościach straciła rodzinę, odkąd sama zniknęła z widoku publicznego, Toby starała się nie myśleć o wcześniejszym życiu. Zahibernowała je, pokryła warstwą lodu. Teraz jednak rozpaczliwie pragnęła powrócić do przeszłości, nawet do jej przykrych i smutnych fragmentów. Jej obecne życie było bowiem męczarnią. Próbowała wyobrazić sobie swych dwoje odległych, istniejących w dalekiej przeszłości rodziców, jak czuwają nad jej bezpieczeństwem jako duchy opiekuńcze, lecz zdołała dostrzec jedynie mgłę.

Pozostawała jedną jedyną Blanca krócej niż dwa tygodnie, jednak zdawało jej się, że trwało to całe lata. W jego mniemaniu kobieta z tak kościstą dupą jak Toby powinna się cieszyć, że jakiś facet chce jej wetknąć swoją wiertarę. Toby będzie miała jeszcze większy powód do radości, jeżeli on nie postanowi odesłać jej do tymczasowej roboty w Łuskach, co oznaczało tyle co tymczasowe przeżycie. Powtarzał, że powinna dziękować swoim pomyslnym gwiazdom. Co więcej, powinna być wdzięczna jemu – za każdym razem gdy ją upokarzał, oczekiwał podziękowań. Nie zależało mu na jej przyjemności – tylko na uległości.

Nie pozwalał jej odpoczywać po spełnieniu obowiązków w SekretBurgerze. Żądał, by pracowała w czasie przerwy obiadowej, przez całe pół godziny – w konsekwencji nie jadła obiadu.

Z dnia na dzień odczuwała coraz dotkliwszy głód, była coraz bardziej wycieńczona. Z czasem pojawiły się też siniaki, takie jak miała nieszczęsna Dora. Ogarniała ją rozpacz. Zdawała sobie sprawę, dokąd to wszystko prowadzi – był to mroczny tunel. Wkrótce opadnie z sił.

Co gorsza, Rebecca odeszła nie wiadomo dokąd. Uliczna plotka głosiła, że przyłączyła się do jakiejś grupy religijnej. Blanca to nie obchodziło, bo Rebecca nie należała do jego harem. Miejsce w SekretBurgerze, które się po niej zwolniło, zappełnił dość szybko.

Toby pracowała właśnie na porannej zmianie, gdy ulicą nadciągęła dziwna procesja. Po niesionych przez jej uczestników znakach i śpiewanych przez nich pieśniach poznała, że to coś religijnego, choć nie była to żadna ze znanych jej sekt.

W Lagunie Ścieków działało mnóstwo alternatywnych kultów szukających duszyczek w udręce. Poznane Owoce, petrobaptyści i inne religie dla bogatych tutaj się nie zapuszczały, natomiast od czasu do czasu, sapiąc pod ciężarem bębnów i waltorni, człapały tędy strojne orkiestry Armii Zbawienia. Bywało, że wirowały tu bractwa przybranych w turbany sufich o czystych sercach, że przechodzili czarno odziani Starowieczni albo czeredki udrapowanych w szafranowe szaty wyznawców Hare Kriszna, brzękających, zawodzących i ściągających na siebie ze strony gapiów drwiny i zgniłe warzywa. Izajaszowcy Lwi tudzież Izajaszowcy Wilczy głosili kazania na rogach ulic, a kiedy się spotykali, bili jedni drugich: spierali się o to, które zwierzę – lew czy wilk – paść się będzie razem z barankiem, kiedy nadejdzie Królestwo Pokoju. Po skończonej bijatyce wokół poległych roiło się od gangów plebszczurów – brązowych Teks-Meksów, białych Kłaczastogłowych, żółtych Miksów Azjatyckich, Poczernianych Korwinów Czerwonych – przetrząsających odzież w poszukiwaniu czegokolwiek, co miało jakąkolwiek wartość albo po prostu nadawało się do zabrania.

W miarę jak pochód się zbliżał, Toby zyskiwała coraz lepszy widok. Brodaty prowodyr ubrany był w kaftan sprawiający wrażenie zszytego przez elfy na haszu. Za nim kroczyło zgrupowanie dzieci różnego wzrostu i różnego koloru skóry, wszystkie jednak

miały ciemne ubrania. Niosły tablice z hasłami: „Boży Ogrodniczy na rzecz Bożego Ogrodu!”, „Nie jedzcie śmierci!”, „Zwierzęta to my!”. Wyglądały jak jakieś obszarpane aniołki albo karłowaci kłoszardzi. Najpierw coś śpiewały, potem zaczęły skandować: „Mięsu nie! Mięsu nie! Mięsu nie!”. Toby słyszała kiedyś o tej sekcji: podobno mieli jakiś ogród gdzieś na tarasie na dachu. Kawalek zeschniętego błota, parę uflęjtuszonych nagietków, parszywą grządkę marnej, spalonej bezlitosnym słońcem fasoli.

Pochód zatrzymał się naprzeciw budki SekretBurgera. Zaczął się zbierać tłum gotowy do naigrawań.

– Przyjaciele! – wołał przywódca do wszystkich zgromadzonych. Toby była pewna, że mieszkańcy Laguny Ścieków nie pozwolą, żeby to kazanie potrwało długo. – Moi drodzy, nazywam się Adam Pierwszy. Ja również byłem kiedyś materialistycznym, ateistycznym mięsożercą. Podobnie jak wy, uważałem, że Człowiek jest miarą wszechrzeczy...

– Stul, kurwa, gębę, ekoświrze jeden! – krzyknął ktoś.

Adam Pierwszy zignorował to:

– Dokładnie rzecz biorąc, moi przyjaciele, wierzyłem, że miarą wszechrzeczy są pomiary! Otóż byłem naukowcem. Studiowałem epidemię, liczyłem chore i umierające zwierzęta, a także ludzi, jakby byli zbiorem kamyków. Wierzyłem, że tylko liczby mogą posłużyć do wiernego opisanie Rzeczywistości. Potem jednak...

– Spieprzaj stąd, jełopie!

– Potem jednak, któregoś dnia, gdy stałem dokładnie tam, gdzie stoicie, pozerając – właśnie tak! – pozerając sekretburgera i upajając się jego tłuszczem, ujrzałem wielką Światłość. Usłyszałem wielki Głos, a ten Głos powiedział...

– Powiedział: idź się wypchać!

– Powiedział: ocalcie wasze współtworzenia! Nie jedzcie niczego, co ma twarz! Nie zabijajcie własnej Duszy! Wówczas...

Toby wyczuwała nastrój tłumy, wiedziała, że jeszcze chwila, a zakipi agresją. Że wdepcze tego nieszczęsnego idiotę w ziemię, a razem z nim jego małe Ogrodnicze dzieciątka.

– Idźcie stąd! – zawołała najgłośniejszym głosem, jak potrafiła.

Adam Pierwszy, ukłoniwszy jej się lekko i grzecznie, uśmiechnął się mile.

– Moje dziecko – powiedział – czy zdajesz sobie sprawę, co sprzedajesz? Chyba nie chciałybyś jeść własnych krewnych?

– Chciałabym – odparła Toby – gdybym była wystarczająco głodna. Proszę was, odejdźcie!

– Widzę, że masz za sobą trudną przeszłość – rzekł Adam Pierwszy. – Wyrosła ci nieczuła, twarda skorupa. Ale ta twarda skorupa nie jest twoim prawdziwym „ja”. Pod nią masz ciepłe, czułe serce i dobrą Duszę...

Uwaga o skorupie była trafna. Toby wiedziała, że stała się twardsza. Lecz skorupa stanowiła jej zbroję. Bez niej zostałyby z niej miążga.

– Zaczepia cię ten dupek? – zapytał Blanco, który, zgodnie ze swoim zwyczajem, pojawił się za nią z tyłu. Położył jej dłoń na talii. Widziała ją, nawet nie patrząc. Żyły, tętnice i surowe mięso.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała. – Jest niegroźny.

Adam Pierwszy nie wyglądał na zbitego z tropu. Mówił tak, jakby nikt prócz niego się nie odezwał:

– Moje dziecko, pragniesz czynić dobro na świecie.

– Nie jestem twoim dzieckiem – odpowiedziała Toby. Aż za dobrze wiedziała, że nie jest niczym dzieckiem. Już nie.

– Wszyscy nawzajem jesteśmy swoimi dziećmi – rzekł Adam Pierwszy, rzucając jej smutne spojrzenie.

– Jazda stąd! – krzyknął Blanco. – Zanim ci dokopię!

– Błagam, idźcie już, bo stanie wam się krzywda – prosiła Toby usilnie, jak tylko umiała. Ten człowiek nie wiedział, co to strach. Zniżyła więc głos i syknęła: – Spieprzaj, i to już!

– To tobie stanie się krzywda – odparł Adam Pierwszy. – Dzień w dzień stoisz tu i sprzedajesz okaleczone ciała ukochanych Stworzeń Boga. Na tym polega twoja krzywda. Moja droga, dołącz do nas, jesteśmy twoimi przyjaciółmi, mamy dla ciebie miejsce.

– Trzymaj, kurwa, łapy z daleka od mojej pracownicy, pieprzony zbrojcę! – ryknął Blanco.

– Dziecko, czy ja ci się narzucam? – spytał Adam Pierwszy, ignorując słowa Blanca. – Nawet nie dotknąłem...

Blanco wyskoczył zza budki i rzucił się do ataku, lecz Adam Pierwszy był najwyraźniej przyzwyczajony do napaści: zrobił unik i Blanco runął w grupkę rozśpiewanych dzieci, potrafił niektóre z nich i sam upadł. Sprawnie walnięty pustą butelką w głowę przez jakiegoś nastoletniego Kłaczastogłowego – nie był szczególnie lubiany w okolicy – osunął się na ziemię zakrwawiony.

Toby wybiegła przed budkę. W pierwszej chwili chciała mu pomóc wstać – jeśli tego nie zrobi, później będzie mieć poważne kłopoty. Nad Blankiem pastwiła się banda plebszczurów od Poczernianych Korwinów Czerwonych, a paru Azjatyckich Miksów już się zajęło jego butami. Tłum zacieśnił się wokół Blanca, który z trudem próbował się podnieść. Gdzie się podziiali jego obaj ochroniarze? Ani śladu po nich.

Toby ogarnęła dziwna wesołość i kopnęła Blanca w głowę. Zrobiła to bez namysłu: nagle nieświadomie wyszczerzyła zęby jak pies i poczuła, że jej stopa wchodzi w kontakt z jego czaszką, która była jak kamień owinięty w ręcznik. Od razu pojęła, że zrobiła błąd. Jak mogła postąpić tak głupio?

– Moja droga, chodź z nami – rzekł Adam Pierwszy, ujmując ją za łokieć. – Tak będzie najlepiej. Tak czy owak, straciłaś tę pracę.

Wróciło dwóch zbirów Blanca. Zaczęli walczyć z plebszczurami. Blanco, choć półprzytomny, oczy miał otwarte i utkwił je w Toby. Ten kopniak go zabolął. Co gorsza, Toby publicznie go upokorzyła. Przez nią stracił twarz. Jeszcze chwila i się pozbiera, a wtedy zetrze ją na proszek.

– Ty suko! – wywarczał. – Urzną ci cycki!

Niespodzianie Toby została otoczona przez gromadę dzieci. Dwoje chwyciło ją za ręce, pozostałe ustawiły się niczym gwardia honorowa, jedno z przodu, inne z tyłu.

– Prędeży! Prędeży! – popędzały, ciągnąc i popychając Toby w dół ulicy.

Z tyłu rozległ się ryk:

– Wracaj tu, suko!

– Prędko, tędy – wołał najwyższy chłopiec. Gnali ulicami Laguny Ścieków, a Adam Pierwszy zamykał tyły. Wyglądało to jak

jakaś parada, ludzie gapili się na nich. Spanikowaną Toby ogarnęło poczucie nierzeczywistości i zakręciło jej się w głowie.

Tłum robił się coraz rzadszy, zapachy coraz mniej rażące. Mniej sklepów miało okna zabite deskami.

– Szybciej! – pogaśniał Adam Pierwszy.

Przebiegli wzdłuż alejki, skręcili raz za razem w kilka bocznych ulic i krzyki stopniowo ucichły. Dotarli do wczesnomodernistycznego budynku fabrycznego z czerwonej cegły. Na frontowej ścianie wisiał szyld z napisem PACHINKO, a pod nim mniejszy, o treści: SALON MASAŻU „GWIEZDNY PYŁ” – PIERWSZE PIĘTRO – ZADOWOLIMY KAŻDY GUST – NOSY ZA DODATKOWĄ OPŁATĄ. Dzieci obiegły budynek i skierowały się ku bocznej ścianie. Tam zaczęły piąć się w górę po schodach przeciwpożarowych. Toby podążyła za nimi. Jej brakowało tchu, one skakały jak małpki. Gdy dobiegły na płaski dach budynku, każde z nich objęło ją, mówiąc: „Witamy w naszym Ogródzie!”. Toby uderzył słodko-słonawy zapach niemitych dzieci.

Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek przedtem objęło ją dziecko. Dla nich to była pewnie jakaś formalność, tak jak na przykład objęcie dalekiej ciotki, dla niej było to jednak coś, czego nie potrafiła określić: coś mgliście i łagodnie swojskiego. Coś jakby trącanie nosami przez króliki – ale króliki z Marsa. Mimo wszystko uznała ten dotyk za wzruszający. Był to dotyk bezosobowy, lecz miły, bez podtekstu seksualnego. To dziwne uczucie częściowo brało się z tego, że ostatnio jedynymi dotykającymi ją rękami były łapy Blanca.

Również dorośli wyciągali ręce na powitanie. Witały ją kobiety w ciemnych workowatych sukniach i mężczyźni w kombinezonach, a niespodzianie pojawiła się Rebecca.

– Kochanie, udało ci się! – zawołała. – To ja im o tobie powiedziałam! I wiedziałam, że cię stamtąd wyciągną!

Ogród wcale nie wyglądał tak, jak go sobie Toby wyobrażała na podstawie pogłosek. Nie było to wysychające na słońcu bajoro upstrzone resztkami zeschniętych warzyw – bynajmniej! Toby z podziwem wodziła po nim wzrokiem. Był piękny – rosły w nim

przeróżne rośliny i kwiaty, których nigdy przedtem nie widziała. Fruwały barwne motyle, w pobliżu wibrowało brzęczenie pszczół. Każdy płatek, każdy liść żył pełnią życia i lśnił świadom jej obecności. Tu inne było nawet powietrze.

Zdała sobie sprawę, że płacze w poczuciu ulgi i wdzięczności. Wydawało jej się, że wyciągnęła się po nią ogromna dobrotliwa dłoń i ujęła ją, by ją schronić. Później często słyszała, jak Adam Pierwszy mówił o stanie „pogrążenia w Światłości Bożego Dzieła Stworzenia” – i choć teraz nic jeszcze o tym nie wiedziała, tak właśnie się czuła.

– Cieszę się, moja droga, że podjęłaś tę decyzję – powiedział Adam Pierwszy.

Toby nie powiedziałaaby jednak, że podjęła jakąkolwiek decyzję. Decyzję podjęto za nią. Bez względu na to, co nastąpiło później, tej chwili nigdy nie miała zapomnieć.

Wieczorem odbyła się skromna uroczystość powitalna na jej cześć. Pośród wielkich ceregieli otwarto słoje z purpurową zawartością – były to jej pierwsze jagody czarnego bzu – dobyto też niczym świętego Graala garniec miodu.

Adam Pierwszy wygłosił krótką mowę na temat opatrnościowych wybawień. Wspomnił głównie wyrwaną z ognia i zbłąkaną owcę. Toby słyszała o nich kiedyś w kościele. Pojawiły się też jednak inne, nieznanne jej przykłady ocalań: translokowany ślimak i gruszka strącona wiatrem. Następnie wszyscy spożyli coś w rodzaju naleśnika z soczewicy i zupę zwaną mieszanką pikli grzybowych Pilar, a na koniec chleb sojowy posmarowany fioletowymi powidłami i miodem.

Gdy minęło początkowe uniesienie, Toby poczuła się nieswojo. Była zdezorientowana. Jak to możliwe, że znalazła się w tym nieprawdopodobnym i poniekąd niepokojącym miejscu? Co robi pośród tych przyjaznych, aczkolwiek dziwacznych ludzi, którzy mają jakieś pokręcone przekonania, a w tym momencie również fioletowe zęby?

Pierwsze tygodnie spędzone przez Toby u Ogrodników nie przyniosły jej uspokojenia. Adam Pierwszy nie udzielał jej żadnych wskazówek, lecz jedynie ją obserwował. Toby zrozumiała, że jest poddawana próbie. Starła się wpasować, pomagać, gdy zachodziła potrzeba, ale nie dawała sobie rady w podstawowych zajęciach. Nie umiała szyć drobnym ścięgiem, tak jak życzyła sobie Ewa Dziewiąta, czyli Nuala, a gdy zaciąwszy się w palec, zakrwawiła parę sałatek, Rebecca poleciła jej zaniechać siekania warzyw.

– Jeśli będę chciała, żeby to miało kolor buraków, dodam buraków – powiedziała jej.

Burt – Adam Trzynasty – odpowiedzialny za warzywa w Ogrodzie, odwiódł ją od plewienia, omyłkowo wyrwała bowiem część karczochów. Mogła za to opróżnić bioalety kompostowe. Było to proste zajęcie, niewymagające specjalnych umiejętności. Tym się więc zajęła.

Adam Pierwszy dostrzegł jej wysiłki.

– Bioalety nie są takie złe, nieprawdaż? – rzekł do niej któregoś dnia. – W końcu wszyscy tu jesteśmy wegetarianami.

Z początku Toby nie wiedziała, co miał na myśli, później jednak zrozumiała, o co chodzi: mniej śmierdzi. Bardziej jak po krowie niż jak po psie.

Zorientowanie się w Ogrodniczej hierarchii zajęło jej trochę czasu. Adam Pierwszy stanowczo podkreślał, że na płaszczyźnie duchowej wszyscy Ogrodnicy są równi. Pod względem materialnym było już inaczej: Adamowie i Ewy stali wyżej, chociaż ich numery wskazywały na dziedziny specjalizacji, nie na pozycję. Toby miała wrażenie, że pod wieloma względami jest tu jak w klasztorze: kapituła, a przy niej bracia bez święceń. Oczywiście także siostry bez święceń. Z tym że nie wymagano ślubów czystości.

Toby czuła, że za gościnność, z której – nie będąc konwertytką – korzystała właściwie niezasłużenie, powinna odwdzięczać się Ogrodnikom ciężką pracą. Oprócz opróżniania bioalet kompostowych zaczęła wykonywać inne zajęcia. Schodami przeciwpożarowymi taszczyła na dach świeżą ziemię, zebraną przez Ogrodników na opuszczonych placach budowy i pustych parcelach, którą później mieszano z kompostem i produktami z bioalet. Wytapiała mydło z resztek, cedziła i etykietowała ocet. Pakowała robaki na Wymianę Materiałów Naturalnych „Drzewo Życia”, zmywała podłogę w sali gimnastycznej z ruchomymi bieżniami, zwanej „Dogoń-Swą-Światłość”, zamiatła boksy sypialne na piętrze bezpośrednio pod Dachem, w których członkowie grupy spali na materacach wypchanych roślinnym suszem.

Gdy w ten sposób upłynęło kilka miesięcy, Adam Pierwszy podpowiedział jej, by zaczęła wykorzystywać też inne talenty.

– Jakie inne talenty? – zdziwiła się Toby.

– Czyż nie studiowałaś leczenia holistycznego? – zapytał.
– W Marcie Graham...

– Tak – odpowiedziała Toby. Nie było sensu pytać, skąd Adam Pierwszy to wiedział. Wiedział różne rzeczy, i już.

Zajęła się więc przyrządzaniem ziołowych wywarów i maści. To nie wymagało zbyt wiele siekania, a Toby potrafiła sprawnie posługiwać się moździerzem i tłuczkiem. Gdy Adam Pierwszy poprosił ją, by zaczęła dzielić się wiedzą z dziećmi, do swych codziennych zajęć dodała parę lekcji.

Zdążyła się już przyzwyczaić do ciemnych, przypominających worki ubrań noszonych przez kobiety.

– Powinnaś zapuścić włosy – rzekła jej Nuala. – Przestałabyś wyglądać jak oskałpowana. Wszystkie Ogrodniczki mają długie włosy.

Gdy Toby zapytała o powód, usłyszała, że preferowaną estetyką jest estetyka Boża. Trochę przeszkadzał jej nadmiar tej przywilnej, natrętnej świętoszkowatości, zwłaszcza wśród żeńskich członków społeczności.

Od czasu do czasu nachodziła ją myśl, by uciec. Głównie dlatego że niekiedy dopadał ją przejściowy, lecz przejmujący wstydem głód zwierzęcego białka.

– Masz czasem chęć na sekretburgera? – spytała Rebeccę. Rebecca była częścią jej dawnego świata. Z nią mogła rozmawiać o tych sprawach.

– Muszę przyznać – odpowiedziała Rebecca – że czasem mam taką ochotę. Pewnie czegoś do nich dodawali, czegoś, co uzależnia.

Jedzenie u Ogródników było dość dobre – Rebecca robiła wszystko, na co pozwalały jej ograniczone zapasy pozostające do jej dyspozycji – ale monotonne. Na dodatek Ogródnicy odprawiali nużące modły i mieli zwiariowaną teologię. Po co tak pedantycznie i szczegółowo regulowali wszystkie aspekty życia, skoro wierzyli, że wkrótce wszyscy zostaną starci z powierzchni ziemi? Uważali, że zbliża się nieuchronna katastrofa, choć żadnych przekonujących dowodów na to Toby nie umiała się dopatrzeć. Może wróżyli z fusów.

Ludzkiej rasie groziła rzekomo nieuchronna masowa zagłada spowodowana przeludnieniem i ludzkim okrucieństwem. Samych siebie Ogródnicy z tej wizji wyłączała: zamierzali przetrwać Bezwodny Potop dzięki żywności, którą gromadzili w sekretnych składach, zwanych przez nich Araratami. Co się tyczyło obiektów pływających, które miały ocalić Ogródników z Potopu, to sami mieli być dla siebie Arkami wypełnionymi rzeszami własnych, strzeżonych w ich wnętrzach zwierząt, a przynajmniej ich nazw. W ten sposób mieliby przetrwać, by na nowo zaludnić Ziemię. Czy coś w tym stylu.

Toby pytała Rebeccę, czy rzeczywiście wierzy w opowiadania Ogródników o całkowitej zagładzie, ale Rebecca nie dawała się naciągnąć na rozmowę. Odpowiadała tylko:

– To dobrzy ludzie. Co będzie, to będzie, więc się niczym nie przejmuj – i częstowała Toby pączkiem sojowo-miodowym.

Dobrzy czy niedobrzy, Toby nie wyobrażała sobie, że miałyby zostać dłuższy czas z tymi uciekinierami od rzeczywistości. Ale nie mogła tak po prostu odejść. To byłoby czarną niewdzięcznością – ci ludzie uratowali jej skórę. Toteż snuła plany, że wymknie się schodami przeciwpożarowymi, minie piętro sypialne, spelunę z pachinko, salon masażu i ucieknie pod osłoną mroku, by złapać jakiś samochód solarny, który zawiezie ją do innego miasta, gdzieś bardziej na północ. Samoloty były o wiele za drogie i szczegółowo kontrolowane przez KorpuSOKorp, nie wchodziły więc w grę. Nie mogła też pojechać szybkobieżną koleją, nawet gdyby miała dość pieniędzy, bo w pociągach sprawdzano tożsamość, a tej nie posiadała.

Na tym jednak nie koniec. Blanco, razem ze swymi zbirowatymi kolesiami, na pewno wciąż szuka jej po ulicach plebsopolii. Często chełpił się tym, że nie uciekła mu żadna kobieta. Prędej czy później wytropi Toby i zażąda zapłaty. Tamten kopniak będzie ją drogo kosztował. Do zmazania plamy potrzebny będzie publicznie nagłośniony gwałt zbiorowy albo jej głowa zatknięta na tyczce.

Czy to możliwe, żeby Blanco nie wiedział, gdzie ona się znajduje? Gangi plebszczurów, które znały wszelkie miejskie plotki, na pewno podłapały już tę wiadomość i sprzedały mu ją. Toby unikała wychodzenia na ulicę. Ale co powtrzyma Blanca przed przyjęciem po nią na dach schodami przeciwpożarowymi? Zwierzyła się ze swoich obaw Adamowi Pierwszemu, który słyszał o Blancu i wiedział, do czego jest zdolny – widział go też w akcji.

– Nie chcę narażać Ogrodników na niebezpieczeństwo – tak to ujęła.

– Moja droga – odpowiedział jej Adam Pierwszy – u nas jesteście bezpieczna. No, powiedzmy: umiarkowanie bezpieczna.

Wyjaśnił jej, że Blanco jest z plebsomasy Laguny Ścieków, a Ogrodnicy, znajdując się w Zapadlisku, są już tylko ich sąsiadami:

– Inna plebsopolia, inna plebsomasa. Trzymają się we własnych granicach, chyba że między masami wybuchnie wojna. W każdym

razie plebsomasami i tak kieruje KorpuSOKorp, a ci, o ile nam wiadomo, ogłosili, że nie wolno nas tknąć.

– A niby dlaczego? – spytała Toby.

– Bo upuszczając krwi czemuś, co ma Boga w nazwie, zaszkodziłoby swojemu wizerunkowi. Nie pozwoliłyby na to Korporacje, w których silne wpływy mają petrobaptyści i Poznane Owoce. Korporacje utrzymują, że żywią szacunek dla Ducha i wspierają tolerancję religijną – dopóki jakaś grupa religijna nie zabiera się do wysadzania czegoś w powietrze: one brzydzą się niszczeniem własności prywatnej.

– Za nami pewnie nie przepadają – rzekła Toby.

– Jasne, że nie – odparł Adam Pierwszy. – Dla nich jesteśmy pokręconymi fanatykami, którzy łączą w sobie fanatyzm żywniowy, kiepskie rozeznanie w modzie i purytańskie nastawienie do zakupów. Ale nie mamy nic, co chcieliby nam zabrać, więc nie jesteśmy dla nich terrorystami. Droga Toby, możesz spać spokojnie. Strzegą cię aniołowie.

Dziwni ci aniołowie, pomyślała Toby. Nie wszyscy są aniołami Światła. Jednak odtąd jej sen na materacu wypchanym suchymi, szeleszczącymi strąkami stał się spokojniejszy.

**Święto Adama
i Wszystkich Naczelnych**

Święto Adama i Wszystkich Naczelných

Rok dziesiąty

O sposobie, jakim posłużył się Bóg, tworząc Człowieka
Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Współogrodnicy pracujący na Ziemi, która jest Ogrodem Bożym!

Wspaniale jest widzieć was wszystkich zgromadzonych tu, w naszym pięknym Ogrodzie na Dachy Edencliff! Z przyjemnością obejrzałem uroczę Drzewo Stworzeń, które Dzieci zrobiły z zebranych jako pokłosie plastikowych przedmiotów. To świetny przykład na to, że złe materiały mogą być wykorzystane w dobrych celach! Z radością oczekuję zbliżającego się Posiłku Wspólnoty, którego najważniejszym składnikiem będzie zachowana z zeszłorocznych zbiorów rzepa w przepysznym rzepowym placku Rebekki, że nie wspomnę już o mieszance pikli grzybowych, za którą wszyscy jesteśmy wdzięczni Pilar, naszej Ewie Szóstej. Dziś świętujemy także podniesienie Toby do rangi pełnoprawnej nauczycielki. Swoją ciężką pracą i poświęceniem Toby udowodniła nam, że kiedy ktoś ujrzy światło Prawdy, może przezwyciężyć bolesne doświadczenia i wewnętrzne przeszkody. Tuby, jesteśmy z ciebie naprawdę dumni.

Z okazji Święta Adama i Wszystkich Naczelných wyznajemy nasze pochodzenie od Naczelných. Ściąga to na nas gniew tych, co pełni pychy i uporu, zaprzeczają ewolucji. Lecz wyznajemy również Boską sprawczość, poprzez którą zostaliśmy stworzeni takimi, jacy

jesteśmy. A to z kolei budzi złość owych naukowych głupców, którzy mówią w swoich sercach: „Nie ma Boga”. Utrzymują, że mogą udowodnić nieistnienie Boga, ponieważ nie mogą wsadzić Go do probówki, zważyć Go ani zmierzyć. Bóg jednak jest czystym Duchem. Jakże ktokolwiek może rozumować w ten sposób, że niemożność zmierzenia Niemierzalnego jest dowodem Jego nieistnienia? Bóg jest Ni-czym, Ni-cością, tym, przez co i dzięki czemu istnieją wszystkie rzeczy materialne. Gdyby bowiem nie było czegoś takiego jak Ni-cość, istnienie byłoby tak napchane materią, że jedna rzecz nie dałaby się odróżnić od drugiej. Samo istnienie odrębnych rzeczy materialnych jest dowodem na Ni-cość Boga.

Gdzie byli ci naukowci głupcy, kiedy Bóg zakładał fundamenty Ziemi, umieszczając swego Ducha między jedną cząstką materii a drugą i dając w ten sposób początek formom? Gdzie byli, kiedy Go „chwaliły wspólnie gwiazdy poranne”? Przebaczymy im w naszych sercach, gdyż dziś nie zajmujemy się napominaniem, lecz rozważaniem w całej pokorze naszego ziemskiego stanu.

Bóg mógł uczynić Człowieka z czystego Słowa, ale nie użył tego sposobu. Mógł również ukształtować go z prochu Ziemi, co w pewnym sensie uczynił – bo cóż znaczy „proch”, jeśli nie atomy i cząsteczki, budulec wszelkich rzeczy materialnych? Co więcej, Bóg stworzył nas w długim i złożonym procesie Doboru Naturalnego i Płciowego, co nie było niczym innym, jak Jego genialnym sposobem nauczania Człowieka pokory. Uczyniłeś nas „mało co mniejszymi od aniołów”, lecz pod innymi względami – wykazuje to Nauka – jesteśmy blisko spokrewnieni z naszymi pobratymcami Naczelnymi. Fakt ten nieprzyjemnie drażni dumę wyniosłych świata tego. Wszystkie nasze żądze, nasze pragnienia, nasze niekontrolowane emocje mamy po Naczelnym! Gdyśmy upadli, tracąc pradawny Ogród, z Upadkiem tym przestaliśmy wykazywać te zachowania i impulsy w sposób niewinny, a zaczęliśmy je sobie uświadamiać i wstydzić się ich. Stąd pochodzi nasz smutek, nasz niepokój, nasze wrażliwości i nasz gniew przeciwko Bogu.

To prawda, że tak jak inne Zwierzęta zostaliśmy pobłogosławieni, że otrzymaliśmy nakaz, byśmy wzrastali i mnożyli się, na-

pełniając Ziemię. Ale po jakież upokarzające, agresywne i bolesne środki w tym celu częstokroć sięgamy! Nic dziwnego, że przyrodzone jest nam pewne poczucie winy i wstydu! Dlaczego Bóg nie uczynił nas czystym Duchem, takim jak On sam? Dlaczego zamknął nas w przemijającej materii, i to materii, która niestety jest tak małpia? Oto odwieczne pytanie.

Jakie przykazanie złamaliśmy? Przykazanie, by żyć życiem Zwierzęcia w całej prostocie, można by rzec: bez przybrania. My jednak łaknęliśmy wiadomości dobrego i złego. Teraz, kiedy ją zdobyliśmy, zbieramy burzę. Dążąc do przekroczenia samych siebie, upadliśmy nisko i nieustannie spadamy, albowiem tak jak Dzieło Stworzenia, również Upadek trwa nieustannie. Nasz Upadek jest upadkiem w chciwość: jakim prawem uważamy, że wszystko, co jest na Ziemi, należy do nas, gdy w rzeczywistości to my należymy do Wszystkiego? Zdradziliśmy zaufanie Zwierząt, zbezczesziliśmy naszą świętą funkcję szafarzy. Boże polecenie, byśmy wypełnili Ziemię, nie znaczyło, że mamy ją zapełnić ludźmi po same brzegi, unicestwiając wszystko pozostałe. Ileż innych Gatunków już zniszczyliśmy? Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych Bożych Stworzeń najmniejszych, Jemuście uczynili. Proszę was, moi Przyjaciele, pomyślcie o tym, gdy następnym razem rozgnieciecie stopą Robaka albo potraktujecie z lekceważeniem Żuka!

Módlmy się, byśmy nie popadli w błąd pychy, uznając siebie samych za wyjątkowych, za jedynych obdarzonych Duszą w całym Stworzonym Świecie. I byśmy w próżności naszej nie sądzili, że stoimy ponad innym Życiem, które dla własnej przyjemności możemy bezkarnie niszczyć.

Dziękujemy Ci, Boże, że stworzyłeś nas takimi, byśmy pamiętali nie tylko o tym, że jesteśmy mało co mniejsi od aniołów, lecz także o tym, że więzy DNA i RNA łączą nas z wieloma Współtworzeniami.

Zaśpiewajmy.

Nie dopuść, Panie

Nie dopuść, Panie, byśmy się wzbili
W pychę lub byli wyniośli
Dla innych Naczelných, przez których geny
W miłości Twej żeśmy wzrosli.

Twój dzień to milion milionów lat,
Twych dróg – któż się doszuka?
Lecz z prac Twych z DNA powstały:
Rozum, uczucie, nauka.

Nie zawsze w Małpie i w Gorylu
Twe dostrzegamy ścieżki –
Jednakże wszystkich razem chroni
Parasol Twój niebieski.

Gdy się chelpimy, nady mamy,
Gdy buta górę w nas bierze,
Ty Australopiteka nam
Przypomnij – tkwiące w nas zwierzę.

Nie daj nam – obok gorszych przywar:
Agresji, żądzy, gniewu –
Gardzić tym, żeśmy z Naczelnymi
Z jednego wzrosli siewu.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren

Kiedy wracam pamięcią do tamtej nocy, nocy, której rozpoczął się Bezwodny Potop, nie przypominam sobie nic szczególnego. Około siódmej poczułam głód, więc wyjęłam z minilodówki energatona i zjadłam połowę. Zawsze zjadałam wszystko tylko do połowy, bo dziewczyna z takim ciałem jak moje nie może sobie pozwolić na roztycie się. Kiedy raz zapytałam Mordisa, czy mam zrobić sobie implanty piersi, odpowiedział, że w przyćmionym świetle mogą odgrywać nieletnią, a na numer z uczennicą zawsze jest duże zapotrzebowanie.

Parę razy podciągnęłam się na drążku, zrobiłam ćwiczenia mięśni Kegla i wtedy przez wideofon połączył się ze mną Mordis, żeby się upewnić, że wszystko w porządku. Brakowało mu mnie, bo nikt nie potrafił porwać tłumu tak jak ja.

– Ren, ty umiesz sprawić, że srają tysiąc dolarówkami – powiedział i przesłał mi całusa. – Dbasz o utrzymanie pupci w formie? – zapytał, więc podstawiłam sobie wideofon z tyłu. – Paluszki lizać – skomentował. Nawet kiedy dziewczyna wydawała się sobie brzydka, dzięki niemu mogła poczuć się piękna.

Potem wrzuciłam podgląd z Wężowiska, żeby sprawdzić, co się dzieje, i potańczyć do muzyki. Jakoś dziwnie było patrzeć, jak wszystko odbywa się tam beze mnie, jakby mnie stamtąd wymazano. Pąsowy Płatek przeżył się na rurze, a Savona zastępowała mnie

na trapezie. Kiedy tak się wiła i błyszczała na zielono, świetnie wyglądała w nowych srebrnych włosach z megarunosów. Sama kiedyś się nad takimi zastanawiałam. Były lepsze niż peruki, bo nie spadały, ale zdaniem niektórych dziewczyn, śmierdziały jak jagnięcina, zwłaszcza gdy zmokły na deszczu.

Savonie szło trochę niezgrabnie. To nie była dziewczyna na trapez, dobrze się nadawała do rury, bo była piersiasta, dała się napompować jak piłka plażowa. Gdyby ją ubrać w szpilki i dmuchnąć w plecy, wyłożyłaby się jak długa.

– Byle co, byle działało – mawiała. – A to, kochana, działa.

Właśnie wykonywała szpagat do góry nogami z trzymaniem jednorącz. Mnie nie przekonywała, lecz facetom w dole nigdy za bardzo nie chodziło o artyzm: zawsze będą myśleć, że Savona jest boska, chyba że zamiast jęczeć, zacznie się śmiać albo zleci z trapezu.

Wyłączyłam Wężowisko i przeleciałam przez inne pokoje, niewiele się w nich jednak działo. Żadnych fetyszystów, nikogo, kto by chciał zostać przybrany w pióra, wytaplany w owsiance, spętany aksamitnymi sznurami lub zażyczył sobie, żeby wiły się na nim gupiki. Zwykły młyn i rutyna.

Zadzwoiłam do Amandy. Jesteśmy dla siebie jak rodzina. Kiedy byliśmy małe, obie byłyśmy bezdomnymi szczeniakami. To mocno zbliża.

Amanda przebywała na pustyni Wisconsin, gdzie składała jedną ze swoich artystycznych bioinstalacji, które tworzyła, odkąd zaczęła te swoje – jak się sama wyraziła – wyglupy ze sztuką. Tym razem były to krowie kości. Całe Wisconsin było zasypane krowimi kośćmi od czasu wielkiej suszy sprzed dziesięciu lat, kiedy uznano, że taniej będzie wybić sztuki, które nie zdechły same z siebie, niż je gdzieś wywozić. Amanda miała do swojej dyspozycji parę ładowarek czołowych zasilanych ogniwoami paliwowymi i dwóch wynajętych teksańsko-meksykańskich nielegalnych imigrantów. Krowie kości spychała ładowarkami w kształty tak wielkie, że można je było zobaczyć tylko z góry: były to ogromne litery, układające się w słowa. Następnie oblewała je syropem do naleśników i czekała, aż na literach pojawią się owady. Całość fo-

tografowała z powietrza i wystawiała w galeriach. Lubiła patrzeć, jak coś się rusza, rośnie, a potem znika.

Amanda zawsze skądś dostawała fundusze na swoje artystyczne wygłupy. Cieszyła się pewną sławą w kręgach zainteresowanych sztuką. Nie były to kręgi szerokie, za to kręgi bogate. Tym razem dogadała się z ważnym facetem z KorpuSOKorpu, który użyczył jej do robienia zdjęć swojego helikoptera.

– Uhandlowałam wiertaliota z panem Ważnym – usłyszałam od niej. Rozmawiając przez telefon, nie mówiłyśmy „KorpuSOKorp” ani „helikopter”, bo tego rodzaju słowa były wychwytywane przez urządzenia podsłuchowe.

Jej przedsięwzięcie wisconsinśkie stanowiło część projektu pod nazwą Żywe Słowo. W żartach powiedziała mi kiedyś, że za-inspirowali ją do tego Ogrodnicy, którzy ciągle nam wpajali, że nie powinno się zapisywać słów. Zaczęła od słów jednoliterowych, takich jak I, A, O, potem przeszła do dwuliterowych, takich jak TO, potem już trzy litery i cztery. Teraz doszła do pięciu. Pisała je na wszystkich możliwych materiałach, nie wyłączając rybich flaków, ptaków zabitych toksycznymi wyciekami i toalet pozy-skiwanych z placów rozbiórki, które napełniała zużyтым olejem kuchennym i podpałała.

Jej nowym słowem było „kaput”. Kiedy opowiadała mi o tym poprzednim razem, powiedziała, że w ten sposób wysłała wiadomość.

– Do kogo? – zapytałam. – Do ludzi, którzy chodzą do galerii? Do panów Ważnych i panów Kasiastych?

– Właśnie tak. I do pań Ważnych i pań Kasiastych. Do nich też.

– Amando, wpakujesz się w kłopoty.

– Spokojnie – odparła. – Oni tego nie zrozumieją.

Powiedziała, że projekt idzie w dobrym kierunku: spadł deszcz, zakwitły pustynne kwiaty, owadów było całe mnóstwo, co zapowiadało udane polewanie syropem. Zdążyła zrobić K i była w trakcie układania A, ale Teks-Meksowie zaczęli się już nudzić.

– No to mam kogoś do pary – zauważyłam. – Też nie mogę się doczekać, żeby się stąd wydostać.

– Do trójki – poprawiła mnie Amanda. – Teks-Meksów jest dwóch. Razem z tobą trójka.

– No tak, zgadza się. Wyglądasz wspaniale, ten strój khaki doskonale ci pasuje – Amanda była wysoka, miała wygląd smukłej traperki, której idealnie pasowałby kapelusz safari.

– Ty też nie wyglądasz najgorzej. Ren, uważaj na siebie.

– Ty też na siebie uważaj. Żeby nie rzuciły się na ciebie te Teks-Meksy.

– Nie rzucą. Myślą, że jestem szalona, a szalona kobieta potrafi obciąć wacka.

– Tego nie wiedziałam! – zaśmiałam się. Amanda lubiła mnie rozśmieszać.

– Skąd miałybyś wiedzieć? Ty nie jesteś szalona i nigdy nie wdziałaś, jak to coś trzepoce się na podłodze. Słodkich snów!

– Słodkich snów nawzajem – powiedziałam, lecz już się rozłączyła.

Straciłam rachubę dni świętych. Nie pamiętam, jakiego świętego dziś mamy – ale potrafię wyliczyć lata. Kredką do brwi sumuję na ścianie, od jak dawna znam Amandę. Robię tak jak na dawnych obrazkach przedstawiających więźniów: cztery kreski przekreślone piątą.

Upłynęło już sporo czasu, ponad piętnaście lat, od chwili gdy Amanda dołączyła do Ogrodników. Stamtąd było tak wiele osób związanych z moim wcześniejszym życiem: Amanda, Bernice, Zeb, Adam Pierwszy, Shackie, Croze, stara Pilar i oczywiście Toby. Ciekawe, co teraz pomyśleliby o mnie i moim sposobie zarabiania na życie. Niektórzy z nich, na przykład Adam Pierwszy, byliby rozczarowani. Bernice powiedziałyby, że się sprzeniewierzyłam i że mam za swoje. Lucerne powiedziałyby, że jestem dziwką, a ja bym odparła, że rozpoznał swój swego. Pilar mądrze by na mnie spojrziała. Shackie i Croze wybuchnęliby śmiechem. Toby zaczęłyby się wściekać na Łuski. A Zeb? Pewnie próbowałby mnie wyratować, bo to byłoby dla niego jakieś wyzwanie.

Amanda już wie. Ona nie osądza. Uważa, że każdy handluje tym, czym musi. Nie zawsze mamy wybór.

Gdy Lucerne i Zeb zabrali mnie ze Świata Złowszechnego i umieścili wśród Ogrodników, wcale nie byłam zadowolona. Ogrodnicy często się uśmiechali, lecz ja się ich bałam, bo tak bardzo byli przejęci katalizmem, wrogami i Bogiem. I wciąż gadali o Śmierci. Ściśle przestrzegali zakazu zabijania Życia, ale jednocześnie uważali, że Śmierć to naturalny proces, co teraz, gdy się nad tym zastanawiam, wydaje mi się jakoś wewnątrznie sprzeczne. Dla nich zamienienie się w kompost nie było niczym złym. Nie każdy się zgodzi z tym, że przemiana jego ciała w kawałek ciała sępa to jakaś atrakcyjna perspektywa na przyszłość, a Ogrodnicy tak właśnie myśleli. Po ich opowieściach o Bezwodnym Potopie, który miał zabić wszystkich ludzi na Świecie – być może z wyjątkiem samych Ogrodników – śniły mi się koszmary.

Żadnej z tych rzeczy nie były się prawdziwe dzieci Ogrodników. Przyzwyczyły się do tego, a nawet się z tego naśmiewały – przynajmniej starsi chłopcy: Shackie, Croze i ich kumple.

– Wszyscy umrzemyyyyy! – wołali, robiąc trupie miny. – Hej, Ren! Chcesz się przydać w Cyklu Życia? To połóż się w śmietniku, będziesz kompostem. – Albo: – Hej, Ren! Chcesz być czerwiem? Wyliź mi skaleczenie!

– Zamknijcie się! – uciszała ich Bernice – albo sami wylądujecie na śmietniku, ja was tam zmiotę! – Bernice była ostra. Ona się nie dawała, większość dzieciaków schodziła jej z drogi. Nawet

chłopcy. Przez to jednak miałam wobec niej dług wdzięczności i musiałam robić wszystko, co mi kazała.

Kiedy jednak Bernice nie było w pobliżu i nie mogła ich przepędzić, Shackie i Croze ciągle mi dokuczali. Rozgniatali ślimaki i połykali żuki, żeby przyprawić innych o mdłości. Zwiastowali „kłopoty” – tak wyrażała się o nich Toby. Słyszałam, jak mówi do Rebekki: „Zbliżają się kłopoty”.

Shackie był najstarszy. Był wysoki i chudy. Na wewnętrznej stronie ramienia miał tatuaż w kształcie pająka, który zrobił sobie własnoręcznie za pomocą igły i sadzy ze świeczki. Croze był bardziej kłocowaty w kształcie, miał okrągłą głowę i brakowało mu z boku zęba, który, jak twierdził, stracił w ulicznej bójce. Ich młodszy brat miał na imię Oates. Rodziców nie mieli. Kiedyś ich oczywiście mieli, ale ojciec wybrał się raz z Zebem na specjalną Adamową wyprawę, z której nigdy nie wrócił. Później odeszła od nich matka, oznajmiając Adamowi Pierwszemu, że zgłosi się po nich, kiedy się urządzi. Nigdy się jednak nie zgłosiła.

Szkoła Ogrodników mieściła się w budynku innym niż Ogród na Dachy. Nazywała się Klinika Wellness, bo kiedyś była tam właśnie taka klinika. Wciąż jeszcze stało w niej parę skrzyń z gazowymi bandażami, które Ogrodnicy zbierali jako pokłosie do celów rzemieślniczych. Pachniało tu octem, bo po stronie korytarza przeciwległej do klas znajdowało się pomieszczenie, w którym Ogrodnicy wytwarzali ocet.

W Klinice Wellness stały twarde ławki; siedzieliśmy w nich w rzędach. Pisało się na tabliczkach, które na koniec dnia trzeba było ścierać. Ogrodnicy uważali bowiem, że nie wolno pozostawiać po sobie niepilnowanych słów, gdyż mogą je znaleźć nasi wrogowie. Pisanie na papierze, wytwarzanym z ciała drzew, było grzechem.

Mnóstwo czasu spędzaliśmy, ucząc się różnych rzeczy na pamięć i recytując je. Na przykład dzieje Ogrodników wyglądały tak:

Rok numer jeden – założony Ogród-Eden; rok
drugi – minął czas niedługi; rok trzeci – Pilar ule

kleci; rok czwarty – Ogród przez Burta wsparty;
rok piąty – Toby wkracza w nasze horyzonty; rok
szósty – z Katurem nasz świat mniej pusty; rok
siódmy – Zeb wszedł w dom nasz cudny.

Przy roku siódmym powinna też być mowa o tym, że przybyłam ja i Lucerne, moja matka. Poza tym nasz dom wcale nie był cudny, ale Ogrodnicy chcieli, żeby ich piosenki się rymowały.

Rok ósmy – przybycie Nuali powtórzmy; rok
dziewiąty – Philo rozświetla nasze kąty.

Chciałam, żeby rok dziesiąty miał coś o Ren, ale nie oczekiwałam, że tak będzie.

Uczyliśmy się na pamięć także trudniejszych rzeczy. Najgorsza była matematyka i nauki ścisłe. Musieliśmy też zapamiętać dni każdego świętego, przy czym każdy dzień bez wyjątku miał co najmniej jednego świętego, a czasem więcej. Zdarzały się też większe święta, co razem dawało ponad czterysta różnych okazji. Do tego dochodziła wiedza o tym, czego ci święci dokonali, że stali się świętymi. Z niektórymi było łatwo. W wypadku świętego Yossiego Leshema od Sów Płomykówek odpowiedź była oczywista. Podobnie ze świętą Dian Fossey, bo jej historia była taka smutna, i ze świętym Shackletonem, bo był taki bohaterski. Ale z innymi wychodziło gorzej. Kto zapamięta świętego Bashira Alouse'a, świętego Cricka albo Dzień Podokarpa? Dzień Podokarpa ciągle mi się mylił, no bo co to jest Podokarp? Pradawne drzewo, a nazywa się jak ryba.

Naszymi nauczycielami byli: Nuala, zajmująca się mniejszymi dziećmi, Chórem Pączków i Kwiatków oraz recyklingiem tkanin, Rebecca – od sztuk kulinarnych, czyli gotowania, Surya od szycia, Mugi od liczenia w pamięci, Pilar od pszczół i mikologii, Toby od leczenia holistycznego za pomocą leków roślinnych i Zeb od stosunków między drapieżką a ofiarą oraz od kamuflażu zwierzęcego. Było jeszcze paru innych nauczycieli: Katuru prowadził lekcje

z medycyny doraźnej dla dzieci, które ukończyły trzynaście lat, a Akuszerka Maruszka uczyła o ludzkim układzie rozrodczym, bo wcześniej nie mieliśmy nic prócz jajowodów u żab. Ci nie byli jednak tak ważni jak tamci.

Dla wszystkich nauczycieli dzieci Ogrodników miały przewiska. Pilar miała przewisko Grzyb, Zeb – Mag-Adam, a Stuart – Śruba, bo zajmował się robieniem mebli. Na Mugiego mówiliśmy Mięsień, na Maruszkę – Śluz, a na Rebeccę – Sól i Wieprz. Burt nazywał się Pała, bo był łysy, a Toby była Suchą Wiedźmą. Wiedźmą dlatego, że nieustannie warzyła jakieś mikstury i rozlewała je do butelek, a Suchą przez swą chudość i surowość, a także dla odróżnienia jej od Nuali, która była Mokłą Wiedźmą przez to, że miała zaślinione usta i trzęsący się zadek i łatwo było doprowadzić ją do płaczu.

Oprócz rymowanek szkolnych dzieci Ogrodników miały też niegrzeczne wierszyki, które układały same. Najpierw po cichu zaczynał nucić Shackleton z Crozierem i starszymi chłopcami, a potem włączała się reszta:

Ciapa z tłustej Mokrej Wiedźmy,
Do rzeźnika z nią pojedźmy!
Zróbmy z niej kielbasę,
Zbijmy na tym kasę!

Najzłośliwsze było w tym wszystkim to o rzeźniku i kielbasie, bo dla Ogrodników każde mięso było bezceństwem.

– Przestańcie! – wołała Nuala, jednak już po chwili pociągała nosem, a starsi chłopcy pokazywali sobie podniesione kciuki.

Nigdy nie udało nam się skłonić do płaczu Suchej Wiedźmy, czyli Toby. Chłopcy mówili, że z niej twardzielka – ona i Rebecca były największymi twardzielkami. Rebecca na zewnątrz była wesolutka, ale nie należało z nią przeginać. Toby była drętwa i z wierzchu, i w środku.

– Nawet nie próbuj, Shackleton – potrafiła powiedzieć, będąc do niego odwrócona tyłem. Nuala była dla nas aż za miła, a Toby trzymała nas w ryzach i jej ufaliśmy bardziej. Skale można zaufać bardziej niż ciastu.

Mieszkałam razem z Lucerne i Zebem w budynku jakies pięć przecznic od Ogrodu. Budynek nazywał się Serownia, bo kiedyś faktycznie nią był. Wciąż jeszcze unosił się w nim lekki serowy zapach. Gdy przestano tu wytwarzać ser, pomieszczenia wykorzystywano na lofty dla artystów. Gdy artyści zniknęli, okazało się, że nie wiadomo, kto jest właścicielem budynku. Przejęli go więc Ogrodnicy, chętnie mieszkający w lokalach, za które nie musieli płacić czynszu.

Nasze mieszkanie składało się z jednego dużego pokoju i przylegających do niego boksów oddzielonych kotarami. Jeden należał do mnie, drugi do Lucerne i Zeba, w trzecim była bioaleta kompostowa, a w czwartym prysznic. Kotary były uplecione ze skrawków plastikowych torebek i taśmy izolacyjnej, daleko im więc było do dźwiękoszczelności. Trochę to przeszkadzało, zwłaszcza gdy się szło do bioalety. Orodnicy uważali, że trawienie to rzecz święta i że nie należy się podśmiechiwać ani krzywić z powodu zapachów i odgłosów, które należą do finalnych produktów procesu odżywiania się. Ale u nas w domu od owych finalnych produktów nie sposób było uciec.

Jadaliśmy w sali głównej na stole zrobionym z drzwi. Wszystkie nasze talerze, garnki i patelnie pochodziły z odzysku – zostały, jak to nazywali Orodnicy, zebrane jako pokłosie. Wyjątek stanowiły grubsze talerze i kubki, które wyprodukowali Orodnicy w Okresie

Ceramicznym, zanim uznali, że piece do wypalania gliny zużywają za dużo energii.

Spałam na materacu wypchanym strąkami i słomą, pod kołdrą zszytą z dzinsów i zużytych dywaników kąpielowych. Każdy dzień musiałam zaczynać od ścielenia łóżka, bo Ogrodnicy lubili mieć ładnie pościelone łóżka – za to nie przebierali w materiałach do ich produkcji. Następnie ściągałam ubranie z haka wbitego w ścianę i ubierałam się. Dostawałam czysty komplet co siedem dni, Ogrodnicy bowiem nie byli całkiem przekonani do marnowania wody i mydła na zbyt częste mycie i pranie. Moje ubranie ciągle było niedosuszone: z powodu wilgotności powietrza, ale też dlatego, że Ogrodnicy nie całkiem byli przekonani do suszarek.

– Bóg stworzył słońce nie bez celu – mawiała Nuala. Jej zdaniem, celem tym było suszenie nam ubrań.

O tej porze Lucerne zwykle była jeszcze w łóżku, czyli w swym ulubionym miejscu. Kiedy z moim prawdziwym ojcem mieszkaliśmy w ZdrowoTechu, prawie nie przebywała w domu. Tu jednak niemal z niego nie wychodziła. Jeśli już, to tylko po to, żeby pójść na Dach albo do Kliniki Wellness pomóc Ogrodniczkom przy pielęgnii łopianów, produkcji pęczkowatych kołder, pleceni kotar z plastikowych torebek albo czymś podobnym.

Zeb brał prysznic, lekceważąc – obok wielu innych reguł – „zabaz codziennej kąpeli”. Woda do naszego natrysku dochodziła z beczki na deszczówkę węzłem ogrodowym pod wpływem grawitacji, nie zużywaliśmy więc energii. Z tego właśnie powodu Zeb robił dla siebie wyjątek. Pod prysznicem śpiewał:

Wszystkim to zwisa i powiewa,
Wszystkim to zwisa i powiewa,
Dlatego doszliśmy do takiego chlewa,
Bo wszystkim to zwisa i powiewa.

Wszystkie jego prysznicowe piosenki niosły pewien ładunek negatywny, choć śpiewał je radośnie, potężnym głosem rosyjskiego niedźwiedzia.

Miałam mieszane uczucia co do Zeba. Potrafił być straszny, ale z drugiej strony obecność w rodzinie kogoś tak ważnego dawała mi poczucie bezpieczeństwa. Zeb był jednym z Adamów, i to Adamów przewodnich. Można to było poznać po tym, że inni patrzyli na niego z szacunkiem. Był silny, zwałisty, z brodą motorowca i długimi brązowymi, lekko siwiejącymi włosami. Twarz miał szorstką, a brwi jak drut kolczasty. Mogło się wydawać, że na pewno ma srebrny ząb albo tatuaż – lecz nie miał. Miał krzepę bramkarza i odpowiedni do niej groźny, lecz sympatyczny wyraz twarzy, który mówił, że potrafiłby skrócić człowiekowi kark w razie potrzeby. Ale nigdy dla żartu.

Od czasu do czasu grał ze mną w domino. Ogrodnicy byli ascetyczni w kwestii zabawek: naszym placem zabaw jest Natura. Dozwolone były jedynie zabawki zszywane z resztek materiałów albo dziergane z zaoszczędzonych nici lub też były to pomarszczone figurki staruszków z głowami zrobionymi z suszonych dzikich jabłek. Ogrodnicy dopuszczali jednak domino, sami bowiem wyrzynali klocki. Kiedy wygrywałam, Zeb mówił ze śmiechem: „Zuch dziewczyna!”, a mnie ogarniało uczucie ciepłe jak nasturcje.

Lucerne nieustannie mi powtarzała, że powinnam być dla niego miła, bo chociaż nie jest moim prawdziwym ojcem, jest j a k mój prawdziwy ojciec, i gdybym zachowała się wobec niego niegrzecznie, zraniłabym go. A jednak nie była zadowolona, kiedy Zeb był miły dla mnie. Przez to wszystko nie do końca wiedziałam, jak mam się zachowywać.

Podczas gdy Zeb śpiewał pod prysznicem, robiłam sobie coś do jedzenia: wiórki sojowe na sucho albo zapiekankę warzywną pozostałą z obiadu – Lucerne była dość marną kucharką. Zwykle wychodziłam do szkoły głodna, lecz zawsze mogłam liczyć na obiad w szkolnej stołówce. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale zawsze jakieś jedzenie. Jak mawiał Adam Pierwszy: głód jest najlepszym kucharzem.

Nie pamiętałam, żebym kiedykolwiek chodziła głodna w ZdrowoTechu. Bardzo chciałam tam wrócić. Chciałam odzyskać prawdziwego ojca, który niewątpliwie wciąż mnie kochał: gdyby

wiedział, gdzie jestem, na pewno przyszedłby po mnie. Chciałam wrócić do mojego prawdziwego domu, w którym był mój pokój, moje łóżko z różowymi zasłonkami i cała szafa ubrań. A najbardziej chciałam, żeby moja matka była taka jak kiedyś, wtedy kiedy zabierała mnie na zakupy albo do Klubu na golfa, albo do NowyTy, gdzie robiono jej zabiegi upiększające, skąd wracała, ładnie pachnąc. Ale kiedy wspominałam jej o naszym dawnym życiu, mówiła, że to wszystko należy do przeszłości.

Miała mnóstwo powodów, żeby uciec z Zebem i przyłączyć się do Ogrodników. Mówiła, że ich sposób życia jest dobry dla całej ludzkości, a także dla wszystkich innych stworzeń na Ziemi i że sama kieruje się miłością, nie tylko miłością do Zeba, lecz również do mnie. Chciała bowiem, żeby świat ozdrowiał, żeby życie nie wymarło w nim do ostatka. Czy wiedząc o tym wszystkim, nie byłam szczęśliwa?

Sama nie wydawała się wcale taka szczęśliwa. Często siadała przy stole, rozczesując włosy, i wpatrywała się w nasze jedyne lustro, w odbicie swojego posępnego, być może krytycznego albo tragicznego wyrazu twarzy. Tak jak pozostałe Ogrodniczki miała długie włosy, których szczotkowanie, splatanie i upinanie wymagało sporo pracy. Kiedy miała gorszy dzień, powtarzała całą operację cztery – pięć razy.

W dni kiedy Zeb wychodził, prawie się do mnie nie odzywała. Albo zachowywała się tak, jakbym go ukrywała. „Kiedy widziałas go ostatni raz? – pytała. – Czy był w szkole?” Jakby chciała, żebym go dla niej śledziła. Później przeproszała, jak gdyby zrobiła mi coś złego: „Wszystko w porządku?” – pytała.

Kiedy odpowiadałam, nie słuchała mnie. Za to nasłuchiwała, czy nie nadchodzi Zeb. Niepokoiła się coraz bardziej, czasem złościła. Biegała wte i wewte, wyglądała przez okno, skarżąc się samej sobie, że Zeb źle ją traktuje. Jednak kiedy się w końcu zjawiał, niemal przewracała go z radości. Zaraz potem zaczynała suszyć mu głowę: gdzie był, z kim był, czemu nie wrócił wcześniej? Zeb wzruszał ramionami i odpowiadał: „Spokojnie, laleczko, już jestem. Za bardzo się przejmujesz”.

Następnie oboje znikali za kotarą z foliowych skrawków i taśmy izolacyjnej, po czym moja matka zaczynała wydawać niktzem-

ne, zbołałe odgłosy, które sprawiały, że czułam się zażenowana. W takich chwilach nienawidziłam jej, bo zachowywała się bez poczucia godności i bez ograniczeń. Jak gdyby nago zasuwała środkiem pasażu. Za co tak bardzo ubóstwiała Zeba?

Teraz rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Można zakochać się w każdym – w idiocie, w kryminaliście, w zerze. Nie ma na to reguł.

Kolejną rzeczą, która nie podobała mi się u Ogrodników, były ubrania. Ogrodnicy byli ludźmi o wszelkich możliwych kolorach, lecz ich ubiór już nie. Jeżeli – jak twierdzili Adamowie i Ewy – Natura jest piękna, jeżeli lilie polne mają być dla nas wzorem, to dlaczego nie mogliśmy wyglądać bardziej jak motyle niż jak parkingi? Byliśmy tacy płacy, tacy prości, tacy obdarci i tacy szarzy.

Dzieci ulicy – plebszczury – wcale nie były bogate, ale ubierały się tak, że błyszcząły. Zazdrościłam im świecidełek, lśniących przedmiotów, takich jak różowe, fioletowe i srebrne telefony z kamerami, które migotały im w dłoniach jak karty w rękach magików. Zazdrościłam im muzycznych Sł/Uchovidów wetkniętych w uszy. Ja też chciałam mieć taką jarmarczną wolność.

Mieliśmy zakaz kolegowania się z plebszczurami. Oni zaś traktowali nas jak pariasów, na nasz widok zatykali sobie nosy, wrzeszczeli na nas albo czymś obrzucali. Adamowie i Ewy uważali, że jesteśmy prześladowani za wiarę, a tak naprawdę prześladowano nas za garderobę: plebszczury były świetnie obeznane w modzie i nosiły najlepsze ciuchy, jakie zdołały uhandlować albo ukraść. Nie mogliśmy się z nimi zadawać – lecz mogliśmy podpatrywać. W ten sposób zdobywaliśmy ich wiedzę. Łapaliśmy ją jak zarazki. Gapiiliśmy się na to zakazane świeckie życie jakby zza drucianej siatki.

Pewnego razu znalazłam na chodniku piękny telefon z kamerą. Chociaż był cały w błocie i brak było sygnału, zabrałam go do domu. Nakryły mnie z nim Ewy:

– Jak mogłaś zrobić coś takiego!?! To coś może wyrządzić ci krzywdę! Może wypalić ci mózg! Nawet na to nie patrz! Jeśli ty to widzisz, to widzi też ciebie!

Pierwszy raz zetknęłam się z Amandą w roku dziesiątym, gdy miałam dziesięć lat. Mój wiek zawsze pokrywał się z bieżącym rokiem, więc łatwo powiedzieć, kiedy to było.

Był to dzień świętego Farleya od Wilków, dzień Młodych Bionierów-Zbieraczy, kiedy to zawiązywaliśmy na szyjach obciachowe zielone bandany i szliśmy zbierać pokłosie na potrzeby Ogrodniczych rzemiosł, opartych na materiałach z odzysku. Kiedy szliśmy zbierać końcówki mydła, braliśmy wiklinowe kosze i obchodziliśmy z nimi lepsze hotele i restauracje, które wyrzucały mydło całymi stosami. Najlepsze hotele mieściły się w bogatych plebsopoliach – w Fernside, w Golfgreens i w najbogatszej z nich – SolarSpace. Jeździliśmy tam autostopem, choć było to zabronione. Ogrodnicy tacy właśnie byli: kazali coś zrobić i zabraniali najprostszego sposobu, w jaki można to było wykonać.

Najlepsze było mydło o zapachu różanym. Bernice i ja zabierałyśmy trochę tego mydła do domu. Wkładałam je do poszewki, żeby wilgotna kołdra mniej śmierdziała pleśnią. Resztę oddawaliśmy Ogrodnikom, którzy na Dachy przygotowywali mydło na galaretę na kuchenkach na energię słoneczną, potem studzili je i kroili w kostki. Ogrodnicy zużywali mnóstwo mydła, bo bali się drobnoustrojów. Część mydeł jednak odkładano na bok, owija-

no liśćmi i obwiązywano pasmami skręconej trawy, żeby później sprzedać je turystom i ciekawskim podczas Wymiany Materiałów Naturalnych „Drzewo Życia”, razem z robakami w torebkach, ekologicznymi rzepami, kabaczkami i innymi warzywami, których Ogrodnicy nie zużyli sami.

Tym razem nie był to dzień zbiorów na mydło, lecz na ocet. Obchodziliśmy więc tylne wejścia barów, klubów nocnych i lokali ze striptizem, przetrząsając kubły na śmieci w poszukiwaniu resztek wina, które zlewaliśmy do emaliowanych wiaderków Młodych Bionierów. Następnie taszczyliśmy je do Kliniki Wellness. Tam, w Ocetowni, Ogrodnicy zlewali płyny do ogromnych beczek i poddawali fermentacji, w wyniku której otrzymywali ocet wykorzystywany w domowych porządkach. Nadwyżkę odlewali do buteleczek zebranych przez nas jako pokłosie, na które naklejali Ogrodnicze etykiety i które razem z mydłem wystawiali na sprzedaż podczas Drzewa Życia.

Praca Młodych Bionierów miała nas uczyć pożytecznych rzeczy. Na przykład tego, że niczego nie powinno się lekkomyślnie wyrzucać, nawet wina z grzesznych miejsc, gdyż nie istnieje coś takiego jak śmieci, odpady, nieczystości – są to materiały, które nie zostały właściwie spożytkowane. A przede wszystkim praca ta miała uczyć tego, że wszyscy, z dziećmi włącznie, powinni wspierać życie wspólnoty.

Chłopacy, zamiast zachować znalezione wino, często je wypijali. Kiedy wypili za dużo, przewracali się, wymiotowali albo wdawali się w bójkę z plebszurami i rzucali kamieniami w żuli. Żeby się zemścić, żule próbowały nas nabrać, sikając do pustych butelek po winie. Ja nigdy nie napiłam się sików: wystarczyło, że powąchałam otwartą butelkę. Jednak niektóre dzieciaki miały wdech przytępiiony od palenia niedopałków papierosów i cygar, a nawet trawy, którą czasem udawało im się zdobyć, i od razu przechylały butelkę, a potem wszystko wypluwały i zaczynały kłąć. Chociaż być może piły te siki z butelek celowo, żeby mieć jakiś powód do przeklinania, które u Ogrodników było zabronione.

Shackie, Croze i inni chłopcy, ledwie zostawili za sobą Ogród, ściągali bandany Młodych Bionierów z szyi i zawiązywali je sobie na głowach, tak jak Azjatyckie Miksy. Chcieli mieć podobny gang uliczny, mieli nawet własne hasło: „Gangrono!”, mówił jeden, a drugi odpowiadał: „Wegan grono!”. To oznaczało, że są gangiem wegan i dlatego mają zielone chusty. Cała sprawa miała być tajemnicą znaną tylko członkom bandy, ale wiedzieliśmy o niej wszyscy. Bernice stwierdziła, że to hasło świetnie do nich pasuje, bo gangrena to gnijące ciało, a oni byli przegnici do szpiku kości.

– Też mi żart – odpowiedział Crozier. – PS, Bernice: szkara da z ciebie.

Mieliśmy nakazane zbierać pokłosie w grupach, tak żebyśmy mogli się bronić przed ulicznymi gangami plebszurów, żułami, które mogły próbować zabrać nam wiadra i wypić wino, albo porywaczami dzieci, którzy mogli sprzedać nas na rynku usług seksualnych jako nieletni żywy towar. Dzieliliśmy się jednak na dwójki i trójki, żeby przeczesać cały teren w krótszym czasie.

Tamtego dnia poszłam zbierać razem z Bernice i pokłóciłyśmy się. Ciągle się o coś sprzeczałyśmy, co dla mnie było dowodem przyjaźni, ponieważ bez względu na to, jak zażarte były te kłótnie, zawsze się potem godziłyśmy. Jednoczyła nas jakaś więź, nie twarda jak kość, ale elastyczna jak chrząstka. Najprawdopodobniej obie czułyśmy się niezbyt pewnie wśród dzieci Ogrodników, obie bałyśmy się pozostać bez sprzymierzeńca.

Tym razem poszło o portmonetkę z koralików z rozgwiazdą, którą wygrzebałyśmy na kupie śmieci. Takie znaleziska były dla nas obiektami pożądania i wciąż wypatrywałyśmy czegoś podobnego. Mieszkańcy plebsopolii wyrzucali to masowo, ponieważ, zdaniem Adamów i Ew, na niczym nie umieli dłużej zatrzymać uwagi i byli wyzuci z wszelkich zasad moralnych.

– Ja pierwsza ją zobaczyłam! – powiedziałam.

– Ty zobaczyłaś pierwsza ostatnim razem – odparła Bernice.

– I co z tego? Zobaczyłam ją pierwsza, i już.

– Twoja matka jest lafiryndą – rzekła Bernice.

To było nieuczciwe, bo sama tak myślałam i Bernice o tym wiedziała.

– A twoja rośliną! – odcięłam się. „Roślina” nie powinna być wśród Ogrodników obelgą, jednak była. – Veena-Roślina! – dorzuciłam.

– Ty mięsny smrodzie! – Bernice trzymała portmonetkę i nie chciała jej oddać.

– No dobra! – powiedziałam, odwróciłam się i poszłam sobie. Zwlekałam, ale nie patrzyłam za siebie. Bernice mnie nie goniła.

Działo się to w pasażu w centrum handlowym, które nazywało się Jabłonkowy Zakątek. Taka była też oficjalna nazwa naszej plebsopolii, lecz wszyscy nazywali ją Zapadliskiem, bo ludzie czasem znikali tu bez śladu. My, dzieci Ogrodników, chodziłyśmy na ten pasaż przy każdej okazji, żeby się porozglądać.

Jak wszystko w naszej plebsopolii, dawniej ten pasaż był bardziej elegancki. Teraz stała tu nieczynna fontanna zasypana pustymi puszkami po piwie, wbudowane kwietniki pełne puszek po zizifrucie, niedopałków i zużytych prezerwatyw, na których – jak twierdziła Nuala – roilo się od niebezpiecznych zarazków. Była tu też kabina z holografomatem, który dawniej po wrzuceniu pieniędzy generował chyba słońca, księżyce, rzadkie zwierzęta, a także postacie ludzkie. Jakiś czas temu został jednak zdemolowany i teraz straszyl wybitym okiem. Czasami wchodziliśmy do środka, zasuwaliliśmy poszarpaną zasłonę w gwiazdki i czytaliśmy napisy, które nabazgrały na ściankach plebszczyry. „Monika dała ciała. Darf też ale lepiej”. „Jesteś \$?”. „Tobje za freeko, bejBe8S!”. „Brad jesteś troopem”. Te plebszczyry były takie odważne, pisały wszystko i wszędzie. Nie martwiły się, że ktoś to zobaczy.

Plebszczyry z Zapadliska paliły w holografomacie trawę – kabina cuchnęła nią – i uprawiały seks. Było to widać po pozostawionych tu prezerwatywach, czasem też majtkach. Obie czynności dla dzieci Ogrodników były zakazane: środki halucynogenne zastrzeżone były do celów religijnych, a seks dla osób, które miały za sobą

wymianę zielonych listków i skok przez ognisko. Starsze dzieciaki twierdziły, że i tak robiły jedno i drugie.

Jedynymi sklepami, których nie zabito deskami, były sklepy „wszystko po dwadzieścia dolarów”, o nazwach takich jak: U Błysłotki, Po Dzikiej Stronie, U Bonga. Sprzedawano w nich kapelusze z piórami, kredki do malowania po ciele, koszulki ze smokami, czaszkami i różnymi złośliwymi hasłami. Można też było w nich kupić energatony, gumę do żucia, od której w ciemnościach świecił się język, popielniczki w kształcie czerwonych warg z napisem „Strzepnij sobie we mnie” i tatuaże „Wytraw-A-Wytrwa-Na-Skórze”, które, jak ostrzegały Ewy, mogły człowiekowi wypalić skórę do samych żył. W tych sklepach można też było dostać po atrakcyjnych cenach drogi towar, który, według Shackiego, był buchnięty z butików w SolarSpace.

Ewy powiedziałyby, że to wszystko to kiczowaty chłam. Jeśli chcesz sprzedać duszę, przynajmniej zażądaj wyższej ceny! Nie wzruszało to Bernice i mnie, nie obchodziły nas nasze dusze. Gapiłyśmy się w okna wystawowe, pragnąc tych wszystkich rzeczy tak bardzo, że kręciło nam się w głowach. Co byś chciała? – pytałyśmy siebie nawzajem. Świecąca różdżkę? To dla dzieci... Film *Krew i różę*? Ohyda, dla chłopaków. Naklejane implanty piersi „Prawdziwa Kobieta” z brodawkami reagującymi na dotyk? Ren, ale suchar!

Kiedy tamtego dnia Bernice mnie zostawiła, nie bardzo wiedziałam, co począć. Najpierw pomyślałam, że może powinnam wracać do domu, bo sama nie czułam się bezpiecznie. I wtedy zobaczyłam Amandę. Stała po drugiej stronie pasażu, z grupką teksańskomeksykańskich dziewczyn z plebsopolii. Znałam je z widzenia – Amandy nigdy przedtem z nimi nie było.

Dziewczyny miały na sobie typowe ubrania: minispódniczki i bluzki z cekinami, na szyjach przewieszane boa wyglądające jak różowa wata cukrowa; do tego miały srebrne rękawiczki i plastikowe motyle wpięte we włosy. Szpanowały Sł/Uchovidami, jak skrawo świecącymi się telefonami i bransoletkami z meduzami.

Wszystkie włączyły tę samą melodię ze Sł/Uchovidów i tańczyły do niej, kręcąc pośladkami i wypinając piersi. Wyglądały tak, jakby miały już wszystko ze wszystkich możliwych sklepów i były tym znudzone. Strasznie im zazdrościłam, że tak wyglądają. Patrzyłam i zazdrościłam.

Amanda tańczyła razem z nimi i była w tym najlepsza. Po chwili przestała i odeszła nieco na bok, pisząc coś na swoim fioletowym telefonie. Nagle spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i zamachała do mnie srebrną dłonią. I znaczyło to: chodź tu.

Upewniłam się, że nikt nie patrzy, i przeszłam na drugą stronę pasażu.

– Chcesz zobaczyć moją bransoletkę z meduzami? – zapytała, kiedy do niej podeszłam. W moim sierocym stroju i z brudnymi od kredy palcami musiałam jej się wydawać żalosna. Wystawiła przegub dłoni i zobaczyłam malutkie meduzy otwierające się i zamykające jak falujące kwiaty. Były cudowne.

– Skąd to masz? – zapytałam. Ledwie byłam w stanie cokolwiek z siebie wykrztusić.

– Zakosiłam – usłyszałam w odpowiedzi. Przeważnie w ten właśnie sposób plebszczury zdobywały potrzebne im rzeczy.

– Jak to możliwe, że one w tym żyją?

Wskazała palcem srebrną gałeczkę w miejscu zapięcia bransoletki.

– To natleniacz, wpompowuje tlen. Dwa razy na tydzień podaje się pokarm.

– A co, jeśli się zapomni?

– Zjadają się – odparła z lekkim uśmiechem. – Niektórzy specjalnie nie karmią. Wtedy w środku wybucha mała wojna i po chwili zostaje jedna meduzka, która potem zdycha.

– To straszne – powiedziałam.

Amanda nie przestawała się uśmiechać.

– No, właśnie po to tak się robi.

– Są naprawdę ładne – powiedziałam neutralnym tonem. Chciałam sprawić jej przyjemność, a nie wiedziałam, czy według niej „straszne” to dobrze, czy nie.

– Masz – rzekła i wyciągnęła dłoń w moją stronę. – Zakoszę sobie drugą.

Miałam potworną ochotę na tę bransoletkę, jednak bałam się, że nie uda mi się kupić pokarmu i meduzy pozdychają. Albo że nawet jeśli dobrze ją ukryję, ktoś ją znajdzie i zaczną się problemy.

– Nie mogę jej wziąć – powiedziałam i zrobiłam krok w tył.

– Jesteś od nich, co? – zapytała Amanda, nie drwiąco, lecz z zaciekawieniem. – Od tych nabożnisiów, tych świętuchów? Podobno można ich spotkać w tej okolicy.

– Nie – odpowiedziałam. – Nie jestem od nich – pewnie było widać jak na dłoni, że kłamię. W Zapadlisku roiło się od przeróżnych obdartusów, którzy jednak w odróżnieniu od Ogrodników nie chodzili obdarci celowo.

Amanda spojrzała lekko z ukosa:

– Ciekawe. Bo wyglądasz jak od nich.

– Ja tylko u nich mieszkam. Jestem u nich tak jakby w gościach. Tak naprawdę wcale nie jestem taka jak oni.

– Pewnie że nie – rzekła Amanda z uśmiechem. Pacnęła mnie delikatnie w ramię. – Chodź ze mną, chcę ci coś pokazać.

Zaprowadziła mnie w uliczkę prowadzącą na tyły Łusek i Ogónów. Jako dzieciom Ogrodników, nie wolno nam było się tam zapuszczać, lecz i tak tam chodziliśmy, bo w trakcie zbiorów można tam było znaleźć dużo wina na ocet, jeżeli tylko przyszło się dość wcześnie, żeby ubiec żuli.

Zaułek był niebezpiecznym miejscem. Łuski i Ogony były brudną norą, tak twierdziły Ewy. Nigdy przynigdy nie powinniśmy tam chodzić, a zwłaszcza dziewczęta. Neonowy napis ROZRYWKA DLA DOROSŁYCH świecił się nad wejściem pilnowanym w nocy przez dwóch potężnych facetów w czarnych garniturach i okularach przeciwsłonecznych, nawet kiedy było ciemno. Jedna ze starszych dziewczyn Ogrodników twierdziła, że kiedyś powiedzieli do niej: „Wróć do nas za rok ze swoją słodką dupcią”, ale zdaniem Bernice były to zwykle przechwałki.

Po obu stronach wejścia do Łusek wyświetlane były holofotografie. Przedstawiały piękne dziewczyny niemal całkowicie – z wyjątkiem włosów – pokryte jak jaszczurki lśniąщими zielonymi łuskami. Jedna z nich stała na jednej nodze, a drugą miała założoną za głowę. Pomyślałam, że to musi boleć, ale dziewczyna z holofotografii była uśmiechnięta.

Czy te łuski na nich rosły, czy były naklejane? Sprzeczałam się o to z Bernice. Ja twierdziłam, że były naklejane, a Bernice – że rosły, bo dziewczynom robiono operacje, takie same jak przy wszczepianiu piersi. Mówiłam jej, że opowiada bzdury, bo nikt nie dałby sobie zrobić takiej operacji, ale w głębi duszy chyba jej wierzyłam.

Pewnego razu byliśmy świadkami, jak w biały dzień dziewczyna z łuskami biegła ulicą ścigana przez mężczyznę w czarnym garniturze. W tych lśniących zielonych łuskach błyszczała niesamowicie. Zrzuciła szpilki i dalej biegła boso, przemykając między ludźmi, aż w pewnej chwili nadepnęła na rozbite szkło i upadła. Mężczyzna dogonił ją, wziął na ręce i zabrał z powrotem do Łusek. Jej ramiona, pokryte skórą węża, dyndały w powietrzu, a stopy krwawiły. Za każdym razem gdy sobie to przypomiinałam, przechodził mnie dreszcz, jakbym widziała, że ktoś zacina się w palec.

Na końcu uliczki obok Łusek było małe podwórko, gdzie trzymano kubły na odpady, na ropośmięci i inne rzeczy. Stało tam ogrodzenie z desek, za którym położona była pusta działka po spalonym budynku. Nie było na niej nic prócz twardej ziemi usianej kawałkami betonu, zwęglonego drewna, potłuczonego szkła i porośniętej chwastami.

Często w tym miejscu kręciły się plebszczury, które atakowały nas w momencie, kiedy przelewaliśmy wino z butelek. Wrzeszczały „świętuchy-śmierduchy!” i wrywały nam wiadra, żeby z nimi uciec albo żeby oblać nas ich zawartością. Raz ofiarą padła Bernice, która potem śmierdziała winem przez parę tygodni.

Czasami chodziliśmy tam razem z Zebem na zajęcia na wolnym powietrzu. Zeb uważał, że w całej naszej plebsopolii nie znaj-

dziemy miejsca, które bardziej przypominałoby łąkę niż ta działka. Kiedy był z nami Zeb, dzieciaki z plebsopolii nie zaczepiały nas. Z nim czuliśmy się tak, jakbyśmy mieli prywatnego tygrysa, który wobec nas zachowywał się łagodnie, a dla innych był dziki.

Raz znaleźliśmy w tym miejscu zwłoki dziewczyny. Były bez włosów i ubrania. Na ciele zostało jedynie parę zielonych łusek. Naklejane, pomyślałam. Albo coś w tym rodzaju. W każdym razie nie rosną. Miałam rację.

– Chyba się opala – powiedział któryś ze starszych chłopców. Reszta zachichotała.

– Nie dotykać jej! – nakazał Zeb. – Mieście odrobinę szacunku! Dzisiaj lekcja odbędzie się na Dachy, w Ogrodzie.

Gdy wróciliśmy tam na kolejne zajęcia na wolnym powietrzu, ciała już nie było.

– Założę się, że już z niej zrobili ropę śmieciową – szepnęła do mnie Bernice. Ropę śmieciową wytwarzano z rozmaitych odpadów zawierających węgiel: z resztek z rzeźni, zepsutych warzyw, odrzutów z restauracji, a nawet plastikowych butelek. Ładowano to wszystko do kotła, z którego wychodziły ropa i woda, a do tego trochę metalu. Zgodnie z prawem, do jej produkcji nie wolno było wykorzystywać ludzkich zwłok, ale dzieciaki robiły sobie żarty na ten temat. Ropa, woda, guziki od koszuli. Ropa, woda, złote stalówki.

– Ropa, woda, zielone łuski – wyszeptałam do Bernice.

Rozejrzałyśmy się – działka zdawała się pusta. Żadnych plebszczurów, żadnych nagich kobiecych zwłok. Amanda zaprowadziła mnie do narożnika w głębi, gdzie leżała płaska betonowa płyta. Oparta o nią stała butelka z syropem, taka do wyciskania.

– Patrz – wypisała syropem swoje imię na płycie. Sznureczek mrówek zaczął zlizywać pokarm z liter, z których każda była teraz otoczona czarną obwódką owadów. W ten sposób poznałam jej imię, napisane mrówkami. Amanda Payne.

– Bomba, co? – zapytała. – Chcesz napisać swoje imię?

– Po co to robisz?

– Bo to fajowe. Piszesz coś, a one to zjadają. Pojawiasz się i znikasz. W ten sposób nikt nie może cię znaleźć.

Dlaczego pomyślałam wtedy, że jest w tym jakiś sens? Nie wiem, ale tak było.

– Gdzie mieszkasz? – zapytałam.

– A, w okolicy – rzekła od niechcienia. To znaczyło, że tak naprawdę nie mieszka nigdzie. Sypia na dziko w jakimś pustostanie albo i gorzej. – Przedtem mieszkałam w Teksasie – dodała.

A więc była uchodźczynią. Po cyklonach i suszach pojawiło się tu mnóstwo uchodźców z Teksasu. W większości przebywali tu nielegalnie. Zrozumiałam, czemu Amandę tak bardzo interesowało znikanie.

– Możesz zamieszkać ze mną – zaproponowałam. To nie było zamierzone, samo mi się powiedziało.

W tym momencie przez szczelinę w płocie przecisnęła się Bernice. Namysliła się i wracała po mnie. Teraz jednak nie była mi już potrzebna.

– Ren! Co ty wyprawiasz? – krzyknęła. Człapała w naszą stronę tym swoim zamaszystym krokiem. Przyłapałam się na stwierdzeniu, że ma wielkie stopy, kwadratowe ciało i za mały nos, że lepiej by wyglądała z dłuższą i smuklejszą szyją, taką, jaką miała Amanda.

– Chyba przysłała twoja przyjaciółka – uśmiechnęła się Amanda. Miałam ochotę powiedzieć: to nie jest moja przyjaciółka, lecz na taką zdradę zabrakło mi odwagi.

Bernice podeszła do nas czerwona na twarzy. Robiła się czerwona, kiedy była wściekła.

– Chodź, Ren – rzekła do mnie. – Nie wolno ci z nią rozmawiać. Dojrzała bransoletkę z meduzą. Byłam pewna, że chciała ją mieć tak samo jak ja.

– Jesteś zła! – krzyknęła do Amandy. – Plebszczur!

Ujęła mnie pod rękę.

– To Amanda – powiedziałam. – Będzie ze mną mieszkać.

Byłam przygotowana na to, że Bernice jak zwykle wpadnie w szal, ale patrzyłam na nią kamiennym wzrokiem, który mówił,

że nie ustąpię. Upierając się, ryzykowałaby utratę twarzy wobec nieznajomej. Obrzuciła mnie więc tylko milczącym, wyrachowanym spojrzeniem:

– No dobra, pomoże nam nieść wino.

– Amanda umie kraść – powiedziałam Bernice, kiedy zmęczone, wlekłyśmy się do Kliniki Wellness. Chciałam w ten sposób zaproponować jej rozejm, ale Bernice tylko prychnęła.

Wiedziałam, że nie mogę wziąć Amandy do siebie jak bezpańskiego kota. Lucerne rozkazałaby mi odstawić ją tam, skąd ją wzięłam – Amanda była plebszczurem, a Lucerne nie znosiła plebszczurów. W jej mniemaniu były to dzieci upadłe, bez wyjątku złodzieje i oszuści, a dziecko raz upadłe stawało się jak dziki pies, którego nie sposób wytresować i któremu nie można ufać. Ze strachu przed gangami plebszczurów, które potrafiły otoczyć człowieka i zabrać mu, co tylko im się nawinęło pod rękę, unikała nawet chodzenia z jednego miejsca należącego do Ogrodników do drugiego. Nigdy się nie nauczyła, że można podnieść kamień, oddać napastnikowi, zacząć krzyczeć. Tak ukształtowało ją jej dawniejsze życie: była kwiatem cieplarnianym, jak ją nazywał Zeb. Kiedy słyszałam „kwiat”, myślałam, że mówi jej komplement.

Amandzie groziło więc, że zostanie wyrzucona z hukiem, jeśli najpierw nie uzyskam pozwolenia od Zeba. Zeb zawsze bardzo się cieszył, kiedy do Ogrodników dołączali nowi, zwłaszcza dzieci – wciąż powtarzał, że Ogrodnicy powinni kształtować młode umysły. Jeżeli on uzna, że Amanda powinna zostać, Lucerne nie będzie mogła się nie zgodzić.

Kiedy cała nasza trójka dotarła do Kliniki Wellness, zastałyśmy tam Adama Pierwszego butelkującego ocet. Wytłumaczyłam mu, że znalazłam Amandę – użyłam sformułowania: „zebrałam jako

pokłosie” – która ujrawszy Światło, chce do nas dołączyć. Potem zapytałam, czy mogłaby zamieszkać u mnie.

– Czy to prawda, moje dziecko? – Adam Pierwszy zapytał Amandę. Pozostali Ogrodnicy przerwali pracę, lustrując jej mini-spódniczkę i srebrne palce.

– Tak, proszę pana – odpowiedziała głosem pełnym szacunku.

– Będzie miała zły wpływ na Ren – rzekła Nuala, która właśnie nadeszła. – Ren zbyt łatwo pozwala sobą kierować. Powinniśmy umieścić ją razem z Bernice.

Bernice spojrzała na mnie triumfująco: No i widzisz, do czego doprowadziłaś?, i oznajmiła neutralnym tonem:

– Tak będzie najlepiej.

– Nie! – zaprotestowałam. – To ja ją znalazłam!

Bernice rzuciła mi gniewne spojrzenie. Amanda nie odzywała się. Adam Pierwszy przyglądał się naszej trójce. On wiedział o wielu rzeczach.

– Może niech Amanda sama wybierze – rzekł. – Powinna spotkać się z obiema rodzinami. W ten sposób łatwo rozwiążemy problem. Tak będzie najsprawiedliwiej, nieprawdaż?

– Zaczniemy ode mnie – powiedziała Bernice.

Bernice mieszkała we Wspólnocie Mieszkaniowej Buenavista. Ogrodnicy nie byli tak naprawdę właścicielami tego budynku – własność bowiem była złem – ale w pewien sposób mieli nad nim kontrolę. Zmatowiałymi złotymi literami wypisane na nim było „Luksusowe lofty dla współczesnych singli”, lecz dobrze wiedziałam, że w środku nie ma nic z luksusu: w domu Bernice prysznic był zatkany, płytki w kuchni popękane i poszczerbione, w czasie deszczu ciekło z sufitu, a łazienka była oślizgła od pleśni.

Weszliśmy we trójkę do hallu, minęliśmy Ogrodniczkę w średnim wieku pełniącą funkcję stróża – była zajęta jakąś splątaną robótką makramową i ledwie nas zauważyła. Do mieszkania Bernice na szóstym piętrze musiałyśmy wspinać się schodami, bo Ogrodnicy nie byli przekonani do jeżdżenia windą, chyba że trzeba było przewieźć starca albo paraplegika. Na klatce schodowej walały się

zakazane przedmioty: igły, zużyte prezerwatywy, łyżki, resztki świec. Ogrodnicy twierdzili, że nocami włożyły tu złodziejaszki, łobuzy i alfonsy z plebsopolii, żeby urządzać sobie wyuzdane imprezy. Nigdy takiej imprezy nie widziałyśmy, choć raz przyłapałyśmy tam Shackiego i Croze'a, jak z kumplami spijali winne zlewki.

Bernice miała własny plastiklucz – otworzyła drzwi i wpuściła nas do środka. Mieszkanie woniało jak brudne ubranie pozostawione pod ciekącym zlewem albo jak dzieciaki z zatkanymi zatokami, albo też jak pieluchy. Poprzez te zapachy przebijał się jeszcze inny – intensywny, żyzny, ostry i ziemisty. Może zalaływał tu z przewodów odprowadzających ogrzane powietrze z Ogrodniczych upraw grzybów w piwnicy.

Okazało się jednak, że ten zapach, jak wszystkie pozostałe, pochodził od matki Bernice, Veeny, która siedziała na wytartej kanapie z pluszu niczym słup soli i wpatrywała się w ścianę. Ubrana była w ten sam nijaki sposób co zawsze. Kolana okrywał jej stary żółty dziecięcy kocyk. Po obu stronach jej okrągłej, delikatnej, białawej twarzy obojętnie zwisały bezbarwne włosy. Dłonie trzymała luźno zaciśnięte, jakby miała połamane palce. Na podłodze pod jej stopami leżały porzucane brudne naczynia. Veena nie gotowała: jadła to, co dawał jej ojciec Bernice, albo wcale nie jadła. Nigdy nie sprzątała. Odzywała się rzadko kiedy, teraz też nie mówiła nic. Kiedy przechodziłyśmy koło niej, oczy jej rozbłysły, więc chyba nas widziała.

– Co jej jest? – szepnęła do mnie Amanda.

– Jest Ugorem – odpowiedziałam szeptem.

– Taak? A wygląda, jakby się nieźle nawaliła.

Moja mama uważała, że matka Bernice jest „w depresji”. Kiedy Bernice to słyszała, odpowiadała, że moja mama nie jest prawdziwą Ogrodniczką, bo prawdziwa Ogrodniczka nigdy nie powiedziałaby „w depresji”. Ogrodnicy twierdzili, że osoby zachowujące się jak Veena są w stanie Uguru – odpoczywają, zagłębiając się w sobie w poszukiwaniu Duchowego poznania, gromadząc siły na tę chwilę, kiedy otworzą się jak pąki na wiosnę. Tylko pozornie nie robią nic. Niektórzy Ogrodnicy potrafili przebywać w stanie Uguru przez bardzo długi czas.

– Tu mieszkam – rzekła Bernice.

– Gdzie miałabym spać? – spytała Amanda.

Gdy oglądałyśmy pokój Bernice, do mieszkania wszedł Burt Pała i zapytał:

– Gdzie moja mała dziewczynka?

– Nie odpowiadajcie – zarządziła Bernice. – Zamknijcie drzwi!

Słyszałyśmy, jak kręci się po korytarzu. Po chwili wszedł do pokoju Bernice i podniósł ją w górę, trzymając pod pachami. „Gdzie moja mała dziewczynka?” – zapytał po raz drugi. Dla mnie to było żenujące. Już wcześniej widziałam, jak to robił, i to nie tylko z Bernice. Lubował się w dziewczęcych pachach. Czasem wśród grządek fasoli dopadał tę czy inną, zajęętą translokowaniem ślimaków, i udawał, że chce jej pomóc. Wtedy do akcji wkraczały ręce. Ależ z niego była tępa pała...

Bernice wyginała się i wiła:

– Nie jestem twoją małą dziewczynką! – wołała, co mogło znaczyć: nie jestem mała lub nie jestem twoja, a może nawet: nie jestem dziewczynką. Burt odebrał to jako żart.

– No to gdzie się podziała moja mała dziewczynka? – powtarzał głosem cierpiętnika.

– Postaw mnie! – krzyczała Bernice. Było mi jej żal, a jednocześnie poczułam, że mam szczęście, bo cokolwiek odczuwałam wobec Zeba, nie była to żenada.

– Chcę zobaczyć teraz twoje mieszkanie – powiedziała Amanda, więc obie wyszłyśmy i zeszyłyśmy po schodach, pozostawiając Bernice zaczerwienioną i wściekłą jak nigdy dotąd. Było mi z tego powodu przykro, lecz nie aż tak, żeby zrezygnować z Amandy.

Lucerne nie ucieszyła się z wieści, że Amanda ma dołączyć do naszej rodziny, ale powiedziałam, że tak zarządził Adam Pierwszy. Cóż mogła na to odpowiedzieć?

– Będzie musiała spać razem z tobą w pokoju – rzekła zirytowana.

– Nie będzie mieć nic przeciwko temu – odparłam. – Prawda, Amando?

– Nie, skądże – potwierdziła. Potrafiła odgrywać bardzo uprzejmą, jakby to ona wyświadczała komuś grzeczność. Drażniło to Lucerne, która dodała:

– Będzie też musiała pozbyć się tego krzykliwego ubrania.

– To przecież jeszcze nieznoszone! – powiedziałam niewinnie.

– Nie można tego, ot tak, wyrzucić! To byłoby marnotrawstwo!

– Sprzedamy je – odparła Lucerne surowo. – Pieniądze na pewno się przydadzą.

– Pieniądze powinna dostać Amanda – zauważyłam. – To jej ubranie.

– Nie trzeba – powiedziała Amanda łagodnie, lecz z królewską godnością. – Nic mnie nie kosztowało.

Weszliśmy do mojego boksu, usiadliśmy na łóżku i wybuchnęliśmy śmiechem, zatykając usta dłońmi.

Zeb wrócił wieczorem i początkowo nie miał żadnych uwag. Podczas wspólnej kolacji przeżuwał zapiekane wiórki sojowe z zieloną fasolką, patrząc na kształtną szyję i srebrne palce Amandy, która – nie zdjawszy rękawiczek – z gracją skubała zawartość swojego talerza. W końcu powiedział do niej:

– Cwana kombinatoreczka z ciebie, co? – wyrzekł to tym swoim przyjaznym głosem, którym mówił „zuch dziewczyna”, kiedy graliśmy w domino.

Lucerne, która właśnie serwowała mu dokładkę, zatrzymała się w pół ruchu, z wielką łyżką uniesioną w górze jak z jakimś wykrywaczem metalu. Amanda, szeroko otwierając oczy, popatrzyła na Zeba z powagą:

– Nie rozumiem, proszę pana...

Zeb roześmiał się i powiedział:

– Jesteś kapitalna.

Z Amandą mieszkało mi się jak z siostrą, tylko że lepiej. Zaczęła nosić Ogrodnicze ubrania, więc wyglądała jak wszyscy inni. Dość szybko zaczęła też pachnieć jak wszyscy inni.

Przez pierwszy tydzień oprowadzałam ją. Zabrałam ją do Ocotowni, do Szwalni i do sali gimnastycznej „Dogoń-Swą-Światłość”, którą opiekował się Mugi. Przezywaliśmy go Mugim Mięśniem, bo został mu już tylko jeden mięsień. Mimo to Amanda się z nim zaprzyjaźniła. Zaprzyjaźniała się ze wszystkimi, pytając ich, jak daną rzecz robi się we właściwy sposób.

Burt Pała objaśniał jej, jak translokować ślimaki poprzez wyrzucanie ich ponad balustradą w ruch uliczny, skąd miały popęznąć sobie do nowych domków – choć wiedziałam, że tak naprawdę ulegały rozmiażdżeniu. Katuru Złączka, który uszczelniał przewody i doglądał rur, tłumaczył jej zasady działania instalacji wodno-kanalizacyjnej.

Philo Mgła niewiele Amandzie powiedział, tylko długo się do niej uśmiechał. Starsi Ogrodnicy twierdzili, że przekroczył granice języka i podróżował wraz z Duchem, choć według Amandy był najzwyczajniej napruty. Stuart Śruba, który robił nam meble ze śmieci z odzysku, nie przepadał za ludźmi, lecz Amandę polubił. „Dziewczyzna ma dobre oko do drewna” – mówił o niej.

Szyć Amanda nie lubiła, udawała jednak, że lubi, i zbierała pochwały od Suryi. Rebecca mówiła do niej „kochana” i uważała, że

Amanda zna się na dobrym jedzeniu, a Nuala rozplýwała się w zachwytach nad jej śpiewem w Chórze Pączków i Kwiatków. Nawet Toby Sucha Wiedźma rozpromieniała się na jej widok. Toby była najtwardszym orzechem do-zgryzienia, lecz Amanda zaczęła wykazywać niespodziewane zainteresowanie grzybami i pomagać starej Pilar przy odbijaniu stempli z pszczołami na etykietkach na miód. Toby się to podobało, choć starała się tego nie okazywać.

– Po co się tak podlizujesz? – zapytałam Amandę.

– W ten sposób można się wiele dowiedzieć – odparła.

Mówiliśmy sobie o wielu rzeczach. Opowiedziałam jej o swoim ojcu, o domu w Kompleksie ZdrowoTech i o tym, jak moja matka uciekła z Zebem.

– Nie wątpię, że na jego widok robiło jej się gorąco w majtkach – powiedziała Amanda. O wszystkim tym szeptałyśmy nocą w naszym boksie, mając niedaleko Zeba i Lucerne, trudno więc było nie słyszeć odgłosów, które wydawali podczas seksu. Przed przybyciem Amandy przejmowały mnie one wstydem, teraz jednak wydawały mi się śmieszne, bo takie były dla Amandy.

Amanda opowiadała mi o suszach w Teksasie. O tym, jak jej rodzice przegrali na sklepie franczyzowym PychaKawy, jak nie mogli sprzedać domu, którego nikt nie chciał kupić, o tym, jak brakowało pracy i jak trafili do obozu dla uchodźców z przyczepami kempingowymi pełnego Teks-Meksykanów. Ich przyczepę zniszczył jeden z licznych cyklonów, a ojca zabił lecący z wiatrem kawałek metalu. Utonęło mnóstwo ludzi, ale Amanda i jej matka chwyciły się drzewa i uratowali je jacyś mężczyźni w łódce. Amanda opowiadała, że byli to szabrownicy szukający czegokolwiek, co dałoby się ukraść, którzy obiecali, że odstawią je obie na suchy ląd i zapewnią schronienie, jeśli zgodzą się na pewien handelek.

– Jaki handelek? – zapytałam.

– Zwykły handelek.

Schronieniem okazał się stadion piłkarski, na którym rozbito namioty. Handelków dokonywało się tam co niemiara – Amanda opowiadała, że za dwadzieścia dolarów ludzie robili wszystko.

Wkrótce jej matka rozchorowała się od wody, jednak Amandzie udało się tego uniknąć, bo piła napoje gazowane z handeleków. Brakowało lekarstw i matka zmarła.

– Mnóstwo ludzi zasrało się na śmierć – mówiła Amanda.
– Żałuj, że nie było ci dane powąchać tego smrodu...

Amanda uciekła z obozu, bo chorowało w nim coraz więcej ludzi, a nikt nie wywoził gówna i śmieci ani nie dostarczał jedzenia. Zmieniła imię i nazwisko, żeby nie odstawiono jej z powrotem na stadion: uchodźcom bowiem przymusowo przydzielano pracę we wszystko jedno jakim charakterze. „Żadnych obiadów gratis – powiedziano im – za wszystko trzeba zapłacić w ten czy inny sposób”.

– Jak nazywałaś się wcześniej? – spytałam.

– Typowo dla białej biedoty. Barb Jones. To moja dawna tożsamość. Teraz nie mam tożsamości i jestem niewidzialna.

Jej niewidzialność była kolejną rzeczą, którą u niej podziwiałam.

Wraz z tysiącami innych ludzi Amanda powędrowała na północ.

– Próbowałam jechać autostopem, lecz trafiła mi się tylko jedna podwózka, z facetem, który podobno miał kurzą fermę i który wsadził mi rękę między nogi. Łatwo rozpoznać, że się do tego szykują, bo wtedy tak śmiesznie dyszą. Wbiłam mu kciuki w oczy i czym prędzej zwałam.

O tych kciukach wbitych w oczy powiedziała tak, jakby w Świecie Złowszechnym było to coś zwyczajnego. Miałam ochotę się tego nauczyć, chociaż chyba nie umiałabym się zebrać na taką odwagę.

– Potem musiałam przedostać się przez Mur – ciągnęła.

– Jaki mur?

– Czy ty nie oglądasz wiadomości?! Mur, który budują, żeby zatrzymać uchodźców z Teksasu, bo sam płot nie wystarcza. Na murze stoją ludzie z miotaczami, bo to mur KorpuSOKorpu. Nie upilnują przecież każdego skrawka: pomogły mi przejść teks-meksykańskie dzieciaki, które znają tam wszystkie tunele.

– Mogli cię zastrzelić! – wystraszyłam się. – I co było potem?

– Potem robiłam, co mogłam, żeby dostać się tutaj – ze względu na jedzenie i całą resztę. Trochę to trwało.

Gdybym wtedy była na jej miejscu, położyłabym się w rowie i zapłakała na śmierć. Jednak zdaniem Amandy, jeśli się wie, czego się chce, zawsze znajdzie się sposób, żeby to osiągnąć. Dla niej chwile rezygnacji były tylko stratą czasu.

Obawiałam się nieprzyjemności ze strony innych dzieci Ogrodników – Amanda była wszak plebszczurem, jednym z naszych wrogów. Bernice jej oczywiście nie znosiła, ale nie miała odwagi tego powiedzieć, bo tak jak wszyscy inni czuła przed nią respekt – przede wszystkim dlatego, że podczas gdy żadne Ogrodnicze dziecko nie umiało tańczyć, Amanda umiała się fantastycznie poruszać – jakby miała przetrącone biodra. Kiedy nie było w domu Lucerne i Zeba, dawała mi lekcje. Muzyki słuchałyśmy z jej fioletowego telefonu, który ukrywała w naszym materacu; kiedy wyczerpywała się karta, Amanda kradła nową. Trzymała też w ukryciu trochę krzykliwych ubrań z plebsopolii – kiedy musiała coś zakosić, wkładała je i szła na pasaż w Zapadlisku.

Widziałam bardzo wyraźnie, że Shackleton, Croze i inni starsi chłopcy kochają się w niej. Była bardzo ładna, miała ciemną cerę, długą szyję i ogromne oczy, lecz ci chłopcy nawet ładną dziewczynę potrafili nazwać obgryzará kukurydzy albo tłustą szparą. Mieli całą masę tego rodzaju chorych wyzwisk na dziewczyny.

Ale do Amandy tak nie mówili. Ją szanowali. Amanda miała kawałek szkła, który na jednej krawędzi, do trzymania, był oklejony taśmą izolacyjną i który, jak twierdziła, nieraz uratował jej życie. Pokazała nam, jak się daje facetowi z buta w krocze, jak podkłada się nogę, a potem daje kopniaka w szyję, żeby złamać mu kark. Mówiła nam, że jest mnóstwo takich sztuczek, których można użyć w razie potrzeby.

Za to podczas świąt i prób Chóru Pączków i Kwiatków nie było nikogo pobożniejszego od niej. Można by sądzić, że wykąpała się w mleku.

Święto Ark

Święto Ark

Rok dziesiąty

O dwóch Potopach i dwóch Przymierzach

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Współśmiertelnicy!

Dzieci zbudowały dzisiaj swoje małe Arki i puściły je na strumyki w Arboretum, by w nich przesłanie o szacunku dla Bożych Stworzeń dotarło do innych dzieci, które być może trafią na nie na brzegu morza. Cóż to za wspaniały dowód zatroskania o ten coraz bardziej zagrożony świat! Pamiętajmy: nie traćmy ducha, jest jeszcze otucha!

Dzisiejszego wieczoru wspólnie spożyjemy szczególnie Święty Posiłek – przyrządzoną przez Rebeccę smakowitą zupę z soczewicy, która przedstawia Pierwszy Potop i w której pływają knedlowe Arki Noego wypełnione roślinnymi figurkami zwierząt. W jednym z knedli jest ukryty Noe z rzepy. Kto go znajdzie, dostanie specjalną nagrodę. Niech to nas nauczy, że pożywienia nie należy pchać w siebie bezmyślnie.

Nagrodą jest obraz namalowany przez Nualę, naszą utalentowaną Ewę Dziewiątą. Przedstawia on świętego Brendana Podróżnika w otoczeniu ważnych przedmiotów, które powinniśmy gromadzić w naszych Araratach, magazynach przygotowywanych na Bezwodny Potop. W swoim dziele Nuala w należyty sposób uwydlatniła sojdynki w puszcze i wiórki sojowe. Pamiętajmy o regularnym odświeżaniu zawartości naszych Araratów. Zapewne nie chcielibyście w czarną godzinę otworzyć puszek sojdynek i stwierdzić, że jej zawartość jest zepsuta.

Zacna żona Burta Veena pozostaje w stanie Uguru i nie może towarzyszyć nam dziś w tym Świącie, lecz niecierpliwie czekamy nieodległej chwili, gdy znów będzie z nami.

Zwróćmy teraz myśli ku naszemu corocznemu nabożeństwu z okazji Święta Ark.

Jest to dzień opłakiwania, lecz także dzień radości. Opłakujemy śmierć wszystkich Stworzeń lądowych zniszczonych podczas Pierwszego Potopu niosącego zagładę – gdziekolwiek takowa miała miejsce – lecz radujemy się tym, że Ryby, Wieloryby, Korale, Żółwie Morskie, Delfiny, Jeżowce, ba, nawet Rekiny, że wszystkie one ocalały – chyba że zmiana temperatury lub zasolenia wód oceanów wywołana gwałtownym wylaniem się do nich słodkiej wody zaszkoziła jakiemuś Gatunkowi, którego nie znamy.

Opłakujemy tę hekatombę, która dokonała się pośród Zwierząt. Bóg najwyraźniej pragnął pozbyć się wielu Gatunków, o czym świadczą skamieniałości. Wiele z nich przetrwało jednak do naszych czasów i Bóg na nowo powierzył je naszej opiece. Gdybyście skomponowali piękną symfonię, czy chcielibyście, by została unicestwiona? Ziemia i jej muzyka, Wszechświat i jego harmonia to dzieła Bożej Twórczości. Twórczość Człowieka jest zaledwie jej marnym cieniem.

Według Człowieczych Słów Boga, zadanie ocalenia wybranych Gatunków powierzono Noemu, który symbolizuje świadomych pośród Ludzi. On jeden został przestrzeżony, on jeden podjął się Adamowego szafarstwa, misji przechowania ukochanych Gatunków Boga, aż do ustąpienia wód Potopu, kiedy jego Arka osiadła na górze Ararat. Wówczas ocalone Istoty żywe, niczym w akcie powtórnego Stworzenia, wyszły na Ląd.

W momencie pierwszego Stworzenia panowała powszechna radość, ale za drugim razem – już nie do końca: Bóg nie był w pełni zadowolony. Wiedział, że z Jego ostatnim eksperymentem, Człowiekiem, coś poszło nie tak, ale było za późno, by to naprawić. „Żadną miarą więcej nie będę przeklinał ziemi dla ludzi, zmysł bowiem i myśl serca człowieczego skłonne są do złego od młodości

jego; przeto też nie pobiję więcej wszystkich istot żyjących, jakom uczynił” – takie są Człowiecze Słowa Boga w Księdze Rodzaju, rozdział 8, werset 21.

Tak oto, moi Przyjaciele, następnym razem Ziemia zostanie przeklęta nie przez Boga, lecz przez samego Człowieka. Pomyślcie o południowych wybrzeżach Morza Śródziemnego, które niegdyś były żyznymi polami uprawnymi, a dziś są pustynią. Pomyślcie o zniszczeniach w dorzeczu Amazonki, o masowym mordowaniu ekosystemów, z których każdy jest żywym odzwierciedleniem nieskończonej Boskiej dbałości o szczegół... Te rozważania pozostawmy jednak na inną okazję.

Dalej Bóg mówi rzecz godną szczególnej uwagi. Mówi: „A strach wasz – czyli Ludzi – i drzenie niechaj będzie nad wszelkim zwierzęciem ziemi i nad wszystkim ptactwem powietrznym (...); wszystkie ryby morskie ręce waszej podane są”. Księga Rodzaju, rozdział 9, werset 2. Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, Bóg nie daje tu Człowiekowi prawa do zniszczenia wszystkich zwierząt. Bóg przestrzega tu raczej swe ukochane Stworzenia: „Strzeżcie się Człowiecka i jego złego serca!”

Następnie Bóg zawiera Przymierze z Noem, z jego synami i „z każdą istotą żyjącą”. Wielu pamięta o Przymierzu z Noem, lecz zapomina o Przymierzu ze wszystkimi innymi Istotami żywymi. Bóg jednak o nim nie zapomina. Bóg po wielokroć powtarza wyrażenia: „wszelkie ciało” i „każda istota żyjąca”, żebyśmy zrozumieli, w czym rzecz.

Nie da się zawrzeć Przymierza z kamieniem. Żeby mogło zaistnieć Przymierze, potrzeba co najmniej dwóch stron żywych i zdolnych do przyjmowania zobowiązań. Zwierzęta nie są więc bezmyślną materią, zwykłym kawałkiem mięsa. Nie, zwierzęta mają żyjące Dusze, inaczej Bóg nie mógłby zawrzeć z nimi Przymierza. Potwierdzają to Człowiecze Słowa Boga: „Jednak spytaj się bydła – powiada Księga Hioba, rozdział 12 – a nauczy cię, i ptactwa niebieskiego, a okaże ci (...) i będą ci opowiadać ryby morskie”.

Wspominamy dziś Noego, który został wybrany jako opiekun Gatunków. My, Ogrodnicy Boga, jesteśmy Noem w liczbie mnogiej. My także zostaliśmy wezwani, my także zostaliśmy przestrzeżeni.

Wyczuwamy oznaki zbliżającej się katastrofy, tak jak lekarz wyczuwa tętno chorego. Musimy przygotować się na moment, gdy tych, którzy zdradzili Zwierzęta – ba, co starli je z powierzchni Ziemi, na której umieścił je Bóg – zmiecie Bezwodny Potop niesiony na skrzydłach czarnych Aniołów Bożych latających nocą, niesiony samolotami, helikopterami, superszybkimi pociągami, ciężarówkami i innymi pojazdami.

My jednak, Ogrodnicy, pieczołowicie strzec będziemy w nas samych wiedzy o Gatunkach i o tym, jak są one drogie Bogu. Naszym obowiązkiem jest przeprowadzić tę bezcenną wiedzę przez bezmiar Bezwodnych Wód niczym we wnętrzu Arki.

Przyjaciele, starannie budujmy nasze Araraty. Przezornie je zaopatrujmy w puszkowane i suszone produkty. Dobrze je maskujmy.

Niech Bóg wyrwie nas z sidła łowiących, piórami swymi okryje nas i pod skrzydłami Jego nadzieję mieć będziemy – jak powiada Psalm 90. – Nie ulękiesz się nieszczęścia chodzącego w ciemności, najazdu i czarta południowego.

Pozwólcie mi przypomnieć, jak ważne jest mycie rąk co najmniej siedem razy dziennie i po każdym spotkaniu z nieznanym. Na podejmowanie tych istotnych środków bezpieczeństwa nigdy nie jest zbyt wcześnie.

Unikajcie każdego, kto kicha.

Zaśpiewajmy.

Me ciało jest mi w życiu Arką

Me ciało jest mi w życiu Arką,
Której się Potop nie ima;
Dla niej wszystkie Stworzenia są dobre
I w sercu swym je zatrzyma.

Tworzą tę Arkę komórki i geny,
I niezliczone neurony,
Złożył się na nią czas, który Adam
Przedrzemał – lat miliony.

W niej na Ararat ujdę, gdy zawrze
Zniszczenia zawierucha,
I Arka bezpiecznie spocznie na lądzie
Wiedziona światłością Ducha.

Chcę pędzić żywot swój doczesny
W zgodzie z wszelkim Stworzeniem,
A głosy Stworzeń dla Stworzyciela
Brzmieć będą uwielbieniem.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Toby. Dzień świętego Cricka

Na łące od strony północnej wciąż jeszcze leży martwy knur. Próbowaly się do niego dobrać sępy, ale nie przebiły się przez twarą skórę. Muszą się zadowolić oczami i ozorem. I wstrzymać się z uczcą, aż ciało nadgnije i otworzy się.

Toby kieruje okulary lornetki ku niebu, na kotłujące się na nim wrony. Gdy ponownie spogląda w dół, widzi dwa przecinające łąkę lwiagniory – samiec z samicą kroczą dostojnie niczym władcy tego miejsca. Zatrzymują się przy knurze, węższą przez chwilę i idą dalej.

Patrzy na nie oczarowana. Nigdy dotąd nie widziała lwiagniora na żywo, tylko na obrazkach. Może ja to sobie tylko wyobrażam?, zastanawia się. Nie, lwiagniory są prawdziwe. To pewnie okazy z zoo, które w tych strasznych czasach wypuściła na wolność jakaś fanatyczna sekta.

Choć są niebezpieczne, wcale się takie nie wydają. Kompozyt lwa i owcy zlecili Izajaszowcy Lwi, żeby przyspieszyć nadejście Królestwa Pokoju. Zgodnie z ich rozumowaniem, aby proroctwo o przyjaźni między lwem a barankiem mogło się ziścić bez pożarcia tego drugiego przez pierwszego, konieczne było połączenie obu w jedno. Rezultat nie okazał się jednak ścisłym wegetarianinem.

Mimo to lwiagniory, ze swą kręconą złotą sierścią, machające ogonami, wyglądają dość łagodnie. Skubią kwiatki, nie podnosząc

wzroku. Lecz Toby czuje, że doskonale zdają sobie sprawę z jej obecności. W pewnym momencie samiec otwiera pysk, ukazując długie, ostre kły, i wydaje głos – niezwykle połączenie beku i ryku. Bryczy, myśli Toby.

Ciarki przechodzą jej po skórze. Nieszczerólnie podoba jej się myśl, że jedno z tych stworzeń mogłoby rzucić się na nią z krzaków. Jeśli jest jej pisane mieć zgruchotane kości i zostać pożartą, wołała by jakiegoś bardziej tradycyjnego drapieżcę. Ale mimo wszystko lwiagniory fascynują ją. Patrzy, jak razem baraszkują, wietrzą coś i niespiesznie odchodzą ku krawędzi lasu, znikając w cętkowanym słońcem cieniu.

Pilar niesamowicie by się ucieszyła, gdyby mogła je zobaczyć, myśli Toby. Pilar i Rebecca, i mała Ren. I Adam Pierwszy. I Zeb. Wszyscy nie żyją.

Przestań, rozkazuje sobie. Po prostu przestań.

Ostrożnie, bokiem, schodzi po schodach, pomagając sobie w utrzymaniu równowagi kijem od mopa. Wciąż jeszcze – na przekór wszystkiemu – spodziewa się, że otworzą się drzwi do windy, że zapalą się światła, że zacznie działać klimatyzacja, że ktoś – kto? – się pojawi.

Przemierza długi hall, krocząc bez pośpiechu po coraz bardziej gąbczastym dywanie, mijając szereg luster. W spa nie brak luster – w jaskrawym świetle przypominano paniom, jak źle wyglądają, a w świetle przytłumionym pokazywano, jak dobrze mogą wyglądać po skorzystaniu z kuracji za niewygórowaną cenę. Jednak spędziwszy tu parę tygodni sama, zakryła lustra różowymi ręcznikami, by nie straszło jej własne odbicie skaczące za nią z ramy do ramy.

„Czy jest tu ktoś żywy?” – pyta na głos. Ja nim nie jestem – odpowiada sobie w myślach. Mnie nie można nazwać żywą. Trwam raczej w uspieniu, jak bakteria w lodowcu. Przeczekuję. I nic ponadto.

Resztę przedpołudnia spędza, siedząc, jakby w otępieniu. Dawniej byłaby to medytacja, lecz tego stanu nie da się tak określić. Zdaje się, że wciąż jeszcze mogłaby dostać ataku obezwładniającej wściekłości, i nigdy nie wie, kiedy to się zdarzy. Zaczyna

się od niedowierzania, kończy żalem. A pomiędzy tymi dwoma stanami całe jej ciało drży z gniewu. Gniewu na kogo? Na co? Po co ocalała? Ona jedna z niezliczonych milionów. Dlaczego nie ktoś młodszy, ktoś, kto miałby więcej optymizmu i świeżych komórek? Powinna wierzyć, że jest tu z jakiegoś powodu, żeby dać świadectwo, żeby przekazać wiadomość, żeby ocalić cokolwiek z powszechnego kataklizmu. Powinna wierzyć, ale nie umie.

Niedobrze tracić tyle czasu na żale – mówi sobie. Na żale i rozpamiętywanie. Do niczego się w ten sposób nie dojdzie.

W najupalniejsze godziny dnia zapada w drzemkę. Walka ze snem w południowy skwar to marnowanie sił.

Śpi na stole do masażu w jednym z gabinetów, w których klientki spa zażywały organiczno-botanicznych kuracji. Są tu różowe prześcieradła, różowe poduszki i różowe koce – w kolorach miękkich i przytulnych, pieszczotliwych, dziecięcych – koców jej jednak nie trzeba, nie w taką pogodę.

Ma trudności z dobudzeniem się. Powinna walczyć z ospałością. Spać – to potężne pragnienie. Spać i spać. Zasnąć na zawsze. Nie potrafi żyć tylko teraźniejszością, jak krzew. Lecz przeszłość to zamknięte drzwi, a przyszłości nie widać. Może będzie tak trwać z dnia na dzień, z roku na rok, aż w końcu zwiędnie, zakłęśnie się, wyschnie jak stary pająk.

Mogłaby pójść na skróty. W czerwonej butelce jest przecież Mak, są też śmiercionośne muchomory, niepozorne Anioły Śmierci. Jak długo potrwa, zanim wypuści je na wolność w swoim wnętrzu, by uniosły ją na swoich bieluteńkich skrzydłach?

Chcąc się nieco podnieść na duchu, otwiera słoik miodu. Ostatni słoik miodu, który wybierała bardzo dawno temu razem z Pilar na Dachy budynku Edencliff. Przez wszystkie te lata trzymała go w rezerwie niczym swój czar ochronny. Miód się nie psuje, mówiła jej Pilar, jeśli trzymasz go z dala od wody. Dlatego starożytni zwali go pokarmem nieśmiertelności.

Polyka jedną aromatyczną łyżeczkę, potem następną. Wybieranie miodu było ciężką pracą: podkurzała pszczoły, pieczołowicie

wyjmowała plastry, potem odwirowywała je. Wymagało to delikatności i wyczucia. Z pszczołami należało rozmawiać, przekonywać je, a nawet na parę chwil zagazowywać. Choć niekiedy żądliły, to cała ta przygoda pozostaje w jej pamięci jako czas niezmałconego szczęścia. Wie, że sama się oszukuje, jednak woli się oszukiwać. Rozpaczliwie potrzebuje wiary w to, że taka niczym niezakłócona radość jest nadal możliwa.

Z upływem czasu Toby przestała myśleć o tym, że powinna odejść od Ogrodników. Nigdy do końca nie podzielała ich wiary, ale teraz nie była już zupełnym niedowiarkiem. Pory roku – deszczowa, burzowa, sucha i mokra, chłodniejsza i sucha, deszczowa i ciepła – przechodziły jedna w drugą, jeden rok w kolejny. Nie była w pełni Ogrodniczką, ale przestała już być człowiekiem z plebsopolii. Nie była ani jednym, ani drugim.

Odważyła się wychodzić na ulicę, choć nie oddalała się zbyt daleko od Ogrodu. Nosila zakrywające ubrania, filtr na nos i szeroki kapelusz przeciwsłoneczny. Wciąż jeszcze nawiedzały ją koszmary o Blancu, wężach na jego ramionach, skutej łańcuchami bezgłowej kobiecie na plecach i jego obdartych ze skóry, żyłowych rękach wyciągających się ku jej szyi. Powiedz, że mnie kochasz! Mów, suko! W najgorszych momentach, które spędziła u jego boku, w chwilach największego przerażenia i najdotkliwszego bólu skupiała swoje myśli na obrazie tych dłoni oderwanych na przegubach. Dłoni i innych części jego ciała. Na obrazie buchającej sinej krwi. Wyobrażała sobie, jak żywcem wrzucają go do kotła z ropą śmieciową. Gdy przystała do Ogrodników, szczerze starała się wymazać te intensywne obrazy z pamięci. Ciągłe jednak wracały. Sąsiedzi z najbliższego boksu sypialnego powiedzieli jej, że czasami we śnie wydaje z siebie – jak się wyrazili – „oznaki cierpienia”.

Adam Pierwszy wiedział o tych oznakach. Z czasem Toby przekonała się, że niedocenianie go było błędem. Choć jego broda była nieskalanie białym puchem, a okrągłe błękitne oczy miały w sobie niewinność dziecka, choć zdawał się tak ufny i wrażliwy, Toby miała wrażenie, że nie istnieje nikt tak stanowczy w dążeniu do celu jak on. Tego celu nie wykorzystywał jako broni – on w nim płynął, dawał się mu porwać, unieść. Walka z nim była niemożliwa, tak jak walka z morskim przyptywem.

– Moja droga, Blanco znalazł się w Paintbólu – oznajmił jej pewnego pięknego dnia świętego Mendla. – Może nigdy go nie wypuszczą. Kto wie, może tam powróci do pierwiastków.

Toby podskoczyło serce:

– Co takiego zrobił?

– Zamordował kobietę – odpowiedział Adam Pierwszy. – Niewłaściwą. Kobietę kogoś z Korporacji, kto szukał rozrywki w pleb-sopolii; nie ciesz się mnie, że to robią. Tym razem Korporacje musiały jakoś zadziałać.

Toby słyszała o Paintbólu. Był to zakład dla skazańców, przestępców zarówno politycznych, jak i innego rodzaju. Dawano im wybór: albo egzekucja miotaczem, albo Paintbólowa Arena, która właściwie nie była areną, lecz ogrodzoną przestrzenią lasu. Dostawało się tam jedzenia na dwa tygodnie i strzelbę do paintballa, która tak jak w zwyczajnym paintballu strzelała farbą, lecz trafienie w oko kończyło się oślepieniem, a gdy farba dostawała się na skórę, zaczynała przeżerać ofiarę, która stawała się łatwym celem dla podrzynaczy gardel z przeciwnej drużyny. Każdy, kto się tu dostawał, przydzielany był do jednej z dwóch drużyn: Czerwonych albo Złotych.

Skazane kobiety rzadko decydowały się na Paintból. Wybierały raczej miotacz. Podobnie większość politycznych. Wiedząc, że w Paintbólu nie mają szans, chcieli mieć wszystko jak najszybciej za sobą. Dla Toby było to zrozumiałe.

Przez długi czas Paintbólowa Arena była utajniona, jak walki kogutów albo „transfer wewnętrzny”. Teraz jednak można ją było podobno oglądać w telewizji. W paintbólowym lesie zainstalowa-

no kamery ukryte wśród drzew i wbudowane w skały. Najczęściej nie było widać wiele więcej niż jakąś nogę czy rękę albo zamazany cień, bo, co zrozumiałe, paintbólowcy starali się ukrywać. Od czasu do czasu zdarzało się jednak trafienie na ekranie. Ktoś, kto przetrwał tam miesiąc, był dobry. Kto przetrwał dłużej – bardzo dobry. Niektórym zasmakowała adrenalina i po odrobieniu kary nie chcieli wychodzić. Nawet zawodowcy z KorpuSOKorpu bali się doświadczonych paintbólowców.

Niektóre drużyny wieszały swoje ofiary na drzewie, inne okaleczały ciała, ucinały głowy, wydierały serca i nerki. Wszystko po to by zastraszyć przeciwnika. Część ciała czasem zjadano, gdy kończyło się pożywienie albo żeby pokazać swoje okrucieństwo. Po jakimś czasie, pomyślała Toby, nie tylko przekracza się granice, ale zapomina się o istnieniu granic. Robi się po prostu wszystko.

Przez głowę przemknął jej obraz Blanca – pozbawionego głowy, powieszono go do góry nogami. Co czuła? Przyjemność? Litość? Nie wiedziała.

Poprosiła o możliwość odprawienia Czuwania. Przeklęczała je, starając się zjednoczyć myślami z krzaczkiem zielonego groszku – z jego pędami, kwiatami, liśćmi i strąkami. Tak zielonymi, tak kojącymi. Niemal się udało.

Któregoś dnia stara Pilar – Ewa Szósta – o twarzy pomarszczonej jak włoski orzech, zapytała Toby, czy nie chciałaby się dowiedzieć czegoś o pszczołach. Pszczoły i grzyby były specjalnością Pilar. Toby lubiła Pilar, bo wydawała się dobrym człowiekiem i miała pozazdrosczenia godną pogodę ducha. Zgodziła się więc.

– Bardzo dobrze – powiedziała Pilar. – Pszczołom zawsze możesz opowiedzieć o swoich zmartwieniach.

A więc nie tylko Adam Pierwszy zauważył, że Toby ma zmartwienia.

Pilar zaprowadziła ją do pasieki i przedstawiła pszczołom z imienia.

– Muszą się przekonać, że jesteś przyjacielem – rzekła – i poczuć twój zapach. Poruszaj się powoli – ostrzegła, gdy pszczoły ob-

siadły nieosłoniętą rękę Toby, która wyglądała teraz jak w złotym futrze. – Następnym razem cię rozpoznają. Kiedy będą chciały żądlić, nie zabijaj ich, po prostu strzepnij żądłą pszczołę. Zresztą jeśli się ich nie straszy, nie żądlą, bo od tego giną.

Pilar była skarbnicą wiedzy o pszczołach. Pszczoła w domu oznacza wizytę nieznanego, a jeśli pszczołę się zabije, wizyta będzie nieprzyjemna. Kiedy pszczelarz umiera, należy o tym powiadomić pszczoły, inaczej się wyroją i odlecą. Miód pomaga na otwarte rany. Rój pszczół w maju wart tyle co chłodny dzień w gaju. Rój pszczół w czerwcu wart tyle co nów na nieba kobiercu. Rój pszczół w lipcu nie zda się ni psu. Wszystkie pszczoły w ulu są jedną pszczołą, dlatego gotowe są zginąć za swój ul. „Tak jak Ogrodnicy” – powiedziała Pilar. Toby nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi poważnie.

Z początku pszczoły były rozdrażnione obecnością Toby, ale po chwili zaakceptowały ją. Pozwoliły jej wyjąć plastry z ula i tylko jedna ją użądliła.

– Pszczołom się pomyliło – powiedziała jej Pilar. – Za każdym razem musisz poprosić Matkę o pozwolenie i wyjaśnić, że nie zamierzasz uczynić im nic złego.

Pilar tłumaczyła, że wszystko trzeba mówić głośno i wyraźnie, bo pszczoły nie potrafią jasno odgadnąć myśli człowieka, zresztą tak jak ludzie. I choć Toby czuła się jak idiotka, zaczęła do nich mówić. Co pomyśleliby sobie ludzie idący w dole chodnikami, gdyby zobaczyli, jak przemawia do pszczół?

Zdaniem Pilar, pszczoły na całym świecie borykają się z problemami od dziesiątków lat. Albo są to pestycydy, albo gorąca pogoda, albo choroby, albo wszystko naraz, nikt tego dokładnie nie wie. Lecz pszczoły w ich Ogrodzie na Dachy czuły się dobrze. Ba, wręcz doskonale.

– Wiedzą, że ktoś je kocha – mówiła Pilar.

Toby miała co do tego wątpliwości. Miała wątpliwości co do wielu rzeczy. Ale zatrzymywała je dla siebie, bo Ogródnicy niechętnie używali słowa „wątpliwość”.

Jakiś czas potem Pilar zaprowadziła Tobby do wilgotnych piwnic pod budynkiem Wspólnoty Mieszkaniowej Buenavista, gdzie pokazała jej uprawę grzybów. Powiedziała, że pszczoły i grzyby idą ze sobą w parze, że pszczoły, zanosząc wieści umarłym, dobrze rozumieją się z niewidzialnym światem. Wypowiedziała ten śmieszny przesąd od niechcenia, jakby to była powszechnie przyjęta prawda. Tobby udała, że nie bierze tego na serio. W ogrodzie tego niewidzialnego świata grzyby są kwitnącymi różami, albowiem prawdziwy grzybowy organizm żyje pod ziemią. Część widoczna – to, co większość ludzi nazywa grzybami – jest tylko krótkotrwałym zjawiskiem, kwiatem z obłoku.

Rosły tam grzyby do jedzenia, grzyby do celów leczniczych i grzyby wywołujące wizje. Te ostatnie wykorzystywano jedynie podczas Rekolekcji i Tygodni Odosobnień, choć czasami przydawały się w pewnych sytuacjach wymagających lekarstw, a nawet pomagały ludziom przetrwać stan Ugoru, w którym Dusza odzyskiwała żyźność. Pilar twierdziła, że każdy kiedyś ma stan Ugoru. Jednak pozostawanie w nim zbyt długo było niebezpieczne.

– To jak zejście schodami w dół – mówiła – bez wchodzenia z powrotem na górę. Grzyby mogą na to pomóc.

Pilar dzieliła grzyby na trzy rodzaje: „nigdy nietrujące”, „stosować ostrożnie i świadomie” i „strzeż się!”. Wszystkie powinny się znać na pamięć. Każdy gatunek Purchawki – „nigdy nietrujący”. Psylocybinowe – „stosować ostrożnie i świadomie”. Wszystkie .muchomory, a zwłaszcza sromotnikowy, Anioł Śmierci – „strzeż się!”.

– Czy nie są niebezpieczne? – spytała Tobby.

– Owszem, są bardzo niebezpieczne – odpowiedziała Pilar.

– Po co je więc uprawiasz?

– Bóg nie stworzyłby trujących grzybów, gdyby nie chciał, żebyśmy czasem je wykorzystywali.

Pilar była osobą tak dobroną i łagodną, że Tobby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Chyba nie chciałabyś nikogo otruć? – zapytała.

Pilar spojrzała na nią pełna szczerości i powiedziała:

– Moja droga, nigdy nie wiadomo, kiedy to będzie konieczne.

Odtąd cały swój wolny czas Toby spędzała z Pilar, doglądając uli na Edencliff, gryki i lawendy uprawianych ze względu na pszczoły na pobliskich dachach, wybierając miód i rozlewając go do słoików. Na etykietkach odbijały stempel z obrazkiem pszczoły, stosowany przez Pilar zamiast opisów. Część słoików odstawiała na bok, by dodać je do zapasów żywności w Araracie, który Pilar założyła za ruchomym pustakiem w ścianie piwnicznego muru w Buena-
viście. Opiekowały się też uprawami Maku, zbierając z makówek jego gęsty sok, krzątały się przy grzybach w piwnicy w Buena-
viście, sporządzały eliksiry, lekarstwa i miodowo-różaną emulsję do skóry, którą sprzedawały podczas Wymiany Materiałów Naturalnych „Drzewo Życia”.

Tak upływał czas. Toby przestała go rachować. Zresztą Pilar mówiła, że czas nie jest czymś, co upływa. Jest morzem, na którym się unosimy.

Nocami Toby wdychała własny zapach. Swoje nowe „ja”. Jej skóra pachniała jak miód i sól. I ziemia.

Do Ogrodników wciąż napływali nowi ludzie. Jedni byli prawdziwymi nawróconymi, inni nie zostali wśród nich zbyt długo. Zatrzymywali się na pewien czas, ubierali się w te same workowate, zakrywające stroje co reszta, wykonywali najpodlejsze prace i jeśli to były kobiety, od czasu do czasu popłakiwały. A potem odchodzili. Byli jak cienie i Adam Pierwszy pozwalał im pozostawać w cieniu – postępując tak jak z Toby.

Toby wszystkiego musiała się domyślać. Szybko odkryła, że Ogrodnicy nie lubią osobistych pytań. Skąd przychodzisz? Co robiłeś przedtem? – to wszystko ich najwyraźniej nie obchodziło. Liczyło się tylko „tu i teraz”. O innych mów to, co inni mają mówić o tobie. Czyli nic.

Ciekawość Toby pozostała niezaspokojona w wielu aspektach. Na przykład: czy Nualę kiedykolwiek ktoś przeleciał, a jeśli nie, to czy dlatego tyle flirtowała? Gdzie Maruszka Akuszka zdobyła swoje umiejętności? Czym dokładnie zajmował się Adam Pierwszy, zanim został Ogrodnikiem? Czy istniała kiedyś Ewa Pierwsza albo żona Adama Pierwszego, albo jakieś dzieci będące Adamami Pierwszymi? Kiedy Toby za bardzo wypytywała o te sprawy, pytani obdarzali ją uśmiechem, zmieniali temat i sugerowali, że powinna starać się unikać pierworodnego grzechu dążenia do nadmiernej wiedzy albo nadmiernej władzy.

Bo te dwie rzeczy były ze sobą związane – czy droga Toby nie jest tego samego zdania?

Był jeszcze ten Zeb. Adam Siódmy. Toby nie wierzyła, że Zeb jest prawdziwym Ogrodnikiem, prawdziwszym niż ona sama. Kiedy pracowała w SekretBurgerze, widywała mnóstwo mężczyzn tej często spotykanej postury i z tym owłosieniem. Mogła się założyć, że Zeb prowadził jakieś gierki. Był jakiś taki czujny. No i co też taki mężczyzna może robić na Dachy Edenclyff?

Zeb przychodził i wychodził. Czasem zniknął na kilka dni, a gdy wracał, miał na sobie ubrania plebsopolitów: skajową kurtkę solaromotorowca, kombinezon pracownika parku, czarny garnitur bramkarza. Z początku obawiała się, że jest to wspólnik Blanca, który ją wyśledził, ale potem zrozumiała, że to nie tak. Dzieci przeżywały Zeba Mag-Adamem, jednak wydawał się całkiem realistycznie – zbyt realistycznie myślącym człowiekiem, żeby zadawać się z tym towarzystwem rozczulających, lecz żyjących urojeniami ekscentryków. Co łączyło go z Lucerne? Lucerne była w każdym calu typową wypieszczoną żoną z Kompleksów – wystarczyło, że złamał jej się paznokieć, i już robiła nadąsaną minę. Dziwna to partnerka dla kogoś takiego jak Zeb – kogoś, kto się kulom nie kłaniał, jak powiedziano by o nim w czasach, kiedy Toby była dzieckiem i kiedy jeszcze używano kul.

Chociaż może to o seks chodzi, pomyślała Toby. O cielesną ułudę, hormonalną obsesję. Wielu ludziom się to przydarza. Pamiętała, że kiedyś sama gotowa była wdać się w taką historię, gdyby znalazł się właściwy mężczyzna. Ale im dłużej przebywała u Ogrodników, tym bardziej tamten czas stawał się odległy.

Ostatnio nie uprawiała seksu i nie tęskniła do tego – gdy kryła się w Lagunie Ścieków, seksu zaznała aż nadto, choć innego niż ktokolwiek by sobie życzył. Uwolnienie się od Blanca miało dużą wartość: miała szczęście, że nie zerznął jej na *purée*, nie zbił na papkę i nie wylał pod płóciem.

Podczas bytności u Ogrodników przydarzył jej się jeden incydent na tle seksualnym: gdy na godzinkę poszła poćwiczyć na ruchomej bieżni w sali gimnastycznej „Dogoń-Swą-Światłość”,

mieszczącej się w dawnej sali przyjęć na szczycie budynku Wspólnoty Mieszkaniowej Boulevard, rzucił się na nią Stary Mugi Mięsień. Ściągnął ją z bieżni, przygniótł do ziemi, uwalił się na niej i wsadził rękę pod dzinsową spódnicę, sapiąc jak popsuta pompa. Toby jednak miała krzepę od wożenia ziemi i chodzenia po schodach, a sprawność Mugięgo nie była już ta co dawniej, więc walnęła go łokciem, odrzuciła na bok i zostawiła rozwalonego i dyszącego na podłodze.

Powiedziała o tym Pilar, opowiadała jej bowiem o wszystkim, co ją dziwiło:

– Co mam zrobić? – spytała.

– O coś takiego nie robimy tu awantur – odpowiedziała Pilar.

– Koniec końców, Mugi jest nieszkodliwy. Próbował to robić z niejedną, parę lat temu nawet ze mną – zaśmiała się krótko i sucho.

– W każdym może się obudzić stary australopitek. Powinnaś mu z serca przebaczyć. Zobaczysz, że nie zrobi tego więcej.

Zatem jeśli chodziło o seks, to by było na tyle. Może to minie, myślała Toby. Może to tak jak wtedy gdy komuś drętwieje ręka? Moje połączenia neuronowe odpowiedzialne za seks są zablokowane. Tylko dlaczego mnie to nie obchodzi?

Było popołudnie, dzień świętej Marii Sybilli Merian od Metamorfozy Owadów, podobno sprzyjający pracy z pszczołami. Toby i Pilar odbierały miód. Na głowach miały szerokie kapelusze z siatkami, podkurzały pszczoły, używając mieszka i hubki ze spróchniałego drzewa.

– Czy twoi rodzice... żyją? – zza białej maski dobył się głos Pilar.

To pytanie, niezwykle bezpośrednio jak na Ogrodnika, zaskoczyło Toby. Ale Pilar nie zadawała takich pytań bez ważnego powodu. Toby nie była w stanie opowiadać o ojcu, więc opowiedziała Pilar o tajemniczej chorobie matki. Mówiła, że najdziwniejsze w niej było to, że jej matka zawsze bardzo dbała o zdrowie – pewnie połowę jej wagi stanowiły suplementy witaminowe.

– Zaraz, zaraz – powiedziała Pilar. – Jakie suplementy brała?

– Prowadziła sklep franczyzowy ZdrowoTechu, brała więc ZdrowoTech.

– ZdrowoTech... Słyszeliśmy o tym.

– O czym?

– O chorobie związanej z tymi suplementami. Nic dziwnego, że ludzie ze ZdrowoTechu sami chcieli leczyć twoją mamę.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Toby, która poczuła chłód, choć słońce mocno przygrzewało.

– Moja droga – rzekła Pilar – czy nie dopuszczałaś nigdy takiej możliwości, że twoja matka mogła być królikiem doświadczalnym?

Przedtem nie dopuszczała takiej możliwości, ale teraz – owszem:

– Trochę mnie to wszystko zastanawiało. Nie myślałam o tabletkach... Myślałam, że to ten deweloper, co chciał kupić ziemię ojca. Podejrzywałam, że wsypał coś do studni.

– W takim wypadku wszyscy byście zachorowali. Przyrzeknij mi, że nigdy nie będziesz brać tabletek wyprodukowanych przez Korporację. Nigdy ich nie kupuj i nigdy ich nie bierz, kiedy ci zaproponują, bez względu na to, co będą mówić. Będą przedstawiać ci dane, opowiadać o naukowcach, lekarzach. Wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia: wszyscy są kupieni.

– Na pewno nie wszyscy! – Toby była zaszokowana gwałtownymi słowami Pilar, która zawsze była bardzo spokojna.

– Nie, nie wszyscy – odparła Pilar. – Lecz na pewno wszyscy, którzy nadal pracują dla Korporacji. Wielu innych zmarło nagle, a ci, co żyją, ci, którym pozostały resztki dawnej etyki lekarskiej... – milczała przez chwilę. – Tak, są jeszcze tacy lekarze, jednak nie w Korporacjach.

– A gdzie?

– Niektórzy są tutaj, z nami – uśmiechnęła się Pilar. – Katuro Złączka był kiedyś internistą. Teraz zajmuje się hydrauliką. Surya była chirurgiem oftalmologiem, Stuart był onkologiem, Maruszka ginekologiem.

– A inni lekarze, którzy nie są tutaj?

– Powiedzmy, że są w innym bezpiecznym miejscu – odpowiedziała Pilar. – Na razie. Ale przyrzeknij mi to, moja droga, bo tabletki od Korporacji są pokarmem umarłych. Nie umarłych, jakich znamy. Umarłych w niewłaściwym sensie. Umarłych,

którzy żyją. Powinniśmy uczyć nasze dzieci, że tych tabletek, które są złe, trzeba koniecznie unikać. To nie tylko kwestia wiary, to jest pewne.

– Skąd można być tego pewnym? – zapytała Toby. – Nikt nie wie, co robią Korporacje. Odgrodziły się w swoich Kompleksach, z których na zewnątrz nie wydostaje się nic...

– Zdziwiłaś się – odparła Pilar. – Nie było jeszcze łodzi, która w końcu w jakimś miejscu by nie przeciekła. A teraz – przyrzeknij. Toby przyrzekła.

– Kiedyś – dodała Pilar – kiedy będziesz Ewą, zrozumiesz to lepiej.

– Ach, nie sądzę, żebym kiedykolwiek została Ewą – rzekła Toby beztrąsko. Pilar uśmiechnęła się.

Jeszcze tego samego popołudnia, gdy Pilar i Toby skończyły pracę przy wybieraniu Miodu i Pilar dziękowała ulowi i jego matce za współpracę, po schodach przeciwpożarowych wszedł Zeb. Ubrany był w czarną skajową kurtkę. Było to ulubione odzienie solarotorowców, którzy robili w nich nacięcia, żeby podczas jazdy przewiewało ich powietrze, lecz w kurtce Zeba było parę rozpruć nadprogramowych.

– Co się stało? – spytała Toby. – Mogę ci jakoś pomóc?

Swymi grubymi jak pnie rękami Zeb przyciskał coś do brzucha, pomiędzy palców przeciekała krew. Toby zrobiło się lekko niedobrze, a jednocześnie poczuła, że powinna powiedzieć: Nie nakap na pszczoły.

– Przewróciłem się i przeciąłem – powiedział Zeb, oddychając z trudem. – Na stłuczonym szkle.

– Nie wierzę.

– Nie oczekiwałem tego – uśmiechnął się do niej. – Proszę – zwrócił się do Pilar – przyniosłem ci prezent. Oferta specjalna z SekretBurgera.

Wsadził rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął pełną garść mielonego mięsa. Przez chwilę Toby miała przerażającą wizję, że jest to ciało Zeba, ale Pilar uśmiechała się:

– Kochany Zeb, dziękuję! Zawsze można na ciebie liczyć! Chodź ze mną, zaraz się tym zajmiemy. Toby, czy mogłabyś poszukać Rebekki i poprosić ją, by przyniosła czyste ściereczki? Przyrowadź też Katura.

Widok krwi wcale nie wytrącił jej z równowagi.

Ile będę mieć lat, pomyślała Toby, kiedy będę umiała zachowywać taki spokój? Poczula, że coś rozdziera jej serce.

Pilar i Toby zniosły Zeba do Chatki Rekonwalescencji Pougorowej w północno-zachodnim narożniku dachu, którą zajmowali Ogrodnicy odprawiający Czuwania lub wychodzący ze stanu Ugoru albo też lekko chorzy. Gdy pomagały mu się ułożyć, od strony szopy na tyłach dachu przyszła Rebecca, niosąc stos kuchennych ścierek.

– Kto ci to zrobił? – zapytała. – Robota szkłem. Czyżby bójka na butelki?

Nadszedł Katuru, ostrożnie odkleił kurtkę z brzucha Zeba i obejrzał go wzrokiem profesjonalisty.

– Żebra zatrzymały uderzenie – oświadczył. – Cięcie, nie rana kłuta. Głębiej nic nienaruszone, miał szczęście.

Pilar wręczyła Toby mielone mięso i powiedziała:

– To dla czerwi. Czy tym razem możesz to wziąć na siebie, kochana?

Sądząc po zapachu, mięso było już nadpsute.

Toby owinęła je w gazę z Kliniki Wellness, tak jak robiła to Pilar, i wywiesiła zawiniątko na sznurku za krawędzią dachowego tarasu. Za parę dni, gdy złożą w nim jaja muchy i wyklują się larwy, wciągną wszystko z powrotem i zaczną hodować czerwie. Bo tam gdzie zgniłe mięso, na pewno pojawią się czerwie. Ewa Szósta zawsze miała w pogotowiu zapas czerwi do celów leczniczych, choć Toby nigdy nie widziała ich w akcji.

Pilar twierdziła, że leczenie czerwiami jest znane od bardzo dawna. Zostało zarzucone jako przestarzałe wraz z pijawkami i puszczeniem krwi, lecz podczas pierwszej wojny światowej lekarze zauważyli, że przy obecności czerwi rany żołnierzy goją się o wiele szybciej. Pożyteczne stworzonka nie tylko zjadały rozkładające się ciało, lecz także zabijały bakterie gnilne, w ten sposób pomagając w zapobieganiu gangrenie.

Według Pilar, czerwie wywoływały przyjemne wrażenie, uczucie lekkiego podgryzania, jakby przez małe rybki; ale trzeba ich było uważnie pilnować, bo jeśli wydostały się z zepsutej tkanki i wdały w żywe mięso, pojawiały się ból i krwawienie. Gdy się tego uniknęło, rana goiła się czysto.

Pilar i Katuro przemyli rany Zeba gąbką z octem i posmarowali je miodem. Choć krwawienie ustało, Zeb nadal był blady. Toby zrobiła mu napój z Sumaku.

Katuro zauważył, że – jak powszechnie wiadomo – szkło używane w ulicznych bójkach w plebsopoliach jest siedliskiem zarazków, więc należy niezwłocznie zastosować czerwie, aby uniknąć zakażenia krwi. Pilar szczypczykami umieściła wyhodowane przez siebie czerwie w gaziku i przykleiła go do rany Zeba. Do czasu gdy czerwie przegryzą się przez gazik, rana Zeba na pewno będzie dość zaropiała, by je skusić.

– Ktoś powinien tu być i pilnować czerwi – powiedziała Pilar. – Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Żeby nam nie zaczęły zjadać Zeba.

– Albo żebym ja nie zaczął zjadać ich – rzekł Zeb. – Jako krewetek lądowych. Bardzo smaczne po usmażeniu i dobre źródło lipidów.

Robił tęgą minę, jednak głos miał słaby.

Przez pierwsze pięć godzin pilnowała Toby. Gdy o wypadku Zeba dowiedział się Adam Pierwszy, przyszedł go odwiedzić i powiedział łagodnie:

– Rozwaga jest lepszą częścią męstwa.

– No cóż, było ich zbyt wielu – odparł Zeb. – A i tak trzech wyprawilem do szpitala.

– To nie jest powód do dumy – rzekł Adam Pierwszy. Zeb zmarszczył czoło.

– Szeregową piechotę używa swoich nóg. I od tego mam porządne buty.

– O tym porozmawiamy potem, jak poczujesz się lepiej.

– Czuję się dobrze – mruknął Zeb.

Do chatki z szumem wpadła Nuala, która miała zastąpić Toby:

– Zaparzyłaś mu Wierzby? O rany, nie znoszę tych czerwii! No, dalej, podniosę cię! Czy nie można by podciągnąć rolet? Trzeba tu trochę przewietrzyć. Oj, Zeb, czy tak twoim zdaniem wygląda minimalizacja rozlewu krwi w mieście? Niegrzeczny jesteś! – ćwierkotała Nuala. Toby miała ochotę dać jej kopniaka.

Potem przyszła Lucerne, ocierając łzy.

– To straszne...! Co się stało? Kto ci to...

– Ach, Zeb był straszliwy! – rzekła Nuala konspiracyjnym tonem. – Prawda, Zeb? Bił się z ludźmi z plebsopolii! – szepnęła z zachwytem.

– Powiedz mi, Toby – spytała Lucerne, nie zwracając uwagi na Nualę – czy to coś poważnego? Czy on... czy da radę... – mówiła jak starodawna aktorka z telewizji odgrywająca scenę przy łożu śmierci.

– Nic mi nie jest – powiedział Zeb. – Zmiatajcie stąd i dajcie mi spokój!

Nie chciał, żeby go ktokolwiek dotykał. Oprócz Pilar. I, jeśli to naprawdę konieczne, Katura. I Toby, bo ta przynajmniej była cicho. Lucerne poszła sobie, łkając w gniewie, jednak na to Toby nic nie mogła poradzić.

U Ogrodników plotka spełniała funkcję codziennych wiadomości. Starsi chłopcy szybko dowiedzieli się o bitwie Zeba – bo zdarzenie urosło do rangi bitwy – i następnego wieczoru przyszli go odwiedzić Shackleton i Crozier. Zeb spał, bo Toby dosypała mu do Wierzbowej herbaty trochę Maku, więc chłopcy zaczęli ob-

chodząc go na palcach, rozmawiając szeptem i próbując zerknąć na ranę.

– Kiedyś zjadł niedźwiedzia – powiedział Shackleton. – Latał wtedy w akcji transportującej niedźwiedzie polarne, które chcieli uratować. Jego samolot się rozbił, ale on wyszedł z niego – i szedł miesiącami! – Starsi chłopcy opowiadali wiele bohaterских historii o Zebie. – Mówił, że po obdarciu ze skóry niedźwiedź wygląda jak człowiek.

– Zjadł drugiego pilota – stwierdził Crozier. – Ale dopiero wtedy, gdy tamten umarł.

– Możemy zobaczyć czerwie?

– Ma gangrenę?

– Gangrono! – krzyknął mały Oates, który włożył się za braćmi.

– Zamknij się, Oates!

– Uch, ty mięsny smrodzie!

– Uciekajcie mi stąd – przegoniła ich Toby. – Zeb, Adam Siódmy, musi odpocząć.

Adam Pierwszy uparcie twierdził, że Shackleton, Crozier i mały Oates wyjdą na ludzi, chociaż Toby miała co do tego wątpliwości. Ich ojcem w zastępstwie miał być Philo Mgła, ale jego świat myślowy nie zawsze osiągalny był dla innych.

Pilar czuwała nocami – mówiła, że w nocy i tak dużo nie śpi. Nuala zgłosiła się do pilnowania rano, a Toby zastępowała ją po południu. Sprawdzała czerwie co godzinę. Zeb nie miał gorączki i rana przestała krwawić.

Kiedy trochę wydobrzeł, zaczął kaprysić, więc Toby grała z nim w domino, w *cribbage*, a potem w szachy. Szachy były własnością Pilar, która sama je wyrzeźbiła. Czarne miały kształt mrówek, a białe – pszczoł.

– Niektórzy myśleli, że królowa pszczoł jest królem – mówiła Pilar. – Bo jeśli zabijesz królową matkę, dla reszty życie traci sens. I że król szachowy niewiele porusza się na szachownicy dlatego, że pszczoła królowa zawsze pozostaje w ulu.

Toby nie była przekonana, czy tak jest naprawdę: czy królowa matka zawsze przebywa wewnątrz ula. Z wyjątkiem rojenia

się, oczywiście, i lotów godowych. Wpatrywała się w szachownicę, próbując przewidzieć sekwencję ruchów. Spoza Chatki Rekonwalescencji Pougorowej dobiegał głos Nuali zmieszany z gaworzeniem maluchów:

– Pięć zmysłów, poprzez które poznamy świat... wzrok, słuch, dotyk, węch i smak... Czym wyczuwamy smak? Dobra odpowiedź! Oates, przestań lizać Melissę! Wszyscy wsadzamy języki z powrotem do ich domków i zamykamy drzwi.

Toby zrodził się w głowie pewien obraz. Nie – to był smak. Czuła smak skóry Zeba na ramieniu, jej słoność...

– Szach i mat! – powiedział Zeb. – Mrówki znów wygrały – Zeb zawsze grał mrówkami, żeby dać Tobie na początku przewagę.

– Oj, nie zauważyłam! – rzekła Toby, która właśnie snuła (niezbyt chwalebne) rozważania o tym, czy między Zebem a Nualą coś jest. Nuala, choć przekwitła, miała bujną i w dziwny sposób dziecinną urodę, a to dla niektórych mężczyzn mogło być pociągające.

Zeb zgarnął figury z szachownicy i zaczął je ustawiać na nowo.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytał. I nie czekając na odpowiedź, zaczął opowiadać, że Lucerne często miewa bóle głowy. Mówił to głosem normalnym, ale takim tonem, iż Toby domyśliła się, że bóle głowy nie są prawdziwe; albo że może i są prawdziwe, ale Zeb i tak jest już nimi znudzony.

Zeb spytał, czy gdy następnym razem Lucerne dostanie migreny, Toby mogłaby wejść do niej z paroma swoimi buteleczkami i zobaczyć, czy da się coś na to poradzić. Bo on sam na mur-beton nie potrafi dojechać do ładu z hormonami Lucerne, jeśli to one za wszystkim stoją.

– Mocno mi załazi za skórę – dodał – bo często mnie nie ma w domu. Jest zazdrosna. – Uśmiechnął się, szczerząc zęby jak rekin. – Może dzięki tobie zmądrzeje.

No cóż. Opadło kwiecie z róży – pomyślała Toby. – I róży to się nie podoba.

Dzień świętego Allana Sparrowa od Czystego Powietrza – dzień, który jak na razie nie do końca okazał się godny swojego patrona. Niosąc ukryte pod luźnym kombinezonem torby z suszonym zielnikiem i fiolkami leków, Toby przeciskała się zatłoczonymi ulicami plebsopolii. I choć powietrze dzięki popołudniowej burzy oczyściło się nieco ze spalin i pyłu, na nos nałożony miała filtr ochronny – ku czci świętego Sparrowa. Tak nakazywał zwyczaj.

Odkąd Blanco trafił do Paintbólu, czuła się na ulicy bezpiecznie. Mimo to nie szła spacerkiem, nie wałęsała się, ale też – pomna na słowa Zeba – nie biegła. Najlepiej iść zdecydowanie, jakby się miało coś do załatwienia. Nie przejmowała się przelotnymi spojrzeniami gapiów ani anty-Ogrodnicznymi komentarzami, za to szczególną uwagę zwracała na tych, co wykonywali gwałtowne ruchy albo zbyt szybko do niej zbliżali. Kiedyś gang plebszczyków obrabował ją z grzybów. Mieli szczęście, że akurat nie niosła śmiertelnie trujących.

Kierowała się do budynku Serowarni, by spełnić prośbę Zeba. Szła tam już trzeci raz. Jeśli bóle Lucerne były prawdziwe, a nie był to tylko sposób zwrócenia na siebie uwagi, problem mógł rozwiązać każdy dostępny bez recepty ZdrowoTechowy lek przeciwbólowo-nasenny o podwójnej sile, który albo by ją uleczył, albo zabił.

Jednak dla Ogrodników tabletki produkowane przez Korporację były tabu, toteż Toby stosowała ekstrakt z Wierzby, a potem z Waleriany z domieszką Maku. Maku nie powinno się jednak podawać za dużo, bo uzależniał.

- Co w tym jest? – pytała Lucerne, ilekroć kurowała ją Toby.
- Smakuje lepiej niż robione przez Pilar.

Toby za każdym razem przemilczała fakt, że w rzeczywistości przygotowała to Pilar, i zachęcała Lucerne do połknięcia dawki. Następnie robiła jej zimny okład na czoło, siadała koło niej i starała się wyłączyć, żeby nie słyszeć jej pochlipywań.

Ogrodnik nie powinien nagłaśniać własnych problemów osobistych – zasypywanie innych swoimi duchowymi brudami nie było mile widziane. Życie można pić z dwóch kubków, tak uczyła Nuala małe dzieci. Ich zawartość może być identyczna, ale, oho! – jakże inaczej smakują!

Gorzki jest kubek na „nie”, pyszny jest kubek na „tak” –
Którego z nich ty chciałbyś w swej buzi poczuć smak?

Była to podstawa Ogrodniczego *credo*. Jednak Lucerne, choć klepała hasła, nie przyswoiła sobie nauki. Toby potrafiła wyczuć pozoranta na odległość, bo sama była pozorantką. Odkąd została wrobiona w rolę opiekunki, z Lucerne z bulgotem wylewały się wszystkie jej wewnętrzne brudy. Toby kiwała głową i nic nie mówiła, starając się przybrać współczującą minę. W rzeczywistości obliczała, ile kropel Maku będzie potrzeba, żeby pozbawić Lucerne przytomności, zanim sama ulegnie swoim najniższym impulsom i ją udusi.

Drałując ulicami, Toby już wyobrażała sobie skargi Lucerne. Jeśli nie odbiegną od normy, będą dotyczyć Zeba: dlaczego nigdy go nie ma, kiedy Lucerne go potrzebuje? I jak to się stało, że wyładowała w tym niehigienicznym, pełnym zarazków bagnie z jakąś zgrają marzycieli – Ciebie, Toby, to nie dotyczy, ty masz więcej rozumu – którzy ni na jotę nie rozumieją, jak naprawdę działa świat? Tu została pogrzebana za życia, z egotycznym potworem, z mężczyzną, który troszczy się tylko o własne potrzeby. Do niego

mówiło się jak do kartofla, nie – jak do skały. Nic do niego nie docierało, nie mówił, co myśli, był nieczuły jak krzemień.

Co wcale nie znaczy, że Lucerne nie próbowała. Chciała postępować jak osoba odpowiedzialna. Była przekonana, że Adam Pierwszy miał w wielu kwestiach rację, nikt też nie kochał zwierząt bardziej niż ona – były jednak granice. Ani przez moment nie wierzyła, że ślimaki mają ośrodkowy układ nerwowy. Twierdzenie, iż mają duszę, było, jej zdaniem, kpina z idei duszy, a to ją bolało, bo nikt nie miał większego szacunku dla duszy niż ona, która zawsze była bardzo uduchowioną osobą. Jeśli chodzi o ocalenie świata, to nikt nie pragnął ocalić go tak bardzo jak ona, a Ogrodnicy – niech ile chcą, pozbawiają się odpowiedniej żywności, ubrań, nawet porządnej kąpieli, na miły Bóg, niech sobie myślą, że postępują chlubniej, szczytniej i cnotliwiej od wszystkich innych, ale to niczego tak naprawdę nie zmieni. Zachowują się jak ci, co biczowali się w średniowieczu, flażoleci.

– Flagelanci – poprawiła ją Toby za pierwszym razem.

Kiedy indziej Lucerne mówiła, że wcale tak o Ogrodnikach nie myśli, że jest tylko przygnębiona z powodu bólu głowy. A także dlatego że inni patrzą na nią z góry, bo była w Korporacji, bo rzuciła męża i uciekła z Zebem. Nie ufają jej. Uważają ją za dziwkę. Za jej plecami opowiadają o niej sprosne dowcipy. Dzieci je opowiadają, czyż nie?

– Dzieci opowiadają sprosne dowcipy o każdym – odpowiedziała Toby. – O mnie też.

– O tobie? – Lucerne otworzyła szeroko swoje wielkie oczy okolone czarnymi rzęsami. – Czemu miałyby o tobie opowiadać sprosne dowcipy? – myślała przy tym: Ty nie masz w sobie za grosz seksu. Płaska jak deska, z tyłu i z przodu. Pszczoła robotnica.

Przynajmniej była z tego taka korzyść, że Lucerne nie była o nią zazdrosna. W tym względzie Toby była wyjątkiem wśród wszystkich Ogrodniczek.

– Nikt nie patrzy na ciebie z góry i nie myśli, że jesteś dziwką – mówiła jej Toby. – A teraz odpręż się, zamknij oczy i wyobraź sobie, jak Wierzba krąży w twoim ciele, jak dociera do głowy, tam gdzie cię boli.

Było prawdą, że Ogrodnicy nie patrzyli na Lucerne z góry, a przynajmniej nie z powodu, o którym myślała. Być może mieli jej za złe, że ociąga się w pracy i nie może się nauczyć kroić marchwi. Może wyzłośliwiali się nad bałaganen w jej mieszkaniu i żałośnie nieudanymi próbami hodowania pomidorów na parapecie, ale nic ich nie obchodziła ani jej niewierność, ani cudzołóstwo, czy jak tam się to dawniej nazywało.

Z podobnych względów Ogrodników nie interesował urzędowy akt małżeństwa. Popierali wierność w ramach aktualnej więzi w parze. Nie było jednak w żaden sposób zaświadczone, żeby pierwszy Adam wziął ślub z pierwszą Ewą, więc według opinii Ogrodników ani duchowni innych wyznań, ani urzędnik świecki nie mieli mocy udzielać ludziom ślubu. Jeśli zaś chodzi o KorpuSOKorp, to popierał on śluby urzędowe, które były świetnym sposobem na gromadzenie obrazów tęczówki, skanów palców i DNA, ułatwiających tropienie ludzi. Tak przynajmniej twierdzili Ogrodnicy, a było to jedno z twierdzeń, w które Toby wierzyła bez zastrzeżeń.

Małżeństwo Ogrodnicze zawierało się w prosty sposób. Obie strony w obecności świadków oświadczały, że się kochają, wymieniały się zielonymi listkami, symbolizującymi wzrost i płodność, i przeskakiwały przez ognisko, symbolizujące energię wszechświata. Potem ogłaszały, że są małżeństwem, i szły do łóżka. Aby się rozwieść, wszystko należało przeprowadzić w odwrotny sposób: publicznie oświadczyć brak więzi miłosnej i rozstanie, wymienić się suchymi gałązkami i hycnąć nad zimnym popiołem.

Fakt, że Zeb nie poprosił Lucerne o wspólne odbycie ceremonii zielonych listków i skoku przez ognisko, był stałym tematem jej skarg, pojawiających się nieuchronnie, jeśli Toby nie dość szybko zaaplikowała jej Mak.

– Ja oczywiście nie wierzę, że to cokolwiek znaczy – mówiła Lucerne – lecz dla niego znaczy, bo on jest jednym z nich, prawda? A więc jeśli tego nie zrobił, to znaczy, że nie chce się zaangażować. Nie mam racji?

– Ja nie wiem, co myślą inni – odpowiadała Toby.

– Ale gdyby chodziło o ciebie, nie miałabyś wrażenia, że unika odpowiedzialności?

– Czemu go o to nie spytasz? Czemu nie spytasz, dlaczego ci się nie... – czy „oświadczył” było tu właściwym słowem?

– To go tylko zezłości – wzdychała Lucerne. – Kiedy się poznaliśmy, był całkiem inny.

Wówczas Lucerne raczyła Tobą historią ich znajomości, historią, którą mogła opowiadać bez końca.

Oto ta historia. Zeb spotkał Lucerne w spa w parku NowyTy. Czy Toby zna NowyTy? No więc było to idealne miejsce, by odetchnąć i się zregenerować. Ośrodek był świeżo zbudowany, nie skończono jeszcze urządzać scenerii, trwały prace przy fontannach, trawnikach, ogrodach, krzewach. I różoświelikach. Czy Toby nie uważa, że różoświeliki są cudowne? Nigdy ich nie widziała? Hm, no to może kiedyś...

Lucerne lubiła wstawać skoro świt, była rannym ptaszkiem, uwielbiała wschody słońca. Od zawsze wykazywała dużo wrażliwości na barwy i światło i przywiązywała wielką wagę do aspektów estetycznych w swoich domach – domach, które dekorowała. Jeśli mogła, przynajmniej jeden pokój urządzała w kolorach wschodu słońca. Pokój ten nazywała w myślach pokojem wschodu słońca.

Nie zaznawała w tamtym okresie spokoju. Naprawdę nie zaznawała ni krztyny spokoju, bo jej mąż był zimny jak grób i przestał się z nią kochać – tak bardzo był zajęty swoją karierą. Ona natomiast była osobą bardzo zmysłową, zawsze taka była, i ta jej zmysłowa natura została zagłodzona na śmierć. To zaszkodziło jej zdrowiu, przede wszystkim układowi odpornościowemu. Czytała o tym prace naukowe!

Pewnego razu o świcie krążyła po parku ubrana w różowe kimono i lekko popłakując, zastanawiała się, czyby się nie rozwieść z mężem, który pracował dla Korporacji ZdrowoTech, a przynaj-

mniej nie przeprowadzić separacji. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie będzie to najlepsze rozwiązanie dla Ren, która wtedy była bardzo mała i silnie związana z ojcem, choć na nią również wcale nie zwracał uwagi. Wtedy nieoczekiwanie pojawił się Zeb, we wschodzącym świetle, niczym, hm, niczym wizja. Był sam – sadził krzak różoświatlików. Róż, które świecą w ciemności. Wydzielały boską woń – czy Toby kiedykolwiek je wąchała? Lucerne nie przepuszczałaby, Ogrodnicy byli przecież za jadłymi wrogami wszelkich nowinek. Ale tamte róże były naprawdę piękne.

Tak oto o świcie pojawił się mężczyzna klęczący na ziemi i wyglądający tak, jakby trzymał w ręku bukiet żarzących się węgli.

Jaka niezaznająca spokoju kobieta potrafiłaby się oprzeć mężczyźnie z łopatą w jednej ręce i płonącym krzewem różanym w drugiej, mężczyźnie z umiarkowanie szalonym błyskiem w oku, w którym mylnie można by się dopatrzeć miłości?, pomyślała Toby. Jeśli chodzi o Zeba, to najwyraźniej umiał znaleźć coś pozytywnego w atrakcyjnej kobiecie w różowym kimonie – różowym kimonie luźno zawiązanym – perlistym świtem kroczącej po trawie, tym bardziej że była zapłakana. Bo Lucerne była atrakcyjna. Z wizualnego punktu widzenia była bardzo atrakcyjna, nawet kiedy łkała – a głównie w tym stanie widziała ją Toby.

Świadoma swych bosych stóp, dotykających wilgotnej, chłodnej trawy, świadoma muskania tkaniny o uda, świadoma ciasności w talii i luźności poniżej obojczyków, Lucerne sunęła poprzez trawnik, płynęła jak fala. Zatrzymała się przed Zebem, który gdy się do niego zbliżała, patrzył na nią tak, jak omyłkowo wyrzucony w ocean żeglarz patrzy na syrenę albo rekina. (Autorem tego porównania była Toby, Lucerne użyła tu słowa „przeznaczenie”). Opoowiadała, że oboje byli strasznie tego wszystkiego ś w i a d o m i; Lucerne zawsze była świadoma tego, kiedy inni byli czegoś świadomi, była jak kot albo... może był to jakiś dar... a może przekleństwo – dlatego właśnie wiedziała. Umiała wyczuć wewnątrz, co Zeb czuł, widząc ją. To było coś przemożnego.

Powiedziała, że nie sposób wyrazić tego słowami – jakby Toby nie mogło przydarzyć się nic podobnego.

W każdym razie stała przed nim, a oboje już przewidywali, co się za chwilę wydarzy, co się musi wydarzyć. Lęk i pożądanie w równej mierze pchały ich ku sobie i trzymały od siebie z dala.

Lucerne nie nazwała tego pożądaniem. Nazwała to tęsknotą.

W tym momencie Toby pojawiał się przed oczyma obraz solniczki i pieprzniczki, które stały na stole kuchennym w jej dawnym domu z dzieciństwa. Były to porcelanowa kurka i porcelanowy kogucik. Kurka była solniczką, a kogucik pieprzniczką. Słona Lucerne stała naprzeciw pieprznego Zeba, uśmiechnięta, podnosząca wzrok w górę, jakby zadawała mu proste pytanie – ile jest krzaków różoświatlików, lub coś w tym rodzaju, nie pamięta, tak bardzo była zahipnotyzowana jego... (w tym miejscu Toby zajmowała swoją uwagę czymś innym, bo nie chciała słuchać o bicepsach, tricepsach i innych muskularnych atrakcjach Zeba. Czy sama była na nie nieczuła? Nie. Czy była więc zazdrosna o ten fragment historii? Tak. Nieustannie winniśmy pamiętać o naszych zwierzęcych, naturalnych skłonnościach i upodobaniach, mawiał Adam Pierwszy).

I wtedy, opowiadała Lucerne, wciągając Toby na powrót do słuchania, i wtedy zdarzyło się coś dziwnego: rozpoznała Zeba.

– Ja pana gdzieś widziałam – powiedziała. – Czy pan nie pracował w ZdrowoTechu? Ale wtedy nie zajmował się pan terenami zielonymi! Był pan...

– Bierze mnie pani za kogoś innego – odparł Zeb i pocałował ją. Ten pocałunek przeszył ją niczym nóż. Osunęła mu się w ramiona jak... jak martwa ryba... nie... jak halka... nie! jak wilgotna bibułka! Zeb podtrzymał ją i posadził na trawie, w miejscu gdzie każdy mógłby ich zobaczyć, strasznie to było podniecające, potem rozpiął jej kimono, zerwał płatki z róż, które trzymał w ręku, i rozsypał je po całym jej ciele, a potem oboje... Było to jak zderzenie przy dużej prędkości, opowiadała Lucerne. Pomyślała wtedy: Czy ja to przeżyję? Umrę tu i teraz! Była pewna, że on czuł się tak samo.

Później, znacznie później, gdy już ze sobą mieszkali, powiedział jej, że miała rację. Tak, był w ZdrowoTechu, lecz z pewnych

powodów, o których nie chciał mówić, musiał się stamtąd szybko wynieść. Kazał jej obiecać, że nikomu nie powie o tamtych czasach i miejscu, gdzie wtedy mieszkał. Nikomu. I nie powiedziała. Przynajmniej nie za wiele. Jedynie teraz opowiedziała to Toby.

Wtedy, podczas jej pobytu w spa (Bogu dzięki, nie poddała się żadnym zabiegom skórnym, po których mogły jej zostać strupy – była tam tylko po to, żeby podregulować nerwy), jeszcze kilkakrotnie uraczyli się sobą nawzajem, zażywając porcji w rozmiarach aperitif – zamykali się w kabinie prysznicowej w szatni należącego do spa basenu. Po tym przyłgnęła do Zeba jak mokry liść. On do niej też, dodała. Nie mogli się sobą nasycić.

Kiedy sesje w spa dobiegły końca i wróciła do tak zwanego domu, wymykała się z Kompleksu pod różnymi pretekstami – najczęściej były to zakupy, bo w Kompleksie można było dostać tylko oklepane rzeczy – i potajemnie spotykali się w plebsopoliach. Z początku było to bardzo podniecające: te dziwne miejsca, nędzne hoteliki miłości, pokoje na godziny, jakże dalekie od sztywnej atmosfery Kompleksu Zdrowotech. Później Zeb musiał w pośpiechu dokądś wyjeżdżać, zaczęły się pojawiać jakieś problemy. Nie wiedziała, o co chodzi, lecz on ciągle gdzieś znikał, a ona, no właśnie, nie mogła wytrzymać, kiedy ją zostawił samą.

Odeszła więc od swojego tak zwanego męża, właściwie to dostał za swoje, za to, że był taki beczynny. Jeździła z Zebem od miasta do miasta, od kempingu do kempingu. Zeb zrobił sobie na czarnym rynku parę zabiegów: na palce, na DNA i tak dalej. Kiedy było już bezpieczniej, wrócili – właśnie tu, do Ogrodników. Bo Zeb wyjawiał jej, że przez cały ten czas był Ogrodnikiem. Tak przynajmniej twierdził. W każdym razie mogło się wydawać, że całkiem dobrze zna się z Adamem Pierwszym. Chodzili razem do szkoły czy coś podobnego.

Zeb więc został do tego wszystkiego zmuszony, pomyślała Toby. Miał korporacyjną przeszłość, był zbiegiem. Może sprzedawał na czarnym rynku coś, co należało do firmy, jakąś

nanotechnologię albo kompozyt genetyczny. Dla kogoś przyłapanego na takim procederze mogło się to skończyć śmiercią. Lucerne skojarzyła twarz i dawne nazwisko i Zeb musiał odwracać jej uwagę za pomocą seksu, a potem zabrać ją ze sobą, żeby zapewnić sobie jej lojalność. Mógł zrobić albo to, albo ją zabić. Zostawić jej nie mógł – poczułaby się wzgardzona, napuściłaby na niego psy z KorpuSOKorpu. I tak bardzo dużo ryzykował. Ta kobieta była jak amatorska bomba w samochodzie pułapce: nie było wiadomo, kiedy eksploduje i kogo w ten sposób zabije. Toby zadawała sobie pytanie, czy Zeb nie rozważał możliwości wepchnięcia jej korka w gardło i wyekspediowania do kubła na ropośmięci.

Być może na swój sposób jednak ją kochał – choć Toby nie mogła sobie tego wyobrazić. A może miłość się zużyła, bo Zeb zaniedbał w ostatnim czasie prace konserwatorskie?

– Czy mąż cię nie szukał? – spytała Toby, gdy usłyszała tę opowieść po raz pierwszy. – Ten ze ZdrowoTechu...

– Nie uważam tego człowieka za swojego męża – odparła Lucerne obrażonym tonem.

– Przepraszam... twój były mąż. Czy KorpuSOKorp nie... czy zostawiłaś mu jakąś wiadomość?

Gdyby ktoś poszedł tropem Lucerne, doszedłby prosto do Ogrodników, nie tylko do Zeba, lecz także do Toby i do jej byłej tożsamości. A to nie byłoby dla niej przyjemne: KorpuSOKorp nie spisywał na straty niespłaconych długów. A co będzie, jeśli ktoś odkopie jej ojca?

– Po co mieliby tracić na to pieniądze? – odparła Lucerne. – Ja się dla nich nie liczę. Co do mojego męża – rzekła, krzywiąc się lekko – to powinien ożenić się z równaniem. Może nawet nie zauważył, że zniknęłam.

– A co z Ren? – spytała Toby. – To taka kochana dziewczynka. Pewnie za nią tęskni...

– A tak – odparła Lucerne. – To pewnie zauważył.

Toby chciała zapytać Lucerne, dlaczego nie zostawiła Ren z ojcem. To, że ją wykradła i że nie zostawiła żadnej wiadomości,

wyglądało na akt małostkowej zemsty. A na takie pytania Lucerne zareagowałyby gniewem, bo wysłyszałyby w nich za dużo krytyki.

Dwie przecznice za Serowarnią Toby natknęła się na uliczną bójkę plebszczurów – Azjatyckie Miksy biły się z Poczernianymi Korwinami Czerwonymi, a paru Kłaczastogłowych wrzeszczało, stojąc dokoła. Te dzieci mogły mieć siedem – osiem lat, ale było ich bardzo wiele. Kiedy ją spostrzegły, przestały krzyczeć na siebie, a zaczęły wrzeszczeć na nią: „Nabożnisia! Biała suka! Zabrać jej buty!”

Obróciła się na pięcie, żeby ustawić się plecami do muru i przygotować do odparcia ataku. Niełatwo jej będzie wymierzyć im porządnego kopniaka, bo są to małe dzieci – na zajęciach z minimalizacji rozlewu krwi w mieście Zeb mówił, że różne gatunki mają zakodowaną barierę niepozwalającą na krzywdzenie młodych. Lecz Toby wiedziała, że to konieczność, bo potrafią być śmiertelnie niebezpieczne. Będą celować w jej brzuch, zaczną bóść ją główkami, spróbują ją przewrócić. Mniejsze dzieci miały wstrętny zwyczaj podnoszenia workowatych spódnic Ogrodniczek, nurkowania do środka i kąsania, gdzie popadło. Toby była gotowa: jeśli podejdą za blisko, zacznie je targać za uszy, walić kantem dłoni po karkach albo zderzać je ze sobą czaszeczkami.

Nieoczekiwanie dzieci zboczyły z kursu niczym ławica rybek, przebiegły koło niej i zniknęły w zaułku.

Kiedy obróciła głowę, poznała przyczynę. To był Blanco. Nie był w Paintbólu. Musieli go wypuścić albo sam się jakoś wydostał.

Przerażenie chwyciło ją za serce. Widziała jego niebiesko-czerwone, obdarte ze skóry ręce, czuła, że kości jej kruszeją. Niczego nie obawiała się bardziej.

„Wytrwaj!” – powiedziała sobie. Była po drugiej stronie ulicy i skrywał ją luźny kombinezon, na nos miała założony filtr, może więc jej nie rozpozna? Na razie nic nie wskazywało na to, że ją zauważył. Ale była sama, a Blanco nie był od tego, żeby przypadkowo spotkaną kobietę zgwałcić i wdeptać w ziemię. Zaciągnie ją

do zaułka, w którym zniknęły plebszczury, zerwie filtr z nosa i rozpozna. To będzie koniec, ale nie natychmiastowy. Blanco będzie go rozciągał jak najdłużej. Zrobi z niej cielesny afisz, nie-do-końca żywy obraz swojej wyrafinowanej dbałości o prestiż.

Obróciła się prędko i odeszła najszybciej, jak mogła, żeby nie dać mu szansy wyładowania na swojej osobie jego nienawistnych uczuć. Bez tchu skręciła za róg, przeszła pół długości ulicy i odwróciła się. Blanca nie było.

Choć raz naprawdę się ucieszyła, że docierała do drzwi mieszkania Lucerne. Zdjęła filtr z nosa, rozruszała mięśnie odpowiedzialne za profesjonalny uśmiech i zapukała.

– Zeb? – odezwał się głos Lucerne. – To ty?

**Świętego Euella
od Dzikich Pokarmów**

Świętego Euella od Dzikich Pokarmów

Rok dwunasty

O darach świętego Euella

Mówi Adam Pierwszy

Moi Przyjaciele, Współtworzenia, moje Drogie Dzieci!

Z dniem dzisiejszym rozpoczyna się Tydzień Świętego Euella, kiedy to udajemy się na poszukiwanie darów Dzikich Żniw, które poprzez Przyrodę pozostawia nam do dyspozycji Bóg. Pilar, nasza Ewa Szósta, poprowadzi nas na wędrowną do Parku Dziedzictwa, gdzie będziemy zbierać Grzyby, a Burt, Adam Trzynasty, pomoże nam szukać Jadalnych Roślin. Pamiętajcie przy tym – gdy macie złe przeczucie, wskazane jest wyplucie! Jeśli jednak coś jadła mysz, zapewne i wy możecie to zjeść. Choć nie zawsze tak jest.

Starszym dzieciom Zeb, nasz szacowny Adam Siódmy, zademonstruje, jak chwyta się w pułapki mniejsze Zwierzęta, aby przetrwać w sytuacji palącej potrzeby. Pamiętajcie, że nic nie jest dla nas nieczyste, jeśli odczuwamy wdzięczność i prosimy o przebaczenie i jeśli sami ochoczo stajemy się częścią wielkiego łańcucha pokarmowego. W czymże innym miałby tkwić głęboki sens poświęcenia i ofiary?

Czcigodna żona Burta Veena nadal przebywa w stanie Ugoru. Ufamy, że wkrótce będziemy mogli ją na nowo powitać w naszym gronie. Życzymy jej, by otoczyło ją Światło.

Dziś wspominamy świętego Euella Gibbonsa, którego żywot na ziemi trwał od roku 1911 do 1975 i który – choć w czasie tak odległy – jest bliski naszym sercom. W dzieciństwie, gdy jego ojciec

wychodził z domu szukać pracy, święty Euell dbał o rodzinę, wykorzystując swoją wiedzę o Przyrodzie. Nie uczęszczał do żadnej szkoły, tylko do Twojej, Panie. W Twoich Gatunkach odnalazł nauczycieli, często surowych, lecz zawsze szczerych. Zdobytą wiedzę podzielił się z nami.

Uczył zastosowania Twych rozlicznych Purchawek i innych pożytecznych dla zdrowia Grzybów. Uczył o niebezpiecznych gatunkach trujących, które jednak, jeśli zażywać ich w rozsądnej mierze, mogą być wartościowe dla Ducha.

Opiewał zalety dzikiej Cebuli, dzikiego Szparaga, dzikiego Czosnku, które nie pracują ani przędą, ani nie są pryskane pestycydami – jeśli mają szczęście rosnąć z dala od upraw agrobiznesu. Znał się na przydrożnych lekarstwach – wiedział, jak Wierzba działa na ból i gorączkę, że korzeń Mniszka to środek moczopędny pomagający pozbyć się zbędnych płynów. Uczył nas, że niczego nie wolno marnować. Albowiem nawet podła Pokrzywa, jakże często wrywana i odrzucana, jest źródłem wielu witamin. Uczył nas improwizować, albowiem jeśli brak Szczawiu, znajdzie się może Rogoża, a jeśli nie ma Borówek, może trafimy na obfitość Żurawiny.

Święty Euellu, pozwól, że otoczeni Duchem, siądziemy wraz z tobą przy twym stole, owym skromnym brezencie rozciągniętym na ziemi, i posilimy się wraz z tobą dziką Poziomką, wiosennym Pióropusznikiem, młodymi torebkami Trojeści, lekko podgotowanymi w odrobinie substytutu masła, jeśli takowy się znajdzie.

A w chwili najpilniejszej potrzeby pozwól nam przyjąć to, co ześle nam Los, i szeptem powierz naszym wewnętrznym i Duchowym uszom nazwy Roślin, pory i miejsca, w których możemy na nie natrafić.

Albowiem zbliża się Bezwodny Potop, po którym kupno i sprzedaż ustanie i będziemy zmuszeni polegać jedynie na naszych własnych umiejętnościach, pozostawieni w środku obfitego Bożego Ogrodu – który był także twoim Ogrodem.

Zaśpiewajmy.

Opiejmy wraz Święte Rośliny

Opiejmy wraz Święte Rośliny,
Co zdobią rów przydrożny,
Po nie w potrzebie sięga ubogi,
Nie szuka ich zamożny.

Nie znajdziesz ich w handlowych centrach
Ani w supermarkecie –
One wzgardzone są, bo dla biednych
Rosną swobodnie na świecie.

Wiosna przynosi pędy Mniszka,
Nim go ozdobią kwiaty,
A w czerwcu wzrasta korzeń Łopianu,
W soki przebogaty.

Gdy przyjdzie jesień, Orzechy włoskie
Szczerzej, dojrzeją Żołędzie,
Odkryjesz przysmak w torebce Trojeści
Z wrzątku i w świeżym jej pędzie.

Znajdziesz też witaminę C w Świerku
I w Brzozie – głębiej w korze,
Lecz niech nie bierze jej nikt nad miarę,
Bo drzewo uśmiercić może.

Pożywne także są Szczaw, Komosa,
Pokrzywa i Portulaka,
Zdrowe owoce zerwiemy z Głogu,
Bzu, Róży oraz Sumaka.

Tak wielka Świętych Roślin obfitość,
A kształt ich taki dorodny –
Któż wątpi, że Bóg je nam pozostawił,
By nikt z nas nie był głodny?

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren

Pamiętam, co wtedy w Śliskiej Strefie było na obiad: kurczakiś. Od czasu kiedy byłam u Ogrodników, niezbyt dobrze znosiłam mięso, lecz według Mordisa kurczakiście były tak naprawdę warzywem, bo rosły na łodygach i nie miały twarzy. Zjadłam więc połowę.

Potem, żeby nie wyjść z wprawy, trochę potańczyłam. Miałam własnego Śl/Uchovida, przy którym mogłam sobie śpiewać. Adam Pierwszy mówił, że muzykę wszczepił nam Bóg, że potrafimy śpiewać jak ptaki, a nawet jak Aniołowie, bo śpiew jest rodzajem wielbienia, które rodzi się głębiej niż mówienie. Kiedy śpiewamy, Bóg słyszy nas lepiej. Starłam się o tym nie zapominać.

Potem jeszcze raz zajrzałam do Wężowiska. Było tam trzech gości z Paintbólu, jeden taki, co właśnie wyszedł. Można to było poznać po tym, że byli świeżo ogoleni, ufryzowani, mieli nowe ubrania i zadziwione spojrzenia, jakby przez długi czas byli zamknięci w ciemnej szafie. Oprócz tego u nasady lewego kciuka mieli małe tatuaże w kształcie kółka, czerwonego lub jasnożółtego, w zależności od tego, czy należeli do Czerwonych czy do Żółtych. Pozostali klienci starali się trzymać od nich z daleka, ustępowali im, lecz z szacunkiem, jak gdyby tamci byli nie zbrodniarzami z Paintbólu, lecz gwiazdami Sieci albo bohaterami sportowymi. Nadziani faceci bardzo lubili utożsamiać się z paintbólowcami. Czasem zakładali

się o zwycięstwo jednej z drużyn – Czerwona przeciwko Żółtej. Za sprawą Paintbólu kupa forsy zmieniała właścicieli.

Weteranów z Paintbólu, którzy zawsze mogli dostać napadu szału i wyrządzić niepowetowane szkody, nieustannie miało na oku dwóch czy trzech facetów z KorpuSOKorpu. Nam, Łuseczkom, nie pozwalano przebywać z nimi sam na sam, bo ci ludzie nie rozumieli, co to udawanie, i nie wiedzieli, kiedy trzeba przestać, a byli w stanie połamać o wiele więcej niż tylko meble. Najlepiej było ich spić w trupa, lecz trzeba było to robić szybko, bo inaczej przechodzili na tryb „furia na maksa”.

– Sam też bym tych dupków pozamykał – mówił Mordis.
– Nie zostało w nich nic ludzkiego oprócz tkanki bliznowatej. Tylko że za nich EroTarg płaci nam odjechane premie...

Karmiliśmy ich drinkami i pigułkami, ładując je w nich taśmowo. Tuż po zamknięciu mnie w Śliskiej Strefie wprowadzono pewną nowość: nazywało się to BłogoPlus. Niczym nieskrępowany seks, pełne zadowolenie, odjazd z własnego ciała plus stuprocentowa ochrona – tak o tym opowiadali. Dziewczynom z Łusek nie było wolno brać prochów w robocie – Mordis powtarzał, że nie płaci nam za to, żebyśmy miały dobrą zabawę – lecz to było coś innego: po tej pigułce nie był już potrzebny ciałochron z biofilmu, a za to wielu klientów płaciło ekstra. W Łuskach testowano BłogoPlus dla korporacji OdmłodNowa, nie rozdawano go jak cukierków – dostawali go tylko wysoko postawieni klienci. Nie mogłam się doczekać, żeby tego spróbować.

Podczas nocy z paintbólwcami zgarniałyśmy gigantyczne napitki, choć żadna z nas, zatrudnionych w Łuskach na stałe, nie musiała dawać się posuwać nowym weteranom. My byłyśmy wykwalifikowanymi artystkami, których uszkodzenie wiązałoby się z wysokimi kosztami. Do zwykłego szcztotowania sprowadzano tymczasówki – szmuglowaną eurobiedotę albo nieletnie Teks-Meksykanki, Azjatyckie Miksy i Poczerniane Korwinki Czerwone zgarnięte z ulicy, bo ci z Paintbólu domagali się błon, a kiedy kończyli, dziewczyna była uznawana za skażoną, do czasu aż nie wykazano, że jest inaczej. A Łuski nie chciały wywalać pieniędzy na

ich badanie w Śliskiej Strefie ani na leczenie. Nigdy nie widziałam żadnej dwa razy. Wchodziły drzwiami, ale nie sądzę, żeby tamtędy wychodziły. W bardziej badziewiastych klubach takie dziewczyny były wykorzystywane przez gości realizujących swoje fantazje o wampirach, lecz to wymagało kontaktu usta-krew, a jak już wspomniałam, Mordis wołał we wszystkim zachować czystość.

Tamtej nocy Gwiazdka siedziała na kolanach jednemu z paintbólowców i robiła mu specjalność lokalu. Ubrana była w kostium z piór pawia i pióropuszem i z przodu wyglądała może szalowo, ale patrząc z mojej perspektywy, można było mieć wrażenie, że faceta obrabia ogromna niebiesko-zielona miotełka do kurzu, jak w myjni samochodowej.

Drugi typek patrzył w górę na Savonę, gapił się z otwartą gębą i głową zadartą do góry niemal pod kątem prostym w stosunku do kręgosłupa. Jeśli Savona się ześlizgnie, złamie mu kark. Pomyślałam, że jeśli tak się stanie, to nie będzie pierwszym łebkiem, którego z Łusek wywloką tylnym wejściem i wyrzucą, obdartego z ubrań, na jakiejś pustej parceli. Był to starszy facet, łysy na czubku głowy, z kucykiem i mnóstwem tatuaży na rękach. Kogoś mi przypominał, może to był recydywista, chociaż nie za dobrze mogłam mu się przyjrzeć.

Trzeci z nich pił na umór. Może próbował zapomnieć, co robił w Paintbólowej Arenie. Nigdy jej nie oglądałam, bo to było obrzydliwe. Wiedziałam o niej tyle, co słyszałam od gości. Zadziewające, czego to człowiekowi nie opowiedzą, zwłaszcza jak jest pokryty błyszczącymi zielonymi łuskami i nie widać jego prawdziwej twarzy. Może myślą, że mówią do ryby.

Nic więcej się tam nie działo, więc zadzwoniłam do Amandy na komórkę. Nie odpowiadała. Może spała skulona w śpiworze gdzieś w Wisconsin. Może siedziała przy ognisku, dwóch Teks-Meksów grało na gitarach i śpiewało, a Amanda razem z nimi, bo znała teks-meksykański. Może nad nimi w górze świecił księżyc, w oddali wyły kojoty, jak w starym filmie. Taką miałam nadzieję.

Wiele zmieniło się w moim życiu od momentu pojawienia się w moim domu Amandy, od Tygodnia Świętego Euella, kiedy miałam prawie trzynaście lat. Amanda była ode mnie starsza – miała już prawdziwe piersi. Ciekawe, że można mierzyć czas w ten sposób.

Tego roku Amanda, ja i Bernice brałyśmy udział w prowadzonych przez Zeba lekcjach pogładowych ze stosunków drapieżnik – ofiara, podczas których jadło się prawdziwą upolowaną zdobycz. Miałam pewne mgliste wspomnienia z jedzenia mięsa w Kompleksie ZdrowoTech. Ogrodnicy byli temu zdecydowanie przeciwni, chyba że był czas kryzysu, więc perspektywa włożenia sobie w usta i przepchnięcia przez gardło kawałka zakrwawionego mięśnia i chrząstki przyprawiała mnie o mdłości. Mimo to przyrzekłam sobie, że nie zwymiotuję, bo to postawiłoby mnie w kłopotliwej sytuacji, a Zeba w kiepskim świetle.

O Amandę się nie martwiłam. Była przyzwyczajona do jedzenia mięsa, robiła to wiele razy. Wcześniej kiedy tylko mogła, kradła sekretburgery, więc gładko i bez trudu wszystko przeżuje i przełknie.

W poniedziałek rozpoczynający Tydzień Świętego Euella założyłyśmy „czyste” (czyste kiedyś) ubrania, zaplotłam włosy Amandzie, a potem ona mnie.

– Naczelne się iskają – mówił na to Zeb.
Słyszałyśmy, jak śpiewa pod prysznicem:

Wszyscy to mają w nosie,
Wszyscy to mają w nosie,
Dlatego siedzimy w tym sosie,
Bo wszyscy to mają w nosie.

Tamtego dnia jego śpiewanie podniosło mnie trochę na duchu, bo mówiło, że wszystko jest tak jak zawsze. Przynajmniej tamtego dnia.

Lucerne zwykle leżała w łóżku tak długo, aż nie wyszłyśmy z domu, częściowo dlatego że nie chciała się spotykać z Amandą. Tym razem jednak była w aneksie kuchennym ubrana w ciemną suknię Ogrodniczki i gotowała. Ostatnio coraz częściej podejmowała takie próby. Bardziej dbała też o czystość w mieszkaniu, a nawet zaczęła hodować w doniczce na parapecie rachitycznego pomidora. Chyba starała się przymilić Zebowi, choć ostatnio kłócili się ze sobą częściej niż zwykle. Kiedy się kłócili, kazali nam wychodzić z domu. To jednak nie znaczyło, że nie mogliśmy podsłuchiwać.

We wszystkich kłótniach chodziło o to, gdzie podziewał się Zeb, kiedy nie był razem z Lucerne.

– Pracuję – tyle tylko odpowiadał.

Albo:

– Przestań mnie męczyć, laleczko.

Albo:

– Nie musisz wiedzieć, dla twojego własnego dobra.

– Znalazłeś sobie jakąś inną! – krzyczała Lucerne. – Czuję na tobie ten suczy zapach!

– No! no! – wyszeptwała Amanda. – Twoja matka ma niewyparzoną gębę!

– Ależ skąd! – odpowiadał Zeb zmęczonym głosem. – Po co mi ktoś inny prócz ciebie, laleczko?

– Kłamiesz!

– Chryste helikopterski! Odczep się, kurna, ode mnie!

Zeb wyszedł spod prysznic, woda kapiała z niego na podłogę. Dostrzegłam bliźnię po ranie, którą mu zadano, kiedy miałam dziesięć lat, i przeszły mnie ciarki.

– Jak się mają moje małe plebszczury? – zagadnął, szczerząc się jak troll.

Amanda uśmiechnęła się słodko i powiedziała:

– Duże plebszczury.

Na śniadanie jedliśmy *purée* ze smażonej czarnej fasoli i gotębie jaja na miękko.

– Pyszne śniadanie, laleczko – pochwalił Zeb Lucerne. Muszę przyznać, że chociaż zrobiła je moja matka, było rzeczywiście pyszne.

Lucerne posłała mu swój ckliwy uśmiech.

– Chciałam dopilnować, żebyście się porządnie najedli, wzięwszy pod uwagę, czym będziecie się żywić przez najbliższy tydzień – pewnie zeschniętymi korzeniami i myszami.

– Królik z grilla – rzekł Zeb. – Zjadłbym z dziesięć tych sukinkotów, do tego półtuszka z myszy, a na deser nagie ślimaki smażone w głębokim tłuszczu – lypnął na mnie i na Amandę. Próbował nas zniesmaczyć.

– Brzmi nieźle – powiedziała Amanda.

– Potwór z ciebie – Lucerne spojrzała na niego swoimi maślanymi oczyma.

– Szkoda, że nie będzie do tego piwa – dodał Zeb. – Chodź z nami, laleczko, przyda nam się jakaś ozdoba.

– Chyba tym razem sobie podaruję – rzekła Lucerne.

– Nie idziesz z nami? – zapytałam. Zazwyczaj podczas Tygodnia Świętego Euella Lucerne wędrowała razem z nami po leśnych ścieżkach, zbierając te wszystkie dziwne zioła, skarżąc się na robactwo i nie spuszczając z oka Zeba. Wcale nie zależało mi na tym, żeby i tym razem z nami poszła, chciałam tylko, żeby sprawy pozostały po staremu, miałam bowiem przeczucie, że wszystko się zmieni, jak wtedy gdy mnie wyrwano z Kompleksu ZdrowoTech. To było tylko przeczucie, ale wcale mi się nie podobało. Przyzwyczaiłam się do Ogrodników, tu było moje miejsce.

– Chyba nie powinnam, mam migrenę – odparła. Wczoraj też miała migrenę. – Lepiej się położyć.

– Poprozę Tobę, żeby do ciebie wpadła – rzekł Zeb. – Albo Pilar. Może jakoś przegonią ci z głowy ten wredny ból.

– Naprawdę? – uśmiechnęła się cierpiąco.

– To żaden problem – odparł. Lucerne nie zjadła swojego jajka, więc zjadł je Zeb. Zresztą i tak było małe jak pół śliwki.

Fasola pochodziła z Ogrodu, lecz jaja gołębie mieliśmy z własnego dachu. Nie uprawialiśmy na nim roślin, bo zdaniem Adama Pierwszego nie było to odpowiednie miejsce – mieliśmy za to gołębie. Zeb wabił je okruchami, które rozsypywał łagodnymi ruchami, żeby ptaki czuły się bezpiecznie. Kiedy gołębie składały jaja, Zeb pładrował gniazda. Mówił, że gołębie nie należą do gatunków zagrożonych, więc nie ma w tym nic złego.

Według Adama Pierwszego, jaja to potencjalne Stworzenia, ale jeszcze nie Stworzenia – tak jak orzech nie jest Drzewem. Czy jaja mają duszę? Nie, choć mają duszę potencjalną. Dlatego niewielu Ogrodników jadło jaja, niewielu jednak potępiało tę praktykę. Nikt nie przeproszał jajka za to, że dołącza jego białko do swojego, choć należało przeprosić gołębią matkę i podziękować jej za ten dar. Nie sądzę, żeby Zeb zadawał sobie trud tego przeproszania. Najprawdopodobniej cichaczem spożywał również gołębie matki.

Amanda zjadła jedno jajko. Ja również. Zeb zjadł trzy i dodatkowo jajko Lucerne. Potrzebował więcej jedzenia niż my, bo był większy. Zdaniem mojej matki, gdybyśmy jadły tyle co on, zrobiłybyśmy się grube.

– Do zobaczenia, wojownicze dziewoje! Tylko nikogo nie zabijcie – rzucił Zeb, gdy wychodziłyśmy. Dowiedział się, że Amanda umie kopać w krocze, wylupiać oczy i że ma kawałek szkła z taśmą – i robił sobie żarty na ten temat.

Przed lekcjami musiałyśmy wejść do Buenavisty po Bernice. Tym razem wolałybyśmy to sobie darować, lecz wiedziałyśmy, że za takie niezbyt Ogrodnicze zachowanie czekają nas nieprzyjemności ze strony Adama Pierwszego. Bernice nadal nie przepadała za Amandą, ale nie żywiła też do niej nienawiści. Nie ufała jej, tak jak nie ufa się niektórym zwierzętom, na przykład ptakom z ostrymi dziobami. Bernice była złośliwa, Amanda zaś była twardzielką, a to już było coś zupełnie innego.

Nie mogło być inaczej, jeśli wziąć pod uwagę obecne okoliczności, które były takie, że Bernice i ja kiedyś byłyśmy przyjaciółkami, jednak przestałyśmy nimi być. I że przez to w jej towarzystwie czułam się nieswojo. W pewien sposób czułam się winna. Bernice zdawała sobie z tego sprawę i starała się nagiąć moje poczucie winy tak, żeby skierować je przeciwko Amandzie.

Mimo to na zewnątrz wszystko odbywało się po przyjacielsku. W trójkę maszerowałyśmy do szkoły i z powrotem, pracowałyśmy, brałyśmy udział w akcjach zbieractwa Młodych Bionierów i robiłyśmy inne rzeczy w tym stylu. Ale Bernice nigdy nie przychodziła do Serowarni i nigdy nie spotykałyśmy się z nią po szkole.

Tego ranka, gdy szłyśmy po Bernice, Amanda powiedziała:

- Dowiedziałam się czegoś.
- Czego? – spytałam.

– Tego, gdzie Burt chodzi dwa razy w tygodniu między piątą a szóstą wieczorem.

– Burt Pała? A kogo to obchodzi! – obie traktowałyśmy go z pogardą, bo był żalonym obmacywaczem pach.

– Lepiej posłuchaj. Chodzi w to samo miejsce co Nuala.

– Żartujesz? Czyli gdzie? – Nuala flirtowała, i to z wszystkimi mężczyznami. Taka już była jej natura, tak jak naturą Toby było obrzucanie innych kamiennym spojrzeniem.

– Chodzą do Octowni wtedy, kiedy nikt inny nie ma prawa tam być.

– Niemożliwe! Naprawdę? – zawołałam. Wiedziałam, że chodzi o seks. Większość naszych niepoważnych rozmów kręciła się wokół seksu. Ogrodnicy nazywali seks „aktem rozrodczym” i powtarzali, że nie jest to stosowny temat do żartów, ale Amanda i tak sobie z tego żartowała. Z seksu można się było podśmiechiwać, można nim było handlować albo jedno i drugie – szanować się go jednak nie dało.

– Nic dziwnego, że tak jej się trzęsie zadek – powiedziała Amanda. – Coraz bardziej się zużywa. Jak stara kanapa Veeny, cała pozapadana.

– Nie wierzę ci! Nie mogłaby tego robić! Nie z Burtem!

– Niech skonam, jeśli to nieprawda – i splunęła na potwierdzenie. Była świetna w pluciu. – A po co niby miałyby z nim tam chodzić?

Tak jak inne dzieci Ogrodników często wymyślałyśmy złośliwe historyjki o życiu seksualnym Adamów i Ew. Żeby umniejszyć ich władzę, wyobrażałyśmy ich sobie nagich – ze sobą nawzajem albo z bezdomnymi psami, a nawet z zielonoskórymi dziewczynami wyswietlanymi przy wejściu do Łusek i Ogonów. Ale to, że Nuala jęczy i kotłuje się z Burtem Pałą, nie mieściło nam się w głowie.

– Tak czy siak, nie możemy tego powiedzieć Bernice! – stwierdziłam i wybuchnęłyśmy jeszcze większym śmiechem.

Dotarliśmy do budynku Wspólnoty Mieszkaniowej Buenavista, skinęłyśmy głowami zaniedbanej Ogrodnicze, która siedziała na portierni zajęta jakąś sznurową plecionką i nawet na nas nie

spojrzała. Weszliśmy po schodach, omijając zużyte igły i prezerwatywy. Amanda mówiła na ten budynek „Wspólnota Melinowa Buenavista” i ja też zaczęłam go tak nazywać. Tego dnia ostry grzybowy zapach Buenavisty był silniejszy niż zwykle.

– Ktoś tu ma nielegalną plantację – zauważyła Amanda.
– Śmierdzi skuniem.

W tych sprawach Amanda była autorytetem. Wcześniej mieszkała w Świecie Złowszechnym i brała narkotyki – chociaż twierdziła, że niedużo, ponieważ od prochów człowiek traci wigor. Oprócz tego trzeba je było kupować tylko od osób, które się zna, bo we wszystkim można było znaleźć wszystko, a ona nie ufała do końca nikomu. Dręczyłam ją, żeby dała mi trochę spróbować, jednak się nie zgadzała. „Jesteś jeszcze dzieckiem” – odpowiadała. Albo mówiła, że odkąd znalazła się wśród Ogrodników, straciła kontakty.

– Niemożliwe, żeby tu była nielegalna plantacja – powiedziałam. – Ten budynek należy do Ogrodników, a tylko plebsomasy mają plantacje. To tylko... dzieciaki przychodzą tu palić nocami. Dzieciaki z plebsopolii.

– Aha, wiem – odparła Amanda – ale to nie jest dym. Tak śmierdzi plantacja.

Gdy weszliśmy na trzecie piętro, usłyszałyśmy głosy – dwa męskie głosy za drzwiami korytarza. Nie brzmiały przyjaźnie.

– To wszystko, co mam – mówił jeden. – Resztę przyniosę jutro.

– Nie wkurwiał mnie, kutasie! – odpowiedział drugi.

Rozległo się łupnięcie, jakby coś uderzyło o ścianę, po chwili kolejne łupnięcie, potem nieartykułowany krzyk – bólu lub złości.

Amanda szturchnęła mnie:

– Na górę! Szybko!

Przemierzyłyśmy biegiem resztę schodów, najciszej, jak umiałyśmy.

– Grubsza sprawa – powiedziała Amanda, gdy byłyśmy na piątym.

– Co masz na myśli?

– Nie udał się handelek – odparła. – My nic nie słyszałyśmy. Zachowuj się normalnie.

Wyglądała na przerażoną, co przerażyło i mnie, bo Amandę niełatwo było przerazić.

Zapukałyśmy do drzwi Bernice:

– Stuk-puk! – powiedziała Amanda.

– Kto tam? – odezwał się głos naszej koleżanki. Najwyraźniej czekała na nas tuż za drzwiami, jak gdyby się obawiała, że nie przyjdziemy. Wydało mi się to smutne.

– Gangrono – powiedziała Amanda.

– Co za gang? – odezwał się głos zza drzwi.

– Wegan grono – odrzekła Amanda, która przejęła hasło Shackskiego. Używała go teraz cała nasza trójka.

Gdy Bernice otworzyła drzwi, zauważyłam Veenę-Roślinę. Siedziała jak zwykle na swojej brązowej sofie z pluszu, lecz patrzyła na nas tak, jakby naprawdę nas widziała.

– Bo się spóźnisz – ponagliła córkę.

– Odezwała się do ciebie! – powiedziałam do Bernice, kiedy była już na korytarzu i zamknęła za sobą drzwi. Próbowałam być miłą, ale ona tego nie dostrzegła.

– No i co z tego? – rzekła. – Przecież nie jest kretynką.

– Wcale nie mówiłam, że jest – odparłam chłodno.

Bernice rzuciła mi gniewne spojrzenie. Odkąd pojawiła się Amanda, nawet jej moc rzucania gniewnych spojrzeń nie była już taka jak dawniej.

Gdy dotarliśmy do niezabudowanej parceli za Łuskami, gdzie miała się odbyć lekcja na wolnym powietrzu na temat Drapieżników i Ofiar, Zeb już tam siedział na składanym krzeselku płóciennym. U stóp miał materiałowy worek z czymś w środku. Staralam się nie patrzeć w tamtą stronę.

– Jesteśmy w komplecie? – zapytał. – No więc... Relacje między Drapieżnikiem a Ofiarą... Polowanie i tropienie... Jak wyglądają reguły?

– Widzieć, nie będąc widzianym – wyrecytowaliśmy – słyszeć, nie będąc słyszonym, zwietrzyć, nie będąc zwietrzonym, zjeść, nie będąc zjedzonym!

– Zapomnieliście o jednym – rzekł Zeb.

– Ranić, nie będąc ranionym – dodał któryś z najstarszych chłopców.

– Prawidłowo! Drapieżnik nie może sobie pozwolić na poważne zranienie. Jeżeli nie będzie mógł polować, umrze z głodu. Musi atakować znienacka i szybko zabijać. Musi wybierać ofiarę, która znajduje się w niekorzystnej sytuacji: która jest zbyt młoda, zbyt stara, zbyt kaleka, żeby mogła uciec albo się bronić. W jaki sposób unikniemy bycia ofiarą?

– Dzięki temu, że nie będziemy wyglądać jak ofiara – odpowiedzieliśmy chórem.

– Dzięki temu, że nie będziemy wyglądać jak ofiara dla nego drapieżnika – poprawił Zeb. – Dla rekina surfingowiec wygląda z dołu jak foka. Spróbujcie sobie wyobrazić, jak wyglądacie z punktu widzenia drapieżnika.

– Nie wolno pokazywać strachu.

– Słusznie. Nie pokazujcie strachu. Nie zachowujcie się jak chorzy. Starajcie się wyglądać na możliwie największych. To odstraszy większe zwierzęta, które polują. Lecz i my należymy do większych zwierząt, które polują, prawda? Po co mielibyśmy to robić? – spytał Zeb.

– Żeby jeść – odpowiedziała Amanda. – Nie ma innego sensownego powodu.

Zeb uśmiechnął się do niej szeroko, jakby to była tajemnica znana tylko im obojgu.

– Dokładnie tak – odparł. Podniósł worek, rozwiązał go i włożył dłoń do środka. Trzymał ją tam przez pewien czas, który wydawał się bardzo długi. W końcu wyciągnął martwego zielonego królika. – Mam go z Parku Dziedzictwa... z pułapki na króliki – oznajmił. – Z wnyków. Można ich też używać na szopunksy. Teraz oskórujemy zdobycz i wyopatroszymy.

Wciąż jeszcze robi mi się niedobrze na wspomnienie tej części lekcji. Pomagali mu starsi chłopcy – nie mieli oporów, choć nawet Shackie i Croze musieli się trochę wysilić. Zawsze robili to, co Zeb im kazał. Podziwiali go, nie tylko z uwagi na jego rozmiary, lecz także dlatego że miał wiedzę. Szanowali tę wiedzę.

– A co, jeśli królik w sidłach nie jest, że tak powiem, do końca martwy? – zapytał Croze.

– Wtedy trzeba go dobić – odparł Zeb. – Walnąć kamieniem w głowę. Albo złapać za tylne kończyny i grzmotnąć o ziemię. – Dodał też, że w ten sposób nie zabije się owcy, która ma zbyt twarde czaszkę. Owcy trzeba podciąć gardło. Każde zwierzę można zabić w jakiś konkretny, najskuteczniejszy sposób.

Zeb zajęty był zdzieraniem skóry, Amanda pomagała w momencie, gdy futrzasta zielona skóra wyrwała się na drugą stronę

jak rękawiczka. Staralam się nie patrzeć na żyły, były takie niebieskie, i te ścięzna, takie błyszczące.

Zeb pokroił mięso na drobniutkie kawałki, tak żeby każdy mógł spróbować. Nie chciał też nas przeciążać jedzeniem zbyt wielkich porcji. Upiekliśmy kawałki mięsa na ogniu rozpalonym ze starych desek.

– To właśnie musicie zrobić, kiedy sprawy przybiorą na jgorszy obrót – powiedział Zeb. Podał mi kawałek mięsa. Wsunęłam go w usta. Okazało się, że jestem w stanie przeżuć i połknąć mięso, jeśli tylko będę powtarzać sobie w myślach: „To tylko *purée* z fasoli, zwykle *purée* z fasoli...”. Policzyłam do stu i poszło.

Jednak smak królika pozostał mi w ustach – miałam wrażenie, że połknęłam krew z nosa.

Po południu tego samego dnia odbywała się Wymiana Materiałów Naturalnych „Drzewo Życia”. Urządzano ją na zieleńcu na północnym skraju Parku Dziedzictwa, naprzeciwko butików w SolarSpace. Dla małych dzieci były tam piaskownica, huśtawki i ślizgawki oraz tradycyjny domek z gliny, piasku i słomy. Miał sześć izb, łukowato sklepione wejścia i okna, ale bez drzwi i szyb. Adam Pierwszy mówił, że zbudowali go dawni obrońcy przyrody, co najmniej trzydzieści lat temu. Na wszystkich jego ścianach były wypisane sprayem gryzmoły i hasła plebszczurów: „Lubie ćeleńcinki (z grilla)”, „Śiy mi gróhe, jest eko!”, „Śmierć ekozjebom!”.

Drzewo Życia nie było tylko dla Ogrodników. Sprzedawali tu wszyscy należący do sieci „BioTarg”: Spółdzielnia Fernside, Działkowcy z Pudła, Ekolodzy z Golfgreens. Patrzyliśmy na nich wszystkich z góry, bo byli od nas lepiej ubrani. Adam Pierwszy uważał, że ich towary są moralnie skażone, chociaż przynajmniej nie biło z nich z daleka syntetyczne zło pracy niewolniczej tak bardzo jak ze szpanerskich towarów z centrów handlowych. Ci z Fernside sprzedawali glazurowaną ceramikę i biżuterię ze spinaczy. Działkowcy z Pudła wystawiali zwierzęta zrobione na drutach. Ludzie z Golfgreens robili artystowskie torebki ze zwiniętych w harmonijkę kartek ze starodawnych czasopism, a na obrzeżach swojego

poła golfowego uprawiali kapustę. Też coś, mówiła Bernice, i tak opryskują trawę, więc tymi paroma kapustami się nie zbawią. Bernice stawała się coraz pobożniejsza. Może w ten sposób rekompensowała sobie brak prawdziwych przyjaciół.

Na Drzewo Życia przychodziło mnóstwo elegantów z wyższych sfer: bogacze z ogrodzonych osiedli w SolarSpace, pozerzy z Fernside, a nawet ludzie z Kompleksów, którzy wychodzili z nich w poszukiwaniu przygody w plebsopolii. Twierdzili, że wolą warzywa Ogrodników od tych z marketów, a nawet od tych sprzedawanych na tak zwanych targach chłopskich, gdzie – jak opowiadała Amanda – ludzie przebrani za rolników kupowali towar z magazynów, przesypywali wszystko w etniczne koszyki i windowali ceny, więc w umieszczony na nich napis „ekologiczne” nie było sensu wierzyć. Za to produkty Ogrodników były prawdziwe – wręcz śmierdziały autentycznością. Owszem, Ogrodnicy byli fanatykami i pociesznymi dziwakami, ale postępowali etycznie. To właśnie mówili kupującym, podczas gdy ja zawijałam im zakupy w folię z recyklingu.

W pracy przy Drzewie Życia najgorsze było to, że musieliśmy do niej zakładać chustki Młodych Bionierów. Było to upokarzające, zwłaszcza że ci modni eleganci często przychodzili z dziećmi w bejsbolówkach z napisami, a dzieci, poszeptując i podśmiechując się, gapiły się na nas, na te nasze chusty i na nasze bure ubrania, jakbyśmy byli jakimiś świrusami. Ja starałam się nie zwracać na to uwagi, jednak Bernice tupiała na nich, mówiąc: „Co się tak gapicie!?” Amanda wybierała środek bardziej wyrafinowany – najpierw uśmiechała się do nich, a potem wyciągała swoje szkło oklejone taśmą, nacinała nim sobie ramię i zlizywała krew. Następnie przesuwiała delikatnie językiem po wargach i podstawiała ramię dzieciakom, które wtedy prędko pryskały. Amanda mówiła, że jeśli chcemy, żeby ludzie zostawili nas w spokoju, powinniśmy zachowywać się jak szaleni.

Naszą trójkę przydzielono do pomocy w budce z grzybami. Zazwyczaj sprzedawały w niej Pilar i Toby, ale tym razem Pilar źle się poczuła i w budce była tylko Toby, która wprowadziła

rygor: musiałyśmy stać wyprostowane obok niej i zachowywać się supergrzecznie.

Przyglądałam się bogatym modnisiom, które przechodziły obok nas. Niektóre miały pastelowe dzinsy i sandały, inne od stóp do głów były ubrane w drogą skórę – miały aligatorowe szpilki z odkrytą piętą, minispódniczki z lamparta i torebki ze skóry oryksa. Patrzyły na mnie, jakby się usprawiedliwiały: „Ja tego nie zabiłam, czemu miałyby się zmarnować?”. Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest mieć na sobie takie rzeczy, czuć tuż przy własnej skórze skórę innego stworzenia.

Niektóre z nich miały nowe megarunosy – srebrne, różowe albo błękitne. Amanda opowiadała, że w Lagunie Ścieków są sklepy z megarunosami, które zwabiają dziewczyny do środka. Kiedy dziewczyna wchodziła do gabinetu transplantacji włosów, usypiano ją, a kiedy odzyskiwała przytomność, miała nie tylko inne włosy, ale także inne odciski palców. Potem zamykali ją w błoniarni i zmuszali do szczotowania. Jeśli jakiejś udało się uciec, to i tak nie mogła udowodnić, kim jest, bo ukradli jej tożsamość. Te historie były naprawdę nie do wiary, a Amanda potrafiła zmyślać. Jednak między nami była umowa, że nigdy nie będziemy się okłamywać. Dlatego sądziłam, że może to wszystko było prawdą.

Przez godzinę sprzedawałyśmy z Toby grzyby, potem odesłano nas do Nuali, żebyśmy pomogły jej przy occie. Zdążyłyśmy się już znudzić i zaczęło nam trochę odbijać, więc za każdym razem gdy Nuala schylała się po ocet ze skrzynki pod ladą, Amanda i ja wykonywałyśmy posuwiste ruchy pośladkami i ukradkowo chichotałyśmy. Bernice, której nie dopuszczaliśmy do zabawy, robiła się coraz bardziej purpurowa. Wiedziałam, że to jest wredne, ale jakoś nie mogłam się powstrzymać.

Wtedy Amanda poczuła potrzebę, żeby pójść do przenośnej bioalety kompostowej, a Nuala powiedziała, że musi zamienić słówko z Burtem, który w sąsiedniej budce sprzedawał mydła owinięte w liście. Gdy tylko zniknęła, Bernice złapała mnie za rękę, wykręciła mi ramię dwa razy z rzędu i syknęła:

– Mów!

– Puść! – zawołałam. – Co mam mówić?

– Dobrze wiesz co. Co was tak śmiesz?

– Nic.

Gdy wykręciła mi ramię mocniej, powiedziałam:

– No dobra, ale to ci się nie spodoba.

Opowiedziałam jej o Nuali i Burcie i o tym, co robią w Oc-towni. Chyba bardzo chciałam jej to powiedzieć, bo wyrzuciłam to wszystko z siebie jednym tchem.

– To obrzydliwe kłamstwo! – wykrzyknęła Bernice.

– Co jest obrzydliwym kłamstwem? – spytała Amanda, która właśnie wróciła z bioalety.

– Mój ojciec nie dyma Mokrej Wiedźmy! – wyszczała Bernice.

– Nie mogłam inaczej – tłumaczyłam się. – Wykręciła mi rękę.

Oczy Bernice były zaczerwienione i pełne łez. Gdyby nie było z nami Amandy, na pewno by mi przywaliła.

– Ren trochę poniosło – powiedziała Amanda. – Tak naprawdę to nie jesteśmy pewne. My tylko p o d e j r z e w a m y, że twój ojciec dyma Mokrą Wiedźmę. A może jednak nie dyma. Ale jeśli dyma, to musisz go zrozumieć: przecież twoja matka od dawna jest w stanie Ugoru. Na pewno chodzi strasznie napalony, i to właśnie dlatego obmacuje dziewczynki pod pachami – wszystko to Amanda powiedziała cnotliwym głosem, takim jakim mówiły Ewy. To było okrutne.

– On tego nie robi! – krzyknęła Bernice bliska płaczu. – Nie robi!

– Jeśli robi – ciągnęła Amanda spokojnie – to powinnaś uważać. Rzecz w tym, że gdybym ja miała ojca, to nie chciałabym, żeby dymał organ rozrodczy kogoś innego niż mojej matki. To obleśny nawyk i bardzo niehigieniczny. Gdyby tak było, miałabyś powód, żeby martwić się tym, że dotykają cię te jego pełne zarazków ręce. Chociaż ja jestem pewna, że on wcale tego nie...

– Nienawidzę cię ze wszystkich sił! – zawołała Bernice. – Obyś zdechła i smażyła się w ogniu!

– Bernice, nie na tym polega przebaczenie – rzekła Amanda karcącym tonem.

– I jak, dziewczęta? – spytała powracająca z szumem Nuala.

– Byli jacyś klienci? Bernice, od czego masz takie czerwone oczy?

– Dostałam jakiegoś uczulenia.

– Właśnie – potwierdziła poważnie Amanda. – Nie najlepiej się czuje. Może powinna już iść do domu. Może coś jest w powietrzu i powinna założyć filtr na nos? Bernice, jak myślisz?

– Jesteś bardzo koleżeńską dziewczynką, Amando – powiedziała Nuala. – Faktycznie, Bernice, chyba powinnaś jak najszybciej iść do domu. A jutro postaramy się o filtr dla ciebie, żebyś nie dostała uczulenia. Kawałeczek cię odprowadzę, kochanie.

Nuala otoczyła Bernice ramieniem i wyprowadziła ją z budki.

Nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłyśmy. Miałam to dziwne uczucie ścisnięcia w żołądku, jakie ma ktoś, kto upuszcza coś ciężkiego i wie, że zaraz mu to spadnie na nogę. Grubo przesadziłyśmy, ale nie wiedziałam, jak to powiedzieć Amandzie, żeby nie myślała, że prawię jej kazania. Tak czy owak, cofnąć tego już nie było można.

Zaraz potem do naszej budki podszedł chłopak, którego nigdy przedtem nie widziałam. Był to nastolatek starszy od nas – szczupły, wysoki, ciemnowłosy. Nie był ubrany jak bogaci, miał na sobie jakiś prosty ciemny strój.

– Czym mogę służyć? – spytała Amanda. Czasami, pracując w budkach, naśladowaliśmy niewolnicze wyrobnice z SekretBurgera.

– Chciałbym porozmawiać z Pilar – powiedział tylko, nie uśmiechając się. – Coś z tym jest nie tak. – Wyciągnął z plecaka słoik z miodem od Ogrodników. Zdziwiłam się, bo co może być nie tak z miodem? Pilar mówiła, że miód nigdy się nie psuje, chyba że dostanie się do niego woda.

– Pilar źle się czuje – powiedziałam. – Możesz o tym porozmawiać z Toby, jest tam, przy grzybach.

Rozejrzał się wkoło, jakby się czegoś obawiał. Był chyba sam, bez znajomych i bez rodziców.

– Nie – upierał się. – To musi być Pilar.

Podszedł do nas Zeb ze stoiska z warzywami, przy którym sprzedawał korzenie łopianu i komosę, i zapytał:

– Jakież problemy?

– Chce rozmawiać z Pilar – wyjaśniła Amanda. – O miodzie.

Zeb i chłopiec popatrzyli na siebie nawzajem i zdało mi się, że chłopak lekko pokręcił głową.

– Czy ja nie wystarczę? – zapytał go Zeb.

– To raczej powinna być ona – odparł chłopak.

– Amanda i Ren cię zaprowadzą.

– A kto będzie sprzedawał ocet? – zapytałam. – Nuala musiała wyjść.

– Rzucę na to okiem – powiedział Zeb. – To jest Glenn. Zajmijcie się nim dobrze. A ty – zwrócił się do Glenna – nie daj im się zjeść żywcem.

Szliśmy ulicami plebsopolii w kierunku Ogrodu na Dachy budynku Edenclyff.

– Skąd znasz Zeba? – spytała Glenna Amanda.

– No... kiedyś go znałem – odpowiedział chłopiec.

Nie był zbyt rozmowny. Nawet nie chciał iść razem z nami. Gdy przeszliśmy kawałek, został z tyłu.

Dotarliśmy do budynku Ogrodników i weszliśmy po schodach przeciwpożarowych. Na Dachy byli Philo Mgła i Katuru Złączka. Zawsze tam ktoś zostawał, na wypadek gdyby chciały się wkraść plebszczury. Katuru łątał właśnie wąż ogrodniczy, a Philo się uśmiechał.

– Kto to? – spytał Katuru, widząc chłopca.

– Zeb kazał nam go przyprowadzić – wyjaśniła Amanda.

– Szuka Pilar.

Katuru wskazał kierunek głową:

– Jest w Chatce Ugorowej.

Pilar leżała na leżaku. Obok niej znajdowała się szachownica z ustawionymi figurami. Ale w szachy nikt nie grał. Pilar nie wyglądała najlepiej, była jakaś taka zabiedzona. Czy miała zamknięte – otworzyła je, słysząc, że ktoś się zbliża.

– Witaj, drogi Glennie! – powiedziała tak, jakby się go spodziewała. – Mam nadzieję, że udało ci się bez problemów.

– Bez problemów – odparł Glenn i wyjął słoik z miodem.

– Niedobry.

– Wszystko jest dobre – powiedziała Pilar – patrząc z szerszej perspektywy. Amando, Ren, przynieście mi, proszę, szklanek wody.

– Ja pójdę – powiedziałam.

– Idźcie obie – rzekła Pilar. – Proszę.

Chciała się nas pozbyć. Wyszliśmy z Chatki Ugorowej najwolniej, jak się dało. Żałowałam, że nie mogłam posłuchać, o czym rozmawiają, na pewno nie mówili o miodzie. Pilar wyglądała tak, że się przeraziłam.

– On nie jest z plebsopolii – szepnęła Amanda. – Jest z Kompleksów.

Sama o tym pomyślałam, ale zapytałam:

– Skąd wiesz?

W Kompleksach mieszkali ludzie z Korporacji, ci wszyscy naukowcy i biznesmeni, którzy, jak mówił Adam Pierwszy, unicestwiają stare Gatunki, tworzą nowe i niszczą świat. Jednak nie do końca wierzyłam w to, że robił to mój prawdziwy ojciec w ZdrowoTechu. Tak czy owak, dziwne, że do kogoś stamtąd Pilar raczyła się choćby odezwać.

– Mam przeczucie – odpowiedziała Amanda.

Gdy wróciliśmy ze szklanką wody, Pilar znów miała zamknięte oczy. Chłopak siedział obok niej, przesuwając figury szachowe. Biała królowa była osaczona, jeszcze jeden ruch i będzie po niej.

– Dziękuję – powiedziała Pilar, odbierając szklankę od Amandy. – A tobie, drogi Glennie, dziękuję, że przyszedłeś.

Chłopak wstał i powiedział z zakłopotaniem: „No to do widzenia”. Pilar uśmiechnęła się do niego. Był to uśmiech pogodny, ale słaby. Miałam ochotę ją przytulić, wyglądała na tak nikłą i kruchą.

W drodze powrotnej na Drzewo Życia Glenn szedł razem z nami.

– Z nią jest bardzo źle, prawda? – zapytała Amanda.

– Choroba to błąd konstrukcyjny – odpowiedział – który można usunąć.

Tak, bez wątpienia był z Kompleksów. W ten sposób mówili tylko tamtejsi mózgowcy: nie odpowiadali wprost, klepali tylko jakieś ogólniki, które w ich mniemaniu były faktami. Czy tak mówił też mój ojciec? Być może.

– A więc gdybyś ty tworzył świat, stworzyłbyś go lepszym?

– zapytałam, mając na myśli „lepszym niż ten, który stworzył Bóg”. Nagle poczułam, że robię się pobożna jak Bernice. Jak Ogrodniczka.

– Tak – odpowiedział. – Tak właśnie bym zrobił.

Następnego dnia poszliśmy jak zwykle po Bernice do Buenavisty. Chyba obie wstydziliśmy się tego, co zrobiliśmy wczoraj. Ja na pewno się wstydziłam. Kiedy jednak zapukałyśmy do drzwi i powiedziałyśmy: „Stuk-puk!”, Bernice nie odpowiedziała: „Kto tam?”. Nic nie odpowiedziała.

– Gangrono! – krzyknęła Amanda. – Wegan grono!

Nadal nic. Jej milczenie było niemal dotykalne.

– No dalej, Bernice – powiedziałam. – Otwieraj, to my.

Drzwi się otworzyły, ale nie stała w nich Bernice, tylko Vee-na. Utkwiła w nas wzrok – wcale nie wyglądała na kogoś, kto jest Ugorem.

– Idźcie sobie – powiedziała i zamknęła drzwi.

Spojrzałyśmy na siebie nawzajem. Miałam bardzo złe przeczucia. Może naszą opowiastką o Burcie i Nuali wyrządziłyśmy Bernice nieodwracalną krzywdę? Co z tego, że opowiastka nie była prawdziwa? Z początku to był tylko żart. Lecz teraz chyba wszystko przestało być żartem.

Zwykle w Tygodniu Świętego Euella chodziliśmy z Pilar i Toby do Parku Dziedzictwa na grzyby. Było to pasjonujące zajęcie, bo nigdy nie było wiadomo, co tam spotkamy. Rodziny plebsopolitów urządzały sobie tam grilla i rodzinne kłótnie, a my zatykaliś-

my nosy, żeby nie czuć smrodu spalonego mięsa. W krzakach kotłowały się parki, bezdomni obciążali butelki albo chrapali pod drzewami, rozczochrani wariaci gadali sami ze sobą albo coś wykrzykiwali. Szprycowały się ćpuny. Jeśli udało nam się dojść do plaży, mogliśmy pooglądać leżące na słońcu dziewczyny w bikini. Żeby zwrócić na siebie ich uwagę, Shackie i Croze wołali do nich: „Rak skóry!”

Można tam też było spotkać ludzi z KorpuSOKorpu, którzy patrolowali miejsca publiczne i pouczali ludzi, że odpadki należy wyrzucać do odpowiednich pojemników, choć Amanda uważała, że tak naprawdę szukali drobnych dilerów, którzy ubijali interesy za plecami ich kolesiów z plebsomas. Czasami słysząc było to nerwowe syk-syk-syk z miotacza i trochę krzyku. „Agresywnie się zachowywał” – tłumaczyli korpusowcy gapiom, wywlekając delikwenta.

Tym razem wycieczka do Parku Dziedzictwa została odwołana z powodu choroby Pilar. Za to na pustej parceli za Łuskami i Ogonami Burt Pała przeprowadził z nami zajęcia z dzikiej botaniki.

Mieliśmy ze sobą kredę i tabliczki, żeby uczyć się na pamięć dzikich roślin poprzez rysowanie ich. Kiedy ścieraliśmy rysunek, roślina pozostawała w naszych głowach. Burt mówił, że jeśli chcemy naprawdę coś zobaczyć, powinniśmy to sobie narysować.

Burt pomyszkował po działce, wynalazł coś i podniósł w górę, żeby wszyscy widzieli.

– *Portulaca oleracea* – oznajmił. – Nazwa pospolita: portulaka. Spotykana jako roślina uprawna i dziko rosnąca. Lubi luźną ziemię. Zwróćcie uwagę na czerwoną łodygę i liście skrętoległe. Dobre źródło omega 3.

Przerwał i spojrzał na nas:

– Jedna połowa nie słucha, a druga nie rysuje! A to może kiedyś uratować wam życie! Mówimy o składnikach odżywczych. O d ŷ y w c z y c h! Co to oznacza?

Tępe spojrzenia i cisza.

– Składniki odżywcze – mówił Pała – to to, co odżywia ciało człowieka. To pożywienie! Pożywienie! Skąd się ono bierze? No?

Wyrecytowaliśmy chórem:

– Wszelkie pożywienie pochodzi z Ziemi.

– Zgadza się! – rzekł Burt. – Z Ziemi! A potem większość ludzi kupuje je w marketcie. Co by się stało, gdyby nagle zabrakło marketów? Shackleton?

– Trzeba by je uprawiać na dachu – odpowiedział Shackie.

– Założmy, że dachów nie ma – powiedział Pała już lekko zaróżowiony na twarzy. – Skąd je wtedy weźmiecie? – Te same tępe spojrzenia. – W takim wypadku należy s z u k a ć ż e r u w przyrodzie. Crozier, co to znaczy?

– Wyszukiwać towar – odpowiedział Croze. – Towar, za który się nie płaci. Na przykład kiedy się kradnie.

Roześmialiśmy się. Pała nie zwracał na to uwagi.

– Gdzie byś szukał tego t o w a r u? Quill?

– W centrum handlowym? – zgadywał Quill. – Na zapleczu, znaczy się... Znaczy się... tam, gdzie go wyrzucają, znaczy się... stare butelki...

Quill był troszkę przygłupi, a na dodatek zgrywał się na przygłupiego. Wszyscy chłopcy tak robili, żeby wyprowadzić Pałę z równowagi.

– Nie! Ależ skąd! – krzyczał Pała. – Nie b ę d z i e już niko- go, żeby wyrzucać towar! Wy pewnie nigdy nie wysłicie poza tę plebsopolię! Nigdy nie widzieliście p u s t y n i! Nie wiecie, co to k l ę s k a g ł o d u! Gdy uderzy Bezwodny Potop, to nawet jeśli uda wam się go przeżyć, poumieracie z głodu! A wiecie dlaczego? Bo nie uważaliście! Po co ja na was tracę czas!?

Na każdej lekcji Pała przekraczał niewidzialną granicę i zaczynał się drzeć.

– No więc – pytał dalej, gdy trochę ochłonał – co to za roślin- na? Portulaka. Co można z nią zrobić? Zjeść. Tak więc – rysujcie. Portulaka! Zwróćcie uwagę na owalny kształt jej liści! Na ich po- łysk! Popatrzcie na łodygę! Zapamiętajcie to!

Zastanawiałam się... To niemożliwe – nie mogłam pojąć, jak ktokolwiek, nawet Mokra Wiedźma Nuala, mógłby uprawiać seks z Burtem Pałą. Z kimś, kto jest taki łysy i tak się poci.

– Kretyni! – mamrotał Burt sam do siebie. – Po co ja się wami przejmuję?

Nagle zamilkł. Patrzył na coś za naszymi plecami. Odwróciliśmy się: obok dziury w płocie stała Veena. Miała na nogach kapcie, jej głowa owinięta była żółtym dziecięcym kocykiem jak szalem. Obok niej stała Bernice.

Stały tak, nie ruszając się. Po chwili przez dziurę w płocie weszło dwóch ludzi z KorpuSOKorpu. Należeli do Oddziałów Bitewnych, w swoich połyskujących szarych uniformach wyglądali jak zjawy. W rękach trzymali miotacze. Poczulałam, że krew odpływa mi z twarzy, miałam wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

– O co chodzi? – krzyknął Burt.

– Nie ruszać się! – rozkazał jeden z nich. Jego głos brzmiał nadzwyczaj donośnie, bo w hełmie miał mikrofon. Ruszyli naprzód.

– Zostańcie na swoich miejscach – polecił nam Burt, który wyglądał jak porażony paralizatorem.

– Pan pójdzie z nami – powiedział pierwszy KorpuSOKorpista, gdy był dość blisko.

– Co proszę? – spytał Burt. – Ja nic nie zrobiłem!

– Nielegalnie uprawiał pan marihuanę celem osiągnięcia zysków na czarnym rynku – powiedział drugi. – Radzimy nie utrudniać zatrzymania.

Zaprowadzili Burta do wyrwy w płocie. W milczeniu postąpiliśmy za nimi parę kroków. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje.

Gdy zbliżyli się do Veeny i Bernice, Burt wyciągnął do niej rękę:

– Veeno, jak to możliwe?

– Pieprzony zwyrodnialec! – krzyknęła. – Hipokryta! Cudzołożnik! Myślisz, że jestem aż tak głupia?!

– O czym ty mówisz? – zapytał Burt błagalnym głosem.

– Widocznie wydawało ci się, że tak się naćpałam tego twojego trującego zielska, że już nic do mnie nie dociera! Doszło do mnie jednak, co wyrabiasz z tą krową Nualą! Chociaż nie to jest jeszcze najgorsze! Ty pokręcony dupku!

– Nie! – krzyknął Burt. – Przysięgam, że nigdy tak naprawdę... Ja tylko...

Patrzyłam na Bernice i nie mogłam odgadnąć, co czuje. Nawet nie zrobiła się czerwona na twarzy. Była pusta, pusta jak niezapisana tablica – pylista biel.

Przez dziurę w płocie precyzyjnie się Adam Pierwszy. Widać zawsze wiedział, kiedy działo się coś niezwykłego. Amanda mówiła, że na pewno ma telefon. Położył dłoń na żółtym dziecięcym kocyku Veeny.

– Moja droga Veeno, wyszłaś ze stanu Uguru – powiedział.

– Wspaniale! Modliliśmy się o to. Ale cóż to się tu dzieje?

– Proszę usunąć się z drogi – powiedział pierwszy korpusowiec.

– Dlaczego mi to zrobiłaś? – warknął Burt do Veeny, kiedy go popchnięto, żeby ruszał.

Adam Pierwszy westchnął głęboko.

– To wielce zasmuające – powiedział. – Być może słusznie byłoby rozważyć wspólne nam wszystkim Ludzkie słabości...

– Jesteś idiotą! – rzekła do niego Veena. – Burt prowadził jedną z większych plantacji w Buenawicie, tuż pod waszymi świętymi Ogrodniczymi nosami! I handlował tym też pod waszymi nosami, na tym waszym głupim targowisku. Nie wszystkie te urocze kostki mydła zawinięte w liście były naprawdę mydłem! Zgarniał za to ogromny szmal!

Adam Pierwszy wyglądał na bardzo zasmuconego.

– Pieniądze to przerażająca pokusa – oznajmił. – To choroba.

– Głupcze! – krzyczała do niego Veena. – Botanika naturalna?! Świetny żart!

– Mówiłam, że w Buenawicie ktoś ma plantację – szepnęła do mnie Amanda. – Pała wpakował się w niezłe gównno.

Adam Pierwszy zarządził, że wszyscy mamy wracać do domu, i tak też zrobiliśmy. Czułam się podle z powodu Burta. Nie znajdowałam żadnego innego wytłumaczenia jak tylko to, że po tym jak na Drzewie Życia zachowałyśmy się wobec Bernice tak złośliwie, nasza koleżanka wróciła do domu i opowiedziała matce, że Burt uprawia

seks z Nualą i maca pod pachami. To pewnie wzbudziło w Veenie taką zazdrość i gniew, że skontaktowała się z KorpuSOKorpem i złożyła doniesienie. KorpuSOKorp zachęcał ludzi do kapowania na sąsiadów i członków rodziny. Amanda opowiadała, że nawet za to płacą.

Nie chciałam nikomu zaszkodzić, na pewno nie w ten sposób. No i co z tego wyszło?

Wydawało mi się, że powinnyśmy pójść do Adama Pierwszego i powiedzieć mu, co zrobiłyśmy. Ale zdaniem Amandy nic by to nie dało, niczego nie naprawiło, a tylko władowałybyśmy się w gorsze kłopoty. Miała rację. Jednak wcale nie poczułam się przez to lepiej.

– Głowa do góry – powiedziała Amanda. – Ukradnę coś dla ciebie. Co byś chciała?

– Telefon. Fioletowy, taki jak twój.

– W porządku, zajmę się tym.

– To miło z twojej strony – podziękowałam. Włożyłam w te słowa tyle starania, ile mogłam, żeby czuła, że to doceniam. Ale wiedziała, że udaję.

Następnego dnia Amanda oznajmiła, że ma dla mnie niespodziankę, która na pewno mnie rozchmurzy i która czeka na mnie w pasażu w Zapadlisku. Rzeczywiście, była to niespodzianka, bo kiedy dotarliśmy na miejsce, Shackie i Croze kręcili się wokół budki z popsutym holografomatem. Wiedziałam, że obaj lecą na Amandę – wszyscy chłopcy na nią lecieli – ale ona sama nigdzie z nimi nie chodziła bez większej grupy.

– Macie? – zapytała ich, a ci wyszczerzyli do niej swoje chytre uśmiechy. Shackie ostatnio sporo podrośł, był wysoki, smukły, miał ciemne brwi. Croze też urósł, tyle że wzdłuż i wszerz. Sypał mu się zarost koloru słomianego. Przedtem nie obchodziło mnie za bardzo, jak wyglądają w szczegółach, teraz jednak stwierdziłam, że patrzę na nich inaczej.

– Jest w środku – odpowiedzieli. Chociaż nie wyglądało na to, że się czegoś boją, byli czujni. Upewnili się, że nikt nie patrzy, i wtedy wszyscy wtoczyliśmy się do budki, z której kiedyś ludzie wyświetlali na pasażu swoje trójwymiarowe wizerunki. Zaprojektowana była na dwie osoby, więc musieliśmy się mocno ścisnąć.

W środku było gorąco. Czulałam ciepło naszych ciał, jakbyśmy byli czymś zarażeni i rozpaleni gorączką. Od Shackiego i Croze'a zalaływał zapach zaschłego potu, starej bawełny, brudu i tłustych

włosów – wszyscy tak pachnieliśmy – zmieszany z zapachem starszych chłopców, mieszkanką grzybów i winnego osadu. Czułam też kwietny zapach Amandy, z nutką piżma i odrobiną krwi.

Nie potrafiłabym powiedzieć, jak ja pachniałam dla nich. Podobno nie możemy wyczuć własnego zapachu, bo jesteśmy do niego za bardzo przyzwyczajeni. Myślałam sobie, że gdybym wcześniej wiedziała, jak będzie wyglądać ta niespodzianka, użyłabym zaoszczędzonego mydła różanego. Miałam nadzieję, że nie śmierdzą jak brudna bielizna albo jak stopy wyjęte z ciasnych butów.

Dlaczego chcemy, żeby inni nas lubili, nawet jeśli nam aż tak bardzo na nich nie zależy? Nie wiem, dlaczego tak jest, lecz tak jest. Gdy tak stałam w tamtej budce i wdychałam te wszystkie zapachy, miałam ogromną nadzieję, że wydają się ładna Shackiemu i Croze'owi.

– Oto ona – powiedział Shackie i pokazał coś zawiniętego w skrawek płótna.

– Co to? – zapytałam, słysząc swój głos, dziewczęcy i piskliwy.

– To ta niespodzianka – rzekła Amanda. – Przynieśli dla nas trochę tej supertrawy, towaru, który hodował Burt.

– Niemożliwe! – powiedziałam. – Kupiliście to... od KorpuSOKorpu?

– Zakosiliśmy – odparł Shackie. – Wkradliśmy się na tył Buenavisty, robiliśmy to kupę razy. Goście z KorpuSOKorpu wchodzili i wychodzili drzwiami frontowymi, nie zauważyli nas.

– W jednym z okien do piwnicy są luźne pręty, właziliśmy przez nie i robiliśmy imprezy na klatce schodowej – dodał Croze.

– W piwnicy stały tego całe worki – objaśniał Shackie. – Chyba zbiory ze wszystkich pomieszczeń całej plantacji. Od samego wdychania można się było nawalić.

– Pokaż – powiedziała Amanda. Shackie otworzył zawiniątko. Były w nim suche, postrzępione liście.

Wiedziałam, co Amanda myśli o braniu narkotyków: od tego traci się kontrolę nad własnym rozumem, a to niebezpieczne, bo wtedy inni zdobywają przewagę. Co więcej, człowiek robi wtedy

więcej, niżby chciał, jak Philo Mgła, a potem rozumu nie zostaje mu już wiele i innych przestaje obchodzić, czy stracił kontrolę, czy nie. Ponadto palić powinno się tylko z ludźmi, którym się ufa. Czy Amanda ufała Shackiemu i Croze'owi?

– Próbowałaś tego towaru? – szepnęłam do Amandy.

– Jeszcze nie – odszepnęła. Dlaczego rozmawialiśmy szeptem?

Wszyscy czworo byliśmy tak blisko siebie, że Shackie i Croze słyszeli wszystko.

– No to ja nie chcę – powiedziałam.

– Ale ja już zrobiłam handel! – powiedziała Amanda dumnie brzmącym głosem. – Spory handelek!

– Ja brałam już to cholerstwo – oznajmił Shackie. Mówiąc „cholerstwo”, użył swojego najbardziej chojrackiego głosu. – Masakra!

– Ja też. Czujesz się, jakbyś leciał w powietrzu – dodał Croze. – Jak jakiś, kurwa, ptak! – Shackie był już zajęty zwijaniem postrzępionych liści, już zapalał, już się zaciągał.

Na pośladkach poczułam czyjąś rękę, nie wiedziałam czyją. Przesuwała się w górę, próbując dostać się pod moją jednoczesną Ogrodniczą sukienkę. Chciałam powiedzieć: Przestań!, ale nie powiedziałam.

– Chociaż spróbuj – rzekł Shackie. Chwycił mnie za podbródek, przytknął swoje usta do moich i wdmuchnął mi pełno dymu. Zakaszłałam, zrobił jeszcze raz to samo i zakręciło mi się w głowie. Ukazał mi się wyraźny obraz, oślepiąco jasny obraz fluorescencyjnego królika, którego jedliśmy parę dni temu. Królik wpatrywał się we mnie swoimi martwymi oczami, tylko że oczy były pomarańczowe.

– To na nią za dużo! – stwierdziła Amanda. – Nie jest przyzwyczajona!

Poczułam się źle na żołądku i zwymiotowałam. Chyba trafiłam w nich wszystkich. O nie!, pomyślałam, ale ze mnie idiotka! Nie wiem, jak długo to wszystko trwało, bo czas był jak guma, rozciągał się jak długachna elastyczna linka albo ogromny kawał gumy do żucia. Potem skurczył się i zatrasnął w maleńkim czarnym kwadraciku i wtedy zemdlalam.

Kiedy się obudziłam, siedziałam w pasażu oparta o zepsutą fontannę. Wciąż kręciło mi się w głowie, choć nie zbierało mi się już na wymioty – czułam raczej coś jakby falowanie. Wszystko wydawało się takie odległe i przeźrocyste. Chyba mogę przełożyć rękę przez beton, pomyślałam. Może wszystko jest zrobione z koronki, z maleńkich drobinek, między którymi jest Bóg, jak opowiadał Adam Pierwszy. Może jestem dymem...

Witryna sklepu po drugiej stronie pasażu wyglądała jak pudełko pełne robaczek świętojańskich, żywych cekinów. Odbывała się tam jakaś impreza, słyszałam muzykę – dziwną i dzwoniącą. Przyjęcie motyli, pewnie tańczą na tych patykowatych motylich nogach. Gdybym tylko dała radę wstać, pomyślałam, też bym zatańczyła.

Amanda objęła mnie ramieniem.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Nic ci nie jest.

Shackie i Croze wciąż byli z nami – rozmawiali tak, jakby byli wkurzeni. Croze bardziej niż Shackie, bo Shackie odjechał prawie tak jak ja.

– No to kiedy zapłacisz? – pytał Croze.

– Nie zadziałało – odparła Amanda – więc nigdy.

– Nie taka była umowa – mówił Croze. – Umowa była taka, że dajemy towar. Daliśmy, więc nam wiesz.

– Umowa była taka, że Ren poczuje się weselsza – odparła Amanda. – Nie poczuła się. I finał.

– Nie ma mowy! – protestował Croze. – Jesteś nam winna i bulisz!

– Zmuś mnie! – powiedziała Amanda. W jej głosie pobrzmiwał ten groźny ton, który stosowała wtedy, gdy przyczepiały się do niej plebszczyry.

– Wszystko jedno... Obojętnie... – powtarzał Shackie. Jemu chyba specjalnie nie zależało.

– Wiesz nam dwa dymanka – powiedział Croze. – Dla każdego po jednym. Sporo się narażaliśmy, mogli nas zabić!

– Nie truj jej – powiedział Shackie. – Chcę tylko dotknąć twoich włosów – zwrócił się do Amandy. – Pachniesz jak toffi.

– Wciąż jeszcze był na haju.

– Odwalcie się – powiedziała Amanda. I chyba się odwalili, bo kiedy następnym razem się rozejrzałam, nie było ich.

Czułam się już trochę normalniej. Powiedziałam:

– Amando, nie mogę uwierzyć, że zrobiłaś z nimi handelek – chciałam powiedzieć: dla mnie, ale bałam się, że się rozplacę.

– Przykro mi, że się nie udało – powiedziała. – Chciałam tylko, żebyś poczuła się lepiej.

– Czuję się lepiej. Łżej – powiedziałam i była to prawda. Częściowo dlatego że wyrzygałam z siebie mnóstwo wody, ale trochę też dzięki Amandzie. Wiedziała, że handlowała w ten sposób, żeby zdobyć jedzenie, kiedy cierpiała wielki głód po cyklonie w Teksasie, lecz z tego, co mi mówiła, nigdy jej się to nie podobało – chodziło tylko i wyłącznie o interesy. Kiedy nie musiała, przestała to robić. Nie musiała i tym razem, jednak i tak to zrobiła. Nie wiedziałam, że aż tak mnie lubi.

– Są na ciebie wściekli. Zemszczą się – powiedziałam, choć nie wydawało mi się to takie ważne, bo wciąż jeszcze miałam odlot jak pszczoła.

– Nie martwię się tym – odparła Amanda. – Umiem sobie z nimi poradzić.

Dzień Kreta

Dzień Kreta

Rok dwunasty

O Życiu podziemnym

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współssaki, Drogie Współstworzenia!

Nie będę pokazywał palcem, bo nie wiem, gdzie miałbym go skierować, ale jak wszyscy widzimy, złośliwe plotki mogą spowodować zamęt. Lekkomysłny komentarz może zadziałać jak niedopałek wrzucony do kosza na śmieci, który tli się powoli, aż wybuchną z niego płomienie i ogarną całą okolicę. Na przyszłość uważajcie na swoje słowa.

Jest rzeczą nieuniknioną, że pewne znajomości stają się przedmiotem niestosownych komentarzy. Nie jesteśmy jednak Szympanami – nasze samice nie kęsają swoich rywalek. Nasze samce nie skaczą po naszych samicach, okładając je gałęziami – przynajmniej nie jest to regułą. Każdą więź w parze dotykają napięcia i pokusy, lecz nie zwiększamy tych napięć, nie odczytujemy pokus w błędny sposób.

Dotkliwie odczuwamy brak naszego niegdysiejszego Adama Trzynastego, Burta, jego żony Veeny i małej Bernice. Przebaczymy, co należy przebaczyć, i w sercach otoczmy ich Światłem.

Co zaś się tyczy przyszłości, to zlokalizowaliśmy opuszczony warsztat samochodowy, który po przeprowadzeniu translokacji Szczurów można będzie zamienić na przytulne mieszkania. Jestem pewien, że Szczury z warsztatu „Stłuczka” będą bardzo zadowolone w Buenaviście, kiedy odkryją, jakie warunki żywieniowe ma ona do zaoferowania.

Ucieszy was wiadomość, że choć straciliśmy naszą grzybiarnię w Buenaviście, Pilar zachowała odrobinę grzybni każdego z drogich nam gatunków. Do czasu gdy znajdziemy dość wilgotne miejsce, naszą hodowlę grzybów umieścimy w piwnicy w Klinice Wellness.

Dzisiaj obchodzimy Dzień Kreta, Święto Życia Podziemnego. Dzień Kreta jest świętem Dzieci, które sporo się napracowały, przyozdabiając nasz Ogród na Dachy budynku Edencliff. Krety z pazurkami zrobionymi z grzebyków, Nicienie z przezroczystych torebek foliowych, Dżdżownice z wypchanych rajstop i sznurka, Żuki Gnojaki – cóż to za wspaniałe dowody od Boga danej kreatywności, która nawet to, co bezużyteczne i odrzucone, ocala od braku sensu.

Wszyscy mamy skłonność do przeoczenia tych najmniejszych istot, które żyją pośród nas. Wszelako bez nich my sami nie moglibyśmy istnieć. Każdy z nas jest bowiem Ogrodem niedostępnym dla wzroku form życia. Co by z nas zostało, gdyby nie Flora zamieszkująca nasz przewód jelitowy, gdyby nie Bakterie, które bronią nas przed obcymi i intruzami? Przyjaciele, w naszych wnętrzach roi się od niezliczonych żyjątek, towarzyszą nam miriady form Życia, które pełzają nam pod stopami, a także – należy dodać – pod paznokciami.

To prawda, że czasami atakują nas nanobioformy, których wolelibyśmy w sobie nie mieć, takie jak Nużeniec, Tęgoryjec, Wesz Łonowa, Owsik czy też Kleszcz, że o nieprzyjaznych bakteriach i wirusach nie wspomnę. Lecz pomyślcie, że to najmniejsi Aniołowie Boży, którzy na swój sposób uczestniczą w Jego nieodgadnionych działaniach, te stworzenia również mają swe miejsce w Odwiecznym Umyśle, jaśnieją w Odwiecznym Świecie, stanowią część wieloma głosami brzmiącej symfonii Stworzenia.

Pomyślcie również o Jego robotnikach żyjących pod ziemią! O Dżdżownicach, Nicieniach i Mrówkach, bez wytchnienia uprawiających rolę, bez których ziemia stwardniałaby na beton, a wszelkie Życie by umarło. Pomyślcie o antybiotycznych właściwościach Czerwi, o rozlicznych rodzajach Pleśni, o Miodzie wy-

tworzonym przez nasze Pszczoły, o Pajęczynie, jakże przydatnej, gdy trzeba zatrzymać krwotok z rany. Na każdą chorobę Bóg przygotował lek w Swojej wielkiej Aptece Przyrody!

Wskutek trudów Omarlic i Bakterii Gnilnych zamieszkiwane przez nas ciała rozkładają się i wracają do pierwiastków, aby wzbogacić życie innych Stworzeń. Jakże błędnie postępowali nasi przodkowie, starając się zachować ciała umarłych, balsamując je, ozdabiając i zamykając w mauzoleach. Jakie to przerażające z powłoki Duszy czynić zdrożny fetysz! Jakie to egoistyczne! Czyż kiedy nadejdzie pora, nie powinniśmy odpłacić za dar Życia, na powrót ofiarowując siebie samych Życiu?

Kiedy weźmiecie w dłoń garść wilgotnego kompostu, zmówcie cichą modlitwę dziękczynną dla tych wszystkich Stworzeń żyjących w ziemi. Wyobraźcie sobie, że wasze palce z miłością ściskają każde z nich, bez wyjątku. Albowiem bez wątplenia są one tutaj, z nami – zawsze obecne w praźródle naszego istnienia.

Wspólnie z Chórem Pączków i Kwiatków zaśpiewajmy teraz nasz tradycyjny Dziecięcy Hymn na Dzień Kreta.

Cudnego, małego Kreta

Cudnego, małego Kreta,
Nicienia, Mrówki, Dżdżownicy
Chwałę głosimy, gdyż wszyscy
Podziemni to ogrodnicy.

Przed ludzkim ukryte okiem,
Żyją w ciemności pomroce,
Ziemia jest dla nich powietrzem,
Ich dnie to nasze noce.

Ziemię wzruszając, spulchniając,
Rośliny bujnymi czynią,
Gdyby ich kiedy zabrakło,
Ziemia by była pustynią.

Żuk Gnojak też w dziwnych miejscach
Bywa, gdzie nasze Szczątki
Pilnie rozkłada w Pierwiastki
I w świecie robi porządki.

Niech za te żyjące pod ziemią
Małeńkie Boże Stworzenia,
Które są Bogu tak drogie,
Radosne brzmią dziękczynienia.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogródników

Rok dwudziesty piąty

Toby. Dzień Kreta

Gdy rozszaleje się Potop, liczcie dni, mówił Adam Pierwszy. Obserwujcie wschody słońca i fazy księżyca, albowiem wszystko ma swoją porę. Medytując, nie wyprawiajcie się w duchowe podróże, które przedwcześnie zaprowadzą was w Bezczas. Gdy jesteście w stanie Ugoru, nie schodźcie w głębię, z której niemożliwe będzie wyjście na powierzchnię, inaczej nadejdzie Noc, której wszystkie godziny będą dla was jednakowe, i nie będzie już Nadziei.

Toby zlicza upływające dni na starym papierze firmowym spa w parku NowyTy. U góry każdej kartki widnieje dwoje oczu o długich rzęsach, z których jedno jest przymrużone, i szminkowy odcisk pocałunku. Polubiła te oczy i uśmiechnięte usta jako swego rodzaju towarzyszy. Na górze każdej strony drukowanymi literami wypisuje nazwę Ogrodniczego święta albo dnia świętego. Nadal potrafi z pamięci wyrecytować całą ich listę: świętego E.F. Schumachera, świętej Jane Jacobs, świętej Sigurdsdottir z Gullfoss, świętego Wayne'a Grady'ego od Sępów, świętego Jamesa Lovelocka, błogosławionego Gautamy Buddy, świętej Bridget Stutchbury od Kawy Uprawianej w Cieniu, świętego Linneusza od Nazewnictwa Botanicznego, Święto Krokodylowatych, świętego Stephena Jay Goulda od Łupków Jurajskich, świętego Gilberta Silvy od Nietoperzy. I tak dalej.

Pod każdą informacją o święcie robi notatki dotyczące ogrodu: co posadziła, co zebrała, jaka jest faza księżyca, jakie owady przyleciały w gościnę.

„Dzień Kreta – zapisuje tym razem. – Rok dwudziesty piąty. Zrobiłam pranie. Niepełny księżyc”. Dzień Kreta stanowił część Tygodnia Świętego Euella. Nie była to najlepsza rocznica.

Z rzeczy pozytywnych: powinny już być dojrzałe polirzeczki. Wielka zaleta genetycznie skomponowanych polirzeczek polegała na tym, że owocowały przez cały czas. Może późnym popołudniem zejdzie i narwie ich trochę.

Dwa dni wcześniej, w dzień świętego Orlanda Garridy od Jaszczurek, zrobiła notatkę niezwiązaną z ogrodem. Napisała: „Halucynacja?”. Właśnie zastanawia się nad jej treścią. Wtedy rzeczywiście zdawało się to halucynacją.

Było to po burzy z piorunami, która przetoczyła się jak co dzień. Toby sprawdzała na dachu odpływy beczek na deszczówkę. Z jedyne go kranu, którego używała na dole, nie leciała woda. Zlokalizowała problem – utopiona mysz zatkła wlot. Toby właśnie się odwracała, zamierzając zejść na dół, gdy posłyszała dziwny odgłos. Podobny był do śpiewu, ale takiego nigdy dotąd nie słyszała.

Przepatrzyła okolicę przez lornetkę. Z początku nic nie zauważyła, potem jednak na odległym skraju pola dojrzała niezwykle pochód. Zdało jej się, że składa się z całkowicie nagich ludzi, chociaż mężczyzna kroczący na czele miał na sobie ubranie, coś jakby czerwony kapelusz i – czy to możliwe? – okulary przeciwsłoneczne. Za nim ciągnęli mężczyźni, kobiety i dzieci wszystkich znanych jej kolorów skóry. Gdy wyregulowała ostrość, okazało się, że niektórzy z nagusów mają niebieskie brzuchy.

Z tego właśnie powodu, przez tę niebieskość i te krystaliczne nieziemskie śpiewy, uznała teraz, że to na pewno była halucynacja. Widziała te postacie przez parę krótkich chwil. Były, a potem rozplynęły się niczym dym. Pewnie weszły między drzewa, idąc dalej dróżką.

Serce podskoczyło jej wtedy z radości, nic na to nie mogła poradzić. Miała ochotę zbiec po schodach, wybiec na zewnątrz,

pobiec za nimi. Lecz za wielkie to były nadzieje: inni ludzie... tak wielu innych ludzi... innych ludzi, którzy wyglądali na całkiem zdrowych – nie mogli być prawdziwi. Jeżeli ulegnie tej syreniej ułudzie i pozwoli jej wywabić się do lasu, w którym grasują świny, będzie kolejną osobą w dziejach ludzkości, którą zgubiły zbyt optymistyczne projekcje jej własnego umysłu.

W zderzeniu z nadmiarem pustki, mawiał Adam Pierwszy, mózg zaczyna tworzyć. Samotność tworzy towarzyszy, tak jak pragnienie tworzy wodę. Iluż żeglarzy stało się rozbitkami, dążąc do wysp, które nie były niczym innym jak tylko migotaniem?

Toby ujmuje w dłoń ołówek i wykreśla znak zapytania. Zostaje: „Halucynacja”. Wyraźnie, po prostu, bez wątpliwości.

Odkłada ołówek, chwytając kij od mopa, lornetkę i karabin i mozolnie wchodzi po schodach na dach, by dokonać inspekcji swojego władztwa. Ranek jest spokojny. W oddali żadnego ruchu, żadnych dużych zwierząt, żadnych nagich błękitnoskórych śpiewaków.

Jak dawno był tamten Dzień Kreta, ostatni za życia Pilar? Chyba w roku dwunastym.

Na krótko przedtem miało miejsce owo tragiczne aresztowanie Burta. Kiedy zabrali go ludzie z KorpuSO Korpu, a Veena i Bernice odeszły z pustej parceli, Adam Pierwszy zarządził nadzwyczajne zebranie wszystkich Ogrodników na Dachu Edencliff. Przekazał wiadomość, która zaszokowała wszystkich. Przejęła ich bólem, ale i wstydem! Jak to możliwe, że Burt miał w Buenaviście plantację i nikt niczego nie podejrzewał?

Nadużył zaufania, to jasne, myśli Toby. Ogrodnicy podejrzewali każdego ze Świata Złowszechnego, ale ufali sobie nawzajem. W ten sposób dołączyli do rzeszy wyznawców najprzeróżniejszych religii, którzy budzili się pewnego ranka, by usłyszeć, że pastor ulotnił się wraz z funduszem na budowę kościoła, pozostawiając po sobie ślady prowadzące do molestowania chłopców z chórkami. O ile było wiadomo, Burt przynajmniej nie molestował chórzystów. Wśród dzieci krążyły wprawdzie plotki, zwykle dziecięce kąśliwe komentarze, jednak nie mówiły nic o chłopcach. Mówiły o dziewczynkach, o zwyczajnym obmacywaniu.

Jedynym Ogrodnikiem, którego nie przerażała ani nawet nie zaskoczyła wiadomość o plantacji, był Philo Mgła – ale jego nic nie zaskakiwało i nic nie przerażało. Jedyne, co miał do powie-

dzenia, to: „Spróbowałbym tego dziadostwa, żeby sprawdzić, czy w ogóle coś warte”.

Adam Pierwszy prosił o zgłaszanie się chętnych do przyjęcia rodzin, które tak nagle zostały wysiedlone z mieszkań. Ogłosił, że nie mogą one wrócić do Buenavisty, w której będzie aż gęsto od ludzi z KorpuSOKorpu, więc powinny uznać swój materialny dobytek za stracony. „Gdyby w budynku był pożar, chyba nie rzucilibyście się do środka, żeby ratować parę jakichś świecidełek i ozdóbek – powiedział. – W ten sposób Bóg wypróbowuje, jak bardzo jesteście przywiązani do świata bezużytecznych iluzji”. Ogrodnicy nie powinni się przejmować tego rodzaju stratą. Swoje dobra materialne zebrali jako pokłosie na złomowiskach i śmietnikach, zawsze mogą więc zebrać sobie nowe – tak wyglądało to w teorii. Niemniej nie obeszło się bez płaczu nad utraconym kryształowym wazonem i zaskakującej awantury o popsutą gofrownicę mającą wartość sentymentalną.

Adam Pierwszy poprosił też zgromadzonych, aby nie rozmawiali o Burcie, Buenaviście, a przede wszystkim o KorpuSOKorpie. „Wrogowie mogą podsłuchiwać” – powiedział. Ostatnio powtarzał to coraz częściej. Toby zastanawiała się czasami, czy nie wpada w paranoję.

– Nualo, Toby – zawołał, gdy pozostali się rozchodzili – pozwólcie na chwilę. – Potem zwrócił się do Zeba: – Przejdź się tam, proszę, i rzuć na to okiem. Chociaż nie sądzę, żeby cokolwiek dało się zrobić.

– Ni cholery nie warto – odparł Zeb. – Ale zobaczę.

– Ubierz się jak ktoś z plebsopolii – poradził Adam Pierwszy.

– Na solaromotorowca – skinął Zeb głową i odszedł ku schodom przeciwpożarowym.

– Moja droga, czy mogłabyś nieco rozjaśnić całą tę sprawę i wytłumaczyć, o co chodziło Veenie w związku z tobą i Burtem? – spytał Nualę Adam Pierwszy.

Ewa Dziewiąta zaczęła pociągać nosem.

– Nie mam pojęcia – powiedziała. – To wszystko straszne kłamstwo! Taki brak szacunku! To takie niesprawiedliwe! Jak

mogła pomyśleć sobie coś takiego, o mnie i o... Adamie Trzynastym?!

Veena grubo się nie myliła, pomyślała Toby, jeśli wziąć pod uwagę, jak się ocierasz o męskie spodnie. Nuala flirtowała z byle facetem. Lecz wtedy gdy miał miejsce ten konkretny flirt, Veena znajdowała się w stanie Ugoru. Co wzbudziło jej podejrzenia?

– Nikt z nas w to nie wierzy – rzekł Adam Pierwszy. – Ale Veena musiała dać posłuch słowom jakiegoś plotkarza, być może prowokatora nasłanego przez wrogów, żeby siał między nami niezgodę. Zapytam stróżów z Buenavisty, czy w ostatnich dniach odwiedzali Veenę jacyś niezwyčajni goście. Droga Nualo, otrzyj łzy i idź do Szwalni. Gromadce naszych wysiedleńców potrzebnych będzie wiele artykułów szytych, takich jak koldry, a wiem, że chętnie pomożesz.

– Dziękuję! – rzekła Nuala z wdzięcznością. Obdarzyła Adama Pierwszego spojrzeniem mówiącym „tylko-ty-jeden-mnie-rozumiesz” i pospieszyła w kierunku schodów.

– Toby, moja droga, czy znajdujesz w swoim sercu wolę przejęcia obowiązków Burta, zajęć z botaniki ogrodowej i z roślin jadalnych? – spytał Adam Pierwszy, gdy Nuala odeszła. – Oczywiście, ustanowilibyśmy cię Ewą. Już dawno chciałem to zrobić, tylko że Pilar bardzo ceniła twoją pomoc jako asystentki, a ty też chyba byłaś zadowolona z tej roli... Nie chciałem cię jej zabierać...

Po chwili zastanowienia Toby odpowiedziała:

– To byłby dla mnie zaszczyt. Lecz nie mogę go przyjąć. Gdybym została pełnoprawną Ewą, postąpiłabym... jak hipokrytka.

Mimo wielu wysiłków nigdy nie udało jej się ponownie doznać owej iluminacji, której doświadczyła pierwszego dnia u Ogrodników. Odbywała Rekolekcje, odprawiła Tydzień Odosobnienia, przeprowadzała Czuwania, zażywała zalecane grzyby i eliksiry, ale nie nastąpiły żadne szczególne objawienia. Wizje – owszem, były, jednak pozbawione sensu – sensu dającego się rozszyfrować.

– Hipokrytka? – Adam Pierwszy zmarszczył czoło. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Toby starannie dobierała słowa, nie chcąc urazić jego uczuć:

– Nie jestem pewna, czy wierzę we wszystko.

Ogłędnie powiedziane: wierzyła w bardzo niewiele.

– Są religie, w których wiara poprzedza działanie – rzekł Adam Pierwszy. – W naszej działanie poprzedza wiarę. Droga Toby, ty postępujesz tak, jakbyś już wierzyła. Jakbyś – to słowo wiele dla nas znaczy. Nie przestawaj żyć, opierając się na nim, a wiara z czasem przyjdzie...

– W taki sposób daleko się nie zajdzie – odparła Toby. – Ewa powinna przecież...

Adam Pierwszy westchnął:

– Nie powinniśmy oczekiwać od wiary zbyt wiele. Ludzki rozum jest omylny, wszystko widzi przez szkło, zaciemnione. Wszelka religia jest tylko cieniem Boga. A cienie Boga nie są Bogiem.

– Nie chciałabym dawać złego przykładu – mówiła Toby. – Dzieci umięją rozpoznać, że ktoś udaje. Poznają, że wszystko pozorują. A to może zaszkodzić twoim planom.

– Utwierdzają mnie twoje wątpliwości. Mówią mi, że jesteś godna zaufania. Na każde „nie” znajdzie się jakieś „tak”! Czy zrobisz coś dla mnie?

– Co takiego? – spytała ostrożnie. Nie chciała brać na siebie obowiązków bycia Ewą. Nie chciała pozbawiać się możliwości wyboru. Woląa zachować swobodę, żeby odejść, jeśli zajdzie taka potrzeba. Jestem zwykłym dekownikiem, pomyślała. Wykorzystuję ich dobrą wolę. Oszukuję.

– Proś o wskazanie drogi – powiedział Adam Pierwszy. – Odpraw całonocne Czuwanie. Pomódl się o siłę, by zmierzyć się ze swoimi wątpliwościami i obawami. Jestem przekonany, że otrzymasz pozytywną odpowiedź. Masz talenty, których nie wolno zmarnować. Zapewniam cię, że wszyscy chcemy powitać cię wśród nas jako Ewę.

– Zgoda – powiedziała Toby. – Mogę to zrobić.

Na każde „tak” znajdzie się jakieś „nie”, pomyślała.

Materiały stosowane podczas Czuwań i pozostałe substancje używane przez Ogrodników odbywających podróże poza ciałem znajdowały się pod opieką Pilar. Toby nie rozmawiała z nią od kilku

dni z powodu jej choroby, podobno jakiegoś wirusa żołądkowego. Adam Pierwszy o chorobie nic jednak nie wspominał, więc może Pilar wróciła już do zdrowia. Takie rzeczy nigdy nie trwały dłużej niż tydzień.

Toby udała się do maleńkiego boksu Pilar, znajdującego się na tyłach budynku. Pilar pótleżała na materacu. Obok niej na podłodze w metalowej puszcze migotała świeczka z pszczelego wosku. W pomieszczeniu było duszno i unosił się w nim zapach wymiocin, ale miska stojąca przy chorej była pusta i czysta.

– Kochana Toby – powiedziała Pilar – chodź, usiądź koło mnie. – Jej drobna twarz przypominała orzech włoski bardziej niż kiedykolwiek, choć skórę miała bladą – tak bladą, jak tylko może być skóra, sinawą i ziemistą.

– Czy już ci lepiej? – spytała Toby, biorąc w obie dłonie żyłastą rękę Pilar.

– O tak, o wiele lepiej – uśmiechnęła się słodko Pilar. Jej głos był dość słaby.

– Co ci było?

– Zjadłam coś, co mi nie posłużyło. Co cię sprowadza?

– Chciałam zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku – odparła Toby, uświadamiając sobie, że to właściwie prawda. Pilar wyglądała na wymizerowaną i wyniszczoną. Toby zdała sobie sprawę ze swojego lęku: co będzie, jeśli Pilar, która wydaje się wieczna, która istniała chyba od zawsze, a jeśli nie od zawsze, to od bardzo dawna, niczym jakiś gład lub pradawny pień, co będzie, jeśli nagle zniknie?

– To bardzo miło z twojej strony – Pilar ścisnęła dłoń Toby.

– Adam Pierwszy poprosił mnie, żebym została Ewą.

– I pewnie powiedziałaś: nie – uśmiechnęła się Pilar.

– Właśnie – odparła Toby. Pilar często odgadywała jej myśli.

– Ale Adam Pierwszy chce, żebym odprawiła całonocne Czuwanie i modliła się o wskazanie drogi.

– Tak będzie najlepiej – stwierdziła Pilar. – Wiesz, gdzie trzymam wszystko potrzebne do Czuwań. Brązowa butelka – dodała, gdy Toby uniosła tasiemkowo-sznurkową kotarę kryjącą półki magazynu. – Brązowa, po prawej. Pięć kropel. I dwie z fioletowej.

– Czy kiedyś brałam już tę mieszankę? – spytała Toby.

– Takiej jeszcze nie. Po tej dostaniesz jakąś odpowiedź. Ona nigdy nie zawodzi. Przyroda nigdy nas nie oszukuje. Wiesz przecież.

Toby wcale nie wiedziała. Odmierzyła krople w jednym z wyszczerbionych kubków Pilar i odstawiała buteleczki na miejsce.

– Na pewno już ci lepiej? – zapytała.

– Czuję się świetnie, na razie – odparła Pilar. – A „na razie” to jedyny moment, kiedy możemy czuć się świetnie. Toby, kochana, do dzieła! Życzę ci wspaniałego Czuwania. Mamy dziś księżyc z niepełną tarczą. Baw się dobrze!

Rozdając przydziały na mentalne eskapady, Pilar mówiła czasami tak, jakby wpuszczała dzieci na karuzelę w wesołym miasteczku.

Na miejsce Czuwania Toby wybrała pomidorowe grządki dachowego Ogródu. Stosownie do reguł zaznaczyła to miejsce na tablicy Czuwań – Czuwającym zdarzało się czasem sporo przewędrować i tym, którzy ich potem szukali, bardzo przydawała się informacja o miejscu, skąd najprawdopodobniej wyruszyli.

Na każdym półpiętrze Adam Pierwszy porozstawiał ostatnio warty, więc jeśli spadnę ze schodów, ktoś mnie na pewno zauważy, myśli Toby. Gorzej, jak spadnę z dachu.

Poczekwała do zmierzchu, wtedy zażyła krople, łagodząc ich smak dodatkiem Kwiatu Bzu i Maliny (wszystkie mikstury Pilar wspomagające Czuwania smakowały jak nawóz). Usiadła w pozycji medytacyjnej obok dużego krzaku pomidora, który w świetle księżycy wyglądał jak powykrzywiany liściasty tancerz albo groteskowy owad.

Krzak wkrótce zaczął lśnić, jego gałązki zaczęły się wykręcać, a rosnące na nim pomidory zażyły niczym serca. Pobliskie świeższe przemówiły różnymi językami: kwarkit, kwarkit, ibbit, ibbit, arkit, arkit..

Gimnastyka dla nerwów, pomyślała Toby. Zamknęła oczy.

– Dlaczego nie mogę uwierzyć? – rzuciła pytanie w ciemność.

Pod powiekami ujrzała zwierzę. Było złotego koloru i miało łagodne zielone oczy i kły. Zamiast sierści miało kędzierzawą wełnę. Otworzyło pysk, lecz nie wydało głosu. Ziewnęło.

Spojrzało na Toby. Toby spojrzała na zwierzę.

– Jesteś efektem starannie odmierzonej mieszanki roślinnych toksyn – powiedziała. I zasnęła.

Rano Adam Pierwszy zapytał Toby, jak jej się udało Czuwanie.

– Czy dostałaś odpowiedź? – zapytał.

– Widziałam zwierzę – odpowiedziała.

Adam Pierwszy był zachwycony:

– To bardzo pomysłny rezultat! Jakie zwierzę? Co ci powiedziało?

Lecz zanim Toby zdążyła odpowiedzieć, Adam Pierwszy spojrział na kogoś za jej plecami i oznajmił:

– Przybył posłaniec.

W stanie zamglenia wywołanym Czuwaniem Toby sądziła, że chodzi mu o jakiegoś grzybowego anioła lub roślinnego ducha. Ale to był Zeb dyszący ciężko po wspinaczcze schodami. Miał jeszcze na sobie przebranie z plebsopolii: czarną kamizelkę ze skaju, brudne dżinsy i zniszczone wysokie buty solaromotorowca. Wyglądał na skacowanego.

– Nie spałeś w nocy? – spytała go Toby.

– Ty najwyraźniej też – odpowiedział Zeb. – Będę miał przez to cholerną awanturę w chacie, Lucerne jest strasznie zła, kiedy pracuję po nocach – dodał tak, jakby się tym zbyttnio nie przejmował. Potem zapytał Adama Pierwszego: – Wolisz zwołać ogólne zebranie czy najpierw samemu usłyszeć złą wiadomość?

– Najpierw zła wiadomość. Może trzeba będzie ją obrobić przed puszczeniem w szerszy obieg – Adam Pierwszy skinął głową w kierunku Toby. – Ona nie spanikuje.

– No dobrze – rzekł Zeb. – Oto, co się stało...

Powiedział, że wszystkiego dowiedział się z nieoficjalnych źródeł. W poszukiwaniu prawdy zmuszony był poświęcić się i spędzić noc na oglądaniu prężących się dziewczyn w Łuskach i Ogonach, gdzie przychodzą po robocie ludzie z KorpuSOKorpu. Do tych wołał się za bardzo nie zbliżać, bo miewał już różne przygody, a chociaż zmienił wygląd, mogli go rozpoznać. Znał za to parę dziewczyn, które podpytał o plotki.

– Płaciłeś im? – zapytał Adam Pierwszy.

– Nie ma nic za darmo. Choć nie zapłaciłem dużo.

Zeb dowiedział się, że Burt rzeczywiście miał plantację w Buenaviście. Posługiwał się najpopularniejszą metodą: pustostan, zaciemnione okna i kradziona elektryczność. Do tego świetlówki o pełnym widmie, system automatycznego zraszania, wszystko pierwsza klasa. Jego towar to nie był zwyczajny skun, a nawet nie ta supermarycha z Zachodniego Wybrzeża – to był jakiś niezemski kompozyt z genami pejotlu i grzybów psylocybinowych, a do tego z odrobiną ayahuaski – tego, co w niej dobre, chociaż nie do końca wyeliminowali z niej to, przez co można się po niej zarzygać na śmierć. Niejeden, co raz tego spróbował, zabiłby, żeby mieć szansę powtórki. Na razie bardzo mało tego wyprodukowano, więc na rynku chodziło po bardzo wysokiej cenie.

Wszystkim oczywiście kierował KorpuSOKorp. Kompozyt opracowano w laboratoriach ZdrowoTechu, a ludzie z KorpuSOKorpu zajmowali się hurtowym zbytem. Zarządzali tym tak jak wszystkim, co nielegalne – przez plebsomasy. Dla żartu zrobili ich szefem jednego z Adamów i kazali mu założyć plantację w budynku należącym do Ogrodników. Płacili Burtowi całkiem dobrze, ale z czasem zaczęli ich rolować, sprzedając towar na własną rękę. Udawało mu się to tak długo, mówił Zeb, aż KorpuSOKorp dostał anonimowy cynk. Rozmowę przeprowadzono z telefonu komórkowego, który potem wrzucono do kubła na śmieci (brak śladów DNA). Głos należał do kobiety – cholernie wkurzonej kobiety.

To na pewno Veena, pomyślała Toby. Ciekawe, skąd wzięła telefon. Ludzie mówią, że zabrała Bernice i pojechała na Zachodnie Wybrzeże za pieniądze, które wypłacił jej KorpuSOKorp.

– Gdzie on się teraz znajduje? – zapytał Adam Pierwszy. – Czy Adam Trzynasty... były Adam Trzynasty... żyje?

– Tego nie wiem – odrzekł Zeb. – O tym nie gadają.

– Módlmy się – powiedział Adam Pierwszy. – Wszystko o nas powie.

– Jeśli był z nimi w takiej komitywie, to już powiedział – uznał Zeb.

– Czy Burt wiedział o próbkach tkanki Pilar? – spytał Adam Pierwszy. – I o naszych kontaktach w ZdrowoTechu? O naszym małym kurierze ze słoikiem miodu?

– Nie, o tym wiedzieliśmy tylko ty, ja i Pilar. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym na Radzie.

– I całe szczęście – rzekł Adam Pierwszy.

– Miejmy nadzieję, że zdarzy mu się nieszczęśliwy wypadek z nożem do patroszenia – powiedział Zeb i zwrócił się do Toby: – Ty nic nie słyszałaś.

– Nie obawiaj się – rzekł Adam Pierwszy. – Toby jest w stu procentach jedną z nas. Wkrótce zostanie Ewą.

– Ale ja nie dostałam odpowiedzi! – zaprotestowała. Zwierzęcego ziewnięcia w wizji nie sposób było zinterpretować jako definitywnego rozstrzygnięcia.

Adam Pierwszy uśmiechnął się łagodnie:

– Podejmiesz właściwą decyzję.

Resztę popołudnia Toby spędziła na przygotowywaniu zapachowego melanzu, który miał stanowić nieodpartą pokusę dla szczurów i którym miała zostać spryskana droga od warsztatu blacharskiego „Stłuczka” do Buenavisty, tak aby możliwe było usunięcie szczurów z pierwszego miejsca i przesiedlenie ich do drugiego z uniknięciem ofiar śmiertelnych. Ogrodnicy nie lubili translokować innych Współgatunków, jeśli nie mogli zaproponować im nowego, równowartościowego lokum.

Toby wykorzystała w tym celu skrawki mięsa, które Pilar trzymała w kryjówce dla czerwi, odrobinę miodu, masła orzechowego, które kazała kupić Amandzie w markecie, nieco zjełczałego

sera i zlewki piwa, które posłużyły jako składnik płynny. Kiedy preparat był gotowy, wezwała Shackletona i Croziera i udzieliła im wskazówek.

– Niezły syf – powiedział Shackleton, niuchając z podziwem.

– Wytrzymacie? – spytała Toby. – Bo jeśli nie, to...

– Damy radę – odparł Crozier, prostując się.

– Mogę iść z wami? – wołał mały Oates, który się za nimi przywalał.

– Smarkaczy nie bierzemy – odpowiedział mu Crozier.

– Bądźcie ostrożni – ostrzegła Toby. – Nie chcemy znaleźć wazych ciał na jakiejś pustej parceli, po starciu z miotaczem i bez nerek.

– Wiem, co robię – rzekł Shackleton hardo. – Zeb nam pomoże. Mamy ciuchy z plebsopolii, patrz! – Rozpiął Ogrodniczą koszulę, pod którą nosił czarny podkoszulek z napisem: ŚMIERĆ – NAJLEPSZY SPOSÓB, BY STRACIĆ NA WADZE! Pod napisem widniała srebrna czaszka z piszczelami.

– Ci z KorpuSOKorpu to idioci – wyszczerzył się Crozier, który też miał podkoszulek: STRIPTIZERKI LUBIĄ MOJĄ RURĘ. – Przekradniemy im się pod samym nosem!

– Nie jestem smarkaczem! – powiedział Oates, kopiąc Croziera w kostkę. Ten dzielił go po głowie.

– Nie są w stanie nas namierzyć! – powiedział Shackleton. – Nawet nas nie zobaczą.

– Ty świniogadzie! – krzyknął Oates.

– Oates, dosyć się już nawyrażałeś – powiedziała Toby. – Możesz pójść ze mną i pomóc nakarmić robaki. W drogę! – rzekła do starszych chłopców. – Tu macie butelkę, ale nie rozlejcie tego w „Stłuczce”, zwłaszcza na drewno, bo wtedy jacyś nieszczęśnicy będą musieli mieszkać w tym przez długi czas. Polegamy na tobie – dodała, mówiąc do Shackletona.

Czasem wskazane było pozwolić chłopcom w ich wieku myśleć, że wykonują pracę prawdziwych mężczyzn, pod warunkiem że nie dawali się za bardzo ponieść.

– Ciao, zaszczańcu! – rzucił Crozier.

– Śmierdziel! – odparł Oates.

Następnego ranka Toby nauczała w Klinice Wellness. Prowadziła dla dzieci w wieku od dwunastu do piętnastu lat lekcje z oddziaływania roślin. Dzieciaki mówiły na to „fiololecznictwo”, co i tak nie było złe w porównaniu z ich nazwami dla innych przedmiotów: przysposobienie bioaletowe nazywały „zajęciami z pupy i kupy”, a technikę kompostowniczą – „lekcjami z przekroju gnoju”.

– Wierzba – wykladała Toby – to analgetyk. Napiszcie na tabliczkach: A-N-A-L-G-E-T-Y-K.

Rozległo się skrzypienie kredy po tabliczkach – przesadne skrzypienie.

– Crozier, przestań! – powiedziała Toby, nie patrząc. Crozier skrzypiał notorycznie. Czyżby dosłyszała wymówione szeptem Sucha Wiedźma? – Wszystko słyszę, Shackleton! – Uczniowie byli pobudzeni bardziej niż zwykle w wyniku burzy wywołanej przez Veenę. – „Analgetyk”, co to znaczy?

– Środek przeciwbólowy – odpowiedziała Amanda.

– Dobrze, Amando – pochwaliła ją Toby.

Amanda, która zawsze była podejrzanie grzeczna na lekcjach, dziś zachowywała się jeszcze poprawniej. Amanda była spryciarą. Aż nazbyt dobrze wiedziała, jak radzić sobie w życiu w Świecie Złowszechnym. Lecz zdaniem Adama Pierwszego, życie wśród

Ogrodników wychodziło jej na dobre. I nikt by nie zaprzeczył, że w życiu Amandy zachodzi poważna przemiana.

A jednak nie najlepiej się chyba złożyło, że Ren dostała się w silnie przyciągającą orbitę wpływów Amandy. Ren zbyt łatwo ulegała innym i zawsze zachodziło ryzyko, że będzie chodzić na czyimś pasku.

– Którą część Wierzy wykorzystujemy jako analgetyk? – kontynuowała Toby.

– Liście? – zgadywała Ren.

Za bardzo stara się zadowolić innych. A odpowiedź i tak błędna. Ren jest bardziej niespokojna niż zwykle. Pewnie przeżywa zniknięcie Bernice, może czuje się winna. Kiedy pojawiła się Amanda, Bernice została bezlitośnie odsunięta na bok. Wydaje im się, że ich nie widzimy, myślała Toby. Że nie wiemy, co wyprawiają, że nie wiemy o ich snobizmie, ich okrucieństwie, ich gierkach.

W drzwiach ukazała się głowa Nuali:

– Toby, kochanie – powiedziała – czy mogę prosić cię na słówko?

W jej głosie pobrzmiwał smutek. Toby wyszła na korytarz.

– Co się stało?

– Powinnaś pójść do Pilar – rzekła Nuala. – Natychmiast. Uznała, że nadeszła jej pora.

Toby poczuła ściśnięcie w sercu. Więc Pilar ją okłamała. Nie, nie okłamała. Nie powiedziała całej prawdy. To przez to coś, co zjadła – nie przez przypadek. Chcąc okazać głębokie współczucie, Nuala ścisnęła Toby za ramię. Zabieraj te swoje wilgotne łapska, pomyślała Toby, nie jestem facetem.

– Poprowadzisz za mnie lekcję? – spytała Nualę. – Bardzo cię proszę. Przerabiamy Wierzbę.

– Oczywiście, kochana Toby. Zrobię z nimi *Wierzbę płaczącą*.

Ta przesłodzona piosenka była ulubionym utworem Nuali. Ułożyła ją dla maluchów. Toby już widziała, jak starsze dzieci wywracają oczami, ale jako że Nuala niewiele wiedziała o botanice, niech przynajmniej zajmie im czas śpiewaniem.

Odchodząc, Toby słyszała głos Nuali: „Toby została wezwana, by spełnić miłosierny uczynek, pomóżmy jej więc, śpiewając pieśń o wierzbie płaczącej!”. Jej intensywny, nieco zbyt niski kontralt wybijał się ponad nijakie głosy dzieci:

Wierzbo, wierzbo płacząca, liśćmi jak morze szumiąca,
Gdy ja w poduszkę się wtulę, ty moje ukoisz bóle...

Piekło mogłoby być nieskończonością tekstów Nuali, pomyślała Toby. Zresztą to nie powinna być Wierzba Płacząca, lecz Wierzba Biała, *Salix alba*, wytwarzająca kwas salicylowy. To on uśmierza ból.

Pilar leżała na łóżku. W metalowej puszcze nadal paliła się świeca z pszczelego wosku. Chora wyciągnęła swe chude brązowe palce i powiedziała:

– Najdroższa Toby, dziękuję ci, że przyszłaś. Chciałam się z tobą zobaczyć.

– Ty sama to zrobiłaś! I nic mi nie powiedziałaś! – Toby była wręcz zła ze smutku.

– Nie chciałam, żebyś traciła czas na zamartwianie się – głos Pilar przeszedł w szept. – Wolałam, żebyś miała przyjemne Czowanie. Chodź, usiądź koło mnie i powiedz, co widziałaś w nocy.

– Jakies zwierzę – powiedziała Toby. – Coś jak lwa, jednak nie lwa.

– To dobrze – szepnęła Pilar. – To dobry znak. Kiedy będzie ci trzeba siły, znajdziesz ją. Cieszę się, że to nie był nagi ślimak.

Zaśmiała się cichutko, po chwili jej twarz wykrzywił ból.

– Ale dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego? – pytała Toby.

– Znam diagnozę. To rak. Bardzo zaawansowane stadium. No więc... Najlepiej odejść teraz, kiedy jeszcze wiem, co robię. Po co zwlekać?

– Jaką diagnozę?

– Wysłałam próbki z biopsji – wyjaśniła Pilar. – Katuró zrobił to dla mnie... Pobrał próbki... Ukryliśmy je w słoiku z miodem i przemyciliśmy do laboratoriów diagnostycznych w ZdrowoTechu Zachód – oczywiście, na fałszywe nazwisko.

– Kto przemycił? Zeb?

To pytanie rozbawiło Pilar, jakby było żartem, tylko dla nich dwóch zrozumiałym:

– Przyjaciel – rzekła. – Mamy wielu przyjaciół.

– Możemy zabrać cię do szpitala – powiedziała Toby. – Jestem pewna, że Adam Pierwszy zezwoliłby...

– Moja Toby, nie sprzeniewierzaj się zasadom. Znasz nasze zdanie o szpitalach. Równie dobrze możecie mnie wrzucić do szamba... A zresztą na to, co wzięłam, nie ma odtrutki. Podaj mi, proszę, tamtą szklankę... niebieską...

– Jeszcze nie teraz! – zawołała Toby. Jak to opóźnić, odwlec? Jak zatrzymać Pilar przy sobie?

– To tylko woda z odrobiną Wierzby i Maku – szepnęła Pilar. – Łagodzi ból, ale nie pozbawia przytomności. Chcę zostać przytomna tak długo, jak się da. To mi na razie wystarczy.

Toby patrzyła, jak Pilar pije.

– Podaj mi jeszcze jedną poduszkę – poprosiła chora.

Toby podała jej spod łóżka jeden z worków wypełnionych suszonymi strąkami i powiedziała:

– Byłaś tu dla mnie rodziną, bardziej niż ktokolwiek inny – mówienie sprawiało jej trudność, lecz postanowiła nie płakać.

– A ty dla mnie – odpowiedziała krótko Pilar. – Nie zapominaj dbać o Ararat w Buenaviście. Odświeżaj go.

Toby wołała nie mówić Pilar, że Ararat w Buenaviście został utracony z powodu Burta. Po co ją denerwować? Podłożyła jej poduszkę pod plecy – Pilar była dziwnie ciężka.

– Co wzięłaś? – zapytała ze ściśniętym gardłem.

– Dobrze cię wyszkoliłam – rzekła Pilar, mrużąc lekko oczy, jakby chodziło o jakąś psotę. – Zobaczmy, czy zgadniesz. Objawy: skurcze i wymioty. Potem okres spokoju, w którym pacjent wydaje się wracać do zdrowia. A tymczasem wątroba powoli niszczeje. Antidotum brak.

– Jakiś muchomor – odparła Toby.

– Mądra dziewczynka – szepnęła Pilar. – Anioł Śmierci, przyjaciel w potrzebie...

– Ale to będzie bardzo bolesne...

– O to się nie martw. Mam przecież koncentrat z Maku, w czerwonej buteleczce... o tu... Powiem ci kiedy. A teraz posłuchaj uważnie. Oto moja ostatnia wola. Jak to się mówi, w całunach nie szyją kieszeni: umarli muszą pozostawić żywym rzeczy doczesne, z wiedzą włącznie. Chcę, żebyś przejęła wszystko, co tu zgromadziłam, wszystkie moje materiały. To bardzo dobry zbiór, daje wielką moc. Dobrze go strzeż i właściwie używaj. Ufam, że tak uczynisz. Niektóre z tych buteleczek są ci dobrze znane. Zrobiłam ci listę opisów całej reszty, wyucz się jej na pamięć, a potem zniszcz. Lista jest w zielonym słoiku... tam. Obiecasz mi to?

– Tak – rzekła Toby. – Obiecuję.

– Dla nas obietnice złożone przy łożu śmierci są święte. Wiesz o tym. Nie płacz... Spójrz na mnie... Nie jest mi smutno.

Toby знаła teorię: Pilar wierzyła, że z własnej woli składa się w ofierze prąródłu Życia. Wierzyła też, że jest to powód do świętowania.

A co będzie ze mną?, pomyślała Toby. Zostaję opuszczona. Czuli się tak jak wtedy, gdy zmarła jej matka, a potem ojciec. Ileż jeszcze razy będzie musiała zaznawać osierocenia? Nie maż się, nakazała sobie surowo.

– Chcę, żebyś została Ewą Szóstą – powiedziała Pilar. – Żebyś zajęła moje miejsce. Nikt inny nie ma twojego talentu ani twojej wiedzy. Zrobisz to dla mnie? Obiecasz mi to?

Toby obiecała. Nie mogła postąpić inaczej.

– Bardzo dobrze – szepnęła Pilar, oddychając ciężko. – Chyba przyszedł czas na Mak... Czerwona buteleczka, o właśnie... Życz mi udanej podróży.

– Dziękuję ci za wszystko, czego mnie nauczyłaś – rzekła Toby. Nie wytrzymam, pomyślała. Zabijam ją. Nie, pomagam jej umrzeć. Spełniam jej prośbę.

Patrzyła, jak Pilar pije.

– Dziękuję ci, że się uczyłaś – powiedziała Pilar. – Zasnę teraz... Nie zapomnij powiedzieć pszczołom...

Toby została przy niej, dopóki nie przestała oddychać. Wówczas zakryła jej ukojoną twarz i zdmuchnęła świecę. Czy była to tylko jej wyobraźnia, czy może w momencie śmierci Pilar płomień wystrzelił w górę jakby za sprawą lekkiego powiewu? Duch – powiedziałby Adam Pierwszy. Energia, której nie da się ująć ani zmierzyć. Niezmierzony Duch Pilar odszedł.

Lecz jeśli Duch nie jest w jakikolwiek sposób materialny, nie mógł wpłynąć na płomień świecy...

A może mógł?

Robię się ckliwa jak cała reszta, pomyślała Toby. Mózg mi przegnił jak zepsute jajo. Niedługo zacznę gadać do kwiatów – albo do ślimaków, jak Nuala.

Mimo to poszła powiadomić pszczoły. Czuła się jak idiotka, ale obiecała. Pamiętała, że nie wystarczy o tym tylko pomyśleć w ich obecności, że trzeba wypowiedzieć słowa na głos. Pilar mówiła, że pszczoły przenoszą wieści między tym światem a innymi, między światem żywych a światem umarłych. Przenoszą Słowo, które stało się powietrzem.

Toby nakryła głowę – tak według Pilar nakazywał zwyczaj – i stanęła naprzeciwko pasieki na Dachy. Naokoło jak zwykle w tę i z powrotem krążyły pszczoły, z odnóżami obładowanymi pyłkiem, i odprawiały swój ósemkowy, semaforowy taniec. Z wnętrza uli dochodził poszum skrzydeł, chłodzących powietrze niczym wachlarze i wentylujących korytarze i komórki. Jedna pszczoła to wszystkie pszczoły, mawiała Pilar, i co jest dobre dla ula, jest dobre też dla pszczoły.

Coraz więcej pszczoł krążyło wokół głowy Toby, odziewając ją jakby złotym futrem. Trzy usiadły jej na twarzy, badając jej smak.

– Pszczoły! – powiedziała – Przynoszę wam nowinę... Przekażcie ją Matce.

Czy słuchały? Być może. Delikatnie zlizywały ślady jej zaschłych łez. Szukały soli – rzekliby naukowcy.

– Pilar nie żyje. Przesyła wam pozdrowienia i dziękuje za waszą długoletnią przyjaźń. Kiedy nadejdzie czas, będziecie i wy podążyły tam, dokąd odeszła, wówczas się z nią spotkacie – tych słów na-

uczyła ją Pilar. Wypowiadając je, czuła się jak kretyńka. – Tymczasem ja jestem waszą nową Ewą Szóstą.

Nikt z ludzi jej nie słyszał. A nawet gdyby, to tutaj, na Dachy, nikt nie uznałby tego za dziwne. Za to na dole, na ziemi, wzięto by ją za wariatkę, co włóczy się po ulicach i na głos rozmawia z pustką.

Pilar przynosiła pszczołom wieści co rano. Czy Toby też powinna tak robić? Tak, powinna. To należy do obowiązków Ewy Szóstej. Pilar twierdziła, że jeśli pszczoły nie będą informowane o wszystkim, co się dzieje, poczną się urażone, wyroją się i odlecą – albo poumierają.

Pszczoły siedzące na twarzy Toby wahały się – być może wyczuwały, że drży. Umiały jednak odróżnić smutek od strachu, nie użądliły jej. Po chwili uniosły się i odleciały, wtapiając się w kołujące nad ulami roje.

Kiedy doszła do siebie i odzyskała swój zwyczajny wyraz twarzy, poszła powiadomić Adama Pierwszego.

– Pilar umarła – powiedziała. – Sama się o to postarała.

– Tak, wiem, moja droga – rzekł Adam Pierwszy. – Rozmawiałem z nią o tym. Użyła Anioła Śmierci, a potem Maku?

Toby potaknęła. Adam Pierwszy mówił dalej:

– To delikatna sprawa i liczę na twoją dyskrecję. Pilar uznała bowiem, że nie wszyscy Ogrodnicy powinni poznać całą prawdę. Samodzielne wyprawienie się w bezpowrotną podróż to wybór moralny, który mogą podjąć tylko doświadczeni i, muszę to koniecznie zaznaczyć, nieuleczalnie chorzy, jak Pilar. Takiego rozwiązania nie powinniśmy czynić powszechnie dostępnym, zwłaszcza dla naszej młodzieży, podatnej na wpływy i skłonnej do niezdrowych przygnębień i fałszywie pojętego bohaterstwa. Mam nadzieję, że zajęłaś się jakoś tymi fiolkami z lekarstwami Pilar? Nie chcemy nieszcześliwych wypadków.

– Tak – odparła Toby. Muszę sprawić sobie szafkę, pomyślała, metalową i z zamkiem.

– Jesteś teraz Ewą Szóstą – rzekł Adam Pierwszy, promieniejąc radością. – Moja droga, tak się cieszę!

– Przypuszczam, że i o tym rozmawiałaś z Pilar – dodała Toby. Cała ta sprawa z Czuwaniem była tylko grą na zwłokę, pomyślała, przetrzymaniem mnie do czasu, gdy Pilar sfinalizuje sprawę.

– Takie było jej szczerze pragnienie – powiedział Adam Pierwszy. – Bardzo cię kochała i szanowała.

– Mam nadzieję, że okażę się tego godna.

A więc oboje złapali ją w pułapkę. Co mogła na to powiedzieć? Miała wrażenie, że wstępuje w rytuał jak w parę kamiennych butów.

Adam Pierwszy zwołał powszechne zebranie Ogrodników, podczas którego wygłosił kłamliwą mowę:

– Zdarzyło się nieszczęście i nasza droga Pilar, Ewa Szósta, zmarła dziś rano śmiercią tragiczną, omyliwszy się przy identyfikacji gatunku. Miała za sobą wieloletnią bezbłędną praktykę, lecz być może w ten sposób Bóg zebrał naszą umiłowaną Ewę Szóstą jako żniwo dla Swoich wyższych celów. Przypominam wam, jak ważne jest dogłębne poznawanie naszych grzybów. Gdy sięgacie po grzyby, ograniczajcie się do dobrze znanych gatunków, takich jak Smardze, Czernidłaki Kołpakowate i Purchawki, czyli takich, co do których nie ma wątpliwości. Za życia Pilar niesamowicie poszerzyła naszą kolekcję grzybów, dodając do niej sporo dzikich gatunków. Niektóre z nich mogą wam pomóc w medytowaniu podczas Rekolekcji, ale upraszam, abyście ich nie zażywali bez uprzedniej konsultacji ze specjalistą i abyście zwracali baczną uwagę na te ostrzegawcze pochwęki i pierścienie, jako że musimy unikać kolejnych nieszczęśliwych wypadków tego typu.

Toby ogarnęło oburzenie: jak Adam Pierwszy śmiał deprecjonować mikologiczne doświadczenie Pilar! Pilar nigdy nie popełniłaby takiego błędu! Starzy Ogrodnicy na pewno o tym wiedzą! A może tak się przyjęło o tym mówić? Tak jak o samobójstwie mówi się „śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku”?

– Pragnę z radością ogłosić – ciągnął Adam Pierwszy – że nasza zacna Toby zgodziła się objąć stanowisko Ewy Szóstej. Taka była wola Pilar i niewątpliwie wszyscy zgodzą się z tym, iż nikt nie nadaje się do tego bardziej niż Toby. Ja obdarzam ją swoim pełnym zaufaniem ze względu na... na wiele rzeczy. Jej liczne zalety obejmują nie tylko rozległą wiedzę, lecz także wycucie, wytrwałość w obliczu przeciwności losu oraz dobre serce. Z tych właśnie

względów wybrała ją Pilar – niektórzy spośród zgromadzonych uśmiechnęli się w kierunku Toby, potakująco kiwając głowami. – Nasza umiłowana Pilar pragnęła zostać skompostowana w Parku Dziedzictwa. Sama starannie wybrała krzew, który ma zostać na niej posadzony: jest to piękny okaz Bzu, który z czasem może nam się przydać, gdy będziemy szukać żeru w przyrodzie. Jak wicie, nieoficjalne kompostowanie jest ryzykowne, bo grożą za nie surowe kary, albowiem zgodnie z zasadami Świata Złowszechnego nawet śmierć powinna być reglamentowana, a przede wszystkim powinno się za nią płacić. Możemy jednak podejść do tego zadania z rozważą i wykonać je dyskretnie. Tymczasem ci, którzy chcieliby ujrzeć Pilar po raz ostatni, mogą to zrobić w jej boksie. Jeśli pragniecie złożyć jej hołd poprzez kwiaty, pozwólcie, że zasugeruję nasturcje, których jest o tej porze zatrzesienie. Proszę o niezrywanie kwiatów czosnku, gdyż chcemy je zachować w celach rozmnożenia.

Nie obyło się bez łez, niektóre dzieci wprost zaczęły szlochać – Pilar naprawdę kochano. Wychodząc jeden za drugim, niektórzy Ogrodnicy ponownie uśmiechali się do Toby, na dowód aprobaty jej awansu. Sama Toby nie ruszała się z miejsca, Adam Pierwszy przytrzymał ją bowiem za ramię.

– Wybacz mi, moja droga – powiedział, kiedy wszyscy się rozeszli. – Przepraszam, że ześlizgnąłem się w fikcję. Czasami jestem zmuszony mówić rzeczy, które nie są szczerą prawdą, dla większego dobra.

Toby i Zeb otrzymali zadanie wybrania miejsca na skompostowanie Pilar i wstępnego wykopania dołu. Adam Pierwszy przypomniał, że nie ma czasu do stracenia – Ogrodnicy nie byli zwolennikami zamrażania, a było gorąco, więc jeśli Pilar nie zostanie dość szybko skompostowana, sama może nieco przedwcześnie zainicjować ten proces.

Zeb dysponował paroma kompletami odzieży pracowników Parku Dziedzictwa – były to zielone kombinezony i koszule z białym logo parku. Toby i Zeb ubrali się w nie i wyruszyli w drogę fur-

gonetką, na której z tyłu grzechotało parę łopat i grabi, kilof oraz widły. To, że Ogrodnicy mają samochód, było dla Toby odkryciem. Jednak fakt był faktem. Był to pikap na sprężone powietrze, który trzymali w Lagunie Ścieków w pewnym sklepie zoologicznym. Sklep był porzucony, gdyż, jak twierdził Zeb, w Lagunie nie było wielkiego zapotrzebowania na luksusy dla zwierząt, ponieważ jeśli ktoś miał tam kota, to zwierzak szybko kończył w czyjejs frytkownicy.

Toby dowiedziała się od Zeba, że Ogrodnicy malowali na furgonetce różne rzeczy w zależności od potrzeby. Obecnie na samochodzie widniało idealnie podrobione logo Parku Dziedzictwa.

– Wśród Ogrodników jest sporo eksartystów grafików – wyjaśnił Zeb. – Jak wiesz, jest wśród nich sporo ekswszystkiego.

Przejechali przez Zapadlisko zmuszeni trąbić na plebszczyry, żeby zeszyły im z drogi, i odganiać nachalnych czyścicieli okien.

– Robieś to już kiedyś? – spytała Toby.

– „To”, czyli nielegalne grzebanie starszych pań w parku publicznym? Nie – odparł Zeb. – Za mojej bytności tutaj nie zeszła jeszcze żadna Ewa. Wszystko kiedyś robi się pierwszy raz.

– Czy to bardzo niebezpieczne?

– Pewnie się okaże. Oczywiście, moglibyśmy ją zostawić zbieraczom na jakiejś pustej parceli, ale wtedy skończyłaby w sekret-burgerze. Biało zwierzęce coraz droższe. Albo mogliby ją sprzedać ludziom od ropyśmeci, biorą, co popadnie. Ocalimy ją od tego. Stara Pilar była śmiertelnym wrogiem ropy. Ropa kłóciła się z jej wiarą.

– A z twoją nie?

Zeb stłumił śmiech:

– Subtelniejsze zagadnienia doktryny pozostawiam Adamowi Pierwszemu. Ja używam tego, czego muszę, żeby osiągnąć to, co trzeba. Chodź, łykniemy sobie psychakawy – powiedział, skręcając w stronę centrów handlowych.

– Będziemy pić psychakawę?! – zdziwiła się Toby. – Modyfikowaną genetycznie, uprawianą w słońcu i pryskaną truciznami? Która, jak wszyscy wiemy, zabija ptaki i rujnuje wieśniaków?

– To dla kamuflażu – odparł Zeb. – Trzeba odegrać rolę! – mrugnął do niej, sięgnął ręką do jej drzwi i otworzył je. – Wrzuć na luz! Założę się, że zanim wzięli się za ciebie Ogrodnicy, była z ciebie laska.

Była, pomyślała Toby. Tak mniej więcej można to podsumować. Mimo wszystko spodobało jej się to: od dłuższego czasu nie słyszała komplementu odnoszącego się do jej płci.

Dawniej, kiedy pracowała w SekretBurgerze, psychakawa była jednym z głównych elementów przerw obiadowych, na które udawało jej się wyrwać z pracy. Minęły całe wieki od czasu, gdy ostatni raz piła coś podobnego. Zamówiła psychacappuccino. Zdążyła już zapomnieć, jak wspaniale smakuje. Piła je drobnymi łydkami – do następnego razu, jeśli się kiedykolwiek zdarzy, mogą upłynąć całe lata.

– Powinniśmy już iść – powiedział Zeb, zanim wypita do końca. – Mamy dziurę do wykopania. Włóż czapkę i wsadź pod nią włosy, żeby wyglądać jak pracownica parku.

– Ej, parkowa suko! – odezwał się jakiś głos za jej plecami. – Pokaż nam swojego krzaka!

Toby bała się obejrzeć, choć słyszała od Adama Pierwszego, że Blanco wrócił do Paintbólu – takie pogłoski krążyły po ulicach.

Zeb wyczuł, że Toby się boi.

– Jak cię kto zaczepi, przywalę mu kilofem – powiedział.

Wsiadli do samochodu i zaczęli się przedzierać przez ulice plebsopolii, aż dotarli do północnego wjazdu do Parku Dziedzictwa. Zeb zamachał do strażników podrobioną legitymacją i przejechali przez bramę. Park był tylko dla pieszych, więc oprócz ich furgonetki nie było w nim pojazdów.

Zeb jechał powoli, omijając rodziny z plebsopolii, które porozsiadały się przy stołach piknikowych i ostro buzujących grillach. Plebszczury piły i szwendały się po okolicy hałaśliwymi grupkami. Jakiś kamień odbił się od furgonetki – pracownicy parku nie byli uzbrojeni i plebszczury o tym wiedziały. Zeb powiedział, że zdarzały się tu zbiorowe pobicia, także ze skutkiem

śmiertelnym. Wystarczy parę drzew i ludzie zachowują się jak spuszczeni z łańcucha.

– Gdzie Natura, tam gnojki – stwierdził wesoło.

Znaleźli dobre miejsce – otwartą przestrzeń, gdzie krzew Bzu będzie miał dość światła i gdzie przy kopaniu nie powinni natrafić na wiele korzeni drzew. Zeb zaczął wzruszać ziemię kilofem, a Toby odrzucała ją na bok łopatą. Obok postawili tablicę z napisem: „Posadzono przy wsparciu ZdrowoTech Zachód”.

– Gdyby ktoś pytał – powiedział Zeb – mam pozwolenie, w tej kieszeni. Nawet nie kosztowało drogo.

Kiedy dół był dość głęboki, zwinęli się, pozostawiając tylko tablicę.

Kompostowanie Pilar odbyło się tego samego dnia po południu. Zwłoki zostały przetransportowane na miejsce w jutowym worku z napisem „Ściółka”, wraz z krzewem Bzu i dwudziestolitrowym kanistrem z wodą. W pobliżu miejsca pochówku Nuala i Adam Pierwszy przeprowadzali Chór Pączków i Kwiatków, tak aby ludzie w okolicy patrzyli na nich, a nie na Zeba i Toby sadzących krzew. Chór na całe gardło wyśpiewywał *Hymn na Dzień Kreta*. Gdy dzieci doszły do ostatniej zwrotki, Shackleton i Crozier, stojąc na skraju ścieżki ubrani w podkoszulki plebszczurów, zaczęli na nie drwiąco buczeć. Następnie Crozier rzucił butelkę, a Pączki i Kwiatki podniosły krzyk, wybiegły z szeregów i zaczęły uciekać. Plebszczury z zainteresowaniem śledziły gonitwę, licząc na sceny przemocy. Zeb zręcznie umieścił owiniętą jutowym workiem Pilar w dole i posadził na niej Bez. Toby obsypała go ziemią i udeptała, następnie podlali go wodą.

– Nie pokazuj po sobie smutku – nakazał jej Zeb. – Zachowuj się tak, jakbyś pracowała.

Przyglądał im się pewien wysoki ciemnowłosy chłopak, który nie dał się zwieść teatrykowi odegranemu przez Pączki i Kwiatki. Opierał się o drzewo, jakby nic go nie obchodziło. Miał na sobie czarny podkoszulek z napisem: **WĄTROBA JEST ZŁEM I TRZEBA JĄ KARAC!**

– Znasz tego chłopaka? – zapytała Toby. Ten podkoszulek jakos z nim nie zgrywał. Gdyby naprawdę był plebszczurem, pasowałby mu bardziej.

Zeb rzucił okiem:

– Tego? A co?

– Zainteresował się nami. „Może jest z KorpuSOKorpu? Nie, o wiele za młody” – pomyślała.

– Nie patrz tak – powiedział Zeb. – Znał Pilar. Ja mu powiedziałem, że tu będziemy.

Według Adama Pierwszego, Upadek Człowieka dokonywał się na wielu płaszczyznach. Najpierw będące naszymi przodkami Naczelne spadły z drzew. Potem, odchodząc od wegetarianizmu, popadły w mięsożerstwo. Następnie z poziomu instynktu obsunęły się w rozum, a stąd wpadły w technologię. Porzuciwszy proste sygnały, popadły w złożoną gramatykę, a tym samym w człowieczeństwo. Ze stadium nieznajomości ognia ześlizgnęły się w stadium posługiwania się ogniem, a potem bronią; ze stadium okresowych godów – w nieustającą seksualną szarpaninę. Z wyżyn szczęśliwego życia chwilą spadły w pełne udręczenia deliberowanie nad minioną przeszłością i odległą przyszłością.

Spadanie wciąż trwa, jego trajektoria prowadzi coraz głębiej. Zassany w studnię wiedzy człowiek może już tylko pikować, coraz więcej poznając, ale nie stając się przez to szczęśliwszym. Tak właśnie czuła się Toby, która odkąd została Ewą, miała wrażenie, że tytuł Ewy Szóstej przesiąka ją i przeżera, rozmywając kontury tego kogoś, kim była dawniej. Ten tytuł był czymś gorszym niż włosiennica – był koszulą z pokrzyw. Jak mogła pozwolić tak się dać w niej zaszyć?

Teraz była mądrzejsza. Jak to bywa z każdą wiedzą, którą już posiadamy, trudno nam zrozumieć, dlaczego tego czegoś nie wiedzieliśmy

przedtem. Zanim ją zdobędziemy, wiedza, niczym magia oglądana na scenie, jest tuż przed naszymi oczami – tylko że nie patrzymy we właściwym kierunku.

Oto przykład: Adamowie i Ewy posiadali laptop. To odkrycie było dla Toby szokiem – czyż takie urządzenie nie kłóciło się z zasadami Ogrodników? Adam Pierwszy uspokajał ją, mówiąc, że nie łączono się poprzez niego z Siecią, a jeśli się to wyjątkowo zdarzało, zachowywano najstaranniejsze środki ostrożności. Używano go głównie do przechowywania najważniejszych danych związanych ze Światem Złowszechnym. Dokładano też wszelkich starań, by ukryć ten jakże niebezpieczny przedmiot przed szerszymi masami Ogrodników, zwłaszcza przed dziećmi. Lecz jakkolwiek by na to patrzeć – Ogrodnicy mieli laptop. „To tak jak z watykańskim zbiorem pornosów – powiedział jej Zeb – w naszych rękach – niegroźny”.

Laptop przechowywano w skrytce wbudowanej w ścianę pokoiku znajdującego się za beczkami z octem, w którym co dwa tygodnie odbywały się narady Adamów i Ew. Do pokoiku wchodziło się przez drzwiczki ukryte za beczkami, choć zanim Toby na głowę spadła funkcja Ewy, mówiono jej, że jest to tylko schowek na butelki. Owszem, były tam półki, ale kiedy regał przesunęło się w bok, odsłaniały się drzwiczki do pokoiku. Oboje drzwi było zamykanych na klucz, a klucze mieli tylko Adamowie i Ewy. Teraz miała je również Toby.

Powinna była się domyślić, że Adamowie i Ewy musieli się jakoś ze sobą spotykać. Działali i myśleli, jakby byli jedną całością, a nie używali przecież telefonów ani komputerów. Jak więc mogli podejmować wspólne decyzje inaczej niż podczas spotkań twarzą w twarz? Może wydawało jej się, że przekazywali sobie informacje drogą chemiczną, jak drzewa? W rzeczywistości nie było to tak roślinne: Adamowie i Ewy siadali przy okrągłym stole, jak wymaga tego każde tajne zebranie, i negocjowali wspólne stanowiska – w kwestiach teologii i codziennego życia – bezwzględnie niczym średniowieczni mnisi. I podobnie jak w świecie mnichów, gra sła

o coraz większą stawkę. Dla Toby był to powód do zmartwień, bo Korporacje nie tolerowały żadnej opozycji, a jako taka mogłoby zostać odebrane negatywne nastawienie Ogrodników do szeroko pojętej działalności handlowej. Tak więc Toby myliła się, sądząc, że u Ogrodników jest otoczona kokonem uduchowienia i bezpieczna jak w owczarni – w rzeczywistości ocierała się o realną i niebezpieczną siłę.

Odnosiła bowiem wrażenie, że Ogrodnicy nie są już pomniejszą lokalną sektą. Nieustannie zwiększali swe wpływy: ich działalność nie ograniczała się do Ogródu na Dachy budynku Edencliff w Zapadlisku, dachów sąsiednich i innych kontrolowanych przez nich budynków – mieli oddziały w innych plebsopoliach, a nawet w innych miastach. Na różnych poziomach, również w Korporacjach, istniały też komórki ich niejawnych sympatyków ze Świata Złowszechnego. Według Adama Pierwszego, dostarczane przez nich informacje były niezastąpione – dzięki nim przynajmniej w pewnym stopniu Ogrodnicy mogli śledzić zamiary i posunięcia wrogów.

Komórki te określano mianem „truflí”, ponieważ znajdowały się w podziemiu, były rzadkie i cenne, nigdy nie było wiadomo, gdzie się pojawiają, a także dlatego że do ich wywęszania wróg zatrudniał psy i świnię. Adam Pierwszy zawsze śpieszył z wyjaśnieniem, że Ogrodnicy nie mają nic przeciwko Psom i Świniom, sprzeciwiają się jedynie ich zniewoleniu przez siły ciemności.

Chociaż wobec ogółu Ogrodników Adamowie i Ewy nie dawali po sobie niczego poznać, zatrzymanie Burta ich przeraziło. Niektórzy uważali, że KorpuSOKorpu proponuje im stary jak świat pakt z diabłem: informacja w zamian za życie. Zeb jednak zauważył ponuro, że KorpuSOKorpu nie potrzebuje paktować, bo kiedy tylko zaczniesz wdrażać procedury „transferu wewnętrznego”, każdy wyśpiewa wszystko. Kto potrafi odgadnąć, ile wiader kłamstw obciążających Ogrodników zdążyli już wycisnąć z nieszczęsnego Burta, razem z jego krwią, gównem i rzygami?

Tak więc Adamowie i Ewy w każdym momencie spodziewali się najścia KorpuSOKorpu na Ogród. Ustalili plan awaryjnej ewakuacji

i postawili w stan gotowości komórki truflif, które miałyby udzielić im ewentualnego schronienia. Wkrótce na niezabudowanej parceli za Łuskami i Ogonami znaleziono ciało Burta – ze śladami odmrożeń i pozbawione paru ważnych organów.

– Pozorują działanie plebsomasy – powiedział Zeb na zebraniu Rady w Octowni. – Ale nieprzekonująco. Tłum dokonałby więcej nieuzasadnionych okaleczeń. To dobra zabawa.

Nuala zauważyła, że używając słowa „zabawa” w takich okolicznościach, Zeb okazał brak szacunku. Zeb odpowiedział, że mówił ironicznie. Maruszka Akuszerka, która rzadko się odzywała, rzekła, że niektórzy przeceniają ironię. Zeb odparł, że na pewno nie Ogrodnicy. Rebecca, która teraz była liczącą się Ewą – Ewą Jedną od Łączenia Pokarmów – powiedziała, że wszyscy powinni się opamiętać i ugryźć w język. Adam Pierwszy zaś przypomniał, iż dom podzielony i skłócony nie ostoi się.

Wywiązała się ożywiona dyskusja w kwestii zwłok Burta. Rebecca uważała, że skoro Burt był Adamem, to zasługuje na nielegalne skompostowanie w Parku Dziedzictwa, jak każdy inny Adam i każda inna Ewa – żeby było sprawiedliwie. Philo Mgła, który w Pokoju Rady miał umysł mniej zamglony niż zwykle, stwierdził, że to byłoby niebezpieczne: KorpuSOKorpu mógł podrzucić trupa Burta na wabia i obserwować, kto go zabierze. Stuart Śruba zauważył, że KorpuSOKorpu od samego początku wiedział, że Burt jest Ogrodnikiem – więc co by mu to dało? Zdaniem Zeba, zwłoki Burta mogły być sygnałem od KorpuSOKorpu dla plebsomas, że mają zwiększyć ostrożność w działaniach i wyplenić niesfornych cwaniaków.

Nuala była przekonana, że skoro nie można skompostować biednego Burta, może Ogrodnicy powinni udać się w tamto miejsce nocą i symbolicznie rzucić na niego garść ziemi – gdyby to zrobiła, poczułaby się o wiele lepiej na Duchu. Mugi rzekł, że Burt był świniojadzkim mięsnym smrodem, który zdradził, i że nie rozumie, po co w ogóle się nad tym wszystkim zastanawiać. Adam Pierwszy uznał, że przydałaby się odrobina ciszy, by wszyscy w sercach otoczyli Burta Światłem, na co Zeb odparł, iż już oto-

czyli go tak wielkim światłem, że facet prawdopodobnie jara się jak zamachowiec, który wysadził się w budce ze smażonymi kurczakami. Nuala skomentowała zachowanie Zeba jako niepoważne. Na koniec Adam Pierwszy polecił, by wszyscy spędzili noc na Medytacjach, a może rozwiązanie przyjdzie samo w wizjonerskim natchnieniu, a Philo powiedział, że jeśli tak, to się sztachnie.

Ale następnego dnia ciała Burta już nie było. Zdaniem Zeba, zostało zabrane przez rannych ptaszków zbierających materiał na ropę śmieciową i zapewne napędzało już furgonetkę jakiegoś oficjela KorpuSOKorpu. Na pytanie Toby, skąd jest tego taki pewien, Zeb odpowiedział z przebiegłym uśmiechem, że w gangach plebszczurów ma wtyczki gotowe nakapować na każdego, jeśli tylko im się zapłaci.

Adam Pierwszy wygłosił do wszystkich Ogrodników mowę, w której streścił okoliczności śmierci Burta i nazwał go ofiarą poduszczenia przez ducha materialistycznej chciwości, zasługującą bardziej na współczucie niż na potępienie. Prosił też wszystkich o wzmożenie czujności i donoszenie o wszelkich nazbyt ciekawskich turystach, a zwłaszcza o nietypowych zachowaniach.

Nikt nie zgłosił jednak żadnych nietypowych zachowań. Czas biegł, miesiąc po miesiącu. Codzienne zajęcia i lekcje odbywały się jak zwykle, zgodnie z ustalonym porządkiem mijały dni świętych i święta. Toby zajęła się makramą – w nadziei, że wyleczy ją to z jałowego marzycielstwa i bezpłodnych pragnień oraz pomoże skupić się na chwili obecnej. Pszczoły cieszyły się dobrym zdrowiem i mnożyły się, a Toby co rano zanosila im nowiny. Księżyc wyłaniał się z mroków, okrągał i chudł. Na świat przyszło kilkoro dzieci, pojawiła się plaga lśniących zielonych żuków, przybyło paru konwertytów. Adam Pierwszy mawiał, że gdy czas przesypuje się jak piasek, w jego ruchomych piaskach wiele rzeczy przepada bez śladu. I można mówić o prawdziwym szczęściu, jeśli toną w nich zbędne zmartwienia.

Kwietniowa Ryba

Kwietniowa Ryba

Rok czternasty

O błazeństwie we wszystkich Religiach

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współtworzenia, Współśmiertelnicy!

W Ogrodzie na Dachy Edencliff świętujemy dziś przezabawny Dzień Kwietniowej Ryby. Tegoroczne lampiony w kształcie Ryb, wzorowane na fosforyzujących Rybach zdobiących głębie Oceanu, przebiły wszystkie wcześniejsze. Przepysznie wyglądają też Rybne ciastka! Za te smakołyki dziękujemy Rebecce i jej pomocniczkom, Amandzie i Ren.

Nasze Dzieci zawsze doskonale bawią się w tym dniu, który pozwala im zakpić ze starszych. A kpiny te, jeśli tylko nie wymykają się spod kontroli, cieszą też nas, starszych, bo przypominają nam dzieciństwo. Nie jest bowiem niczym nieprzyjemnym wspomnieć, jak mali się wtedy czuliśmy, jak bardzo zależeliśmy od siły, wiedzy i mądrości starszych, dzięki którym byliśmy bezpieczni. Uczmy nasze Dzieci tolerancji, czułości, uprzejmości, znajomości granic, lecz też radosnego śmiechu. W Bogu zawierają się wszystkie dobre rzeczy, musi się więc w Nim zawierać również umiejętność zabawy – dar, którym podzielił się nie tylko z nami, lecz także z innymi Stworzeniami, o czym świadczą figle Wron, harce Wiewiórek i baraszkowanie Kociąt.

W święto Kwietniowej Ryby, które pochodzi z Francji, żartujemy z siebie nawzajem, przyczepiając innym na plecach papierową Rybę – u nas jest to Ryba z materiału z odzysku – i krzycząc:

„Ryba kwietniowa!” lub w oryginale, po francusku: *poisson d'avril!* W krajach anglojęzycznych dzień ten nazywa się Dniem Kwietniowego Błazna – *April Fool's Day*. Pierwotnie Dzień Kwietniowej Ryby był niewątpliwie świętem chrześcijańskim, jako że wizerunek Ryby był tajnym znakiem wiary pierwszych chrześcijan w czasach, gdy ich prześladowano.

Ryba nadawała się na ten znak idealnie, ponieważ na swoich apostołów Jezus powołał dwóch rybaków – bez wątpienia wybrał ich po to, by pomogli mu uratować populację Ryb. Polecił im, żeby z a m i a s t pozostawać rybakami Ryb, stali się rybakami ludzi, i w ten sposób unieszkodliwił dwóch rybich niszczycieli! To, że Jezusowi leżały na sercu Ptaki, inne Zwierzęta i Rośliny, wynika jasno z jego słów o Wróblach, Kokoszy, Barankach i Liliach. Wiedział jednak, że większa część Bożego Ogrodu znajduje się pod wodą i że również ona wymaga opieki. Święty Franciszek z Asyżu głosił kazanie do ryb, nie zdając sobie sprawy z tego, że Ryby bezpośrednio obcuja z Bogiem. Ale w ten sposób ów Święty potwierdził należny im szacunek. Jakże prorocze wydaje się to nam dziś, kiedy na całym świecie pustoszy się Oceany!

Gatunkowi szowiniści powiedzą, że Ludzie są mądrzejsi niż Ryby, i Kwietniową Rybę napiętnują jako niemą i głupią. Lecz życie Duchowe zawsze wydaje się głupie tym, którzy nie dzielają Ducha. Winniśmy zatem ochoczo przyjąć i nosić etykietkę Bożych Błaznów, gdyż wobec Boga jesteśmy błaznami, bez względu na to, za jak mądrych się uważamy. Być Kwietniową Rybą to w pokorze pogodzić się z naszą śmiesznością i radośnie przyznać, że każda prawda Duchowa, którą wyznajemy, jest – z materialistycznego punktu widzenia – niedorzecznością.

Połączmy się teraz we wspólnej Medytacji o naszych Rybich braciach.

Dobry Boże, który stworzyłeś ogromne i szerokie Morza z niezliczonymi Stworzeniami, prosimy Cię, byś zwrócił Swe spojrzenie na wszystko, co żyje w Twym podmorskim Ogrodzie, z którego pochodzi Życie. Modlimy się, aby żadne Stworzenie nie zniknę-

ło z tego Świata za sprawą Człowieka, aby Morskie Stworzenia zaznały Miłości i otrzymały pomoc w groźącym im niebezpieczeństwie, i zaznały ulgi w ich wielkim cierpieniu, wynikającym z tego, że nagrzewają się Morza, że ich głębie szpikuje się hakami i przeczesuje sieciami, mordując wszystko, co w nie wpadnie, począwszy od Stworzeń wód płytkich, a na Stworzeniach głębinowych kończąc, nie wyłączając Kałamarnicy Olbrzymiej. Pamiętaj też o Twoich Wielorybach, które stworzyłeś piątego dnia i umieściłeś w wodach, aby w nich igrały. Szczególne wsparcie potrzebne jest Rekinom, owym niezrozumianym i okrutnie prześladowanym istotom.

W pamięci naszej trwa Wielka Martwa Strefa w Zatoce Meksykańskiej, Wielka Martwa Strefa w jeziorze Erie, Wielka Martwa Strefa w Morzu Czarnym i opustoszałe ławice Grand Banks u wybrzeży Nowej Fundlandii, gdzie niegdyś w obfitości występował dorsz, a także Wielka Rafa Koralowa, która umiera, blaknie, kruszeje.

Spraw, by wszystkie one powróciły do życia, niech Miłość zaświeci nad nimi i wskrzesi je. I uczyni, by przebaczone nam nasze oceaniczne mordy oraz nasze błazeństwa, jeśli są to błazeństwa niewłaściwego rodzaju, aroganckie i niszczycielskie.

Pomóż nam w pokorze pogodzić się z tym, że jesteśmy pokrewni Rybom, które wydają nam się nieme i głupie – albowiem w Twoich oczach wszyscy jesteśmy niemi i głupi.

Zaśpiewajmy.

Panie, Ty wiesz, że błązny jesteśmy

Panie, Ty wiesz, że błązny jesteśmy,
Widzisz nasze pocieszne czyny,
Nasze zachody dla próżnej żądy,
Nasze dreptania, krzątanie.

Każdy z nas czasem wątpi w Twą Miłość,
Dziękować Ci też nie jest skory,
Myśli, że Wszechświat to tylko próżnia,
Że niebo to puste przestwory.

I każdy czasem popada w smutek,
Narodzin swych dniowi złorzeczy
I twierdzi, że wcale nie istnieje
Lub nie dbasz o los nasz człowieczy.

Więc przebacz nam wszystkie chmurne myśli,
Smutne słowa, nastroje czarne,
Dziś się głosimy Twymi Błaznami,
Sprawiając obrządki figlarne.

Dziś obnażamy, co w nas jest próżne,
Wyznając to w każdym szczególe –
Głupie niesnaski, drobne zmartwienia,
Sobie samym zadane bóle.

Z Kwietniową Rybą igramy, kpimy,
Z wszystkiego się śmiejąc jak dzieci,
I butę nadętą przekłuwamy –
Niech pycha z nas wszystkich uleci.

Myśl nasza Świata Twego nie pojmie,
Tak cudny jest i tajemniczy –
Prosimy Cię, byś między Swe Skarby
Również Swych Błaznów policzył.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren

Chyba przysnęłam – siedzenie w Śliskiej Strefie nuży – bo śniła mi się Amanda. Ubrana w khaki, szła w moim kierunku przez szerokie pole suchej trawy, na którym leżało mnóstwo białych kości. Nad jej głową krążyły sępy. Gdy się zorientowała, że o niej śnię, uśmiechnęła się i pomachała do mnie, a wtedy się obudziłam.

Było za wcześnie, żeby kłaść się spać, więc zrobiłam sobie paznokcie u nóg. Gwiazdka lubiła efekt szponów, który uzyskiwało się dzięki składnikowi wzmacniającemu z przędzy pajęczej. Ja go nie stosowałam, bo Mordis uważał, że to byłby widok lasujący mózg, coś jak królik z kolcami. Trzymałam się więc pasteli. Nowe, lśniące paznokcie dają poczucie świeżości i rzeźkości – jeśli ktoś chce ci lizać palce u stóp, to powinny być tego warte. Kiedy lakier schnął, zajrzałam przez kamerę interkomu do pokoju, który dzieliłam z Gwiazdką. Ucieszyłam się, że mogę być bliżej swoich rzeczy, toaletki, Robopsa i kostiumów na wieszakach. Nie mogłam się doczekać, żeby wrócić do normalnego życia. Właściwie to nie do końca było ono normalne, ale się do niego przyzwyczaiłam.

Potem trochę posurfowałam w Sieci i poprzeglądałam strony z horoskopami, żeby zobaczyć, jak się ułoży najbliższy tydzień – bo jeśli testy wypadłyby w porządku, to wkrótce powinnam wyjść ze Śliskiej Strefy. Moją ulubioną stroną były „Dzkie Gwiazdy” – bo zawsze dodawały otuchy:

Skorpion – w twój znak wszedł Księżyc, co oznacza, że w nadchodzącym tygodniu hormony będą ci buzować! Będzie na prawdę, na prawdę gorąco! Nie podchodź jednak zbyt poważnie do tego seksualnego rozbłyску – on minie.

Będziesz ciężko pracować nad tym, by ze swojego domu uczynić pałac rozkoszy. Najwyższy czas zakupić nową satynową pościel i wślizgnąć się w nią! W tym tygodniu Byki dogodzą wszystkim swoim byczym zmysłom.

Liczyłam na to, że kiedy wyjdę ze Śliskiej Strefy, będą mnie czekać romantyczność i przygoda – może jakaś podróż, duchowe poszukiwania... Czasem i takie rzeczy się zdarzały. Ale mój horoskop nie wyglądał najlepiej:

W twój znak, Ryby, wszedł Merkury-Posłaniec, co oznacza, że w najbliższych tygodniach zaskoczą cię ludzie i rzeczy z przeszłości. Przygotuj się na gwałtowne zmiany! Romantyczność może przybierać dziwne formy – utłuda i rzeczywistość tańczą ze sobą ściśle splecione – stawiaj więc ostrożnie kroki!

To, że romantyczność może przybierać dziwne formy, niezbyt mi się podobało. W pracy miałam tego aż nadto.

Kiedy znów rzuciłam okiem na Wężowisko, było tam dość tłoczno. Savona wciąż jeszcze tańczyła na trapezie. Pąsowy Płatek też był w gorze – w kostiumie z biofilmu z dodatkowymi fałdami genitalnymi wyglądał jak jakaś olbrzymia orchidea. Na dole Gwiazdka nie przestawała obrabiać klienta z Paintbólu. Ta dziewczyna potrafiła ożywić umarlaka, ale gość był już tak nieprzytomny, że nie powinna liczyć na jakiś większy napiwek.

Po całym lokalu kręcili się korpuserowcy pilnujący paintbólówców. Nagle wszyscy spojrzeli w kierunku wejścia. Przełączyłam na inną kamerę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Mordis rozmawiał tam z jakimiś nowymi ludźmi z KorpuSOKorpu. Przyprawdzili

kolejnego paintbólowca – wyglądał gorzej niż tamci trzej, bardziej wybuchowo. Mordis się nie ucieszył – czterech paintbólowców to spory kłopot. Zawsze się mogło okazać, że są z przeciwnych drużyn i jeszcze wczoraj próbowali wypruć sobie nawzajem flaki.

Mordis odeskortował nowego paintbólowca w głąb klubu, potem wyrzeszczał coś do komórki. W pośpiechu wbiegły trzy dodatkowe tancerki: Vilya, Crenola i Sunset. Pewnie zarządził: zastawcie mu widok, użyjcie swoich cycków, po co, u diabła, Bóg wam je dał? Zamigotało, zaszeleściły pióra, wokół gościa owinęło się sześć ramion. Zdawało mi się, że słyszę, co Vilya mówi mu na ucho: „Weź dwa, skarbie, są tanie”.

Na sygnał Mordisa pogłośniono muzykę. Głośna muzyka odwraca ich uwagę. Kiedy dudni im w uszach, mniej są skłonni do demolki. Tancerki owinęły się wokół tamtego jak anakondy. Dwóch bramkarzy z Łusek stało w pogotowiu.

Mordis się uśmiechał – problem był rozwiązany. Wyśle gościa do pokojów z sufitami w piórach, dowali trochę alkoholu, posadzi mu na głowie parę dziewczyn, tak że zostanie z niego coś, co Mordis nazywał przepalonym, odmóżdżonym i do sucha wymiotolonym uchachanym zombi. Teraz kiedy zaczęliśmy stosować BłogoPlus, facet dozna jeszcze wielokrotnych orgazmów i różnych dziwnych, bardzo przyjemnych wrażeń, przy czym obędzie się bez niepożądanego efektu martwych drobnoustrojów. Odkąd pojawiło się to чудо, meble w Łuskach były demolowane znacznie rzadziej. Podawali to w polirzeczkach oblanych czekoladą i Sojczy-stych Oliwkach. Ale trzeba było uważać, żeby nie przedobrzyć, bo inaczej, jak zdradziła mi Gwiazdka, facetowi mógł pęknąć kutas.

W roku czternastym, zgodnie ze zwyczajem, obchodziliśmy święto Kwietniowej Ryby. Polegało ono na tym, że wszyscy się wygłupiali i dużo śmiali. Ja przypięłam rybę Shackiemu, Croze przypięłam rybę mnie, Shackie przypięłam rybę Amandzie. Mnóstwo dzieciaków przypięło rybę Nuali, lecz nikt nie przypięł ryby Toby, bo zawsze się orientowała, że ktoś za nią stoi. Adam Pierwszy przypięł rybę sam sobie, żeby w ten sposób przekazać jakąś prawdę o Bogu. A tamten mały bachor Oates latał w kółko i krzyczał: „Paluszki rybne!”, kłując wszystkich palcami w tyłek, póki Rebecca nie kazała mu przestać. Zrobiło mu się smutno, więc wzięłam go na bok i opowiedziałam mu bajkę o Najmniejszym Sępiku. Kiedy nie załaził za skórę, Oates potrafił być słodkim chłopcem.

Zeb był na jednej z tych swoich wypraw – ostatnio częściej znikał. Lucerne siedziała w domu, mówiła, że nie ma powodu do świętowania i że to durnowate święto.

Był to pierwszy Dzień Kwietniowej Ryby, który spędziłam bez Bernice. Kiedy byłyśmy mniejsze, zanim pojawiła się Amanda, zawsze razem ozdabialiśmy Rybne ciasto. Ciągłe kłóciłyśmy się o to, co na nie położyć. Raz zrobiłyśmy je na zielono, zieleń zrobiłyśmy ze szpinaku, a z krążków marchwi ułożyłyśmy oczy. Wyszło nam czadowo. Kiedy przypomniało mi się tamto ciasto, zebrało mi się

na płacz. Gdzie jest teraz Bernice? Wstydziałam się za siebie, za to, że byłam dla niej taka niedobra. Może Bernice nie żyje, tak jak Burt? Jeśli tak, jest to częściowo moja wina. Głównie moja wina. Moja wina.

Razem z Amandą wróciłam do Serowarni. Shackie i Croze szli z nami, rzekomo po to żeby nas chronić. Amandę to rozbawiło, ale powiedziała, że jak chcą, mogą nam towarzyszyć. Wszyscy czworo byliśmy znów mniej więcej przyjaciółmi, choć od czasu do czasu Croze przypominał Amandzie: „Wciąż nam wiesz”, a Amanda odpowiadała, żeby się walił.

Kiedy dotarliśmy do Serowarni, było już ciemno. Bałyśmy się, że z powodu tego późnego powrotu będziemy mieć nieprzyjemności – Lucerne nieustannie ostrzegała nas przed zagrożeniami ulicy – lecz okazało się, że w międzyczasie wrócił Zeb i zdążyła już wybuchnąć kłótnia. Stałyśmy na korytarzu, żeby ją przecze-kać, bo kiedy Zeb i Lucerne się kłócili, zajmowali całą przestrzeń w mieszkaniu.

Krzyczeli na siebie głośniejsz niż zwykle. Przewrócił się – albo został rzucony – jakiś mebel. To na pewno Lucerne, bo Zeb raczej nie rzucał.

– O co poszło? – spytałam Amandę. Przystawiła ucho do drzwi. Nie miała oporów, żeby podsłuchiwać.

– Nie wiem. Za głośno wrzeszczy. Oho, poczekaj... ona mówi, że Zeb się gzi z Nualą.

– Z Nualą? Niemożliwe! Nie zrobiłby tego! – Wiedziałam teraz, jak się czuła Bernice, kiedy nagadałyśmy jej o jej ojcu.

– Faceci gżą się ze wszystkim, jak tylko nadarzy im się okazja. A teraz mówi, że w głębi duszy Zeb jest alfonsem, że nią pogardza i traktuje ją jak śmiecia. Chyba płacze.

– Może powinniśmy przestać podsłuchiwać – powiedziałam.

– No dobra – rzekła Amanda. Oparłyśmy się plecami o ścianę i czekałyśmy, aż Lucerne zacznie jak zwykle biadolić. Wtedy Zeb zazwyczaj wybiegał i wściekle trząskał drzwiami. Potem potrafił nie pokazywać się przez parę dni.

Pojawił się Zeb:

– Na razie, Królowe Nocy – powiedział. – Miejcie się na baczności!

Żartował z nami jak zawsze, lecz tym razem nie było mu do śmiechu. Wyglądał na zmartwionego.

Po takich kłótniach Lucerne przeważnie się kładła i płakała, ale tamtego wieczoru zaczęła się pakować. Pakowała się do różowego plecaka, który zebrałam z Amandą jako pokłosie. Za wiele Lucerne do niego włożyć nie mogła, więc skończyła dość szybko i weszła do naszego boksu.

Leżałyśmy na materacach wypchanych suchymi roślinami przykryte kołdrami z dzinsu i udawałyśmy, że śpimy.

– Wstawaj, Ren – powiedziała Lucerne. – Idziemy stąd.

– Dokąd? – zapytałam.

– Wracamy do Kompleksu ZdrowoTech.

– Teraz?

– Teraz. Co tak patrzysz? Zawsze tego chciałaś.

To prawda, że kiedyś chciałam wracać do ZdrowoTechu. Tęskniłam za nim. Jednak od kiedy wprowadziła się do nas Amanda, przestałam o tym myśleć.

– Amanda jedzie z nami? – zapytałam.

– Amanda zostaje.

Zmroziło mnie.

– Chcę, żeby pojechała z nami.

– Nie ma mowy – odparła Lucerne.

Tym razem sprawy wyglądały inaczej niż zwykle: Lucerne zrzuciła z siebie paraliżujący ją urok – urok Zeba. Seks opadł z niej jak zbyt luźna suknia. Teraz była energiczna, zdecydowana, konkretna. Czy taka była przedtem, dawno temu? Tego nie pamiętałam.

– Ale dlaczego? – pytałam. – Dlaczego Amanda nie możejechać z nami?

– Bo nie wpuszczą jej do ZdrowoTechu. My odzyskamy tam nasze tożsamości, ona jej nie ma, a ja nie mam pieniędzy, żeby ją

dla niej kupić. Ktoś się nią tutaj zajmie – dodała, jakby Amanda była kotem, którego musiałam zostawić.

– Nie ma mowy! Jeżeli ona nie jedzie, to ja też nie!

– A gdzie zamierzacie mieszkać? Tutaj? – spytała pogardliwie.

– Będziemy mieszkać z Zebem – odparłam.

– Jego nigdy nie ma w domu. Nie sądzisz chyba, że pozwolą dwóm małym dziewczynkom gospodarować na własną rękę?

– No to możemy zamieszkać z Adamem Pierwszym... z Nualą albo z Katurem...

– Albo ze Stuartem Śrubą – powiedziała w nadziei Amanda. Desperatka. Stuart był zgorzkniałym samotnikiem, ale podchwyciłam ten pomysł:

– Pomagałybyśmy mu robić meble – wyobrażałam już sobie, jak zbieramy dla Stuarta rupiecie, jak piłujemy, jak podśpiewując, walimy młotkami, jak robimy ziołowe herbatki...

– Stuart by się nie ucieszył – rzekła Lucerne. – To odludek. Toleruje was tylko ze względu na Zeba, inni zresztą też.

– No to pójdziemy mieszkać do Toby – powiedziałam.

– Toby ma inne rzeczy do roboty. Dość tego. Jeśli Amanda nie znajdzie nikogo, kto ją przyjmie, zawsze może wracać do plebszczurów. Tam zresztą jest jej miejsce! Twoje jest gdzie indziej. Dalej, pospiesz się!

– Muszę się ubrać – powiedziałam.

– No jasne, masz dziesięć minut – rzekła moja matka i wyszła z boksu.

– Co robimy? – szepnęłam do Amandy, wkładając ubranie.

– Nie wiem – odszepnęła. – Jak już tam wejdiesz, nigdy cię nie wypuszczą. Kompleksy są jak twierdze, jak więzienia. Lucerne nie pozwoli nawet, żebyś mnie odwiedziła, bo mnie nie znosi.

– Nie obchodzi mnie, co myśli. Jakoś się wydostanę.

– Telefon – szepnęła Amanda. – Weź mój telefon. Będziesz mogła do mnie zadzwonić.

– Znajdę sposób, żebyś weszła do środka – powiedziałam, popłakując. Wsunęłam fioletowy telefon do kieszeni.

– Ren, pospiesz się – popędzała mnie Lucerne.

– Zadzwoń! – szepnęłam Amandzie. – Ojciec kupi ci nową tożsamość!

– Na pewno – odparła Amanda cicho. – Nie bierz świństw, okej?

Lucerne kręciła się po dużym pokoju. Wysypała z doniczki cherlawego pomidora, którego hodowała na parapecie. Na spodzie, pod ziemią ukryta była plastikowa torebka z pieniędzmi. Pewnie podkradała je na Drzewie Życia przy sprzedaży mydła, octu, makram i kolder. Pieniądze były przeżytkiem, lecz ludzie używali ich w drobniejszych transakcjach, a Ogrodnicy nie akceptowali wirtualnych pieniędzy, bo nie uznawali komputerów. Lucerne zbierała więc pieniądze na ucieczkę – nie była takim popychadłem, jak myślałam.

Wzięła nożyce i tuż przy karku obciąła swoje długie włosy. Cięte włosy wydały odgłos jak przy odpinaniu rzepów, suchy i trzeszczący. Całą ich kępę zostawiła na środku stołu.

Potem złapała mnie za rękę, wywlekła z mieszkania i sprowadziła po schodach. Nigdy nie wychodziła nocami, bo bała się pijaków, ćpunów wystających na rogach, gangów plebszczurów i rabusiów. Teraz jednak była rozpalona z gniewu do białości, pełna werwy i energii. Ludzie na ulicy usuwali nam się z drogi, jakbyśmy roznosiły zarazę, nawet Azjatyckie Miksy i Poczerniane Korwiny Czerwone zostawiały nas w spokoju.

Droga przez Zapadlisko i Lagunę Ścieków, a potem przez bogatsze plebsopolie zajęła nam parę dobrych godzin. Im dalej szliśmy, tym nowsze były domy, bloki i hotele i tym mniej ludzi było na ulicach. W Pudle złapałyśmy solarotaksi. Przejechałyśmy przez Golfgreens, następnie przez rozległą otwartą przestrzeń i w końcu dotarłyśmy przed bramy Kompleksu ZdrowoTech. Tak dawno nie widziałam tego miejsca, że czułam się jak we śnie, kiedy niczego się nie rozpoznaje, jednak wszystko wydaje się znajome. Miałam lekkie mdłości, ale to chyba od emocji.

Wcześniej, zanim wsiadłyśmy do taksówki, Lucerne potargała mi włosy, popaćkała sobie twarz błotem i naddarła kawałek swojej sukni.

– Po co to robisz? – spytałam, ale nie odpowiedziała.

Przy bramie wjazdowej do ZdrowoTechu siedziało za okienkiem dwóch strażników.

– Karty tożsamości – rzekł jeden.

– Nie mamy kart – powiedziała Lucerne. – Ukradli je nam. Zostałyśmy uprowadzone. – Obejrzała się za siebie, jakby się bała, że ktoś nas ściga. – Proszę, muszą nas panowie wpuścić, i to zaraz! Mój mąż... pracuje w Nanobioformach... on panom powie, kim jestem... – zaczęła płakać.

Strażnik sięgnął po telefon, nacisnął przycisk i powiedział:

– Frank, tu brama główna. Jakaś pani twierdzi, że jest twoją żoną.

– Będziemy musieli pobrać wymazy z policzka do testów na ewentualne choroby zakaźne – powiedział drugi. – Zanim rozpoczniemy ustalanie i weryfikację bioform, może pani poczekać w bloku przedzabiegowym. Zaraz ktoś do pani wyjdzie.

W bloku przedzabiegowym usiadłyśmy na czarnej sofie z PCW. Była piąta rano. Lucerne wzięła do ręki jakieś czasopismo z napisem „Nowoskór” na okładce. „Po co żyć z niedoskonałościami?” Przejrzała je od niechcienia.

– Naprawdę zostałyśmy uprowadzone? – zapytałam ją.

– Kochanie! – rzekła. – Nie możesz tego pamiętać! Byłaś taka malutka! Nie chciałam ci tego mówić, żeby cię nie straszyc! Mogli ci zrobić coś okropnego!

Znowu zaczęła płakać, mocniej niż przedtem. Kiedy przyszedł do nas korpusowiec w bioskafandrze, lzy leciały jej ciurkiem po twarzy.

Z marzeniami trzeba uważać, mówiła stara Pilar. Wróciłam do ZdrowoTechu, odzyskałam ojca, tak jak pragnęłam tego dawno temu. Ale nic nie było takie jak trzeba. Sztuczne marmury, reprodukcje antycznych mebli, dywany – nic w naszym domu nie wyglądało jak prawdziwe. Wszystko też dziwnie pachniało, jakby środkiem dezynfekującym. Tęskniłam do zapachu liści i Ogrodników, do zapachów gotowania, nawet do ostrej woni octu. Nawet bioalet kompostowych.

Mój ojciec Frank w moim pokoju niczego nie zmienił. Mimo to moje łóżko z baldachimem i różowe firanki wyglądały, jakby się skurczyły. Na dodatek wydały mi się dziecinne. W pokoju znalazłam też pluszowe zabawki, które kiedyś tak bardzo lubiłam, lecz teraz ich szklane oczy spoglądały martwo. Wepchnęłam je na dno szafy, żeby nie patrzyły na mnie jak na cień.

Pierwszego wieczoru Lucerne zrobiła mi kąpiel z aromatem sztucznych kwiatów. W ogromnej białej wannie i otoczona białymi puszystymi ręcznikami, poczułam się brudna. Śmierdziałam ziemią, ziemią z niegotowego kompostu. Taki sam kwaśny zapach.

Skórę miałam niebieską od barwnika z Ogrodniczych ubrań. Wcześniej nigdy tego nie zauważyłam, bo pod prysznic u Ogrodników wchodziło się na krótką chwilę i nie było tam luster. Nie

zdawałam sobie też sprawy, jaka jestem owłosiona – to było dla mnie większym szokiem niż niebieska skóra. Szorowałam tę niebieskość i szorowałam, ale nie schodziła. Spojrzałam na wystające z wody stopy – paznokcie wyglądały jak szpony.

– Polakierujemy je trochę – powiedziała parę dni potem Lucerne, gdy zobaczyła moje stopy w japonkach. Zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, jakby Ogrodnicy, Amanda, a przede wszystkim Zeb wcale nie istnieli. Nosiła starannie wyprasowane lniane garsonki, miała ufryzowane włosy, zrobiła sobie pasemka. Paznokcie u nóg też już miała pomalowane – nie marnowała czasu. „Zobacz, jakie piękne kolory kupiłam dla ciebie! Zieleń, fiolet, mroźna pomarańcza, mam też coś z polyskiem...” Byłam na nią zła i odwróciłam się do niej plecami. Oszustka.

Przez wszystkie te lata zachowałam w pamięci ogólne zarysy mojego ojca, niczym kredowy obrys w kształcie ojcowskiej postaci. Kiedy byłam mała, często go kolorowałam. Lecz tamte kolory były za jasne, a kontur za wielki: Frank był niższy, bardziej łysy i bardziej nieporadny niż człowiek, który został mi w pamięci.

Kiedy czekałyśmy, aż przyjdzie do głównej bramy ZdrowoTechu potwierdzić naszą tożsamość, spodziewałam się, że nie będzie się posiadał ze szczęścia, gdy zobaczy, że po tych wszystkich przejściach wciąż żyjemy i jesteśmy całe i zdrowe. Ale na mój widok zrzędała mu mina. Później zdałam sobie sprawę, że po raz ostatni widział mnie, kiedy byłam małą dziewczynką, więc byłam teraz większa, niż się spodziewał, może też większa, niżby chciał. I bardziej obszarpana – choć miałam na sobie bure ubranie Ogrodnicze, wyglądałam pewnie jak jeden z tych pałętających się bez celu plebszczurów, które na pewno widział, jeśli kiedykolwiek był w Zapadlisku albo w Lagunie Ścieków. Może się wystraszył, że będę mu podbierać forszę albo ukradnę buty. Zbliżył się do mnie tak, jakbym mogła go ugryźć, i objął mnie niezdarnie. Pachniał chemikaliami z Kompleksu – chemikaliami do usuwania lepkich rzeczy, na przykład kleju. Ten zapach wżerał się głęboko, do samych płuc.

Pierwszej nocy spałam dwanaście godzin. Kiedy się obudziłam, stwierdziłam, że Lucerne spaliła moje Ogrodnicze ubranie. Na szczęście telefon Amandy schowałam w rozciętym brzuchu pluszowego tygrysa, którego trzymałam w szafie. Telefon uratował się więc przed spaleniem.

Tęskniłam za zapachem własnej skóry, która teraz utraciła swój słony smak i stała się mydlasta i perfumowana. Przypomniało mi się, co Zeb opowiadał o myszach: jeśli na chwilę wyjmie się jedną z mysiego gniazda, a potem włoży z powrotem, reszta myszy rozszarpie ją na strzępy. Gdybym wróciła do Ogrodników ze swoim zapachem sztucznych kwiatów, czy też by mnie rozszarpali?

Lucerne zaprowadziła mnie do wewnętrznej kliniki ZdrowoTechu, gdzie sprawdzili, czy mam wszy, robaki i czy mnie nie molestowano. Badanie wymagało parokrotnego wetknięcia palców z tyłu i z przodu.

– O rany! – zawołał lekarz, widząc moją niebieską skórę.

– Dziecko, czy to siniaki?

– Nie – odpowiedziałam. – To barwnik.

– Aha, kazali ci się pofarbować?

– To od ubrań.

– Rozumiem – odparł i wyznaczył mi termin spotkania z psychiatrą z tej samej kliniki specjalizującym się w pracy z ludźmi porwanymi przez sekty.

Podczas tych spotkań wymagana była obecność matki. Dzięki temu wiedziałam, co im opowiadała. Porwano nas z ulicy, gdy w SolarSpace robiłyśmy zakupy w butikach, ale nie potrafiła powiedzieć, dokąd dokładnie nas zabrali, bo nigdy nie było jej dane się tego dowiedzieć. Mówiła, że nie jest to wina sekty, lecz jednego z jej członków, który miał obsesję na jej punkcie, chciał z niej zrobić prywatną niewolnicę seksualną i żeby zatrzymać ją w niewoli, zabrał jej buty. To miał być pewnie Zeb, choć Lucerne twierdziła, że nie wie, jak miał na imię. Mówiła, że byłam zbyt mała, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje, ale byłam

zakładniczką. Musiała więc słuchać tego szaleńca, spełniać każdą jego najdziwniejszą zachciankę – a rzeczy, których od niej żądał, były odrażające – inaczej naraziłaby moje życie na niebezpieczeństwo. Z czasem udało jej się zwierzyć ze swego nieszczęśliwego położenia pewnej członkini sekty, coś jakby siostrze zakonnej. Pewnie miała na myśli Toby. To właśnie ona pomogła jej uciec, dostarczyła jej buty, dała pieniądze i odciągnęła uwagę szaleńca, tak aby Lucerne mogła wy dostać się na wolność.

Moja matka twierdziła, że mnie nie było sensu o nic pytać. Sekciarze byli dla mnie mili, zresztą sami byli ofiarami oszustwa. Ona jedna знаła prawdę – i sama musiała dźwigać to brzemię. Która kobieta kochająca swoje dziecko tak, jak ona kochała mnie, postąpiłaby inaczej?

Przed każdą sesją u psychiatry ścisnęła mnie za ramię i mówiła: „Amanda tam została. Pamiętaj o tym”. Miało to znaczyć, że jeśli komukolwiek powiem, że łąga jak najęta, to nagle przypomni sobie miejsce, gdzie ją więziono, wejdą tam korpusowcy z miotaczami, a wtedy wszystko się może zdarzyć. W atakach miotaczowych ginęło mnóstwo przypadkowych osób, nic na to nie można było poradzić – tak twierdził KorpuSOKorp. Wszystko dla dobra porządku publicznego.

Przez wiele tygodni Lucerne ciągle była gdzieś w pobliżu, żeby mieć pewność, że nie ucieknę albo jej nie wsypię. Ale w końcu trafiła mi się okazja, żeby wyciągnąć fioletowy telefon i zadzwonić do Amandy. Wcześniej Amanda przysłała mi esemesem numer swojego nowego, świeżo zwędnzonego telefonu, żebym mogła się z nią skontaktować – o wszystkim myślała zawczasu. Żeby zadzwonić, schowałam się w szafie. Szafa miała w środku światło, jak wszystkie inne w naszym domu. Była tak duża jak mój dawny boks sypialny.

Amanda odebrała szybko i pojawiła się na wyświetlaczu. Wcale się nie zmieniła. Chciałam wracać do Ogrodników.

– Bardzo za tobą tęsknię – powiedziałam. – Ucieknę, jak tylko będę mogła.

Dodałam jednak, że nie wiem, kiedy to się stanie, bo Lucerne trzyma moją kartę tożsamości w szufladzie zamkniętej na klucz, a bez niej nie przepuszczą mnie przez bramę.

– Nie możesz tego wyhandlować ze strażnikami? – zapytała Amanda.

– Nie, chyba nie... Tutaj jest inaczej.

– Ej, co zrobiłaś z włosami?

– Lucerne kazała mi obciąć.

– Wyglądają nieźle – rzekła Amanda i dodała: – Znaleźli Burta na pustej parceli na tyłach Łusek. Miał ślady od zamrażarki.

– Trzymali go w zamrażarce?

– Raczej to, co z niego zostało. Brakowało niektórych organów: wątroby, nerek, serca. Zeb mówi, że plebsomasy sprzedają organy, a resztę trzymają w zamrażarce do czasu, kiedy chcą wysłać komunikat.

– Ren! Gdzie jesteś? – to był głos Lucerne, była w moim pokoju.

– Muszę kończyć – szepnęłam. Wsadziłam telefon do tygryska.

– Tu jestem! – zawołałam. Szczękałam zębami. W zamrażarkach jest tak zimno.

– Skarbie, co ty robisz w tej szafie? – spytała Lucerne. – Chodź, zjedz obiad! Od razu poczujesz się lepiej!

Jej głos brzmiał beztrzesko – moje dziwaczne i wariackie zachowanie było jej na rękę, bo gdybym chciała ją wydać, nikt by mi nie uwierzył.

Zgodnie z jej wersją, miałam traumę od przebywania wśród spaczonych sekciarzy robiących ludziom pranie mózgu. Nie było sposobu udowodnić, że mówi nieprawdę. Może zresztą miałam traumę – z niczym nie mogłam tego porównać.

Kiedy się już trochę doregulowałam – tak to ujęli: d o r e g u l o w a ł a m, jakbym była ramiączkiem stanika – Lucerne uznała, że powinnam pójść do szkoły, ponieważ snucie się po domu ze smutną miną źle na mnie wpływa, że powinnam zacząć wychodzić i stworzyć sobie całkiem nowe życie, tak jak ona. Dla niej wiązało się to z ryzykiem: byłam chodzącą bombą kasetową, bo w każdej chwili mogła mi się wypsnąć cała prawda o Lucerne. Ale czuła, że po cichu ją osądzam, to ją wkurzało, więc szczerze chciała mnie gdzieś wysłać.

Wyglądało na to, że Frank uwierzył w jej bajeczkę, choć chyba ani go to ziębiło, ani grzało. Teraz było dla mnie jasne, dlaczego Lucerne uciekła z Zebem: Zeb przynajmniej ją zauważał. Mnie też. Za to Frank traktował mnie jak szybę w oknie – nie widział mnie, dla niego byłam przeźroczysta.

Czasami śnił mi się Zeb ubrany w kostium niedźwiedzia. Zamek w futrze rozpiął się pośrodku jak w śpiworze i wychodził z niego Zeb. Jego zapach dodawał mi otuchy – był to zapach trawy po deszczu i cynamonu, zapach Ogrodników – słony, octowy aromat nadpalonych liści.

Zaczęłam chodzić do liceum ZdrowoTęchu. Pierwszego dnia ubrałam się w jeden z nowych kompletów, które wybrała dla mnie Lucerne. Był w kolorze różowym i cytrynowym. Ogrodnicy nigdy

nie pozwoliliby mi ich włożyć, bo znać było na nich brud, na który trzeba by było zużyć więcej mydła.

W nowym stroju czułam się jak w przebraniu. Nie mogłam się do niego przyzwyczaić, w porównaniu z poprzednim, luźnym ubraniem był bardzo ciasny. Do tego krótkie rękawki odkrywały moje nagie ramiona, a spod sięgającej do kolan plisowanej spódnicy widać mi było nagie nogi. Tak jednak, zdaniem Lucerne, ubierały się wszystkie dziewczyny w liceum ZdrowoTechu.

– Brendo, nie zapomnij o kremie od słońca – powiedziała, gdy wychodziłam. Zaczęła nazywać mnie Brendą. Twierdziła, że to moje prawdziwe imię.

ZdrowoTech przysłał po mnie uczennicę, która miała być moją opiekunką – miała zaprowadzić mnie do szkoły i pokazać co i jak. Nazywała się Wakulla Price. Była szczupła i miała włosy połyskujące jak toffi. Miała na sobie tak jak ja pastelowożółtą bluzkę, ale nosiła spodnie. Gdy zobaczyła moją plisowaną spódnicę, zrobiła wielkie oczy:

– Podoba mi się – powiedziała.

– Mama mi kupiła.

– Aha – powiedziała głosem pełnym współczucia. – Moja kupiła mi taką dwa lata temu.

Za to ją polubiłam.

W drodze do szkoły Wakulla zadawała mi pytania w rodzaju: co robi twój ojciec?, kiedy tu przyjechałaś? i tak dalej, ale nie wspomniała nic o sektach. Ja pytałam: jak ci się podoba w tej szkole?, jacy są nauczyciele?, i w ten sposób bezproblemowo dotarliśmy na miejsce. Po drodze mijałyśmy domy zbudowane w różnych stylach, ale wszystkie z powłoką solarną. W Kompleksie stosowali najświeższe nowinki techniczne, co często podkreślała Lucerne: „Wierz mi, Brendo, oni są o wiele bardziej ekologiczni niż ci puryści Ogrodnicy. Tu nie musisz się więc martwić, czy nie zużywasz za dużo ciepłej wody ani czy nadszedł już czas na kolejny prysznic”.

Budynek liceum był w idealnym stanie: żadnego graffiti, żadnego odpadającego tynku, żadnych rozbitych okien. Otoczony

był ciemnozielonym trawnikiem, na którym rośło parę krzaczków przyciętych w kształt kul i stał pomnik Florence Nightingale z tablicą „Dama z lampą”. Ktoś przestawił kolejność liter na: „Dama z plamą”.

– To sprawka Jimmy’ego – powiedziała Wakulla. – Mojego partnera laboratoryjnego z pracowni biotechnologii nanoform. Bez przerwy wyprawia takie głupoty – uśmiechnęła się: miała bardzo białe zęby. Lucerne wciąż powtarzała, że mam fatalne zęby i że potrzebna mi kosmetyka dentystyczna. Planowała zmienić wystrój całego mieszkania, ale w planach miała też parę poprawek dla mnie.

Przynajmniej nie miałam próchnicy. Ogrodnicy byli przeciwni produktom zawierającym rafinowany cukier i rygorystycznie podchodzili do mycia zębów, przy czym używali do tego celu postrzępionych gałązek, bo wkładanie do ust plastikowego lub zwierzęcego włosa wydawało im się odrażające.

Moje pierwsze przedpołudnie w szkole było bardzo dziwne. Miałam wrażenie, że lekcje odbywają się w obcym języku. Inne były wszystkie przedmioty, wszystkie słowa, a do tego dochodziły jeszcze komputery i papierowe zeszyty. Miałam głęboko zaszczepiony lęk przed zeszytami – utrwalone pismo jest niebezpieczne, może wpaść w ręce wroga, nie można go zmasać jak tabliczki. Gdy dotknęłam klawiatury i kartek, miałam ochotę pobiec do łazienki umyć ręce. Udzieliło mi się widać poczucie zagrożenia.

Lucerne twierdziła, że naszą tak zwaną przeszłość osobistą – uprowadzenie i tak dalej – funkcjonariusze ZdrowoTechu zachowują w tajemnicy. Ktoś się jednak wygadał, bo wiedzieli o niej wszyscy w szkole. Na szczęście nie znali historii o Lucerne i trzymającym ją w seksualnym zniewoleniu dyszącym żądzą zbrodni. Wiedziałam jednak, że jeśli tylko zajdzie potrzeba, sama będę powtarzać to kłamstwo, żeby chronić Amandę, Zeba, Adama Pierwszego, a nawet resztę zwyczajnych Ogrodników. „Los każdego z nas jest w rękach każdego z nas” – mawiał Adam Pierwszy. Teraz zaczynałam rozumieć, co toaczy.

Podczas przerwy na lunch skupiła się wokół mnie grupka osób. Nie byli złośliwi, tylko zwyczajnie ciekawi. „Znaczy, że byłaś w sekcie? Odjazd. Byli mocno sfiksowani?”. Zadawali mnóstwo pytań. Jedli przy tym lunch i wszędzie czuć było mięso. Bekon, paluszki rybne – dwadzieścia procent prawdziwej ryby – burgery, które nazywały się „techburgery” i które robiono z mięsa hodowanego na rozciągliwych statywach. Nie zabijano w tym celu żadnych zwierząt – ale zapach był mięsny. Amanda na pewno zjadłaby bekon, żeby pokazać, że liściożercy nie dali rady wyprać jej mózgu, ale ja tak daleko bym się nie posunęła. Ściągnęłam bułkę ze swojego techburgera i spróbowałam ją zjeść, ale śmierdziała martwym zwierzęciem.

– No więc... – zaczęła Wakulla. – Bardzo było źle?

– To była tylko zwykła ekosekta – odpowiedziałam.

– Jak Izajaszowcy Wilczy – rzucił ktoś. – Czy to terroryści? – wszyscy przysunęli się bliżej. Byli żądni opowieści grozy.

– Nie, pacyfiści – odparłam. – Pracowałyśmy w takim jednym ogrodzie na dachu – opowiedziałam im o translokacji ślimaków. Kiedy skończyłam, to wszystko wydało mi się naprawdę niezwykłe.

– Przynajmniej nie musiałyś ich jeść – powiedziała jakaś dziewczyna. – W niektórych sektach jedzą zwierzęta zabite przez samochody.

– Izajaszowcy Wilczy tak robią, na pewno. Pisało w Sieci.

– No, ale mieszkałaś w plebsopolii. Fajnie.

Zdałam sobie sprawę, że mam nad nimi tę przewagę, że mieszkałam tam, gdzie nikt z nich nigdy nie był, chyba że na szkolnej wycieczce albo na Drzewie Życia, dokąd zaciągnęli ich ciekawi slumsów rodzice. Mogłam więc zmyślać, ile mi się podobało.

– Byłaś dziecięcą siłą roboczą – stwierdził jakiś chłopak.
– Małą bioniewolnicą. Sexy!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Nie bądź idiotą, Jimmy – powiedziała Wakulla. – Nie przejmuj się – zwróciła się do mnie. – On zawsze rzuca takie teksty.

Jimmy dalej szczerzył zęby w uśmiechu:

– Czčiliście tam kapustę? O, Wielka Kapusto! Oto całuję twą kapuścianą kapuścianość! – ukląkł na jedno kolano i chwycił w rękę skraj mojej plisowanej spódnicy:

– Fajne liście – powiedział. – Czy opadają?

– Ale z ciebie mięsny smród! – odpowiedziałam.

– Że jak? – zapytał, śmiejąc się. – Mięsny smród?!

Musiałam im wyjaśnić, że u zielonych ekstremistów to wyzwisko było potworną obelgą. Podobnie jak „ty świniogadzie” albo „ślimaczy ryju”. Jimmy śmiał się coraz głośniej.

Wyczuwałam pokusę, wyczuwałam ją wyraźnie – mogłam nawymyślać więcej takich dziwacznych szczegółów ze swojego sekciarskiego życia i udawać, że tak jak dla dzieciaków ze ZdrowoTechu dla mnie są to czyste odchyły. Lecz wyobrażałam sobie, jak patrzyliby na mnie Adamowie i Ewy – ze smutkiem i z rozczarowaniem. Adam Pierwszy, Toby i Rebecca. I Pilar, chociaż już nie żyła. A nawet Zeb.

Jakie to łatwe, jakie zdradliwe. Człowiek się w to po prostu ześlizguje. Nauczyło mnie już tego tamto zdarzenie z Bernice.

Wakulla odprowadzała mnie do domu, a razem z nami szedł Jimmy. Wciąż się wygłupiał i żartował, chciał nas rozśmieszyć – Wakulla nawet z grzeczności się śmiała. Zorientowałam się, że Jimmy jest w niej strasznie zadurzony, ale Wakulla powiedziała mi, że nie mogłaby traktować go inaczej niż jako kumpla.

W połowie drogi Wakulla oddzieliła się od nas i poszła w kierunku swojego domu. Jimmy dalej szedł ze mną, ponieważ jak powiedział, miał po drodze. Kiedy byliśmy w czyimś towarzystwie, Jimmy był irytujący – może wolał sam robić z siebie głupka, zanim zrobiłby to kto inny. Jednak kiedy się nie zgrywał, był o wiele fajniejszy. Wiedziałam, że w głębi serca jest smutny, bo ja miałam to samo. Pod tym względem byliśmy jak bliźnięta, tak mi się przynajmniej czasem wydawało. Był pierwszym chłopcem, którego uważałam za prawdziwego przyjaciela.

– Pewnie po plebsopolii tu, w Kompleksie, czujesz się dziwnie? – spytał pewnego razu.

– No tak – odpowiedziałam.

– Czy twoją mamę naprawdę przywiązał do łóżka ten porąbany maniak? – Jimmy bez oporów wyskakiwał z pytaniami, których inni ludzie nigdy by nie zadali.

– A gdzie to słyszałeś?

– W szatni – odpowiedział Jimmy.

Zatem opowiadka Lucerne wyszła na jaw. Wzięłam głęboki oddech:

– To zostanie między nami, dobra?

– Jak Bożię kocham.

– Nie, nikt nie przywiązywał jej do łóżka – powiedziałam.

– Tak też myślałam – rzekł Jimmy.

– Nie mów tego nikomu. Ufam, że tego nie zrobisz.

– Nie zrobię – powiedział Jimmy.

Nie spytał: a czemu nie? Wiedział, że gdyby się wydało, że Lucerne wciska kit, do wszystkich by dotarło, że wcale nie została porwana, tylko łże na całego. Cokolwiek robiła, robiła to albo z miłości, albo dla seksu. Wróciła do ZdrowoTechu i do męża frajera, bo tamten facet ją wykopsał – ale prędzej by zdechła, niżby się do tego przyznała. A raczej: prędzej by kogoś zabiła.

Od czasu do czasu wchodziłam do szafy, wyciągałam z tygryska fioletową komórkę i dzwoniłam do Amandy. Wysyłałyśmy sobie esemesy z informacjami, kiedy najlepiej dzwonić. Jeśli trafiło się dobre połączenie, widziałyśmy się na wyświetlaczach. Zadawałam mnóstwo pytań o Ogrodników. Amanda powiedziała mi, że nie mieszka już u Zeba – Adam Pierwszy uznał, że jest prawie dorosła i powinna spać w oddzielnym boksie, co było straszną nudą.

– Kiedy będziesz mogła wrócić? – zapytała.

Nie wiedziałam, jak miałabym uciec ze ZdrowoTechu.

– Pracuję nad tym – odpowiedziałam.

Podczas następnej rozmowy przez telefon usłyszałam: „Zobacz, kto tu jest”. To był Shackie, szczyrzył się do mnie jak baran. Zastanawiałam się, czy ze sobą spali. Czułam się tak, jakby Amanda podniosła z ziemi jakiegoś błyszczącego śmiecia, którego sama chciałam mieć. Głupie to było, bo nic do Shackiego nie czułam.

Owszem, zastanawiałam się, czy to jego ręka pojawiła się na moich poślankach wtedy wieczorem w holografomacie. Ale to był raczej Croze.

– Co u Croze'a? – spytałam Shackiego. – I Oatesa?

– W porządku – wybąkał w odpowiedzi. – Kiedy wracasz?

Croze bardzo za tobą tęskni! Gangrono, co nie?

– Wegan grono – odparłam. Zdziwiłam się, że wciąż używał tego dzieciennego hasła. Pewnie Amanda go do tego namówiła, żebyśmy poczuła, że jesteśmy grupą.

Gdy Shackie zniknął z ekranu, Amanda powiedziała mi, że są teraz partnerami i razem chodzą kraść do galerii handlowych. Warunki były uczciwe: ona miała kogoś, kto ją zabezpieczał, pomagał kraść towar i opylać go, a on – partnerkę do seksu.

– Nie kochasz go? – spytałam.

Usłyszałam, że jestem romantyczką. I że miłość jest bez sensu, bo przez nią człowiek dokonuje idiotycznych wymian, w których daje więcej, niż powinien, a potem robi się zły i zgorzkniały.

Jimmy i ja zaczęliśmy razem odrabiać lekcje. Pomagał mi w rzeczach, które były dla mnie nowe. To było bardzo miłe z jego strony. Dzięki temu, że u Ogrodników męczyli nas uczeniem się na pamięć, teraz wystarczyło, że rzuciłam okiem na lekcję – i zaraz miałam ją w głowie jak obraz. Zatem chociaż wszystko było dla mnie trudne i czułam, że jestem mocno do tyłu, szybko zaczęłam nadrabiać zaległości.

Jimmy był dwa lata wyżej ode mnie, więc nie chodził na te same lekcje co ja, z wyjątkiem lekcji życia, które miały pomóc nam ułożyć sobie życie, kiedy już będziemy je mieli. Na tych zajęciach łączono ze sobą różne grupy wiekowe, żebyśmy nawzajem korzystali ze swoich życiowych doświadczeń. Jimmy zamienił się z kimś miejscami, żeby siedzieć za mną. „Będę twoim ochroniarzem” – szepnęła, a ja poczułam, że jestem bezpieczna.

Kiedy Lucerne nie było w domu, szliśmy odrabiać lekcje do mnie. Kiedy była, szliśmy do Jimmy’ego. Wołałam chodzić do niego, bo miał w domu szopunksicę. Szopunks był nowym kompozytem genetycznym: w jednej połowie skunks, z tym że nie śmierdział, a w drugiej połowie szop, z tym że bez agresji. Szopunksica wabiła się Killer. Była jedną z pierwszych sztuk, które zrobili. Kiedy wzięłam ją na ręce, od razu mnie polubiła.

Matka Jimmy’ego chyba też mnie lubiła, chociaż kiedy zobaczyła mnie po raz pierwszy, przenikliwie spojrzała na mnie tymi swoimi

surowymi niebieskimi oczyma i zapytała, ile mam lat. Ja również bardzo ją lubiłam, chociaż za dużo paliła, a od dymu dostawałam kaszlu. U Ogrodników nikt nie palił, przynajmniej nie papierosy. Matka Jimmy'ego dużo pracowała na komputerze, ale nie za bardzo wiedziałam, co na nim robi, bo nie była nigdzie zatrudniona. Ojca prawie nigdy nie było w domu, siedział w laboratoriach, starając się znaleźć sposób, jak przeszczepić ludzkie komórki i DNA świniom, żeby wyhodować nowe organy. Kiedy zapytałam Jimmy'ego, jakie to miały być organy, odpowiedział mi, że nerki, a może też płuca, że w przyszłości będzie można zamówić sobie własną świnie, w której będzie drugi egzemplarz wszystkiego. Wiedziałam, co powiedzieliby o tym Ogrodnicy – powiedzieliby, że to jest złe, bo tę świnie trzeba by potem zabić.

Jimmy widział te świnie. Potocznie nazywali je świnionami – od „świni” i „balona”, bo były bardzo duże. Jimmy mówił, że metody wytwarzania zapasowych organów są tajemnicą firmy, że są supercenne.

– Nie boisz się, że jakaś obca Korporacja porwie ci tatę, żeby wycisnąć tę tajemnicę z jego mózgu? – spytałam go. Takie rzeczy działy się coraz częściej: nie mówili o nich w wiadomościach, lecz po ZdrowoTechu krążyły różne plotki. Czasem porwanych naukowców udawało się odbić, a czasem nie. Wprowadzano coraz bardziej rygorystyczne środki bezpieczeństwa.

Po odrobieniu lekcji szliśmy się pokręcić po galerii handlowej ZdrowoTechu, pograć w spokojne gry wideo i wypić psychacappuccino. Za pierwszym razem powiedziałam mu, że psychakawa to wywar zła i że nie mogę jej pić. Jimmy mnie wyśmiał. Za drugim razem wysiliłam się trochę i... smakowała przepysznie. Wkrótce całe to jej zło przestało mnie obchodzić.

Jakiś czas potem Jimmy powiedział mi o Wakulli Price. Mówił, że to pierwsza dziewczyna, którą kochał, ale kiedy poprosił ją, żeby zaczęli być razem na poważnie, usłyszał, że mogą być tylko przyjaciółmi. Chociaż wiedziałam o tym wcześniej, powiedziałam mu, że bardzo mi przykro. Jimmy dodał, że po tamtej rozmowie przez parę tygodni czuł się jak psie rzygi i wciąż jeszcze tego nie przeboleał.

Zapytał mnie, czy mam w plebsopolii chłopaka. Powiedziałam, że tak – co nie było prawdą – a ponieważ nie było sposobu, żebym tam wróciła, postanowiłam o nim zapomnieć, bo to najlepsze, co można zrobić, kiedy się kogoś pragnie, a nie można go zdobyć. Jimmy bardzo mi współczuł z powodu tego utraconego chłopaka i ścisnął mnie za rękę. Poczulałam wyrzut sumienia, że kłamię, lecz tego ściśnięcia nie żałowałam.

Prowadziłam wtedy pamiętnik, jak wszystkie dziewczyny w szkole – to był szal na retro. Do komputera ktoś mógł się włamać, ale zeszytu z papieru zhakować się nie dało. W pamiętniku zapisywałam wszystko. Było tak, jakbym z kimś rozmawiała. Nie uważałam już, że pisanie może być niebezpieczne – to chyba dowód, jak bardzo zdążyłam oddalić się od Ogrodników. Pamiętnik trzymałam w szafie, w pluszowym niedźwiadku, żeby nie szperała w nim Lucerne. W tej kwestii Ogrodnicy mieli rację: czytanie sekretnych słów innych ludzi daje nam władzę nad nimi.

W liceum ZdrowoTechu pojawił się nowy chłopak. Miał na imię Glenn. Jak tylko go zobaczyłam, od razu poznałam, że to ten sam Glenn, który przyszedł ze słoikiem miodu na Drzewo Życia w Tygodniu Świętego Euella i którego razem z Amandą odprowadzałam do Pilar. Wydało mi się, że skinął do mnie głową – czyżby mnie rozpoznał? Miałam nadzieję, że nie, bo nie chciałam, żeby rozpowiedział, gdzie ostatnim razem mnie widział. Może KorpuSOKorp wciąż jeszcze szukał rzekomego seksualnego ciemniźcyela Lucerne? A jeśli po moich śladach dojdą do Zeba i z wyciętymi narządami wyląduje w zamrażarce? Przerażająca myśl.

Ale nawet jeśli Glenn mnie pamiętał, na pewno by się nie wygadał. Nie chciałby przecież, żeby ludzie dowiedzieli się o Pilar, o Ogrodnikach i o tym, co u nich robił. Byłam pewna, że było to coś nielegalnego, inaczej Pilar nie kazałaby Amandzie i mnie odejść. Zrobiła to po to, żeby nas chronić.

Glenn zachowywał się tak, jakby nikt go nie obchodził – jakby był tylko on i te jego czarne T-shirty. Wkrótce jednak zakumpłował się z nim Jimmy. Odtąd widywałam Jimmy'ego rzadziej.

– Co ty robisz razem z tym Glennem? Jest z lekka upiorny – zapytałam go któregoś popołudnia, kiedy w szkolnej bibliotece odrabialiśmy zadania domowe przy komputerach.

Jimmy odpowiedział, że grają w trójwymiarowe szachy albo gry wideo online, u niego albo u Glenna. Pomyślałam, że raczej oglądają pornosy – większość facetów to robiła, również wiele dziewczyn – zapytałam zatem, co to za gry. Atak Barbarzyńców, powiedział Jimmy, gra wojenna. Krew i Róże przypominała Monopol, z tym że tutaj chodziło o zawładnięcie rynkiem ludobójstwa i okrucieństw. Wymaraton był grą na wiedzę ogólną, w której grało się na wymarłe zwierzęta.

– Może wpadłabym kiedyś, żeby z wami zagrać? – zapytałam, ale nie podchwycił pomysłu. Pewnie jednak oglądali porno.

Zdarzyła się wtedy bardzo zła rzecz: zniknęła matka Jimmy'ego. Nie było to porwanie, ludzie mówili, że odeszła sama. Słyszałam, jak Lucerne rozmawiała o tym z Frankiem: wyglądało na to, że matka Jimmy'ego ulotniła się z całą masą niezmiernie ważnych danych. W rezultacie KorpuSOKorp rozpełził się po całym mieszkaniu Jimmy'ego jak robactwo. Lucerne powiedziała, że skoro Jimmy jest moim dobrym kumplem, lada chwila mogą przyjść węszyć i u nas. Wprawdzie nie mamy nic do ukrycia, lecz byłby to niepotrzebny kłopot.

Nie czekając na nic, wysłałam Jimmy'emu esemesa, w którym napisałam, że jest mi bardzo przykro z powodu zniknięcia jego matki, i pytałam, czy mogę mu jakoś pomóc. Nie przyszedł do szkoły, ale odpisał mi po paru dniach, a wkrótce potem wpadł do mnie do domu. Był załamany. Powiedział, iż nie dość, że odeszła matka, to jeszcze KorpuSOKorp poprosił ojca o pomoc w śledztwie, co oznaczało tyle, że tatę zabrała czarna furgonetka solarna. Dwie korpusówki węszyły teraz po całym domu i zadawały mu mnóstwo głupich pytań. Najgorsze było jednak to, że matka zabrała Killer, żeby ją wypuścić na wolność na łono natury. Taką zostawiła mu wiadomość. Ale łono natury nie było dla Killer odpowiednim miejscem, bo tam mogły ją zjeść kotrysie.

– Ach, Jimmy – powiedziałam. – To straszne!

Objęłam go i przytuliłam. Prawie płakał. Ja też się rozplakałam, czule pogłaskaliśmy się nawzajem, jakbyśmy oboje złamali sobie ręce albo dostali jakieś choroby. Potem łagodnie ułożyliśmy się w moim łóżku – wciąż nie wypuszczając się z objęć, jakbyśmy tonęli – i zaczęliśmy się całować. Czułam, że pomagam Jimmy’emu, a jednocześnie on pomaga mnie. Było tak jak podczas święta u Ogrodników, kiedy wszystko robiło się w specjalny sposób, bo wszystko było dla uczczenia czegoś. To też było właśnie takie: dla uczczenia.

– Nie chcę ci zrobić krzywdy – powiedział.

Ach, Jimmy, pomyślałam. Otaczam cię Światłem.

Po tym pierwszym razie czułam się bardzo szczęśliwa, niemal śpiewałam – nie jakąś smętną pieśń, była to pieśń ptaka. Uwielbiałam spać z Jimmym, w jego ramionach czułam się taka bezpieczna. Zaskakiwało mnie, jak śliska i jedwabista może być jedna skóra w styczności z drugą. „Ciało ma własną mądrość” – powiedział Adam Pierwszy. Jemu chodziło o układ odpornościowy, ale miało to też inny sens. Ta mądrość była czymś więcej niż tylko śpiewem – była jak taniec, tylko od niego lepsza. Kochałam Jimmy’ego i z konieczności wierzyłam, że Jimmy też mnie kocha.

W pamiętniku zapisałam: JIMMY. Podkreśliłam to na czerwono i narysowałam czerwone serce. Wciąż jeszcze nie miałam pełnego zaufania do pisma i nie zapisywałam wszystkiego, co się wydarzyło, lecz za każdym razem gdy się kochaliśmy, rysowałam kolejne serce i zamalowywałam je.

Postanowiłam zadzwonić do Amandy i opowiedzieć jej o tym, mimo że kiedyś Amanda powiedziała, że ludzie opowiadający o swoich przeżyciach seksualnych są nudni jak ludzie opowiadający swoje sny. Kiedy jednak weszłam do szafy i wzięłam do ręki pluszowego tygrysa, nie znalazłam w nim fioletowego telefonu.

Przebiegł mnie zimny dreszcz. Pamiętnik był na swoim miejscu w niedźwiadku. Ale telefon zniknął.

Do pokoju weszła Lucerne i zapytała, czy nie wiem, że każdy telefon na terenie Kompleksu musi być zarejestrowany, żeby ludzie nie mieli możliwości przekazywania telefonicznie firmowych tajemnic. Posiadanie niezarejestrowanego telefonu było przestępstwem, a KorpuSOKorp był w stanie go wytropić. Czy ja tego wszystkiego nie wiem?

Pokręciłam głową i zapytałam:

– Czy wiedzą, do kogo się dzwoni?

Odparła, że są w stanie ustalić numer, a to może oznaczać bardzo niemiłą niespodziankę dla rozmówców po obu stronach. Nie powiedziała „bardzo niemiłą niespodziankę”, użyła słów: „fatalne skutki”.

Powiedziała też, że chociaż dobrze wie, iż uważam ją za złą matkę, to przecież leży jej na sercu moje dobro. Na przykład: gdyby przypadkiem znalazła jakiś fioletowy telefon, z którego często dzwoniło na jeden numer, wysłałaby na ten numer wiadomość o treści w stylu: pozbądź się tego! Zatem gdyby tamten telefon został zlokalizowany, znajdowałby się już w śmietniku. Lucerne natomiast pozbyłaby się fioletowego. Teraz zaś idzie pograć w golfa i ma nadzieję, że dokładnie przemyśle sobie jej słowa.

Przemyślałam je dokładnie. Myślałam tak: „Lucerne postąpiła wbrew sobie, żeby ocalić Amandę. Na pewno wiedziała, do kogo dzwoniłam. A przecież Lucerne nie znosi Amandy. Czyli tak naprawdę postąpiła wbrew sobie, żeby ocalić Zeba. Mimo wszystko wciąż go kocha”.

Kochałam Jimmy’ego i dzięki temu lepiej rozumiałam Lucerne i jej zachowanie wobec Zeba. Zrozumiałam, że dla kogoś, kogo się kocha, można robić najdziwniejsze rzeczy. Adam Pierwszy mówił, że kiedy kogoś Kochamy, nasza miłość nie zawsze bywa odwzajemniona tak, jak byśmy chcieli, ale i tak jest ona czymś dobrym, bo miłość promieniuje z nas niczym fale energii, a to może pomóc stworzeniu, którego sami nie znamy. Jako przykład podał kogoś zabitego przez wirusa i zjedzonego przez sępy. Samo porównanie mi się nie podobało, lecz zgadzałam się co do ogólnej myśli. Oto bowiem Lucerne wysłała tamtą wiadomość, bo kochała Zeba,

a przy okazji uratowała Amandę, co wcale nie było jej pierwotnym zamiarem. Adam Pierwszy miał więc rację.

Straciłam jednak kontakt z Amandą. Bardzo mnie to zasmuciło.

Jimmy i ja nadal odrabialiśmy razem lekcje. Czasami, kiedy w pobliżu znajdowali się inni ludzie, naprawdę to na tym polegało. Ale w pozostałych wypadkach było inaczej. Wystarczała nam minuta, żeby zrzucić ubrania i rzucić się na siebie. Dłonie Jimmy'ego przebiegały po całym moim ciele, powtarzał, że jestem smukła jak sylf – często używał takich słów, chociaż nie zawsze wiedziałam, co znaczą. Czasami mówił, że czuje się tak, jakby molestował dziecko. Z czasem zaczęłam zapisywać niektóre jego słowa, jakby to były prorocтва. „Jimmy jest taki fajny że powiedział że jestem jak sylf”. Ortografia mnie nie obchodziła, obchodziło mnie uczucie.

Kochałam go bardzo mocno. Ale zrobiłam jeden błąd. Zapytałam go, czy wciąż jest zakochany w Wakulli, czy może teraz kocha mnie. Nie powinnam była o to pytać. Zwlekał z odpowiedzią, a potem rzekł: czy to ważne? Chciałam powiedzieć, że tak, ale powiedziałam, że nie. Jakiś czas potem Wakulla Price przeprowadziła się na Zachodnie Wybrzeże i Jimmy zrobił się marketny. Znowu spędzał więcej czasu z Glennem niż ze mną. To była jego odpowiedź, odpowiedź, która bardzo mnie przygnębiła.

Mimo to wciąż ze sobą sypialiśmy, niezbyt jednak często – czerwone serca w moim pamiętniku pojawiały się w coraz większych odstępach. I wtedy przypadkiem zobaczyłam Jimmy'ego w galerii handlowej z tą ordynarną starszą dziewczuchą o imieniu LyndaLee, o której fama głosiła, że miała wszystkich chłopaków w szkole, jednego po drugim, szybko, jak orzeszki sojowe. Jimmy trzymał prawą rękę centralnie na jej dupie, a ona schyliła głowę i pocałowała go. To był długi, soczysty pocałunek. Gdy wyobraziłam sobie Jimmy'ego razem z nią, zrobiło mi się źle na żołądku. Przypomniało mi się, co Amanda opowiadała o chorobach, i pomyślałam, że cokolwiek miała LyndaLee, teraz i ja to mam. Wróciłam do domu, zwymiotowałam, rozplakałam się, a potem wzięłam ciepłą kąpiel w mojej wielkiej białej wannie. Za bardzo mnie to nie pocieszyło.

Jimmy nie domyślał się, że wiem o nim i LyndaLee. Parę dni potem zapytał, czy może wpaść do mnie jak zawsze. Zgodziłam się. W pamiętniku napisałam: „Jimmy ty wścibski sukinsynu wiem że to czytasz nie cierpię tego to że się z tobą pieprzyłam nie znaczy że cię lubię więc ŁAPY PRZY SOBIE!”. Dwa czerwone podkreślenia pod „nie cierpię”, trzy pod „łapy przy sobie”. Pamiętnik położyłam na widoku, na komodzie. Pomyślałam, że owszem, wrogowie mogą użyć naszych zapisków przeciwko nam, ale i my możemy ich użyć przeciwko wrogom.

Gdy skończyliśmy się kochać, wzięłam prysznic. Kiedy wyszłam z łazienki, Jimmy czytał pamiętnik. Zapytał, dlaczego nagle przestałam go lubić. Powiedziałam mu dlaczego. Użyłam przy tym słów, których nigdy przedtem nie wypowiedziałam na głos. Jimmy uznał, że postąpił wobec mnie niesprawiedliwie i że nie jest zdolny do zaangażowania się z powodu Wakulli Price, która zrobiła z niego emocjonalny śmietnik – choć może jest destrukcyjny z natury, skoro schrzcinał każdy związek z każdą dziewczyną, za którą się brał. Spytałam, ile dokładnie ich było. Nie mogłam znieść, że ot tak, wrzuciła mnie do jednego ogromnego worka dziewczyn, jak brzoskwinie albo rzepy. Jimmy stwierdził, że bardzo mnie lubi jako osobę i dlatego właśnie chciał być ze mną szczerzy. Na co ja mu powiedziałam, żeby się wypchał. W ten sposób zerwaliśmy w nieprzyjaznej atmosferze.

Okres, który po tym nastąpił, był bardzo mroczny. Zadawałam sobie pytanie, co robię na tym świecie – nikt by się za bardzo nie przejął, gdybym z niego zniknęła. Może powinnam zrzucić to, co Adam Pierwszy nazywał ziemską powłoką, i przeobrazić się w sępa albo robaka. I wtedy przypomniałam sobie, co jeszcze mówili Ogrodnicy: „Ren, twoje życie to drogocenny dar. A jeśli jest dar, to musi być i Dawca. Kiedy dostaje się dar, mówi się »dziękuję«!”. To trochę pomogło.

Słyszałam też głos Amandy: dlaczego jesteś taka słaba? Miłość to nie jest uczciwy interes. Jimmy się tobą znudził, i co z tego? – chłopaków wkoło jak mrówek, możesz ich wyrywać jak kwiaty i wyrzucać, gdy zwiędną. Ale zachowuj się przy tym tak, jakbyś się nieziemsko bawiła, jakby każdy dzień był nową imprezą.

To, co zrobiłam potem, nie było dobre i wciąż jeszcze się tego wstydzę. W szkolnej stołówce podeszłam do Glenna – kosztowało mnie to wiele odwagi, bo od Glenna bił taki chłód, jakby był bryłą lodu. Zapytałam go, czy nie miałby ochoty się ze mną zakumplować. Postanowiłam iść z nim do łóżka, żeby Jimmy się o tym dowiedział i się zdołował. Na seks z Glennem nie miałam najmniejszej ochoty. To byłoby jak pieprzyć się z łyżką do sałatki – z czymś płaskim i z drewna.

Glenn był zaskoczony:

– Zakumplować? – zapytał. – Czy ty nie chodzisz z Jimmym?

Powiedziałam mu, że tamto się skończyło i że właściwie nigdy nie było niczym poważnym, bo Jimmy jest bufonem. A potem chlapnęłam pierwszą rzecz, jaką ślina przyniosła mi na język:

– Widziałam cię u Ogrodników na Drzewie Życia, pamiętasz?

Odprowadziłam cię do Pilar. Miałeś miód...

Glenn był przerażony. Stwierdził, że musimy wypić razem pychacappuccino i pogadać.

No to pogadaliśmy. Od tamtego czasu sporo gadaliśmy. Spędzaliśmy razem dużo czasu w galerii handlowej, aż w końcu inni zaczęli podejrzewać, że coś między nami jest. Ale nie było – to nigdy nie stało się romansem. Czym więc było? Glenn był chyba jedyną osobą w ZdrowoTechu, z którą mogłam porozmawiać o Ogrodnikach, i na odwrót – chyba to nas połączyło. To było coś jak członkostwo w tajnym klubie. Może to Glenn, a nie Jimmy, był moim bliźniakiem? Dziwny to pomysł, bo Glenn był dziwnym facetem. Przypominał trochę cyborga – tak zresztą nazywała go Wakulla Price. Czy byliśmy przyjaciółmi? Nie powiedziałabym. Czasami patrzył na mnie tak, jakbym była amebą albo jakimś problemem do rozwiązania na zajęciach z nanobioform.

Glenn już wtedy mnóstwo wiedział o Ogrodnikach, ale chciał wiedzieć więcej. Jak się żyło wśród nich na co dzień. Co robili, co mówili, w co tak naprawdę wierzyli. Kazał mi śpiewać ich piosenki, chciał, żebym powtarzała mu, co Adam Pierwszy mówił w swoich przemówieniach z okazji świąt i dni świętych – Glenn nigdy się z nich nie śmiał tak, jak zrobiłby to Jimmy, gdybym mu

o nich opowiedziała. Glenn zadawał pytania takie jak na przykład: „Więc uważają, że nie powinniśmy używać niczego, co nie pochodzi z recyklingu... A co jeśli Korporacje przestaną produkować nowe rzeczy? Wszystkiego nam zabraknie”. Czasami jego pytania były bardziej osobiste: „Czy gdybyś umierała z głodu, zjadłabyś zwierzę?”, albo: „Czy twoim zdaniem Bezwodny Potop wydarzy się naprawdę?”. Nie zawsze wiedziałam, co odpowiedzieć.

Rozmawialiśmy też o innych rzeczach. Kiedyś Glenn powiedział mi, że jeśli człowiek znajdzie się w niekorzystnej sytuacji, powinien zabić króla, jak w szachach. Odparłam, że nie ma już królów. Wyjaśnił, że ma na myśli ośrodek władzy i że w dzisiejszych czasach nie będzie to pojedyncza osoba, lecz powiązania technologiczne. Zapytałam: „Chodzi ci o kodowanie i kompozycje genetyczne?”. „Coś w tym stylu” – odparł.

Innym razem zapytał mnie, czy uważam, że Bóg jest zlepkiem neuronów, a jeśli tak, to czy ludzie, którzy mają ten zlepek, dostali go w drodze doboru naturalnego, bo dawał jakąś przewagę w rywalizacji, czy może był to po prostu zwykły ozdobnik i wypełniacz, tak jak na przykład rude włosy, który nijak nie wpływa na szanse przeżycia jednostki. Kiedy mówił w ten sposób, najczęściej całkiem się gubiłam i pytałam: „A ty jak myślisz?”. On zawsze miał na to jakąś odpowiedź.

Kiedy Jimmy zobaczył nas razem w galerii, wyglądał na naprawdę zaskoczonego. Jego zaskoczenie nie trwało jednak długo, bo po chwili pokazał Glennowi podniesione w górę kciuki, jakby mówił: Śmiało, stary, na mój koszt! Jakbym była jego własnością, którą się dzielił.

Jimmy i Glenn skończyli liceum dwa lata przede mną i poszli na studia. Glenn, razem z resztą mózgowców, poszedł do Watsona-Cricka, a Jimmy do Akademii imienia Marthy Graham, do której szli ludzie bez zdolności do matmy i nauk ścisłych. Teraz przynajmniej nie musiałam oglądać Jimmy’ego w szkole i patrzeć, jak próbuje wyrwać tę czy inną nową uczennicę. Ale bez Jimmy’ego było chyba gorzej niż z nim.

Minęły jakoś dwa następne lata szkoły. Stopnie miałam marne i nie sądziłam, żebym się gdzieś dostała na studia. Spodziewałam się, że skończę jako mięsna wyrobница pracująca za głodową pensję w SekretBurgerze albo czymś podobnym. Lucerne poruszyła jednak jakieś sprężyny. Słyszałam, jak rozmawiała na ten temat ze znajomym z klubu golfowego: „Ona nie jest głupia, tylko że to, co przeżyła w tej sekcie, całkiem pozbawiło ją motywacji, tak więc pewnie nie wymyślimy nic lepszego niż Martha Graham”. Miałam więc studiować tam gdzie Jimmy. Tak się tym zdenerwowałam, że zrobiło mi się niedobrze.

Dzień przed odjazdem w zaplombowanym pociągu szybko-bieżnym przeczytałam cały swój pamiętnik i zrozumiałam, co mieli na myśli Ogrodnicy, mówiąc: „Uważaj na to, co piszesz”. Pamiętnik zawierał moje własne słowa napisane w czasach, kiedy byłam bardzo szczęśliwa – ale teraz czytanie ich było torturą. Wzięłam pamiętnik, zesłałam z nim na ulicę, skręciłam za róg i wyrzuciłam go do kubła na ropośmięci. Zrobią z niego ropę, a gdy wszystkie czerwone serduszka, które rysowałam, pójdą z dymem, po drodze będzie z nich przynajmniej jakiś pożytek.

Jedna moja połowa myślała, że w Marcie Graham odnajdę Jimmy’ego, który powie, że mnie jedną kochał przez cały czas i że możemy do siebie wrócić, ja mu wtedy przebaczę i wszystko będzie cudowne jak dawniej. Lecz druga połowa wiedziała, że szanse na to są równe zeru. Adam Pierwszy mawiał, że ludzie potrafią wierzyć jednocześnie w dwie sprzeczne ze sobą rzeczy. Teraz rozumiałam, że to prawda.

Święto Roztropności Węży

Święto Roztropności Węży

Rok osiemnasty

O znaczeniu Wiedzy Instynktownej

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Współśmiertelnicy, Współstworzenia!

Obchodzimy dziś Święto Roztropności Węży. Nasze Dzieci po raz kolejny świetnie się spisały, przygotowując ozdoby. Jesteśmy wdzięczni Amandzie i Shackletonowi za ujmujące malowidło na murze przedstawiające Węża Lisiego pożerającego Żabę – które w celny sposób przypomina nam o złożonej naturze Tańca Życia. W naszym dzisiejszym święcie główną rolę odgrywa Kabaczek, warzywo wężokształtne. Podziękujmy Rebecce, naszej Ewie Jedenaściej, za to, że przygotowała dla nas innowacyjny Deser z Kabaczką i Rzodkwi. Nie możemy się go już doczekać.

Tymczasem jednak muszę zwrócić waszą uwagę na fakt, iż pewne indywidua starały się w sposób nieoficjalny zebrać informacje o Zebie, naszym wielorako uzdolnionym Adamie Siódmym. W Ogrodzie naszego Ojca jest wiele Gatunków, na świecie potrzebni są i tacy, i owacy, Zeb zaś wybrał opcję niestosowania przemocy. A zatem jeśli was będą pytać, pamiętajcie, że najlepszą odpowiedzią zawsze jest „nie wiem”.

Rozważamy dziś tekst o Roztropności Węży pochodzący z Ewangelii świętego Mateusza, rozdział 10, werset 16: „Bądźcie więc roztropni jak Wężę, a nieskazitelni jak Gołębie”. Dla tych spośród nas, którzy kiedyś byli biologami i zajmowali się badaniem Węży

lub Gołębi, zdanie to brzmi jak zagadka. Wężę to świetni łowcy, swoje ofiary paraliżują, duszą lub miażdżą – zdolność ta pozwala im uśmiercać wiele Myszy i Szczurów. Ale pomimo całej tej ich przyrodzonej sztuki normalnie nie powiemy, że Wężę są „roztropne”. Gołębie natomiast, choć nam zdają się nieskazitelne, są niezmiernie agresywne w stosunku do innych Gołębi: samiec – jeśli nadarzy się okazja – potrafi pokiereszować albo zabić drugiego, mniej dominującego samca. Jako Gołębica czasem przedstawiany jest Duch Boży, z czego powinniśmy wnosić ni mniej, ni więcej, tylko to, że Duch ten nie zawsze jest pokojowy – że potrafi też być srogi.

Wąż w Człowieczych Słowach Boga to bardzo nośny symbol, choć występuje w różnych postaciach. Raz jest przedstawiany jako istota zła i wróg Człowieka – być może dlatego że kiedy będące naszymi przodkami Naczelne spały na drzewach, Dusiecie należały do tych niewielu nocnych drapieżników, które na nich polowały. Dla naszych przodków, którzy przecież byli bosci, stąpięcie na Żmiję oznaczało pewną śmierć. Wąż jednak bywa także utożsamiany z Lewiatanem, owym wielkim potworem morskim, którego Bóg stworzył po to, by nauczył ludzi pokory, i który został wspomniany Hiobowi jako budzący podziw przykład Jego Pomysłowości.

U starożytnych Greków Wężę były poświęcone bogu sztuki leczniczej. W niektórych religiach Wąż z własnym ogonem w pyśku symbolizuje cykl Życia, początek i kres Czasu. Ponieważ Wężę zrzucają skórę, symbolizują również Odnowę, odrzucenie starego „ja” przez Duszę, która wyłania się na nowo jaśniejąca. Owszem, to dość trudny symbol. A więc – w jaki sposób mamy być „roztropni jak Wężę”? Czy mamy pożerać własne ogony, kusić ludzi do złych uczynków, owijac się wokół wrogów i dusić ich na śmierć? Oczywiście że nie, gdyż w tym samym zdaniu wzywa się nas, byśmy byli nieskazitelni jak Gołębie.

Twierdzę, że Roztropność Węży to roztropność i mądrość wynikająca z bezpośredniego odczuwania, tak jak Wąż wyczuwa wibracje Ziemi. Wąż jest roztropny i mądry, bo żyje

w bezpośredniości, niepotrzebna mu zawiła intelektualna otoczka, którą Ludzkość konstruuje sobie bez końca. To bowiem, co dla nas jest religią i wiarą, dla innych Stworzeń jest wiedzą wrodzoną. Żaden człowiek nie pozna w pełni Bożego umysłu. Ludzki rozum to szpilka tańcząca na głowie anioła – tak mały jest w porównaniu z Boskim bezmiarem, który nas otacza.

Jak powiadają nam Człowiecze Słowa Boga: „Wiara zaś jest podstawą tych rzeczy, których się spodziewamy, przeświadczeniem o rzeczach niewidzialnych”. I w tym właśnie rzecz: w n i e w i d z i a l n y c h. Boga nie możemy poznać za pomocą rozumu ani pomiarów. Zbytek rozumu i pomiarów prowadzi wręcz do zwątpienia. Za ich sprawą wiemy, że wśród możliwych scenariuszy na jutro są Komety i atomowa zagłada – że nie wspomnę o Bezwodnym Potopie, który, jak się obawiamy, jest coraz bliżej. Obawa ta nadwątla naszą pewność, a tą drogą nadciąga utrata Wiary, następnie zaś w nasze Dusze wchodzi pokusa czynienia zła – jeśli bowiem czeka nas unicestwienie, po cóż trudzić się na rzecz Dobra?

My, Ludzie, musimy się wysilać, żeby wierzyć – inne Stworzenia nie muszą. One w i e d z ą, że nadejdzie świt. Wyczuwają to – z falowania półmroku, z drgania widnokregu. Nie tylko każdego Wróbla, nie tylko każdego Szopunksa, ale też każdego Nicienia, każdego Mięczaka, każdą Ośmiornicę, każdego Megarunosa i każdego Lwiagniora dzierży Jego dłoń. W odróżnieniu od nas, one nie potrzebują Wiary.

Co zaś się Węża tyczy, któż potrafi rozstrzygnąć, gdzie kończy się jego głowa, a zaczyna ogon? Wąż doświadcza Boga całym sobą, czuje przebiegające Ziemię vibracje Bóstwa i reaguje na nie szybciej niż myśł.

Tej właśnie roztropności i mądrości Węży pragniemy, tej całości Bytu. Z radością przyjmijmy zatem te nieliczne chwile, gdy za sprawą Łaski poprzez Czuwania i Rekolekcje oraz dzięki Botanice Bożej dostępujemy możliwości jej zaznania.

Zaśpiewajmy.

Bóg dał wszystkim Zwierzętom roztropność

Bóg dał wszystkim Zwierzętom roztropność,
Której pojąć niezdolni są ludzie.
Jak żyć – wiedzą Zwierzęta instynktem,
My tego uczymy się w trudzie.

Bóg ich Serce i Umysł oświeca,
Przeto szkół im ni książek nie trzeba –
Słońca blask pobzykuje do Pszczoły,
Z Kretem szepce wilgotna gleba.

Zwierz się zeru od Boga domaga –
Ziemski wikt smacznie czeka na Zwierza,
Choć Zwierz żaden się handlem nie para
I własnego nie kala leża.

Wąż, jak strzała sprężysty, wyczuwa,
Jeśli pod nim drga Ziemi skorupa –
Ona drga w nim wskroś ciała lśniącego,
Wzdłuż giętkiego drga kręgosłupa.

I ja pragnę czuć jedność Wszystkiego,
Pragnę osiąść roztropność Wężową,
By czuć lotną i żarliwą Duszą,
Zamiast myśleć jedynie Głową.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Toby. Święto Roztropności Węży

„Święto Roztropności Węży. Stary Księżyc”. Na różowym papierze z mrugającym okiem i wargami złożonymi w pocałunku Toby zapisuje nazwę święta i fazę księżyca. Stary księżyc oznacza dobry tydzień na przycinanie, mówili Ogrodnicy. Sądź przy nowym, tnij przy starym. To odpowiednia pora, by również na własnej osobie wykonać zabiegi ostrym narzędziem, odciąć zewnętrzne kawałki ciała, które wymagają skrócenia. Na przykład głowę.

– To żart – mówi na głos. Powinna unikać takich makabrycznych myśli.

Dziś przytnie sobie paznokcie. U rąk i u stóp. Nie wolno im pozwolić na zbytnią wybujałość. Powinna zrobić sobie manicure – jest tu mnóstwo kosmetyków, całe półki. „Ponętny Połysk NowyTy”. „Śliwkowy Preparat Ujędrniający Skórę NowyTy”. „Pełne Zanurzenie w Krynicy Młodości NowyTy – Zrzuć Ten Łuszczący Się Naskórek!” Po co jednak zawracać sobie głowę polerowaniem, ujędrnianiem, zrzucaniem? A czemu nie zawracać? Oba wyjścia są jednakowo bezsensowne.

Dawniej w NowyTy rozbrzmiewała łagodna melodyjka: „Zrób to dla siebie – objaw się jako »Nowa Ty«”. Mogłabym mieć nowiusieńką „ja”, myśli Toby. Kolejną nową „ja”, świeżą jak wąż. Ile by to już ich było przez ten cały czas?

Z trudem wspina się po schodach na dach, podnosi lornetkę, przepatruje swoje widzialne królestwo. W zielsku na skraju lasu coś się rusza: czyżby świnie? Jeśli tak, to najwyraźniej wolą się nie wychylać. Wokół martwego knura nadal kłębią się sępy. Na pewno uwija się w nim cała masa nanobioform. Musiał już dojrzeć.

A tu coś dla odmiany. Blżej budynku pasie się grupka owiec. Jest ich pięć: trzy to megarunosy – zielony, różowy i jasnofioletowy – dwie wydają się normalne. Długa wełna megarunosów nie jest w najlepszym stanie, pełno w niej skudlonych kłębków, gałązek, suchych liści. W reklamach telewizyjnych ich włos był lśniący: najpierw owca wstrząsała swoją wełną, a po chwili urodziwa dziewczyna zarzucała na bok grzywę z tym samych włosów. „Megarunosy dadzą ci megawłosy!” Bez opieki w salonie urody nie radzą sobie najlepiej.

Owce zbijają się w grupkę, podnoszą łby. Toby wypatrzyła przyczynę: w zielsku przyciały się dwa polujące lwiagniory. Owce chyba je zwietrzyły, ale pewnie zmylił je zapach, pół lwi, pół jagniący.

Fioletowy megarunos trzęsie się najbardziej. Nie wygląda jak ofiara, myśli Toby, patrząc na niego. Jak się słusznie domyśliła, lwiagniory mają chętkę na fioletowego. Odłączają go od stadka i gonią przez krótki odcinek. Nieszczęsny zwierz płacze się we własną koafiurę – wygląda jak wielka kudłasta peruka z nogami – i lwiagniory powalają go na ziemię. Przedarcie się do gardła przez całe to włochate podszycie zabiera im trochę czasu i nim lwiagniory go dobiją, megarunos kilkakrotnie próbuje zerwać się na nogi. W końcu zabierają się do żarcia. Pozostałe owce, becząc w przerażeniu, niezdarnie odbiegły nieco dalej, ale po chwili znowu zaczęły się paść.

Toby zamierzała popracować dziś w ogrodzie, zerwać trochę zieleniny. Zapasy konserwowanej i suszonej żywności kurczą się jak księżyc. Rozmyśliła się jednak z uwagi na lwiagniory. Wszystkie koty zastawiają pułapki – jeden bryka na widoku, żeby odciągnąć uwagę, a drugi już skrada się z tyłu.

Po południu zapada w drzemkę. Stary księżyc przyciąga przeszłość, mówiła Pilar – wszystko, co przybywa z cieni, należy przyjmować jako błogosławieństwo. Do Toby powraca przeszłość: dzieciństwo w białym domu o drewnianej konstrukcji, najwyklesze drzewa, lasy w oddali, lekko niebieskie jakby we mgle. Na tym tle kontur jelenia stojącego nieruchomo jak ozdoba trawnikowa, strzygącego uszami. Dalej, obok stosu sztchet, ojciec kopie łopatą. Przelotny widok matki w oknie kuchennym. Może gotuje zupę. Absolutny spokój, jakby nigdy miał się nie skończyć. Gdzie na tym obrazie – bo jest to obraz, płaski jak obraz wiszący na ścianie – jest Toby? Toby na nim nie widać.

Otwiera oczy – na policzkach łzy. Nie ma mnie na obrazie, bo ja stanowią ramę, myśli Toby. Tak naprawdę to nie przeszłość, to tylko ja – to ja trzymam to wszystko razem. To tylko garstka niknących połączeń neuronowych. To tylko złudzenie.

Jasne, że wtedy byłam optymistką, myśli Toby. Wtedy. Budziłam się, pogwizdując. Wiedziałam, że na świecie dzieją się złe rzeczy, mówiło się o nich, widziałam je w wiadomościach. Ale złe rzeczy działy się gdzieś indziej.

Kiedy miała zacząć studia, złe rzeczy stały się bliższe. Pamięta to dręczące uczucie, niczym nieustanne oczekiwanie na ciężkie kamienne stąpienie, a potem pukanie do drzwi. Wszyscy wiedzieli. Nikt nie przyznawał się, że wie. Kiedy inni zaczynali o tym rozmawiać, lepiej się było wyłączyć, bo to, o czym mówili, było oczywiste, a zarazem niewyobrażalne.

„Zużywamy Ziemię, już jej prawie nie ma”. Nie da się żyć z taką obawą i pogwizdywać. Czekanie, jak przyplływ, piętrzy się w człowieku, który zaczyna pragnąć, by mieć już to wszystko za sobą. W którymś momencie prosi niebios: „Zróbcie to wreszcie, dokonajcie najgorszego. Niech to się już stanie”. Śpiąc czy nie śpiąc, czuła w kręgosłupie nadciągające drżenie tego czegoś. To uczucie towarzyszyło jej zawsze, nawet u Ogrodników. Jak się z czasem okazało – zwłaszcza u Ogrodników.

Niedziela po Świącie Roztropności Węzy przypadła na dzień świętego Jacques'a Cousteau. Był rok osiemnasty, rok rozłamu, choć tego Toby jeszcze nie wiedziała. Pamięta, jak przedzierała się przez ulice Zapadliska w drodze do Kliniki Wellness na coniedzielną wieczorną radę Adamów i Ew. Nieszczególnie się z tego powodu cieszyła – ostatnio ich spotkania przerażały się w sprzeczki.

W minionym tygodniu całe zebranie upłynęło na roztrząsaniu problemów teologicznych. Na początek poszło o zęby Adama.

– Zęb y Adama? – prychnęła Toby. Przydałoby się jej popracować nad umiejętnością powściągnięcia takich wyrazów zaskoczenia, które mogły zostać odebrane jako krytyka.

Adam Pierwszy wyjaśnił, że niektóre dzieci było mocno poruszone, gdy Zeb wskazał różnice między zębami mięsożerców, służącymi do kłania i rozrywania, a zębami roślinożerców, służącymi do miażdżenia i rozdrabniania. Dzieci chciały wiedzieć, dlaczego ludzkie zęby wykazują cechy mieszane, skoro Adam – nie ulegało to wątpliwości – został stworzony jako wegetarianin.

– Niepotrzebnie dotykał tematu – mruknął Stuart.

– Zmieniliśmy się po Upadku – rzekła bystro Nuala. – Ewoluowaliśmy. Kiedy Człowiek zaczął jeść mięso, wtedy w naturalny sposób...

Adam Pierwszy stwierdził, że to zaprzęganianie wozu przed konia: Ogrodnicy nie osiągną swojego celu, którym jest pogodzenie odkryć Nauki z ich uświęconym poglądem na Życie, poprzez narusza-

nie prawideł tej pierwszej. Poleciał wszystkim zastanowić się nad tą lamigłówką i zaproponować rozwiązanie w terminie późniejszym.

Następnie zajęto się kwestią odzienia ze skór zwierzęcych, które według rozdziału 3 Księgi Rodzaju Bóg sporządził dla Adama i Ewy – kwestią owych niezręcznych „szat ze skórek”.

– Dzieci to niepokoi – rzekła Nuala. Toby wiedziała, dlaczego tak bardzo je to przerażało: czyżby Bóg zabił i obdarł któreś ze swych ukochanych Stworzeń, by zrobić z nich skórzane szaty? Jeśli tak, to dał Człowiekowi bardzo zły przykład. Jeśli nie, to skąd wzięły się te skórzane ubrania?

– Może zwierzęta zginęły śmiercią naturalną? – odezwała się Rebecca – a Bóg nie chciał, żeby się zmarnowały? – Rebecca zawsze zawzięcie walczyła o wykorzystywanie resztek.

– Może jakieś bardzo małe zwierzęta – dodał Katuru. – Krótko żyjące.

– To jedna z możliwości – stwierdził Adam Pierwszy. – Przyjmujemy ją, dopóki nie nasunie nam się bardziej przekonujące wytłumaczenie.

We wczesnym okresie sprawowania funkcji Ewy Toby zapytała, czy takie teologiczne dzielenie włosa na czworo jest naprawdę potrzebne. Adam Pierwszy odparł, że jest:

– Prawda jest taka, że większości ludzi nie obchodzą inne Gantunki, zwłaszcza w cięższych czasach. Obchodzi ich tylko następny posiłek, co jest rzeczą całkiem naturalną: musimy jeść albo umrzemy. Ale jeśli wszystko to obchodzi Boga? Ewolucja ukształtowała nas tak, że wierzymy w bogów, więc ta skłonność do wiary musi dawać jakąś ewolucyjną korzyść. Pogląd ściśle materialistyczny, mówiący, że jesteśmy eksperymentem, który białko zwierzęce przeprowadza na samym sobie, dla większości ludzi jest zbyt drastyczny i przygnębiający, prowadzi do nihilizmu. Skoro tak się rzeczy mają, naszym obowiązkiem jest kierować powszechne nastroje w kierunku przyjaznym dla biosfery i czynimy to, wskazując na ryzyko, iż gwałcąc ufność Boga pokładaną przez Niego w naszym szafarstwie, możemy Go rozgniewać.

– Chodzi ci o to – powiedziała Toby – że jeśli w tym wszystkim jest Bóg, to jest i kara.

– Tak – odparł Adam Pierwszy. – Nie muszę dodawać, że bez Boga też jest kara. Ale w to ludzie są mniej skłonni wierzyć. Jeśli ma być kara, potrzebują instancji karzącej. Ludziom nie podoba się idea bezsensownej katastrofy.

Co będą omawiali dzisiaj?, zastanawiała się Toby. Jaki owoc zjadła Ewa z Drzewa Wiadomości? Jeśli wziąć pod uwagę stan ówczesnego sadownictwa, nie mogło to być jabłko. Może daktyl? Może bergamotka? Tę ostatnią możliwość Rada rozważała przez dłuższy czas. Toby myślała o poddaniu pod dyskusję truskawki, ale truskawki nie rosną na drzewach.

Idąc ulicami, Toby jak zawsze zwracała baczność uwagę na to, co robią inni. Choć na głowie miała kapelusz przeciwsłoneczny, nic nie ograniczało jej widoku do przodu i na boki. Przystając w progach drzwi i patrząc na odbicia w oknach, sprawdzała, co dzieje się za nią. Nigdy jednak nie pozbyła się uczucia, że ktoś się za nią skrada, że na kark w każdej chwili może spaść jej czyjaś ręka – niebiesko-czerwona żyłasta ręka z bransoletką z czaszek niemowląt. Blanca nie widziano w Lagunie Ścieków od dłuższego czasu – jedni mówili, że wciąż siedzi w Paintbólu, inni, że walczy za granicą jako najemnik – ale Blanco był jak smog: w powietrzu nieustannie unosiły się jego drobiny.

Ktoś za nią szedł – czuła to, przypominało to mrowienie na plecach. Stała w jakimś progu, zwróciła się twarzą do ulicy i odetchnęła z ulgą: to był Zeb.

– Hej, lalczko – zawołał. – Gorąco, nie?

Dalej szli już razem. Zeb podśpiewywał sobie:

Wszyscy to mają w de,
Wszyscy to mają w de,
Dlatego tkwimy w tym pieprzonym gie,
Bo wszyscy to mają w de.

– Może lepiej przestań – rzekła Toby bezbarwnym tonem. Zwracanie na siebie uwagi na ulicy w plebsopolii nie było rozsądnym zachowaniem, zwłaszcza jeśli się było Ogrodnikiem.

– Nie mogę się powstrzymać – odparł wesoło Zeb. – To wina Boga, wplótł muzykę we włókno naszego istnienia. Słyszysz lepiej, kiedy się śpiewa, więc teraz też tego słucha. Mam nadzieję, że mu się podoba – dodał pobożnie, naśladowując kpiąco głos Adama Pierwszego. Często mówił takim głosem, choć tylko wtedy, kiedy Adama Pierwszego nie było w pobliżu.

Kroi się niesubordynacja, pomyślała Toby. Zeb ma dość bycia szympansem beta.

Gdy została Ewą, zaczęła lepiej rozumieć status Zeba wśród Ogrodników. Każdy Dach i każda komórka truflowa zajmowała się własnymi sprawami, ale co pół roku wysyłano delegatów na zgromadzenie ogólne, które ze względów bezpieczeństwa nigdy nie odbywało się w tym samym porzuconym magazynie. Za każdym razem Zeb był delegatem. Wiedział, jak przedostać się przez najniebezpieczniejsze rewiry plebsopolii i punkty kontrolne KorpuSOKorpu, nie będąc przy tym obrabowanym, pobitym, potraktowanym miotaczem lub aresztowanym. Może właśnie dlatego pozwalano mu dość luźno traktować Ogrodnicze zasady.

Adam Pierwszy rzadko kiedy osobiście brał udział w zgromadzeniach. Droga była niebezpieczna, a do tego milcząco zakładano, że Adama Pierwszego – w odróżnieniu od Zeba – nie wolno stracić. W teorii społeczność Ogrodników nie miała zwierzchnika, ale w praktyce przywódcą był Adam Pierwszy, otaczany czcią założyciel i guru. Jego słowo, niczym miękki młot, wiele ważyło na zgromadzeniach Ogrodników. A ponieważ tam rzadko miał okazję używać tego młota osobiście, Zeb wymachiwał nim w zastępstwie. To zaś musiało rodzić pokusę: Zeb mógłby wyrzucić dekrety Adama Pierwszego na śmieci i zastąpić je własnymi. W ten sposób zmieniano ustroje i obalano cesarzy.

– Masz złe wieści? – spytała go Toby. Ten śpiew był wymowny: kiedy Zeb miał jakąś złą wiadomość, był zawsze irytująco rozchocony.

– W rzeczy samej. Straciliśmy kontakt z jedną z naszych wtyczek w Kompleksolandzie, z naszym posłańcem. Wyciemnił się.

Toby dowiedziała się o posłańcu z chwilą, gdy została Ewą. Posłaniec przeniósł próbki z biopsji Pilar i dostarczył jej diagnozę – wszystko ukryte w słoiku z miodem. Nic więcej nie wiedziała – Adamowie i Ewy mieli dostęp do informacji, jednak tylko w niezbędnym stopniu. Pilar umarła kilka lat temu, posłaniec nie był więc już chłopcem.

– Wyciemnił? – zdziwiła się. – Jak to? – Czyżby przeszedł modyfikację pigmentacji? Nie o to chyba chodziło.

– Przedtem był w ZdrowoTechu, lecz gdy skończył liceum, przeniósł się do Instytutu Watsona-Cricka i zniknął nam z radaru. Co nie znaczy, że mamy radar – dodał.

Toby czekała. Na Zeba nie było sensu naciskać ani ciągnąć go za język.

– To zostanie między nami? – rzekł po chwili.

– Oczywiście – odparła Toby.

Cała zamieniam się w słuch i tyle, pomyślała. Jestem pieszczkiem wiernym towarzyszem. Studnią milczenia. Nic więcej. Kiedy cztery lata wcześniej Lucerne dała drapaka, Toby zastanawiała się przez krótki czas, czy między nią a Zebem mogłoby coś wyniknąć. Nic jednak z tych marzeń nie wyszło. Mam nie takie ciało, jak trzeba, myślała. Jestem zbyt umięśniona. On lubi bujniejsze.

– Rada o tym nie wie, okej? – powiedział Zeb. – Jego wyciemnienie tylko ich zdenerwuje.

– Zapomnę, że to w ogóle słyszałam.

– Jego ojciec przyjaźnił się z Pilar, która kiedyś, w ZdrowoTechu, zajmowała się Kompozytami Botanicznymi. Znałem ich oboje. Był bardzo niezadowolony, kiedy się dowiedział, że ZdrowoTech zaszczepia ludziom choroby przy użyciu swoich podrasowanych suplementów w pastylkach, że robi z nich darmowe zwierzaki doświadczalne, a potem kasuje za leczenie tych chorób. Sprytny przekręt: kazać bulić gruby szmal za coś, co się samemu spowodowało. To mąciło sumienie tatusia, więc podesał nam trochę ciekawych danych. A potem miał wypadek.

– Wypadek?

– W godzinach szczytu zjechał z estakady. Krwawy przecier.

– Dość drastyczny obraz w ustach wegetarianina – zauważyła Toby.

– Przepraszam. Krążyły pogłoski, że to samobójstwo.

– Przypuszczam, że było inaczej – rzekła Toby.

– Nazywamy to korporacjobójstwem. Jeśli należysz do Korporacji i robisz coś, co im się nie podoba, nie żyjesz. To jak samemu się zastrzelić.

– Rozumiem.

– Wracając do naszego młodzieńca. Jego matka pracowała w diagnostyce w ZdrowoTechu, chłopak złamał jej laboratoryjny login i w ten sposób mógł nam wszystko puszczać przez system. Genialny haker. Potem mamusia wyszła za ważnego gościa z Korporacji w ZdrowoTechu Centrum i dzieciak wyjechał razem z nią.

– Tam gdzie jest Lucerne – rzekła Toby.

Zeb zignorował tę uwagę:

– Chłopak przebił się przez ich zapory, spreparował parę tożsamości w Sieci, znowu się do nas odezwał. Przez pewien czas mieliśmy z nim kontakt, lecz teraz cisza.

– Może stracił zainteresowanie albo go złapali.

– Może – rzekł Zeb. – Ale to gracz w trójwymiarowe szachy, lubi wyzwania. Jest bystry. A do tego nie boi się.

– Ilu podobnych ludzi mamy w Kompleksach? – spytała Toby.

– Tak dobrego hakera mamy tylko jednego. Facet jest niepowtarzalny.

Dotarli do Kliniki Wellness i weszli do Octowni. Toby wślizgnęła się za trzy wielkie beczki, odblokowała najniższą półkę i odchyliła ją, tak że mogła otworzyć ukryte drzwi. Słyszała, jak Zeb wciąga brzuch, żeby przecisnąć się za beczkami. Nie był gruby, był po prostu wielki.

Przestrzeń pokoju niemal całkowicie zajmował stół sklecony ze starych desek podłogowych otoczony zbieraniną różnokształtnych krzeseł. Na jednej ścianie znajdowała się najnowsza akwarela – święty E.O. Wilson od Błonkoskrzydłych – którą stworzyła Nuala pod wpływem jednej z jej nazbyt częstych chwil artystycznego natchnienia. Święty został przedstawiony na tle słońca, co dawało efekt aureoli. Twarz zdobił mu ekstatyczny uśmiech, w ręce trzymał probówkę zawierającą kilka czarnych kropek. Były to, jak przypuszczała Toby, pszczoły albo mrówki. Jak to często bywało z obrazami świętych malowanymi przez Nualę, jedna ręka świętego była dłuższa.

Dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi – do pokoju wszedł Adam Pierwszy, a za nim pozostali.

Za kulisami Adam Pierwszy był inny – nie zupełnie inny, wcale nie mniej otwarty i szczerzy, ale zachowywał się bardziej praktycznie, a również bardziej taktycznie. Zaczął od słów: „Zmówmy cichą modlitwę w intencji powodzenia naszych obrad”. Wszystkie

spotkania rozpoczynały się w ten sposób. Modlenie się w ciasnej przestrzeni tajnego pomieszczenia przychodziło Toby z trudem: zbyt wyraźnie słyszała burczenie brzuchów, szmer ciał i strzelanie kości, wyczuwała kłęby potajemnych zapachów. Ale modlenie się zawsze przychodziło jej z trudem.

Cicha modlitwa była jakby obliczona co do sekundy. Gdy zgromadzeni podnieśli głowy i otworzyli oczy, Adam Pierwszy ogarnął wzrokiem pokój.

– Czy to nowy obraz wisi na ścianie? – zapytał.

Nuala rozpromieniła się:

– To święty E.O. Wilson – rzekła. – Od Błonkoskrzydłych.

– Moja droga, jak żywy! Zwłaszcza ta jedna... Masz prawdziwy talent – zakaszła lekko. – Przejdźmy do pilnej sprawy praktycznej. Przybyła do nas pewna wyjątkowa osoba. Pierwotnie kobieta ta wywodzi się ze ZdrowoTechu Centrum, choć odbyła, że tak powiem, wędrowkę. Na przekór wszystkim trudnościom przyniosła nam prezent w postaci genomów, za który należy jej się nie tylko tymczasowe schronienie, lecz bezpieczne ulokowanie w Świecie Złowszechnym.

– Szukają jej – powiedział Zeb. – Źle zrobiła, że wróciła do tego kraju. Trzeba będzie ją czym prędzej odesłać. Jak zwykle przez Słuczkę, a potem do ulicy Marzeń?

– Jeśli to bezpieczna droga – powiedział Adam Pierwszy. – Nie możemy podejmować niepotrzebnego ryzyka. Jeśli zajdzie potrzeba, możemy ją ukryć w pokoju zgromadzeń.

Stosunek liczebny kobiet do mężczyzn pod względem ucieczek z Korporacji wynosił mniej więcej trzy do jednego. Według Nuali, dlatego że kobiety postępują bardziej etycznie. Zdaniem Zeba, chodziło o to, że są przewrażliwione, a Philo twierdził, że to na jedno wychodzi. Tego rodzaju uciekinierzy i uciekinierki często przemycali ze sobą informacje. Formuły. Długie listy kodów. Tajemnice związane z testami. Firmowe kłamstwa. Toba zadawała sobie pytanie, do czego to wszystko jest potrzebne Ogrodnikom. Raczej nie sprzedawali tego jako materiału szpiegowskiego dotyczącego tajemnic korporacji przemysłowych, choć konkurencja

dałaby za to ładny grosz. Na ile mogła to ocenić, Ogrodnikom bardzo zależało na takich informacjach. Być może Adam Pierwszy marzył, że kiedy bardziej etyczna i technicznie bardziej niezawodna przyszłość zastąpi przygnębiającą teraźniejszość, uda się przywrócić do życia wszystkie zaginione Gatunki dzięki ich zachowanym kodom DNA. Sklonowano mamuta, można sklonować i resztę. Czy była to jego wizja ostatecznej Arki?

– Nasz nowy gość chce wysłać wiadomość do syna – rzekł Adam Pierwszy. – Martwi się, że zostawiła go w chwili, która może mieć decydujące znaczenie w jego życiu. Chłopak ma na imię Jimmy. Zdaje się, że studiuje w Akademii imienia Marthy Graham.

– Pocztówka – powiedział Zeb. – Powiemy, że jest od ciotki Moniki. Dajcie mi adres, to puszczę ją przez Anglię, jeden z naszych truflarzy jedzie tam za tydzień. KorpuSOKorp ją oczywiście przeczyta. Czytają wszystkie pocztówki.

– Chce, żebyśmy przekazali, że wypuściła jego szopunksa na łono natury w Parku Dziedzictwa, gdzie żyje sobie szczęśliwie na swobodzie. Wabi się... no... Killer.

– O Chryste zepeliński! – zawołał Zeb.

– Takie wyrażenia są nie na miejscu – rzekła Nuala.

– Przepraszam. Ale oni to wszystko tak cholernie utrudniają. To już trzecia wiadomość z domowym szopunksem w tym miejscu. Zaraz będą myszokoczeki i szczury.

– Ja uważam, że to wzruszające – powiedziała Nuala.

– Widać niektórzy praktykują to, czego nauczają – rzekła Rebecca.

Toby przydzielono zadanie opiekunki uciekinierki, której nadano pseudonim Ryba Młot, ponieważ kiedy odchodziła ze ZdrowoTechu, ukryła rozmiary dokonanej przez siebie kradzieży danych, demontując komputer męża za pomocą domowego zestawu do majsterkowania. Była szczupła, miała niebieskie oczy i za nic nie potrafiła się uspokoić. Jak wszyscy korporacyjni apostaci była przekonana, że jako jedyna poczyniła ważki heretycki krok postawienia się Korporacji, i odczuwała rozpaczliwą potrze-

bę, by inni nieustannie jej powtarzali, jakim dobrym jest człowiekiem.

Toby wyświadczała jej tę grzeczność. Mówiła Rybie Młotowi, że jest dzielna – co było prawdą – że wykazała się sprytem, obierając chytrą i pokrętną drogę, że wszyscy tu doceniali wartość dostarczonych przez nią informacji. W rzeczywistości Ryba Młot nie przyniosła im nic, czego dotąd nie wiedzieli – stara historia z przeszczepieniem świom ludzkiej kory nowej. Jednak powiedzieć jej o tym nie byłoby uprzejmie. Musimy zarzucać sieci szeroko, miał Adam Pierwszy, choćbyśmy mieli łowić i płotki. Musimy też być światełkiem nadziei, bo jeśli ludziom się powie, że nic się nie da zrobić, będą robili rzeczy gorsze niż to „nic”.

Toby odziała Rybę Młot w ciemnogrnatowe Ogrodnicze szaty, nałożyła jej filtr na nos, żeby zamaskować twarz. Mimo to uciekierka nadal była nerwowa, niespokojna, wciąż prosiła o papierosa. Toby odpowiadała, że Ogrodnicy nie palą, przynajmniej nie tytoń, i że gdyby ktoś ją na tym przyłapał, mogłoby się to skończyć jej ujawnieniem. Poza tym na Dachy i tak nie ma papierosów.

Ryba Młot chodziła wte i wewte i obgryzała paznokcie. W końcu Toby poczuła ochotę, żeby jej przyłożyć. Nikt cię nie prosił, żebyś tu przyłaziła i narażała nas na zgubę dla paru nędznych przeterminowanych informacji – miała ochotę powiedzieć. Ostatecznie zrobiła jej rumianku z Makiem, żeby w końcu przestała nadawać.

Następnego dnia przypadła dzień świętego Aleksandra Zawadzkiego z Galicji. Choć należał on do pomniejszych świętych, był jednym z ulubieńców Toby. Żył w burzliwych czasach – które czasy nie były w Polsce burzliwe? – a mimo to praktykował swoje pokojowe, nieco zbzikowane zainteresowania, katalogując florę Galicji i nazywając żyjące w niej chrząszcze. Rebecca też go lubiła. Tego dnia zakładała fartuch z naszywkami w kształcie motyli i robiła dla maluchów ciasteczkowe chrząszcze, ozdabiając je literami A i Z. Dzieci ułożyły o tym świętym piosenkę: „Aleksandrze, Aleksandrze, chrząszcz ci wszedł do nosa, na chusteczkę go wydmuchnij i na róży posadź!”

Był późny ranek. Ryba Młot odsypiała działanie wczorajszego Maku. Toby przesadziła z dawką, ale nie czuła się z tego powodu winna – wreszcie miała czas na swoje zwykłe obowiązki. Przywdziała kapelusz pszczelarski i rękawice, rozpałała miech z hubką i wyjaśniła pszczołom, że zamierza spędzić przedpołudnie na wyciąganiu plastrów z miodem. Zanim zdążyła rozpocząć podkurzanie, zjawił się Zeb.

– Mam kijową wiadomość – powiedział. – Twój kolega z Paint-bólu znowu wyszedł.

Jak wszyscy Ogrodnicy Zeb znał historię uratowania Toby z rąk Blanca przez Adama Pierwszego i Chór Pączków i Kwiat-

ków. Historia stanowiła część ustnie przekazywanych dziejów. Zeb wiedział też, że Toby się boi. Nigdy jednak o tym nie rozmawiali.

Ewa Szósta poczuła, że przeszywa ją na wylot lodowa igła. Uniosła ochronną siatkę z twarzy:

– Naprawdę?

– Im starszy, tym gorszy. Ten pokręcony skurwiel już dawno powinien być sępią wyplówką. Najwyraźniej ma znajomych na wysokich stołkach, bo wraca do Laguny Ścieków i znów będzie zarządzał SekretBurgerem.

– O ile tam zostanie – dodała Toby, starając się powiedzieć to dziarskim tonem.

– Pszczoły poczekają – Zeb wziął ją pod ramię. – A ty lepiej sobie przysiądź. Powęszę trochę. Może już całkiem o tobie zapomniał.

Zaprowadził ją do kuchni.

– Kochanie, wyglądasz na przybitą – przywitała ją Rebecca.
– Czy coś nie tak?

Toby powiedziała, w czym rzecz.

– O cholera! – zawołała Rebecca. – Zaparzę ci Herbatki Poratowania, dobrze ci zrobi. Nie martw się, karma tego człowieka kiedyś go zabije.

Tylko że to „kiedyś” jest jeszcze daleko, pomyślała Toby.

Był wczesny wieczór. Na Dachy znajdowało się wielu Ogrodników. Jedni podwiązywali pomidory i pnące kabaczki, które potaragała mocniejsza niż zazwyczaj burza. Inni siedzieli w cieniu zajęci robieniem na drutach, łataniem i plecionką. Adamowie i Ewy byli podenerwowani – jak zawsze, gdy ukrywali zbiega. Ryba Młot mogła być śledzona. Adam Pierwszy wystawił wartowników, sam zaś stanął przy krawędzi Dachy w pozycji medytacyjnej na jednej nodze, obserwując ulicę w dole.

Gdy Ryba Młot się obudziła, Toby zatrudniła ją przy zbieraniu ślimaków z sałaty. Oznajmiła szeregowym Ogrodnikom, że jest to nowa – nieśmiała – konwertytka. Widzieli wielu nowych konwertytów, którzy pojawiali się i odchodzili.

– Jeśli się zdarzy jakaś wizyta – tłumaczyła Rybie Młotowi – jakaś kontrola czy coś podobnego, nasuń głębiej kapelusz i dalej zbieraj ślimaki. Wtapiaj się w tło.

Sama zajęła się podkurzaniem pszczoł, postępując zgodnie z zasadą, że najlepiej zachowywać się tak, jakby nie działa się nic szczególnego.

Nagle, łomocząc po schodach, wpadli Shackleton, Crozier i mały Oates, a za nimi Amanda i Zeb. Biegli prosto do Adama Pierwszego, który przywołał Toby ruchem głowy: chodź tu do nas.

– W Lagunie Ścieków była przepychanka – oznajmił Zeb, gdy wszyscy stłoczyli się wokół Adama Pierwszego.

– Przepychanka? – zapytał Adam Pierwszy.

– My tylko patrzyliśmy – rzekł Shackleton – ale on nas zobaczył.

– Nazwał nas pieprzonymi mięsokradami – dodał Crozier.
– Był pijany.

– Nie pijany, tylko ujarany – rzekła Amanda ze znawstwem.
– Próbował mnie walnąć, ale zrobiłam satsumę.

Toby uśmiechnęła się nieznacznie – niedocenianie Amandy było błędem. Wyrosła na wysoką, muskularną Amazonkę. Od Zeba uczyła się sztuki ograniczania rozlewu krwi w mieście, tak jak jej dwóch oddanych popleczników. Jeśli liczyć Oatesa, było ich trzech, ale Oates był na poziomie beznadziejnego zadurzenia.

– Jaki „on”? – pytał Adam Pierwszy. – Gdzie to było?

– W SekretBurgerze – odparł Zeb. – Robiliśmy wywiad, bo słyszeliśmy, że Blanco wrócił.

– Zeb zrobił mu *unagi* – rzekł Shackleton. – Świetna robota!

– A czy wy właściwie musieliście tam pójść? – pytał Adam Pierwszy nieco poirytowany. – Są inne sposoby...

– A potem rzuciły się na niego Azjatyckie Miksy – ekscytował się Oates. – Z butelkami!

– Wyciągnął kosę – rzekł Croze – i dziabnął parę.

– Mam nadzieję, że obyło się bez poważnych strat – mówił Adam Pierwszy. – Choć ubolewamy z powodu istnienia Sekret-

Burgera i nieprawości tego nieszczęśliwego osobnika, nie chcemy przemocy.

– Przewrócona budka, porozwalane mięso. On sam oberwał jedynie parę cięć i siniaków – rzekł Zeb.

– To fatalnie – stwierdził Adam Pierwszy. – To prawda, czasami jesteśmy zmuszeni się bronić, a z tym... to jest... z nim mieliśmy już nieraz kłopoty. Jednak w tym wypadku odnoszę wrażenie, że to chyba my zaatakowaliśmy pierwsi – spojrzał chmurno na Zeba.

– Albo sprowokowaliśmy atak. Czy mam rację?

– Ten dupek sam się prosił – rzekł Zeb. – Powinniśmy dostać medal.

– Nasza droga jest drogą pokoju – powiedział Adam Pierwszy, coraz chmurniejszy.

– Pokój donikąd nas nie zaprowadzi. Przez ostatni miesiąc wymarło co najmniej sto gatunków. Są, kurwa, zjadane! Nie możemy tu się kisić i patrzeć, jak gasną światła. Musimy coś przedsięwziąć. Dzisiaj SekretBurgery, a jutro ta pieprzona sieć restauracji dla smakoszy „Mamy To we Krwi”. To wszystko musi zniknąć.

– Naszą misją wobec Stworzeń jest dawać świadectwo – rzekł Adam Pierwszy. – Strzec pamięci i genomów tych, które odeszły. Na krew nie można odpowiadać krwią. Sądziłem, że co do tego jesteśmy zgodni.

Nastąpiła chwila ciszy. Shackleton, Crozier, Oates i Amanda spoglądali na Zeba. Zeb i Adam Pierwszy spoglądali na siebie nawzajem.

– Tak czy siak, teraz jest już po fakcie – stwierdził Zeb. – Blanco szaleje.

– Czy przekroczy granice plebsopolii, żeby napaść nas tutaj, w Zapadlisku? – zapytała Toby.

– W obecnym nastroju na bank – rzekł Zeb. – Zwykle typki z plebsomas już mu niestraszne. To wielokrotny paintbólowiec.

Zeb powiadomił o wszystkim zgromadzonych Ogrodników, na obrzeżach Dachy porozstawiał strażę. Najsilniejszych wartowników ulokował na dole schodów przeciwpożarowych. Adam Pierwszy

protestował, twierdząc, że ktoś, kto przejmuje zachowanie wroga, zniża się do jego poziomu. Na co Zeb mu odpowiedział, że jeśli Adam Pierwszy ma inny pomysł na obronę, niech zrobi, jak uważa, ale jeśli nie ma, to niech nie wtyka swojego nosa.

– Coś się dzieje – rzekła stojąca na warcie Rebecca. – Chyba idzie jakichś trzech.

– Cokolwiek się stanie – powiedziała Toby Rybie Młotowi – nie próbuj uciekać. Nie rób nic, co mogłoby zwrócić ich uwagę. Podeszła do krawędzi Dachy, żeby rzucić okiem.

Trzech osiłków przepychało się chodnikiem. Mieli kije bejsbolowe, ale byli bez miotaczy. Zatem to nie KorpuSOKorp, lecz zwykłe zbiry z plebsopolii, które idą się zrewanżować za zniszczenia w SekretBurgerze. Jednym z nich był Blanco – potrafiła rozpoznać go od każdej strony. Co zamierza zrobić? Czy na miejscu zatłucze ją na śmierć, czy może wywlecze ją stąd i zrobi to gdzie indziej, powoli?

– Co się dzieje, moja droga? – spytał Adam Pierwszy.

– To on. Jeśli mnie zobaczy, zabije mnie.

– Bądź dobrej myśli. Nie stanie ci się nic złego.

Ale pamiętając, że zdaniem Adama Pierwszego nawet najstraszliwsze rzeczy ostatecznie dzieją się w imię wyższych, choć niepoznawalnych racji, Toby nie poczuła się pokrzepiona na duchu.

Zeb poradził jej, żeby na wszelki wypadek usunęła z widoku swego specjalnego gościa, więc zaprowadziła Rybę Młot do swojego boksu, gdzie podała jej napój uspokajający z dużą ilością rumianku i dodatkiem Maku. Ryba Młot odplynęła w sen, a Toby usiadła obok, obserwując ją w nadziei, że uda im się uniknąć osaczenia. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu ewentualnej broni. Może będę ich walić butelką z Makiem, pomyślała. Duża niestety nie jest.

Weszła na Dach – nadal miała na sobie strój pszczelarski. Poprawiła ciężkie rękawice, wzięła do ręki podkurzacz i opuściła na twarz siatkę.

– Bądźcie przy mnie, bądźcie mi posłańcami – zwróciła się do pszczół, jakby mogły ją usłyszeć.

Walka nie trwała długo. Jakiś czas potem Toby słuchała, jak przebieg bitwy odtwarzali Shackleton, Crozier i Oates, opowiadający o niej mniejszym dzieciom, zabranym wówczas pośpiesznie z miejsca wypadków przez Nualę. Według całej trójki, był to straszliwy bój.

– Zeb postąpił jak geniusz – mówił Shackleton. – Wszystko zaplanował! Tamtym chyba się zdawało, że jak już jesteśmy pacyfistami i tak dalej, to mogą sobie... Ale nie, to była prawdziwa pułapka... Cofaliśmy się schodami na górę, a oni szli za nami...

– I wtedy... i wtedy... – uzupełniał Oates.

– I wtedy na górze Zeb się wystawił, żeby tamten pierwszy się na niego zamachnął, i złapał koniec jego kija do bejsbola, i tak jakoś nim zakręcił, że tamten prawie wleciał na Rebeccę, a ona miała widły z dwoma zębami, i tamten gość zleciał z wrzaskiem z Dachy...

– O tak! – krzyknął Oates, wymachując rękami.

– A wtedy Stuart skierował na drugiego zraszacza – opowiadał Crozier. – Który podobno dobrze działa na koty.

– Amanda też mu coś zrobiła, prawda? – zwrócił się do niej czule Shackleton. – Zastosowała jakiś chwyt z ograniczania rozlewu krwi, chyba *hamachi* czy coś takiego, nie wiem co, ale facet też przeleciał przez barierkę. Kopnęłaś go w jaja czy jak?

– Translokowałam go – rzekła skromnie Amanda. – Jak ślimaka.

– I wtedy ten trzeci, największy, uciekł – dodał Oates. – Okrążyły go pszczoły, dzięki Toby. To było mocne. Adam Pierwszy nie pozwolił go gonić.

– Zeb sądzi, że to jeszcze nie koniec – rzekła Amanda.

Toby miała własną wersję wydarzeń, zgodnie z którą wszystko odbyło się zarówno bardzo szybko, jak i bardzo wolno. Gdy stanęła przy ulach, nagle pojawiła się cała ich trójka, wyłaniając się ze schodów. Facet z bladą twarzą, ciemnym podbródkiem i z kijem bejsbolowym w ręce, potem typowy Korwin Czerwony z bliźną i na końcu Blanco. Blanco dojrzał ją od razu: „Widzę cię, ty dziwko z chudym dupkiem! – wrzasnął – Mięso z ciebie zrobię!”.

Pszczelarski kapelusz nie był najlepszym przebraniem. Blanco wyciągnął nóż i wyszczerzył zęby.

Pierwszy mężczyzna szamotał się z Rebeccą, potem w jakiś sposób przeleciał przez ogrodzenie i z krzykiem runął w dół. Jednak zbliżał się drugi. Wówczas Amanda, która dotąd stała z boku z anielską, niewinną miną, podniosła do góry rękę. Toby ujrzała błysk światła: szkło? Ale Blanco już niemal się do niej dobrał – dzieliła ich tylko pasieka.

Toby przewróciła trzy ule. Miała na głowie siatkę. Blanco nie miał. Pszczoły wyleciały rojem, bzyząc wściekle, i zaczęły go bombardować jak strzały. Blanco rzucił się do ucieczki schodami przeciwpożarowymi, wrzeszcząc, wymachując rękami, bijąc się po ciele i ciągnąc za sobą obłok pszczoł.

Ustawienie uli na miejscach zajęło Toby sporo czasu. Pszczoły były rozwścieczone, użądliły kilku Ogrodników. Toby przeprosiła poszkodowanych i razem z Katurem natarła użądlenia płynem kalaminowym i rumiankiem. O wiele wylewniej przepraszała jednak pszczoły, uprzednio wprawiawszy je dymem w stan sennaści. Straciły w bitwie wiele towarzyszek.

Adamowie i Ewy zeszli się w nerwowej atmosferze do tajnego pokoju za beczkami z octem.

– Ten gnojek nie zaatakowałby bez pozwolenia – mówił Zeb.

– Za tym stoi KorpuSOKorp. Wiedzą, że pomogliśmy paru osobom, więc starają się napiętnować nas jako fanatycznych terrorystów, takich jak Izajaszowcy Wilczy.

– A gdzie tam. To sprawa osobista – rzekła Rebecca. – Ten facet jest wredny jak wąż, nie ubliżając Wężom, i chce po prostu dorwać Toby. Jak raz wsadził swoją rurę w jakąś dziurę, to myśli, że już jest jego. – Kiedy Rebecca się nakręcała, zwykle sięgała po swoje dawne słownictwo, a potem tego żałowała. – Bez urazy, Toby – dodała.

– Bezpośrednia przyczyna bez wątpienia znajduje się po naszej stronie – rzekł Adam Pierwszy. – Sprowokowali go nasi młodzieńcy, a z nimi Zeb. Nie trzeba było wywoływać wilka z lasu.

– Z wilkami trafiłeś w sedno – stwierdziła Rebecca. – Z całym szacunkiem dla Wilków.

– Dwa trupy na chodniku zapewne nie wpłyną korzystnie na naszą reputację – rzekła Nuala.

– Wypadek. Spadli z dachu – powiedział Zeb.

– A spadając, jeden podciął sobie gardło, drugi stracił oko – zauważył Adam Pierwszy. – Wykaże to każda ekspertyza sądowo-lekarska.

– Mur ceglany niebezpieczny – rzekł Katuru. – Wystają z niego różne rzeczy, gwoździe, potłuczone szyby. Ostre rzeczy.

– Może wolałbyś parę trupów Ogrodników? – zapytał Zeb.

– Jeśli rozumiecie właściwie – ciągnął Adam Pierwszy – i wszystko jest intrygą KorpuSOKorpu, to czy nie przyszło wam do głowy, że tych trzech wysłano tutaj po to, żeby sprowokowali taki incydent? Że mieli nas skłonić do złamania prawa i stworzyć pretekst do akcji odwetowej?

– A jaki mieliśmy wybór? – rzekł Zeb. – Mieliśmy się dać roznieść jak robaki? Nie żebyśmy rozgniatali robaki... – dodał.

– On wróci, bez względu na to, kto za nim stoi, KorpuSOKorpu czy coś innego – stwierdziła Toby. – Dopóki ja tu będę, będzie mnie szukał.

– Droga Toby – rzekł Adam Pierwszy – myślę że dla twojego bezpieczeństwa, jak również dla bezpieczeństwa Ogrodu, najlepiej będzie umieścić cię w jednej z naszych truflowych nisz w Świecie Złowszechnym. Możesz się tam bardzo przydać. Poprosimy nasze wtyczki wśród plebszczurów o rozgłoszenie, że już u nas nie przebywasz. Być może twój prześladowca straci wtedy motywację, a nam z jego strony przestanie cokolwiek zagrażać, przynajmniej na razie. Kiedy moglibyśmy ją przenieść? – zapytał Zeba.

– Możesz to uznać za zrobione – odparł Zeb.

W swoim boksie sypialnym Toby pakowała najpotrzebniejsze rzeczy: buteleczki z ekstraktami, suszone zioła, grzyby, ostatnie trzy słoje miodu Pilar. Zostawiła odrobinę z każdej rzeczy dla tego, kto zastąpi ją w funkcji Ewy Szóstej.

Przypomniała sobie, że wcześniej marzyła o odejściu z Ogrodu, o ucieczce od nudy, klaustrofobii, wyobrażała sobie, że mogłaby mieć własne życie. Ale teraz, gdy miała odejść, czuła się tak, jakby była wypędzana. Nie – jakby była rozszarpywana, rozrywana, obdzierana ze skóry. Oparła się naglej potrzebie napicia się Maku, który mógłby ukoić jej nerwy. Powinna zachować czujność.

Bolało ją również to, że zawiodła Pilar. Czy zdąży pożegnać się z pszczołami? A jeśli nie, to czy pasieka wymrze? Kto przej-

mie pszczelarskie obowiązki? Kto posiada wystarczającą wiedzę? Nakryła głowę szalem i popędziła ku ulom.

– Pszczoły! – zwróciła się do nich. – Mam nowinę.

Czyżby pszczoły zawisły w powietrzu? Czy słuchały? Kilka z nich zbliżyło się, by ją wy badać. Spoczęły na jej twarzy, odczytując jej uczucia ze związków chemicznych wydzielanych przez skórę. Miała nadzieję, że wybaczyły jej przewrócenie uli.

– Powiedźcie Matce, że musiałam odejść. To nie ma związku z wami, dobrze wywiązywałyście się ze swoich powinności. Wróg mnie do tego zmusza. Przepraszam was. Mam nadzieję, że spotkamy się w pomyślniejszych okolicznościach – rozmawiając z pszczołami, zawsze używała podniosłego stylu.

Pszczoły brzęczały i bzykały, jakby z nią rozmawiając. Żałowała, że nie może ich wziąć ze sobą, jak ogromnego zbiorowego zwierzaka ze złotym futerkiem.

– Pszczoły, będę za wami tęsknić – powiedziała.

Jakby w odpowiedzi jedna z pszczoł próbowała wejść jej do nosa. Gwałtownie wydmuchnęła powietrze. Może podczas tych konferencji po to nakrywa się głowę, pomyślała, żeby nie wchodziły nam do uszu.

Wróciła do boksu, gdzie godzinę później zjawili się Adam Pierwszy i Zeb.

– Radzę ci się w to przebrać – rzekł Adam Pierwszy i podał jej przebranie: kostium puszystej różowej kaczki z człapiącymi czerwonymi płetwami z gumy i uśmiechniętym żółtym dziobem z plastiku. – Ma wbudowany filtr powietrza z najnowszego włókna: neobiofutr megarunosowe, które oddycha za ciebie. Jeśli wierzyć etykietce.

Podczas gdy Toby zdejmowała ciemne ubranie Ogrodniczki i wkładała przebranie, obaj stanęli po drugiej stronie zasłony w boksie. Może i neobiofutr, ale strasznie w nim było duszno. I ciemno. Toby wiedziała, że patrzy przez okrągłe białe oczy z wielkimi czarnymi źrenicami, lecz miała wrażenie, że zerka przez dziurki od klucza.

– Zamachaj skrzydłami – rzekł Zeb.

Toby uniosła i opuściła ramiona, a wówczas kostium wydał kwaknięcie. Brzmiało jak smarknięcie starego człowieka.

– Kiedy będziesz chciała zamachać ogonem, tupnij lewą nogą.

– A jak się z tego mówi? – spytała Toby. Musiała powtórzyć pytanie głośniej.

– Przez prawe ucho – objaśnił Adam Pierwszy.

No świetnie, pomyślała Toby. Kwacze się skrzydłem, gada się przez ucho. Nie pytam, jak się wykonuje inne czynności ciała.

Przebrała się w normalne ubranie, Zeb zapakował kostium do worka marynarskiego i powiedział:

– Odwiozę cię furgonetką. Stoi przed budynkiem.

– Wkrótce się do ciebie odezwiemy, moja droga – rzekł Adam Pierwszy. – Żałuję, że... To wielka szkoda... Otocz Światłem...

– Postaram się – odpowiedziała Toby.

Ogrodnicza furgonetka na sprężone powietrze była tym razem opatrzona logo o treści CZAS NA IMPREZĘ. Toby usiadła z przodu obok Zeba. Ryba Młot siedziała z tyłu przebrana za pudełko z balonami – Zeb powiedział, że odwiezie je obie za jednym zamachem i będzie po ptokach.

– Głupio wyszło – dodał.

– Ale co? – spytała Toby. Że musi wyjechać? Krew zatętniła jej żywej.

– To moje „po ptokach”. Tekst o ginących ptakach był nie na miejscu.

– W porządku – powiedziała Toby. – Nic nie szkodzi.

– Rybę Młot puścimy torami – rzekł Zeb. – Mamy wtyki wśród bagażowych pracujących przy plombowanych pociągach. Pojedzie jako towar z napisem „Ostrożnie, szkło!”. W Oregonie mamy trufle, już oni ją ukryją.

– A co ze mną? – spytała Toby.

– Adam Pierwszy chce cię zatrzymać w pobliżu Ogrodu, na wypadek gdyby Blanco znów wylądował w Paintbólu i mogłabyś wrócić. Mamy dla ciebie miejsce w Złowszechnym, ale na dopięcie sprawy potrzeba paru dni. Do tego czasu pokręć się w kostiumie

po ulicy Marzeń, tam gdzie sprzedają geny na zamówienie, pełno tam takich futronoszących, nikt nie zwróci na Ciebie uwagi. Teraz lepiej przykucnij, przejeżdżamy przez Lagunę Ścieków.

Zeb dostarczył Tobie do warsztatu „Stłuczka”. Mieszkający tam Ogrodnicy raz-dwa wydobyli ją z furgonetki i ukryli w dawnym kanale pod podnośnikiem hydraulicznym, który zakryli klapą. Tobie oddychała w nim zastarzałymi oparami oleju silnikowego i pożywiała się skromnymi porcjami wilgotnych wiórków sojowych i *purée* z rzepy polanych Sumakiem. Spała na starym materacu, jako poduszki używała swojego przebrania. Bioalety nie było, stała tam tylko zardzewiała puszcza po psychakawie. „Użyj tego, co masz pod ręką” było ukochaną dewizą Ogrodników.

Dawna kolonia szczurów ze „Stłuczki” nie została w całości i skutecznie translokowana do budynku Wspólnoty Mieszkańcowej Buenavista, lecz ci jej członkowie, którzy pozostali, nie byli usposobieni zbyt wrogo.

Następnego dnia z rana rozpoczęła swoją udawaną pracę: dreptała po ulicy Marzeń opięta sztucznym futrem i obwieszona tablicami reklamowymi, od czasu do czasu pokwakując, trzęsąc kuprem i rozdając ulotki. Na tablicy wiszącej z przodu był napis: PIĘKNE ŁABĘDZIE Z BRZYDKICH KACZĄTEK – SPA-W-PARKU NOWYTY! „Zacznij się szarogęścić!”. Na jej plecach widniało: NOWYTY! ZRÓB TO DLA SIEBIE! A na ulotkach można było przeczytać: „Wzmacnianie naskórka! Niższa cena! Bez błędów genetycznych! Stuprocentowa odwracalność!”. NowyTy nie oferowało terapii genowej, to było zbyt radykalne, zbyt trwałe. Oferowało kuracje bardziej powierzchowne: eliksiry ziołowe, oczyszczanie systemowe, skórne liftingi nastroju, nanokomórkowe zastrzyki roślinne, mikrosiateczkową odnowę naskórka opartą na formule pleśni, kremy do twarzy o zdwojonej sile, balsamy nawilżające, iguanopochodne modyfikatory karnacji, mikrobową likwidację przebarwień, pijawkowe usuwanie brodawek.

Udało jej się rozdać dużo ulotek, ale spotkała się też z nieprzyjemnościami ze strony paru właścicieli sklepów z genami: tu, na ulicy Marzeń, jedno marzenie chciało wygrzyźć drugie. Pracowało

tu też paru innych futronoszków: lew, owca megarunos, dwa niedźwiedzie i trzy inne kaczki. Toby zadawała sobie pytanie, ilu z nich naprawdę jest tym, kim jest – jeżeli ona ukrywa się na widoku, inni, którzy chcieli się stać niewidzialni, musieli wpaść na ten sam pomysł.

Gdyby pracowała jako prawdziwy zwierzęcy futronosz, tak jak dawniej, po godzinach pracy wygrzebałaby się z kostiumu i poszła zainkasować e-wypłatę. Teraz jednak odebrał ją Zeb pikapem z napisem KOSTIUMEX – FUTRAF W DZIESIĄTKĘ! Wpakowała się na tył, nie zdejmując przebrania, i Zeb przetransportował ją do innej Ogrodniczej enklawy – opuszczonego banku w Lagunie Ścieków. Kiedyś korporacje bankowe płaciły miejscowej plebsomacie za ochronę, ale już po krótkim czasie jej teks-meksykańscy spece od kradzieży tożsamości przeciskali się do środka i na zewnątrz jak myszy. Ostatecznie banki poddały się i zwinęły flagę – żaden pracownik bankowy nie pragnął spędzić dnia pracy, leżąc na podłodze z taśmą klejącą na ustach i patrząc, jak złodziej tożsamości włamuje się do księgowości komputerowej, uzyskując do niej dostęp za pomocą jego odciętego kciuka.

Staroświecki skarbiec bankowy był o wiele lepszym miejscem na nocleg niż kanał pod podnośnikiem. Było tu chłodno, bez szcurów i bez wyziewów. W pomieszczeniu unosił się delikatny zapach utleniających się niegdysiejszych papierowych pieniędzy. W pewnej chwili Toby zaczęła się jednak obawiać, że ktoś omyłkowo mógłby zatrasnąć drzwi do skarbcza i pozostawić ją tu w zapomnieniu. Nie sypiała przez to najlepiej.

Również następny dzień spędziła na ulicy Marzeń. W upale kostium kaczki był nie do zniesienia, poluzowała się jedna z gumowych płetw, a filtr powietrza przestawał działać. A jeśli Ogrodnicy pozostawią ją samej sobie i będzie się snuła po tej Krainie Marzeń przemieniona w nieistniejącego ptaka, umierając z odwodnienia, aż któregoś dnia znajdą ją w studziencie kanalizacyjnej, pod mokrą stertą sztucznych różowych piór?

W końcu przyjechał po nią Zeb, który zawiózł ją do kliniki na tyłach sklepu Megarunos.

– Robimy włosy i skórę – powiedział. – Wyciemniasz się. Do tego odciski palców i barwa głosu. I lekka zmiana rysów.

Zabieg zmieniający pigmentację tęczówki był nieco ryzykowny – według Zeba, pozostawało po nim nieprzyjemne wrażenie wylupiałości – uznali więc, że Toby będzie nosiła szkła kontaktowe. Zielone – sam wybrał jej kolor.

– Głos wyższy czy niższy? – zapytał.

– Niższy – odpowiedziała, licząc na to, że nie wyjdzie baryton.

– Dobry wybór – stwierdził Zeb.

Lekarz był Chińczykiem, bardzo ugrzecznionym człowiekiem. Zeb poinformował Toby, że będzie miała znieczulenie, a po wszystkim czas na dojscie do siebie w sali na górze – usługa w najwyższym standardzie. Istotnie, kiedy Toby znalazła się w środku, wszystko wydało jej się bardzo czyste.

Nie było wielkiego cięcia ani szycia. Tylko opuszki palców straciły czucie – Zeb mówił, że wróci – miała obolałe gardło po operacji zmiany głosu, a kiedy włosy megarunosowe zaczęły wiązać się ze skórą, bardzo swędziała ją głowa. Z początku pigmentacja skóry nie była jednorodna, ale jak dowiedziała się od Zeba, po sześciu tygodniach wszystko miało się poprawić. Do tego czasu powinna kategorycznie unikać słońca.

Sześć tygodni izolacji spędziła w komórce-trufli w SolarSpace. Jej osoba kontaktowa, imieniem Muffy, odebrała ją z kliniki luksusowym coupé z całkowitym napędem elektrycznym.

– Gdyby ktoś pytał – rzekła Muffy – mów, że jesteś nową pokojówką. Z góry bardzo cię przepraszam, ale jesteśmy zmuszeni jeść w domu mięso, to element naszego kamuflażu. Nam się to wcale nie podoba, ale w SolarSpace prawie każdy jest mięsożercą, wszyscy mają bzika na punkcie grilli. Mięso jest oczywiście ekologiczne, czasem hodowane na tych rozciągliwych statywach, no wiesz, hodują tylko tkankę mięśniową: nie ma mózgu – nie ma bólu. Gdybyśmy się wychylali, mogliby nas zacząć podejrzewać. Postaram się jednak, żeby nie dochodziły do ciebie zapachy z kuchni.

Spóźnione ostrzeżenie: Toby już zdążyła poczuć coś, co przypominało aromat bulionu na kościach, który kiedyś przyrządzała

jej matka. Choć zawstydziała się przed samą sobą, poczuła się głodna. Głodna i smutna. Być może smutek jest rodzajem głodu, pomyślała. Może oba chodzą ze sobą w parze.

W ciasnym pomieszczeniu dla pokojówki Toby czytała e-magazyny, ćwiczyła się w zakładaniu soczewek kontaktowych i słuchała muzyki na Sł/Uchovidzie. Ten epizod z jej życia wydawał jej się wręcz surrealny. „Wyobraź sobie, że jesteś poczwarką” – powiedział jej Zeb przed transformacją. Fakt, weszła jako Toby, a wyszła jako Tobiatha. Mniej *angła*, bardziej *latina*. I brzmiąca bardziej altowo.

Spojrzała na siebie, na swoją nową skórę, nowe bujne włosy i wystające kości policzkowe. Na swoje nowe, zielone, migdałowe oczy. Będzie musiała pamiętać, żeby co rano zakładać soczewki.

Zabiegi nie zrobiły z niej oszałamiającej piękności, lecz nie taki był ich cel. Celem było uczynienie jej bardziej niewidoczną. Mówi się, że uroda jest tylko na głębokość skóry, pomyślała. Ale dlaczego mówi się, że t y l k o?

Mimo wszystko jej nowy wygląd wcale nie był zły. Podobały jej się nowe włosy, choć wzbudzały ciekawość domowych kotów, prawdopodobnie swoim lekko owczym zapachem. W niektóre poranki, kiedy się budziła, jeden z kotów siedział na poduszce i mrucząc, lizał jej włosy.

Kiedy nowe włosy ukorzeniły się na dobre a cera się ujednoliciła, Toby była gotowa do przyjęcia nowej tożsamości. Muffy tłumaczyła jej, jak miałoby to wyglądać.

– Myślmy o spa w parku NowyTy. Wykorzystują tam dużo botaniki, więc ty byś się wpasowała z tymi twoimi grzybami, wywarami i tak dalej. Zeb mi opowiadał. Szybko byś się zorientowała w tych ich produktach. Na potrzeby swojej stołówki mają ekologiczny ogród, którym się chlubią. Z kompostownikiem i całą otoczką. Testują też różne roślinne kompozyty genetyczne, może by cię zainteresowały. Co do całej reszty, to zwykła praca organizacyjna: produkt wchodzi, dodajemy wartość, produkt wychodzi. Kontrolowanie ksiąg i dostaw, kierowanie pracą personelu – Zeb mówił, że świetnie radzisz sobie z ludźmi. Procedury są już ustalone, ty będziesz musiała się tylko ich trzymać.

– Produktem są klientki? – spytała Toby.

– Zgadza się.

– A wartością dodaną?

– Wartość niematerialna – odparła Muffy. – Wydaje im się, że potem wyglądają lepiej. Ludzie są gotowi bardzo dużo za to zapłacić.

– Czy mogłabyś mi zdradzić, jak załatwiliście mi tę pracę?

– Mąż jest w zarządzie NowyTy. Nie martw się, nie musiałam go okłamywać. Jest jednym z nas.

Kiedy Toby znalazła się w spa NowyTy, zaczęła odgrywać rolę Tobiathy, z lekka teks-meksykańskiej, lecz roztropnej i skutecznej kierowniczką. Dni mijały spokojnie, noce w ciszy. Wprawdzie cały zakład otoczony był płotem elektrycznym z czterema punktami kontrolnymi obsadzonymi strażnikami, lecz kontrole nie były ścisłe, a strażnicy nie zwracali Toby głowy. Jej stanowisko nie wiązało się ze szczególnymi środkami bezpieczeństwa. Spa nie miało wielkich sekretów, których musiałoby strzec, więc strażnicy sprawdzali jedynie panie, które przerażone pierwszym objawem obwisłych piersi lub zmarszczek, wchodziły do środka, aby wyjść wygładzone, ujędrnione, zregenerowane, opromienione i odplamione.

Wychodziły jednak równie przerażone, bo cały ten problem – to coś – mogło im się znowu kiedyś przydarzyć. To coś przypominające o śmiertelności. To coś przypominające o t y m c z y m ś. Nie jest miłe dla nikogo, pomyślała Toby, to, że jest ciałem, że jest czymś. Nikt nie chce być w ten sposób ograniczony. Wolelibyśmy mieć skrzydła. Nawet samo słowo „ciało” ma jakieś takie ciapowate brzmienie.

Sprzedajemy nie tylko piękno, głosiły wytyczne dla personelu NowyTy. Sprzedajemy nadzieję.

Niektóre klientki potrafiły być wymagające. Nie rozumiały, dlaczego nawet najbardziej zaawansowane kuracje w NowyTy nie mogą zrobić z nich dwudziestojednolatek. „Nasi laboranci są coraz bliżsi opracowania technologii odwracania wieku – mówiła im Toby kojącym głosem – ale jeszcze do tego nie doszli. Za parę lat...”

Jeśli naprawdę chcecie na zawsze zachować swój obecny wiek, myślała Toby, rzućcie się z dachu. Śmierć to niezawodny sposób, żeby zatrzymać czas.

Toby dokładała starań, żeby jako kierowniczka spa wypadać przekonująco. Sprawnie nim zarządzała, cierpliwie słuchała personelu i klientek, w razie potrzeby łagodziła spory, łączyła w sobie sku-

teczność i takt. Przydało jej się doświadczenie Ewy Szóstej – dzięki niemu odkryła w sobie talent do gapienia się na kogoś w skupieniu – niby z wielkim zainteresowaniem – i milczenia. „Pamiętajcie – uczyła pracowników – każda klientka chce się czuć jak księżniczka, a księżniczki są samolubne i apodyktyczne”. Najchętniej by im po prostu poradziła, żeby żadnej nie pluli w kaszę – ale tego rodzaju wyrażenie kłóciłoby się z charakterem Tobiathy.

W najdokuczliwsze dni jej rozrywką było patrzeć na swoje spa jak na tabloid: „Ciało bywalczyń salonów znalezione na skwerze – podejrzany: toksyczny lifting. Muchomor zamieszany w śmierć wskutek złuszczenia naskórka. Horror czyha w basenie”. Dlaczego jednak miałyby wyładowywać się na tych kobietach? Pragną tylko dobrego samopoczucia, szczęścia, jak każdy inny na świecie. Dlaczego miałyby mieć im za złe ich obsesje na punkcie obrzmiałych żył i fałdek? „Patrzcie przez różowe okulary” – powtarzała swoim dziewczynym zgodnie z wytycznymi korporacji NowyTy i to samo powtarzała samej sobie. Czemu nie? Róż to kolor lepszy niż gorzka żółć.

Odczekawszy rozsądny czas, zaczęła gromadzić skromne zapasy, budując prywatny Ararat. Sama nie wiedziała, czy wierzy w Bezwodny Potop – z upływem czasu Ogrodnicy wraz ze swoimi teoriami stawali się dla niej coraz bardziej odlegli, coraz bardziej fantastyczni, coraz bardziej twórczy – mówiąc krótko: coraz bardziej pomyleni. Mimo to wierzyła na tyle, aby podjąć podstawowe środki ostrożności. Odpowiadała za zakładowy inwentarz, więc kwestia magazynowania była rozwiązana: Toby wyciągała puste opakowania z kubłów recyklingowych – najlepsze były te po „Błysku Jelitowym NowyTy”, dużych rozmiarów i z zatraskującym się wieczkiem – i napełniała je wiórkami sojowymi, suszonymi wodorostami, substytutem mleka w proszku i sojdynkami w puszkach. Potem zamykała wieczka i ustawiała pojemniki na samym tyle regałów. Kody do drzwi magazynu znało jeszcze parę innych pracowników, ale ponieważ wszyscy wiedzieli, że Toby skrzętnie pilnuje zawartości magazynów i tępi wszelkie kradzieże, nikt nie odważyłby się podebrać jej świeżo napełnionych pojemników.

Toby miała swoje biuro, a w tym biurze komputer. Wiedziała, że z jego niewłaściwym użyciem wiążą się zagrożenia – jakiś funkcjonariusz NowyTy sprawdzający, czy pracownicy nie oglądają filmików porno w czasie pracy, mógł monitorować, czego szuka i co wysyła – więc zazwyczaj przeglądała tylko ogólne wiadomości, licząc na to, że w ten sposób trafi na coś o Ogrodnikach.

Wiele tego nie było. Od czasu do czasu pojawiał się materiał o wywrotowym akcie jakichś fanatycznych ekologów – ostatnio jednak takich ugrupowań było całe mnóstwo. Parę prawdopodobnie Ogroniczych twarzy dojrzała w tłumie podczas Bostońskiej Kawki, kiedy w porcie wysypywano ziarna pychakawy, ale mogła się mylić. Widziała kilka osób w koszulkach z napisem „B JEST B”, czyli „Bóg jest bio”, ale to nie był żaden dowód – Ogronicy, przynajmniej za jej czasów, czegoś takiego nie nosili.

KorpuSOKorp mógł zakończyć te brewerie z PychaKawą. Wielu, w tym każdego kamerzystę z telewizji, który by im się nawinął, mogli zabić miotaczami – chociaż nie byli w stanie całkowicie wyłączyć informacji o takich wydarzeniach z obiegu, bo ludzie nagrywali filmy telefonami. Dlatego więc KorpuSOKorp nie wkroczył ostro do akcji, nie rozgromił protestujących na oczach wszystkich, nie narzucił jawnie totalitarnego reżimu – przecież oni jedni byli uzbrojeni? Teraz zarządzali nawet wojskiem, odkąd zostało sprywatyzowane.

Zapytała kiedyś o to Zeba. Odpowiedział, że oficjalnie jest to prywatny Korpus Ochrony Korporacji, opłacany przez Korporacje markowych firm, które chcą być postrzegane jako uczciwe i godne zaufania, przyjazne jak stokrotki, niewinne jak króliczki. Nie mogą więc pozwolić na to, żeby przeciętny konsument widział w nich zakłamanych, okrutnych, despotycznych rzeźników.

– Korporacje muszą sprzedawać, ale nie są w stanie zmusić ludzi do kupowania – dodał. – Jeszcze nie. Dlatego bez nieskalanego wizerunku ani rusz.

Odpowiedź była więc krótka: ludzie nie życzą sobie smaku krwi w swoich pychakawach.

Muffy, truflowa opiekunka Toby, kontaktowała się z nią, przychodząc do NowyTy na kurację. Czasami przynosiła wiadomości: Adam Pierwszy ma się dobrze, Nuala przesyła pozdrowienia, Ogrodnicy nieustannie rozszerzają swoje wpływy, ale sytuacja jest niestabilna. Zdarzało się, że przyprowadzała uciekinierkę potrzebującą tymczasowej kryjówki. Ubierała ją tak samo jak siebie – w bogate kolory statecznej damy z SolarSpace, pastelowiebieskie i kremowebeżowe – i zapisywała ją na kurację. Dawała Toby radę: „Nawal na nią błota, opatul w ręczniki, a nikt się nie pozna”, która okazywała się skuteczna.

Jednym z takich nadzwyczajnych gości była Ryba Młot. Toby poznała ją – po rozlatanych dłoniach i przenikliwych, błękitnych oczach męczennicy – sama jednak pozostała nierozpoznana. A więc Ryba Młot nie znalazła spokojnego życia w Oregonie, pomyślała Toby. Pozostała na miejscu, ciągle ryzykuje, ciągle ucieka. Najprawdopodobniej dała się wciągnąć w rozgrywki zielonej partyzantki miejskiej. Jeśli tak, to jej dni były policzone, bo KorpuSOKorp bezlitośnie tępił wszelkich tego rodzaju działaczy. Mieli próbki z jej dawnej, ZdrowoTechowej karty tożsamości, a jeśli ktoś raz znalazł się w ich systemie, wychodził z niego dopiero wtedy, kiedy mieli w swoich rękach trupa z uzębieniem i DNA odpowiadającym danym w ich bazie.

Toby przepisała jej zabieg kompleksowej aromatyki i wzmocniony relaks głębokoporowy. Ryba Młot wyglądała jak ktoś, kto tego potrzebuje.

W NowyTy nad Toby wisiała jedna poważna groźba: regularną klientką była Lucerne. Przychodziła raz w miesiącu, taszcząc ze sobą całą garderobę żony wysokiego funkcjonariusza z Kompleksu. Za każdym razem zamawiała „Ponętny Połysk”, „Śliwkowy Ujędrniacz do Skóry” i „Pełne Zanurzenie w Krynicy Młodości NowyTy”. Wyglądała bardziej elegancko niż u Ogrodników – co, jak pomyślała Toby, nie było zbyt trudne, bo w worku foliowym wygląda się bardziej elegancko niż Ogrodnicy – ale wyglądała też na starszą i bardziej wysuszoną. Jej niegdyś powabna dolna warga teraz nieco

obwiła – mimo tych wszystkich ilości kolagenu i ekstraktów roślinnych, które, jak dobrze wiedziała Toby, w nią wpompowano. Powieki Lucerne powoli pokrywały się pomarszczoną fakturą płatków maku. Owe oznaki pogarszającego się stanu Lucerne mile połechtaly Toby, chociaż później przeraziła ją myśl, że dopadły ją taka małostkowość i zazdrość. Daj spokój, powiedziała sobie, to, że Lucerne staje się starą purchawą, wcale nie oznacza, że ty jesteś wystrzałową laską.

Gdyby nagle Lucerne wyskoczyła zza krzaka albo zza prysznicowej zasłonki, wykrzykując prawdziwe imię Toby, byłaby to prawdziwa katastrofa. Toby zaczęła więc stosować uniki. Z wyprzedzeniem zapoznawała się z listą rezerwacji, żeby wiedzieć, kiedy dokładnie pojawi się Lucerne. Oddelegowywała do niej najbardziej krzepkie pracowniczki – Melody o potężnych ramionach, Symphony o twardych dłoniach – i starała się nie pojawiać na jej linii wzroku. Ale jako że Lucerne przez większość czasu leżała na brzuchu pokryta brązowym paskudztwem i z maseczką na oczach, było mało prawdopodobne, żeby spojrzała na Toby. Nawet gdyby tak się zdarzyło, niewątpliwie by jej nie dostrzegła. Dla kobiet w rodzaju Lucerne kobiety w rodzaju Tobiathy były anonimowe.

A gdyby tak podkraść się wtedy, gdy Lucerne będzie zażywając „Pełnego Zanurzenia w Krynicy Młodości NowyTy”, i wycelować w nią lasery?, myślała sobie Toby. Albo zrobić zwarcie w naświetlaczu? Roztopiłaby się jak cukierek. Przekąska dla nicienia. Radość dla Ziemi.

Droga Ewo Szósta, odezwał się głos Adama Pierwszego. Takie fantazje są ciebie niegodne. Co powiedzialaby na to Pilar?

Któregoś popołudnia ktoś zapukał do drzwi biura Toby. Gdy powiedziała „proszę”, do środka wszedł zwalisty mężczyzna w zielonym dzinsowym kombinezonie służby parkowej. Gwizdał melodię, która – bez wątplenia – była jej znana.

– Przyszedłem przyciąć różoświatliki – powiedział. Toby podniosła wzrok, urwała oddech. Była na tyle bystra, żeby ugryźć się w język: biuro mogło być naszpikowane podsłuchami.

Zeb obejrzał się za siebie, badając korytarz, potem wszedł i zamknął za sobą drzwi. Usiał przy jej komputerze, wziął do ręki cienkopis i napisał w jej notatniku: „Patrz, co robię”.

„Co z Ogrodnikami? – napisała Toby. – Co z Adamem Pierwszym?”

„Schizma – napisał Zeb. – Jesteśmy odrębną grupą”.

– Czy ma pani jakieś problemy z roślinami? – zapytał na głos.

„A Shackleton i Crozier? – pisała Toby. – Są z tobą?”

„Można powiedzieć – odpisał Zeb. – Oates, Katuru, Rebecca. I paru nowych”.

„Amanda?”

„Odeszła. Studia. Bystra. Sztuka”.

Zeb otworzył jakąś stronę internetową: „Wymaraton, nadzorowany przez MaddAddama, Adam nazwał wszystkie żywe zwierzęta, MaddAddam nazywa martwe. Chcesz zagrać?”

„MaddAddam? – zapytała pisemnie Toby. – To twoja grupa? Jest was więcej?” Nie posiadała się ze szczęścia: Zeb z krwi i kości był przy niej, tuż obok, a przez tak długi czas sądziła, że nigdy go już nie zobaczy.

„Obejmuję całe rzesze – napisał Zeb. – Wybierz nick, wymarłą bioformę”.

„Dodo” – napisała Toby.

„Z ostatnich pięćdziesięciu lat” – napisał Zeb. – „Mało czasu. Ekipa czeka z przycinaniem. Zapytaj o mszyce”.

– Na różoświatlikach są mszyce – powiedziała Toby. W myślach przelatywała dawne Ogrodnicze rejestry ostatnio wymarłych ssaków, ryb, ptaków, kwiatów, małży i jaszczurek. „Chruścielak Karłowaty – napisała. Ten ptak zniknął dziesięć lat temu. – Czy mogą się włamać na tę stronę?”

– Zajmiemy się nimi – rzekł Zeb. – Chociaż podobno mają wszczepiony jakiś czynnik antyinsektycydowy... Pobiorę próbki. Znajdziemy jakiś sposób, żeby im pogonić kota.

„Nie – napisał. – Stworzyliśmy własne, prywatne sieci. Poczwoźnie kodowane. Przepraszam za tekst o kocie. To jest twój numer”.

Zapisał w notatniku jej nowego nicka i numer hasłowy. Potem wprowadził nick i własny numer w pole logowania. Wyświetlił się komunikat: „Witaj, Niedźwiedziu-Duchu. Chcesz zagrać w grę ogólną czy zagrać z Mistrzem?”

Zeb kliknął na Mistrza. „Świetnie! Znajdź swój pokój gry. Spotka się tam z tobą MaddAddam”.

„Patrz” – napisał w notatniku. Wszedł na stronę reklamującą transplanty megarunosowe, przez wejście wielkości piksela umieszczone w oku purpurowej owcy przeszedł na bulgoczący żołądek z reklamy ZdrowoTechowego środka na nadkwasotę, który doprowadził go w rozdziawioną paszczę klienta SekretBurgera. Pojawił się szeroki zielony pejzaż, w oddali drzewa, na pierwszym planie jezioro, w którym poił się nosorożec i trzy lwy. Scena z przeszłości.

W poprzek obrazka rozwinął się napis: „Niedźwiedziu-Duchu, witamy w pokoju gry MaddAddama. Masz wiadomość”.

Zeb kliknął w: „Odczytaj wiadomość”.

„Wątroba jest złem i trzeba ją karać!”

„Słyszę cię, Derkaczu Zwyczajny – wpisał Zeb na klawiaturze. – Wszystko w porządku”.

Zamknął stronę i wstał.

– Jeśli znów pojawią się mszyce, proszę do mnie zadzwonić – powiedział. – Byłoby dobrze, gdyby od czasu do czasu sprawdziła pani rezultat naszej pracy i dała mi znać.

W notatniku napisał: „Święty fryz, laleczko. Zabójcze skośne oczy”. I wyszedł.

Toby zebrała wszystkie kartki z notatnika. Szczęśliwym trafem miała przy sobie zapalki, żeby je spalić. Zapalki zbierała do Araratu, gromadziła je w pojemniku z napisem „Maseczka Bezowo-Cytrynowa”.

Po wizycie Zeba poczuła się mniej samotna. Zaczęła regularnie logować się do Wymaratonu i przechodzić znaną jej ścieżką do pokoju Wielkiego Mistrza MaddAddama. Na ekranie wyświetlały się różne nicki i wiadomości: „Czarny Nosorożec do Niedźwiedzia-Ducha: Idzie nowe. Dziękuję Wielkodzioby do Lisa Płowego: Nie

lękaj się ryjkowca. Biała Turzyca i Modraszek: Mysz-kompozyt w dziesiątkę. Derkacz Zwyczajny do MaddAddama: Piankowe autostrady świetne!”. W większości wypadków nie miała pojęcia, co one znaczą, ale przynajmniej czuła, że należy do grupy.

Czasami trafiały się e-biuletyny, które wyglądały na poufne materiały KorpuSOKorpu. Wiele z nich dotyczyło wybuchów nowych dziwnych chorób lub niezwykłych epidemii: kompozyt jeżozwierzobra niszczył paski klinowe w samochodach, chrząszcz ryjkowiec pustoszył plantacje PychaKawy, asfaltożerny mikrob powodował roztopianie się autostrad.

Jakiś czas potem sieć restauracji „Mamy To we Krwi” przestała istnieć w wyniku serii śmiertelnych zamachów bombowych. W zwykłych wiadomościach, które Toby również śledziła, winę przypisywano bliżej nieokreślonym ekoterrorystom. Ale na stronie MaddAddama przeczytała szczegółową analizę na ten temat: ich zdaniem, zamachów dokonali Izajaszowcy Lwi, „Mamy To we Krwi” wprowadziło bowiem do menu nowe danie: lwiagniora, ich święte zwierzę. MaddAddam dodał postscriptum: „Ostrzegam wszystkich Ogrodników: zwałą to na was. Kryjcie się”.

Wkrótce potem do spa niespodziewanie przybyła Muffy. Jak zwykle była bardzo elegancka, jej zachowanie nie zdradzało nic szczególnego.

– Przejdźmy się po trawie – zaproponowała.

Gdy wyszły na wolną przestrzeń, oddalając się od ukrytych mikrofonów, szepnęła:

– Nie przyjechałam na kurację. Chciałam ci powiedzieć, że wyjeżdżamy. Nie mogę powiedzieć dokąd. Nie martw się. To sprawa niecierpiąca zwłoki, lecz tylko dla nas.

– Dasz sobie radę? – spytała Toby.

– Czas pokaże. Powodzenia, moja droga Toby, moja droga To-biatho. Otocz mnie Światłem.

Tydzień później nazwiska Muffy i jej męża znalazły się na liście ofiar katastrofy lotniczej. Toby dowiedziała się od Zeba, że KorpuSOKorpowi świetnie wychodzi aranżowanie wysokiej klasy nieszczęśliwych wypadków, a giną w nich podejrzani z wyższych

sfer – ludzie, których zniknięcie bez śladu wywołałoby poruszenie wśród korporacyjnych hierarchów.

Od tamtego czasu Toby nie zaglądała do pokoju MaddAddama przez kilka miesięcy. Czekala, kiedy ktoś zapuka do drzwi, wybije szybę, buchnie miotaczem. Nic takiego się jednak nie działo. Gdy wreszcie zebrała się na odwagę, by wejść na MaddAddama, znalazła tam wiadomość:

„Do Chruścielaka Karłowatego od Niedźwiedzia-Ducha: Ogród zniszczony. Adamowie i Ewy wyciwnili się. Obserwuj i czekaj”.

Święto Zapylenia

Święto Zapalenia

Rok dwudziesty pierwszy

O Drzewach, Owocach i ich Czasie

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współssaki!

Dziś dzień świąteczny, lecz niestety bez świątecznej uczty. Musieliśmy uciekać w pośpiechu, ledwie się uratowaliśmy. Nasi wrogowie, postępując zgodnie ze swoją naturą, spustoszyli nasz Dach. Nie wątpię jednak, że kiedyś powrócimy do Edencliff i przywrócimy dawną chwałę temu błogosławionemu miejscu. KorpuSOKorp zniszczył Ogród, ale nie zniszczył naszego Ducha. Będziemy jeszcze siał i sadzić!

Dlaczego Korporacje uderzyły? No cóż, jak na ich gust staliśmy się zbyt potężni. Wiele dachów rozkwitło jak róże, wiele serc i umysłów pochyliło się nad Ziemią, która zaczęła wracać do równowagi. Jednakowoż powodzenie kryje w sobie załączki ruiny, albowiem ludzie u władzy nie mogli już dłużej lekceważyć nas jako nieudolnych oszołomów. Złękli się nas jako proroków nadchodzących czasów. Mówiąc krótko – zagroziliśmy ich marzom zysku.

Co więcej, obarczyli nas odpowiedzialnością za bioataki na ich infrastruktury, których dokonała grupa schizmatyków i herezyków zwana MaddAddam. Zamach bombowy na sieć restauracji „Mamy To we Krwi” w zeszłym tygodniu – choć stali za nim wyłącznie Izajaszowcy Lwi – był dla nich pretekstem do rozpoczęcia szeroko zakrojonej akcji przeciwko wszystkim, którzy stoją po stronie Ziemi Stworzonej przez Boga.

Oby w sprawach materialnych okazali się równie ślepi, jak od dawna są w sprawach Ducha! Albowiem choć minęły już dni, kiedy wzywaliśmy mięsożerców do wyrażenia skruchy na ulicach plebsopolii, nie poszły na marne lekcje z kamuflażu zwierzęcego. Przebrani tak, aby wtapiać się w otoczenie, świetnie sobie radzimy tuż pod samiutkim nosem wroga. Zrzuciliśmy nasze proste stroje, odzialiśmy się w nabytki z centrów handlowych. Koszulka polo z monogramem, seledynowy bezrękawnik, pastelowa garsonka z dzianiny w paski, w której tak odważnie prezentuje się Nuala – oto zbroja, która nas chroni!

Niektórzy z was zdecydowali się rozwiać mogące im grozić podejrzenia poprzez śmiałe spożywanie ciał naszych Współtowarzeń. Nie porywajcie się jednak na czyny ponad wasze siły, Przyjaciele! Wgryzienie się w sekretburgera, a następnie zakrztuszenie się nim da początek niepożądanemu dochodzeniu. Jeśli nie jesteście pewni własnych możliwości, poprzestańcie na lodach Mniam-Mniam. To niby-pożywienie daje się przełknąć bez niepotrzebnego wysiłku.

Podziękujmy truflowej komórce w Fernside, która udostępniła nam to schronienie na ulicy Marzeń. Na tablicy na naszych drzwiach jest napis: ZIELONE GENY, co ma znaczyć, że to firma projektująca roślinne kompozyty genetyczne. Chroni nas druga tablica, z napisem NIECZYNNE Z POWODU REMONTU. Jeśli ktoś by was pytał, mówcie, że mieliśmy problemy z wykonawcą. To wytłumaczenie zawsze brzmi wiarygodnie.

Dziś, w Święto Zapylenia, wspominamy wysiłki, jakie na rzecz ochrony lasów poczynili święta Suryamani Bhagat z Indii, święty Stephen King od Lasów Pureora w Nowej Zelandii, święty Odi-gha z Nigerii i wielu innych. Dzień ten jest poświęcony misteriom Rozmnażania się Roślin, zwłaszcza zadziwiających drzew Okrytonasiennych, ze szczególnym uwzględnieniem tych, które rodzą Pestkowce i Owoce Jabłkowate.

O tych Owocach zachowały się podania z czasów Starożytnych – o złotych jabłkach Hesperyd, jak również o złotym jabłku

niezgody. Zdaniem niektórych, Owocem Drzewa Wiadomości Dobrego i Złego była figa, inni twierdzą, że raczej daktyl, jeszcze inni – że granat. Sensowniej byłoby, gdyby to jadalne coś było czymś naprawdę złym – czymś mięsnym, na przykład befsztykiem. Dlaczego więc Owoc? Otóż dlatego że nasi Przodkowie byli bez wątpienia owocożerni i tylko owoc mógł ich skusić.

Owoc pozostaje dla nas symbolem o głębokim znaczeniu. Ucieleśnia pojęcie zdrowych zbiorów, obfitej kulminacji, a również nowego początku, bo w każdym Owocu jest nasienie, potencjalne nowe życie. Owoc dojrzewa, spada i wraca do gleby, lecz Nasienie zapuszcza korzeń, rośnie i wydaje nowe Życie. Jak to ujmują Człowiecze Słowa Boga: „poznacie ich po ich owocach”. Módlmy się, aby nasze Owoce były Owocami Dobrego, a nie Owocami Złego.

Słowo przestrogi: szanujemy Zapyłające Owady, zwłaszcza Pszczoły, lecz oto dowiadujemy się, że oprócz odmiany wirusoodpornej, wprowadzonej po ostatniej pszczeliej zarazie, Korporacje opracowały nową pszczelą hybrydę. Drodzy Przyjaciele, to już nie kompozyt genetyczny. Nie – to gorsza ohyda! Pszczoły porywa się, gdy są w stadium larwalnym, i wprowadza im pewne układy mikromechaniczne. Wokół chipa narasta tkanka, a gdy powstaje dojrzałe dorosłe imago, jest to kontrolowany przez operatora KorpuSOKorpu pszczeli szpieg cyborg, zdolny wysyłać sygnały, a więc także zdradzać.

Sytuacja ta rodzi trudne problemy etyczne: Czy powinniśmy sięgnąć po środki owadobójcze? Czy taka mechaniczna pszczoła niewolnica ż y je? Jeśli tak, to czy jest prawdziwym Bożym Stworzeniem czy czymś całkowicie odmiennym? Przyjaciele, rozważmy tego głębsze implikacje i módlmy się o wskazanie właściwej drogi.

Zaśpiewajmy.

Kiedy się Brzoskwiń i Śliw konary

Kiedy się Brzoskwiń i Śliw konary
Szeroko i pięknie ukwiecą,
Cieszą się Pszczoły, Ptaki, Nietoperze
I nektar spijać lecą.

Tak się dla Jabłka, Orzecha i Pestki
Odbywa Zapylenie –
Drobina pyłku wyrusza w drogę,
Żeby zapuścić korzenie.

Potem zarodek się zawiązuje,
Pęcnieje, w końcu dojrzeje,
A w nim Zwierz wszelki, jak też Człowiek
Pokarm się znaleźć spodziewa.

W każdym Orzechu, Jabłku i Pestce
Zakłete jest Drzewko-Dziecię,
Jeśli właściwie się wysieje,
Wzrośnie i wyda kwiecie.

Kiedy złocistą z jecie Brzoskwinię
I pestkę jej wyrzucicie,
Zważcie, że w pestce Bóg zamieszkuje,
Że iskrzy się w niej Życie.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren

Adam Pierwszy mawiał: jeśli nie możesz zatrzymać fal – żegluj. Albo: czego naprawić nie dasz rady, wykorzystaj mimo wady. Albo też: bez światła nie ziszczą się plany, bez mroku nie puścisz się w tany. Chciał przez to powiedzieć, że nawet złe rzeczy na coś się przydają, bo stanowią wyzwanie i nie zawsze wiemy, co pozytywnego mogą przynieść. Co nie znaczy, że u Ogrodników się tańczyło.

Postanowiłam więc odbyć Medytację. Był to jakiś sposób na poradzenie sobie z faktem, że w Śliskiej Strefie nie miałam nic do roboty. Jeśli zostałam z „niczym”, zajmij się tym „niczym”, powiedziałby Philo Mgła. Wyłącz jazgot umysłu, otwórz wewnętrzne oko, wewnętrzne ucho. Zobacz, co możesz zobaczyć. Usłysz, co możesz usłyszeć. Tym, co mogłam zobaczyć podczas Medytacji u Ogrodników, były warkoczyki dziewczynki, która siedziała przede mną, a tym, co mogłam usłyszeć, było chrapanie Phila, który za każdym razem kiedy prowadził Medytację, zasypiał.

Teraz wcale nie szło mi lepiej. Słyszałam łup-łup basów dochodzące z Wężowiska, mruczenie minilodówki, widziałam światła ulicy układające się w rozmazane wzory na szklanych cegielkach w oknie, ale żadna z tych rzeczy nie przynosiła duchowego oświecenia. Skończyłam więc Medytację i włączyłam wiadomości.

Mówili w nich, że pojawiła się kolejna niewielka epidemia, chociaż dodali, że nie ma powodu do niepokoju. Wirusy i bakterie

ulegały nieustającym mutacjom, wiedziałam jednak, że Korporacje potrafią wynaleźć na nie lekarstwa, a poza tym czymkolwiek było to świństwo, ja go nie miałam, bo byłam odizolowana, chroniona podwójną zaporą antywirusową. Byłam w najbezpieczniejszym miejscu na ziemi.

Przełączyłam z powrotem na Wężowisko. Wybuchła tam jakaś bijałyka. To pewnie paintbólowcy: trzej, co weszli wcześniej, i czwarty, który zjawił się na końcu.

Widziałam, jak do akcji wkroczyli ich nadzorcy z KorpuSOKorpu. Jednego paintbólowca rzucili na podłogę i potraktowali paralizatorami. Teraz bili się też bramkarze, jeden z nich zatoczył się do tyłu, trzymając się za oko, inny poleciał na bar. Zazwyczaj opanowanie sytuacji nie trwało tak długo. W górze Savona i Pąsowy Płatek wciąż jeszcze próbowały robić swoje na trapezach, ale dziewczyny od rury zmykały ze sceny. Po chwili wbiegły na nią z powrotem: pewnie tylne wyjścia były zamknięte. O nie!, pomyślałam. W tej samej chwili kamerę rozbiła rzucona w nią butelka.

Przeszłam na inną kamerę, ale trzęsły mi się ręce i nie mogłam sobie przypomnieć hasła. Kiedy udało mi się ją włączyć i ustawić ostrość, w Wężowisku było już o wiele luźniej. Wciąż paliły się światła, grała muzyka, ale sala wyglądała jak pobjowisko. Wszyscy klienci najwyraźniej uciekli. Savona leżała na barze – poznałam ją po błyszczącym kostiumie, chociaż połowa była oddarta. Głowę miała odgiętą w tył pod bardzo nienaturalnym kątem, jej twarz była cała we krwi. Pąsowy Płatek zwisał z trapezu: wokół szyi miała owiniętą linę, a między jej nogami połykiwała butelka – ktoś ją tam jej chyba wepchnął. Jej fałdy i frędzle podarte były na strzępy. Wyglądała jak podwiędły bukiet.

Gdzie Mordis?

Przez ekran przewalił się ciemny kłęb kotłujących się kończyn: taniec cieni, cudacki balet. Usłyszałam łupnięcie zatraskiwanych drzwi i coś, co brzmiało jak wycie. Potem w oddali syreny. Tupot nóg.

Później były jakieś krzyki w korytarzu obok Śliskiej Strefy i włączył się ekran wideo z widokiem zza moich drzwi, na któ-

rym pojawił się Mordis. Był w powiększeniu, patrzył prosto na mnie jednym okiem. Drugie było zamknięte. Twarz miał jakby pokąsaną.

– Twoje imię – wyszeptał.

I nagle za szyję złapała go czyjaś ręka i odciągnęła za głowę. To któryś z paintbólówców. Widziałam jego dłoń trzymającą odłamek butelki, czerwoną rękę z niebieskimi żyłami.

– Otwieraj te pierdolone drzwi, kutasie! – krzyknął. – Czas się podzielić, suko w rui!

Mordis wył. Chcieli wydobyć od niego kod do drzwi. „Numer! Numer!” – wołali bez przerwy.

Widziałam Mordisa jeszcze przez chwilę. Potem usłyszałam rżenie i było po nim. Na jego miejscu pojawił się paintbólowiec: gęba pełna szram.

– Otwórz, a twojemu koleźce nic się nie stanie – powiedział.
– Nie zrobimy ci krzywdy.

Kłamał, bo Mordis już nie żył.

Potem były kolejne krzyki – chyba korpusowcy powalili go paralizatorem, bo teraz to on zaczął wyć i zniknął mi z ekranu. Usłyszałam głuche odgłosy, jakby ktoś kopał worek.

Podeszłam do kamery z obrazem z Wężowiska: przybyło korpusowców, mieli wyposażenie bojowe i była ich cała masa. Wywlekali paintbólówców na zewnątrz – jeden był martwy, trzech jeszcze żywych. Wróć do Paintbólu. Nigdy przenigdy nie trzeba było ich wypuszczać.

Zdałam sobie wtedy sprawę, co będzie dalej. Śliska Strefa była twierdzą. Nikt nie mógł wejść do środka bez kodu, a nie znał go nikt poza Mordisem. Mordis zawsze tak mówił. Nie zdradził go: uratował mi życie.

Byłam jednak uwięziona i nikt nie mógł mnie wypuścić. Błagam, pomyślałam, nie chcę umierać.

Powiedziałam sobie, że nie powinnam wpadać w panikę. EroTarg na pewno wyśle ekipę sprzątającą, która mnie tu znajdzie i sprowadzi kogoś, kto zajmie się zamkiem. Nie pozwolą mi tu umrzeć z głodu i wyschnąć na mumię – kiedy znów otworzą Łuski, będę im potrzebna. Bez Mordisa nie będzie już tak jak dawniej, już zaczęło mi go brakować, ale przynajmniej będę miała pracę, nie byłam przecież jednorazówką, miałam talent. Mordis zawsze to powtarzał.

Tak więc wszystko trzeba było po prostu przeczekać.

Wzięłam prysznic. Czulałam się brudna, jakby ci paintbólownicy naprawdę tu weszli albo jakbym cała była we krwi Mordisa.

Potem odbyłam następną Medytację, prawdziwą. Otocz Mordisa Światłem, modliłam się. Daj mu wstąpić do Wszechświata. Niech Duch jego odejdzie w pokój. Wyobraziłam sobie, jak Mordis ulatuje ze swojego zmaltretowanego ciała jako małeńki brązowy ptaszek z oczkami jak paciorki.

Następnego dnia wydarzyły się dwie niedobre rzeczy. Najpierw – włączyłam wiadomości. Niewielka epidemia, o której mówili wcześniej, nie przebiegała w sposób normalny. Nie było to lokalne ognisko, które dałoby się łatwo opanować. Był to już powód do ogłoszenia stanu alarmowego. Na mapie świata pokazali punkty zapalne, podświetlone na czerwono: Brazylia, Tajwan, Arabia Saudyjska, Bombaj, Pa-

ryż, Berlin – dla mnie wyglądało to tak, jakby ktoś ostrzelał Ziemię z miotacza. Mówili, że to zaraza o charakterze erupcyjnym, że szybko się rozprzestrzenia – nie, nie rozprzestrzenia, lecz wybucha jednocześnie w odległych od siebie miastach, a to odbiegało od zwykłego schematu. Normalnie Korporacje uciekłyby się do kłamstw i tuszowania sprawy, prawdziwą wersję znalazłbyśmy tylko z plotek, więc pojawienie się całej tej historii w wiadomościach stanowiło znak, że rzecz jest bardzo poważna – że wymknęła się Korporacjom spod kontroli.

Prezenterzy starali się zachować spokój. Ekspertcy nie potrafili powiedzieć, co to za superwirus, ale na pewno była to pandemia. W szybkim tempie wymierały, jakby topniały, całe rzesze ludzi. Jak tylko tym upiornie spokojnym tonem i z tymi przyklejonymi uśmiechami powiedzieli, że „nie ma powodu do paniki”, od razu wiedziałam, że sprawa jest naprawdę poważna.

Drugą niedobłą rzeczą było to, że ludzie w bioskafandrach, którzy weszli do Wężowiska, zapakowali trupy do worków i wynieśli je, nie sprawdzili drugiego piętra, chociaż krzyczałam ze wszystkich sił. Widocznie mnie nie usłyszeli: ściany Śliskiej Strefy są grube, poza tym zagłuszała mnie muzyka, która wciąż grała w Wężowisku. I całe szczęście, bo gdybym wtedy wyszła ze Śliskiej Strefy, złapałabym wszystko, co złapali inni. Tak naprawdę nie była to niedobra rzecz, tylko się taką wtedy wydawała.

Następnego dnia wiadomości były jeszcze gorsze. Zaraza się rozprzestrzeniała, ludzie wszczynali zamieszki, plądrowali, mordowali się nawzajem, a KorpuSOKorp właściwie wyparował – oni widać też wymierali.

Po paru dniach wiadomości już nie było.

Byłam naprawdę przerażona. Ale uspokajałam się tym, że chociaż nie mogę wyjść, to nikt też nie może do mnie wejść; i że wszystko będzie w porządku, dopóki wytrzymają urządzenia solarne, które dostarczają wodę i napędzają lodówkę, zamrażarkę i filtry powietrza. Filtrowane powietrze było wielkim plusem, bo wkrótce na zewnątrz mogło zacząć strasznie śmierdzieć. Tak więc mogłam żyć sobie z dnia na dzień i czekać, co z tego wyjdzie.

Wiedziałam, że muszę myśleć praktycznie, inaczej stracę nadzieję i wpadnę w stan Uguru, z którego mogłabym już nigdy nie wyjść. Otworzyłam więc minilodówkę i zamrażarkę i policzyłam wszystko, co było w środku: energatony; napoje energetyzujące, przekąski, mrożone kurczakiście i sztuczne ryby. Jeśli będę jeść jedną trzecią każdej porcji zamiast połowy i zachowywać resztki, zamiast wyrzucać je do zsypu, wystarczy mi na co najmniej sześć tygodni.

Próbowałam dodzwonić się do Amandy, ale nie odpowiadała. Jedyne, co mogłam zrobić, to wysłać jej wiadomość: PRZYJDZ DO ŁUSEK. Miałam nadzieję, że kiedy dostanie esemesa, zrozumie, że dzieje się coś złego, że przyjedzie do Łusek i znajdzie jakiś sposób na otwarcie drzwi. Przez cały czas miałam włączoną komórkę, na wypadek gdyby zadzwoniła. Jednak kiedy sama próbowałam zadzwonić albo wysłać esemesa, dostawałam informację: „usługa niedostępna”. Raz doszła do mnie jedna jej wiadomość: ZE MNA OK, ale łącza były chyba zapchane przez spanikowanych ludzi próbujących dodzwonić się do swoich rodzin – bo nic więcej już nie dostałam.

Potem, może dlatego że ludzie wymierali, było już chyba mniej rozmów i udało mi się z nią połączyć. Bez obrazu, słyszałam tylko jej głos.

– Gdzie jesteś? – zapytałam.

– Zwinęłam samochód solarny w Ohio – odpowiedziała.

– Nie wjeżdżaj do miast. I nie pozwól nikomu się dotknąć.

Chciałam jej powiedzieć o wszystkim, co słyszałam w wiadomościach, ale zaczęło przerywać. Potem nie było już nawet sygnału. Najwyraźniej padły wieże przekaźnikowe.

Człowiek tworzy własną rzeczywistość – tak mówiły horoskopy, tak mówili też Ogrodnicy. Spróbowałam zatem stworzyć sobie rzeczywistość Amandy. Oto ma na sobie swój pustynny uniform khaki. Oto przystaje, żeby napić się wody. Oto wykopuje korzeń i zjada go. Oto znowu idzie. Idzie w moim kierunku, godzina po godzinie. Nie złapie tej choroby, nikt jej nie zabije, bo jest mądra i silna. Uśmiecha się. A teraz śpiewa. Wiedziałam jednak, że wszystko to tylko wymyślałam.

Nie licząc rozmowy przez telefon, nie widziałam Amandy od bardzo długiego czasu – odkąd zaczęłam pracować w Łuskach. A jeszcze przedtem był pewien okres, kiedy nie wiedziałam nawet, gdzie przebywa. Straciłam z nią kontakt po tym, jak Lucerne wyrzuciła mój fioletowy telefon, kiedy mieszkałam jeszcze w Kompleksie ZdrowoTech. Wydawało mi się wtedy, że już nigdy nie zobaczę Amandy – że na zawsze zniknęła z mojego życia.

Byłam o tym przekonana również wtedy, kiedy pociągiem szybkobieżnym odjeżdżałam do Akademii imienia Marthy Graham. Czułam się bardzo samotna i było mi żal samej siebie. Straciłam nie tylko Amandę, straciłam wszystko, co miało dla mnie w życiu sens. Adamowi i Ewy, przynajmniej niektórych, czyli Toby i Zeba. Amandę. Lecz przede wszystkim Jimmy'ego. Dni najgorszego cierpienia, którego doznawałam z jego powodu, już minęły, ale pozostał tępy ból. Jimmy był dla mnie taki słodki, a potem mnie odtrącił, jakbym wcale nie istniała. Ogarnęło mnie podle i lodowate uczucie. W tym przygnębieniu pożegnałam się nawet z myślą, że w Marcie Graham moglibyśmy do siebie wrócić – była to oderwana od rzeczywistości mrzonka.

Długi czas dzielił dzień mojego odjazdu pociągiem od dni, kiedy kochałam Jimmy'ego. Nie – od dni, kiedy Jimmy kochał mnie: w chwilach szczerości, nieskazonych złością i smutkiem, wiedziałam,

że nadal kocham Jimmy'ego. Spałam z innymi chłopakami, ale to wszystko było udawane. Jechałam do Marthy Graham trochę po to, żeby uciec od Lucerne, ale poza tym musiałam się też czymś zająć – czemu więc nie zdobyć wykształcenia? Tak to nazywali, jakby wykształcenie było czymś, co można zdobyć, jak sukienkę. Tak czy siak, nie obchodziło mnie, co się ze mną stanie. Czulałam się beznadziejnie, i tyle.

Takie myślenie było zupełnie nie po Ogrodniczemu. Zdaniem Ogrodników, jedynym prawdziwym wykształceniem było wykształcenie Ducha. Ale nie mogłam sobie przypomnieć, co to znaczy.

Martha Graham była uczelnią artystyczną, nazwaną na cześć słynnej tancerki, główny element programu studiów stanowił zatem taniec. Musiałam wybrać jakieś kursy, więc wybrałam gimnastykę taneczną i aktorstwo – nie wymagano tam żadnych wiadomości wstępnych ani matematyki. Liczyłam na to, że później mogłabym dostać pracę w jakiejś Korporacji, polegającą na prowadzeniu w godzinach południowych ćwiczeń dla pracowników – w lepszych Korporacjach organizowano takie rzeczy. „Wczuj się w Muzykę”, „Joga dla Średniej Kadry Zarządzającej”. O czymś takim myślałam.

Kampus Marthy Graham przypominał Wspólnotę Mieszkańców Buenavista: dawniej był elegancki, ale teraz cały się rozpadał, atakowała go pleśń, ciekło z sufitów. Nie byłam w stanie jeść niczego w stołówce, bo kto wiedział, z czego to wszystko robili – nadal miałam opory przed jedzeniem białka zwierzęcego, zwłaszcza gdy chodziło o narządy albo ryje. Ale tu czulałam się bardziej u siebie niż w Kompleksie ZdrowoTech, bo Martha Graham przynajmniej nie była tak błyszcząca i podrabiana, nie pachniało w niej chemicznymi środkami czyszczącymi – żadnymi środkami czyszczącymi.

Każdy pierwszoroczniak w Marcie Graham musiał dzielić z kimś segment w akademiku. Mój współlokator nazywał się Buddy Trzeci. Widywałam go rzadko. Był piłkarzem, a ponieważ drużyna Marthy Graham była nieustannie rozgramiana, wciąż chodził pija-

ny albo naćpany. Drzwi do naszej wspólnej łazienki zamykałam po mojej stronie na klucz, bo zawodnicy z drużyny znani byli z gwałtów na randkach, a byłam pewna, że Buddy darowałby sobie element randkowy. A i tak czasami rano słyszałam, jak wymiotuje.

W kampusie był franczyzowy sklep PychaKawy. Jadłam tam śniadania, bo mieli wegańskie muffiny, nie musiałam tam słuchać rzygającego Buddy'ego i mogłam korzystać z ich łazienki, w której śmierdziało mniej niż w mojej. Kiedy któregoś dnia szłam do PychaKawy, zobaczyłam Bernice. Rozpoznałam ją od razu. Byłam zaskoczona, że ją widzę. To był szok – jak porażenie prądem. Całe poczucie winy, które kiedyś wobec niej miałam, ale o którym potem właściwie zapomniałam, powróciło niczym fala.

Miała na sobie zielony podkoszulek z wielką literą B, trzymała w ręce tabliczkę z napisem: PYCHAKAWA TO KICHA-KAWA! Byli tam jeszcze chłopak z dziewczyną w takich samych podkoszulkach, ale z innymi tabliczkami: WYWAR ZŁA i NIE PIJCIE ŚMIERCI! Po ubiorach i minach poznałam, że to pikiet skrajnych, fanatycznych ultrazielonych. To był rok, w którym wybuchły zamieszki wokół PychaKawy – widziałam je w telewizji.

Bernice nie wypiękniała przez ten czas. Zrobiła się tylko bardziej masywna, a jej gniewne spojrzenia były teraz bardziej zajadłe. Nie zauważyła mnie, zatem miałam wybór: mogłam przejść obok i wejść do PychaKawy, udając, że jej nie widzę, albo odwrócić się i dać nogę. Okazało się, że włączyło mi się myślenie Ogrodnicze, przypomniały mi się wszystkie nauki o odpowiedzialności i że jeśli się coś zabiło, to należało to zjeść. A ja w pewnym sensie zabiłam Burta. Takie miałam odczucie.

Nie uchyliłam się więc. Podeszłam do niej i powiedziałam:

– Bernice! To ja, Ren!

Podskoczyła, jakbym ją kopnęła. Przyglądała mi się przez chwilę.

– No widzę – rzekła skwaszonym głosem.

– Pozwól, że postawię ci kawę – zaproponowałam. Musiałam być naprawdę zdenerwowana, skoro to powiedziałam. Dlaczego Bernice miałaby mieć ochotę na kawę ze sklepu, który pikietowała?

Najwyraźniej uznała, że z niej żartuję, bo odburknęła:

– Spadaj.

– Przepraszam. Nie to miałam na myśli. To może wodę? Możemy się napić tam, przy rzeźbie.

Rzeźba Marthy Graham była swego rodzaju maskotką: tancerka była przedstawiona jako Judyta podnosząca w górę głowę swojego wroga Holofernesa; studenci pomalowali miejsce po odebrniętej szyi na czerwono, a Marcie przykleili pod pachami wełnę stalową. Pod głową Holofernesa był płaski podest, na którym można było usiąść.

Rzuciła mi kolejne gniewne spojrzenie:

– Ależ ty się sprzeniewierzyłaś! Butelkowana woda jest złem! Czy ty nic nie wiesz?

Mogłam nazwać ją świnią i najzwyczajniej sobie pójść. Ale to była moja jedyna szansa na wyjaśnienie sprawy, przynajmniej wobec siebie samej.

– Bernice – powiedziałam – chcę cię przeprosić. Powiedz mi więc, czego możesz się napić, ja to kupię, a wtedy gdzieś pójdziemy i wypijemy to razem.

Wciąż była naburmuszona – potrafiła się obrażać jak mało kto – ale kiedy usłyszała ode mnie, że musimy to wszystko otoczyć Światłem, chyba uaktywniła się jej lepsza, Ogrodnicza część. Powiedziała bowiem, że w kampusowym markecie można dostać taki ekologiczny miks w recyklingowym kartoniku wyciskany z liści kudzu i że musi jeszcze trochę popikietować, jednak kiedy wrócę z napojem, będzie mogła zrobić sobie przerwę.

Usiadłyśmy pod głową Holofernesa z kupionymi przeze mnie dwoma kartonikami płynnego nawozu. Smak przypomniał mi pierwsze dni u Ogrodników, kiedy z początku czułam się tam nie-szczęśliwa, a Bernice stawała w mojej obronie.

– Nie wyjechałaś po tym wszystkim na Zachodnie Wybrzeże? – zapytałam.

– Wyjechałam, ale wróciłam.

Opowiedziała, że Veena się sprzeniewierzyła i przystąpiła do innej grupy wyznaniowej, o nazwie Poznane Owoce, według któ-

rej bogactwo jest oznaką Bożej łaski, albowiem „poznacie ich po ich owocach”, przy czym „owoce” miały oznaczać konta w banku. Veena otworzyła franczyzę z suplementami i witaminami ZdrowoTechu, która szybko rozrosła się do pięciu sklepów, i interesy szły dobrze. Bernice twierdziła, że Zachodnie Wybrzeże nadaje się do tego idealnie – bo chociaż wszyscy zajmują się tam rzeczami takimi jak joga i opowiadają, że to sprawa Ducha, tak naprawdę tamtejsi mieszkańcy to pokręceny, rybożerni, materialistyczni bałwochwalczy ciała po liftingach, z implantami piersi, zmodyfikowanymi genami i kompletnie spaczonymi wartościami.

Veena chciała, żeby Bernice poszła na studia biznesowe, ale ona pozostała zagorzałą Ogrodniczką. Pokłóciły się z tego powodu. Martha Graham była więc kompromisem, oferowała bowiem kursy „Jak skorzystać na leczeniu holistycznym”. To właśnie studiowała Bernice.

Nie wyobrażałam sobie Bernice leczącej cokolwiek, bo nie wyobrażałam sobie, żeby cokolwiek chciała leczyć. Wcieranie brudu w cudze rany było bardziej w jej stylu. Powiedziałam jednak, że to bardzo ciekawe.

Wspomniałam jej, co studiuje, lecz widziałam, że jej to nie obchodzi. Opowiedziałam jej więc o moim współlokatorze Buddym Trzecim, na co odrzekła, że w Akademii imienia Marthy Graham pełno jest tego rodzaju typków – Złowszechniaków trwoniących swoje życie na Ziemi i niemyślących o niczym poważnym, tylko o picciu i dupczeniu. Sama miała z początku takiego współlokatora, który do tego był zwierzęciobójcą, bo nosił skórzane sandały – chociaż tak naprawdę były ze skaju. Bernice spaliła je. I Bogu dzięki, że nie musi więcej dzielić z nim łazienki, bo prawie co noc słyszała odgłosy czynności seksualnych, które wykonywał tam ze swoimi dziewczynami jak jakiś zdegenerowany kompozyt bonobo i królika.

– Jimmy! – westchnęła. – Mięśny smród jeden!

Słyszając to imię, pomyślałam, że nie może chodzić o tego samego Jimmy'ego, jednak po chwili zmieniłam zdanie: owszem, może. Kiedy po głowie krążyły mi te myśli, Bernice zaproponowała, że mogłabym zamieszkać w pokoju obok niej, który – odkąd tamten Jimmy się z niego wyprowadził – stał pusty.

Chciałam się z nią pogodzić, ale nie aż tak bardzo. Więc nie czekając dłużej, powiedziałam, co należało powiedzieć:

– Bardzo mi przykro z powodu tego, co stało się z Burtem, z twoim tatą. Że umarł w ten sposób. Czuję się winna.

Spojrzała na mnie jak na wariatkę.

– O czym ty mówisz? – zapytała.

– O tym, że wtedy powiedziałam, że sypia z Nualą, a ty donosiłaś Veenie, ona się wkurzyła i zadzwoniła do KorpuSOKorpu. Otóż nie sądzę, że Burt sypiał z Nualą. Ja i Amanda... my to właściwie wymyśliłyśmy, tobie na złość. Jest mi z tego powodu potwornie przykro i najmocniej cię przepraszam. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek uczynił coś gorszego niż to, co robił z dziewczęcymi pachami.

– Nuala była przynajmniej dorosła – odparła Bernice. – A on nie poprzestawał na dziewczęcych pachach. To był degenerat, moja matka miała całkowitą rację. Mówił mi, że jestem jego ulubioną dziewczynką, ale nawet to nie było prawdą. To dlatego powiedziałam wszystko Veenie i dlatego go sypnęła. Możesz więc przestać się czuć taka ważna.

Dostało mi się znajome spojrzenie, choć tym razem z czerwonych i wilgotnych oczu.

– Masz szczęście, że nie tobie się to przytrafiło.

– Ach, Bernice – powiedziałam – tak bardzo mi przykro.

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Wolę spędzać czas w bardziej produktywny sposób.

Zapytała, czy przyjdę do niej malować na tabliczkach hasła przeciw PychaKawie, ale powiedziałam, że dziś opuściłam już jedno zajęcia, więc może innym razem. Spojrzała na mnie tymi swoimi przymrużonymi oczkami, które mówiły, iż dobrze wie, że się wykręcam. Zapytałam, jak właściwie wyglądał ten jej dawny współlokator Jimmy, ale w odpowiedzi usłyszałam pytanie, co mnie to obchodzi.

Kiedy wróciła do tego swojego apodyktycznego tonu, wiedziałam już, że jeśli pobędę z nią dłużej, znów będę miała dziewięć lat, a ona będzie trzymać mnie w garści, tylko mocniej: bo cho-

ciaż doświadczyłam w życiu strasznych rzeczy, ona doświadczyła straszniejszych, więc zawsze będzie mnie ścisnąć żelazną ręką ofiary. Powiedziałam, że naprawdę muszę już lecieć. Ona na to:

– No, spoko.

I dodała, że wcale się nie zmieniałam, że wciąż jestem taką samą ciemną miernotą, jaką byłam zawsze.

Po latach – kiedy pracowałam już w Łuskach i Ogonach – widziałam w telewizji, jak Bernice została zabita miotaczem podczas obławy na ukrywających się Ogrodników. Ogrrodnicy byli już od jakiegoś czasu zdelegalizowani, ale bycie zdelegalizowaną nie powstrzymało Bernice, która z odwagą broniła swoich przekonań. Podziwiałam ją za to – za przekonania, a także za odwagę, bo nigdy tak naprawdę nie miałam chyba ani jednego, ani drugiego.

Na zbliżeniu pokazano jej martwą twarz – wyglądała łagodniej i spokojniej niż ta, którą znałam. Może to jest prawdziwa Bernice, pomyślałam, dobra i niewinna. Może w środku była właśnie taka, a wszystkie nasze kłótnie, cała jej surowość i opryskliwość wynikały z jej walki o wydostanie się z grubej skóry, która narosła na niej jak pancerz na chrząszczu. Ale bez względu na to, jak się wyrywała i szalała, wciąż tkwiła w środku. Tak smutno zrobiło mi się na tę myśl, że się rozplakałam.

Przed tamtą rozmową, podczas której Bernice powiedziała mi o swoim byłym współlokatorze, w pewnym sensie czekałam na spotkanie z Jimmym: na zajęciach, w PychaKawie albo zwyczajnie w trakcie spaceru. Teraz czułam, że jest bardzo blisko. Był tuż za rogiem, po drugiej stronie okna, któregoś ranka mogłam się obudzić, a on byłby tuż przy mnie, trzymając mnie za rękę i patrząc na mnie tak, jak patrzył na mnie wtedy, kiedy się poznaliśmy. To mnie wręcz prześladowało.

Pomyślałam, że może Jimmy mi się wdrukował, tak jak dopiero co wyklutemu z jajka kaczątku, które jako pierwszą rzecz w życiu widzi łąsicę, wdrukowuje się łąsica i za nią podąża do samej śmierci – a w takiej sytuacji następuje ona dość prędko. Dlaczego właśnie Jimmy'ego pokochałam jako pierwszego w swoim życiu? Dlaczego nie mógł to być ktoś z lepszym charakterem? A przynajmniej ktoś nie tak zmienny. Ktoś bardziej poważny, kogo nie ciągnęłoby tak do błaznowania.

Najgorsze w tym wszystkim było to, że nikt inny nie był w stanie mnie zainteresować. Miałam w sercu wyrwę, którą tylko Jimmy mógł wypełnić. Wiem, że to, co mówię, jest jak wyjęte z country i westernu – swego czasu słuchałam mnóstwo tego rodzaju świeckiej muzyki na Sł/Uchovidzie – lecz tylko tak potrafię to wytłumaczyć. I nie znaczy to, że nie uświadamiałam sobie win Jimmy'ego, wręcz przeciwnie.

Oczywiście w końcu spotkałam Jimmy'ego. Kampus nie był wielki, więc prędzej czy później musiało się to stać. Zobaczyłam go z oddali, on mnie też zobaczył, ale nie podbiegł do mnie pędem. Został tam, gdzie stał. Nawet nie pomachał, spojrzął w inną stronę, jakby mnie nie zauważył. A więc jeśli oczekiwałam odpowiedzi na pytanie, które nieustannie sobie stawiałam – Czy Jimmy nadal mnie kocha? – właśnie ją dostałam.

Później, na zajęciach z gimnastyki tanecznej poznałam dziewczynę – Shaylubę jakąś tam – która przez pewien czas chodziła z Jimmym. Powiedziała mi, że na początku było wspaniale, ale potem Jimmy zaczął jej mówić, jaki to jest dla niej niedobry, niezdolny do zaangażowania się z powodu dziewczyny, którą miał w liceum; oboje byli zbyt młodzi, źle się to skończyło i od tamtego czasu jest emocjonalnym śmietnikiem – choć może też jest destrukcyjny z natury, skoro schrzania każdy związek z każdą dziewczyną, za którą się zabrał.

– Czy nazywała się Wakulla Price? – zapytałam.

– Właściwie nie – odparła Shayluba. – To byłaś ty. Pokazał mi ciebie.

Jimmy, ależ z ciebie oszust i załgany bajerant, pomyślałam. Jednak po chwili zastanowiłam się: a co jeśli to prawda? Może spieprzyłam Jimmy'emu życie, tak jak on spieprzył mi moje?

Próbowałam o nim całkowicie zapomnieć. Ale z jakiegoś powodu nie potrafiłam. Samobiczowanie się za to, co miało miejsce z Jimmym, stało się moim złym nawykiem, jak obgryzanie paznokci. Od czasu do czasu ukazywał mi się gdzieś w oddali – czułam się wtedy jak ktoś, kto próbuje rzucić palenie i pozwala sobie na jedynego papierosa, który z powrotem wciąga go w nałóg. Nie żebym kiedykolwiek paliła.

Po niemal dwóch latach spędzonych w Marcie Graham otrzymałam straszną wiadomość. Zadzwoniła do mnie Lucerne i zakomunikowała mi, że mój biologiczny ojciec Frank został porwany przez konkurencyjną Korporację gdzieś ze wschodniej Europy. Tamtejsze Korporacje nieustannie próbowały wdrzeć się na teren naszych, wykorzystując przy tym swoich zakonspirowanych zbirów, którzy

byli jeszcze bardziej bestialscy niż nasi i mieli tę przewagę, że lepiej znali języki i mogli udawać imigrantów. Nie mogliśmy zrobić im tego samego – po co mielibyśmy tam emigrować?

Lucerne opowiadała, że złapali Franka wewnątrz Kompleksu – w toalecie w jego laboratorium – i wywieźli na zewnątrz w samochodzie dostawczym ZiziFruta. Następnie przetransportowali go za ocean samolotem owiniętego w bandażę jako pacjenta po liftingu. Co gorsza, przysłali DVD z nagraniem Franka, który – wyglądając na mocno naćpanego – przyznawał, że ZdrowoTech dodawał do swoich suplementów genetycznie przekształcony zarazek postępującej powoli, lecz nieuleczalnej choroby, a potem zarabiał mnóstwo forsy na jej leczeniu. Lucerne mówiła, że to czysty i jawny szantaż – chcieli wymienić Franka na parę potrzebnych im formuł, związanych głównie z powoli postępującymi chorobami. Obiecywali, że w zamian za to nie upubliczną obciążającego DVD. W przeciwnym razie głowa mojego ojca będzie musiała pożegnać się z jego ciałem.

Lucerne opowiadała dalej, że ZdrowoTech przeprowadził analizę kosztów i zysków i uznał, iż zarazki i formuły warte są dla nich więcej niż Frank. Potencjalną antyreklamę ZdrowoTech mógł stłumić w zarodku, bo o tym, co się dostawało do wiadomości, a co nie, decydowały Korporacje medialne. W Internecie natomiast panował taki mizmasz faktów i kaczek dziennikarskich, że ludzie przestali już wierzyć w to, co tam pisano – albo też wierzyli we wszystko, co na jedno wychodziło. Tak więc ZdrowoTech nie zamierzał płacić. Wyrazili ubolewanie z powodu straty, jaką poniosła Lucerne, oświadczając jednak, że ustępowanie wobec szantaży nie jest zgodne z ich polityką, bo zwiększyłyby liczbę porwań, których i tak jest już wiele.

W ten sposób Lucerne straciła pozycję wysoko postawionej żony ze ZdrowoTechu, a przy okazji dom. W tych niepomysłnych okolicznościach zdecydowała się przenieść do Kompleksu KrioGeniusz i zostać panią domu należącego do bardzo miłego mężczyzny, którego poznała za pośrednictwem klubu golfowego i który miał na imię Todd. I miała przy tym nadzieję, że nie pogrązę się w prze-

sadnej rozpaczy po Franku, tak jak pogrążałam się we wszystkich innych swoich emocjach.

KrioGeniusz – to dopiero był pic na wodę. Ludzie płacili im za zamrażanie swoich głów po śmierci, w nadziei że ktoś w przyszłości wymyśli sposób dohodowania do nich ciał. Koledzy w ZdrowoTechu żartowali, że zamrażają tam tylko wietrznią warstwę, bo neurony wyciągają i wszczepiają świniom. W liceum ZdrowoTechu opowiadano mnóstwo takich upiornych żartów, chociaż właściwie nie było wiadomo, czy to naprawdę żarty.

Skutkiem tego – kontynuowała Lucerne – zrobiło się krucho z pieniędzmi. Todd nie był starszym wiceprezesem, tylko zwykłym kierownikiem w dziale księgowości i miał na utrzymaniu trójkę własnych dzieci, które miały przede mną pierwszeństwo. Lucerne nie mogłaby więc prosić Todda, żeby oprócz tego, cołożył na nią,łożył jeszcze na mnie. Miałam więc przestać objać się na studiach, zostawić Marthę Graham i zacząć żyć na własną odpowiedzialność.

Jeden szybki kopniak wystarczył, by wyrzucić mnie z gniazdka – nie chcę przez to powiedzieć, że dotąd miałam gniazdko. Życie z Lucerne było dla mnie balansowaniem na skraju przepaści.

To właśnie jest ironia, pomyślałam. Uczylałam się o ironii na zajęciach z teatru tańca. Oto Lucerne wygaduje oszczercze bujdy o tym, że ją porwano, a nieszczęsny Frank, mój biologiczny ojciec, zostaje porwany naprawdę, prawdopodobnie również zamordowany. Było dla mnie jasne, że Lucerne nic szczególnego z tego powodu nie czuła. A ja – nie wiedziałam, co powinnam czuć.

Przed wiosennymi egzaminami różne Korporacje wystawiły w głównym hallu swoje punkty rekrutacyjne. Nie były to poważne Korporacje naukowe, potrzebujące ludzi oblatanych w cyfrach i niezawracające sobie głowy szukaniem pracowników w Marcie Graham. Te, które werbowały, zajmowały się błaższymi sprawami. Chociaż nie mogłam zostać zatrudniona, bo w tym roku nie kończyłam jeszcze studiów, postanowiłam spróbować i wziąć udział w rozmowach kwalifikacyjnych. Wiedziałam, że nie dostanę żadnej

z oferowanych posad, ale mogli mnie przyjąć do czyszczenia posadzek. Czyściłam podłogi u Ogrodników, lecz tego oczywiście nie mogłam zdradzić, żeby nie skreślili mnie jako fanatycznej ekodziwaczki.

Nauczyciel od gimnastyki tanecznej poradził mi, żebym spróbowała u Łusek i Ogonów. Byłam całkiem dobrą tancerką, a Łuski stanowiły teraz część EroTargu, który był legalną Korporacją – miałabym świadczenia zdrowotne i ubezpieczenie kosztów leczenia stomatologicznego, więc nie pracowałabym jako prostytutka. Szło tam mnóstwo dziewczyn, niektóre poznawały w ten sposób fajnych facetów i bardzo dobrze układały sobie życie. Pomyślałam więc, że i ja mogę spróbować. Bez dyplomu nie miałam szans na nic lepszego. A nie chciałam skończyć jako mięsna kuchmistrzyni w lokalu pokroju SekretBurgera.

Byłam na pięciu rozmowach. Miałam wielką treść, ale ją pokonałam: uśmiechałam się i chociaż nie było mnie na liście absolwentów, jakoś się wkręciłam. Może poszłabym i na szóstą – KrioGeniusz szukał „dziewczyny pocieszenia”, której zadaniem było kojenie smutków krewnych oddających do zamrożenia głowy swoich bliskich albo zwierzaków – jednak tam nie mogłabym pracować ze względu na Lucerne. Nie chciałam jej widzieć na oczy, nie tylko przez to, co mi zrobiła, ale też przez to, jak to zrobiła: tak, jakby wyrzucała z pracy służącą.

Rozmawiały ze mną zespoły rekrutacyjne z PychaKawy, Kurczakiści, ZiziFruta, Łusek i Ogonów i, na końcu, NowyTy. Pierwsze trzy mnie nie chciały, za to dostałam ofertę pracy od Łusek i Ogonów. Mordis był członkiem zespołu rekrutacyjnego – były w nim też jakieś szychy z EroTargu, ale on kierował samym zakładem, więc ostatnie słowo należało do niego. Kiedy pokazałam im standardowy numer z gimnastyki tanecznej, Mordis powiedział, że szuka właśnie czegoś takiego, takiego talentu, i że jeśli przyjdę do Łusek, zadba o to, abym tego nie pożałowała. „Możesz być, kim zechcesz – powiedział. – Zrealizuj to!” Prawie podpisałam umowę.

Po sąsiedzku znajdował się punkt NowyTy, a w jego zespole rekrutacyjnym była kobieta, która bardzo przypominała mi Toby od Ogrodników, chociaż miała ciemniejszą cerę, inne włosy, zielone oczy i bardziej chropawy głos. Wzięła mnie na stronę i zapytała, czy mam jakiś problem, a ja zaczęłam tłumaczyć, że ze względów rodzinnych muszę przerwać studia. Powiedziałam, że zgody się na każdą pracę i że lubię się uczyć. Kiedy zapytała mnie o te względy rodzinne, wygadałam się, że porwali mi ojca, a matka nie ma pieniędzy. Czułam, że mój głos drży, i to wcale nie była gra.

Zapytała mnie o imię mojej mamy. Kiedy odpowiedziałam, pokiwiała głową. Zaproponowała, że przyjmie mnie do NowyTy na praktykę, że będę mogła mieszkać na terenie zakładu i że mnie wyszkoli. Że będę pracować z kobietami, a nie z mężczyznami, często pijanymi i brutalnymi, jak to zwykle bywa w Łuskach – co z tego, że płacą tam za stomatologa. Nie będę musiała wkładać kostiumu z biofilmu i pozwalać się dotykać obcym mężczyznom. Będę przebywała w zdrowej atmosferze i pomagała innym.

Ta kobieta bardzo przypominała Toby i – dziwny przypadek – na identyfikatorze miała napisane „Tobiatha”. To był jakby znak, że tam będę naprawdę bezpieczna, mile widziana i potrzebna. Zgodziłam się.

Mordis dał mi swoją wizytówkę na wszelki wypadek i powiedział, że jeśli zmienię zdanie, w każdej chwili przyjmie mnie do Łusek bez zadawania zbędnych pytań.

Spa NowyTy leżało w samym środku Parku Dziedzictwa. Bardzo dużo o nim słyszałam, bo Adam Pierwszy był do niego bardzo wrogo nastawiony. Mówił, że w celu zbudowania tego przybytku próżności zniszczono wiele Stworzeń i wiele Drzew. Czasem z okazji Święta Zapylenia wygłaszał całe kazanie na ten temat. Mimo to czułam się tu szczęśliwa. W spa były róże, które świeciły w ciemności, za dnia latały wielkie różowe motyle, a w nocy piękne ćmy kudzu. Mieli tu basen, choć niestety nie dla personelu, fontanny i ekologiczny ogród warzywny. Powietrze było tu czystsze niż w centrum miasta, więc nie trzeba było tak często zakładać filtra. Czułam się jak w jakimś kojącym śnie. Pracowałam w pralni, składając pościel i ręczniki. Podobała mi się ta praca, bo była spokojna. Wszystko było różowe.

Trzeciego dnia, kiedy niosłam stos czystych ręczników do któregoś pokoju, zatrzymała mnie Tobiatha i powiedziała, że chciałaby ze mną porozmawiać. Pomyślałam, że może zrobiłam coś nie tak. Kiedy wyszłyśmy na trawnik, poprosiła mnie, żebym ściszyła głos. Powiedziała, że wie, iż prawie ją rozpoznałam, i że ona jak najbardziej rozpoznała mnie. Zatrudniła mnie dlatego, że byłam Ogrodniczką, a teraz, po delegalizacji Ogrodników i zniszczeniu Ogrodu, naszym obowiązkiem jest opiekowanie się sobą nawzajem. Czuła też, że poza brakiem pieniędzy mam jeszcze inny problem. W czym rzecz?

Rozpłakałam się, bo nie wiedziałam, że Ogród został zniszczony. Byłam zdruzgotana – najwyraźniej zakładałam, że kiedy sprawy potoczą się naprawdę źle, będę mogła tam wrócić. Toby zaprowadziła mnie do jednej z fontann, pod którą usiadłyśmy, żeby szum wody tłumił nasze głosy, na wypadek gdyby gdzieś były ukryte mikrofony kierunkowe. Opowiedziałam jej o ZdrowoTechu, o tym, że dopóki nie straciłam komórki, kontaktowałam się z Ogrodnikami poprzez Amandę, ale potem nie miałam już o Ogródzie żadnej wieści. Nie wspomniałam nic o tym, że kochałam Jimmy’ego i że mi złamał serce, chociaż opowiedziałam o Marcie Graham i o Lucerne, która po tym jak mój ojciec został porwany, tak nagle zostawiła mnie na lodzie.

Wyjawiłam jej też, że nie wiem, czym się w życiu kierować, że wewnątrz jestem odrętwiała, jak sierota. Odpowiedziała mi, że to wszystko na pewno bardzo boli, że kiedy była w moim wieku, też było jej ciężko, i że z jej ojcem stało się coś podobnego.

Ta nowa Toby ani trochę nie przypominała twardzielki, którą była jako Ewa Szósta. Teraz była bardziej miękka. A może to ja byłam starsza.

Rozejrzała się dokoła i zaczęła szeptem opowiadać, że musiała w pośpiechu odejść z Ogrodu na Dach budynku Edenclyff i poddać się paru zabiegom zmieniającym wygląd, bo groziło jej niebezpieczeństwo. Mam się więc pilnować, żeby nikomu nie wygadać, kim jest naprawdę. Powiedziała, że rozmawiając ze mną, ryzykuje, ale ma nadzieję, że może mi zaufać. Potwierdziłam. Ostrzegła mnie też, że czasami do spa przyjeżdża Lucerne, że powinnam o tym pamiętać i starać się przed nią ukrywać.

Na koniec dodała, że jeśli zdarzy się coś złego, na przykład jakiś kryzys, a jej nie będzie w pobliżu, powinnam wiedzieć, że założyła Ogrodniczy Ararat z suchym prowiantem, który znajduje się w tutejszym magazynie. Zdradziła mi kod do drzwi, na wypadek gdybym go kiedyś potrzebowała. Choć miała nadzieję, że nigdy mi się nie przyda.

Gorąco jej podziękowałam i zapytałam, czy wie, gdzie jest Amanda. Powiedziała, że bardzo bym chciała się z nią zobaczyć.

Była właściwie moją jedyną przyjaciółką. Topy odparła, że może zdoła się tego dowiedzieć.

Po tym spotkaniu rzadko ze sobą rozmawialiśmy – zdaniem Topy, byłoby to podejrzane, chociaż nie potrafiła powiedzieć, kto mógłby nas obserwować. Wymieniałyśmy jednak czasem spojrzenia i skinięcia głową. Miałam wrażenie, że Topy mnie strzeże, że mnie ochrania za pomocą jakiegoś pozaziemskiego pola siłowego. Oczywiście tak tylko sobie to wymyślałam.

Kiedy spędziłam w NowyTy niemal okrągły rok, Topy powiedziała mi, że zlokalizowała Amandę za pośrednictwem wspólnych znajomych w Internecie. To mnie zaskoczyło, choć kiedy się nad tym zastanowiłam, nie było to już takie zaskakujące. Amanda była bioartystką: uprawiała sztukę, wykorzystując różne Stworzenia lub ich części ułożone w plenerze w obiekty gigantycznych rozmiarów. Mieszkała niedaleko zachodniego wjazdu do Parku Dziedzictwa i jeśli chciałabym się z nią spotkać, Topy mogłaby mi załatwić przepustkę, a także transport w jednym z zakładowych minivanów.

Zarzuciłam jej rękę na szyję i przytuliłam – ale usłyszałam, że powinnam z tym uważać: dziewczyna z pralni obejmuje kierowniczkę? Topy dodała, że nie powinnam zbyt mocno wiązać się z Amandą: Amanda ma skłonność do zagalopowywania się, nie zna granic własnych sił. Chciałam zapytać ją, co ma na myśli, lecz Topy już odeszła.

W dniu odwiedzin Topy powiedziała mi, że Amanda została powiadomiona o moim przybyciu, ale ze ściskaniem się, z piskami i innego rodzaju demonstracjami uczuć mamy poczekać, aż wejdem do środka. Na wypadek gdyby zatrzymano samochód i zapytano, dokąd jadę, dała mi koszyk z produktami NowyTy. Kierowca miał na mnie poczekać. Miałam do dyspozycji godzinę, bo dziewczyną z NowyTy zbyt długo przebywającą w Świecie Złowszechnym wyglądałaby podejrzanie.

Na moje pytanie, czy nie powinnam pojechać w przebraniu, Topy odpowiedziała, że nie, ponieważ wzbudziłoby to podejrzania strażników. Na roboczy fartuch i bawełniane spodnie włożyłam

więc różowy kombinezon z NowyTy i ruszyłam w drogę z różowym koszykiem naczyn Różowy Kapturek.

Zgodnie z planem, do rozpadającego się mieszkania zawieziono mnie Amandy minivanem z NowyTy. Pamiętałam, co przykazała mi Toby. Poczekałam, aż przejdę przez próg drzwi, które otworzyła mi Amanda, i dopiero wtedy obie zawołałyśmy: „Nie do wiary!”, i padłyśmy sobie w ramiona. Nie na długo jednak – Amanda niespecjalnie lubiła się przytulać.

Urosła, odkąd ostatni raz ją widziałam. Była opalona – mimo że stosowała kremy ochronne i nosiła kapelusze, opaliła się, pracując nad sztuką w plenerze. Weszłyśmy do kuchni, w której na ścianach przypiętych było wiele jej projektów, a gdzieś tam walały się jakieś kości, i wypiliśmy po piwie. Nigdy nie przepadałam za alkoholem, ale to była wyjątkowa okazja.

Zaczęłyśmy rozmawiać o Ogródnikach: o Adamie Pierwszym, Nuali, Mugim Mięśniu, Philu Mgle, Katurze, Rebecce. I o Zebie. I o Toby – nie powiedziałam jednak, że teraz jest Tobiathą i kieruje spa NowyTy. Od Amandy dowiedziałam się, dlaczego Toby musiała opuścić Ogród: próbował dopaść ją Blanco z Laguny Ścieków. Fama uliczna głosiła, że ten świr wykańczał każdego, kto go wkurzał, zwłaszcza kobiety.

– A dlaczego ją? – zapytałam.

Amanda odparła, że z tego co wie, miało to jakiś związek z seksem. To, jak zauważyła, było dość zagadkowe, bo seks i Toby nigdy do siebie nie pasowały, chyba zresztą dlatego nazywaliśmy ją Suchą Wiedźmą. Kiedy wyraziłam przypuszczenie, że może Toby była bardziej mokra, niż sądziliśmy, Amanda wybuchnęła śmiechem i stwierdziła, że widocznie wierzę w cuda. Teraz jednak wiedziałam, dlaczego Toby ukrywała się pod inną tożsamością.

– Pamiętasz, jak razem z Bernice mówiłyśmy: „Stuk-puk. Kto tam?” – zapytałam. Piwo powoli uderzało mi do głowy.

– Gangrono – powiedziała Amanda. – Jaki gang?

– Wegan grono – odparłam, obie parsknęłyśmy śmiechem i przez nos wyleciało mi trochę piwa. Powiedziałam jej też, że wpadłam raz

na Bernice i że była mrukowata jak zawsze. Znowu się roześmiałyśmy. Nie wspominałyśmy jednak o martwym Burcie.

– A pamiętasz – zapytałam – jak załatwiłaś na próbę tamtą supertrawę i jak razem z Shackiem i Croze’em weszliśmy do holografomatu, a potem ja wymiotowałam?

Roześmiałyśmy się jeszcze bardziej.

Amanda powiedziała, że ma dwójkę współlokatorów, też artystów, i że po raz pierwszy w życiu ma chłopaka, z którym zamieszkała. Kiedy zapytałam, czy jest w nim zakochana, odparła: „Zawsze próbuję wszystkiego”.

Na pytanie, jak wygląda, Amanda odpowiedziała, że jest naprawdę słodki, chociaż czasem się przygnębia, bo ciągle nie przeboleła jakiejś dawnej dziewczyny, swojej szczeniackiej namiętności. Zapytałam o jego imię i usłyszałam:

– Jimmy. Może znaliście się w liceum ZdrowoTechu, chyba uczył się tam mniej więcej w twoim czasie.

Zrobiło mi się lodowato. Amanda dodała:

– Jego zdjęcie jest na lodówce, drugie od góry, po prawej.

Faktycznie, to był Jimmy. Obejmował ramieniem Amandę i szczyrzył się jak żaba na krześle elektrycznym. Poczulałam się tak, jakby Amanda wbiła mi szpilę prosto w serce. Ale nie było sensu jej o tym mówić i psuć jej tego wszystkiego. Nie zrobiła tego celowo.

Powiedziałam więc:

– Bardzo przystojny, ale muszę już iść, bo kierowca czeka.

Zapytała mnie, czy coś nie tak. Odpowiedziałam, że nie. Dała mi numer swojego telefonu komórkowego, obiecując, że kiedy odwiedzę ją następnym razem, postara się, żeby przyszedł też Jimmy, i zjemy razem spaghetti.

Bardzo chciałabym wierzyć, że miłość jest rozdzielana sprawiedliwie, tak żeby każdemu trochę jej przypadło. W moim wypadku tak to jednak nie wyglądało.

Wróciłam do NowyTy całkowicie zdołowana i wewnętrznie pusta. Tuż po powrocie, kiedy rozwoziłam ręczniki po pokojach, o mało co nie wpadłam na Lucerne. Przyszedł czas na jej kolejny lifting.

Za każdym razem gdy się pojawiała, Toby mnie ostrzegęła, że-
bym nie rzucała się w oczy i unikała matki, ale przez Amandę
i Jimmy'ego zupełnie wyleciało mi to z głowy.

Uśmiechnęłam się do niej neutralnie, tak jak nas nauczono.
Chyba mnie rozpoznała, ale potraktowała jak kłaczek, który się
zdmuchuje z ubrania. Nie miałam najmniejszej ochoty jej oglą-
dać ani z nią rozmawiać, jednak świadomość, że ona też nie chce
mnie oglądać ani ze mną rozmawiać, była bardzo nieprzyjemna.
Czułam się, jakby mnie wymazano z tabliczki wszechświata –
moja własna matka zachowała się tak, jakbym się nigdy nie na-
rodziła.

W tamtej chwili zrozumiałam, że nie mogę dłużej zostać w No-
wyTy. Potrzebowałam czegoś własnego, z dała do Amandy, z dała
od Jimmy'ego, z dała od Lucerne, a nawet od Toby. Chciałam być
kimś zupełnie innym, chciałam nie być nikomu nic winna i żeby
mnie też nikt nic nie był winien. Nie chciałam więzów, przeszłości,
pytań. Miałam dość zadawania pytań.

Odszukałam wizytówkę Mordisa. Zostawiłam Toby wiadomo-
ść, w której dziękowałam jej za wszystko i wyjaśniałam, że
z przyczyn osobistych nie mogę dłużej pracować w spa. Moja
dzienna przepustka, która umożliwiła mi spotkanie z Amandą,
była jeszcze ważna, więc odeszłam, nie zwlekając. Wszystko było
zniszczone, zrujnowane, nie było dla mnie bezpiecznego miejsca
– a jeśli miałam być w niebezpiecznym miejscu, mogło to być rów-
nie dobrze niebezpieczne miejsce, w którym mnie docenią.

Kiedy dotarłam do Łusek, musiałam najpierw przekonać
bramkarzy, żeby mnie wpuścili do środka, bo nie chcieli uwie-
rzyć, że szukam tam pracy. W końcu zadzwonili po Mordisa, który
potwierdził, że owszem, jak najbardziej mnie pamięta – jesteś tą
tancereczką Brendą, prawda? Powiedziałam, że tak i że może mnie
nazywać Ren – od razu poczułam się lepiej. Kiedy Mordis zapytał,
czy na poważnie myślę o tej pracy, potwierdziłam. Wtedy dodał,
że musiałabym się zobowiązać do przepracowania okresu mini-
malnego, ponieważ Łuski nie chcą szkolić na próżno. Zapytał, czy
wobec tego zgodzę się podpisać umowę.

Powiedziałam wtedy, że może jestem za smutna do tej pracy, może szukają dziewczyn z bardziej optymistycznym usposobieniem. Błyszczące mrówkowate oczy Mordisa roześmiały się i powiedział, jakby poklepywał mnie po ramieniu:

– Ren, Ren, wszyscy są za smutni do wszystkiego.

Tak więc, koniec końców, zaczęłam pracować w Łuskach. W pewnym sensie przyniosło mi to ulgę. Cieszyłam się, że Mordis jest moim szefem, bo przynajmniej było jasne, co lubi. Dzięki niemu czułam się bezpieczna, może dlatego że nie miałam szans znaleźć nikogo, kto bardziej przypominałby mi ojca: Zeb rozplynął się w powietrzu, a mój prawdziwy tato nie wykazywał mną zainteresowania, a oprócz tego teraz był martwy.

Mordis uważał, że jestem naprawdę wyjątkowa, że jestem odpowiedzialną na każdy sen, mokrych snów nie wyłączaając. Robienie czegoś, w czym byłam dobra, dodawało mi wiary w siebie. Nie za bardzo podobały mi się inne elementy tej pracy, ale lubiłam taniec na trapezie, bo wtedy nikt nie mógł mnie dotknąć. Unosiłam się wysoko, jak motyl. Wyobrażałam sobie, że Jimmy patrzy na mnie i myśli, że tak naprawdę to mnie kochał przez cały czas, a nie Wakullę Price, nie Lynda Lee, nie żadną inną, nawet nie Amandę – i że tańczy tylko dla niego.

Wiem, że to nie miało sensu.

Odkąd przyjęli mnie do Łusek, z Amandą kontaktowałam się tylko przez telefon. Często wyjeżdżała robić te swoje projekty artystyczne. Zresztą nie chciałam spotykać się z nią twarzą w twarz. Czułabym się niezręcznie z powodu Jimmy'ego, ona by to dostrzegła i zapytała, o co chodzi – a ja albo bym skłamała, albo

powiedziałabym prawdę. Jeśli powiedziałabym prawdę, Amanda wpadłaby w złość, a może po prostu by się zaciękała albo pomyślała, że jestem głupia. Amanda potrafiła pokazać również nieprzyjemne oblicze.

Zazdrość to nader niszczyielskie uczucie, mówił Adam Pierwszy. To fragment uporczywie tkwiącego w nas dziedzictwa po Australopiteku. Zżera człowieka, stępią jego życie Duchowe, a oprócz tego prowadzi do nienawiści i krzywdzi innych ludzi. A Amanda była ostatnią osobą, którą chciałabym skrzywdzić.

Spróbowałam zwizualizować sobie swoją zazdrość jako żółto-brunatną chmurę, która bulgocze we mnie, wydobywa się przez mój nos jako dym, zamienia się w kamień i spada na ziemię. To trochę pomogło. Ale w tej wizualizacji, niezależnie od mojej woli, z kamienia wyrastała roślina obsypana trującymi owocami.

Amanda zerwała z Jimmym. Powiedziała mi o tym nie wprost. Już wcześniej opowiadała mi o swojej serii plenerowych instalacji artystycznych pod tytułem „Żywe Słowo”: wypisywała jakieś słowo wielkimi literami ułożonymi z różnych bioform, żeby pojawiało się i znikalo – tak jak słowa, które robiła z mrówek i syropu, kiedy byliśmy dziećmi. Teraz powiedziała:

– Biorę się do słów na cztery litery.

– Masz na myśli słowa nieprzyzwoite, jak na przykład „dupa”?

Zaśmiała się i powiedziała:

– Gorsze.

– Chodzi ci o słowa na „ch” i „ci”?

– Nie, chodzi mi o AMOR.

– Och, więc z Jimmym nie wyszło – powiedziałam.

– Jimmy nie umie się zachować poważnie – odparła.

Domyśliłam się, że ją zdradził albo zrobił coś podobnego.

– Współczuję – powiedziałam. – Czy bardzo jesteś na niego wkurzona?

Starłam się zadać to pytanie tak, żeby nie przebijało przez nie moje zadowolenie. Teraz mogę jej wybaczyć, pomyślałam. Choć

tak naprawdę nie było tu nic do wybaczenia, bo żadnego bólu nie sprawiła mi celowo.

– Wkurzona? – zdziwiła się. – Nie można być wkurzonym na Jimmy'ego.

Nie wiedziałam, co chciała przez to powiedzieć, bo ja jak najbardziej byłam na niego wkurzona. Chociaż wciąż go kochałam.

Może na tym właśnie polega miłość, pomyślałam, na byciu wkurzonym.

Jakiś czas potem w Łuskach zaczął się pojawiać Glenn. Nie przychodził co noc, ale dosyć często, żeby dostawać zniżki. Nie wiedziałam go od czasów licealnych. Razem z innymi mózgowcami zajmował się działalnością naukową w Instytucie Watsona-Cricka, a teraz był też jakimś tuzem w Korporacji OdmłodNowa. Nie miał oporów przed przechwalaniem się, chociaż w wypadku Glenna było to jak stwierdzanie faktów, jak powiedzenie, dajmy na to, „Będzie padać”. Z jego rozmów z panami Ważnymi i sponsorami, które podsłuchałam, dowiedziałam się, że kierował jakąś poważną sprawą pod nazwą Projekt WyRaj. Zbudowali w tym celu specjalny kopulasty gmach, z osobnym systemem napowietrzania i pochwornie wzmocnioną ochroną. Glenn zgromadził wokół siebie zespół najtęższych mózgów i razem pracowali dniami i nocami.

Co do szczegółów ich pracy, Glenn nie wyrażał się jasno. Używał słowa „nieśmiertelność” – OdmłodNowa była nią zainteresowana od dziesiątków lat, chodziło o zmodyfikowanie komórek w ten sposób, żeby nigdy nie obumierały. „Za nieśmiertelność ludzie zapłacą ogromne pieniądze” – mówił. Co kilka miesięcy twierdził, że osiągnął przełom. A im więcej przełomów osiągał, tym więcej pieniędzy dostawał na Projekt WyRaj.

Czasami wspominał, że pracuje nad rozwiązaniem największego ze wszystkich możliwych problemów, czyli Człowieka – jego okrucieństwa i cierpienia, wojen i ubóstwa, lęku przed śmiercią. „Ile byś zapłacił za projekt idealnego człowieka?” – pytał. Potem napomykał, że w ramach WyRaju właśnie nad tym pracują, i ludzie sypali mu na to forszę.

Na finalizację takich rozmów wynajmował pokój z sufitem z piór i zamawiał drinki, narkotyki i Łuseczki – nie dla samego siebie, lecz dla swoich gości. Czasem przyprowadzał nawet wysoko postawionych ludzi z KorpuSOKorpu. Złowrogo wyglądali ci faceci. Nigdy nie dostawałam paintbólowców, za to zajmowałam się właśnie korpusowcami – i ze wszystkich klientów ich lubiłam najmniej. Wyglądali tak, jakby za oczami mieli jakieś mechanizmy.

Od czasu do czasu Glenn zamawiał dwie lub trzy dziewczyny na całą noc, nie dla seksu, lecz w jakichś innych, bardzo dziwnych celach. Kiedyś kazał nam mruczeć jak koty i badał nam przy tym struny głosowe. Innym razem prosił, żebyśmy śpiewały jak ptaki, i nagrywał to. Gwiazdka poskarżyła się Mordisowi, że nie za to nam płaci, lecz w odpowiedzi usłyszała: „No i co z tego? To wariat, widziałyście już takich. Ale to bogaty wariat i nieszkodliwy, więc spełniajcie jego zachcianki”.

Byłam jedną z trzech dziewczyn tej nocy, kiedy zrobił nam coś jakby quiz. Chciał wiedzieć, co by nas uszczęśliwiło. Czy szczęście bardziej przypomina podniecenie czy zadowolenie? Czy szczęście bierze się ze środka czy z zewnątrz? Czy potrzebne są do tego drzewa, czy nie? Czy w pobliżu miałyby płynąć woda? Czy za wiele szczęścia powodowałoby nudę? Gwiazdka i Pąsowy Płatek próbowały się domyślać, co chciał usłyszeć, tak żeby mogły odpowiednio skłamać. „To nie tak – tłumaczyłam im. Wiedziałam, jaki jest Glenn. – To maniak. Chce, żebyśmy szczerze powiedziały, co naprawdę czujemy”. To je zupełnie zdezorientowało.

Nigdy jednak nie pytał nas o smutek. Może sądził, że wie o nim dostatecznie dużo.

Później przychodził z jakąś kobietą – miała ciało typu Azjatycki Miks i obcy akcent. Glenn mówił, że chciała poznać Łuski, które OdmłodNowa wybrała jako jeden z głównych lokali testowych, i że objaśni nam działanie ich nowego produktu – BłogoPlusu, który miał rozwiązać wszystkie problemy związane z seksem. Mieliśmy przywilej zastosowania go na naszych klientach. Kobieta należała do kierownictwa OdmłodNowy, była starszym wicepreze-

sem działu Intensyfikacji Zadowolenia – ale jej prawdziwa funkcja polegała na tym, że dawała się posuwać Glennowi.

Nie miałam wątpliwości, że była jedną z nas: dziewczyną do wynajęcia, w ten czy inny sposób. Jeśli się umiało odczytać znaki, było to ewidentne. Grała cały czas, nic o sobie nie zdradzając. Oglądałam ich na ekranie: zaciekało mnie to, bo Glenn był zimny jak ryba, ale potrafił uprawiać seks jak normalny człowiek. Ta dziewczyna wyginała się lepiej niż ośmiornica i pieprzyła w podziwu godny sposób. Glenn zachowywał się tak, jakby była pierwszą, ostatnią i jedyną dziewczyną na świecie. Mordis też ich oglądał i stwierdził, że Łuski zapłaciłyby tej dziewczynie ciężkie pieniądze. Powiedziałam mu jednak, że nie stać go na nią: była grubo poza jego możliwościami finansowymi.

Glenn i jego kobieta używali w stosunku do siebie pieśczośliwych przezwisk. Ona nazywała go Derkaczem, a on ją – Oryksem. Dziewczynom to ich miłosne gruchanie wydawało się dziwne – bo wcale nie pasowało do charakteru Glenna. Lecz według mnie było całkiem urocze.

– Oryks i Derkacz? To po rosyjsku czy jak? – spytał mnie Pąsowy Płatek.

– Chyba tak – odparłam.

Były to nazwy wymarłych zwierząt – wszyscy Ogrodnicy obowiązkowo uczyli się ich na pamięć w niezliczonych ilościach – jednak gdybym to ujawniła, dziewczyny zaczęłyby pytać, skąd wiem.

Kiedy Glenn po raz pierwszy przyszedł do Łusek, rozpoznałam go od razu. On oczywiście nie wiedział, kim jestem – miałam na sobie biofilm, całą twarz miałam w cekinach, a sama się nie zdradzałam. Mordis nie pozwalał nam na osobiste relacje z klientami, bo jeśli chcieli stworzyć związek, mogli go znaleźć gdzie indziej. Mówił, że klientów Łusek nie obchodzą opowieści o naszym życiu, że chcą tylko naskórka i fantazji. Że chcą zostać zabrani do Nigdyprzenigdylandii, gdzie zaznają różnych grzesznych rzeczy, których nigdy przenigdy nie zaznaliby w domu – wijących się wokół nich dziewic smoków, pełzających po nich kobiet węży. Swój prywatny uczuciowy chlām mamy więc zachować dla tych, których on obchodzi, na przykład dla innych dziewczyn.

Którejś nocy Glenn urządził superwyjątkowe przyjęcie, jak powiedział, dla superwyjątkowego gościa. Zarezerwował pokój z piórami i zielonymi kapami, zamówił najmocniejsze martini serwowane w Łuskach – nazywano je „koptajlem” – i do tego dwie Łuseczki: mnie i Pąsowego Płatka. Mordis wybrał właśnie nas dwie, ponieważ Glenn mówił, że ten superwyjątkowy gość preferuje ciała smukłej budowy.

– Czy życzy sobie uczennicy w stroju marynarskim? – zapytałam, bo czasem to właśnie znaczyło „ciało smukłej budowy”.

– Mam przyjść ze skakanką?

Jeśli tak, to musiałabym się przebrać, bo byłam cała na blyszcząco.

– Facet jest już tak uwalony, że sam nie wie, czego chce – powiedział Mordis. – Daj mu całą siebie, króliczku. Czekamy na parocyfrowe napiwki. Niech te zera wystrzelą mu z uszu.

Kiedy weszliśmy do pokoju, gość leżał na zielonej atlasowej kapie, jakby wypadł z samolotu – podobało mu się jednak, bo był uśmiechnięty od ucha do ucha.

To był Jimmy. Słodki, zgubny Jimmy. Jimmy, który skopał mi życie.

Serce podskoczyło mi do gardła. O kurde, pomyślałam. To ponad moje siły. Nie wytrzymam i zacznę płakać. Wiedziałam, że mnie nie rozpozna – zakrywał mnie kostium ze świecidełek, a on miał taki odlot, że był prawie ślepy. Po prostu wczułam się w rolę jak zwykle i zaczęłam od jego guzików i rzepów. Mówiliśmy na to „obieranie krewetki”.

– Ładnie umięśniony brzuszek – szepnęłam. – Połóż się, skarbie.

Co czułam: nienawiść czy miłość? Dlaczego zawsze musi być jedno albo drugie? Vilya o swoich cyckach mówiła zawsze: „Weź dwa, są tanie”.

Próbował ściągnąć mi z twarzy łuski, więc bez przerwy musiałam łapać go za ręce i kierować je gdzie indziej.

– Czy jesteś rybą? – pytał.

Najwyraźniej nie był pewien.

Och, Jimmy, pomyślałam. Co z ciebie zostało?

Świętej Dian Męczennicy

Świętej Dian Męczennicy

Rok dwudziesty czwarty

O prześladowaniu
Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Wierni Druhowie!

Nasz Ogród na Dachu Edencliff kwitnie dziś tylko w naszej pamięci. Teraz w tym miejscu na obliczu Ziemi widać pustkowię: bagno lub pustynię, zależnie od opadów. Jakże zmieniło się nasze położenie od dawnych czasów, zielonych i wiośnianych! Jak skurczyły się i przeredziły nasze szeregi! Uciekamy z jednego schronienia w drugie, jesteśmy szczuci, tropieni. Niektórzy z dawnych Przyjaciół wyrzekli się naszej wiary, inni złożyli przeciw nam fałszywe świadectwo. Jeszcze inni uciekli się do ekstremizmu i przemocy i zostali bestialsko zamordowani miotaczami w obławach, które na nich urządzono. Przy tej okazji wspominamy nasze kochane Dziecko, Bernice. Otoczmy ją Światłem.

Niektórych okaleczono i wyrzucono na pustych działkach, żeby zasiać wśród nas przestrach. Jeszcze inni rozplłynęli się w powietrzu – zostali porwani ze swoich kryjówek, by zniknąć w lochach Sił Złowszechnych, bez możliwości procesu, nie znając nawet nazwisk swoich oskarżycieli. Ich umysły zniszczono narkotykami i torturami, ciała przetopiono na ropy śmieciową. Niesprawiedliwe Prawo nie pozwala nam się dowiedzieć, gdzie ci Współogrodnicy obecnie się znajdują. Możemy jedynie ufać, że umrą z niesłabnącą Wiarą.

Mamy dziś dzień świętej Dian, poświęcony empatii międzygatunkowej. W tym dniu wspominamy świętego Hieronima od Lwów, świętego Roberta Burnsa od Myszy, świętego Christophera Smarta od Kotów, jak również świętego Farleya Mowata od Wilków, członków Ichwan as-Safa i ich *Traktat o Zwierzętach*. Przede wszystkim jednak wspominamy świętą Dian Fossey, która oddała życie, broniąc Goryli przed bezlitosnym rozbojem. Wykonała wielką pracę na rzecz Królestwa Pokoju, w którym każde Życie cieszyłoby się należnym szacunkiem. Lecz złowrogie siły przysięgły się, by zniszczyć ją i towarzyszące jej łagodne Naczelnice. Zginęła straszliwą śmiercią i równie straszliwe były złośliwe plotki, które o niej rozpuszczano, zarówno w ciągu jej życia, jak i po jej śmierci. Albowiem Siły Złowszechne zabijają zarówno uczynkiem, jak i słowem.

Święta Dian uosabia drogi nam ideał: pełną miłości troskę o wszystkie inne Stworzenia. Wierzyła, że zasługują one na taką czułość, jaką okazalibyśmy naszym najdroższym przyjaciółom i krewnym. Dian jest w tym dla nas prześwietnym wzorem. Pochowano ją pośród jej Gorylich Przyjaciół, na górze, którą chciała ocalić.

Jak wielu innym męczennikom, świętej Dian nie było dane dożyć dni, w których jej wysiłki zostałyby uwieńczone sukcesem. Ale przynajmniej mogła odejść nieświadoma, że Gatunek, któremu poświęciła życie, już nie istnieje. Jak tyle innych, został starty z powierzchni Bożej Planety.

Co takiego ma nasz Gatunek, że tak podatny jest na zew przemocy? Skąd ten nasz pociąg do przelewania krwi? Kiedykolwiek czujemy pokusę, by nadać się w pysze i uznać się za wyższych niż wszystkie inne zwierzęta, winniśmy zastanowić się nad naszą okrutną historią.

Pocieszcie się myślą, że historia ta wkrótce zostanie unicestwiona przez Bezwodny Potop. Po Świecie Złowszechnym nie pozostanie nic poza próchniejącym drewnem i rdzewiejącymi metalami jego narzędzi. Oplatać je będą kudzu i inne pnącza. Ptaki i inne Zwierzęta wić sobie będą w nich gniazda. A to wszystko – jak powiadają nam Człowiecze Słowa Boga – „zostawione będzie razem Practwu górskiemu i Zwierzętom Ziemi; a przez wszyst-

ko lato będą na nim Ptaki i wszystkie Zwierzęta Ziemi na nim zimować będą”. Albowiem wszelkie dzieła Człowieka staną się jak słowa napisane na wodzie.

Gdy tak tłoczmy się w tej ciemnej piwnicy, rozmawiając szep-tem za zaciemnionymi oknami, niepewni, czy nie zostaliśmy zinfiltrowani, czy obok nas nie ma urządzeń podsłuchowych lub owadów cyborgów, czy w tej właśnie chwili nie mkną już po nas mściwi funkcjonariusze KorpuSOKorpu – bardziej niż kiedykolwiek potrzeba nam stanowczości. Modlimy się, by natchnął nas duch świętej Dian i pomógł nam wytrwać w godzinę próby. Nie lękajcie się, powiada Duch, nawet jeśli nastąpi najgorsze: albowiem chronią nas skrzydła Ducha potężniejszego.

Na godzinę przed świtem musimy opuścić tę kryjówkę, pojedynczo, dwójkami i trójkami. Przyjaciele, bądźcie wówczas bezszelestni, bądźcie niewidzialni. Próбуйте się stopić z własnym cieniem. A za sprawą Łaski – zwyciężymy.

Nie możemy śpiewać, żeby nikt nas nie posłyszał.

Za to zaszepcujemy:

Dziś świętą Dian wielbimy

Dziś świętą Dian wielbimy, która
Zginęła, niosąc Życiu ratunek.
Mimo jej Wiary, mimo jej starań
Zabito kolejny Gatunek.

Pośród pagórków spowitych mgłami
Śledziła stada dzikich Goryli –
Miłością swą ich ufność wzbudziła,
Za rękę ze sobą chodzili.

W ramionach swych odważnych tuliła
Te nieśmiałe mocarne kolosy
I strzegła ich przed wszelaką krzywdą,
O przyszłe stroskana ich losy.

Razem igrali i razem jedli,
Jedną szczęsną stanowiąc rodzinę,
Aż nocą przyszli podli Mordercy,
By zabić ją w snu godzinę.

Złych rąk i serc złych wiele, a tobie,
Dian, podobnych niewielu – niestety!
Wszak i nas samych częstka umiera,
Gdy znika Gatunek z Planety.

Pośród zielonych wzgórz mgłą spowitych,
Gdzie się nieśmiałe Goryle kryły,
Twój dobry Duch nie przestaje krążyć,
Na straży – na zawsze.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren

Swoim wewnętrznym nastawieniem człowiek tworzy własny świat – mawiali Ogrodnicy. Nie chciałam tworzyć sobie świata takiego jak ten na zewnątrz, świata umarłych i umierających. Śpiewałam więc sobie stare hymny Ogrodników, zwłaszcza te wesołe. Albo tańczyłam. Albo puszczałam muzykę ze Sł/Uchovida, chociaż nie mogłam przestać myśleć, że nie będzie już nowych piosenek.

Wypowiedzcie Nazwy, powiedziałby nam Adam Pierwszy. A my zaczęlibyśmy skandować całe listy nazw różnych Stworzeń: Dipłodok, Pterozaur, Ośmiornica, Brontozaur. Trylobit, Łodziki, Ichtiozaur, Dziobak. Mastodont, Dodo, Alka Olbrzymia, Waraz z Komodo. Wszystkie te nazwy widziałam wyraźnie jak stronicę w książce. Adam Pierwszy mówił, że wypowiadając Nazwy, w pewnym sensie utrzymujemy te zwierzęta przy życiu. Więc wypowiadałam je.

Wypowiadałam też imiona: Adama Pierwszego, Nuali, Zeba, Shackiego, Croze'a i Oatesa. I Glenna – chociaż nie mogłam sobie wyobrazić, żeby ktoś tak mądry miał być martwy.

I Jimmy'ego – bez względu na to, co zrobił.

I Amandy.

Powtarzałam te imiona bez przerwy, żeby zachować ich przy życiu.

Przypomniało mi się, co Mordis szepnął do mnie na samym końcu. „Twoje imię”, powiedział. Pewnie było to coś ważnego.

Policzyłam, ile jedzenia mi zostało. Na cztery tygodnie... na trzy... dwa. Zaznaczałam upływ czasu kredką do brwi. Gdybym jadła mniej, wystarczyłoby na dłużej. Ale jeśli Amanda wkrótce się nie zjawi, umrę. Nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

Zdaniem Glenna, powód, dla którego nie możemy sobie wyobrazić własnej śmierci, jest taki, że jak tylko ktoś powie „Będę martwy”, to jednocześnie wypowie słowo „będę” i w ten sposób pozostanie żywy w zdaniu. Tak właśnie ludzie stworzyli sobie ideę nieśmiertelności duszy – to wynikało z gramatyki. Tak samo było z Bogiem: skoro jest czas przeszły, to musi być czas zaprzeszyły, wcześniejszy od przeszłego, i w ten sposób cofamy się w czasie tak daleko, aż dochodzimy do punktu „nie wiem”, i to jest właśnie Bóg. To właśnie to, czego nie wiemy, to, co ciemne, to, co skryte, odwrotna strona rzeczy widzialnych. Wszystko przez to, że mamy gramatykę, a gramatyka nie byłaby możliwa bez genu FOXP2. Tak więc Bóg jest pewną mutacją mózgu, a ten gen jest tym samym, którego potrzebuje ptak, żeby śpiewać. Muzyka jest nam więc wrodzona. Glenn mówił, że jest w nas wbudowana. Usunąć ją byłoby bardzo trudno, bo stanowi nasz zasadniczy składnik, jak woda.

Zapytałam: czy w takim razie Bóg też jest w nas wbudowany? Glenn odparł, że może tak, lecz nic dobrego nam to nie dało.

Sposób, w jaki Glenn objaśniał Boga, bardzo różnił się od tego, jak robili to Ogrodnicy. Glenn uważał, że zdanie „Bóg jest Duchem” nie ma sensu, bo Ducha nie da się zmierzyć. Poza tym Glenn mówił: „Użyj mięsnego komputerka”, kiedy chciał powiedzieć: „Użyj umysłu”. Dla mnie to było ohydne: nie mogłam znieść myśli, że w głowie mam mięso.

Ciągle mi się zdawało, że słyszę, jak wokół budynku chodzą ludzie, ale kiedy przepatrzyłam pokoje, nie zobaczyłam w nich nic, co by się ruszało. Przynajmniej działało jeszcze zasilanie słoneczne.

Po raz kolejny policzyłam jedzenie. Starczy na pięć dni. I to na siłę.

Zobaczyłam Amandę jako cień na wideoekranie. Weszła do Węzowiska ostrożnie, posuwając się wzdłuż ściany – nadal paliły się światła, więc nie musiała iść po omacku. Wciąż jeszcze ryczała i łomotała muzyka i kiedy Amanda rozejrzała się i upewniła, że nie ma tu nikogo, weszła za scenę i wyłączyła dźwięk.

– Ren? – usłyszałam jej głos.

I zniknęła mi z ekranu. Po chwili mikrofon wideokamery z korytarza złapał jej ciche kroki i wtedy ją zobaczyłam. A ona zobaczyła mnie. Czulałam tak wielką ulgę, że rozplakałam się i nie byłam w stanie nic powiedzieć.

– Cześć – powiedziała. – Tu, przy drzwiach, leży martwy facet. Ohyda. Zaraz wracam.

To był Mordis – nikt go stąd nie zabrał. Później opowiedziała mi, że to, co z niego zostało, przepchnęła na zasłonę prysznicową, zaciągnęła na koniec korytarza i wrzuciła do windy. Szczury mają ucztę, powiedziała, nie tylko w Łuskach, ale w całym mieście i okolicy. Zanim dotknęła Mordisa, włożyła rękawice od czyjegoś kostiumu z biofilmu. Była odważna, lecz nie podejmowała głupiego ryzyka.

Wkrótce znowu pojawiła się na ekranie.

– No więc jestem – powiedziała. – Przestań płakać, Ren.

– Myślałam, że nigdy nie przyjdiesz – zdołałam wykrztusić.

– Ja też tak myślałam. Jak się otwiera te drzwi?

– Nie znam kodu – odparłam. Opowiedziałam jej, że Mordis był jedyną osobą, która znała kody do Śliskiej Strefy.

– I nigdy ci nie powiedział?

– Mówił, że nie ma potrzeby, żebyśmy je znały. Zmieniał je codziennie, uniemożliwiał przecieki, bo nie chciał, żeby do środka weszły jakieś świry. Chronił nas.

Mocno się starałam, żeby nie wpaść w panikę. Amanda stała po drugiej stronie drzwi, ale co będzie, jeśli nie da rady nic zrobić?

– Żadnej wskazówki? – zapytała.

– Wspomniał coś o moim imieniu, tuż przed swoją... tuż przed tym, jak oni... Może o to mu chodziło?

Amanda spróbowała.

– Nic z tego – stwierdziła. – Może data twoich urodzin? Miesiąc i dzień? Rok?

Słyszałam, jak wciska cyfry, lekko klnąc pod nosem. Po chwili, która wydała mi się bardzo długa, usłyszałam szczęknięcie zamka. Drzwi się otworzyły i przede mną stała Amanda.

– Ach, Amando! – zawołałam. Była ogorziała od słońca, obszarpana i brudna, ale prawdziwa. Wyciągnęłam do niej ręce, ale zrobiła krok do tyłu.

– To był prosty szyfr: „A” równa się „jeden” – powiedziała. – I jednak było to twoje imię: Brenda, tylko od końca. Nie dotykaj mnie, mogę roznosić zarazki. Muszę wziąć prysznic.

Kiedy Amanda brała prysznic w łazience należącej do Śliskiej Strefy, podparłam drzwi krzesłem, żeby się nie zatrzasnęły i nie uwięziły nas obu w środku. W porównaniu z filtrowanym powietrzem, którym oddychałam dotąd, powietrze na zewnątrz potwornie cuchnęło: gnijącym mięsem, a poza tym dymem i spalonymi chemikaliami, bo wybuchały pożary, których nie miał kto gasić. Całe szczęście, że Łuski się nie zapaliły i że nie spłonęłam razem z nimi.

Kiedy Amanda skończyła, ja też się wykąpałam, żeby być tak czysta jak ona. Ubrałyśmy się w zielone szlafroki z Łusek, które Mordis trzymał dla swoich najlepszych dziewczyn, i usiadłyśmy, pogryzając energatony z minilodówki, czekając, aż w mikrofalówce odgrzeją się kurczakiście, popijając znalezione na niższym piętrze piwo i opowiadając sobie nawzajem, jak to się stało, że obie jesteśmy żywe.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętej Karen Silkwood

Toby budzi się raptownie. Krew huczy jej w uszach: tu-tusz! tu-tusz! tu-tusz! Od razu wie, że coś się zmieniło w jej przestrzeni. Ktoś dzieli z nią tlen.

Oddychaj, nakazuje sobie. Poruszaj się tak, jakbyś pływała. Nie wydzielaj zapachu strachu.

Najwolniej, jak potrafi, ściąga różową pościel ze swojego wilgotnego ciała, siada na łóżku, rozgląda się czujnie. Jeśli to jest w tym gabinecie, to coś niedużego – nie ma tu wiele miejsca. Po chwili zauważa: to tylko pszczoła. Pszczoła miodna chodząca po parapecie.

Pszczoła w domu oznacza gości, mówiła Pilar. A jeśli pszczołę się zabije, wizyta będzie nieprzyjemna. Nie wolno mi jej zabić, myśli Toby. Ostrożnie chwytą ją w różową myjkę do twarzy. „Przenieś wiadomość – mówi do niej. – Powiedz tamtym w świecie Ducha: proszę, przyslijcie szybko pomoc”. Toby wie, że to przesąd. Ale czuje się dziwnie podniesiona na duchu. Chociaż pszczoła może też być jednym z tych transgenicznych owadów, które wyprodukowali po tym, jak wirus wybił pszczoły naturalne; a może to szpieg cyborg, który kręci się po świecie i nie ma już kto go kontrolować? W takim razie marny z niej posłaniec.

Wkłada myjkę w kieszeń kombinezonu. Zaniesie pszczołę na dach, tam ją wypuści i będzie patrzeć, jak odlatuje z posłaniem do

umarłych. Jednak chyba zgniotła kieszeń przy zakładaniu na ramię paska od karabinu, bo kiedy rozwija myjkę, pszczoła nie wygląda na całkiem żywą. Toby wytrząsa ściereczkę za poręcz, w nadziei że pszczoła poleci. Pszczoła przecina powietrze, ale bardziej jak nasionko niż jak owad. Wizyta będzie nieprzyjemna.

Toby podchodzi do skraju dachu od strony ogrodu, wychyla się. Przeczucie jej nie omyliło, nieprzyjemna wizyta właśnie się zaczęła: wróciły świnię. Przekopały się pod ogrodzeniem i dokonały dzieła zniszczenia. Nie był to oczywiście gorączkowy popas, lecz rozmyślny akt zemsty. Ogród jest zryty i stratowany – wszystko, czego nie zezarty, zrównały z ziemią.

Gdyby była płacziwa, rozplakałaby się. Podnosi do oczu lornetkę, obserwuje łąkę. Z początku ich nie widzi, po chwili jednak dostrzega wystające znad zachwaszczonych klombów dwa różowoszare łby – nie... są trzy; nie... jest ich pięć. Paciorkowate oczka, po jednym na świnię – patrzą na nią bokiem. Czekają na nią, jakby chciały być świadkami jej przerażenia. Co gorsza, są poza zasięgiem – jeśli do nich strzeli, zmarnuje amunicję. Była skłonna podejrzewać, że świnię zdają sobie z tego sprawę.

– Pieprzone świnię! – krzyczy w ich stronę. – Wieprze pierdolone! Świńskie ryje!

Dla nich to oczywiście żadne obelgi.

Co teraz? Zapasy suszonej zieleniny są skąpe, jagód kolcowoju i ziaren szałwi argentyńskiej już prawie nie ma, skończyło się białko roślinne. We wszystko to miała nadzieję zaopatrzyć się w ogrodzie. A najgorsze, że skończyły się tłuszcze: zjadła już ostatnie Masło do Ciała z Tłuszczem Shea i Awokado. Tłuszcz jest w energatonach – zostało ich jeszcze parę, lecz nie wystarczy na długo. Bez lipidów ciało zaczyna zjadać własne tłuszcze, a potem mięśnie – a mózg to przecież czysty tłuszcz, serce to mięsień. Człowiek staje się obiektem zamkniętym, a w końcu pada.

Będzie musiała ratować się szukaniem żeru w przyrodzie. Pójść na łąkę, do lasu i tam rozejrzeć się za białkiem i lipidami. Knur zdążył już zgnić, jego zjeść nie może. Mogłaby ustrzelić zielonego królika,

kto wie. Ale nie – to współssak, taki mord jest ponad jej siły. Na początek mrówcze larwy, jajka, pędraki – wszystko jedno jakie.

Czy właśnie do tego chcą ją zmusić świnie? Do wyjścia z obronnych murów w otwartą przestrzeń, gdzie będą mogły się na nią rzucić, przewrócić na ziemię, rozpruć? Urządzić sobie świński piknik na świeżym powietrzu? Świński wypas? Toby dokładnie sobie wyobraża, jak by to wyglądało. Ogrodnicy bez obrzydzenia opowiadali o żywieniowych zwyczajach różnych Bożych Stworzeń – unikanie tego tematu byłoby hipokryzją. Nikt nie przychodzi na świat, trzymając w ręku nóż, widelec i patelnię – lubił powtarzać Zeb. Albo serwetkę. Jeżeli jemy świnie, czemu świnie nie miałyby zjeść nas – jeśli przypadkiem napatoczy im się nasze ciało?

Odnawianie ogrodu nie ma sensu. Świnie poczekają, aż pojawi się coś wartego zniszczenia, i zniszczą to. Może Toby powinna założyć ogród na dachu, jak dawni Ogrrodnicy – wtedy nie musiałyby wychodzić z budynku. Trzeba by jednak nanosić w wiadrach ziemi po tych wszystkich schodach. W porach suchych trzeba będzie podlewać, a w mokrych – odprowadzać wodę. Rzecz niewykonalna bez skomplikowanych systemów Ogrodniczych.

Świnie spoglądają na nią sponad stokrotek. Wyglądają, jakby miały święto. Czyżby drwiąco pochrumkiwały? Owszem, Toby słyszy jakieś chrząknięcia i młodzieńcze kwiki, zupełnie jak wtedy gdy późną nocą w Lagunie Ścieków zamykano bary topless.

– Skurwiele! – wrzeszczy Toby w ich stronę. Wrzeszcząc, czuje się lepiej. Przynajmniej zwraca się do kogoś innego niż do samej siebie.

Rok dwudziesty piąty

Ren

Najgorsze były burze z piorunami, opowiadała Amanda. Parę razy była pewna, że jest już martwa – tak blisko strześliło. Potem jednak zwędziła ze sklepu żelaznego gumową matę i kuliła się na niej. W ten sposób czuła się bezpieczniej.

W miarę możliwości unikała ludzi. Samochód solarny porzuciła na północy stanu Nowy Jork, bo autostrada była zatarasowana złomem. Miało tam miejsce kilka gigantycznych karamboli – najwyraźniej kierowcy zaczęli się rozpuszczać w samochodach. „Krwawe mydło w płynie” – powiedziała Amanda. Było tam chyba z milion sępów. Niektórzy dostawali przez nie świra, ale nie Amanda – kiedyś, posługując się nimi, uprawiała sztukę. „Ta autostrada była największą Sępią Rzeźbą, jaką można sobie wyobrazić!” – powiedziała. Żałowała wtedy, że nie ma przy sobie kamery.

Porzuciwszy samochód, przez pewien odcinek drogi szła pieszo, potem buchnęła kolejny pojazd solarny, tym razem motocykl – na którym łatwiej było się przycisnąć przez płataninę wraków. Kiedy coś podejrzewała, trzymała się skraju miasta, czyli lasów. Parę razy o mały włos byłoby z nią krucho, bo inni też wpadli na ten pomysł – niemal przewróciła się o jakieś ciało. Na szczęście udało jej się ich nie dotknąć.

Widziała jakichś żywych ludzi. Kilku z nich też ją widziało, ale wtedy wszyscy już chyba wiedzieli, że ten wirus jest superzarazliwy,

więc trzymali się od niej z daleka. Niektórzy byli już w końcowym stadium, zataczali się jak zombi. Inni leżeli na ziemi złożeni w pół niby kawałek tkaniny.

Kiedy tylko mogła, spała na dachach garaży albo w opuszczonych budynkach, nigdy jednak na najniższym piętrze. Jeżeli to nie było możliwe, nocowała na drzewach, w rozgałęzieniach grubych konarów. Niewygodne, ale można się było przyzwyczaić, a lepiej było przebywać nad poziomem ziemi, bo wszędzie kręciły się jakieś dziwne zwierzęta. Jakieś ogromne świnię, kompozyty lwów i owiec, grasujące sfory dzikich psów – jedna sfora niemal ją dopadła. Ponadto na drzewie nie grozili jej ludzie-zombi – nie chciała przecież, żeby w ciemności zwała jej się na głowę jakaś dwunożna mięsna breja.

Jej opowieści przejmowały zgrozą, ale tamtej nocy sporo się naśmiałyśmy. Pewnie powinnyśmy raczej płakać w żałobie, to jednak już odrobiłam, a poza tym – co by to dało? Adam Pierwszy powtarzał, że na wszystko trzeba patrzeć od strony pozytywnej, a stroną pozytywną było to, że byliśmy żywe.

Nie rozmawiałyśmy o żadnym z naszych znajomych.

Nie chciałam spać w swoim pokoju w Śliskiej Strefie, bo dosyć się w nim nasiedziałam. Nie mogłyśmy położyć się też w moim dawnym pokoju, ponieważ znajdowała się tam ziemską powłoką Gwiazdki. Ostatecznie wybrałyśmy jedno z pomieszczeń dla klientów, to z ogromnym łóżem, kapami z zielonego atlasu i sufitem w piórach. Pokój wyglądał elegancko, jeśli się nie myślało o tym, do czego służył.

Po raz ostatni widziałam Jimmy'ego właśnie w tym pokoju. Ale obecność Amandy działała jak gumka do mazania, która starła wszystkie poprzednie wspomnienia. Z nią czułam się bezpieczniej.

Ranek przespałyśmy. Kiedy wstałyśmy, ubrałyśmy się w zielone szlafroki i poszłyśmy do kuchni, w której przyrządzano barowe przekąski dla Łusek. Na śniadanie zjadłyśmy trochę chleba znalezione w głównej zamrażarce, który odgrzałyśmy w mikrofalówce, i wypiliśmy rozpuszczalną psychakawę.

– Nie myślałaś, że na pewno już nie żyję? – spytałam Amandę. – I że może niepotrzebnie się męczysz, idąc do Łusek?

– Wiedziałam, że żyjesz – odpowiedziała. – Kiedy ktoś nie żyje, ktoś, kogo bardzo dobrze się zna, to się czuje. Nie sądzisz?

Nie byłam pewna, powiedziałam więc:

– W każdym razie dzięki.

Zawsze kiedy za coś dziękowałam Amandzie, udawała, że nie słyszy, albo mówiła: „Odrobisz”. To właśnie powiedziała. Dla niej wszystko musiało być handlem i wymianą, bo dawanie czegoś za nic było dla mięczaków.

– Co teraz robimy? – zapytałam.

– Zostajemy tu – odparła Amanda. – Póki nie skończy się jedzenie albo nie wysiadzie zasilanie słoneczne i nie zaczną się psuć rzeczy w lodówkach. Wtedy będzie cienko.

– A potem?

– Potem pójdziemy gdzie indziej.

– Niby gdzie?

– Teraz nie ma co się tym przejmować.

Czas się dłużył. Spałyśmy, ile miałyśmy ochotę, potem wstawałyśmy i brałyśmy prysznic – dzięki zasilaniu słonecznemu wciąż była woda – a później jadłyśmy to, co się znalazło w zamrażarkach. Wspominałyśmy też wszystko, co robiłyśmy u Ogrodników – stare dzieje. Kiedy robiło się upalnie, spałyśmy dłużej. Następnie szłyśmy do pokoiów w Śliskiej Strefie, włączałyśmy klimatyzację i oglądałyśmy stare filmy na DVD. Nie miałyśmy ochoty wychodzić z budynku.

Wieczorami wypijałyśmy parę szklaneczek – za barem stało nieco nieuszkodzonych butelek – i pustoszyłyśmy skład drogiego jedzenia w puszkach, które Mordis trzymał dla utracjuszowskich klientów i dla swoich najlepszych dziewczyn. „Przekąski lojalności” – tak je nazywał. Rozdzielał je między te, które dały z siebie coś ekstra, choć żadna nie wiedziała z góry, czym ma być to coś ekstra. W ten sposób po raz pierwszy jadłam kawior. Smakował jak słone bąbelki.

Ale dla mnie i dla Amandy w Łuskach nie było już kawioru.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętego Anila Agarwala

Idzie głód, myśli Toby. Święty Euellu, módl się za mnie i za wszystkich, którzy głodują pośród obfitości. Pomóż mi odnaleźć tę obfitość. Ześlij szybko zwierzęce białko.

Martwy knur na łące wkracza w życie w zaświatach. Wydobywają się z niego jakieś gazy, sączą płyny. Dorwały się do niego sępy – wrony kręcą się wkoło jak słabeusze podczas walki ulicznej, łapiąc, co popadnie. Cokolwiek się tam zresztą dzieje, biorą w tym udział czerwie.

Kiedy zmusi was ostateczność, mawiał Adam Pierwszy, zaczynajcie od dołu łańcucha pokarmowego. Coś, co nie ma ośrodkowego układu nerwowego, na pewno cierpi mniej.

Toby zestawia niezbędny ekwipunek: różowy kombinezon, kapelusz i okulary przeciwsłoneczne, butelka wody, para rękawic chirurgicznych. Lornetka i karabin. Kij od mopa – dla równowagi. Bierze plastikową zatrzaskiwaną puszkę, robi w wieczku kilka dziurek, wkłada w nią łyżkę, i wszystko umieszcza w plastikowej torebce upominkowej opatrzonej logo spa w postaci mrugającego oka. Lepszy byłby plecak, miałyby wolne ręce. Kiedyś było tu parę plecaków – klientki zabierały w nich kanapki na przechadzki i pikniki – ale Toby nie pamięta, gdzie je położyła.

W zapasach zostało jeszcze trochę „W Pełni Naturalnego Solar-Niksu NowyTy”. Jest przeterminowany i pachnie kwaśno, mimo to

Toby smaruje sobie nim twarz. Następnie spryskuje kostki i przeguby SuperD na komary. Bierze porządny łyk wody. Idzie do bioalety – jeśli zdarzy się atak paniki, przynajmniej się nie posika. Nie ma nic gorszego niż zasuwać biegiem w mokrym kombinezonie. Lornetkę zawiesza sobie na szyi, idzie na dach rzucić ostatni raz okiem. Na łące nie widać uszu ani ryjów. Żadnych futrzastych złotych ogonów.

„Przestań się ociągać” – nakazuje sobie. Powinna iść natychmiast, żeby wrócić przed popołudniową burzą. Głupio byłoby zginąć od pioruna. Każda śmierć jest głupia z punktu widzenia tego, kogo dosięga, mawiał Adam Pierwszy, bo bez względu na wszystkie ostrzeżenia Śmierć zawsze wchodzi bez pukania. Dlaczego już teraz?! – rozlega się krzyk. Dlaczego tak wcześnie?! To krzyk dziecka wołanego o zmrok do domu, powszechny sprzeciw wobec Czasu. Pamiętajcie, moi Przyjaciele: „Po co żyję?” i „Po co umieram?”, to jedno i to samo pytanie.

Pytanie – stwierdza Toby bardzo stanowczo – którego teraz nie będę sobie zadawać.

Naciąga na ręce rękawice chirurgiczne, zarzuca na ramię torbę z NowyTy i otwiera sobie drzwi. Najpierw idzie do spustoszonego ogrodu, z którego szczątków odratowuje cebulę i dwie pietruszki. Łyżką nabiera do plastikowej puszki odrobinę wilgotnej ziemi. Następnie przecina parking i mija zamilkłe fontanny.

Od dawna nie oddalała się tak bardzo od budynku spa. Doszła do łąki – to rozległa przestrzeń. Chociaż ma na sobie szeroki kapelusz i ciemne okulary, oślepia ją światło.

„Nie panikuj – mówi sobie. – Tak czują się myszy, które odważą się wyjść na środek podłogi – ale ty nie jesteś myszą”. Chwasty czepiają się jej kombinezonu, płaczą jej nogi, jakby chcąc ją powściągnąć, zatrzymać przy sobie. Pełno na nich małych cierni, szponków i pułapek. To jak przedzieranie się przez ogromną ręczną robótkę – robótkę z drutu kolczastego.

Co to? But.

Nie myśleć o butach. Nie myśleć o butwiejącej damskiej torebce, którą zauważyła w pobliżu. Modna. Czerwony skaj. Strzęp

przeszłości, który jeszcze nie został wchłonięty w ziemię. Toby nie chciałyby nadepnąć na taką pozostałość, ale przez sieci i sploty skłębionego zielska trudno dojrzeć, co jest w dole.

Posuwa się naprzód. Czuje mrowienie w nogach. Tak zachowuje się ciało, kiedy wie, że ktoś je zaraz dotknie. Czy naprawdę myśli, że spomiędzy koniczyny i mleczu wyłoni się ręka i złapie ją za kostkę?

„Nie” – odpowiada na głos. Zatrzymuje się, żeby uspokoić serce i przeprowadzić rozeznanie. Szerokie rondo kapelusza ogranicza jej widok – obraca całe ciało jak sowa głowę – na lewo, na prawo, w tył i znowu w przód. Wszystko dokoła tonie w pięknej woni – kwitnie wysoka koniczyna; dzika marchew, lawenda, majeranek, melisa – samosiejki. W powietrzu dźwięczą zapyłające owady – trzmiele, lśniące osy, błyszczące chrząszcze. Dźwięki mamią. Zostań tu. Połóż się. Zaśnij.

Przyroda w całej okazałości to coś ponad nasze siły, mawiał Adam Pierwszy. Dla niewprawnej Duszy to potężny środek halucynogeny i nasenny. Nie czujemy się w niej już jak u siebie w domu. Musimy ją rozcieńczać. Nie jesteśmy w stanie wypić jej czystej. Tak samo z Bogiem. Za dużo Boga i można przedawkować. Boga trzeba odcedzać.

Przed Tobą w średniej odległości znajduje się linia ciemnych drzew wyznaczająca granicę lasu. Toby czuje, że las ją przyciąga, że wabi ją do środka, jak głębie oceanu i górskie wysokości podobno wabią innych ludzi – coraz wyżej i wyżej albo coraz głębiej i głębiej, aż rozplywają się w nieludzkim już zachwycie.

Patrz na siebie tak, jak patrzy na ciebie drapieżca, uczył Zeb. Toby staje za drzewami, spogląda przez filigranowe prześwity między liśćmi i gałęziami. Widzi ogromną dziką sawannę, a pośrodku niej niewielką delikatną różową postać, jak embrion albo kosmita, z wielkimi czarnymi oczami – jest sama, bezbronna, słaba. Za postacią widzi jej schronienie: nedorzeczną skrzynkę zrobioną ze słomy, która tylko wygląda jak z cegieł. Tak łatwo roznieść ją w pył.

Toby wyczuwa zapach strachu – własny.

Podnosi lornetkę do oczu. Liście lekko się poruszają, ale to tylko powiew wiatru. „Powoli idź naprzód – mówi do siebie. – Pamiętaj, po co tu przyszedłeś”.

Po dłuższej chwili Toby dociera do martwego knura. W powietrzu nad nim kłębi się chmara błyszczących zielonych i brunatnych much. Gdy Toby się zbliża, sępy unoszą swoje czerwone bezpióre głowy, wyciągają szyje, sprawiające wrażenie ugotowanych we wrzątku. Toby przepędza je kijem – odskakują, sycząc z oburzeniem. Niektóre wzbijają się w powietrze, nie spuszczając z niej oczu. Inne podlatują ku drzewom, gdzie złożywszy zakurzone skrzydła – czekają.

Na ścierwie knura i obok niego porozsypywane są pierzaste liście paproci. Takie paprocie nie rosną na tej łące. Jedne są stare, zeschnięte i brązowe, inne – całkiem świeże. Są też kwiaty. Czy to płatki różane z róż przy drodze? Toby słyszała o czymś takim – nie, czytała o tym, będąc dzieckiem, w książeczce o słońcach. Słonie stawały wokół zmarłych krewnych zmartwione, jakby medytując, a potem rzucały na nie gałązki i ziemię.

Ale świnię? Zazwyczaj po prostu zżerają martwą świnię, tak jak zżarłyby wszystko inne. Tej oto jednak nie zżarły.

Czy to możliwe, żeby świnię urządziły pogrzeb? Żeby przynosiły tu pamiątkowe bukiety? Ta myśl prawdziwie ją przeraża.

Dlaczego jednak nie?, pyta łagodny głos Adama Pierwszego. Wierzmy, że Zwierzęta mają Dusze. Dlaczego nie miałyby mieć pogrzebów?

„Zwariowałaś” – mówi do siebie na głos.

Odór rozkładającego się ciała jest obrzydliwy. Toby zbiera się na wymioty. Unosi fałdę kombinezonu, przykrywa sobie nią nos. Kijem trzymanym w drugiej ręce szturcha martwego knura – wysypują się z niego czerwce. Wyglądają jak wielkie szare ziarna ryżu.

Wyobraź sobie, że to krewetki lądowe, odzywa się głos Zeba. Ciało zbudowane w ten sam sposób. „Dasz radę” – mówi sobie.

Żeby przejść do następnego etapu, odkłada na bok karabin i kij. Łyżką nabiera białych wijących się czerwi i wkłada je do plastikowej puszki. Parę strąca na ziemię – trzęsą jej się ręce. W głowie słyszy brzęczenie jakby maleńkich świderków – może to tylko muchy? Nakazuje sobie trochę zwolnić.

Gdzieś daleko grzmi.

Odwraca się plecami do lasu, wraca, idąc przez łąkę. Nie biegnie. Drzewa chyba przysunęły się bliżej.

Rok dwudziesty piąty

Ren

Któregoś dnia, kiedy piłyśmy szampana, zaproponowałam: „Pomalujmy sobie paznokcie, wyglądają jak ruina”. Pomyślałam, że może to nas rozweseli. Amanda zaśmiała się i powiedziała: „Nic tak nie rujnuje paznokci jak śmiercionośna pandemiczna zaraza”. Mimo to zabrałyśmy się do paznokci. Amanda zrobiła sobie odcień pomarańczowo-różowy, który nazywał się Satsuma Parfait, a ja – Gładką Malinę. Wyglądałyśmy jak dwie dziewczynki, które bawią się lakierem do paznokci. Uwielbiam jego zapach. Wiem, że jest trujący, ale pachnie tak czysto. Świeżo, jak wykrochmalona pościel. I faktycznie, poczułyśmy się lepiej.

Potem wypiliśmy jeszcze trochę szampana i przyszedł mi do głowy pomysł na kolejną zabawę, więc poszłam piętro wyżej. Wszystkie pomieszczenia były puste, z wyjątkiem jednego: w naszym dawnym pokoju leżała Gwiazdka. Czułam się z jej powodu strasznie, ale uszczelniłam drzwi prześcieradłami, żeby zatrzymać wydobywający się stamtąd zapach, licząc na to, że drobnoustroje zabiorą się do pracy, tak żeby Gwiazdka jak najprędzej mogła się stać czymś innym. Z pustego pokoju Savony i Pąsowego Płatka zabrałam biofilmy i kostiumy, zniosłam na dół całe ich narzędzie i zaczęłyśmy je przymierzać.

Kostiumy z biofilmu trzeba było spryskać wodą i nawilżającą odżywką do skóry – bo wyschły – jednak kiedy to zrobiłyśmy, dopasowały się gładko jak zawsze. Poczułyśmy to przyjemne

ssanie warstwy żywych komórek wiążących się z naszą skórą, a potem pojawiło się ciepłe, łaskoczące uczucie, co znaczyło, że zaczęły oddychać. Do środka przepuszczały tylko tlen, na zewnątrz – tylko produkty naturalnego wydalania – jak informowały etykiety. Część twarzowa miała nawet nozdrza. Wielu klientów Łusek wolałoby błonę i szczotowanie, gdyby to było w stu procentach bezpieczne, ale z biofilmem mieli przynajmniej spokój i pewność, że nie posuwają jakiegoś ropiejącego wrzodu.

– Cudowne uczucie – powiedziała Amanda. – Jakbym miała masaż.

– Świetnie wpływa na cerę – dodałam i roześmiałyśmy się.

Amanda włożyła kostium flaminga z różowymi piórami, a ja ubrałam się w kostium pawia. Włączyłyśmy muzykę, kolorowe reflektory, weszłyśmy na scenę i zaczęłyśmy tańczyć. Amanda wciąż była świetną tancerką, dobrze jej wychodziło kręcenie piórami. Ale dzięki temu, że tyle ćwiczyłam i pracowałam na trapezie, prześcignęłam ją. Wiedziała o tym. Sprawiało mi to przyjemność.

Zachowałyśmy się głupio, robiąc całe to przedstawienie z tańcami: podkręciłyśmy muzykę na cały regulator, tak że przez otwarte drzwi wydobywała się na zewnątrz, i gdyby ktoś znalazł się w pobliżu, na pewno by ją usłyszał. O tym jednak nie pomyślałam. „Ren, nie jesteś jedyną osobą na świecie” – mówiła mi Toby, kiedy byłam mała. W ten sposób uczyła nas, że powinniśmy mieć wzgląd na innych. A teraz naprawdę sądziłam, że – nie licząc Amandy – jestem jedyną osobą na świecie. Tak więc przebrane w różowy kostium flaminga i niebieski kostium pawia, ze świeżym lakierem na paznokciach, tańczyłyśmy na scenie Łusek w rytm ogłuszającej muzyki ump-ump babababach łup-łup-łup i śpiewałyśmy, jakbyśmy nie miały najmniejszych zmartwień.

Kiedy kawałek się skończył, usłyszałyśmy oklaski. Zmroziło nas. Czułam, jak przenika mnie lodowaty ziąb: przez głowę przemknął mi obraz Pąsowego Płatka zwisającej na linie trapezu z wbity w nią butelką – i oddech zamarł mi w piersi.

W środku było trzech facetów – najwyraźniej weszli tu ukradkiem. „Nie uciekaj” – powiedziała mi Amanda po cichu.

– Żywi czy martwi? – zapytała ich z uśmiechem. – Bo jeśli jesteście żywi, to może się czegoś napijecie?

– Fajnie tańczycie – odezwał się najwyższy. – Jak to możliwe, że nie złapałyście wirusa?

– A może złapałyśmy? – powiedziała Amanda. – Może zarazamy, tylko jeszcze tego nie wiemy. Wyłączam oświetlenie sceny, żeby mogła was zobaczyć.

– Jest tu ktoś oprócz was? – zapytał najwyższy. – Jacyś... faceci?

– O ile wiem, to nie – odparła Amanda i przygasiła światła. – Ściągnij twarz – powiedziała do mnie. Miała na myśli zielone cekiny i biofilm. Zeszła po schodkach ze sceny. – Zostało trochę szkockiej. Możemy też zrobić wam kawę.

Delikatnie odklejała sobie z głowy biofilm, a ja wiedziałam, co przy tym myśli: nawiąź bezpośredni kontakt wzrokowy, tak jak uczył nas Zeb. Nie odwracaj się, bo wtedy będą bardziej skłonni napaść cię od tyłu. A im mniej wyglądaliśmy jak skrzące się ptaki, a bardziej jak ludzie, tym większe miałyśmy szanse, że nie wyprują nam flaków.

Teraz mogłam lepiej przyjrzeć się całej trójce. Stał tam jeden wysoki, drugi niski i trzeci, też wysoki. Mieli na sobie ubranie kamuflujące, bardzo zabrudzone, i wyglądali tak, jakby za długo chodzili w słońcu. W słońcu, w deszczu i na wietrze.

Nagle ich rozpoznałam.

– Shackie? – zapytałam. – Shackie! Amando, to Shackie i Croze!

Wysoki zwrócił twarz w moją stronę:

– Kim wy, kurwa, jesteście? – spytał, ale nie napastliwie, tylko w osłupieniu.

– To ja, Ren! Czy to mały Oates? – rozplakałam się.

Cała nasza piątka zbiła się w gromadkę jak w jakiejś piłkarskiej naradzie oglądanej w zwolnionym tempie, a po chwili wszyscy się obejmowaliśmy. Objejmowaliśmy bez przerwy, nie wypuszczając się z ramion.

W zamrażarce było trochę soku o pomarańczowej barwie, który Amanda zmieszała z resztką szampana i zrobiła nam mimozy. Otworzyliśmy solone orzeszki sojowe, w kuchence mikrofalowej

odgrzaliśmy paczkę sztucznych ryb i całą piątką zasiedliśmy przy barze. Chłopcy – wciąż myślałam o nich jak o chłopcach – jedzenie wręcz wciągali w siebie. Amanda kazała im popijać wodą i się nie spieszyć. Nie byli śmiertelnie wygłodzeni – przedtem włamywali się do marketów i domów, żywili się tym, co zebrali jako pokłosie. Złapali też w sidła parę królików i upiekli je w kawałkach, tak jak robiliśmy to kiedyś w Tygodniu Świętego Euella. Mimo to wychudli.

Opowiedzieliśmy sobie, gdzie każde z nas było w momencie nadejścia Bezwodnego Potopu. Ja mówiłam o Śliskiej Strefie, Amanda o krowich kościach w Wisconsin. Powiedziałam, że kiedy to wszystko się zaczęło, ślepy szczęśliwy traf sprawił, że nie miałyśmy kontaktu z ludźmi. Chociaż Adam Pierwszy twierdził, że żaden szczęśliwy traf nie jest ślepy, bo szczęśliwy traf to tylko inna nazwa cudu.

Ale Shackie, Croze i Oates ledwie uszli wtedy z życiem. Byli zamknięci w Paintbólowej Arenie. Byli Drużyną Czerwonych, mówił Oates, pokazując mi tatuaż na kciuku. Był z niego wyraźnie dumny.

– Wsadzili nas za to, co robiliśmy z MaddAddamem – objaśnił Shackie.

– Z Mag-Adamem? – zdziwiłam się. – Czyli z Zebem? U Ogrodników?

– Nie tylko z Zebem. Była nas cała grupa, on, my i jeszcze inni – tłumaczył Shackie. – Czołowi naukowcy, co zwiali z Korporacji i zeszli do podziemia, bo nie mogli znieść tego, co robią Korporacje. Byli w tym też Rebecca i Katuru, pomagali w dystrybucji produktów.

– Mieliśmy witrynę w Internecie – mówił Croze. – Wymienialiśmy informacje w tajnym chatroomie.

– Produktów? – zapytała Amanda. – Dilowaliście supertrawę? Ekstra!

– No co ty! Organizowaliśmy ruch oporu za pomocą bioform! – oznajmił poważnie Croze. – Składacze komponowali bioformy, a Shackie, Oates, Rebecca, Katuru i ja mieliśmy rewelacyjne toż-

samości – z ubezpieczeniem i z nieruchomościami – dzięki którym mogliśmy jeździć w różne miejsca. Zabieraliśmy ze sobą różne bioformy i wypuszczaliśmy je.

– Podkładaliśmy je – dodał Oates – jak... no wiesz... bomby zegarowe.

– Niektóre draństwa były naprawdę odjazdowe – mówił Shackie. – Mikroby zjadające asfalt, myszy, które atakowały samochody...

– Zeb obmyślił, że jeśli da się zniszczyć infrastrukturę – tłumaczył Croze – to planeta naprawi się sama. Zanim będzie za późno i wszystko wymrze.

– Ta zaraza to też sprawka MaddAddama? – spytała Amanda.

– A skąd! – zaprzeczył Shackie. – Zeb nie popierał zabijania ludzi. On tylko chciał ich powstrzymać przed zmarnowaniem i spieprzeniem wszystkiego.

– Chciał ich zmusić do myślenia – powiedział Oates. – Tylko że niektóre z tych myszy wymknęły się spod kontroli. Pokręciło im się. Zaczęły się rzucać na buty. Zdarzały się przypadki poranienia stóp.

– Gdzie on jest teraz? – zapytałam. Obecność Zeba bardzo by nam pomogła. On wiedziałby, co powinniśmy teraz zrobić.

Shackie odparł:

– Kontaktowaliśmy się z nim tylko przez Sieć. Działał solo.

– Niestety, KorpuSOKorp zgarnął naszych składaczy z MaddAddama – rzekł Croze. – Wpadł na nasz trop. Pewnie jakaś menda w chatroomie była podstawiona.

– Czy tych naukowców zastrzelili? – spytała Amanda.

– Nie wiem – odparł Shackie. – Ale nie wsadzili ich z nami do Paintbólu.

– W Paintbólu byliśmy tylko parę dni.

– Nas trzech i ich trzech. Drużyna Złotycho: „zli” to o nich mało powiedziane. Jeden z nich... pamiętacie Blanca z Laguny Ścieków? „Urwę ci łeb i zjem go”? Trochę stracił na wadze, ale to był on – opowiadał Croze.

– Żartujesz! – krzyknęła Amanda. Nie wyglądała na przerażoną, była raczej zmartwiona.

– Przymknęli go, bo zdemolował Łuski, zabił paru ludzi i jeszcze się przechwalał. Mówił, że w Paintbólu czuje się jak w domu, tak często tam bywa.

– Czy wiedział, kim jesteście? – pytała Amanda.

– Jasne, że tak – odpowiedział Shackie. – Darł się, że przyszedł czas rewanżu za tę burdę na Dachu Edencliff, że wypatroszy nas jak ryby.

– Jaką burdę na Dachu Edencliff? – zapytałam.

– Ciebie już wtedy nie było – odparła Amanda. – Jak się wydostaliście?

– Poszliśmy sobie – powiedział Shackie. – Obmyślaliśmy, jak tu zabić przeciwników, zanim oni zabiją nas. Dali nam trzy dni przed gongiem startowym na ułożenie planu, ale ni stąd, ni zowąd strażnicy poznikali. Po prostu zniknęli.

– Jestem strasznie zmęczony. Muszę się przespać – ziewnął Oates i położył głowę na barze.

– Okazało się, że strażnicy są – ciągnął Shackie. – Że są w swojej budce, tylko że jakby się roztopili.

– Włączyliśmy Internet – opowiadał dalej Croze. – Wtedy były jeszcze wiadomości. Dawali materiał o jakiejś wielkiej katastrofie, więc stwierdziliśmy, że lepiej nie wychodzić i nie mieć styczności z ludźmi. Zamknęliśmy się w budce strażniczej, było tam trochę jedzenia.

– Był tylko taki problem, że Złoci siedzieli w drugiej budce, po przeciwnej stronie bramy. Baliśmy się, że jak będziemy spali, przyjdą nam wpieprzyć.

– Czuwaliśmy na zmianę, ale takie czekanie za bardzo nas męczyło. Więc zmusiliśmy ich do wyjścia. Shackie w nocy wykradł się przez okno i odciął im dopływ wody.

– O kurwa! – zawołała Amanda z podziwem. – Serio?

– I musieli się wynieść – powiedział Oates. – Z braku wody.

– Tylko że nam skończyło się jedzenie i też musieliśmy się wynieść – mówił Shackie. – Myśleliśmy, że będą na nas czekać, ale nie czekali. – Wzruszył ramionami: – I to cała historia.

– Po co przyszliście do Łusek? – spytałam.

Shackie wyszczerzył zęby w uśmiechu:

– To miejsce ma swoją sławę.

– To legenda – dodał Croze. – Nie spodziewaliśmy się wprawdzie, że będą tu jeszcze jakieś dziewczyny. Chcieliśmy tylko zobaczyć lokal.

– Coś, co warto zrobić przed śmiercią – powiedział Oates, ziewając.

– Chodź, Oaciu – powiedziała Amanda. – Położymy cię spać.

Zaprowadziliśmy ich na górę, wysłaliśmy pod prysznic, a kiedy wyszli, byli o wiele czystszy niż wtedy, kiedy się pojawili. Dałyśmy im ręczniki, żeby się wytarli, a potem wsadziliśmy do łóżek, każdego w osobnym pokoju.

Zajęłam się Oatesem – dałam mu ręcznik i mydło, pokazałam mu, gdzie będzie spał. Nie widziałam go od bardzo dawna. Kiedy odeszłam od Ogrodników, był jeszcze dzieckiem. Ale już wtedy był słodki.

– Urosteś – powiedziałam. Wzrostem prawie dorównywał Sha-ckiemu. Całe jego blond włosy były wilgotne, wyglądały jak sierść psa, który pływał.

– Zawsze uważałem, że jesteś najfajniejsza – odparł. – Kiedy miałem osiem lat, strasznie się w tobie bujałem.

– Nie wiedziałam.

– Mogę cię pocałować? – spytał. – Nie w erotyczny sposób.

– No dobra – odparłam. Dał mi przesłodkiego buziaka obok nosa.

– Jesteś bardzo ładna. Proszę, nie zdejmuj tego ptasiego przebrania.

Dotknął piór na mojej pupie. I uśmiechnął się lekko i wstydliwie. Przypomniał mi się przez to Jimmy, taki jaki był na początku, i poczułam, że załomotało mi serce. Wyszłam jednak na palcach z pokoju.

– Może ich pozamykać na klucz? – szepnęłam do Amandy na korytarzu.

– A po co? – spytała.

– Byli w Paintbólu.

– Co z tego?

– To z tego, że wszyscy goście z Paintbólu są zwichni. Nigdy nie wiesz, co zrobią, im po prostu odwała. A do tego mogą mieć wirusa, zarazę.

– Ścisaliśmy się z nimi – zauważyła Amanda. – Teraz mamy już wszystkie zarazki, które mają oni. A poza tym to starzy Ogrodnicy.

– To znaczy?

– To znaczy, że to nasi przyjaciele.

– Wtedy nie do końca byli naszymi przyjaciółmi. Nie zawsze.

– Spokojnie – powiedziała Amanda. – Robiłam z nimi masę różnych rzeczy. Czemu mieliby nas skrzywdzić?

– Nie chcę być tłustą szparą do podziału.

– To było niegodziwe – rzekła. – Nie ich powinnaś się bać, tylko tych trzech gości, którzy byli z nimi w Paintbólu. Z Blankiem nie ma żartów. Oni na pewno gdzieś są. Przebieram się w normalne ciuchy.

Ściągnęła kostium flaminga i włożyła swój strój khaki.

– Powinnyśmy zamknąć drzwi wejściowe na klucz – powiedziałam.

– Zamek jest zepsuty – odparła Amanda.

Usłyszałyśmy głosy dochodzące z ulicy. Ktoś śpiewał i krzyczał, tak jak to robili mężczyźni w Łuskach, kiedy byli już gorzej niż zwykle pijani – kiedy byli pijani po świńsku, pijani awanturniczo. Usłyszałyśmy brzęk tłuczonego szkła.

Popędziłyśmy do sypialń obudzić chłopaków. Ubrali się raz-dwa i zaprowadziłyśmy ich do okna na pierwszym piętrze, które wychodziło na ulicę. Shackie nasłuchiwał przez chwilę, potem ostrożnie wyjrzał.

– Cholera – powiedział.

– Czy są tu jeszcze inne drzwi? – szepnął Croze. Chociaż był opalony, twarz miał białą. – Musimy stąd wyjść. I to już.

Zeszliśmy tylnymi schodami i przez drzwi, którymi wynoszono odpadki, wymknęliśmy się na podwórze zastawione kubłami na ropośmięci i pojemnikami na puste butelki. Słyszeliśmy, jak Drużyna Złotych szaleje w budynku Łusek, demolując wszystko,

co dotąd nie zostało zdemolowane. Rozległ się potworny łomot – pewnie zerwali półki za barem.

Przycisnęliśmy się przez dziurę w płocie, przebiegliśmy przez niezabudowaną działkę i puściliśmy się biegiem uliczką. Mało prawdopodobne, żeby nas widzieli, ale miałam wrażenie, że widzieli – jak gdyby wzrokiem mogli przeniknąć ceglany mur, tak jak mutanty z telewizji.

Parę przecznic dalej zwolniliśmy i szliśmy normalnie.

– Może się nie domyślą, że tam byliśmy – powiedziałam.

– Domyślą się – odparła Amanda. – Brudne talerze. Mokra ręczniki. Łóżka. Łatwo poznać, że w łóżku dopiero co ktoś spał.

– Będą nas szukać – rzekł Croze. – Jak nic.

Skręciliśmy parę razy i szliśmy różnymi uliczkami, żeby utrudnić rozpoznanie śladów. Ślady mogły być problemem – na ulicach leżała warstwa popielistego błota. Ale Shackie powiedział, że deszcz zatrze odciski stóp i że Złoci to nie psy, nie wywęszą nas.

To na pewno byli oni: trzech paintbólówców, którzy pierwszej nocy Potopu zdemolowali Łuski. Ci, co zabili Mordisa. Widzieli mnie przez interkom. To dlatego przyszli do Łusek – chcieli otworzyć Śliską Strefę jak ostrygę i wyciągnąć mnie ze środka. Znaleźliby jakieś narzędzia. Trochę by to potrwało, lecz w końcu dopięliby swego.

Kiedy o tym pomyślałam, przeszedł mnie zimny dreszcz. Ale nie powiedziałam o tym reszcie. Mieli dosyć innych zmartwień.

Po ulicach wałało się mnóstwo śmieci – rzeczy spalonych, rzeczy roztrzaskanych. Pozostałości samochodów i ciężarówek, ale nie tylko. I szkło – całe mnóstwo szkła. Shackie powiedział, że mamy uważać, do jakich budynków wchodzimy – podeszli raz całkiem blisko jednego, który się nagle zawalił. Powinniśmy się trzymać z dala od wysokich konstrukcji, które mogły być naruszone przez pożary. A jeśli na kogoś spadnie odłamek szyby – zegnaj głowo! Teraz bezpieczniej było w lesie niż w mieście. W przeciwieństwie do tego, co kiedyś myśleli ludzie.

Najbardziej dręczył mnie widok drobnych, zwyczajnych rzeczy. Czyjegoś pamiętnika, w którym słowa ściekały z kartek. Kapeluszy. Butów – które były jeszcze gorsze niż kapelusze, a jeszcze gorzej, jeśli były to buty do pary. Dziecięcych zabawek. Wózków spacerowych bez dzieci.

Miasto wyglądało jak wywrócony do góry nogami i rozdeptany domek dla lalek. Z jakiegoś sklepu wzdłuż chodnika ciągnął się sznur jasnych T-shirtów, jak ogromne odciski stóp zrobione z ubrań. Ktoś rozbił widać witrynę i obrabował sklep – dlaczego jednak sądził, że przyda mu się stos podkoszulków? Ze sklepu z meblami na ulicę wysypywały się poręcze i nogi krzeseł, skórzanego poduszki. Dalej było stoisko z okularami przeciwsłonecznymi w złotych i srebrnych oprawkach *haute couture* – nikt nie raczył ich ukraść. Aptekę splądrowano do szcztu w poszukiwaniu narkotyków na imprezy. Było w niej mnóstwo pustych opakowań po BłogoPlusie. Sądziłam, że jest dopiero testowany – może tu sprzedawali go nielegalnie.

Tu i ówdzie leżały kłęby szmat i kości. „Ekskludzie” – stwierdził Croze. Wszystko to było już wysuszone i porozgrzebywane, ale nie mogłam patrzeć na te dziury po oczach. I zęby – usta bez warg wyglądają znacznie gorzej. I te włosy, sznurkowate i odłazące. Włosy rozkładają się latami – uczyliśmy się tego u Ogrodników na lekcjach z kompostowania.

Nie zdążyliśmy zabrać jedzenia z Łusek, więc weszliśmy do marketu. Cała podłoga zasypana była śmieciami, ale udało nam się znaleźć parę zizifrutów i energatonów. W innym sklepie działała jeszcze zamrażarka na baterie słoneczne. Były w niej nasiona soi i jagody, które zjedliśmy na miejscu, i mrożone kotleciki z SekretBurgera.

– Jak je usmażymy? – zapytał Oates.

– Na zapalniczkach – odparł Shackie. – Widzisz?

Przy kasie stał stojak z zapalniczkami w kształcie żab. Shackie wypróbował jedną: z pyska żaby wystrzelił płomień z dźwiękiem „rabe-rabe”.

– Weź parę – powiedziała Amanda.

Znajdowaliśmy się niedaleko Zapadliska, więc skierowaliśmy się do starej Kliniki Wellness, bo to miejsce dobrze znaliśmy. Miałam nadzieję, że w środku będą jacyś Ogrodnicy. Ale nie było tam nikogo. Zrobiliśmy sobie piknik w naszej dawnej klasie: z połamanych ławek rozpaliliśmy ognisko, nieduże, żeby nie wysłać sygnałów dymnych paintbólowcom. Musieliśmy jednak otworzyć okna, bo zaczęliśmy strasznie kaszleć. Upiekliśmy sekretburgery, zjedliśmy je z połową naszej soi – nie zadaliśmy sobie trudu ugotowania jej – i popiliśmy zizifrutem. Oates ciągle robił zabłązpalniczką „rabe-rabe”, aż Amanda powiedziała mu, żeby przestał, bo marnuje gaz.

Zdążyła nam już opaść adrenalina wyprodukowana podczas ucieczki. Czuliśmy się smutno w miejscu, w którym bywaliśmy jako dzieci. Chociaż wtedy za nim nie przepadalśmy, teraz ogarnęła mnie prawdziwa nostalgia.

Tak chyba będę już teraz żyła, pomyślałam. Uciekając, zerując na resztkach, czolgając się po podłogach, zarastając brudem. Przydałoby mi się jakieś normalne ubranie, bo nadal miałam na sobie kostium pawia. Chciałam wrócić do sklepu z T-shirtami, żeby sprawdzić, czy nie zostało tam coś, co może nie byłoby wilgotne i zbutwiałe, ale Shackie powiedział, że to zbyt niebezpieczne.

Przyszło mi do głowy, że może powinniśmy zacząć się ze sobą kochać – to byłoby coś przyjemnego i szlachetnego. Wszyscy jednak byli zbyt zmęczeni, a do tego krępowaliśmy się siebie nawzajem. Wszystkiemu winne było otoczenie – choć Ogrodnicy nie byli fizycznie obecni, byli tu swym Duchem. Trudno więc było robić coś, co by potępili, gdyby nas na tym przyłapali jako dzieciolatków.

Zasnęliśmy ściśnięci ze sobą, leżąc jedno na drugim jak szczeniaki.

Kiedy obudziliśmy się rankiem, w drzwiach stała ogromna świnia, gapiąc się na nas i wietrząc tym swoim mokrym, oślizgłym ryjem. Musiała wejść głównym wejściem i przejść przez cały korytarz. Kiedy zobaczyła, że na nią patrzymy, odwróciła się i odeszła. Może poczuła zapach gotowanych kotlecików, powiedział Shackie.

Tłumaczył, że to dobrze znany MaddAddamowi udoskonalony kompozyt genetyczny z ludzką tkanką mózgową.

– Na pewno – powiedziała Amanda. – I studiuje wyższą fizykę.

– To prawda – rzekł Shackie ponuro.

– Szkoda, że nie mamy miotacza – rzekł Croze. – Dawno nie jadłem bekonu.

– To brzydko tak się wyrażać – powiedziałam, udając Toby, i wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem.

Przed odejściem z Kliniki Wellness weszliśmy do Octowni, żeby spojrzeć na nią ostatni raz. Wciąż jeszcze były tu te wielkie beczki, chociaż ktoś potraktował je siekierą. Czuć było zapach octu i toalety – ktoś wykorzystywał w tym celu jeden kąt pokoju, i to niedawno. Drzwiczki do komórki, gdzie trzymano butelki z octem, były otwarte. Nie było w niej butelek – same puste półki. Były dziwnie pochylone i kiedy Amanda złapała za krawędź i pociągnęła, cały regał się przesunął.

– Patrzcie – powiedziała. – Tu jest jeszcze jeden pokój!

Weszliśmy do środka. Stał tam stół, który zajmował prawie całą przestrzeń, i parę krzeseł. Najciekawszy był jednak materac, taki jak nasze dawne Ogrodnicze materace, i sterta pustych opakowań po żywności – sojdynkach, kokorzycy i jagodach kolcowoju. W drugim kącie pokoju stał laptop.

– Ktoś inny tu się dostał – zauważył Shackie.

– Nie Ogrodnik – dodałam. – Miał laptop.

– Zeb miał laptop – rzekł Croze. – Ale Zeb przestał być Ogrodnikiem.

Wyszliśmy z Kliniki Wellness bez żadnego konkretnego planu. Zaszeregotałam, żebyśmy poszli do spa NowyTy, gdzie moglibyśmy znaleźć żywność w Araracie założonym w magazynie przez Toby, która zdradziła mi kod. Oprócz tego coś mogłoby jeszcze rosnąć w ogrodzie. Zastanawiałam się nawet, czy nie ukrywa się tam Toby, ale nie chciałam rozbudzać zbyt wielkiej nadziei, więc o tym nie wspomniałam.

Wydawało nam się, że zachowujemy się bardzo ostrożnie. Nie widzieliśmy żywej duszy. Weszliśmy do Parku Dziedzictwa

i skierowaliśmy się w stronę zachodniego wjazdu do spa. Trzymaliśmy się leśnej ścieżki pośród drzew – w ten sposób byliśmy mniej widoczni.

Szliśmy gęsiego. Shackie szedł na czele, za nim Croze, potem Amanda, ja, a na samym końcu Oates. Nagle przebiegł mnie ziąb i obejrzałam się za siebie – Oatesa nie było.

– Shackie! – krzyknęłam.

Amanda uskoczyła w bok, na prawo.

Potem było jakieś ciemne miejsce, jakby przedzieranie się przez jeżyny – wszystko było takie bolesne i splątane. Na ziemi leżały jakieś ciała, a jednym z nich było moje – to pewnie wtedy ktoś mnie uderzył.

Kiedy się ocknęłam, Shackiego, Croze'a i Oatesa nie było. Była jednak Amanda.

Nie chcę myśleć o tym, co nastąpiło potem.

Dla Amandy było to gorsze niż dla mnie.

Dzień Drapieżcy

Dzień Drapieżcy

Rok dwudziesty piąty

O Bogu jako Alfa Drapieżcy

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współtworzenia, Drodzy Współśmiertelnicy!

Dawno temu w naszym pięknym Ogrodzie na Dachy Edenclyff świętowaliśmy z okazji Dnia Drapieżcy. Nasze Dzieci przyczepiały sobie uszy i ogony Drapieżników zrobione ze sztucznego futra, a o zachodzie słońca zapalaliśmy świeczki w Lwach, Tygrysach i Niedźwiedziach wykonanych z podziurawionych puszek. Pałące się jasnym światłem oczy tych Drapieżczych figur oświetlały naszą świąteczną ucztę.

Dzisiaj jednak to Święto z konieczności obchodzimy w Ogródach znajdujących się w naszych Umysłach. Mamy szczęście, że przynajmniej one nam się zostały, jako że przez nasze miasto, ba, przez cały Glob przetoczył się Bezwodny Potop. Większość ludzi była zaskoczona, my jednak zdaliśmy się na przewodnictwo Ducha. Albo, mówiąc bardziej materialistycznie – kiedy nadeszła globalna pandemia, potrafiliśmy ją rozpoznać.

Podziękujemy tutejszemu Araratowi, w którym ukrywamy się od paru miesięcy. Być może nie ten właśnie chcielibyśmy wybrać, usytuowany w piwnicach Kompleksu Wspólnoty Buenavista, które były zawilgocone jeszcze w czasach, gdy Pilar miała tu uprawy grzybów, a dzisiaj zawilgotniały jeszcze bardziej. Niemniej jest dla nas zbawieniem, iż tak wiele spośród naszych Szczurzych krewniaków

ofiarowało nam swe białko, umożliwiając nam w ten sposób pozostanie na obliczu Ziemi. Szczęśliwie się też złożyło, że Pilar w tej właśnie piwnicy założyła Ararat, ukryty za pustakiem oznaczonym znaczkiem pszczoły. Cóż za zrządzenie Opatrzności, iż tak wiele z zapasów przez nią zebranych zachowało świeżość! Szkoda jednak, że nie wszystkie.

Niestety, zasoby te się wyczerpały i musimy albo się wyprowadzić, albo umrzeć z głodu. Módlmy się, aby otaczający nas świat powszechny przestał być złowszechny, aby okazało się, że Bezwodny Potop oczyścił go tak, jak zniszczył, i że cały świat jest dziś niczym nowy Eden. A jeśli jeszcze nie jest niczym nowy Eden, by stał się taki wkrótce. Taką przynajmniej mamy nadzieję.

W Dniu Drapieżcy czcimy nie Boga kochającego i dobrego Ojca i Matkę, lecz Boga Tygrysa, Boga Lwa, Boga Niedźwiedzia, Boga Dzika, Boga Wilka, a nawet Boga Rekina. Jakimkolwiek posłużymy się symbolem, Dzień Drapieżcy poświęcony jest przerażającemu wyglądowi i wszechpotężnej sile, cechom, które – jako że czasami ich pragniemy – muszą również być przynależne Bogu, gdyż Jemu jest przynależne wszystko, co dobre.

Jako Stwórca, Bóg każdemu Stworzeniu przydał odrobinę Siebie – jakżeż mogłoby być inaczej? – przeto Tygrys, Lew, Wilk, Niedźwiedź, Dzik i Rekin – a w mniejszej skali też Rzęsorek Rzeki i Modliszka – są na swój sposób odbiciem tego, co Boskie. Społeczeństwa ludzkie wiedziały o tym od wieków. Na sztandarach i godłach człowiek nie umieszczał Zwierząt będących ofiarami, takich jak Króliki czy Myszy, lecz Zwierzęta zdolne do zadawania śmierci; a gdy wzywał Boga jako obrońcę, to czyż nie czynił tak właśnie ze względu na te Jego cechy?

A zatem w Dzień Drapieżcy rozważamy alfa-drapieżcze aspekty Boga. Nagłość i dzikość, z jaką może ukazać nam się obraz tego, co Boskie; a także naszą małość i lękliwość – że tak powiem: naszą Mysiość – w obliczu takiej Mocy oraz nasze poczucie jednostkowego unicestwienia w jasności tego wspaniałego Światła. Bóg przechadza się po subtelnym, porannym Ogrodach Umysłu, lecz

czai się także w jego nocnych Puszczech. Przyjaciele, On nie jest potulną Istotą – jest Istotą dziką, nie można Go przywołać i rozkazywać Mu jak Psu.

Ludzie zabili wprawdzie ostatniego Tygrysa i ostatniego Lwa, lecz my otaczamy czułą opieką ich Nazwy. Te Nazwy wypowiadamy, w nich słyszymy straszliwy Głos Boży pochodzący z chwili ich Stworzenia. Bóg rzekł do nich zapewne: Moje Mięsożerne, nakazuję wam wykonywać zadanie przetrzebienia Gatunków, na które polujecie, ażeby się zanadto nie rozpleniły, nie zużyły całego pożywienia, nie zaniemogły i nie wymarły. A zatem ruszajcie! Skaczcie! Pędźcie! Ryczcie! Łówcie! Gońcie! Albowiem mam upodobanie w waszych grozą napawających sercach, w złotych i zielonych klejnotach waszych oczu, w waszych doskonale ukształtowanych ścięgnach, w waszych nożycowatych kłach, szablitych pazurach, którymi Ja Sam was obdarzyłem. Daję wam Moje Błogosławieństwo i ogłaszam, że jesteście Dobre.

„Albowiem one domagają się żeru od Boga” – jak to radośnie ujmuje Psalm 104.

Przygotowując się do opuszczenia naszego schronienia w tym Araracie, zadajmy sobie pytanie: Co jest większym błogosławieństwem, zjeść czy zostać zjedzonym? Uciekać czy gonić? Dawać czy brać? Gdyż w swej istocie jest to jedno i to same pytanie. Takie pytanie wkrótce może przestać być czysto teoretyczne – nie wiemy, jacy Alfa Drapieżcy czają się na zewnątrz.

Módlm się, abyśmy w razie konieczności ofiarowania naszego własnego białka, tak aby zaczęło krążyć między naszymi Współgatkami, umieli docenić świętość tego aktu. Nie bylibyśmy Ludźmi, gdybyśmy nie woleli pożerania od bycia pożartymi – ale jedno i drugie jest błogosławieństwem. Jeżeli będziecie zmuszeni oddać swe życie, bądźcie pewni, że oddajecie je Życiu.

Zaśpiewajmy.

Rzęsorek Rzeczek, zgryzając Ofiarę

Rzęsorek Rzeczek, zgryzając Ofiarę,
Działa tylko z nakazu Natury –
Z pełną prostotą czyni swą powinność,
Swych poczynań nie układa z góry.

Lampart, co nocą na Zdobycz się rzuca,
I jego krewna, domowa Kicia,
Kochają łowić i łowią, by kochać –
Bóg je takimi powołał do życia.

I kto odgadnie, czy trwoga z radością,
A radość z trwogą się zrównoważa?
Czy każdą chwilą Ofiara się cieszy,
Bo ciągle zguba jej zagraża?

Lecz my różnimy się od Zwierząt,
Nam żywot innych Stworzeń drogi,
Dlatego ciał ich nie pozeramy,
Chyba że głód nas zmusza srogi.

A kiedy głód nas przymusi srogi
I gdy nas Mięso kuszące znęci,
Niech Bóg odstępstwo wybaczy i Życie,
Które będziemy jeść, uświęci.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętej Nganeko Minhinnick z Manukau.

Czerwony wschód słońca oznacza, że za jakiś czas będzie padał deszcz. Ale za jakiś czas zawsze pada deszcz.

Podnosi się mgła.

Uur-uur-uu. Uur-uur-uu. Ćwierk, ćwirrip. O-o-o. Ej-ej-ej. Hum-hum-brum.

Gołąb karoliński, rudzik, wrona, modrosójka błękitna, żaba rycząca. Toby wypowiada ich nazwy, ale te nazwy nic dla niej nie znaczą. Niedługo zniknie jej z mózgu jej własny język i tylko tyle w nim zostanie. Uul-uul-u. Uul-uul-u. Hum-hum-brum. Nieustanna repetycja, pieśń bez początku i bez końca. Nie ma pytań, nie ma odpowiedzi, nie mieszczą się w tak niewielu słowach. Nie mieszczą się w żadnych słowach. A może wszystko to jedno ogromne Słowo?

Skąd wziął się ten pomysł? Ot tak, znikąd pojawił się w jej głowie?

Tobiii!

Zupełnie jakby ktoś ją wołał. A to tylko śpiew ptaków.

Na dachu w chłodzie poranka gotuje swoją dzienną rację krewetek lądowych. Nie gardź skromnym stołem świętego Euella, mówi głos Adama Pierwszego. Wszystko zsyła Pan, a czasem zsyła też krewetki lądowe, powiada Zeb. Bogate w lipidy, dobre źródło białka. Jak myślisz, od czego niedźwiedzie są takie tłuste?

Na dworze gotuje się lepiej, nie ma takiego dymu i gorąca. Tobi gotuje na prowizorycznym piecyku, wzorując się na świętym Euellu. Zrobiła go z dużej metalowej puszki po maśle do ciała: dziura na spodzie do wkładania suchych patyków i dla ciągu i druga dziura w ścianie – jako ujęcie dymu. Maksimum ciepła za minimum paliwa. Nie więcej niż trzeba. Na wieczku skwierczą krewetki.

Raptem podnosi się harmider podnieconych czymś wron. Nie są to krzyki alarmowe, a więc nie o sowę chodzi. Wrony są raczej czymś zdziwione. O! o! Tam! Tam! Patrzenie!

Toby zeskrobuje świeżo upieczone krewetki lądowe z wieczka puszki na talerz – marnowanie pożywienia to marnowanie Życia, mówi Adam Pierwszy – zalewa ogień szklanką deszczówki i kładzie się na brzuchu na ziemi. Patrzy przez lornetkę. Wrony krążą nad wierzchołkami drzew, całe ich stadko. Sześć albo siedem sztuk. O! o! Tam! Tam! Tam!

Spomiędzy drzew wychodzi dwóch mężczyzn. Nie śpiewają, nie są nadzy ani niebiescy – są ubrani.

Istnieją jeszcze ludzie, myśli Tobi. Żywi. Może jeden z nich to Zeb, który przyszedł ją odnaleźć – pewnie się domyślił, że ona wciąż tu jest, ciągle zaszyta, ciągle w ukryciu. Tobi mruga powiekami – czy to łyż? Chciałaby popędzić schodami w dół, wybiec na otwartą przestrzeń, wyciągnąć ręce na powitanie, roześmiać się ze szczęścia. Ale ostrożność ją hamuje. Tobi przykuca za wylotem powietrza z klimatyzacji i patrzy przez balustradę.

Może to zmysły ją zwodzą. Czyżby znowu miała przywidzenia?

Dwaj mężczyźni mają na sobie ubrania kamuflujące. Ten z przodu niesie jakąś broń, może miotacz. To na pewno nie Zeb – nie jego sylwetka. Żaden z nich to nie Zeb. Jest z nimi jeszcze ktoś – kobieta czy mężczyzna? Ktoś wysoki, w uniformie khaki. Głowę ma zwieszoną, nie sposób odgadnąć płci. Ręce złożone jak w modlitwie. Jeden z mężczyzn trzyma tego kogoś za ramię albo za łokieć. Popycha go albo ciągnie.

Z cienia wyłania się kolejny mężczyzna. Prowadzi na smyczy – nie, na linie – jakiegoś ogromnego ptaka, ptaka z zielono-niebiesko-jarzącymi się piórami, jak pawia. Tylko że ptak ma głowę kobiety.

Widać znów mam halucynacje, myśli Toby. Genetycy-sklądacze potrafiliby zrobić wszystko, ale nie coś takiego. Mężczyźni i kobieta-ptak wyglądają niesamowicie realnie i namacalnie. Ale tak właśnie wyglądają halucynacje.

Jeden z nich dźwiga coś przerzuconego przez ramię. Z początku Toby myśli, że to worek; ale nie, to jakby zwierzęcy zad. Pokryty futrem, złotym futrem. Czyżby lwiagnior? Chwyta ją dreszcz zgrozy: świętokradztwo! Zabili Zwierzę znajdujące się na liście Królestwa Pokoju!

Myśl trzeźwo, nakazuje sobie Toby. Po pierwsze – od kiedy to jesteś fanatyczną Izajaszówką od Królestwa Pokoju? Po drugie – jeśli ci ludzie nie są wytworem przyćmionego mózgu, a są prawdziwi – to naprawdę zabijają. Mordują i oprawiają duże Stworzenia, co znaczy, że mają śmiertcioną broń i zaczęli od góry łańcucha pokarmowego. Są niebezpieczni, nie cofną się przed niczym i powinnam ich zastrzelić, zanim się do mnie dobiorą. Wtedy będę mogła uwolnić tego dużego ptaka czy cokolwiek to jest, zanim jego też zabiją.

A jeśli nie są prawdziwi, nie zaszkodzi, jeśli do nich strzelę. Rozpląną się w powietrzu jak dym.

Nagle mężczyzna prowadzący kobietę ptaka spogląda w górę. Musiał zauważyć Toby, bo coś krzyczy, wymachując swobodnym ramieniem. Błyska nóż. Dwaj pozostali patrzą w jej kierunku i po chwili wszyscy rzucają się pędem w stronę spa. Ptasi stwór, uwiązany do liny, musi gonić za nimi – Toby widzi, że pióra stanowią część jakiegoś przebrania. To kobieta. Bez skrzydeł. Na szyi ma pętlę.

A więc to nie halucynacja. To prawdziwe. Prawdziwe zło.

Toby ustawia celownik na mężczyźnie z nożem i strzela. Trafiony, zatacza się do tyłu, krzyczy i pada. Ale Toby nie jest dostatecznie szybka: choć oddaje jeszcze kilka strzałów, do dwóch pozostałych pudłuje.

Zraniony mężczyzna podniósł się. Kuleje. Wszyscy trzej uciekają ku drzewom. Razem z nimi biegnie kobieta ptak. Z liną na szyi nie ma specjalnego wyboru. Nagle przewraca się i znika w zielsku.

Zielone liście drzew otwarły się i zamknęły za tamtymi trzema, połknęły ich. Zniknęli. Wszyscy. Toby nie potrafi określić miejsca, gdzie upadła kobieta – zielsko jest zbyt wysokie. Czy powinna wyjść jej poszukać? Nie. Może to wabik. Byłoby ich trzech na nią jedną.

Obserwuje przed dłuższy czas. Wrony pewnie lecą za nimi – za mężczyznami, za tym w khaki. O! o! o! o! Z oddali dobiegają ich głosy.

Czy wrócą? Wrócą, myśli Toby. Wiedzą, że tu jestem, stwierdzą, że skoro przeżyłam tu tak długo, to muszę mieć jedzenie. Na dodatek jednego postrzeliłam – będą chcieli się odegrać, ludzka rzecz. Będą się mścili, jak świnie. Ale nie wrócą tak szybko, bo wiedzą, że mam broń. Muszą obmyślić plan.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Dzień świętego Wen Bo

Nie ma ich. Świń też nie. Ani lwiagniorów.

Nie ma kobiety ptaka.

Może postradałam rozum, myśli Toby. Nie, nie postradałam – został tymczasowo zawieszony.

Jest pora kąpeli. Toby wchodzi na dach. Z miseczek i garnków zlewa deszczówkę do największej miski, namydla się – tylko ręce i twarz. Nie zaryzykuje odsłonięcia się do całkowitej kąpeli – nie wiadomo, czy ktoś jej nie podgląda. Zajęta ścieraniem gąbką mydlin, słyszy, jak wrony podnoszą w pobliżu rwetes. O! o! o! Tym razem brzmi to jak śmiech.

– Toby! Toby! Pomocy!

Czy to moje imię?, zastanawia się Toby. Wychyla się przez balustradę, nic nie widać. Ale głos odzywa się znowu – tuż przy budynku.

Czy to pułapka? Czy ujrzy kobietę, której jakiś mężczyzna przystawia nóż do szyi?

– To ja! Toby! Błagam!

Osusza się pospiesznie ręcznikiem, naciąga kombinezon, zarzuca karabin na ramię, schodzi na dół. Otwiera drzwi: nikogo. Lecz wciąż słyszy głos, bardzo blisko:

– Ach, błagam!

Lewy narożnik: pusto. Prawy narożnik: też pusto. Ledwie wyszła przez furtkę ogrodową, gdy przy budynku pojawiła się kobieta.

Utyka, jest wychudzona i zmarnowana. Długie włosy, pozlepiane od błota i zaschłej krwi, spadają jej na twarz. Ma na sobie skrzący się obcisły kostium z mokrymi, obszarpanymi piórami.

To kobieta ptak. Cudactwo z jakiegoś erotycznego cyrku. Na pewno zainfekowana – chodząca zaraza. Jeśli mnie dotknie, myśli Toby, jestem trupem.

– Nie zbliżaj się do mnie! – krzyczy Toby. Cofa się do ogrodowego płotu. – Wypierdalaj stąd!

Kobieta chwieje się na nogach. Ma rozciętą łydkę, jej nagie ramiona są podrapane i krwawią – pewnie przedzierała się przez jeżyny. Toby potrafi teraz myśleć jedynie o tej świeżej krwi, w której aż gęsto od bakterii i wirusów.

– Zjeżdżaj! Wynocha stąd!

– Nie jestem chora – mówi kobieta. Łzy spływają jej po twarzy. Ale w rozpaczy wszyscy tak mówili. Tak mówili, błagalnie, wyciągając ręce po ratunek, po wsparcie, a za chwilę zamieniali się w różową breję. Toby widziała ich z dachu.

Będą tonąć. Nie pozwólcie, by się was chwyтали. Nie dopuście, byście byli tą ostatnią deską ratunku, moi Przyjaciele, ostrzegął Adam Pierwszy.

Karabin. Toby szamoce się z paskiem, który zaplątał się w materiał jej kombinezonu. Jak przepędzić to siedlisko zarazków? Krzyki niepoparte bronią na nic się zdadzą. Może walną ją kamieniem w łeb, myśli Toby. Ale kamienia brak. Dam zdrowego kopa w spłot słoneczny i umyję nogi.

Zachowujesz się bardzo nieżyczliwie, odzywa się głos Nuali. Gardzisz Bożymi Stworzeniami, bo czyż Ludzie nie są również Bożymi Stworzeniami?

Spod pozlepianych włosów dochodzi błagalny głos:

– Toby, to ja!

Kobieta osuwa się na ziemię. Toby rozpoznaje Ren. Pod całym tym brudem i sponiewieranymi świadectwami to tylko mała Ren.

Toby wciąga Ren do budynku spa i zostawiwszy ją leżącą na podłodze, zamyka drzwi na klucz. Ren nie przerywa histerycznego płaczu, spazmatycznego łkania.

– Niczym się nie przejmuj – mówi Toby. Łapie ją pod pachami i stawia na nogi. Zataczając się, prowadzi ją hallem w kierunku jednego z gabinetów zabiegowych. Ciało Ren zwisa bezwładnie, ale nie jest zbyt ciężkie i Toby udaje się ją podnieść i ułożyć na stole do masażu. Ren pachnie potem, ziemią, krwią i jeszcze czymś: czymś rozkładającym się.

– Nie ruszaj się stąd – mówi Toby niepotrzebnie: Ren nie ma zamiaru nigdzie iść. Leży na plecach, z głową na różowej poduszce, oczy ma zamknięte. Jedno z tych oczu jest czarne i sine. „Kojące Płatki Aloesowe do Oczu NowyTy”, myśli Toby. Z podwójną ilością Arniki. Otwiera paczkę, przykłada płatki, przykrywa Ren różowym prześcieradłem, które przytwierdza po bokach, żeby dziewczyna nie spadła ze stołu. Ren ma rozcięte czoło i skaleczony policzek. To nie jest aż tak poważne, Toby zajmie się tym potem.

Idzie do kuchni, gotuje wodę w czajniku polowym. Ren na pewno jest odwodniona. Toby wlewa wodę do kubka, rozpuszcza w niej odrobinę swojego ukochanego miodu i szczyptę soli. Dodaje nieco suszonej cebuli siedmiolatki ze swych nikonących w oczach zapasów. Znosi filiżankę do pokoju Ren, ściąga jej płatki z oczu, podnosi ją.

Na tle wychudzonej i pokancerowanej twarzy oczy Ren wydają się ogromne. „Nie jestem chora” – mówi, co nie jest prawdą – pali ją gorączka. Są jednak różne choroby. Tobby bada objawy: z porów nie wycieka krew, nie widać piany. Mimo to Ren może być nosicielką zarazy, może być inkubatorem. Jeśli tak jest, Tobby już się zaraziła.

– Spróbuj to wypić – mówi.

– Nie mogę – odpowiada Ren. Ale udaje jej się przełknąć odrobinę. – Gdzie jest Amanda? Muszę się przebrać.

– Wszystko w porządku – mówi Tobby. – Amanda jest w pobliżu. Spróbuj teraz zasnąć. – Ostrożnie układa chorą z powrotem. A więc jest w to zamieszana Amanda. Ta dziewczyna zawsze umiała narobić kłopotów.

– Nie widzę – mówi Ren. Drży na całym ciele.

W kuchni Tobby przelewa resztę gotowanej wody do miski – trzeba pozbyć się tych upapranych piór i cekinów. Z miską, nożyczkami, kostką mydła i stosem różowych ściereczek wraca do pokoju Ren. Odsuwa prześcieradło, rozcina zabłocone przebranie. To coś pod piórami to nie tkanina, lecz jakaś inna substancja. Rozciągliwa, prawie jak skóra. Tobby zwilża miejsca, w których przywarła, żeby łatwiej odchodziła. W kroku była naderwana. Rany – myśli Tobby – ale śmietnik. Później zrobi jej okład.

Na szyi ślady otarcia – od liny, bez dwóch zdań. Nieznośny zapach pochodzi od ropiejącej rany na nodze. Choć Tobby obchodzi się z Ren najdelikatniej, jak potrafi, dziewczyna krzywi się z bólu i jęczy: „Boli, kurwa!”. Za chwilę zwraca napój z soli i cukru.

Tobby wyciera wymiociny, potem zaczyna przemywać ranę.

– Skąd to masz? – pyta.

– Nie wiem – odpowiada Ren. – Przewróciłam się.

Kiedy rana jest już oczyszczona, Tobby kładzie na nią warstewkę miodu. Pilar uczyła, że są w nim antybiotyki. Gdzieś w spa powinna być apteczka pierwszej pomocy.

– Nie wierć się. Chyba nie chcesz skończyć z gangreną.

Ren chichocze:

– Stuk-puk. Gangrono!

Brudne przebranie jest już zdjęte, Toby obmyła Ren gąbką.

– Dam ci Wierzby i Rumianku – mówi Toby. „I Maku – myśli. – Potrzeba ci snu”. Ren będzie bezpieczniejsza na podłodze niż na stole. Toby mości posłanie z różowych ręczników i ostrożnie kładzie na nim chorą. Podkłada więcej ręczników pod pośladki, bo dziewczyna jest zbyt słaba, żeby dojść do łazienki. Jest gorąca jak żarzący się węgielek.

Toby przynosi w szklaneczce miksturę z Wierzby. Kiedy Ren przełyka, gardło porusza się jej jak u ptaka. Nic się nie wraca.

Nie ma jeszcze sensu aplikować czerwi. Najpierw pacjentka musi zacząć sensownie myśleć, żeby móc wykonywać polecenia: na przykład nie drapać się. Najważniejsze to zbić temperaturę.

Kiedy Ren zasypia, Toby robi przegląd grzybowych zapasów. Wybiera te, które wzmacniają układ odpornościowy: lakownicę lśniącą, żagwicę listkowatą, twardziaka japońskiego, białoporka brzozonego, żagiew wielogłową, soplówkę jeżowatą, maczuźnika i hubiaka pospolitego. Wkłada je do przegotowanej wody, żeby naciągnęły. Po południu, warząc, cedząc i chłodząc, przyrządza grzybowy eliksir i każe chorej wypić trzydzieści kropel.

W pomieszczeniu, w którym leży Ren, śmierdzi. Toby podnosi ją, kładzie na boku, wyciąga zabrudzone ręczniki, wyciera ją. Włożyła do tej pracy gumowe rękawice – nie ma ochoty złapać dyzenterii, która mogłaby się tu czaić. Wygląda czyste ręczniki, układa dziewczynę z powrotem na plecach. Ręce chorej zwisają bezwładnie, głowa opada. Ren majaczy.

Będę miała z nią sporo pracy, myśli Toby. A kiedy wyzdrowieje – jeżeli wyzdrowieje – zamiast jednej będą dwie gęby do wykarmienia. Dwa razy szybciej będzie się kurczył zapas pożywienia, a raczej to, co z niego pozostało, czyli bardzo niewiele.

Może Ren nie pokona gorączki. Może umrze we śnie.

Toby zastanawia się nad sproszkowanymi Aniołami Śmierci. Nie trzeba by ich dużo. Wystarczy odrobina, Ren jest bardzo osłabiona. Oswobodzić ją z cierpienia. Pomóc ulecieć na

bieluteńkich skrzydłach. Może to byłoby bardziej miłosierne. Dobrodziejstwo.

Jestem niegodziwa, myśli. Że też przychodzą mi do głowy takie pomysły. Znasz tę dziewczynę, odkąd była dzieckiem. Przyszła do ciebie, szukając pomocy, ze wszech miar ma prawo ci ufać. Adam Pierwszy powiedziałby, że Ren jest drogocennym darem, który Tobie otrzymała po to, żeby mogła wykazać bezinteresowność, altruizm i wszystkie inne wyższe odruchy, które Ogrodnicy z takim zacięciem próbowali w niej rozbudzić. Tobie nie do końca widzi to w ten sposób – nie w tym momencie. Będzie jednak musiała się postarać.

Ren dyszy, pojękuje, rzuca się. Śni jej się zły sen.

Kiedy się ściemnia, Tobie zapala świecę i siada obok Ren, słuchając, jak dziewczyna oddycha. Wdech, wydech. Wdech, wydech. Pauza. Wdech. I wydech. Urywa się. Od czasu do czasu Tobie dotyka jej czoła. Czy chłodniejsze? Gdzieś w budynku musi być termometr, poszuka go rano. Bada jej puls: szybki, nierówny.

Potem na siedząco zapada w drzemkę. Pierwszą rzeczą, która dociera do niej po przebudzeniu, jest zapach spalenizny w mroku. Kręci korbką latarki: to świeca się przewróciła i zatlił się róg różowego prześcieradła na Ren. Na szczęście jest wilgotne.

To był niemożliwy idiotyzm, karci się Tobie. Od tej pory, jeśli nie będą całkowicie rozbudzona – żadnych świeczek.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Dzień świętego Mahatmy Gandhiego

Nad ranem Ren spada gorączka. Ma żywszy puls, jest już nawet w stanie utrzymać w drżących rękach filiżankę z ciepłą wodą. Dziś Toby dodała do niej miętę, miodu i soli.

Kiedy dziewczyna znowu zasypia, Toby taszczy brudne prześcieradła i ręczniki na dach, żeby je wyprać. Ma ze sobą lornetkę i rozwiesiwszy prześcieradła i ręczniki do ocieknięcia, obserwuje teren spa.

W oddali, na południowo-zachodnim krańcu łąki – świnie. Dwa megarunosy, niebieski i srebrny, pasą się spokojnie razem. Ani śladu lwiagniorów. Gdzieś szczekają psy. Koło miejsca świńskiego pochówku kotłują się sępy.

Jazda mi stamtąd, archeolodzy – mówi Toby. Kręci jej się w głowie, niemal wiruje – czuje się w nastroju do żartowania z samą sobą. Wokół głowy latają jej trzy ogromne motyle, siadają na wilgotnym prześcieradle. Może myślą, że znalazły największego różowego motyla. Może to romans. Rozwijają swoje jęczyczki i liżą. A więc to nie miłość, to sól.

Moi Przyjaciele, niektórzy wam powiedzą, że Miłość to tylko sprawa chemii, mawiał Adam Pierwszy. Oczywiście że to sprawa chemii – czym byśmy byli, gdyby nie chemia? Ale Nauka to tylko jeden ze sposobów opisanego świata. Inny sposób opisanego go to postawić pytanie: czym byśmy byli, gdyby nie Miłość?

„Kochany Adam Pierwszy – myśli Toby. – Na pewno nie żyje. I Zeb, Zeb też – na nic pobożne życzenia. A może nie? Bo jeśli ja żyję – ba, jeśli Ren żyje, to każdy mógł przeżyć”.

Nakręcanego radia przestała słuchać przed wieloma miesiącami – cisza ją zniechęciła. Ale to, że nikogo nie słyszała, wcale nie znaczy, że nikogo nie ma. Tak brzmiał też jeden z hipotetycznych dowodów Adama Pierwszego na istnienie Boga.

Toby przemywa Ren zakażoną nogę i smaruje ją miodem. Chora zaczęła trochę jeść i pić. Toby raz po raz aplikuje jej eliksir z grzybów i Wierzbę. Po długich poszukiwaniach wygrzebuje skądś zestaw pierwszej pomocy. Jest w nim tubka antybiotyku w kremie, ale przeterminowana. Termometru nie ma. „Kto zamówił takie gówno? Racja: ja”.

Czerwie i tak są lepsze.

Po południu wyciąga czerwie z plastikowej puszki, przepłukuje letnią wodą. Przenosi je na pasek gazy z apteczki, przykrywa to następnym paskiem gazy i tą nadzianą czerwiami kopertką owija ranę. Przegryzienie się przez gazę nie zajmie czerwiom dużo czasu: wiedzą, co lubią.

– Będzie łaskotać – ostrzega. – Ale dzięki nim poczujesz się lepiej. Postaraj się nie ruszać nogą.

– Jakim „nim”? – pyta Ren.

– Twoim przyjaciołom – odpowiada Toby. – Ale lepiej nie patrz.

Morderczy impuls z poprzedniej nocy już się nie pojawił: nie wywlecze martwej Ren na łąkę i nie zostawi jej tam świniom i sępom. Teraz chciałaby ją wyleczyć, wypieścić – bo czyż to nie cud, że dziewczyna jest tutaj? Że przetrwała Bezwodny Potop, odnosząc tylko lekkie obrażenia? No, powiedzmy, dość lekkie. Obecność drugiej osoby na terenie spa – choćby kogoś słabego i chorego, kogoś, kto przez większość czasu śpi – już sama ta obecność sprawia, że ośrodek bardziej przypomina przytulne mieszkanie niż nawiedzony dom.

„W którym ja byłam duchem” – myśli Toby.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętego Henriego Fabre'a. Świętej Anny Atkins.
 Świętego Tima Flannery'ego. Świętego Ichidy-Sana.
 Świętego Davida Suzukiego. Świętego Petera Mathiessena

Oczyszczenie rany zajęło czerwiom trzy dni. Toby uważnie je obserwuje – jeśli wydobiją się poza martwą tkankę, zaczną gryźć żywe ciało.

Drugiego ranka gorączka zniknęła, ale na wszelki wypadek Ren nadal dostaje grzybowe krople. Zaczęła więc jej jeść. Toby pomaga jej wejść na dach, sadza ją na ławce ze sztucznego drewna w słońcu wczesnego poranka. Czerwie to fotofoby – przed światłem uciekną w najgłębsze zakamarki rany, tam gdzie powinny być.

Na łące niczego nie widać. W lesie niczego nie słychać.

Toby próbuje pytać Ren, gdzie była w momencie Bezwodnego Potopu, jak się przed nim ustrzegła, jak się tu dostała i dlaczego była ubrana w niebieskie pióra – ale tylko próbuje, bo wówczas dziewczyna zaczyna płakać. Powtarza w kółko: „Straciłam Amandę!”.

– Nie martw się tym – mówi Toby. – Znajdziemy ją.

Rankiem czwartego dnia usuwa opatrunek z czerwiami. Rana jest czysta i goi się.

– Teraz do formy muszą wrócić twoje mięśnie – mówi.

Ren zaczyna chodzić – w górę i w dół schodami i po korytarzu. Przybrała trochę na wadze: na jej wykarmienie Toby zużyła ostatnie słoiki Maseczki Bezowo-Cytrynowej, zawierającej dużo cukru i, o ile było jej wiadomo, nic trującego. Pod okiem Toby Ren

wykonuje parę ćwiczeń z wykładanej dawniej przez Zeba sztuki minimalizacji rozlewu krwi w mieście – satsumę, unagi. Skupiona jak Owoc, wijąca się jak Węgorz. Toby też przydałaby się powtórka. Wyszła z wprawy.

Kilka dni później Ren opowiada swoją historię, a raczej drobną część swojej historii. Opowieść ma postać krótkich zbitek słownych, przerywanych długimi momentami patrzenia w dal. Dziewczyna opowiada o tym, jak była zamknięta w Łuskach, jak Amanda dotarła tam aż z Wisconsin i rozszyfrowała kod zamka. Potem ni stąd, ni zowąd, zupełnie jakby to były czary, zjawili się Shackie, Croze i Oates – Ren była taka szczęśliwa. Przed zarazą ocalił ich Paintból. Potem jednak do Łusek przyszło trzech potwornych typów z Drużyny Złotych, a ona, razem z Amandą i chłopcami, musiała uciekać. Zasugerowała, że najlepiej iść do NowyTy, bo mogła tam być Toby, i prawie im się udało – szli pośród drzew i nagle pustka. Dalej nie jest w stanie nic powiedzieć.

– Jak wyglądali? – pyta Toby. – Czy mieli jakieś... – chce powiedzieć „znaki szczególne”, ale Ren kręci głową na znak, że temat jest zamknięty.

– Muszę odnaleźć Amandę – mówi, ocierając łzy. – Muszę koniecznie. Oni ją zabiją.

– Masz, wytrzymaj nos – Toby podaje jej różową ściereczkę. – Amanda jest bardzo sprytna. – Lepiej zachowywać się tak, jakby Amanda żyła. – Bardzo pomysłowa. Da sobie radę.

Chce powiedzieć, że biorąc pod uwagę niedobór kobiet, Amandę na pewno będą oszczędzać i reglamentować, jednak się rozmyśla.

– Ty nic nie rozumiesz – mówi Ren w potęgującym się płaczu. – Jest ich trzech i są z Paintbólu, to nie są do końca ludzie. Muszę ją odnaleźć.

– Będziemy szukać – Toby próbuje ją ukoić. – Ale nie wiemy, dokąd mogli... dokąd mogła pójść.

– A ty dokąd byś poszła na ich miejscu?

– Może na wschód, do morza – odpowiada Toby. – Tam można łowić ryby.

– Możemy tam pójść.

– Kiedy będziesz wystarczająco silna – mówi Toby. I tak będą musiały się gdzieś przenieść: zapas żywności szybko się kurczy.

– Już jestem wystarczająco silna.

Toby przeczesuje ogródek, odkrywa jedną osamotnioną cebulę. Na skraju łąki wykopuje trzy łopiany i parę dzikich marchwi – białych patykowatych pramarchwianych korzonków.

– Ren, czy dałabyś radę zjeść królika? – pyta Toby. – Pocięłabym go drobno i zrobiła z niego zupę?

– Chyba tak – odpowiada Ren. – Spróbuję.

Toby jest prawie gotowa, żeby stać się prawdziwym mięsożercą. Martwi ją jeszcze tylko huk wystrzału, ale paintbólowcy, którzy mogą się czaić w lesie, już wiedzą, że ma broń. Nie zaszkodzi im przypomnieć.

Zielone króliki często pokazują się w pobliżu basenu. Toby strzela z dachu do jednego z nich, ale nijak nie może trafić. Czyżby sumienie kazało jej chybiać? Może potrzebuje większego celu, jelenia albo psa. Ostatnio nie widuje świń ani owiec. Jak już jest gotowa je zjeść, to ich nie ma.

Na półce w pralni odkrywa plecaki. Nie schodziła tam, odkąd przestały funkcjonować pompy – powietrze jest tu gęste od pleśni. Na szczęście plecaki nie są z bawełny, lecz z nieprzemakalnego tworzywa. Wynosi je na dach, szoruje gąbką i zostawia w gorącym słońcu do wyschnięcia.

Wszystkie zapasy, jakie posiada, rozkłada na blacie kuchennym. Nie zabieraj ze sobą tyle, że spalisz więcej kalorii, niż dasz radę zjeść, słyszy głos Zeba. Narzędzia są ważniejsze niż żywność. Twoje najlepsze narzędzie to twój mózg.

Karabin – oczywiście. Amunicja. Łopata – do wykopywania korzeni. Zapałki. Rozpałka do grilla, która nie starczy na długo, ale się przyda. Scyzoryk z nożyczkami i pęsetą. Lina. Dwie plastikowe płachty, przydatne w czasie deszczu. Nakręcana latarka. Bandaże z gazy. Taśma izolacyjna. Zatrzaskiwane pojemniczki z plastiku. Torby płócienne na jadalne rośliny. Garnek. Czajnik

polowy. Papier toaletowy – artykuł luksusowy, jednak Toby nie może się oprzeć. Dwa średnie zizifruy z zakładowego minibaru, smak malinowy – niezdrowe świństwo, ale zawsze to jakieś jedzenie, bo zawiera kalorie. Butelki przydadzą się na wodę.

Łyżki metalowe – dwie sztuki. Kubki plastikowe – dwie sztuki. Resztkę kremu przeciwsłonecznego. Ostatni SuperD w sprayu na robaki. Lornetka – ciężka, lecz niezbędna. Kij od mopa. Cukier. Sól. Resztkę miodu. Resztkę energatonów. Resztkę wiórków sojowych.

Syrop z Maku. Suszone grzyby. Anioły Śmierci.

W przeddzień odejścia ze spa Toby ścina włosy. Nowa fryzura wydaje jej się nieco przykrótka – uważa, że wygląda jak Joanna d'Arc, która miała akurat gorszy dzień – ale nie chce, żeby z głowy wyrastał jej uchwyty, za który będzie można złapać przy podrzynaniu jej gardła. Obcina też włosy Ren. Tak będzie im chłodniej, tłumaczy.

– Powinniśmy zakopać te włosy – mówi Ren. Z jakiegoś niezrozumiałego dla Toby powodu chce, żeby nie było ich widać.

– Może zostawimy je na dachu? – proponuje Toby. – Ptaki uwiją sobie z nich gniazda.

Nie ma zamiaru marnować kalorii na kopanie grobu dla włosów.

– O, tak! – mówi Ren. Chyba podoba jej się ten pomysł.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętego Chico Mendesa Męczennika

Wychodzą ze spa tuż przed świtem. Ubrane są w różowe stroje gimnastyczne z bawełny – luźne dresy i podkoszulki z naszytymi wargami złożonymi do pocałunku i mrugającym okiem. Włożyły płócienne różowe tenisówki, takie, w jakich goszczące tu panie skakały na skakankach i podnosiły ciężarki, oraz szerokie różowe kapelusze. Obie pachną SuperD i zestarzałym SolarNiksem. W plecakach mają kombinezony, w które zamierzają się przebrać, kiedy słońce będzie wysoko. Że też to wszystko musi być różowe, myśli Toby – wyglądamy jak w ubrankach dla dzieci, jak na dziewczęcych urodzinach. To nie są barwy na ekspedycję. Fatalny wybór, jeśli chodzi o kamuflaż.

Wie, że – jak to kiedyś mówili w wiadomościach – sytuacja jest poważna. No pewnie, że poważna. Mimo to ogarnął ją radośny, niemal chichotliwy nastrój. Czuje się jak pijane dziecko. Jakby szły na piknik. To pewnie adrenalina.

Horyzont na wschodzie rozjaśnia się, z drzew podnoszą się mgły. Na krzewach różoświeotlików iskrzy się rosa, odbijając niesamowity blask ich kwiatów. Dokoła dyszy słodczą wilgotna łąka. Ptaki budzą się i poćwierkują. Siedzące na nagich gałęziach sępy rozpościerają skrzydła, susząc je. Z południa nadlatuje pawia, sypie, szybuje ponad łąką, by nagle dać nura w dół i wylądować na skraju pokrytego zielonym kozuchem basenu.

Toby zdaje sobie sprawę, że może nigdy więcej nie zobaczy już tego widoku. To zadziwiające, jak kurczowo serce trzyma się wszystkiego, co zna, skamłąc: *Moje! Moje!* Czyżby przymusowy pobyt w spa NowyTy sprawiał jej przyjemność? Nie. Jednak teraz to jej własne terytorium. W każdym jego miejscu leżą drobiny jej naskórka. Mysz by to zrozumiała: to jej gniazdo. *Żegnaj* to pieśń, którą śpiewa Czas, mawiał Adam Pierwszy.

Gdzieś szczekają psy. W ciągu ostatnich miesięcy słyszała je od czasu do czasu, ale dzisiaj wydają się bliższe. Nie za bardzo jej się to podoba. Bez karmiącego pana każdy pies, który przeżył, na pewno zdążył już zdziczeć.

Zanim wyruszyły, Toby weszła na dach i zlustrowała teren. Nie było świń, megarunosów ani lwiagniorów. A przynajmniej nie było ich widać. Jakże mało dotąd widziałam, myśli. Łąkę, drogę, basen, ogród. Skraj lasu. Wołałaby nie musieć zapuszczać się tam, między drzewa. Przyroda potrafi być głupia jak noga stołowa, mawiał Zeb, a i tak jest od ciebie mądrzejsza.

Słuchajcie, mówi w myślach do lasu, w którym kryją się śwynie, lwiagniory i, jak sądzi, paintbólownicy. Nie podskakujcie. Może i jestem różowa, ale mam karabin. I naboje. To coś ma większy zasięg niż miotacz. Więc trzymajcie się z daleka, skurwiele!

Teren spa wraz z należącym do niego laskiem odgradzony jest od okalającego go Parku Dziedzictwa siatką zwieńczoną drutem kolczastym, który kiedyś był pod napięciem. Ale teraz elektryczność nie działa. Cztery bramy – wschodnia, zachodnia, północna i południowa – połączone są ze sobą krętymi drogami dojazdowymi. Toby zaplanowała spędzić pierwszą noc w punkcie kontrolnym przy wschodniej bramie. To dystans na miarę sił Ren, która wciąż jeszcze nie może podejmować dalekich wędrówek. Następnego ranka obie zaczynają kierować się w stronę morza.

Dziewczyna nadal jest przekonana, że odnajdą Amandę. Odnajdą ją, Toby zastrzeli paintbólowników, a wtedy z ukrycia wyjdą Shackleton, Crozier i Oates. Ren nie całkiem opuściły wszystkie objawy choroby. Chciałaby, żeby Toby wszystko uzdrawiała i na-

prawiła, jakby sama wciąż była dzieckiem, a Toby Ewą Szóstą obdarzoną czarodziejską potęgą dorosłego człowieka.

Mijają minivan po kraksie, potem, na zakręcie drogi, dwa następne pojazdy: samochód solarny i pożeracz ropy śmieciowej wielkości dżipa. Sądząc po czerniałym złomie, oba spłonęły. Śłodkawy zapach rdzy miesza się ze swądem spalizny.

– Nie patrz do środka – mówi Toby, gdy przechodzą obok.

– W porządku – odpowiada Ren. – Dosyć się napatrzyłam na takie rzeczy w plebsopoliach, kiedy szliśmy tu z Łusek.

Dalej natrafiają na psa – to spaniel, zabity niedawno. Ma rozszarpany brzuch: bazgranina wnętrzości i bzyczenie much. Sępów jednak jeszcze nie widać. Cokolwiek to zrobiło, na pewno wróci po swoją zdobycz: drapieżcy to nie marnotrawcy. Toby mierzy wzrokiem przydrożne krzaki: niemal słychać, jak rosną pnącza, zastaniając widok. Jaka tu masa kudzu!

– Powinnyśmy przyspieszyć – stwierdza Toby.

Ale Ren nie może przyspieszyć. Zmęczyła się i ciąży jej plecak.

– Chyba zrobił mi się pęcherz – mówi.

Zatrzymują się pod drzewem na łyk zizifruta. Toby nie może pozbyć się wrażenia, że coś czai się nad nimi w gałęziach i gotuje do skoku. Czy lwiagniory chodzą po drzewach? Nakazuje sobie uspokoić się, głęboko oddychać, nie spieszyć się.

– Obejrzyjmy twój pęcherz – mówi do Ren.

To jeszcze nie pęcherz. Toby odrywa skrawek materiału ze swojego ubrania i owija nim stopę Ren. Słońce jest na godzinie dziesiątej. Zakładają kombinezony, Toby smaruje sobie i Ren twarz SolarNiksem, potem jeszcze raz spryskuje odstonięte miejsca ciała SuperD.

Jeszcze przed następnym zakrętem drogi Ren zaczyna utykać.

– Pójdziemy przez łąkę – decyduje Toby. – Będzie krócej.

**Świętej Rachel
i Wszystkich Ptaków**

Świętej Rachel i Wszystkich Ptaków

Rok dwudziesty piąty

O darach świętej Rachel i o wolności Ducha

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współtworzenia, Drodzy Współśmiertelnicy!

Cóż za wspaniała okazja do radowania się w tym odmienionym świecie, w którym się znaleźliśmy! Owszem, daje się odczuć pewne – rzec by się chciało... r o z c z a r o w a n i e. Ruiny pozostałe po Bezwodnym Potopie, tak jak ruiny po każdym potopie, nie wyglądają zachęcająco. Zanim na nowo pojawi się nasz utęskniony Eden, moi Przyjaciele, upłynie sporo czasu.

Mamy za to przywilej bycia świadkami tych pierwszych cennych chwil Odrodzenia! O ileż czystsze powietrze jest teraz, gdy znikły wytwarzane przez ludzi zanieczyszczenia! To świeżo oczyszczone powietrze jest dla naszych płuc tym, czym powietrze w górze, w chmurach, dla płuc Ptaków! Od wieków Ptaki kojarzono z wolnością Ducha, przeciwstawiano je ciężkiemu brzemieniu Materii. Czyż Gołąb nie symbolizuje Łaski – wszystko przebaczącej, wszystko rozumiejącej?

W duchu owego Ducha Łaski witamy wśród nas troje współśmiertelników towarzyszących nam w podróży: Melinę, Darrena i Quilla. Ocaleni z Bezwodnego Potopu w cudowny sposób, zrządzenie Opatrzności sprawiło bowiem, że byli odosobnieni – Melinda w centrum odchudzania i jogi na wzgórzach, Darren w szpitalnej izolacji, a Quill w celi aresztanta. Radujemy się faktem, iż

cała ich trójka najwyraźniej nie była wystawiona na działanie wirusa. Choć nie podzielają naszej Wiary – albo w wypadku Quilla i Melindy: jeszcze nie podzielają naszej Wiary – są naszymi Współtwórcami. Chętnie im pomożemy w tej godzinie powszechnej próby.

Jesteśmy też wdzięczni za to tymczasowe pomieszkowanie, które jakkolwiek dawniej było franczyzowym sklepem PychaKawy, chroni nas przed palącym słońcem i dokuczliwymi burzami. Dzięki umiejętnościom Stuarta, zwłaszcza jego biegłości w posługiwaniu się dłutem, dostaliśmy się do magazynu, zyskując w ten sposób dostęp do dużej ilości produktów PychaKawy: substytutu mleka w proszku, syropu o zapachu waniliowym, miksru moccaccino i cukru w saszetkach, zarówno surowego, jak i białego. Znacnie moje zdanie o produktach z rafinowanego cukru, ale bywają takie chwile, kiedy zasady trzeba nagiąć. Dziękujemy Nuali, niezłomnej Ewie Dziewiątej, za zręczność, z jaką dla naszego wzmocnienia uwarzyła z tego pożywnej zupy.

Rozważamy dziś działalność Korporacji PychaKawa, rażąco sprzeczną z Duchem świętej Rachel. Produkowana przez tę Korporację kawa – uprawiana w słońcu, pryskana pestycydami, niszcząca habitaty lasów deszczowych – była największym zagrożeniem dla opierzonych Stworzeń Bożych w naszych czasach, tak jak DDT był dla nich największym zagrożeniem w czasach świętej Rachel Carson. To właśnie w Duchu świętej Rachel niektórzy z naszych byłych, bardziej radykalnych członków przystąpili do gwałtownej kampanii przeciwko PychaKawie. Inne ugrupowania protestowały przeciwko temu, jak traktowała tubylczych robotników, owi eks-Ogrodnicy jednak wyrażali sprzeciw wobec jej antyptasiej polityki. Jakkolwiek nie popieraliśmy działań opartych na przemocy, podzielaliśmy ich intencje.

Święta Rachel poświęciła swe życie na rzecz Istot Opierzonych, a tym samym na rzecz zdrowia całej Planety – albowiem gdy chorowały i padały Ptaki, czyż nie wskazywało to na postępującą chorobę Życia jako takiego? Wyobraźcie sobie smutek Boga, który widzi niedolę swoich najcudowniejszych, melodyjnych pierzastych Stworzeń!

Świątą Rachel zaatakowały potężne korporacje chemiczne działające w jej czasach. Wyszły ją i napiętnowały za to, że mówiła prawdę – lecz ostatecznie jej trud zwyciężył. Niestety, kampania przeciw PychaKawie nie została uwieńczona takim sukcesem. Problem ten jednak został obecnie rozwiązany za sprawą większej mocy: PychaKawa nie przetrwała Bezwodnego Potopu. Jak ujęto to w Człowieczych Słowach Boga, w Księdze Izajasza, rozdział 34: „Od narodu do narodu pustą zostanie (...). Ale ją Pelikan i Bąk posiędą (...). Tam sobie Sęp gniazdo uczyni, zniesie jajka i wylęże, a schowa pod cień swój; tamże się zlecą Kanie jedna do drugiej”.

Tak też się stało. Właśnie teraz, w tej chwili, Przyjaciele moi, lasy deszczowe wracają do życia!

Zaśpiewajmy.

Gdy Bóg Swe jasne skrzydła rozpostrze

Gdy Bóg Swe jasne skrzydła rozpostrze,
By zstąpić przez Nieba lazury,
Najpierw się jako Gołąb objawi
Rozświetlony i jasnopióry.

Następnie Kruka postać przybierze,
Byśmy poznali z tego znaku,
Że piękno tkwi w każdym przezeń – dawno
Bądź niedawno – stworzonym ptaku.

Z Łabędźmi sunął, z Kakadu frunął,
Mknął będzie wśród Sów i Jastrzębi,
Wraz z chórem porannym zaśpiewa,
Z Ptactwem Wodnym da nura do głębi.

A potem jako Sęp się ukaze,
Ów święty Ptak przedwiekowy,
Który zepsucie i Śmierć zżerając,
Przyczynia się do Życia odnowy.

Pod Jego uciekamy się skrzydła,
On wyrwie nas z sieci ptasznika,
Jego Wzrok sięga Wróbla upadku
I do Orła mogiły przenika.

Wszak ten, kto by dla próżnej uciechy
Rozlewem krwi Ptasiej się bawił,
Ten Święty Boży Pokój morduje,
Co w Dzień Siódmy świat błogosławił.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren. Świętego Chico Mendesa Męczennika

Idziemy przez połyskującą łąkę. Słysząc bzyczenie jak z tysiąca maleńkich silniczków. W powietrzu dokoła unoszą się ogromne różowe motyle. Bardzo mocno pachnie koniczyna. Toby bada przed sobą grunt kijem od mopa. Staram się uważnie patrzeć, gdzie stawiam stopy, ale teren jest nierówny, potykam się, a kiedy sprawdzam o co – widzę but. Ze środka wybiegają żuki.

Przed nami w dali są jakieś zwierzęta. Chwilę przedtem ich nie było. Domyślam się, że leżały w trawie, a teraz wstały. Zatrzymuję się, ale Toby mówi:

– Spokojnie, to tylko megarunosity.

Nigdy nie widziałam ich na żywo, tylko w Internecie. Stoją i patrzą na nas, ruszając na boki zuchwami.

– Czy dadzą się pogłaskać? – pytam. Są niebieskie, różowe, srebrne i fioletowe. Wyglądają jak cukierki albo chmurki na słonecznym niebie. Wesóło i spokojnie.

– Wątpię – odpowiada Toby. – Musimy się pospieszyć.

– Nie boją się nas – mówię.

– A powinni. No dalej, idziemy.

Megarunosity obserwują nas. Gdy jesteśmy bliżej, zbijają się w stadko i powoli odchodzą.

Z początku Toby postanawia, że będziemy szły do wschodniej bramy. Ale kiedy przeszliśmy kawałek brukowanej drogi, Toby stwierdza, że to dalej niż myślała. Kręci mi się w głowie, bo jest bardzo gorąco, zwłaszcza w kombinezonie, więc Toby decyduje, że pójdziemy w kierunku drzew rosnących po drugiej stronie łąki, tam będzie chłodniej. Nie lubię drzew, pod nimi jest tak ciemno, jednak wiem, że nie możemy zostać na łące.

Pod drzewami jest cień, mimo to nie ma chłodu. Jest wilgotno, bezwietrznie, powietrze jest gęste, jakby upchnięte było w nim więcej cząsteczek niż zwykle. Ale przynajmniej zeszyliśmy ze słońca, zdejmujemy więc kombinezony i idziemy dalej ścieżką. Czuć tu ten silny zapach gnijącego drewna, grzybowy zapach, który pamiętam z czasów Ogrodniczych, kiedy chodziliśmy do Parku na świętego Euella. Na żwirze płożą się rośliny, dużo ich gałązek jest złamanych i zdeptanych – Toby mówi, że ktoś już tędy szedł. Nie dzisiaj, bo liście zdążyły zwiędnąć.

Nad nami harmider wron.

Dochodzimy do strumienia z mostkiem. Woda szemrze po kamieniach, widzę w niej rybki. Zauważam, że na drugim brzegu ktoś kopał. Toby zatrzymuje się, nadstawia ucha, nasłuchuje. Przechodzi przez mostek, ogląda wykopaną dziurę.

– Ogrodnicy – stwierdza. – Albo ktoś bystry.

Ogrodnicy uczyli, że nie wolno pić prosto ze strumienia, zwłaszcza w pobliżu miasta. Należy koło niego wykopać dziurę, żeby chociaż trochę przefiltrować wodę. Toby wyciąga pustą butelkę, tę, którą opróżniłyśmy. Napęlnia ją wodą z dziury w taki sposób, żeby do środka wpływała tylko woda z wierzchu. Nie chce nabrać utopionych robaków.

Przed nami na niewielkiej polance widać skupisko grzybów. Toby mówi, że to Kolczak Obłączasty – *Hydnum repandum* – i że kiedyś, kiedy jeszcze mieliśmy coś takiego jak jesień, był to grzyb jesienny. Zbieramy grzyby i Toby wkłada je do jednej z płóciennych toreb, którą zawiesza przy plecaku, żeby grzyby się nie zgniotyły. Idziemy dalej.

Jeszcze zanim to zobaczyliśmy, poczuliśmy zapach.

– Nie krzycz – mówi Toby.

To stąd to całe wronie krakanie.

– O nie! – mówię szeptem.

To Oates. Zwisa z drzewa, powoli się obracając. Pod jego pachami biegnie lina związana na plecach. Nie ma na sobie nic oprócz skarpet i butów. To jeszcze pogarsza widok – w ten sposób wygląda jak posąg. Głowę ma zadartą do tyłu, nienaturalnie daleko, bo poderżnięto mu gardło. Wokół niej trzepocą się wrony, próbując wczepić się gdzieś pazurami. Blond włosy Oatesa są całe pozlepiane. W plecach ma ziejącą ranę, jak te w ciałach, które wyrzucano na pustych parcelach po wycięciu z nich nerek. Ale jego nerek najprawdopodobniej nie wyrwano do przeszczepu.

– Ktoś ma bardzo ostry nóż – stwierdza Toby.

Płaczę.

– Zabili małego Oacia. Niedobrze mi.

Osuwam się na ziemię. Mogłabym teraz umrzeć – nie chcę żyć w świecie, w którym Oatesowi zrobili coś takiego. To takie niesprawiedliwe. Z trudem chwytam ustami powietrze i płaczę tak mocno, że przestaję cokolwiek widzieć.

Toby bierze mnie za ramiona, stawia na nogi, potrząsa mną.

– Przestań – mówi. – Nie mamy na to czasu. Idziemy.

Delikatnie popycha mnie ścieżką przed siebie.

– Nie możemy go przynajmniej odciąć? – udaje mi się wykrztusić. – I pochować?

– Zrobimy to potem – mówi Toby. – On nie przebywa już w swoim ciele. Teraz jest Duchem. Ćśśś, już dobrze.

Przystaje, obejmuje mnie i kołysze na boki, po chwili znów łagodnie popycha przed siebie. Musimy dotrzeć do punktu kontrolnego przed popołudniową burzą, mówi, a z południa i zachodu szybko nadciągają chmury.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętego Chico Mendesa Męczennika

Toby jakby dostała obuchem w głowę – coś okropnego, coś przerażającego – ale nie może okazać swoich uczuć wobec Ren. Ogrodnicy zaleciliby żałobę – w rozsądnych granicach – jako część procesu uzdrawiającego, lecz na to nie ma teraz czasu. Burzowe chmury są żółtawozielone, potężnie się błyska – Toby przeczuwa trąbę powietrzną.

– Pospiesz się – mówi do Ren. – Jeśli nie chcesz, żeby cię zmiotło.

Przez ostatnie pięćdziesiąt metrów biegną pod wiatr z opuszczonymi głowami, trzymając się za ręce.

Budynek punktu kontrolnego zbudowany jest w stylu teksańsko-meksykańskiego retro: ma zaokrąglone linie i pokryty jest różową powłoką słoneczną imitującą suszoną cegłę. Po ścianach już pną się kudzu. Brama z kutego żelaza jest otwarta. Ozdobny ogródek – okolony pierścieniem bielonych kamieni, z petuniami tworzącymi napis WITAMY W NOWYTY, lecz zarosnięty portulaką i mleczem – jest zryty. Zapewne przez świnię.

– Tu są jakieś nogi – mówi Ren. – Koło bramy.

Szczęka zębami. Wciąż jest w szoku.

– Nogi? – pyta Toby. To już przesada: ile niekompletnych ciał ma oglądać jednego dnia? Podchodzi do bramy i sprawdza. To nie są ludzkie nogi, to nogi megarunosa – pełen zestaw czterech sztuk. Dolne, chudsze partie. Zostało na nich jeszcze trochę włosów

w kolorze lawendy. Jest też jakaś głowa, ale nie megarunosą. To łeb lwiagniora – złociste futro utyłane, na pustych oczodołach strupy. Języka też już nie ma. Lwiagniorowe ozory – niegdyś kosztowny przysmak w „Mamy To we Krwi”.

Toby wraca do Ren, która, rozdygotana, zakrywa sobie usta ręką.

– To megarunos – mówi. – Włożę je do zupy, razem z naszymi grzybami.

– Nie, ja nic nie zjem – mówi Ren zbolalym głosem. – On był jeszcze... to był chłopiec. Kiedyś nosiłam go na rękach. – Po policzkach spływają jej łzy. – Dlaczego to zrobili?

– Musisz jeść – mówi Toby. – To twój obowiązek.

Obowiązek wobec czego? – pyta Toby samą siebie. Twoje ciało to dar od Boga i ten dar należy uszanować, mówił Adam Pierwszy. Ale w tym momencie Toby nie podziela tego przekonania.

Drzwi do budynku są otwarte. Toby zagląda przez okno do recepcji – nikogo – i wciąga Ren do środka. Zaraz będzie burza. Naciska włącznik światła – brak prądu. W środku znajduje się standardowe okienko recepcyjne, skaner do dokumentów oraz czytnik odcisków palców i tęczywek. Kontrolowane osoby stały tu, wiedząc, że w ich plecy wymierzone są wmontowane w ściany miotacze, obsługiwane z wewnętrznego pomieszczenia, w którym nudzili się strażnicy.

Przez okienko recepcyjne Toby kieruje światło latarki w mrok pomieszczenia w głębi budynku. Biurka, szafki na dokumenty, śmieci. W rogu coś majaczy – coś na tyle dużego, że mógłby to być ktoś. Ktoś martwy, ktoś śpiący, a w najgorszym razie ktoś, kto słyszał, że wchodzi, i udaje, że jest workiem śmieci. A jak tylko Toby i Ren się odprężą, wtedy się zacznie: skradanie się, szczerzenie kłów, rozrzynanie i rozszarpywanie.

Drzwi do tego pomieszczenia są uchylone – Toby wciąga nosem powietrze. Oczywiście pleśń. Co jeszcze? Odchody. Zepsute mięso. I inne odrażające wonie. Chciałaby mieć nos psa, żeby móc odróżnić jeden zapach od drugiego.

Zamyka drzwi. Nie zważając na deszcz i wiatr, wychodzi na dwór, skąd wraca, taszcząc największy kamień z ogródkowego

ogrodzenia. Nie wystarczy, żeby powstrzymać kogoś silnego, ale może utrudnić sprawę komuś słabemu albo choremu. Toby nie chciałaby, żeby rzuciła jej się na plecy mięsożerna kupa łachmanów.

– Po co to robisz? – pyta ją Ren.

– Na wszelki wypadek – odpowiada Toby. Nie wdaje się w szczegóły. Ren i tak jest już dość roztrzęsiona. Jeden moment grozy więcej i może się załamać.

Burza uderza z całym impetem. Wokół wyje coraz gęstszy mrok. Łoskot gromu drąży powietrze. Twarz Ren pojawia się i znika w blasku błyskawic, jej oczy są zamknięte, usta złożone w przerażone O. Uczepiła się ramienia Toby, jakby bała się spaść z urwiska.

Po jakimś czasie, który wydał im się bardzo długi, burza przetacza się w inne miejsce. Toby wychodzi na dwór sprawdzić stan megarunosowych nóg. Ma gęsią skórkę: te nogi nie przywędrowały tu same i są jeszcze całkiem świeże. Nie ma śladu ogniska – ten, kto zabił zwierzę, nie przyrządził tu reszty mięsa. Toby spogląda na ślady cięć: był tu kolega Ostry Nożyk. Jak blisko się teraz znajduje?

Rozgląda się w obu kierunkach po drodze usianej strąconymi liśćmi. Spokój. Znów świeci słońce. Ziemia paruje. W oddali wrony.

Wyciąga nóż i zeszkrobuje nim większą część owłosionej skóry z nogi megarunosa. Gdyby miała tasak, porąbałaby ją na kawałki, żeby się zmieściła w garnku. Ostatecznie kładzie jeden koniec na stopniu schodów prowadzących do budynku, a drugi na chodniku i uderza w nogę kamieniem. Pozostaje kwestia ognia. Szukając chrustu wśród drzew, mogłaby stracić dużo czasu i wrócić z pustymi rękami.

– Muszę wejść za te drzwi – mówi do Ren.

– Po co? – pyta Ren słabym głosem. Leży zwinięta w kłębek w pustym pokoju od frontu.

– Tam są rzeczy, których możemy użyć jako opału – odpowiada Toby. – Musimy rozpalić ogień. Słuchaj, tam ktoś może być.

– Ktoś martwy?

– Nie wiem.

– Nie chcę widzieć więcej martwych ludzi – mówi Ren z rozdrażnieniem.

W tym względzie możemy nie mieć specjalnego wyboru, myśli Toby.

– Masz tu karabin – mówi. – To jest spust. Stój tutaj. Jeśli w tych drzwiach pokaże się ktoś inny niż ja, strzelaj. Nie traf mnie przez pomyłkę. Dobra?

Jeśli ktoś ją tam w środku ukatrupi, Ren przynajmniej będzie miała broń.

– Dobra – mówi Ren, niezgrabnie chwytając za karabin. – Ale nie podoba mi się to.

To szaleństwo, myśli Toby. Ren jest tak roztrzęsiona, że zastrzeli mnie, jak tylko kichnę. Jednak jeśli nie sprawdzę, co tam jest, czeka nas nieprzespana noc, a rano może poderżnięte gardło. I brak ognia.

Wchodzi, trzymając w ręku latarkę i kij od mopa. Podłogę zaśmiecają kartki papieru. Lampy są rozbite. Pod stopami chrzęści potłuczone szkło. Zapach staje się intensywniejszy. Bzyczą muchy. Włosy jeżą jej się na ramieniu, krew dudni w skroniach.

Kłęb leżący na podłodze to z całą pewnością człowiek – przykryty jakimś ohydny kocem. Toby dostrzega sklepienie tysej czaszki, pasma włosów. Kierując w tę stronę strumień światła, szturcha koc kijem. Jęk. Szturcha drugi raz, mocniej – nakrycie nieznacznie się porusza. Pojawiają się szpary oczu i usta – wargi pokryte strupami i pęcherzami.

– O żeż, kurwa! – dobywa się z ust. – Kto ty, do chuja, jesteś?

– Jesteś chory? – pyta Toby.

– Jakiś skurwiel mnie postrzelił – odpowiada mężczyzna. Jego oczy rozbłyskują w świetle latarki. – Zgaś to, do cholery!

Nie widać śladów krwawienia z nosa, ust albo oczu. Przy odrobinie szczęścia nie okaże się nosicielem zarazy.

– Gdzie postrzelił? – pyta Toby.

To na pewno jej kula, z tamtego zdarzenia na łące. Na wierzch wygrzebuje się ręka – czerwona z niebieskimi żyłami. Chociaż zmarniały i pokryty brudem, z oczami przyćmionymi gorączką –

to Blanco, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Toby nie może go nie poznać – widzi go z bardzo bliska.

– W nogę – mówi. – Coś z nią niedobrze. Skurwysyny mnie tu zostawiły.

– Dwóch? – pyta Toby. – Czy była z nimi jakaś kobieta? – stara się mówić spokojnym głosem.

– Daj mi wody – mówi Blanco.

W narożniku, przy jego głowie, stoi pusta butelka. Dwie butelki. Trzy. Obgryzione żebra – lawendowy megarunos?

– Kto tu jest oprócz ciebie? – charczy Blanco, oddychając z trudem. – Inne suki, słyszałem.

– Obejrzę ci nogę – mówi Toby. – Może będę mogła pomóc. – Nie byłby pierwszym, który symuluje kontuzję.

– Ja, kurwa, umieram! Zgaś to światło!

Toby widzi, jak pod jego kilkakrotnie marszczącym się czołem przepływają falami różne możliwe scenariusze. Czy ją rozpoznał? Czy spróbuje się na nią rzucić?

– Odkryj koc – mówi Toby – a dam ci wody.

– Sama go odkryj – chrypi Blanco.

– Nie, jeśli nie chcesz, żebym ci pomogła, to cię tu zamknę na klucz.

– Zamek nie działa... Daj mi wody, chuda suko!

Toby lokalizuje kolejny zapach. Cokolwiek mu dolega, Blanco się rozkłada.

– Mam zizifruta – mówi Toby. – Będzie ci lepiej smakował.

Wychodzi tyłem przez drzwi, zamyka je, pozwalając najpierw zajrzeć Ren do środka.

– To on – szepce Ren. – Ten trzeci, najgorszy!

– Możesz odetchnąć – mówi Toby. – Jesteś całkowicie bezpieczna. Masz karabin, a on nie. Tylko nie spuszczaaj drzwi z celownika.

Toby grzebie w plecaku, wyciąga zizifruta, który im pozostał, wypija jedną czwartą ciepłego, słodzonego, musującego płynu: Nie marnotraw. Następnie dopełnia butelkę Makiem i na dokładkę dodaje szczodłą porcję sproszkowanego muchomora. Białe Anioły

Śmierci, spełniające mroczne pragnienia. Jeśli musisz wybierać z dwojga złego, wybierz mniejsze zło, powiedziałby Zeb.

Otwiera drzwi kijem i oświetla wnętrze latarką. Jak się domyślała, Blanco czołga się po podłodze, szczerząc zęby z wysiłku. W ręce trzyma nóż. Najwyraźniej liczył, że podczołga się na tyle blisko, żeby kiedy Toby wejdzie do środka, złapać ją za kostkę. I zabrać ze sobą. Albo użyć jako karty przetargowej, żeby dostać Ren.

Wściekłe psy gryzą. Czy trzeba wiedzieć więcej?

– Masz – Toby turla butelkę w jego stronę. Kiedy Blanco po nią sięga, nóż z brzękiem wypada mu z dłoni. Odkręca ją dygoczącymi rękami i żłopie. Toby czeka i upewnia się, że wypił wszystko.

– Teraz poczujesz się lepiej – mówi łagodnie i zamyka drzwi.

– On stamtąd wyjdzie! – woła Ren. Jest błada jak popiół.

– Jeśli wyjdzie, zastrzelimy go – odpowiada Toby. – Dałam mu trochę środków przeciwbólowych, które go uspokoją.

Po cichu wypowiada słowa przeprosin i wyzwolenia, takie same, jakie wypowiedziałyby nad żukiem.

Czeka, aż Mak zacznie działać, i po raz kolejny wchodzi do środka. Blanco głośno chrapie – jeśli nie wykończy go Mak, wykończą go Anioły Śmierci. Toby unosi koc. Lewa noga Blanca wygląda strasznie – rozkładająca się tkanina i rozkładające się ciało wgnięły się jedno w drugie. Toby musi się sporo wysilić, żeby powściągnąć wymioty.

Przetrząsa pokój w poszukiwaniu opał, zbiera, co się da – papier, resztki roztrzaskanego krzesła, stos płyt kompaktowych. Jest jeszcze wyższe piętro, ale dostęp do schodów blokuje Blanco. Toby nie waży się jeszcze podejść do niego tak blisko.

Pod drzewami szuka uschłych gałęzi – może jakoś zapalą się od rozpałki, papieru i płyt. Gotuje zupę z nogi megarunosa, dodaje do niej grzybów i trochę zerwanej z klombu portulaki. Obie jedzą, siedząc w dymie z ogniska, który chroni je przed komarami.

Śpią na płaskim dachu, na który wspięły się po drzewie. Toby wciąga do góry plecaki i trzy pozostałe nogi megarunosa, żeby w nocy ktoś ich nie ukradł. Dach jest wysypany kamykami i mokry. Kładą

się na płachtach z plastiku. Gwiazdy świecą jasno do niemożliwości, księżyc nie widać. Tuż przed zaśnięciem Ren szepce:

– A co jeśli się obudzi?

– Nigdy się nie obudzi – odpowiada Toby.

– Aha – mówi Ren cienkim głosikiem. Czy słyhać w nim podziw dla Toby czy grozę w obliczu śmierci? Nie wyżyłby, mówi sobie Toby, nie z nogą w tak fatalnym stanie. Próba jej leczenia byłaby marnotrawstwem czerwi. Nie zmienia to faktu, że dokonała zabójstwa. Albo aktu miłosierdzia: przynajmniej nie umarł spragniony.

– Nie oszukuj się, laleczko, słyszy w swojej głowie głos Zeba. Zrobiłaś to z myślą o zemście.

– Niech Duch jego odejdzie w pokoju – mówi na głos. Jeśli można tak o nim powiedzieć, wieprzu pierdolonym.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętej Rachel i Wszystkich Ptaków

Toby budzi się przed świtem. Gdzieś w okolicy jest lwiagnior – słycać jego niezwykły płaczliwy ryk. Szczekają psy. Toby porusza rękami, potem nogami – zeszywniała jak betonowa płyta. Wilgoć z mgły przenika do samego szpiku.

Wstaje słońce – gorąca róża wznosząca się z brzoskwiniowych chmur. Liście na zwieszających się nad nimi gałęziach pokrywają drobne kropelki, lśniąca w coraz mocniejszym różowym świetle. Wszystko jest takie świeże, jakby dopiero co stworzone – kamienie na dachu, drzewa, rozciągnięte między gałęziami pajęczyny. Śpiąca Ren błyszczy się, jakby cała była pokryta srebrem. Owalną twarz otuloną ma różowym kombinezonem, jej długie rzęsy zdobią paciorki rosy – wygląda krucho i jak nie z tego świata, jakby cała była ze śniegu.

Światło pada jej prosto na twarz, otwiera oczy.

– Cholera, o cholera! – woła Ren. – Spóźniłam się! Która godzina?

– Nigdzie się nie spóźniłaś – mówi Toby i nie wiadomo czemu obie wybuchają śmiechem.

Toby bada teren przez lornetkę. Na wschodzie, tam gdzie pójda, jest spokój, ale na zachodzie dostrzega grupę świń. To ich największe skupisko, jakie dotąd widziała – sześć dorosłych i dwa młode.

Rozlokowały się wzdłuż drogi, jak naszyjnik z pereł żywych ciał. Ryje mają opuszczone, węższą, jakby coś tropiły.

Nas tropią, myśli Toby. Może to tamte świnie – świnie żywiące urazę, świnie zarządzające pogrzeby. Wstaje, wymachuje karabinem w powietrzu, krzyczy w ich stronę: „Precz stąd! Odchrzańcie się!”. Z początku tylko się gapią, lecz kiedy Toby wycełowuje w nie karabin, wskakują między drzewa.

– Zupełnie jakby wiedziały, co to karabin – mówi Ren. Dziś wygląda o wiele zdrowiej. Mocniej.

– Oho, wiedzą – mówi Toby.

Schodzą z dachu po drzewie, Toby rozpala ogień w czajniku polowym. Choć w pobliżu nie ma śladu niczyjej obecności, woli nie ryzykować ogniska. Martwi się dymem – czy ktoś mógłby go wyczuć? Zgodnie z regułą Zeba, zwierzęta unikają ognia, ludzie do niego ciągną.

Woda zawrzała, Toby parzy herbatę. Podgotowuje jeszcze trochę portulaki. To powinno dostatecznie rozgrzać je przed poranną wędrówką. Później znowu ugotują zupę megarunosową, z pozostałych trzech nóg.

Przed odejściem Toby zagląda do pomieszczenia w głębi budynku. Blanco jest zimny. Śmierdzi gorzej niż przedtem – choć nie sądziłaby, że to możliwe. Toby przerzuca go na koc i wywleka na zryte klomby. Na podłodze odnajduje upuszczony przez niego nóż. Jest ostry jak brzytwa – rozrzyna nim przód jego brudnej koszuli. Owłosiony brzuch biały jak ryba. Gdyby chciała podejść do sprawy gruntownie, powinna go rozciąć – sępy byłyby jej wdzięczne – jednak dobrze pamięta mdlący fetor bebeczków martwego knura. Świnie się tym zajmą. Może potraktują Blanca jako zadośćuczynienie i wybaczą jej zastrzelenie ich świńskiego towarzysza. Nóż zostawia w kwiatkach. Dobre narzędzie, ale zła karma.

Kiedy odchodzą z punktu kontrolnego, Toby zatraskuje bramę z kutego żelaza. Zamek elektroniczny jest zepsuty, więc blokuje ją liną. Jeśli świnie postanowią je ścigać, brama na długo ich nie zatrzyma – przekopią się – ale może będą musiały się namyśleć.

Toby i Ren są już poza terenem NowyTy. Idą obrośniętą chwastami drogą przecinającą Park Dziedzictwa. Dochodzą do polanek ze stołami piknikowymi – kosze na śmieci, grille, stoły i ławki oplata kudzu. W świetle słońca, z każdą chwilą gorętszego, kołyszą się i zataczają kręgi motyle.

Toby ustala położenie. W dole, na wschodzie, musi być brzeg morza. Na południowy zachód Arboretum z potokiem, w którym dzieci Ogrodników puszczały niegdyś swoje miniaturowe Arki. Gdzieś w tej okolicy powinna odchodzić droga do wjazdu do SolarSpace. W pobliżu znajduje się miejsce, gdzie pochowali Pilar. Jak się spodziewała, rośnie tu jej Bez – już całkiem wysoki, cały w kwiatach. Wokół niego brzęczą pszczoły.

Kochana Pilar, myśli Toby. Gdybyś była dziś z nami, powiedziałabyś nam coś mądrego. Co by to było?

Słyszą przed sobą beczenie. Pięć – nie, dziewięć – nie, czternaście megarunosów wdrapuje się na nasyp i wpada na drogę. Srebrne, niebieskie, fioletowe, czarne. Czerwony ma włosy splecione w warkocze. I oto pojawia się człowiek. Człowiek przepasany białym prześcieradłem. To jakaś biblijna przebieranka – ma nawet długi kij, zapewne do nawracania owiec. Ujrawszy je obie, zatrzymuje się i odwraca, spokojnie je obserwując. Ma okulary przeciwsłoneczne – i miotacz. Trzyma go przy boku od niechcenia, ale dba, żeby był widoczny. Słońce stoi za nim.

Toby ani drgnie, ciarki przebiegają jej po karku i ramionach. Czy to jeden z paintbólowców? Nim Toby zdąży wycelować, on podziurawi ją jak rzeszoto – słońce jest po jego stronie.

– To Croze! – krzyczy Ren. Biegnie ku niemu z wyciągniętymi ramionami, a Toby ma wielką nadzieję, że Ren się nie myli. Nie myli się, bo mężczyzna pozwala, by zarzuciła mu ręce na szyję. Miotacz i kij upuszcza na ziemię i mocno obejmuje Ren. Megarunosy snują się w pobliżu, żując kwiaty.

Rok dwudziesty piąty

Ren. Świętej Rachel i Wszystkich Ptaków

– Croze! – wołam. – Nie do wiary! Myślałam, że nie żyjesz!

Mówię w jego prześcieradło, bo trzymamy się tak mocno, że jestem w niego wciśnięta. Nie odzywa się ani słowem, może płacze, więc dodaję:

– Założę się, że ty też myślałeś, że nie żyję.

Czuję, jak potakuje.

Wypuszczamy się z objęć i patrzymy na siebie. Próbuje się uśmiechnąć.

– Skąd wzięłeś prześcieradło? – pytam.

– Wszędzie pełno łóżek – mówi. – Prześcieradła są lepsze niż spodnie, nie jest w nich tak gorąco. Widziałas Oatesa? – pyta jakby strapiiony.

Nie wiem, co powiedzieć. Nie chcę zepsuć tej chwili, opowiadając mu coś tak smutnego. Biedny Oates, zwisa z drzewa z poderżniętym gardłem i bez nerek. Po chwili jednak spoglądam na twarz Croze'a i zdaję sobie sprawę, że źle go zrozumiałam: martwi się o mnie, bo wie, co się stało z Oatesem. Croze i Shackie szli wtedy ścieżką przed nami. Usłyszeli mój krzyk, ukryli się. Potem pewnie słyszeli moje wrzaski, wrzaski bez końca. Później – bo oczywiście cofnęli się sprawdzić co to – pewnie posłyszeli wrony.

Jeśli powiem, że nie, najprawdopodobniej będzie udawał, że Oates żyje – żeby oszczędzić mi nerwów.

– Tak – mówię. – Widziałyśmy go. To straszne.

Croze patrzy w ziemię. Zastanawiam się, jak zmienić temat. Megarunosy skubią trawę tuż przy nas – trzymają się blisko Croze'a, więc pytam:

– To twoje owce?

– Zaczęliśmy je wypasać – odpowiada. – Trochę je oswoiliśmy. Lecz ciągle uciekają.

Jacy „my”? , chcę zapytać, ale zbliża się Toby, więc mówię:

– To jest Toby, pamiętasz?

– Bez kitu! Od Ogrodników? – wykrzykuje Croze.

Toby odpowiada mu tym swoim nieznacznym, suchym skinieniem głowy.

– Crozier. Urosteś – mówi jak na szkolnym spotkaniu po latach. Trudno wytrącić ją z równowagi. Wyciąga dłoń, którą Croze ściska. Dziwny widok: Croze – w prześcieradle, wygląda jak Jezus, chociaż bez falistej brody, a Toby i ja – w różowych strojach z mrującym okiem i szminkowymi wargami; na dodatek Toby z plecaka wystają trzy fioletowe nogi megarunosa.

– Gdzie Amanda? – pyta Croze.

– Żyje – odpowiadam z nienaturalnym pośpiechem. – Wiem, że żyje.

Croze i Toby wymieniają spojrzenia ponad moją głową, jakby się bali oznajmić mi, że mojego króliczka przejechał samochód.

– A co z Shackletonem? – pytam.

– Wszystko w porządku – mówi Croze. – Chodźmy tam.

– Tam? – pyta Toby.

– Do domku z gliny. Tam gdzie urządzaliśmy wymianę Drzewo Życia. Pamiętasz? – zwraca się do mnie. – To niedaleko.

Owce ruszyły już w tę stronę. Jakby wiedziały, dokąd iść. Idziemy za nimi.

Słońce pali tak mocno, że gotujemy się w kombinezonach. Croze owinął sobie głowę kawałkiem prześcieradła. Wygląda o wiele fajniej niż ja.

Kiedy docieramy do zieleńca, na którym dawniej organizowane było Drzewo Życia, jest południe. Plastikowe huśtawki zniknęły, ale domek z gliny stoi niezmienny – zostały nawet gryzmoły plebszczurów wypisane sprayem – poza tym że coś do niego dobudowują. Stoi tu ogrodzenie ze słupków, desek, drutu i taśmy izolacyjnej. Croze otwiera furtkę i megarunosy jeden za drugim wchodzą do zagrody w podwórku.

– Przeprowadziłem owce! – woła Croze. Z domku wychodzi mężczyzna z miotaczem, za nim dwóch kolejnych, a następnie cztery kobiety – dwie młode, trzecia trochę starsza i czwarta najstarsza, może w wieku Toby. Ich ubrania nie są w stylu Ogrodników, chociaż też nie są nowe ani ładne. Dwaj mężczyźni mają na sobie prześcieradła, trzeci – obcięte džinsy i koszulę. Kobiety ubrane są w długie skafandry, podobne do naszych kombinezonów.

Patrzą na nas. Wcale nie przyjaźnie, raczej z niepokojem. Croze przedstawia nas.

– Jesteś pewien, że nie są zarażone? – pyta mężczyzna z miotaczem.

– Na sto procent – odpowiada Croze. – Przez cały czas były odizolowane od świata.

Patrzy na nas, szukając potwierdzenia. Toby potakująco kiwa głową.

– To przyjaciele Zeba – dodaje Croze. – Toby i Ren.

A nam wyjaśnia:

– To jest MaddAddam.

– Raczej to, co z niego zostało – mówi najniższy z mężczyzn. Przedstawia wszystkich: sam nazywa się Bieługa, a pozostali trzej to Dziecioł Wielkodzioby, Manat i Koliberek Hawański. Kobiety to Modraszek, Lis Płowy, Biała Turzyca i Bawół Mindorski. Nie podajemy sobie rąk, wciąż podejrzewają nas o roznoszenie zarazków.

– MaddAddam – mówi Toby. – Cieszę się, że mogę was poznać. Śledziłam niektóre wasze akcje przez Internet.

– Jak się dostałaś do pokoju gry? – pyta ją Dziecioł Wielkodzioby, mierząc wzrokiem jej zabytkowy karabin, jakby był zrobiony ze złota.

– Byłam Chruścielakiem Karłowatym.

Wszyscy spoglądają jeden na drugiego.

– Ty? – pyta Modraszek. – Ty byłaś Karłowatym?! Sekretną damą?! – śmieje się. – Zeb nie chciał nam zdradzić kto to. Myśleliśmy, że jesteś jakąś jego gorącą laską.

Toby potwierdza słabym uśmiechem.

– Ale mówił, że jesteś w porządku – dodaje Bawół Mindorski. – Podkreślał to.

– Zeb? – pyta Toby jakby siebie samą. Wiem, że chciałaby zapytać, czy Zeb żyje, ale się boi.

– MaddAddam to była świetna akcja – mówi Bieluga. – Póki nas nie zgarnęli.

– Czyli, jak to sami nazwali, powołali do tej pieprzonej OdmłodNowy – mówi Biała Turzycyca, najmłodsza z kobiet. – To Derkacz... ten mały skurwiel...

Biała Turzycyca ma brązową skórę, ale mówi z akcentem z Anglii, więc wychodzi jej „skuhwiel”. Teraz, kiedy Toby powiedziała im, że w rzeczywistości jest kimś innym, zachowują się przyjaźniej.

Nic nie rozumiem. Spoglądam na Croze’a, który zaczyna tłumaczyć:

– Chodzi o to, czym się zajmowaliśmy, o ruch biologicznego oporu. Za to wsadzili nas do Paintbólu. A to są naukowcy, których zwinęli. Pamiętasz? Opowiadałem o tym w Łuskach.

– Aha – mówię, chociaż wciąż nie wszystko jest dla mnie jasne. Po co zgarnęła ich OdmłodNowa? Czy to był kidnaping mózgow, tak jak z moim ojcem?

– Mieliśmy gości – mówi do Croze’a Dzieciot Wielkodzioby. – Kiedy wyszedłeś po owce, było tu jakichś dwóch z kobietą, miotaczem i martwym szopunksem.

– Serio? – mówi Croze. – Grubsza sprawa.

– Powiedzieli, że byli w Paintbólu, jakby chcieli wzbudzić respekt – dodaje Bieluga. – Chcieli przehandlować kobietę... kobietę i szopunksa na magazynek do miotacza i mięso z megarunosów.

– Założę się, że to oni zabili nam fioletowego megarunosa – mówi Croze. – Toby znalazła jego nogi.

– Szopunksa! Co nam z takiej wymiany?! – oburza się Biała Turzyca. – Przecież nie umiemy z głodu.

– Powinniśmy byli ich zastrzelić – mówi Manat. – Ale zastaniali się kobietą.

– W co była ubrana? – pytam, lecz nikt mnie nie słucha.

– Nie zgodziliśmy się na wymianę – opowiada Dzieciół Wielkodzioby. – Dziewczyny szkoda. Ale bardzo im zależało na amunicji, co znaczy, że im się kończy. Ponegocjujemy z nimi później.

– To Amanda! – mówię. Mogli ją uratować. Nie winię ich jednak za to, że nie chcieli wymiany: nie dałabym ładunków do miotacza ludziom, którzy potem by mnie nimi zabili.

– Co będzie z Amandą? – pytam. – Powinniśmy iść jej szukać!

– No tak, teraz, kiedy jest już po Potopie, powinniśmy wszystkich zebrać razem – mówi Croze. – Tak jak mówiliśmy – popiera mnie.

– I wtedy, wiecie, będziemy mogli odbudować rodzaj ludzki – wiem, że to brzmi głupio, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. – Amanda bardzo by się przydała, świetnie zna się na wszystkim.

Ale oni tylko się do mnie smutno uśmiechają, jakby wiedząc, że to nie ma sensu.

Croze bierze mnie za rękę i odciąga na bok.

– Ty z tym rodzajem ludzkim to na serio? – pyta, uśmiechając się. – Musiałabyś rodzić dzieci.

– Może jeszcze nie teraz – odpowiadam.

– Chodź, pokażę ci ogród.

W altanie mają kuchenkę, w narożniku kilka przenośnych bioalet kompostowych i baterię słoneczną, którą właśnie naprawiają. W plebsopoliach można znaleźć części zamienne do wszystkiego, trzeba tylko uważać na zawałające się budynki.

Ogródek warzywny jest z tyłu. Nie uhodowali jeszcze zbyt wiele.

– Atakują nas świnie – objaśnia Croze. – Przekopują się pod ogrodzeniem. Jedną zastrzeliliśmy, więc może to dotrze do reszty.

Zeb mówi, że to są nadświnie, bo wkomponowano im ludzką tkankę mózgową.

– Zeb? – pytam. – Czy Zeb żyje?

Z nagle dostaję zawrotów głowy. Ci wszyscy martwi ludzie, którzy teraz nagle ożywają – to ponad moje siły.

– No pewnie – mówi Croze. – Czy wszystko w porządku?

Obejmuje mnie ramieniem, żebym nie upadła.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętej Rachel i Wszystkich Ptaków

Ren i Crozier zniknęli, spacerując za domkiem z gliny. Cóż w tym złego, myśli Toby. Młodzieńcza miłość, bez dwóch zdań. Opowiada Dzieńciołowi Wielkodziobemu o trzecim mężczyźnie – który nie żyje. O Blancu. Dzieńcioł Wielkodzioby słucha uważnie, pyta:

– Zaraza?

Zakażenie od kuli, odpowiada Toby. O Maku i o Aniołach Śmierci nie wspomina.

Gdy rozmawiają, zza domu wyłania się kolejna kobieta.

– Cześć, Toby! – mówi.

To Rebecca. Starsza, nie tak pulchna, ale Rebecca. Najprawdziwsza. Ujmuje Toby za ramiona.

– Kochanie, jaka ty jesteś chuda – mówi. – Nic to, mamy tu bekon. Podtuczymy cię.

Bekon to pojęcie raczej nieuchwytnie dla Toby w obecnym momencie.

– Rebecca – mówi Toby. Chciałaby jeszcze dodać: Jak to się stało, że żyjesz? – lecz to pytanie staje się coraz bardziej pozbawione sensu. Jak to się stało, że ktokolwiek z nich żyje? Mówi więc tylko: – Cudownie.

– Zeb mówił, że ci się uda. Zawsze tak mówił. Hej, uśmiechnij się do mnie!

Toby nie podoba się ten czas przeszły. Pachnie łóżem śmierci.

– Kiedy tak mówił?

– Prawie co dzień tak, kurna, mówi. Chodź do kuchni i zjedz coś. Opowiadaj, gdzie byłeś.

A więc Zeb żyje, myśli Toby. Teraz, kiedy wie, że to prawda, wydaje jej się, że wiedziała to przez cały czas. A jednocześnie wąpi – to nie będzie do końca prawda, póki go nie zobaczy, nie dotknie.

Piją kawę – z palonych korzeni mniszka lekarskiego, jak z dumą podkreśla Rebecca – i przygryzają korzeniami łopianu z ziołami i plastrem... czyżby wieprzowiny?

– Utrapienie z tymi świniami – mówi Rebecca. – Cwane jak diabli. – Patrzy zaczepnie na Toby i mówi: – Stan wyższej konieczności. Przynajmniej wiemy, co w tym jest, nie tak jak w sekretburgerze.

– To przepyszne – mówi szczerze Toby.

Gdy kończą posiłek, Toby przekazuje Rebecce trzy megarunowe nogi – nie są pierwszej świeżości, ale zdaniem Rebekki przydadzą się do zapasów. Następnie pograżają się w opowieściach. Toby streszcza swój pobyt w spa NowyTy, opowiada o pojawieniu się Ren. Rebecca relacjonuje, jak pod fałszywym nazwiskiem sprzedawała w grodzonych osiedlach na Zachodzie polisy na życie, podrzucając jednocześnie wymyślne bioformy od MaddAddama, i jak udało jej się złapać ostatni pociąg na wschód – to było ryzykowne, mnóstwo ludu kichało, ale na szczęście miała filtr powietrza i rękawiczki – i jak potem ukrywała się w Klinice Wellness razem z Zebem i Katurem.

– W pokoju zgromadzeń, pamiętasz go? – pyta. – W Araracie były jeszcze nasze zapasy!

– A Katuró?

– Radzi sobie. Złapał jakiegoś wirusa, ale nie tego najgorszego. Już wyzdrowiał. Wyszedł razem z Zebem, Shackletonem i Czarnym Nosorożcem. Szukają Adama Pierwszego i reszty. Zeb twierdzi, że jeśli każdy mógł to przetrwać, to oni też.

– Naprawdę? Są jeszcze szanse? – pyta Toby. Czy mnie też szuka?, chciałaby zapytać. Prawdopodobnie nie. Pewnie myślał, że sama sobie poradzi. I poradziła, czyż nie?

– Nasłuchiwaliśmy i nadawaliśmy przez nakręcaną krótkofalówkę, całą dobę, siedem dni w tygodniu. Parę dni temu wreszcie ktoś odpowiedział.

– To był on? – Toby jest gotowa uwierzyć we wszystko.

– Adam Pierwszy?

– Słyszeliśmy tylko jeden głos. Mówił tylko: Tu jestem! Tu jestem!

– Nie traćmy nadziei – mówi Toby. I nie traci jej, przynajmniej próbuje.

Na zewnątrz słychać ujadanie psów i chaotyczne strzały.

– Cholera, atak psów – mówi Rebecca. – Weź ten karabin.

MaddAddamowcy z miotaczami stoją już przy ogrodzeniu, na które, wywijając ogonami, rzucają się psy – duże i małe, jakieś piętnaście sztuk. Ludzie zaczynają strzelać. Nim Toby zdąży wypalić, siedem psów pada martwych, reszta ucieka.

– Kompozyty z Watsona-Cricka – mówi Dzieciot Wielkodzioby. – Tak naprawdę to nie są psy, tylko tak wyglądają. Rozszarpałyby ci gardło. Trzymali je między innymi w fosach więziennych; w odróżnieniu od systemów alarmowych, ich nie można było zhakować. Uciekły podczas Potopu.

– Rozmnażają się? – pyta Toby. Czy będzie trzeba walczyć z niekończącymi się watahami tych pseudopsów, czy jest ich ograniczona liczba?

– Bóg jeden wie – odpowiada Dzieciot Wielkodzioby.

Modraszek i Biała Turzyca wychodzą za ogrodzenie sprawdzić, czy psy są na pewno martwe. Dołączają do nich Bawół Mindorski, Lis Płowy, Rebecca i Toby. Razem obdzierają psy ze skóry i patroszą, podczas gdy ludzie z miotaczami stoją na warcie, na wypadek gdyby wróciła reszta sfory. Dłonie Toby nie zapomniały, jak to się robiło w dawnych czasach. Zapach też pozostał ten sam. Zapach dzieciństwa.

Skóry zdarte z psów leżą z boku. Pokrajane mięso jest już w garnku. Toby czuje lekkie mdłości. Ale czuje też głód.

Rok dwudziesty piąty

Ren. Świętej Rachel i Wszystkich Ptaków

Kiedy pytam Croze'a, czy mam pomóc przy obdzieraniu psów, odpowiada, że jest do tego dosyć ludzi i że wyglądam na zmęczoną, więc może powinnam się położyć na jego łóżku w gli-niance.

W pokoju jest chłodno i pachnie starym znajomym domkiem z gliny. Czuję się bezpieczna. Łóżko Croze'a to właściwie zwykła platforma, ale wysłana jest srebrnym runem megarunosa i prześcieradłem. Croze mówi: „Śpij dobrze!”, i wychodzi. Ściągam górę i spodnie z NowyTy, bo jest mi gorąco. Megarunos jest miękki i jedwabisty w dotyku. Zasypiam.

Kiedy budzi mnie popołudniowa burza, Croze leży za moimi plecami zwinięty w kłębek. Wiem, że na pewno jest zmartwiony i smutny. Odwracam się więc przodem do niego, obejmujemy się i Croze chce się kochać. Ja jednak uświadamiam sobie, że nie chcę uprawiać seksu z kimś, kogo nie kocham. A odkąd poznałam Jimmy'ego, nie kochałam tak naprawdę nikogo, na pewno nie w Łuskach. Tamto było tylko grą, grą według perwersyjnych scenariuszy innych ludzi.

Poza tym mam w głowie jakieś ciemne miejsce, jakby mi ktoś wlał do mózgu atrament – i przez to miejsce nie potrafię myśleć o seksie. Są w nim jeżyny, coś, co dotyczy Amandy, i nie chcę w nim być. Mówię więc: „Jeszcze nie teraz”. Croze, choć dawniej

potrafił był wobec mnie dość okrutny, wydaje się rozumieć, więc tylko się obejmujemy i rozmawiamy.

Croze ma głowę pełną planów. Zbudują to, zbudują tamto. Pozbędą się świń albo je oswoją. Kiedy obaj paintbólowcy będą już martwi – zadba o to osobiście – weźmie mnie, Amandę i Shackiego i razem zejdziemy na brzeg morza łowić ryby. Wszyscy z grupy MaddAddama – Dzieciół, Turzyca, Bawół, Nosorożec i reszta – są naprawdę bystrzy, więc ani się obejrzymy, jak nawiążą komunikację. Kiedy pytam: „A z kim będziemy się komunikować?“, Croze odpowiada, że na pewno ktoś jeszcze jest. Opowiada mi dalej o MaddAddamowcach – jak działali razem z Zebem, dopóki KorpuSOKorp nie namierzył ich przez MaddAddamowca posługującego się nickiem Derkacz, a potem wyłądownali jako mózgi-niewolnicy w czymś, co nazywało się kopuła Projektu WyRaj. Mieli do wyboru: to albo śmierć od miotacza, zgodzili się więc na współpracę. Potem, kiedy zaczął się Potop i wyparowała cała ochrona, wyłączyli system bezpieczeństwa i wydostali się na zewnątrz – dla nich nie było to nic trudnego, bo to przecież byli mózgowcy.

Kiedys już mi coś o tym opowiadał, nie wspominał jednak wtedy o Projekcie WyRaj ani o Derkaczu.

– Zaraz, zaraz – mówię. – Czy oni wewnątrz tej kopuły pracowali nad nieśmiertelnością?

Croze potwierdza. Pomagali Derkaczowi przy jego wielkim eksperymencie – jakimś skończenie pięknym genetycznym kompozycie człowieka, zdolnym żyć wiecznie. Oni odwalili też najcięższą robotę przy pigułkach BłogoPlusu. Sami jednak mieli zakaz używania go – choć ich oczywiście kusilo, bo seks po BłogoPlusie był nie do pobicia. Były jednak poważne skutki uboczne, między innymi śmierć.

– Tak też się zaczęła ta cała pandemia – tłumaczy Croze. – Powiedzieli, że Derkacz kazał im dodać wirusa do pigułek na superseks.

Poczułam bezgraniczne szczęście, że byłam wtedy zamknięta w Śliskiej Strefie – może potajemnie tyknęłabym taką pigułkę,

łamiąc przykazanie Mordisa „żadnych prochów dla Łuseczek”. To było takie wspaniałe, jak zresztą cała rzeczywistość.

– Kto zrobiłby coś takiego? – pytam. – Zatrutą pigułkę wspomagającą seks!

To Glenn, to na pewno on. Właśnie o tym opowiadał w Łuskach panom Ważnym z OdmłodNowy. O truciznie oczywiście nie wspomniał. Przypomniały mi się ich pseudonimy, Oryks i Derkacz. Wtedy myślałam, że to tylko erotyczny język Glenna i jego panienki do rżnięcia – mnóstwo ludzi używało w takich okolicznościach zwierzęcych przezwisk: Pantera, Tygrys, Rosomak, Kociak, Psiutek. A więc nie erotyczny język, tylko nicki. A może jedno i drugie.

Przez ułamek sekundy mam ochotę powiedzieć o wszystkim Croze’owi: że w poprzednim życiu dowiedziałam się bardzo dużo o tym Derkaczu. Ale wtedy musiałabym mu opowiedzieć o tym, co robiłam w Łuskach – nie tylko o tańcu na trapezie albo o tym, że Glenn kazał nam mruzczyć i śpiewać jak ptaki – również o innych rzeczach, o rzeczach, które działy się w pokoju z sufitem z piór. Tego Croze nie chciałby słyszeć – faceci nie znoszą wyobrażenia sobie, jak inni faceci robią coś związanego z seksem z kobietą, z którą sami chcieliby to robić.

Pytam więc tylko:

– A co z tymi ludźmi kompozytami? Z tymi doskonałymi ludźmi? Czy oni naprawdę ich stworzyli?

Glenn zawsze chciał, żeby wszystko było doskonalsze.

– No, stworzyli – mówi Croze tak, jakby ludzi tworzyło się co dzień.

– Ci ludzie wymarli chyba jak wszyscy inni – zgaduję.

– Nie. Żyją na brzegu morza. Nie noszą ubrań, żywią się liśćmi, mruczą jak koty. Ja mam inne wyobrażenie o byciu doskonałym – śmieje się Croze. – Dla mnie ty jesteś doskonała.

Puszczam to mimo uszu.

– Zmyślasz – mówię.

– Nie, przysięgam! – mówi Croze. – Robią im się takie ogromne... fiuty robią im się niebieskie, a potem uprawiają seks grupowy z kobietami o niebieskich dupach. Coś obłądnego.

– To jakiś żart, tak? – pytam.

– Sam ich widziałem. Mamy się do nich nie zbliżać, żeby nie narobić im kłopotu. Chciaż Zeb pozwala nam podglądać ich z od-
dali, jak w zoo. Mówi, że nie są niebezpieczni; to my jesteśmy dla
nich niebezpieczni.

– Kiedy będę mogła ich zobaczyć?

– Jak już załatwimy sprawę z paintbólowcami – mówi Croze.

– Ale będę musiał pójść z tobą. Na brzegu jest jeszcze jakiś facet.
Śpi na drzewie, gada sam ze sobą, ma kota jak cholera, nie ubliżając
kotom. Nie zbliżamy się do niego, bo może być nosicielem. Nie
chciałbym, żeby cię zaczepiał.

– Dzięki – odpowiadam. – A ten Derkacz z Projektu WyRaj...
Jak wyglądał?

– Nigdy go nie widziałem. Nikt mi też tego nie mówił.

– Czy w tej swojej kopule miał jakiegoś przyjaciela? – pytam.
Kiedy Glenn przyszedł do Łusek z Jimmym, na pewno nad czymś
razem pracowali.

– Nosorożec opowiadał, że Derkacz niespecjalnie szukał przy-
jaciół. Miał tam jednak jakiegoś kumpla i dziewczynę, oboje mieli
zajmować się marketingiem. Zdaniem Nosorożca, ten chłopak to
była strata czasu, ciągle opowiadał głupie dowcipy i za dużo pił.

To na pewno Jimmy, pomyślałam.

– Czy udało mu się wydostać? Wyjść z tej kopuły razem z nie-
bieskimi ludźmi?

– Skąd mam wiedzieć? – mówi Croze. – A zresztą kogo to
obchodzi, do cholery?

Mnie obchodzi. Nie chcę, żeby Jimmy był martwy.

– To było trochę niemiłe – mówię.

– Hej, wyluzuj – mówi Croze. Obejmuje mnie ramieniem,
niby przypadkowo jego dłoń opada na moje piersi. Odsuwam ją.

– W porządku – mówi z rozczarowaniem i całuje mnie w ucho.

Croze budzi mnie, mówi: „Wrócili”, i wybiega. Ubieram się, a kiedy
wychodzę, widzę, że na podwórku stoi Zeb w objęciach Toby. Są
tam Katuru i mężczyzna, którego nazywają Czarnym Nosorożcem

– jest nawet trochę czarny. Jest i Shackie – uśmiecha się do mnie z daleka. Nie wie jeszcze o dwóch paintbólowcach i Amandzie. Niech Croze mu powie. Jeśli ja to zrobię, zaczniesz zadawać mi pytania. A ja znam tylko złe odpowiedzi.

Powoli podchodzę do Zeba – czuję się onieśmielona – Toby wypuszcza go z objęć. Jest uśmiechnięta – to nie jakiś tam niewyraźny uśmieszek, ale prawdziwy uśmiech. Myślę sobie: Potrafi jeszcze ładnie wyglądać.

– Mała Ren – mówi do mnie Zeb. – Urosłaś.

Odkąd widziałam go po raz ostatni, posiwiał. Uśmiecha się i krótko ściska mnie za ramię. Pamiętam, jak u Ogrodników śpiewał pod prysznicem. Pamiętam, jak był dla mnie miły. Chciałabym, żeby był dumny z tego, że mi się udało – chociaż to było głównie kwestią przypadku. Chciałabym, żeby bardziej go zaskoczyło i ucieszyło, że jestem żywa. Najwyraźniej za dużo ma na głowie.

Zeb, Shackie i Czarny Nosorożec mają miotacze i plecaki. Otwierają plecaki i wyjmują z nich różne rzeczy: puszki sojdynek, jakieś butelki – chyba z alkoholem – i trochę energatonów. Trzy magazynki do miotaczy.

– To z Kompleksów – mówi Katuru. – Wiele z nich ma otwarte bramy. Szabrownicy się przedarli.

– KrioGeniusz zamknięty szczelnie – oznajmia Zeb. – Pewnie myśleli, że przeczekają to w środku.

– Razem z tymi swoimi mrożonymi głowami – dodaje Shackie.

– Nie sądzę, żeby ktokolwiek stamtąd wyszedł – mówi Czarny Nosorożec. Słucham tego ze smutkiem, bo w tym Kompleksie musiała być też Lucerne, która bez względu na to, jak ze mną postąpiła, kiedyś była moją matką i kiedyś ją kochałam. Spoglądam na Zeba, bo może on też ją kiedyś kochał.

– Znaleźliście Adama Pierwszego? – pyta Dzieciot Wielkodzioby.

Zeb kręci głową:

– Szukaliśmy w Buenawicie, byli tam chyba przez jakiś czas, oni albo ktoś inny. Ktoś zostawił ślady. Sprawdziliśmy jeszcze w paru Araratach, ale nic z tego. Najwyraźniej poszli dalej.

– Powiedziałeś mi, że ktoś mieszkał w Klinice Wellness? – pytam Croze’a. – W pokoiku za beczkami z octem, tam gdzie był laptop?

– Powiedziałem – mówi Croze. – To byli on, Rebecca i Katuru.

– Widzieliśmy tego wariata, co kuleje i gada sam do siebie – odzywa się Shackie. – Tęgo, co to śpi na drzewie na brzegu morza. Ale nas nie zauważył.

– I nie zastrzeliliście go? – pyta Dzieciół Wielkodzioby. – Może zarażać.

– Po co marnować amunicję – mówi Czarny Nosorożec. – Długo nie pociągnie.

Gdy słońce schodzi niżej, na podwórku rozpalamy ognisko i jemy zupę pokrzywową z kawałkami mięsa – nie jestem pewna jakiego – z łopianem i serem z megarunosowego mleka. Spodziewałam się, że rozpoczną posiłek od „Drodzy Przyjaciele, jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi, złóżmy za to dzięki” albo od innej Ogrodniczej formułki, nic takiego jednak nie mówią. Po prostu jemy kolację.

Po zakończeniu posiłku omawiają, co robić dalej. Zeb uważa, że trzeba odnaleźć Adama Pierwszego i Ogrodników, zanim coś lub ktoś ich dopadnie. Jutro pójdzie do Zapadliska sprawdzić Dach Edenciliff, parę truflowych kryjówek i inne miejsca, do których mogli się udać. Shackie mówi, że pójdzie z nim. Tak samo Czarny Nosorożec i Katuru. Inni muszą zostać, żeby bronić domku przed psami, świniami, a może także przez paintbólwcami, którzy mogą tu wrócić.

Dzieciół Wielkodzioby opowiada Zebowi historię Toby i śmierci Blanca. Zeb patrzy na Toby i mówi: „Świetna robota, laleczko”. Słyszając, że ktoś nazywa ją „laleczką”, doznaję szoku – to jakby Boga nazwać „niezłym ciachem”.

Zbieram się na odwagę i oznajmiam, że musimy odnaleźć Amandę i odebrać ją paintbólwcom. Shackie mówi, że jest za, i mam wrażenie, że mówi to poważnie. Zeb odpowiada, że bardzo

mu przykro, ale musimy zrozumieć, że mamy wybór albo-albo. Amanda jest jedna, a Ogrodników z Adamem Pierwszym jest wielu. I że Amanda postąpiłaby tak samo.

– W porządku – mówię. – Pójdę sama.

– Nie wygłupiaj się – karci mnie Zeb, jakbym wciąż miała jedenaście lat.

Croze oświadcza, że pójdzie ze mną. Ściskam go za rękę na znak wdzięczności. Ale Zeb mówi, że Croze jest potrzebny na miejscu – bez niego nie dadzą sobie rady. Jeśli poczekam, aż wróci razem z Shackiem, Nosorożcem i Katurem, to wyśle ze mną trzech ludzi z miotaczami – w ten sposób nasze szanse powodzenia znacznie wzrosną.

Ja jednak upieram się, że nie ma na to czasu, bo jeśli paintbólownicy chcą przehandlować Amandę, to znaczy, że mają jej dosyć i w każdej chwili mogą ją zabić. Mówię, że wiem, jak to działa. To zupełnie tak, jak było w Łuskach z tymczasowymi dziewczynami – Amanda jest jednorazówką – więc muszę odnaleźć ją natychmiast. Wiem, że to niebezpieczne, ale nic mnie to nie obchodzi. Zaczynam płakać.

Wszyscy milczą. W końcu Toby oznajmia, że pójdzie ze mną. Weźmie swój karabin – mówi, że nie strzela najgorzej. Paintbólownicy mogli już zużyć całą amunicję, a zatem będziemy miały większe szanse.

– To jest najlepszy pomysł – stwierdza Zeb.

Toby waha się, ale po chwili mówi, że to najlepszy pomysł, jaki przychodzi jej do głowy, bo nie pozwoli mi łązić samej po lesie – to byłoby czyste morderstwo. Zeb kiwa głową:

– Zachowujcie się bardzo ostrożnie.

To postanowione.

W jednym z pomieszczeń glinianego domku MaddAddamowcy zrobili dla mnie i dla Toby hamak z taśmy izolacyjnej. Toby rozmawia jeszcze z Zebem i z resztą, więc kładę się pierwsza. Hamak wyroszczony kołdrą z megarunosa jest całkiem wygodny. I chociaż martwię się, jak odnaleźć Amandę i co będzie potem, w końcu udaje mi się zasnąć.

Rankiem, kiedy się budzimy, Zeba, Shackiego, Katura i Czarnego Nosorożca już nie ma. Ale Rebecca mówi Toby, że Zeb narysował dla niej mapę na piasku w starej piaskownicy, na której zaznaczył domek z gliny i brzeg morza, żeby Toby mogła się zorientować. Przez dłuższą chwilę Toby studiuje mapę z dziwnym wyrazem twarzy – jakby smutnym uśmiechem. Może jednak po prostu uczy się jej na pamięć. Na koniec zaciera mapę.

Po śniadaniu Rebecca daje nam trochę suszonego mięsa, a Dzieciół Wielkodzioby przynosi dwa lżejsze hamaki, bo niebezpiecznie byłoby spać na ziemi. Napełniamy butelki wodą ze studni, którą wykopali tu MaddAddamowcy. Wiele rzeczy Toby zostawia – buteleczki z Makiem, grzyby, pojemnik z czerwiami, całą swoją apteczkę. Zabiera ze sobą garnek, nóż, zapalki i kawałek liny, bo nie wiemy, jak długo potrwa wyprawa. Rebecca obejmuje Toby i mówi: „Uważaj na siebie, kochanie”. Wyruszamy.

Idziemy i idziemy. W południe zatrzymujemy się, żeby coś zjeść. Przez cały czas Toby nasłuchuje – mówi, że zbyt wiele niewłaściwych ptasich głosów, takich jak wronie, albo brak jakichkolwiek ptasich głosów – to znak, że trzeba być ostrożnym. Lecz nie słyszymy nic poza popiskującym i ćwierkającym podkładem. „Ptasie tło” – mówi Toby.

Idziemy dalej, potem jemy, potem znów idziemy. Tyle tu liści – kradną powietrze. A do tego trochę mnie straszą, bo kiedy ostatnio szliśmy przez las, znaleźliśmy powieszzonego Oatesa.

Kiedy się ściemnia, wybieramy dostatecznie wysokie drzewa, rozwieszamy hamaki i kładziemy się w nich. Nie mogę jednak zasnąć. Nagle słyszę śpiew. Jest bardzo ładny, ale niepodobny do normalnego śpiewania – jest bardzo czysty, jak szkło, ale wielowarstwowe. Jak dzwony.

Śpiew ucicha i mówię sobie, że tylko mi się zdawało. Przychodzi mi jednak do głowy, że to chyba niebiescy ludzie – że na pewno tak właśnie śpiewają. Wyobrażam sobie wśród nich Amandę, którą karmią, którą się opiekują, którą leczą i pocieszają mruzeniem.

To fantazja. Marzenia. Wiem, że nie powinnam tak robić, powinnam pogodzić się z rzeczywistością. Ale rzeczywistość ma w sobie zbyt wiele ciemności. Zbyt wiele wron.

Adamowie i Ewy mawiali: O tym, czym jesteśmy, decyduje to, co jemy. Ja jednak wolę myśleć: O tym, czym jesteśmy, decydują nasze marzenia. Bo gdybyśmy nie mogli o niczym marzyć, to po co się w ogóle trudzić?

Świętego Terry'ego
i Wszystkich Wędrowców

Świętego Terry'ego i Wszystkich Wędrowców

Rok dwudziesty piąty

O doli wędrownej
Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele, Drogie Współtworzenia, Drodzy Współtowarzysze tej niebezpiecznej drogi, którą dziś kroczymy przez Życie!

Ileż czasu upłynęło od naszego ostatniego dnia świętego Terry'ego w naszym ukochanym Ogrodzie na Dachu Edencliff! Wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak wspaniały był to okres – jeśli go porównać z mrocznymi czasami, które dziś przeżywamy. Cieszyła nas wtedy panorama rozciągająca się z naszego spokojnego Ogrodu; i choć była to panorama slumsów i występuku, my spoglądaliśmy na nią z przestrzeni odnowy i odbudowy, rozkwitającej niewinnymi Roślinami i pracowitymi Pszczołami. Nasze głosy rozbrzmiewały pieśnią, byliśmy pewni, że zwyciężymy, gdyż cele nasze były szczytne, a środki bez skazy. Tak sądziliśmy w swej naiwności. Od tamtego czasu miało miejsce wiele zasmucających zdarzeń, lecz Duch, który nas wówczas ożywił, trwa.

Dzień świętego Terry'ego poświęcony jest wszystkim Wędrowcom, a wśród nich prym wiedzie święty Terry Fox – który tak daleko przebiegł na jednej swojej nodze śmiertelnej i drugiej metalowej; który dał wspaniały przykład odwagi w obliczu przytłaczająco małych szans; który pokazał, czego w kwestii przemieszczania się

może dokonać ludzkie ciało bez korzystania z paliw kopalnych; który stanął w zawody ze Śmiertelnością i w rezultacie prześcignął własną Śmierć, i żyje w naszej Pamięci.

Wspominamy dziś także świętą Sojourner Truth, przewodniczkę zbiegłych niewolników sprzed dwóch stuleci, która przeszła tyle mil wiedziona jedynie przez gwiazdy. Pamiętamy też o świętych Shackletonie i Crozierze, wsławionych ekspedycjami na Antarktydę i do Arktyki, o świętym Lawrencie „Titusie” Oatesie, który wyprawił się tam, gdzie nie wyprawił się przedtem żaden człowiek, i który dla dobra towarzyszy oddał swe życie podczas zamieci. Niech jego ostatnie słowa będą dla nas natchnieniem w podróży: „Wychodzę i może mnie nie być przez jakiś czas”.

Wszyscy ci czczeni dziś święci są Wędrowcami. Dobrze wiedzieli, że lepiej wędrować, niż dotrzeć, jeśli wędruje się w mocnej wierze i ku bezinteresownym celom. Tę myśl, moi Przyjaciele i Współpodróżnicy, miejmy w naszych sercach.

Nie wypada nam zapomnieć o tych, których straciliśmy w trakcie naszej podróży. Darrena i Quilla pokonała choroba objawiająca się w bardzo niepokojący sposób. Na ich własną prośbę zostawiliśmy ich na szlaku. Dziękujemy im, że wykazali godną pochwałę troskę o tych, którzy są jeszcze zdrowi.

Philo wszedł w stan Ugoru i odnalazł spokój na szczycie parkingu wielopoziomowego, które to miejsce przypomina mu być może nasz drogi Dach.

Nie powinniśmy byli dopuścić, aby Melissa została tak bardzo w tyle. Za pośrednictwem sfory dzikich psów złożyła Współtworzeniom najwyższy Dar i dołączyła do wielkiego Bożego tańca białek.

Otoczmy ją Światłem w naszych sercach.

Zaśpiewajmy.

Najdłuższa mila

Ostatnia mila najdłuższą jest milą,
Gdy moc nasza mdleje,
Gdy brak nam już siły do wyścigu,
Gdy słabną nadzieje.

Czyż mamy ustąpić z tej mrocznej Ścieżki,
Umęczeni drogą,
Gdy Rozpacz Wiarę naszą nadwątła
I napawa trwogą?

Czyż mamy cofnąć się z tej wąskiej dróżki,
Nierównej ścieżyny,
I obrać transport szybki, złudny luksus –
Trakt do Ruiny?

Czy życie nasze wrogowie wymażą
I zniszczą Myśl naszą?
Czyż w wojnach i sporach przez nas wznoszoną
Pochodnię ugaszą?

Odwagi! Którzy wędrujecie w pyłe!
Choć upaść się zdarzy,
Choć z was niejeden polegnie na drodze –
Sięgniecie Ołtarzy.

Bieźcie, więc! Bieźcie! Choć oczy się mroczą
I Chór przycicha,
Bóg nas zielonym aplauzem Przyrody
Do biegu popycha!

W dążeniu bowiem tkwi nasza wartość –
W nim Cel nasz leży.
Bóg nas poznaje po Duszach Pątnicznych,
Tą miarą nas mierzy.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren. Świętego Terry'ego i Wszystkich Wędrowców

Kiedy się budzę, Toby siedzi w swoim hamaku i przeciąga się. Uśmiecha się do mnie – ostatnio uśmiecha się częściej. Może w ten sposób chce mi dodać otuchy.

– Jaki mamy dziś dzień? – pyta.

Zastanawiam się przez chwilę i mówię:

– Świętego Terry'ego, świętej Sojourner, Wszystkich Wędrowców.

Toby kiwa głową.

– Powinnyśmy odprawić krótką Medytację – mówi. – Ścieżka, na której postawimy dzisiaj stopy, będzie niebezpieczna. Potrzebny nam będzie wewnętrzny spokój.

Kiedy ktoś, kto jest Adamem albo Ewą, mówi, że trzeba odprawić Medytację, sprzeciw jest nie na miejscu. Toby schodzi z hamaka i siada w pozycji Lotosu, podczas gdy ja pełnię wartę, na wypadek jakichś niespodzianek. Jak na swój wiek jest całkiem rozciągnięta. Kiedy przychodzi moja kolej, mimo że wyginam się w odpowiedni kształt jak guma, nie jestem w stanie medytować jak należy. Nie daję sobie rady z trzema pierwszymi stopniami: Przeprosinami, Podziękowaniami i Przebaczeniem, bo nie wiem, komu powinnam przebaczyć. Adam Pierwszy powiedziałby, że jestem zbyt wystraszona i gniewna.

Myślę więc o Amandzie, o wszystkim, co dla mnie zrobiła, i o tym, że ja nie zrobiłam dla niej nic. Co gorsza, chociaż Amanda nie ponosi

najmniejszej winy za to, co się stało z Jimmym, pozwoliłam sobie wobec niej na zazdrość. To nie było uczciwe. Muszę ją odnaleźć i uwolnić od tego, co się z nią teraz dzieje. Chociaż może w tym momencie jej ciało wisi już na drzewie, tak jak ciało Oatesa, pozbawione niektórych swoich części.

Nie chcę jednak o tym myśleć, więc wyobrażam sobie, jak ku niej zmierzam. Bo właśnie to muszę zrobić.

Podróżuje nie tylko Ciało, mawiał Adam Pierwszy, lecz także Dusza. A koniec podróży jest początkiem następnej.

– Jestem gotowa – mówię do Toby.

Zjadamy trochę suszonego mięsa z megarunosa, popijamy wodą i ukrywamy hamaki pod krzewem, żeby nie musieć ich nosić. Trzeba jednak zabrać plecaki, mówi Toby, ze względu na żywność i ekwipunek. Upewniamy się, czy nie zostawiłyśmy śladów wskazujących na naszą obecność. Toby sprawdza karabin.

– Będą mi potrzebne tylko dwa naboje – stwierdza.

– Jeśli nie chybisz – mówię.

Po jednym na każdego paintbólowca. Wyobrażam sobie kule przecinające powietrze, lecące prosto w... co? W oko? W serce? Wzdrygam się.

– Nie wolno mi spudłować – mówi Toby. – Oni mają miotacz.

Wracamy na ścieżkę i idziemy nią w stronę morza, tam skąd w nocy dobiegły mnie głosy.

Po jakimś czasie słyszymy te głosy, teraz jednak nie śpiewają, lecz rozmawiają. Czuć zapach dymu – ogniska z drewna – i słyszeć śmiech dzieci. To ludzie, którzy są urzeczywistnionym zamysłem Glenna. To na pewno oni.

– Idź powoli – mówi Toby cicho. – Obowiązują reguły jak ze zwierzętami. Zachowuj się spokojnie. Jeśli będziemy musiały odejść, zacznij się cofać. Nie odwracaj się i nie uciekaj.

Nie wiem, co spodziewałam się zobaczyć, ale na pewno nie było to coś, co właśnie widzę. Widzę polanę, na niej ognisko, przy

którym siedzi może z trzydziestu ludzi. Mają różne kolory skóry – czarny, brązowy, żółty i biały – i żaden z nich nie jest stary. I żaden z nich nie ma na sobie ubrania.

Obóz nudystów, myślę. Żartuję ze sobą w myślach. Wyglądają aż nadto atrakcyjnie, o wiele zbyt doskonale. Jakby byli z reklamy spa NowyTy. Implanty piersi i pełne woskowanie – zero owłosienia. Po regeneracji naskórka. Po opalaniu natryskowym.

Czasami człowiek nie wierzy w coś, dopóki tego nie zobaczy – ci ludzie są takim czymś. Nie do końca wierzyłam, że Glenn naprawdę to zrobił. Nie wierzyłam w to, co opowiadał mi Croze, który przecież sam ich widział. Ale oto są, widzę ich na własne oczy. Jakbym oglądała jednorozce. Chciałabym usłyszeć, jak mruczą.

Zauważają nas – najpierw jakieś dziecko, potem kobieta, w końcu wszyscy. Przerywają swoje zajęcie i wszyscy razem obracają głowy w naszą stronę, żeby nam się przyjrzeć. Nie wyglądają na przestraszonych ani niebezpiecznych – są zaciekawieni, lecz spokojni. Odnoszę wrażenie, że gapią się na mnie megarunosi – oni zresztą nawet coś żują jak megarunosi. Cokolwiek jedzą, jest to zielone – kilkoro dzieci tak oszołomił nasz widok, że rozdziawiają usta.

– Cześć – mówi Toby. Każe mi zostać na miejscu. Idzie naprzód. Jeden z mężczyzn, który siedział w kucki przy ogniu, wstaje i wysuwa się przed pozostałych.

– Witaj – mówi. – Czy jesteś przyjaciółką Yeti?

Niemal słyszę, jak Toby rozważa w myśli różne warianty: Kim jest Yeti? Jeśli powie, że tak, czy potraktują ją jak wroga? A jeśli powie, że nie?

– Czy Yeti jest dobry? – pyta.

– Tak – odpowiada mężczyzna. Jest wyższy niż pozostali i chyba jest ich rzecznikiem. – Yeti jest bardzo dobry. To nasz przyjaciel. Pozostali kiwają potakująco głowami, nie przerywając żucia.

– A więc i my jesteśmy jego przyjaciółmi – mówi Toby. – Jesteśmy też waszymi przyjaciółmi.

– Jesteś do niego podobna. Masz dodatkową skórę, tak jak on. Ale nie masz piór. Czy mieszkasz na drzewie?

– Piór? – dziwi się Toby. – Na dodatkowej skórce?

– Nie, na twarzy. Był tu inny podobny do Yeti. Z piórami. Z nim jeszcze inny, który miał krótsze pióra. I kobieta, która pachniała na niebiesko, ale nie zachowywała się niebiesko. Czy kobieta, która jest z tobą, też taka jest?

Toby kiwa głową, jakby wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi. Może wie. Nigdy nie potrafiłam odgadnąć, ile ona wie.

– Ta kobieta, która jest z tobą, pachnie na niebiesko – odzywa się inny mężczyzna.

Wszyscy mężczyźni zaczynają wietrzyć, kierując nosy w moją stronę, jakbym była kwiatem – a może serem? Kilku z nich ma potężną, strzelistą niebieską erekcję. Croze mnie ostrzegął, ale czegoś takiego nie widziałam nigdy w życiu, nawet w Łuskach, gdzie niektórzy klienci bawili się w farbowanie ciała i różne wydłużacze. Paru niebieskich mężczyzn wydaje dziwny, dźwięczny odgłos – jaki powstaje przy pocieraniu palcem krawędzi kryształu.

– Jednak kiedy tamtej kobiecie, która tu przyszła, zaczęliśmy śpiewać, kiedy chcieliśmy dać jej kwiaty i machaliśmy do niej penisami, wystraszyła się – mówi ich przywódca.

– Tak. Ci dwaj mężczyźni też się wystraszyli i uciekli.

– Jak wysoka była ta kobieta? Wyższa od tej? – pyta Toby, wskazując na mnie.

– Tak, wyższa. Nie czuła się dobrze. I była smutna. Chcieliśmy nad nią pomruczeć i ją wyleczyć. Potem mogliśmy się z nią parzyć.

To na pewno Amanda, myślę. A więc żyje, jeszcze jej nie zabili. Mam ochotę zawołać: Pospiesz się!, ale na razie Toby nie ma zamiaru nigdzie się ruszać.

– Chcieliśmy, żeby wybrała czterech spośród nas do spółkowania – mówi naczelnik. – Może kobieta, która jest z tobą, wybierze? Pachnie na bardzo niebiesko!

Słyszając to, mężczyźni uśmiechają się – mają olśniewająco białe zęby – a ich penisy zwracają się w moją stronę, kiwając się z boku na bok jak ogony zadowolonych psiaków.

Czterech? Naraz? Nie chcę, żeby Toby do nich strzelała – wydają się tacy uprzejmi, są również przystojni – ale też nie chcę mieć do czynienia z żadnymi błękitnymi penisami.

– Moja przyjaciółka nie jest tak naprawdę niebieska – mówi Toby. – To tylko jej dodatkowa skóra. Dostała ją od kogoś niebieskiego. To dlatego pachnie na niebiesko. Dokąd poszli ci dwaj mężczyźni z kobietą?

– Poszli brzegiem morza – mówi przywódca. – A dzisiaj rano Yeti poszedł za nimi.

– Może moglibyśmy zajrzeć pod jej dodatkową skórę i sprawdzić, na ile jest niebieska?

– Yeti ma skaleczoną stopę. Mruczeliśmy nad nią, ale jeszcze wymaga mruczenia.

– Gdyby był tu Yeti, już on by się dowiedział, jak to jest z tym niebieskim. Powiedziałby nam, co mamy robić.

– Niebieskości nie wolno marnować. To dar Derkacza.

– Chcieliśmy pójść razem z Yeti, ale kazał nam zostać.

– Yeti wie – odzywa się jedna z kobiet.

Jak dotąd kobiety nie brały udziału w tej konwersacji, teraz jednak wszystkie kiwają, uśmiechnięte, głowami.

– Musimy iść i pomóc Yeti – mówi Toby. – To nasz przyjaciel.

– Pójdziemy z wami – mówi następny mężczyzna, niższy, o żółtawej cerze i zielonooki. – My też chcemy pomóc Yeti.

W tym momencie zauważam, że wszyscy mają zielone oczy. I że pachną jak owoce cytrusowe.

– Yeti często potrzebuje naszej pomocy – mówi wysoki. – Ma słaby zapach, bez siły. A teraz jeszcze jest chory. Ma chorą stopę. Kuleje.

– Jeżeli Yeti kazał wam zostać, to musicie zostać – mówi Toby. Spoglądają jeden na drugiego: coś ich niepokoi.

– Zostaniemy – oznajmia wysoki. – Ale musisz prędko wrócić.

– I przyprowadzić Yeti – dodaje któraś z kobiet. – Żebyśmy mogli mu pomóc. Potem będzie mógł z powrotem mieszkać na swoim drzewie.

– Damy mu rybę. Ryba go uszczęśliwia.

– On to je – mówi jakieś dziecko, krzywiąc się. – Gryzie ją i połyka. Derkacz tak mu kazał.

– Derkacz mieszka w niebie. Kocha nas – mówi jakaś niska kobieta.

Uważają widać tego Derkacza za Boga. Glenn jako Bóg w czarnym T-shircie – to całkiem zabawne, jeśli wziąć pod uwagę, jaki był naprawdę. Mimo to nie śmieję się.

– Tobie też możemy dać rybę – proponuje kobieta. – Chcesz rybę?

– Tak. Przyprowadź Yeti – mówi wysoki. – A wtedy złowimy dwie ryby. Trzy ryby: jedną dla ciebie, jedną dla Yeti, jedną dla kobiety, która pachnie na niebiesko.

– Postaram się najlepiej, jak potrafię – mówi Toby.

Chyba tego nie rozumieją:

– Co to jest „najlepiej”? – pyta przywódca.

Wychodzimy spod drzew w otwarte słońce i w szum fal. Po miękkim, suchym piasku dochodzimy do twardszego, mokrego pasa przy wodzie. Woda podchodzi pod górę, potem opada z łagodnym sykiem niczym oddech ogromnego węża. Brzeg zaśmiecają jaskrawe odpadki: kawałki plastiku, puste puszkę, potłuczone szkło.

– Myślałam, że się na mnie rzucą – mówię.

– Zwietrzyli cię – stwierdza Toby. – Wyczuli estrogen i myśleli, że masz ruję. Mają okres godowy tylko wtedy, kiedy robią się niebiescy. Jak pawiany.

– Skąd to wszystko wiesz? – pytam. Croze opowiadał mi o niebieskich penisach, ale nie o estrogenie.

– Od Dzięcioła Wielkodziobego. MaddAddamowcy brali udział w zaprojektowaniu tej cechy. Miała uprościć życie, ułatwić dobór partnera, wyeliminować miłosne cierpienia. Teraz musimy być bardzo cicho.

Miłosne cierpienia, myślę sobie. Ciekawe, co Toby może o nich wiedzieć?

W wodzie niedaleko brzegu stoi rząd opuszczonych wysokościców. Pamiętam je z naszych Ogrodniczych wycieczek na plażę w Parku Dziedzictwa. Przed podniesieniem się poziomu morza i tymi wszystkimi cyklonami w tym miejscu był suchy ląd, uczyliśmy się o tym w szkole. Nad płaskimi dachami krążą mewy.

Mogłybyśmy znaleźć tam jajka, myślę. I ryby. Jeśli jesteś w biedzie, uczył nas Zeb, zwab ryby na światło. Zapal pochodnię, a ryby spłyną się do jej blasku. W piasku widać kilka niewielkich krabich jam. W oddali rosną pokrzywy. Można by też jeść wodorosty. Wszystko to dary świętego Euella.

Znowu marzę: obmyślałam obiad, choć w głowie mam tylko strach. Nigdy nam się nie uda. Nigdy nie odzyskamy Amandy. Zabiją nas.

Toby znalazła jakieś ślady w mokrym piasku – ślady kilku ludzi w wysokich butach albo półbutach; i miejsce, gdzie je zdejmowali, może żeby umyć stopy, a potem miejsce, w którym je wkładali i z którego poszli w stronę drzew.

Mogą w tej chwili kryć się między drzewami, obserwując. Mogą na nas patrzeć. Mogą celować.

Na tych śladach zrobione są inne – bosych stóp. „Ktoś kulejący” – mówi szeptem Toby. To na pewno Yeti, myślę. Ten wariat, który mieszka na drzewie.

Zdejmujemy plecaki i zostawiamy je tam, gdzie kończy się piasek, a zaczyna trawa i zarośla, na granicy drzew. Toby mówi, że nie potrzebujemy zbędnego obciążenia. Musimy mieć swobodne ręce.

Rok dwudziesty piąty

Toby. Świętego Terry'ego i Wszystkich Wędrowców

No więc, Panie Boże, myśli Toby, co o tym sądzisz? – jeżeli istnieje. Powiedz mi, proszę, teraz, bo to może być już koniec. Kiedy wpadniemy na paintbólowców, to, na moje oko, nie mamy szans większych niż kot rzucony na stos.

Czy nowi ludzie to Twój pomysł na ulepszony model? Czy tak miał wyglądać pierwszy Adam? Czy zajmą nasze miejsce? A może zamierzasz wzruszyć ramionami i dalej próbować ze starym gatunkiem? Jeśli tak, to wybrałeś sobie dziwne kulki do gry: garść eksnaukowców, gromadkę Ogrodniczych renegatów, dwóch szalejących psychotyków z półżywą kobietą. Z trudem można to nazwać „przetrwaniem najlepiej dostosowanych” – wyjątkiem jest Zeb, ale nawet Zeb jest zmęczony.

Jest jeszcze Ren. Nie mogłeś wybrać kogoś mniej kruchego? Mniej niewinnego? Trochę twardszego. Gdyby była zwierzęciem, to jakim? Myszą? Drozdem? Sarną w świetle reflektorów? Załamię się w decydującym momencie – powinnam była zostawić ją na plaży. Ale nieuniknione tylko by się odwleкло, bo mój koniec będzie też jej końcem. Nawet jeśli puści się biegiem, do glinianki jest za daleko. Nie da rady, a gdyby im jednak uciekła, to się zgubi. Kto zresztą ochroni ją w dzikim lesie przed psami i świniami? Na pewno nie niebieski ludek. Na pewno nie wówczas, gdy paintbólowcy będą mieć sprawny miotacz. Jeśli nie zginie na miejscu, tym gorzej dla niej.

Klawiatura Ludzkiej moralności jest ograniczona, mawiał Adam Pierwszy – nie da się na niej zagrać nic, co by jeszcze nie było zagrane. I, choć mówię to z przykrością, moi Przyjaciele, to ma ona też niskie dźwięki.

Toby zatrzymuje się, sprawdza karabin. Odbezpiecza.

Lewa noga, prawa noga, po cichu do przodu. Słabe odgłosy jej kroków na leżących na ziemi liściach biją w jej uszy niczym wrzaski. Jestem taka widoczna, jestem taka słyszalna, myśli Toby. Wszystko, co w lesie – patrzy. Czeka na krew, wyczuwa ją, słyszy, jak płynie w moich żyłach, tu-tusz. Nad jej głową, na szczytach drzew zbiły się w grupki zdradzieckie wrony: Krokrokro! Wrony – chcą jej oczu.

A mimo to każdy kwiat, każda gałązka, każdy kamyczek jakby rozświetlony od wewnątrz, jak dawniej, jak pierwszego dnia, który spędziła u Ogrodników. To stres, to adrenalina, to chemia – Toby dobrze o tym wie. Ale po co mamy to wszczepione?, pyta samą siebie. Dlaczego jesteśmy zaprojektowani tak, że tuż przed tym, jak mają nas wykończyć, świat wydaje nam się nieziemsko piękny? Czy tak samo czuje się królik, któremu w kark wbijają się lisie zęby? Czy to jest łaska?

Zatrzymuje się, spogląda w bok na Ren. Czy mój wygląd dodaje jej otuchy?, zastanawia się. Czy wyglądam na spokojną i opanowaną? Jak ktoś, kto wie, co, do cholery, robi? Nie dam rady. Nie jestem dość szybka, jestem za stara, zardzewiała, nie mam błyskawicznego refleksu, spowalniają mnie skrupuły. Ren, wybacz mi, prowadzę cię na pewną zgubę. Modlę się o to, żebyśmy obie zginęły szybko, jeśli chybię. Tym razem pszczoły nas nie ocalą.

Którego Świętego powinnam wzywać? Który z nich ma tę stanowczość i biegłość? Bezwzględność, rozeznanie, precyzję?

Drogi Lamparcie, drogi Wilku, drogi Lwiagniorze – użyźcie mi swojego Ducha.

Rok dwudziesty piąty

Ren. Świętego Terry'ego i Wszystkich Wędrowców

Kiedy posłyszaliśmy głosy, zaczęliśmy po cichu posuwać się na przód. Pięta na ziemi, mówi Toły, przesuwasz stopę do przodu, nie odrywając pięty od ziemi. W ten sposób nie trzaśnie sucha gałązka.

To głosy męskie. Czujemy dym z ich ogniska i jakiś inny zapach – zwęglonego mięsa. Uświadamiam sobie, jak bardzo jestem głodna: czuję, że z ust cieknie mi ślina. Próbuję skupić się na uczuciu głodu, żeby nie czuć strachu.

Zerkamy spomiędzy liści. Tak, to oni: jeden z dłuższą ciemną brodą, drugi z lekkim szpeciniastym zarostem i ogoloną głową, na której odrastają włosy. Przypomina mi się wszystko, co zrobili, i zbiera mi się na wymioty. To z nienawiści i lęku, które chwytają mnie za żołądek i których pędy płożą się po całym moim ciele.

Nagle jednak zauważam Amandę – i zniecierpliwiona czuję się tak lekko, że mogłabym latać.

Ręce ma swobodne, ale szyję oplecioną liną, której drugi koniec przywiązany jest do nogi brodatego. Wciąż ma na sobie pustynny uniform khaki, choć bardziej zabrudzony niż zwykle. Twarz ma pomazaną błotem, włosy pozlepiane i sznurkowate. Pod jednym okiem ma fioletowego siniaka i kolejne siniaki na gołych ramionach. Na paznokciach zostało jej trochę pomarańczowego lakieru z Łusek. Kiedy to zauważam, chce mi się płakać.

Amanda to skóra i kości. Ale tamtych dwóch też nie wygląda tłusto.

Uświadamiam sobie, że bardzo szybko oddycham. Toby ścisła mnie za ramię. Chce powiedzieć: spokojnie. Obraca ku mnie swą brązową twarz i uśmiecha się uśmiechem zmumifikowanej głowy. Między wargami błyskają jej krawędzie zębów, napinają się mięśnie jej zuchwy – i nagle robi mi się straszliwie żal tych dwóch mężczyzn. Toby puszcza moje ramię i bardzo powoli podnosi karabin.

Obaj siedzą po turecku i pieką w żarze kawałki mięsa nadziane na patyki. Mięsa z szopunksa – obok na ziemi leży ogon w czarno-białe pasy. Leży tam też miotacz. Toby musiała go zauważyć. Wiem, co myśli: Kiedy zastrzelę jednego, czy zdążę zastrzelić drugiego, zanim on zastrzeli mnie?

– To chyba jakiś zwyczaj tych dzikusów – mówi ciemnobrajdy.

– Niebieska farba.

– E tam! To tatuaże – nie zgadza się krótkowłosa.

– Kto tatuuje sobie fiuta?

– Dzikusy tatuują, co się da. Taki zwyczaj ludożerców.

– Naoglądałeś się za dużo głupich filmów.

– Zakład, że w try miga złożą z niej krwawą ofiarę. Jak już wszyscy ją przelecą.

Spoglądają na Amandę, która patrzy w ziemię. Brodaty szarpie za linę:

– Mówimy do ciebie, suko!

Amanda unosi głowę.

– Erotyczny gadzet do zjedzenia – mówi krótkowłosa i obaj wybuchają śmiechem. – Widziałeś implanty na tych sukach?

– To nie implanty. Prawdziwe. Jest jak sprawdzić: rozciąć i już. Fałszywki mają w środku coś jakby taki żel. Możemy wrócić i pohandlować z dzikusami. Niech tą sobie wezmą, chyba bardzo im na niej zależy, żeby wsadzić jej te niebieskie kutasy. A my dostaniemy parę ichnich napalonych laseczek. Kurewsko dobry interes!

Widzę Amandę taką, jaką widzą oni: wycieńczoną, zmarnowaną. Bezwartościową.

– Po co handel? – pyta krótkowłosa. – Pójdziemy i skurwieli wystrzelamy.

– Na wszystkich nie starczy amunicji. W magazynku zostało tylko parę ładunków. Jak się domyślą, obkoczą nas, rozedrą na kawałki i zeżrą.

– Powinniśmy odejść gdzieś dalej – przeraża się krótkowłosa. – Ich jest trzydziestka, a nas dwóch. A jak nas podejdą w ciemnościach?

Następuje przerwa – myślą nad problemem. Dreszcz chodzi mi po całej skórze. Nienawidzę ich ze wszystkich sił. Nie wiem, na co Toby czeka. Dlaczego ich nie zabija? Przychodzi mi jednak do głowy, że to stara Ogrodniczka – że nie może tego zrobić, nie z zimną krwią, to wbrew jej religii.

– Nie takie złe – mówi brodac, podnosząc rożen z żaru. – Jutro ustrzelimy sobie jeszcze jednego takiego smakowitego sukinkota.

– Karmimy ją? – pyta krótkowłosa, oblizując palce.

– Daj jej trochę twojego. Z martwej żaden dla nas pożytek.

– Z martwej żaden pożytek dla m n i e – mówi krótkowłosa.

– Ty jesteś taki dewiant, że zerznąłbyś trupa.

– Skoro już o tym mowa, ty pierwszy. Zalej pompę, nie lubię jebać na sucho.

– Ja byłem pierwszy wczoraj.

– To co? Siłujemy się na rękę?

Nagle na polanie pojawia się ktoś czwarty: nagi, ale nie jest to któryś z tych pięknych zielonookich. Jest wychudły i pokryty strupami. Ma długą, postrzępioną brodę i wygląda na kompletnego wariata. Znam go – albo tak mi się wydaje. Czy to Jimmy?

Ma miotacz i celuje w stronę obu mężczyzn. Zastrzeli ich, ma w oczach to szaleńcze skupienie.

Ale zastrzeli też Amandę, bo brodac, jak tylko go zobaczył, podrywa się na nogi, przyciąga ją do siebie i zaciska na jej szyi ramię zgięte w łokciu. Krótkowłosa przykuca za nim. Jimmy się waha, jednak nie opuszcza broni.

– Jimmy! – wołam z zarośli. – Nie strzelaj! To Amanda!

Pewnie myśli, że mówią do niego krzaki. Obraca twarz. Wychodzę spomiędzy liści.

– Świetnie! Jest druga niunia! – mówi brodaty, szczerząc się.

– Będzie dla każdego po jednej.

Krótkowłosa wyczołguje się do przodu, sięga po miotacz.

Na polanę wchodzi Toby – z karabinem złożonym do strzału.

– Nie dotykaj tego – rozkazuje krótkowłosemu. Głos ma mocny i jasny, ale spokojny jak diabli. Ten głos na pewno go przeraża, jej wygląd zresztą też: jest chuda, obszarpana, szczerzy zęby. Wygląda jak zmora z telewizji, jak chodzący szkielet, jak ktoś, kto nie ma nic do stracenia.

Krótkowłosa zamiera. Tamten, który trzyma Amandę, nie wie, w którą stronę się zwrócić – na wprost ma Jimmy’ego, jednak z boku stoi Toby.

– Cofnąć się! Bo kark jej skręć! – krzyczy tak, żeby wszyscy słyszeli. Krzyczy bardzo głośno, a to znak, że się boi.

– Mnie to może i obchodzi, ale nie jego – mówi Toby, mając Jimmy’ego na myśli. Potem zwraca się do mnie:

– Bierz miotacz. Nie daj mu się złapać.

Do krótkowłosego:

– Nie podnoś się.

Do mnie:

– Uważaj na kostki.

Do brodacza:

– Puść ją.

Wszystko dzieje się bardzo szybko, ale jednocześnie w zwolnionym tempie. Głosy dobywają się z oddali, słońce świeci jasno, aż boli, jego blask roztrząskuje nam się na twarzach. Jarzemy się, iskrzymy, jakby elektryczność przepływała przez nas niczym woda. Mój wzrok niemal przenika ciała – ciała wszystkich. Widzę żyły, ścięgna, krążącą krew. Słyszę ich serca jak nadciągający grzmot pioruna.

Mam wrażenie, że zaraz zemdleję. Nie zemdleję jednak, bo muszę pomóc Toby. Nie wiem jak, ale podbiegam do przodu. Tak

blisko, że czuję ich zapach – zastarzałego potu i tłustych włosów. Podnoszę ich miotacz.

– Stań za nimi – nakazuje mi Toby.

Do paintbólowca:

– Ręce za głowę.

Do mnie:

– Jeśli zaraz nie zobaczysz tam rąk, strzel mu w plecy.

Mówi tak, jakbym wiedziała, jak to coś się obstruguje.

– Spokojnie – mówi do Jimmy'ego jak do jakiegoś wielkiego przerażonego zwierzęcia.

Przez cały ten czas Amanda siedzi nieruchomo, ale kiedy brodaty ją puszcza, zaczyna poruszać się jak wąż. Rozluźnia pętlę, ściąga ją z głowy i trzaska nią w twarz brodacza jak biczem. Potem kopie go jeszcze w jaja. Widzę, że nie zostało jej dużo energii, lecz wkłada w to wszystkie swoje siły. Kiedy ten zwija się na ziemi, Amanda daje kopniaka drugiemu. Potem chwyta kamień i każdego z nich wali nim w głowę – leje się krew. Amanda odrzuca kamień i kuśtyka w moją stronę. Płacze, zanosi się potężnym, urywanym szlochem – dni, kiedy mnie z nią nie było, musiały być potworne, bo trzeba naprawdę czegoś mocnego, żeby zmusić Amandę do płaczu.

– Ach, Amando! To straszne...

Jimmy chwieje się na nogach.

– Jesteś prawdziwa? – pyta, patrząc na Toby. Jest oszołomiony. Przeciera oczy.

– Prawdziwa tak jak ty – odpowiada Toby. – Lepiej ich zwiąż – zwraca się do mnie. – Przyłóż się, bo jak się ockną, będą bardzo źli.

Amanda przeciera twarz rękawem. Związujemy obu mężczyzn razem – ręce na plecach, pętle wokół szyj. Mogłybyśmy użyć więcej liny, ale tyle na razie wystarczy.

– To ty? – pyta Jimmy. – Chyba cię już kiedyś widziałem...

Podchodzę do niego, powoli i ostrożnie, bo ma przy sobie broń.

– Jimmy, to ja, Ren. Pamiętasz mnie? Możesz to już odłożyć. Już wszystko w porządku.

Mówię jak do dziecka.

Kiedy Jimmy opuszcza miotacz, zarzucam mu ramiona na szyję i długo ściskam. Drży, chociaż ciało ma rozpalone do gorąca.

– Ren... Czy ty umarłeś? – pyta.

– Nie, Jimmy. Żyję i ty też żyjesz – mówię, gładząc go po włosach.

– Wszystko mi się popaprało. Czasami wydaje mi się, że wszyscy umarli.

Świętej Juliany. Dzień Zaduszny

Świętej Juliany. Dzień Zaduszny

Rok dwudziesty piąty

O Kruchości Wszechświata

Mówi Adam Pierwszy

Drodzy Przyjaciele – nieliczni, którzy jeszcze jesteście...

Zostało nam niewiele czasu. Pewna jego część zesłała nam na tym, by dostać się tutaj, na miejsce naszego niegdyś kwitnącego Ogrodu na Dachy budynku Edencliff, gdzie – ciesząc się nadzieją większą niż dziś – wspólnie spędzaliśmy tak szczęśliwe dni.

Wykorzystajmy tę okazję i po raz ostatni porozmawiajmy o Świecie.

Oto bowiem wschodzi księżyc w nowiu, obwieszczaając dzień świętej Juliany, Dzień Zaduszny. Zaduszki nie ograniczają się tylko do Dusz Ludzkich – dla nas dotyczą one Dusz wszystkich Stworzeń, które przeszły przez Życie, doświadczyły Wielkiego Przeobrażenia i wkroczyły w ów stan czasem zwany Śmiercią, lecz który bardziej zasługuje na miano Życia Odnowionego. Albowiem w naszym Świecie – jak również w oku Bożym – żaden atom, który kiedykolwiek zaistniał, nie ginie.

Drogi Diplodoku, Drogi Pterozaurze, Drogi Trylobicie... Drogi Mastodonce, Drogi Dodo, Droga Alko Olbrzymia, Drogi Gołębiu Wędrownym... Droga Pando, Drogi Żurawiu Krzykliwym... i wy, wszystkie inne, niezliczone, które w swoim czasie igrałyście w naszym wspólnym Ogrodzie – bądźcie z nami w tej godzinie próby, dodajcie nam woli wytrwania. Jak wy cieszyliśmy się powietrzem, światłem słońca i odbłaskiem księżycy w wodzie; jak wy słyszeliśmy

zew pór roku i odpowiadaliśmy nań; jak wy zapelnialiśmy Ziemię. I jak wy jesteście dziś zmuszeni być świadkami kresu naszego Gatunku; musimy zniknąć z oblicza Ziemi.

Jak zwykle w tym dniu słowa świętej Juliany z Norwich, obdarzonej wielkim współczuciem świętej z czternastego wieku, przypominają nam o kruchości naszego Kosmosu – kruchości, którą potwierdzili na nowo dwudziestowieczni fizycy, kiedy Nauka odkryła ogromne przestrzenie znajdujące się nie tylko wewnątrz atomów, lecz także pomiędzy gwiazdami. Czyż nasz Kosmos nie jest li tylko płatkami śniegu? Czyż nie jest jedynie strzępkami koronki? Jak to pięknie ujęła w słowa nasza droga święta Juliana, w słowa czułości, których echo rozbrzmiewa przez wieki:

... objawił mi coś małego, wielkości orzecha leszczyzny, w zagłębieniu mojej dłoni i było to okrągłe jak piłka. Spojrzałam na to oczami mego umysłu i pomyślałam: „co to może być?”. I przyszła do mnie odpowiedź: „to wszystko, co stworzone”. Zastanawiałam się, jak to mogło trwać, gdyż było to tak małe, że myślałam, że może nagle zniknąć. A odpowiedź w moim umyśle była taka: „to trwa i będzie trwać na zawsze, ponieważ Bóg to kocha i w ten sam sposób wszystko istnieje dzięki miłości Boga”.

Czy zasługujemy na tę Miłość, którą Bóg utrzymuje Kosmos w istnieniu? Czy zasługujemy na nią jako Gatunek? Przyjęliśmy Świat, który nam został dany, i bezmyślnie zniszczyliśmy jego strukturę i żyjące na nim Stworzenia. Według innych religii, Świat zostanie zwinięty jak zwój papieru i spalony na nicość, a wówczas nastanie nowe Niebo i nowa Ziemia. Lecz z jakiej racji Bóg miałby nam dać nową Ziemię, skoro tę udręczyliśmy tak straszliwie?

Nie, moi Przyjaciele, to nie Ziemia zostanie zniszczona, ale Rodzaj Ludzki. Być może Bóg stworzy inny, większym współczuciem obdarzony Gatunek, który nas zastąpi.

Albowiem przetoczył się nad nami Bezwodny Potop – nie w postaci potężnego cyklonu, nie w postaci gradu komet, nie w postaci chmury trującego gazu. Nie – tak jak od dawna podejrzewaliśmy, jest to zaraza, zaraza, która nie poraża żadnego Gatunku poza naszym, która wszystkie inne Stworzenia pozostawi nietknięte. Nasze miasta okryły mroki, nasze systemy komunikacyjne przestały istnieć. Nieszczęście i zguba naszego Ogrodu dziś odzwierciedlają się w nieszczęściu i zgubie, które wymiotły do pusta leżące w dole ulice. Nie musimy się już lękać, że ktoś nas znajdzie – nasi dawni wrogowie nie mogą nas ścigać, jako że niewątpliwie zajmują ich okrutne męczarnie ich własnego cielesnego rozpadu, jeśli już nie pomarli.

Nie powinniśmy – a przecież też nie możemy – cieszyć się z tego powodu, albowiem wczoraj zaraza zabrała troje spośród nas. I już wyczuwam w sobie zmiany, które widzę odbite też w waszych oczach. Dobrze wiemy, co nas czeka.

Odejdźmy jednak dzielni i radośni! Skonajmy, modląc się za Wszystkie Dusze, wśród nich także za Dusze tych, co nas przesładowali, tych, co mordowali Boże Stworzenia, unicestwiali Jego Gatunki, tych, co torturowali w imię Prawa, którzy nie czcili nic poza bogactwami, którzy dążąc do majątku i ziemskiej władzy, dawali cierpienia i zabijali.

Wybaczmy tym, co zabili Słonia, co unicestwili Tygrysa, tym, co zamordowali Niedźwiedzia dla jego woreczka żółciowego, Rekina dla jego chrząstek i Nosorożca dla jego rogu. Przebaczymy im z serca, wszak ufamy, że i nam przebaczy Bóg, który nasz kruchy Kosmos dzierży w Swej dłoni i chroni go w Swej nieskończonej Miłości.

Owo Przebaczenie to najtrudniejsze zadanie, jakie kiedykolwiek zostanie nam postawione. Udziel nam dostatecznej siły.

Proszę, byśmy podali sobie ręce.

Zaśpiewajmy.

Ziemia przebacza

Ziemia przebacza Górniczy wybuch,
Co drze jej skorupę i skórę pali –
Po wiekach znów tu zjawią się Drzewa,
Wody i Ryby w wód tych fali.

Łania przebacza Wilkowi, który
By krew jej chłęptać, kark jej gruchoce.
Kości jej wsiąkną w ziemię, by żywić
Drzew kwiaty, nasiona i owoce.

A w cieniu pod drzewami tymi
Błogiego Wilk zażyje trwania,
Aż skona sam i stanie się trawą,
Na której paść się będzie Łania.

Stworzenia wiedzą, że aby jedne
Brały i jadły, drugie giną,
Prędzej czy później każde przemienia
Swe ciało w mięso, swą krew w wino.

I tylko Człowiek Pomsty szuka,
W kamieniu ryjąc abstrakcyjne Prawa,
Dla swej fałszywej Sprawiedliwości
Kości rozgniata i ciała rozkrawa.

Czy tak wyglądać ma obraz Boga?
Twój ząb za mój? Twa krzywda za mą własną?
Jeśli to Mściwość, a nie Miłość
Gwiazdy poruszać będzie – zgasną.

Nasze istnienia to ziarnka piasku,
Na nitce cieńszej wisimy od włoska –
Bo Wszechświat kulką jest maleńką,
Którą dłoń podtrzymuje Boska.

Porzućcie gniewy, niechajcie pomsty,
Wzór bierzcie z Łani, z Drzewa doli,
I czerpcie radość z Przebaczenia,
Bo tylko ono was wyzwoli.

Z Niepisanego śpiewnika Bożych Ogrodników

Rok dwudziesty piąty

Ren. Świętej Juliany. Dzień Zaduszny

Znad morza wstaje nowy księżyc. Zaczął się dzień świętej Juliany, Dzień Zaduszny.

Kiedy byłam mała, uwielbiałam dzień świętej Juliany. Każde dziecko robiło swój mały Kosmos z materiałów zebranych jako pokłosie. Przyczepialiśmy do tego różne świecące się rzeczy i całość zawieszaliśmy na sznurku. Wieczorem tego dnia była święteczna Uczta, podczas której jadło się okrągłe rzeczy, na przykład rzodkiewki i dynie, a cały Ogród ozdobiony był naszymi świecącymi światami. W jednym roku piłeczki Kosmosu zrobiliśmy z drutu i do środka włożyliśmy ogarki świec – wyglądało to bardzo ładnie. Kiedy indziej zrobiliśmy Boskie Dłonie, które miały podtrzymywać piłeczki Kosmosu, ale żółte gumowe rękawice gospodarskie, które do tego wykorzystaliśmy, wyglądały trochę dziwnie, jak ręce zombi. Zresztą Boga raczej nie przedstawia się w rękawiczkach.

Siedzimy przy ognisku: Toby, Amanda i ja. I Jimmy. I dwóch paintbólówców z Drużyny Żółtych – ich też muszę wyliczyć. Oświetla nas migotliwy blask, w którym wyglądamy łagodniej i piękniej niż w rzeczywistości. Czasem jednak również mroczniej i straszliwiej – kiedy na twarze pada cień i nie widać oczu, tylko oczodoły. Przepastne studnie ciemności ziejące z naszych głów.

Boli mnie całe ciało, ale jednocześnie jestem taka uradowana. Mamy szczęście, myślę sobie – że tu jesteśmy. Wszyscy, nawet paintbólwcy.

Gdy minęła południowa gorączka i przetoczyła się burza, poszłam na plażę po nasze plecaki. Przyniosłam je na polanę, a razem z nimi trochę gorczycy polnej, którą zerwałam po drodze. Toby wyjęła garnek, kubki, nóż i dużą łyżkę. Zrobiła zupę z tego, co zostało z szopunksa, i z resztek mięsa od Rebekki, dodając do tego swoich suszonych roślin. Przy wkładaniu kości szopunksa do wrzątku wypowiedziała słowa przeprosin, prosząc go o przebaczenie.

– Przecież nie ty go zabiłaś – mówię.

– To nic. Nie czułabym się jednak dobrze, gdyby ktoś tego nie zrobił.

Paintbólwcy przywiązani są do pobliskiego drzewa liną i sznurkami splecionymi z tasiemek oddartych z niegdyś różowego kombinezonu Toby. Plecienie wzięłam na siebie – ze wszystkich rzeczy, których uczyli Ogrodnicy, najlepiej uczyli ręcznej obróbki materiałów z recyklingu.

Więźniowie mało się odzywają. Na pewno nie czują się najlepiej po tym grzmotnięciu przez Amandę. Pewnie czują się też jak głupki. Na ich miejscu, gdyby ktoś tak mnie podszedł, czułabym się jak głupek – głupek do potęgi entej, jak powiedziałby Zeb.

Amanda jest chyba jeszcze w szoku. Trochę popłakuje, przestaje i zaczyna na nowo, obracając w palcach końcówki postrzępionych włosów. Jak tylko paintbólwcy zostali związani, pierwszą rzeczą, jaką zrobiła Toby, było podanie Amandzie kubka ciepłej wody z miodem – przeciw odwodnieniu – z dodatkiem proszku z komosy.

– Nie wypijaj wszystkiego od razu – zastrzegła. – Pij drobnymi łyżkami.

Toby powiedziała, że kiedy zwiększy się Amandzie poziom elektrolitu, będzie mogła reperować całą resztę – na początek skaleczenia i siniaki.

Jimmy jest w opłakanym stanie. Ma wysoką gorączkę i ropiejącą ranę na stopie. Toby mówi, że jeśli uda nam się doprowadzić

go do glinianego domku, zaaplikuje czerwie: stosowane przez odpowiedni czas, mogą pomóc. Ale Jimmy może nie mieć tego czasu.

Posmarowała już jego stopę miodem, daje mu też łyżkę miodu do zjedzenia. Nie może zaaplikować mu Wierzby ani Miodu, bo zostawiła je w domku z gliny. Owinęłyśmy go w kombinezon Toby, ale on ciągle się odwija.

– Musimy znaleźć dla niego prześcieradło albo coś podobnego – mówi Toby. – Na jutro. I wymyślić sposób mocowania go na nim, bo inaczej upiecze nam się w słońcu na śmierć.

Jimmy nie rozpoznaje mnie ani Amandy. Bez przerwy mówi coś do jakiejś kobiety, która niby stoi przy ognisku. „Sowia muzyko... Nie odfruwaj...” – mówi do niej. W jego głosie jest ogromna tęsknota. Czuję zazdrość – jak jednak mogę być zazdrosna o kogoś, kogo nie ma?

– Z kim rozmawiasz? – pytam go.

– Tam jest sowa – odpowiada. – Woła, o tam, w górze.

Nie słyszę żadnej sowy.

– Jimmy, spójrz na mnie.

– Muzyka jest wszczepiona – mówi. – Bez względu na wszystko. – Patrzy w górę na gałęzie.

Ach, Jimmy, myślę. Dokąd odszedłeś?

Księżyc przesunął się na zachód. Toby uznaje, że zupa z kości powinna już być gotowa. Dodaje zebranej przeze mnie gorczycy, oczekuje chwileczkę i nalewa.

– Mamy tylko dwa kubki, będziemy pić po kolei – mówi Toby.

– Oni też? – pyta Amanda, która nawet nie chce patrzeć na paintbólowców.

– Tak – odpowiada Toby. – Oni też. Dziś świętej Juliany, święto wszystkich dusz.

– Co z nimi będzie... jutro...? – pyta Amanda. Przynajmniej coś ją interesuje.

– Nie można ich tak po prostu wypuścić – mówię. – Zabiją nas. Zamordowali Oatesa. I popatrz, co zrobili z Amandą!

– Przemyślę ten problem – odpowiada Toby. – Później. Dziś mamy świąteczną Ucztę.

Rozlawszy zupę do kubków, rozgląda się po oświetlonym kręgu.

– Ładna mi uczta! – mówi tym swoim głosem Suchej Wiedźmy, z lekkim śmiechem. – Ale nie jest jeszcze po nas, co?!

To pytanie pod adresem Amandy.

– Kaput – mówi Amanda. Jej głos ledwie słychać.

– Nie myśl o tym – mówię, ale ona znów zaczyna lekko popłakiwać: jest w stanie Ugoru. Obejmuję ją i mówię szeptem:

– Jestem tu, i ty tu jesteś, już dobrze.

– Jaki to ma sens? – pyta Amanda, nie mnie, lecz Toby.

– To nie jest pora na rozważanie ostatecznego celu – odpowiada Toby dawnym głosem Ewy. – Chciałabym, żebyśmy zapomnieli o przeszłości, o tym, co w niej najgorsze. Dziękujemy za pożywienie, które zostało nam dane. Amando, Ren, Jimmy i wy też, jeżeli potraficie.

Ostatnie słowa są skierowane do paintbólowców. Jeden z nich mamrocze coś w rodzaju „Spierdalał”, ale nie mówi tego na głos. Chciałby dostać zupy.

Toby kontynuuje, jakby nic nie słyszała:

– Chciałabym też, żebyśmy pamiętali o tych, co odeszli – na całym świecie, a w szczególności o naszych nieobecnych przyjaciół. Drodzy Adamowie, drogie Ewy, drogie Współssaki i Współstworzenia, wszyscy, którzy przebywacie w Duchu – czuwajcie nad nami i użyjcie nam swej siły, bo na pewno będziemy jej potrzebować.

Bierze łyk i przekazuje kubek Amandzie. Drugi kubek podaje Jimmy’emu, który nie może go jednak utrzymać i połowę zupy rozlewa na piasek. Przykucam koło niego, żeby mu pomóc. Może on umiera, myślę. Może nad ranem będzie już martwy.

– Wiedziałem, że wrócisz – mówi, tym razem do mnie. – Wiedziałem. Nie zamieniał się w sowę.

– Nie jestem sową – odpowiadam. – Odjęło ci rozum. Jestem Ren, pamiętasz? Chcę tylko, żebyś wiedział, że złamałeś mi serce, ale mimo wszystko cieszę się, że żyjesz.

Kiedy to wypowiedziałam, coś ciężkiego i dławiącego unosi się ze mnie i czuję się naprawdę szczęśliwa.

Jimmy posyła mi – czy może komuś, kim dla niego jestem – słaby, pęcherzowaty uśmiech.

– I jeszcze raz, i od nowa! – mówi do swojej chorej stopy.

– Słuchaj muzyki.

Przechyla głowę na bok – jego twarz wyraża zachwyt.

– Nie da się zabić muzyki – mówi. – Nie da się!

– Jakiej muzyki? – dziwię się, bo nic nie słyszę.

– Cicho! – mówi Toby.

Nasłuchujemy. Jimmy ma rację – słyhać muzykę. Cichą i odległą, ale przybliżającą się. To głosy wielu śpiewających ludzi. Widzimy migotanie ich pochodni, przebijające się ku nam poprzez ciemność drzew.

Podziękowania

Rok Potopu to fikcja literacka, jednak przedstawione w niej ogólne zjawiska, jak również liczne jej szczegóły alarmująco przypominają rzeczywistość. Sekta Bożych Ogrodników, a także Amanda Payne, Brenda (Ren), Bernice, Jimmy-Yeti, Glenn (*alias* Derkacz) i grupa MaddAddam pojawili się wcześniej w powieści *Oryks i Derkacz*. Za wzór Ogrodników nie posłużyła żadna z istniejących grup religijnych, choć niektóre elementy ich teologii i praktyk mają konkretne źródła. Święci Ogrodników zostali wybrani na podstawie zasług położonych w dziedzinach życia drogich ich sercom. Ogrodnicy mają jeszcze wielu innych świętych, w tej książce niewzględzonych. Na teksty Ogrodniczych hymnów najwyrazistszy wpływ wywarł William Blake, a obok niego John Bunyan, jak również *The Hymn Book of the Anglican Church of Canada and the United Church of Canada* (Śpiewnik Anglikańskiego Kościoła Kanady i Zjednoczonego Kościoła Kanady). Jak każdy zbiór hymnów, także śpiewnik Ogrodników zawiera miejsca, które mogą nie być w pełni zrozumiałe dla niewyznających tej religii.

Muzyka do hymnów powstała w wyniku szczęśliwego zbiegu okoliczności. Piosenkarz i muzyk Orville Stoeber z Venice (Kalifornia) zaczął z ciekawości komponować muzykę do paru z nich – i dał się porwać. Niesamowitych efektów jego pracy można posłuchać na płycie CD *Hymns of the God's Gardeners* (Pieśni Bożych Ogrodników). Wszystkich, którzy chcieliby wykorzystać te utwory w celach amatorskich, religijnych lub związanych

z ochroną środowiska, serdecznie zapraszam do odwiedzenia stron www.yearoftheflood.com, www.yearoftheflood.uk lub www.yearoftheflood.ca.

Nazwisko Amandy Payne nosiła pierwotnie jedna z bohaterek powieści *Oryks i Derkacz* – dzięki aukcji na rzecz Medical Foundation for the Care of Victims of Torture (Wielka Brytania). Nazwisko świętego Allana Sparrowa od Czystego Powietrza pojawia się w książce dzięki środkom z aukcji zorganizowanej przez CAIR (CommunityAIR, Toronto). Wykorzystanie nazwiska Rebekki Eckler umożliwiła aukcja dobroczynna na rzecz magazynu „The Walrus” (Kanada). Dziękuję wszystkim, którzy użyczyli swoich nazwisk.

Jestem jak zawsze wdzięczna moim pełnym entuzjazmu i wiernym, choć pracującym pod presją wydawcom, Ellen Seligman z McClelland & Stewart (Kanada), Nan Talese z Doubleday (Stany Zjednoczone), Alexandrze Pringle i Liz Calder z Bloomsbury (Wielka Brytania), jak również Louise Dennys z Vintage / Knopf Canada, LuAnn Walter z Vintage Anchor (Stany Zjednoczone), Lennie Goodings z Virago (Wielka Brytania) i Mayi Mavjee z Doubleday Canada. Dziękuję też moim agentom: Phoebe Larimore (Ameryka Północna), Vivienne Schuster, Betsy Robbins z Curtis Brown (Wielka Brytania), Ronowi Bernsteinowi, oraz wszystkim pozostałym agentom i wydawcom na całym świecie. Podziękowania należą się także Heather Sangster za jej heroiczną pracę adiutorską, mojej nadzwyczajnej obsadzie biurowej w składzie: Sarah Webster, Anne Joldersma, Laura Stenberg i Penny Kavanaugh, a także Shannon Shields, która również mi pomogła. Na moją wdzięczność zasłużyli też: Joel Rubinovich, Sheldon Shoib, Michael Bradley i Sarah Cooper, a także Coleen Quinn i Xiaolan Zhang – za zadbanie o sprawność ręki, którą piszę.

Szczególnie dziękuję nieustraszonym pierwszym czytelnikom tej książki: Jess Atwood Gibson, Eleanor i Ramsayowi Cookom, Rosalie Abelli, Valerie Martin, Johnowi Cullenowi i Xandrze Bingley.

Na koniec szczególne podziękowania dla Graeme’a Gibsona, z którym obchodziłam tak wiele świąt Kwietniowej Ryby, Roztropności Węży i Wszystkich Wędrowców. Odbyliśmy długą, wspólną podróż.

Od tłumacza

Niemal wszystkie nazwy własne i pospolite występujące w *Roku Potopu*, które pojawiły się wcześniej w powieści Margaret Atwood *Oryks i Derkacz* (przekład Małgorzaty Hesko-Kołodzińskiej, Poznań: Zysk i S-ka, 2004), zostały przetłumaczone tak samo jak w poprzedniej książce. Celem tego było zachowanie ciągłości między obiema powieściami. Tak więc w *Roku Potopu* pojawiają się między innymi: Derkacz, Yeti, Projekt WyRaj, kotrysie, szopunksy, plebsopolie i czteroliterowe słowo Amandy. Nieliczne odstępstwa dotyczą przede wszystkim: nazwy sekty Ogrodników („Boży Ogrodnicy” zamiast „Ogrodnicy Boga”), terminu *splice* (oznaczającego „organizm transgeniczny”), który tłumaczony jest tutaj jako „kompozyt” (zamiast terminów takich jak „krzyżówka”, „mutacja”, „kombinacja”) oraz zdania z pamiętnika Ren.

Wyjaśnienia wymagają nazwy występujących w plebsopoliach gangów (a może grup etnicznych?), które w przekładzie polskim mogą Czytelnikowi mówić niewiele. Trzy z nich odsyłają do angielskich terminów kulinarnych (dotyczących dość mięsnych kuchni). Poczerniane Korwiny Czerwone, w oryginale *Blackened Redfish*, to nazwa potrawy z ryb gatunku korwin czerwony, *Sciaenops ocellatus* (inna nazwa to kulbak czerwony), przybierających ciemną barwę w wyniku smażenia na maśle i w przyprawach. *Blackened redfish* uchodzi za potrawę typową dla kuchni francuskojęzycznej ludności zamieszkującej południowo-zachodni rejon Luizjany, zwanej po angielsku *Cajuns*. Oryginalna nazwa Teks-Meksów,

Tex-Mexes, ma związek z kuchnią teksańsko-meksykańską. Natomiast nazwa gangu Azjatyckich Miksów, w oryginale *Asian Fusions*, odnosi się do typu kuchni zwanego po angielsku *fusion cuisine* lub po prostu *fusion*, łączącej w sobie kuchnie z różnych regionów (danego kraju lub świata). Z kolei ludzie występujący w polskim przekładzie jako Kłaczastogłowi to w angielskim oryginale *Lintheads*. Określeniem tym dawniej na południu Stanów Zjednoczonych przezywano (białych) robotników włókienniczych (od angielskiego *lint* – „kłaczek, strzępki, włókno”, i *head* – „głowa”).

Cytaty z Pisma Świętego w miarę możliwości tłumaczone są zgodnie z przekładem księdza Jakuba Wujka, tak aby zachować archaiczne brzmienie tekstu angielskiego. Jeżeli przekład Wujka zbyt odchodził znaczeniowo od użytego przez autorkę przekładu angielskiego, sięgnąłem do Biblii Tysiąclecia. W jednym wypadku, mianowicie w kazaniu na dzień świętej Rachel i Wszystkich Ptaków, wykorzystany został tekst Biblii Gdańskiej.

Fragment *Objawień Bożej Miłości* Juliany z Norwich w polskiej wersji pochodzi z przekładu Aleksandra Gomoli (Poznań: W drodze, 2007).

Spis treści

Ogród	7
Rok Potopu	9
Święto Stworzenia Świata	19
Święto Adama i Wszystkich Naczelnych	61
Święto Ark	101
Świętego Euella od Dzikich Pokarmów	141
Dzień Kreta	179
Kwietniowa Ryba	219
Święto Roztropności Węży	259
Święto Zapylenia	303
Świętej Dian Męczennicy	341
Dzień Drapieżcy	377
Świętej Rachel i Wszystkich Ptaków	403
Świętego Terry'ego i Wszystkich Wędrowców	441
Świętej Juliany. Dzień Zaduszny	463
Podziękowania	475
Od tłumacza	477